

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

BUDOWANIE
NIEPODLEGŁEJ

159A / P

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1985

1985 W 508/1

1985 W 508/2

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 410

ISBN 2-7168-0073-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

WOJCIECH GIELŻYŃSKI

BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1985

INSTITUT LITTÉRAIRE

REPOUSSIÉ

REPOUSSIÉ

CZĘŚĆ PIERWSZA

WALCZYĆ NAWET BEZ NADZIEI

W y r o s t k i

To te wyrostki wywalczyły Niepodległą.

Daremnie ich mitygowali ojcowie, naznaczeni stygmatem klęski styczniowej. Próżno wzywali synów, by wyrzekli się narodowych mrzonek i spojrzeli na Wschód, na niezmierzone połacie Rosji, zapraszające badaczy, kupców, inżynierów, kuszące złotem i rublami.

Wyrostki knuły przeciw władzy i cichaczem, w kościołach albo na leśnych polanach, składały przysięgi, od których serce łomotało, że całe życie poświęcą Ojczyźnie.

To wśród wyrostków rodziły się nocne Polaków rozmowy — co robić, by odzyskać niepodległość?

Niektórzy strzelali z rewolwerów i konstruowali bomby, zwane piekielnymi machinami. Na przykład Ignacy Mościcki, później Prezydent Rzeczypospolitej. Co prawda te bomby na ogół nie wybuchały albo kiereszowały samych zamachowców.

Wieszano wyrostków. Goniono na Sybir. Który był śmielszy, ambitniejszy — nie ominął „powinności więziennej”. Masowo wypędzano ze szkół i z uniwersytetu, który zresztą był rosyjski. Tysiące wyrostków znalazło się na emigracji, skąd powracali, by dalej jątrzyć, by zdobytą wiedzę nie na budowanie obracać, ale przekuwać w programy rewolucyjne.

Kwiecień 1883. W Żyrardowie pierwszy na ziemiach polskich wielki, spontaniczny strajk. Kozacy tłuką i aresztują włóknarzy. Przed aresztem robotnicy próbują odbić swoich. Padają strzały. Dziewiętnasto-, siedemnasto- i piętnastolatek: pierwszych trzech zabitych podczas strajku robotniczego. Styczeń 1906. W Warszawie i Lublinie bez sądu rozstrzelano dziesięciu buntowników od 15 do 20 roku życia, wbrew zakazowi tracenienia nieletnich.

Można spierać się, czy w dziele odrodzenia Polski większa

była zasługa romantyków czy pozytywistów; tych, co walczyli, czy tych, co zakładali spółdzielnie. Toczyły się i do dziś toczą polemiki — i będą one trwały, gdyż każde pokolenie stara się wyłuskać z przeszłych doświadczeń wskazania, które współbrzmiają z jego nastrojami i odpowiadają nowej sytuacji historycznej.

Niewątpliwie każdy nurt ideowy miał jakiś wkład w to odrodzenie. Największy był tych jednak, których zwano zrazu „narodowcami”; oni stworzyli PPS i już jako „socjaliści” byli jądrem ruchu niepodległościowego, któremu przewodził Józef Piłsudski. Ich główni rywale, których narodowcami nazwano później (a wtedy określano jako „ludowców” albo „patriotów”), przeszli zawiłą drogę myślenia politycznego: wpraw szukowali się do powstania, później optowali za lojalizmem i ugodą, lecz gdy wizja wyzwolenia zaczęła się ucieleśniać — wielu z nich, szczególnie młodszych, doszłusowało w szeregi bojowców Sprawy. Jeszcze inni chcieli od razu wyswobodzić całą ludzkość, a Polaków przy okazji; to „internacjoniści”, którzy się później mianowali „socjaldemokratami”, by wreszcie się stać komunistami. (Nazwy nurtów politycznych wymieniały się jak figury przy rozsadzie w szachach). I z nich wielu miało wkład w odrodzenie Polski — ci mianowicie, którzy przeszli na patriotyczną stronę; jednak spora część pozostała wyłącznie przy wierze w rewolucję socjalną i ostro sprzeciwiała się budowaniu Niepodległej.

Były i pomniejsze strużki ideowe: ludowcy — zaraniarze, którzy z ciemnoty i niemocy wydobywali tych, co „żywią i bronią”, różnobarwni mistycy, czerpiący natchnienie z głównych treści chrześcijaństwa (albowiem instytucjonalny Kościół nie należał wtedy do awangardy patriotycznej), a wreszcie „bracia z Wielkiego Wschodu” — masoni. Jedynie wśród tych ostatnich nie było nastolatków ani młodzieńców po dwudziestce.

W innych orientacjach ideowych ton nadawały nieodpowiedzialne, rozwydrzone wyrostki. Wbrew społeczeństwu, sparaliżowanemu apatią, wrywali się do walki, ujmując w swoje ręce „bez żadnej kontroli społeczeństwa starszych całą niemal reprezentację ideową narodu i całą walkę o lepsze jutro” — jak żalił się endecki pisarz Zdzisław Dębicki. Potępiano ich i ośmieszano; dworowano, że idą z motyką na słońce, że kuszą się o niemożliwe. Z pasją czynili to mądrzy, racjonalnie myślący pozytywiści, a szczególnie ich prorok Aleksander Świętochowski. Bolesław Prus książką „Dzieci” próbował odwieść ich od stracniczej walki. Ale nawet ugodowcom nie przychodziło wtenczas do głowy aberracyjne hasło: młodzież trzymać z dala od polityki! Konflikt dotyczył tylko kwestii: JAK politykę uprawiać?

JAK UPRAWIANO POLITYKĘ, która ostatecznie przyniosła wolność, opowiada ta książka. To znaczy — jakie dylematy stały przed pokoleniem niepodległościowym? Jak o nich dyskutowano? Jakie stosowano środki walki, tej codziennej i tej na śmierć i życie?

Przedtem trzeba zarysować tło, na którym przyszło działać wyrostkom w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku.

Polacy pełzali wówczas w odrętwieniu, w bagienku defetyzmu, któremu sankcję moralną dawało pozytywistyczne „dorabiajmy się”. Klęska powstania styczniowego wytrąciła z narodu co setnego mniej więcej obywatela, sumując wszystkie rodzaje strat, w tym zsyłki i deportacje. Był to oczywiście kwiat młodzieży patriotycznej i wybór najtęższych umysłów. Każdy przegrany zryw narodowy w młodych uderza najmocniej. „Bito w cyrkulach — pisał Józef Grabiec-Dąbrowski. — Kozacy i policjanci tłukli publiczność batami za łada powodem”.

Najdotkliwsze jednak było złamanie narodowej odporności, determinacji, morale.

Nie rysowała się żadna wizja zaradzenia Złu. Nie wolno było nawet uskarżać się publicznie, bo policja i cenzura działały wzorowo; wystarczyło, że ktoś złym okiem spojrzął na patrol policyjny, czyli *nagrubił głazami* — a wędrował do aresztu.

Elżbieta Kaczyńska zestawiała długą listę popowstaniowych restrykcji. Nie wolno było gromadzić się w mieszkaniach prywatnych. Nie wolno było nikogo odwiedzać bez zameldowania się stróżowi. Na pogrzeby, które odbywały się pod nadzorem tajniaków, należało zdobyć talon; wydawano je, odpłatnie, od 10 do 60 rubli. Na Litwie ogłoszono takse za złapanie ukrywających się powstańców: 30 rubli za dowódcę, 10 rubli za oficera, 5 rubli za szlachcica, 3 ruble za wojskowego, po rublu za podejrzanego chłopca lub Żyda. Rubel — to była wtedy dobra dniówka. Zaprowadzono odpowiedzialność zbiorową: właściciela domu za czyny lokatorów, szlachcica za chłopów, rodziców za dzieci, świadka zamachu — za zamach, jeśli nie schwytano sprawcy. Należało natomiast — do tego przymuszano — słać wiernopoddańcze adresy do cara, z podziękowaniem za wszystko, co uczynił dla Polaków, z prośbami o przebaczenie, z zapewnieniami o pragnieniu wiernej służby. Namiestnik Teodor Berg obiecał pełną amnestię dla tych, co skryli się lub uciekli za granicę — jeśli ujawnią się władzom. Skorzystało z jego łaskawości 514 osób, z których 88 od razu postawiono pod sąd.

W społeczeństwie masowo rodziło się poczucie moralnego zgnojenia. Formowała się haniebna filozofia życiowa, że skoro

niczego nie wolno, poza bogaceniem się, tedy wolno się bogacić na nic nie bacząc, na żadne skrupuły etyczne, choćby i kosztem zatraty godności, choćby i depcząc cudze życie. Namiastką ideologii stał się egoizm, traktowany jako zrozumiała sama przez się postawa realistyczna. Kto zapomniał, że jest Polakiem, mógł się nawet nieźle urządzić, powtarzając głupawe haselko, że Tu i Teraz nic się nie da zdziałać.

Życie polityczne Kongresówki było w stanie hibernacji. Tradycje powstańcze, od rozbiorów przekazywane z pokolenia na pokolenie, teraz wyganiano z serc. Kilkanaście lat postyczniowych to jedyny okres zaborowy, w którym przytłaczająca większość narodu uznała, że *Finis Poloniae* jest wyrokiem nieodwracalnym.

Jest rok 1878. Dorasta młodzież, która w dniach klęski powstańczej leżała w kołyskach. Postacie bohaterskie, przez starszych odsuwane jak zły sen, przykuwają imaginację „nie tylko młodzieży akademickiej — pisał Ludwik Krzywicki — ale nawet wyrostków, nawet malców”. Kiełkują tajne kółka młodzieży — oświatowe, samokształceniowe, socjalistyczne. Ci pierwsi socjaliści są garstką oryginałów, nieźle sportretowanych w „Lalce”; są wśród nich abnegaci i dandysi, są tacy, co to i do wypitki, i do wybitki. Są dziwacy. Szymon Diksztajn, znany później teoretyk (zapowiadał się na geniusza, na uniwersytet dostał się mając 14 lat!) trzymał dla ozdoby pokoju, w fotelu, szkielet młodej dziewczyny. Jedyni Polacy, którzy podówczas snuli myśli światoburcze, nie pasowali do stereotypu partyjniaka-aparatczyka.

Do jednego z takich kółek wstąpił Józek Bejta (Beuth?) ze zbiegniętej rodziny szlacheckiej, która — jak tyle innych po powstaniu — rozstała się z karabelą na rzecz młotka, wsiąkała w proletariat fabryczny. Jako trzynastoletni chłopak podjął pracę w warsztacie, tyrał od 8-ej rano do 9-tej wieczór. Wkrótce nawiązał kontakty z socjalistami, chodził na tajne spotkania, roznosił listy i zakazane książki zagraniczne; bibuły jeszcze nie drukowano. W kwietniu 1879 roku wpadł i powędrował do sławnego X Pawilonu Cytadeli.

Wyrostek był nieznośny. Ze wszystkich drzwi, nie mógł wysiedzieć na pryczy, denerwował statecznego, już 32-letniego współwięźnia, Józefa Szczepańskiego. 12 lipca Józek wdał się w pyskówkę z wartownikiem. Gdy ten kazał mu zejść z parapetu, Józef nie posłuchał i rzucił weń ułamkiem siatki drucianej. (Strażnik, nazwiskiem Kleszczewnikow, zeznawał potem oczywiście, że to była butelka). Rozeźlony żołnierz oddał strzał, trafił prosto w głowę.

Józef Bejta, lat 17. „Pierwsza krwawa ofiara w dziejach polskiego socjalizmu” — napisał Adam Próchnik, historyk i działacz PPS.

Zwłoki Józka pogrzebano na Powązkach, nocą, w tajemnicy, żeby nie doszło do antypaństwowego zbiegowiska.

Po X Pawilonie tragedia rozniosła się natychmiast i spowodowała dalszą sekwencję zdarzeń. Maria Hildt (niepełnoletnia, istna furia podziemia, wkrótce zesłana na Sybir, gdzie zmarła) dała współwięźniom hasło do protestu. Ogarnęła ich wściekłość i desperacja; zdemolowano cele, wybito szyby. Do celi 34, w której miotali się Stanisław Landy, lat 23, student weterynarii i Wacław Sieroszewski, lat 19, uczeń szkoły kolejowej, wszedł sam generał Ulrych, komendant Cytadeli. Wacek rzucił weń szczapą, wyrwaną z futryny. Buntowników skopano i skatowano, szarpano za włosy, skrzępowano — i bito dalej.

Zaczęła działać maszynka wymiaru sprawiedliwości.

Działała zaskakująco.

Sprawę więźniów, którzy dopuścili się dewastacji mienia rządowego oraz stawili czynny opór funkcjonariuszom sił porządku, okrutny carat — umorzył. Najbardziej czynnych w proteście przeniesiono (z dwoma wyjątkami) do innych więzień, a ciężące na nich oskarżenie o działalność wywrotową rozpatrywano w trybie administracyjnym.

Tymi wyjątkami byli Sieroszewski i Landy. Oni napadli samego Generała! Za takie znieważenie munduru wysokiego dygnitarza kodeks przewidywał karę śmierci.

Ale generał Ulrych zeznał, wbrew prawdzie, że ciężki przedmiot wcale weń nie trafił. Carscy oficerowie umieli zachować się bardziej niż uczciwie: szlachetnie.

Przewodniczący sądu wojskowego płk Czerkasow ani razu nie przerwał mowy obrończej mec. Turkiewicza, który grzmiał:

„A więc ta żandarmeria, która rzuciwszy się na oskarżonych pozwoliła sobie bić ich i rwać im włosy, przez co wyraźnie naruszyła ich godność ludzką — jest w porządku, a ci, którzy w poczuciu człowieczeństwa i dla samoobrony się opierali — są oskarżeni!”.

Do postawy generała i pułkownika nie dostroił się jednak oberpolicmajster Buturlin; do generalnego gubernatora, hr. Pawła Kotzebue złożył zażalenie na sędziego, iż ten nie wziął w obronę niesłusznie oskarżanej żandarmerii i że wpuścił na salę rozpraw osoby o nieprawomyślnych poglądach, w tym rodziny podsądnych.

Wyrok zapadł surowy. Landy został skazany na 12 lat ciężkich robót, Sieroszewski na 8 lat twierdzy. Jednak hr. Kotzebue, który nie lubił zandarmów, złagodził sentencję, zastąpił katorgę — osiedleniem w odległych miejscowościach Syberii. Tam Sieroszewski studiował życie Jakutów, napisał na ich temat cenne prace, a do kraju wrócił już jako znany pisarz. W Polsce niepodległej ten rozbestwiony wyrostek został prezesem Związku Literatów Polskich i Polskiej Akademii Literatury.

(W sto trzy lata później analogiczny proces w Kwidzynie miał zupełnie inny przebieg; świadkowie i sąd też zachowywali się inaczej).

Tu trzeba oddać sprawiedliwość komunistom (czyli „internacjonalistom” wtedy). Pod wodzą Ludwika Waryńskiego założyli w 1882 roku Międzynarodową Socjalno-Rewolucyjną Partię „Proletaryat”, zbierając kilka setek członków efemerycznych kółek i „gmin” socjalistycznych oraz wicherzących studentów. „Proletaryat” pierwszy po Powstaniu Styczniowym ośmielił się walczyć z caratem, chociaż odżegnywał się od patriotyzmu, od celów narodowych; stał na stanowisku rewolucji klasowej. Zapoczątkował akcję terrorystyczną. Początki jej przypominały dziecięce zabawy. Ćwiczone się w operowaniu nożem, bo nie było ani jednego rewolweru; tajemnie próbowano je wyprodukować w fabryce Mizerskiego, ale pękały — natomiast sztyletów i sztarmajz do obrony trochę tam wykuto. Trenowano rzuty piłką, żeby umieć miotać bomby. Buszowano po tajemnych lochach pod Starym Miastem, próbując odszukać legendarne przejście do Zamku. A kiedy rzeczywiście podjęto zamachy — ugodziły one wyłącznie w zdrajców i szpicłów. Niepełnoletni tkacz Jan Pietrusiński z wyroku sądu partyjnego zabił domniemanego szpiega Helszera w Zgierzu; niestety, była to pomyłka. O rok starszy — lat 21 — szewc Michał Ossowski dopadł w tramwaju konnym na Bagateli i zabił konduktora, prowokatora Skrzypczyńskiego. Obu zamachowców powieszono na stokach Cytadeli, wraz z niewiele starszym Stanisławem Kunickim i seniorem ruchu, czterdziestoletnim Piotrem Bardowskim. Pietrusiński przed egzekucją zwierzał się, że najbardziej mu smutno, bo nigdy jeszcze nie kochał kobiety i nie może sobie wyobrazić tego uczucia.

W ostatnim słowie Ossowski powiedział:

„Sądzicie, być może, sędziowie, że robotnicy dlatego przystępują do ruchu socjalistycznego, że pociągnięci zostali przez inteligencję. Ja stanowczo protestuję przeciwko takiemu zdaniu. My, robotnicy, doskonale to odczuwamy, że walka toczy się za nasze

interesy; my wkładamy w nią całą naszą energię i gotowi jesteśmy nieść brzemię odpowiedzialności za to, co przez nas zrobione zostało. Dlatego więc niesprawiedliwością z waszej strony będzie, jeżeli w wyroku jakąkolwiek różnicę między robotnikami a inteligencją przeprowadzicie”.

Przywódca partii, inteligent Ludwik Waryński, skazany na 16 lat katorgi w twierdzy Szlisselburskiej (w której zmarł), tak mówił przed sądem:

„Sympatie robotników po naszej znajdują się stronie. Dumni jesteśmy świadomością, że rzucone przez nas ziarno głęboko zapadło i puściło korzenie. Wśród robotników wielu było słabych, którzy uchylili czoła przed siłą i zdradzili swą sprawę, lecz bądźcie przekonani, sędziowie, że w chwili stanowczej nawet ci słabi i zahukani ludzie staną po n a s z e j stronie”.

Takie słowa w sto lat później mogliby bez zmiany powtórzyć oskarżeni przed sądami, strzegącymi ustroju, który tamci idealizowali.

Kiedy 190 proletariaczyków znalazło się w więzieniach albo na zesłaniu — i co rok wpadało następnych kilkudziesięciu — ster rozproszonej organizacji, która wciąż na nowo odradzała się w podziemiu, przejmują coraz to młodszy spiskowcy. Tacy, co początkowo spełniali zadania poboczne, organizowali pomoc dla uwięzionych i ich rodzin, czasem przynosili grypsy i bibułę. Teraz to oni, drugi rzut, potem trzeci — nieomal dzieci jeszcze — kierują robotą polityczną: odwiedzają z prelekcjami kółka robotnicze, rozpowszechniają wywrotową literaturę przierzucaną „zza kordonu”, sami uruchamiają na Siennej 91 tajną drukarnię, zakładają szwalnię i intrologatornię, z których dochód (niestety, nie było go) miał zasilać Kasę Oporu, a wreszcie 2 marca 1885 roku na Placu Zamkowym włączają się w pierwszą uliczną manifestację dwustu bezrobotnych. 146 z nich aresztowano.

Przesiane resztki proletariaczyków skupiły się wokół nowego przywódcy Komitetu Centralnego, pięknej panny, nauczycielki, wyrostka w spódnicy: Marii Bohuszewiczówniej. Miała wtedy już 19 lat! Była szlachcianką z Białorusi, córką powstańca styczniowego, a po kądzieli prawnuczką rodzonej siostry Tadeusza Kościuszki. Krzywicki zauważył, że stosunek najbliższej kompanii — to znaczy członków KC — do Bohuszewiczówniej był podobny, jak żyrodystów do pani Roland: kochali się w niej, lub ściślej — adorowali ją. W jej mieszkaniu na Złotej 26 roiło się od rozognionej młodzieży. Czas spędzano przyjemnie, między pla-

nem obalenia caratu a programem światowej rewolucji poniektórzy smalili do Marii cholewki, ona jednak nie zwracała uwagi na zalotników. Do głupstw nie miała głowy. Pod jej kierownictwem partia znacznie rozbudowała organizacje prowincjonalne, ona chowała w sekretarzyku cały centralny sekretariat, pisała agitacyjne odezwy i pogadanki.

29 września 1885 roku policja zrobiła nalot na drukarnię. Po nitce do kłębka zgarnięto kolejny sztab proletariaczyków — ogółem 55 osób. X Pawilon zagęścił się jeszcze bardziej. Za swoje spiski zapłacili łącznie setkami lat Sybiru, wielu życiem. Maria Bohuszewiczówna, skazana na 5 lat zsyłki, zmarła po drodze w Krasnojarsku.

Pamięć po pięknej rewolucjonistce przetrwała w wierszu, jaki na jej cześć, na Sybirze, napisał Sieroszewski:

*... Tyś skupiła w swym sercu wszystkie nasze cnoty,
Jak kryształ, co rozsiane w powietrzu promienie
Zbiera w punkt jeden drobny, ale palący i złoty;
Nie ma Ciebie... umarłaś... znikłaś i nie wrócisz!...
Ty nasza przodowniczo, orlico Ty nasza!...
Już okrzykiem bojowym męstwa nie ocucisz...*

Na jej cześć pseudonim „Marian Bohusz” przybrał — zakochany na zabój — Józef Karol Potocki, nieprzeciętny intelektualista i działacz socjalistyczny (ale krytyczny wobec doktryny Marksa), który później związał się z narodowym *Głosem* i zasłynął jako publicysta, idol warszawskiej młodzieży. Żył jak anachoreta. Wszystkim, co zarobił, dzielił się z przyjaciółmi. Głosił, że twórcze idee, a nie tylko przemiany społeczno-gospodarcze, porywają masy ludzkie do wielkich czynów; jako jeden z przykładów podawał dzieje Islamu. Zrażony do narodowców, coraz układniej-szych wobec caratu, odsunął się od nich, redagował własne pi-semko *Walka*, usiłując syntetyzować idee socjalistyczne i narodo-we. Był osamotniony, schorowany. Opuścili go ci, dla których kilka lat wcześniej był wzorem. Na koniec — przepadł bez śladu. Nikt nigdy nie wyjaśnił, co się z nim stało, gdzie i kiedy zmarł. Jedyny po nim trwały ślad na kartach „Ludzi bezdomnych”, w pamiętniku Joasi. Dla Żeromskiego pozostał Bohusz jednym z tych, co całym swym życiem torowali drogę do niepodległej Polski.

W asyście Bohuszewiczówny kręcił się także szesnastoletni gołowąs, który miał na imię Edek, ale nazywano go „Tłoczkiem”, albowiem wciskał się wszędzie, pozerany tyleż ambicją, co pasją

społecznikowską. Wiedziano, że drukuje artykuły w ludowym piśmie *Zorza*: cykl „Pogadanki o rzeczach pożytecznych”, zdradzający czytanie w Darwinie, Spencerze, Taine’em, a nawet w Marksie. Już jako piętnastolatek był gwiazdą tej gazety, która skądinąd nie należała do wybitnych. Ale Bohuszewiczówna, bądź co bądź o trzy lata starsza, z pobłażaniem patrzyła na młokosa; uważała, że za wcześnie na jego spiskowe wtajemniczenie. Musi rok-dwa poczekać, trzeba mu się przyjrzeć.

Wyrostek, Edward Abramowski, za niewiele lat stał się jednym z tych, którzy „nasycili sobą pokolenie” — jak napisał jego wielbiciel Żeromski, i stworzył „piękną naukę o człowieku” — jak napisała zafascynowana nim Maria Dąbrowska.

Wkrótce po nim jako czołowy ideolog PPS miał zastąpić dwiętnastoletni maturzysta, Kazimierz Kelles-Krauz.

Jeszcze nie raz będzie w tej książce mowa o rozwichrzonych i nieodpowiedzialnych wyrostkach, które budowały Polskę nie tylko tym, czego dokonały w wieku dojrzałym, ale przede wszystkim tym, co zdziały w szczenięcych latach. Jeden z 16-letnich organizatorów strajku uczniowskiego w 1905 roku tak (wedle relacji Stefana Drzewieckiego) mówił na uczniowskim zebraniu:

„Wiemy, że na razie nie osiągniemy dla siebie pomyślniejszego losu. Wiemy, że się narażamy bez nadziei zwycięstwa. Wiemy, że idziemy na stracenie, że się marnujemy. Nie przybieramy pozy bohaterów, nie rozpoczynamy walki z najazdem, jak nasi ojcowie, nie zginiemy śmiercią bohaterską. Wiemy, że nas wypędzą, że nas oddadzą w sołdaty, że pójdziemy do głębokiej Rosji — i to wiemy, że stamtąd wrócimy złamani, może znieprawieni, że będziemy pisarzami gminnymi, pomocnikami fabrycznymi, może agentami tajnej policji. Ale wiemy, że walka, którą rozpoczynamy, owocna będzie dla naszych następców...”

Takie wyrostki broniły potem Lwowa. Tylko, że wtedy zwano ich Orłętami.

Czy wychodzić na ulicę?

Moment, w którym kurator Aleksander Apuchtin dostał po pysku, zapoczątkował nową epokę w życiu politycznym młodzieży; zaczęła się faza wyżu nastrojów niepodległościowych. Często drobny incydent porusza lawinę. Teoretycy zwą takie zjawisko „detonatorem”.

Apuchtina nienawidzono. Był postrachem nauczycieli, uczniów i studentów, których osaczył siecią szpiclów. Szkolni pedle, jak zwano woźnych, mieli obowiązek przetrząsać internaty, zaglądać do uczniowskich kuferków, śledzić pozaszkolne życie młodzieży. Apuchtin zapędzał młodzież do cerkwi, gdzie sławiono cara. Lubił powtarzać, że niedługo matki-Polki będą śpiewać dzieciom rosyjskie kołysanki.

Wśród rozbisurmanionych studentów od dawna zjawiano się, by go zwabić i zastrzelić — a potem spalić budę, cały ten ruski Uniwersytet Warszawski. Może wysłać mu pocztą wybuchową machinę? Nawet skonstruowano takową; miała jednak rozmiar kufra i nie nadawała się do pocztowej ekspedycji. Skończyło się na tym, że Apuchtina spoliczkował student... rosyjski, nieznany nikomu Jewgeni Żukowicz. I to nie jest zresztą pewne — może tylko zamierzył się z ciosem? Tak czy inaczej, po tym zdarzeniu, w kwietniu 1883 roku, w letargicznej Warszawie doszło do ulicznych zaburzeń — pierwszych od powstania.

Kiedy wieść o mordobiciu rozniosła się po wydziałach, rozogniona młodzież zgromadziła się na tym co zwykle dziedzińcu, wypełniła IV audytorium, pchała się na korytarze, aby ją k o ś solidaryzować się z Żukowiczem. Kilku przemawiało; zaczęto obmyślać treść oświadczenia; żeby Apuchtinowi dosolić, żeby go wreszcie zabrano. Były i głosy mitygujące, odpowiedzialne: miejcie na względzie własną przyszłość i przyszłość kraju, któremu niepotrzebne są awantury. Spokój, nauka, praca! Paru takich pozytywistów przykładnie wyrzucono, lecz po korytarzach szedł pomruk mieszany. Trzymajmy się razem! — wołano, ale szeptano też: nie róbmy głupstw, komu to służy?

Aż rozległ się stukot butów wołyńskiego pułku gwardii. Część studentów rozproszyła się w mig, wsiąkła, pochowała, ale ponad dwustu wytrzymało w audytorium. Tych wygarniano po jednym, spisywano — pod eskortą z nasadzonymi sztykami wyprowadzano za bramę przy Oboźnej — i puszczano. Wtapiali się w tłum ciekawskich. Narada: co robić? Ktoś dał hasło: do domu, jutro normalnie na uniwersytet.

Ale nazajutrz, gdy zaczęli się gromadzić przed bramą główną, zaszarżowała konna żandarmeria. Przycwałowali ułani. Za nimi dońscy kozacy. Piechota. Gwardia wołyńska. Władza urządziła demonstrację siły — ile to bitnych jednostek strzeże ładu i porządku!

Jeszcze nikogo nie zgarnięto do suk-kibitek, choć demonstracja spęczniała nawet, mimo koncentracji bagnatów, szabel i naha-

jek. Warszawska publika nabrała otuchy i ścisnęła dłonie swym studentziakom.

Po paru godzinach oczyszczono ulice, bez pałowania, wystarczył sam widok zwartych rot. Jeszcze wystarczył.

Odbył się sąd profesorski. Na rok do trzech lat relegowano z uczelni i wydalono z Warszawy 133 studentów. Jednym z nich był Ludwik Krzywicki, który pozostawił dokładny opis tej Apuchtinady lub „schodki apuchtinowskiej”. W kilka dni później, na skutek nowej instrukcji z Petersburga, policja — wbrew obietnicom profesorów — zaczęła wyłapywać najciężej obwinionych. „Słowo honoru nie może mieć praktycznego zastosowania” — wyjaśnił rektor Błagowieszczenski. Kilkunastu aresztowano i wywieziono do Rosji, kilkunastu wymknęło się do Galicji. Szczęściem rychło ogłoszono amnestię, z okazji koronacji Aleksandra III. Ale nie wszyscy mogli kontynuować studia.

Efekt, jak na jeden akt rękoczynu, może się wydać wysoce nieopłacalny. Stu kilkudziesięciu młodych doznało wielkich komplikacji życiowych, niektórzy się zmarnowali. Apuchtin, odznaczony za spoliczkowanie orderem Aleksandra Newskiego, został w Warszawie długie lata.

Takie saldowanie strat jest jednak ślepotą, jeśli się spojrzy z punktu widzenia narodowej zbiorowości. Ona odebrała Apuchtinadę jako „radosną nowinę”. Dokładnie tak napisał do *Kuriera Warszawskiego* Józef Natanson z zasłużonej dla polskości rodziny bankierskiej, przekazując okrągłą sumkę na jakiś cel szlachetny.

Władze pojęły aluzję i jego też skazały na zesłanie.

Ale natychmiast inni poszli tym samym śladem, zbierając dalsze składki. A w cyrku Cinisellego jeden clown dał w pysk drugiemu, a trzeci z powagą przywiesił mu order — co widownia przyjęła frenetyczną owacją (clownów wydalono za granicę). T. T. Jez napisał zaś z emigracji: „Czemuż to tych gości nieproszonych, których na ziemi polskiej cierpieć nie powinniśmy, spotkał w progach naszych w przeciągu lat dwudziestu trzech jeden tylko policzek?”.

Miały za nim nastąpić i inne gesty symboliczne. Gesty, za które naród drogo płacił, ale które były niezbędne, by naród odżył.

W pół wieku później, na zjeździe socjologów w 1935 roku, sędziwy prof. Krzywicki wygłosił odczyt, w którym podważał sens swego i swych przyjaciół młodzieńczego zaangażowania. (Taka zmiana optyki często zdarza się ludziom w podeszłym wieku, zachodzi w nich metamorfoza od patriotyzmu ku lojalizmowi). Twierdził, że przez walkę wyzwoleniczą naród nasz w każdym

pokoleniu wyjął się z najcenniejszych jednostek — „rogatych dusz”; ginęli, szli do więzień lub na obczyznę, późno zakładali rodziny, więc mieli mało rogatego potomstwa. Te negatywne procesy selekcyjne osłabiły społeczeństwo.

Prof. Stanisław Ossowski odpowiedział, że pojawianie się „dusz rogatych” nie zależy od jakichś rogatych genów. Na psychikę społeczeństwa wpływa przede wszystkim dziedzictwo kulturowe — w dwojaki sposób. Dziesiątkowanie „rogatych dusz” istotnie zmniejszało ich liczbę, a zatem i wpływ na Polaków, bo spadała intensywność kontaktów społecznych między Polakami rogatymi a bezrogimi: następowało kulturalne wyjąłowanie społecznej atmosfery. Ale zarazem działał przecież mechanizm odwrotny! Te same wydarzenia, które powodowały ubytek „dusz rogatych”, prowadziły do wytwarzania się wzorów, opromienionych aureolą bohaterstwa, przeto na drodze wychowawczej wzbogacały kulturowe dziedzictwo i kształtowały postawy patriotyczne. „I dlatego bojownicy walk ideowych nie potrzebują się trapić — skonstatował Ossowski — że przez ich czyny marnieje rasa grupy społecznej”.

Psychicznym skutkiem przymusu Ossowski poświęcił wiele kart twórczości socjologicznej, ciągle żywej, dającej wyraźne wskazania — jak żyć godnie z pożytkiem dla narodu? Przynawał, że w warunkach przymusu „skłonności niewolnicze szerzą się nieporównanie łatwiej, niż skłonności bohaterskie”, a typy oportunistyczne mają większe szanse przetrwania; „głęboki kręgosłup jest w tych warunkach cechą korzystną dla zachowania gatunku”. Ten proces selekcyjny — twierdził — dotyczy nie tylko cech moralnych, ale i umysłowych: psychice niewolniczej towarzyszy bierność, psychice buntu — samodzielność umysłu.

Jak zatem zniewolone społeczeństwo może przeciwdziałać naciskowi ustroju, któremu jest poddane?

Nie rezygnować z oporu! Pamiętać, że „czyny kierowane względami estetycznymi, poczuciem honoru osobistego lub dbałością o godność grupy społecznej podnoszą jej atrakcyjność, wzbogacają jej kulturę i żywotność”. Jeśli w jakimś zespole ludzi zanika zdolność poświęcenia się dla gestu, jeśli zabraknie ludzi z fasonem, to traci ten zespół doniosły czynnik głębszej więzi uczuciowej. Nie wolno pozwalać, by opresor zmuszał nas do zachowań sprzecznych z przekonaniami, choćby chodziło o gesty z pozoru symboliczne: klaskanie mówcy, z którym się nie zgadzamy, branie udziału w demonstracjach pod obcymi sztandarami, uczestniczenie w fikcyjnych wyborach. Nie wolno pościć się, że chodzi przecież tylko o czczą formalność, bez prak-

tycznego znaczenia. Gdy wielokrotnie rezygnujemy pod przymusem z własnej godności — następuje zmiana naszej osobowości. „Łatwe rezygnowanie z oporu w stosunku do narzucanych czynności symbolicznych — pisał Ossowski — nie tylko ruguje czyniki estetyczne z naszej motywacji moralnej, ale wytwarza takie nawyki, które ułatwiają na przyszłość oportunistyczne koncesje w sprawach, gdzie skutki rzeczowe nie podlegają już wątpliwości”.

Dlatego ogromne znaczenie dla psychicznej odporności społeczeństwa mają wartości uroczyste. Na przykład klęska lub sukces narodowy mogą być przedmiotami wspólnych przeżyć, wytwarzają zbiorowy nastrój, szczególnie w okresach nasilenia społecznej łączności.

Apuchtinada wspólny nastrój wytworzyła; ale to był zaledwie pierwszy przebłysk. Opinia publiczna żyła nim długo, lecz była skrajnie podzielona. Warszawscy studenci nawet po dziesięciu latach nie zapomnieli tej legendy (zwłaszcza, że Apuchtin trwał na stanowisku), konserwatyści krakowscy natomiast z furją zareagowali na pochwałę, jakiej Jeź udzielił spoliczkowaniu. W anonimowej broszurze, która w 1889 roku wyszła w Krakowie, dano mu ostrą odprawę:

„Naród, który by wstąpił na drogę takiej brutalno zwierzęcej, terrorystycznej polityki, dałby o sobie najgorsze świadectwo wobec religii, moralności i cywilizacji, oburzyłby wszystkich przeciw sobie, jak niegdyś Turcy i Mongołowie”.

Krakowiczek zapomniał, że Turcy i Mongołowie oburzali świat, bo byli najeźdźcami, a nie dlatego, że się przed najeźdźcami bronili...

W oceanie marazmu wciąż jeszcze tonęły jednostkowe odruchy niezgody na carski ucisk. Duch lojalizmu przeżarł nawet dusze mas młodzieży. Zrezygnowane społeczeństwo nie myślało o sprzeciwie wobec unifikacji buntowniczego Królestwa Polskiego z resztą ziem caratu i przemianowania go na *Prywislensje*. Nie protestowano przeciwko rugowaniu języka polskiego ze szkół, przeciw zamykaniu kościołów i klasztorów, wypędzaniu zakonników i odcięciu duchowieństwa od Rzymu, który niekiedy był życliwy Polakom. Przyjmując demonstracyjną pielgrzymkę, Pius IX powiedział: „Powiadam wam — miejcie nadzieję, wytrwałość, odwagę i módlcie się, a ciemniejszy wasi runą i Królestwo Polskie powróci”. Lecz słowa otuchy docierały do nielicznych. Przytłaczająca większość godziła się biernie na despotyzm

generał-gubernatora Hurki, jeszcze wdzięcząc się przymilnie, jeśli łaskawie przyzwolił na założenie kontuszki bądź rogatywek podczas jakichś maskarad rocznicowych. Zresztą i wśród wychodźstwa, na polskich rautach w Paryżu czy Londynie, kwitło patriotyczne komedianstwo kostiumowe, z nieodłącznym ułanem.

Niezbędny był narodowi jakiś nowy, mocniejszy wstrząs niż Apuchtinada. Trzeba nań było jednak czekać przez całe lata osiemdziesiąte. Powoli odmieniały się społeczne nastroje, a ludzie otrząsali się z letargu. Od styczniowej Apokalipsy minęło ćwierć wieku. Gehenna narodu znowu obruszała młodzież przeciwko ciemniźcy i przeciw tym, co kazali cierpieć w pokorze i myśleć o mamonie. Z tajgi nad Jenisejem, z lodowej Kamczatki powracali katorżnicy; mniej znaczyli jako promotorzy czynnego oporu, byli wypaleni, ale sporo — jako budziciele sumień.

Przede wszystkim jednak odżyła myśl polityczna.

Rok 1882 — to początek tragicznej, lecz poruszającej martwą wodę epopei Wielkiego Proletariatu.

Rok 1887 — to powstanie Ligi Polskiej na emigracji.

Oba te wydarzenia, choć genetycznie tak odmienne, wręcz sprzeczne w intencjach ideowych, zapoczątkowały ożywienie nastrojów rewolucyjnych i formowanie nowych obozów politycznych. Do tych zjawisk powrócę w innym rozdziale. Chwilowo przedstawiam jedynie zewnętrzne oznaki patriotycznej ekspresji — a nie ich podłoże programowe. Fałszywa jest wprawdzie myśl Marksa, że „Każdy krok rzeczywistego ruchu jest ważniejszy niż tuzin programów”, ale jest faktem, że gesty oporu — nawet przegrane i kosztowne — mają dla ruchu ogromne znaczenie mobilizacyjne.

Oba nurty — robotniczy i studencki — spektakularne akcje podjęły u progu lat dziewięćdziesiątych. Ten pierwszy był wówczas zorganizowany w wątlym, zdziesiątkowanym aresztowaniami II Proletariacie i w Związku Robotników Polskich, ten drugi w kilku ugrupowaniach, wśród których przodował narodowy ZET — Związek Młodzieży Polskiej.

Zacęli robotnicy. W lutym 1890 roku CK „Proletariatu” — na apel paryskiego kongresu Międzynarodówki, która zresztą na Polaków nie liczyła — postanowił dołączyć się do urządzanych pierwszy raz w świecie obchodów 1 Maja. Do Warszawy przedostał się z Paryża „nielegalnik” Stanisław Padlewski, spotkał się z Marcinem Kasprzakiem, Stanisławą Motzówną i Bolesławem A. Jędrzejowskim — „Bają”, później wybitnym działaczem PPS i pilsudczykiem. U szewca Snarskiego, róg Marszałkowskiej i Chmielnej, wydrukowano pierwszomajową odezwę

autorstwa „Baja”, którą roznoszono wprost do mieszkań robotniczych. Szanse rysowały się mizernie: grupkę działaczy dwóch partii można było policzyć na palcach obu rąk, a w Warszawie jeszcze nigdy nie udało się skłonić robotników do masowego wystąpienia, nawet za czasów Wielkiego Proletariatu, który był organizacją dużą i sprawną. Żandarmeria, wyniuchawszy co się święci, zaczęła profilaktyczne aresztowania, ale nie udało się jej przerwać agitacji. Nie poskutkowało też dane fabrykom polecenie, by zapisano nazwiska robotników nieobecnych 1 Maja w pracy. W Warszawie zastrajkowało 8 tysięcy robotników. Wiele drobnych warsztatów stanęło zupełnie. W warsztatach kolejowych do pracy nie stawiało się czterystu, u Ortweina — stu pięćdziesięciu robotników. Odświętnie ubrani gromadkami chodzili po Warszawie, śpiewając: „Niech się wali, niech się pali”. W całym Cesarstwie Wszechrosji jedynym miastem, które świętowało na apel Międzynarodówki, była Warszawa.

ZET-owcy przeszli do czynu następnej wiosny. No, nie były to od razu czyny imponujące. Gdy do Warszawy, na zaproszenie gubernatorowej Hurkowej, zjechał rosyjski teatr pana Korsza, nieodpowiedzialni studenci rozlali śmierdzącą asafetydę i w sukniach kilku dam wypalili dziury kwasem siarkowym. W Teatrze Wielkim rzucano do aktorów-Rosjan zgniłymi jajami, natomiast w „Rozmaitościach” studenci zasypywali kwiatami artystów polskich, witali ich owacyjnie, bez końca wywoływali swoich ulubieńców: Czakównę, Trapszównę, Marczelkę, Rapackiego, Frenkla i Leszczyńskiego. Trwałość form wyrażania uczuć narodowych jest zdumiewająca.

Ośmieleni własną odwagą, studenci poważyli się na ambitniejsze przedsięwzięcie: po długich latach zapomnienia o obchodach Trzeciego Maja, w setną rocznicę Konstytucji, wezwali naród do uroczystego świętowania. Odwykłe od ryzykanctwa społeczeństwo przyjęło apel jękiem. Pisał korespondent socjalistycznego *Przedświtu* w Londynie: „Zarówno burżuazja jak i szlachta polska, wylękniona, spieszyła do władz rządowych, by wspólnie coś uradzić przeciw rozbrykanej młodzieży”. Uradzono, że gazety dadzą odpór. Nadgorliwa prasa warszawska — wbrew opinii cenzury, od której odwołano się do Petersburga — zamieściła jednobrzmiący artykuł, w którym czytano z ulgą:

„Pewna ilość spokojnych i pracą zajętych mieszkańców miasta naszego otrzymała z niewiadomego źródła pochodzące proklamacje, w których spod pseudo-patriotycznej powłoki wyziera niegodna chęć jątżenia jednych warstw ludności przeciw drugim.

Gdyby nawet jakaś garstka obłąamuonych nie wiadomo skąd idącymi podmuchami jednostek, o gorącej krwi a słabych głowach, popchnąć się dała niespodzianie do jakowychś ekscesów, byłby to wypadek nader smutny. Społeczeństwo nasze pragnie przede wszystkim żyć i w spokoju nad swym rozwojem pracować, a tych, którzy by ten spokój i tę pracę zakłócić usiłowali, potępiłoby z pewnością”.

Ciekawe, jak trwała jest stylistyka oficjalnej propagandy.

Urzędowy *Warszawskij Dniownik* uderzył w ton ostrzejszy:

„Czasy sentymentów i ustępstw dawno już minęły. Sławetna Konstytucja 3 Maja 1791 roku była ostatnim nożem, który dobił umierającą Polskę. Gdyby Polacy byli zdrowi na umyśle, nie święciliby tego dnia, ale by go przeklinali”. Na zakończenie zdanie o całkiem współczesnym brzmieniu: „Władze są tak silne, że niczego obawiać się nie potrzebują”.

Mimo tej buty urzędnicy rosyjscy przed 3 Maja tłumnie wyjeżdżali z Warszawy. W krytycznym dniu, który zbiegł się z pierwszym dniem Wielkiej Nocy starego stylu, ulice... opustoszały. Lojaliści zaszyli się w domach. Jedyne w katedrze św. Jana zebrała się setka studentów i gimnazjalistów. Po mszy młodzież ruszyła do Ogrodu Botanicznego i kwiatami ozdobiła ruiny kapliczki, upamiętniającej Konstytucję. Przed wieczorem tłum zgęstniał i urósł stos kwiatów, chociaż do kapliczki dopuszczano na raz tylko po dwie osoby.

„Oberpolicmajster Klejgels, w asyście komisarza, przypatrywał się tej spokojnej demonstracji, bacząc tylko, by zbyt wiele osób nie gromadziło się przed pomnikiem. W ogóle policja zachowywała się z rezerwą. Dopiero gdy powracający tłum, dążąc do katedry, znalazł się przed Zamkiem, oberpolicmajster wezwał do rozejścia się, grożąc użyciem siły zbrojnej. I rzeczywiście zjawiała się secina kozaków. Tymczasem część pochodu skierowała się przez plac Teatralny do Saskiego ogrodu, gdzie ją zamknięto i dokonano licznych aresztowań (...). Student Brauliński odebrał sobie w celi życie”.

Powyższy opis pochodzi z broszury Witolda Giełżyńskiego „Obchody Trzeciego Maja”. Teofil Lenartowicz zaś poświęcił taką stronę wydarzeniu:

*Studenci, obojętni na więzy i zgony
Stają, jak roślinności młody gaj zielony*

*Pod zimne ostrze kosy, bez cienia obawy...
Chwała Wam, syny mojej rodzinnej Warszawy!*

Manifestacja trzeciomajowa spowodowała aresztowanie 118 osób, licząc wraz z zatrzymanymi na pogrzebie Braulińskiego (inne źródła: „Burdzyńskiego”), który stał się okazją do kolejnej demonstracji na Powązkach, rozpedzonej przez oddziały płk. Agapiejewa; za to zwycięstwo awansował on na generała. Aresztantów potraktowano dość łagodnie, tylko 24 — wśród nich Stanisław Wojciechowski, potem Prezydent RP — dostało wyroki od miesiąca do sześciu za udział w demonstracji „w stuletnią rocznicę byłej konstytucji byłej Polski”. Ostrzej, bo zesłaniami, ukarano niepoprawnych, którzy wybili medale pamiątkowe, a także prof. Mieczysława, który w dwa lata później ośmielił się rzucić bukietik fijołków na zwaliska kapliczki w Botanicznym. Władza pokazała oblicze pobłażliwe dla tych, co zgrzeszyli po raz pierwszy, ale nieubłagane dla zatwardzielców. Ani jedna taktyka, ani druga nie zapobiegła wzrostowi temperatury podgrzanych już nastrojów. Z młodzieży zaczęły opadać pęta strachu, gdy wbrew katastrofizmowi starszych znalazły się rogate dusze, znaleźli się Polacy z fasonem, którzy pokazali, że można, że należy ryzykować dla Sprawy.

Redaktorów tych trzech warszawskich pism, które zamieściły ów artykuł przeciw manifestacjom, odwiedziły dwuosobowe delegacje studenckie w celu „czynnego znieważenia”, czyli obicia gęby.

W innych zaborach Trzeci Maja odświętowano w setną rocznicę bez przeszkód. Ogromne tłumy w Krakowie, we Lwowie, nawet w małych miasteczkach galicyjskich. Pod Prusakami, gdzie rygor był znacznie ostrzejszy, święcono ten dzień w Poznaniu, Gnieźnie, Grudziądzu, Strzelnie, Trzemesznie, a nawet w Gdańsku.

Rozgłos, jakiego nabrała warszawska demonstracja trzeciomajowa — maleńka, ale uliczna — przesłonił świętowanie pierwszomajowe, które w tymże roku podjęli robotnicy. I to w liczbie stukrotnie większej, niż studentów i inteligencji zebrało się w Ogrodzie Botanicznym! II Proletariat agitował broszurą Edwarda Abramowskiego, Związek Robotników Polskich — broszurą Józefa Becka (ojca sanacyjnego ministra spraw zagranicznych, też Józefa). „W sercach naszych wrzało — relacjonował Adolf Kiełza, uczestnik wydarzeń. — Robotnicy wtędy mniemali, że takich demonstracji jeszcze kilka lub kilkanaście, a stary świat despotyzmu i wyzysku kapitalistycznego runie”. Proletariat Warszawy,

mimo pogroźek fabrykantów, majstrów i policjantów, świętował masowo, do pracy nie stawiało się kilkanaście tysięcy robotniczy, w tym wyrobnice igły z magazynów mód i fabryki koronek Szlenkiera. W Łodzi pozostali w domach prawie wszyscy włóknarze od Poznańskiego, najbrutalniejszego z wyzyskiwaczy. W Żyrardowie strajk miał charakter powszechny, trwał 4 dni, ogarnął 9 tysięcy robotników. Tutaj strzelano, padły śmiertelne ofiary, a 574 buntowników zredukowano i odesłano ciupasem do miejsc urodzenia.

Znane są teksty niektórych ulotek, pisanych odręcznie i rozklejanych w Zakładach Żyrardowskich. Oto jedna z nich:

„Bracia drodzy!!! Nadszedł czas, aby się wydobyć ze szponów mniemanych Chlebodawców, ssących z nas ostatnią kroplę krwi, a co gorsza, znieważających nasze żony i córki potem i złudnym uciemieniem, z czego się później naśmiewają. Ach więc teraz, drodzy Bracia i Siostry, Zaklinam was na Boga i rany Zbawcy świata, byście z dniem pierwszego Maja rb. nie poszli od rana do pracy chociaż ze trzy dni, a czas ten przepędzili spokojnie bez żadnych zaczepek na ulicy. Wszak przez to nie pomrzesz, a działając w ten sposób dojdziem do upragnionego celu, czego z całego serca naszej Braci życzę, co daj Boże! Amen! Po przeczytaniu oddaj drugim!”.

Nie był ten agitator materialistą, lecz instynkt klasowy miał rozbudzony jak trzeba.

Rywalizacja między Pierwszym a Trzecim Majem toczyła się ostro. Przemycana prasa galicyjska agitowała, by robotnicy przyłączyli się do obchodów ogólnonarodowych, rezygnując ze swego święta klasowego — a z Genewy, z emigracyjnej siedziby socjalistów-międzynarodowców, nadeszła broszura, w której zawarto zdania godne uwagi:

„Nie żądajcie, ażebyśmy dla dodatnich nawet cieniów przeszłości poświęcali w czymkolwiek nasze obecne stanowisko. Między innymi stanowisko to nasze objawia całemu światu nasze robotnicze święto 1-go Maja, i nie łudźcie się, jakobyście zdołali odwieść nas od niego dlatego, że sami nie tylko nie świętujecie, ale, co najgorsze, przeciwstawiacie nam pamiątkowe święto kapitalistycznego mieszczaństwa (...). My zaś na odwrót, nie odmawiamy nikogo od uczczenia 3-go Maja, jako historycznej pamiątki”.

Pojednawcze akcenty świadczyły, że wśród socjalistów dojrzewają narodowe aspiracje. Za kilkanaście miesięcy miały się one

ucieleśnić przez narodziny Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich.

Ale wcześniej przeszła wielka fala aresztowań, które wykrużyły II Proletariat i Związek Robotników Polskich. I odbył się pamiętny 1 Maja 1892 roku. W odezwie Leona Falskiego, tym razem wydrukowanej w Berlinie z podpisem „Socjaliści Polscy” (kryptonim świadczył o umacnianiu się tendencji narodowych), był — obok haseł klasowych — akcent patriotyczny: „Żądamy polskich szkół i polskich sądów”.

1 Maja wypadł w niedzielę. Robotnicy udali się na promenady — do Wilanowa, na Bielany — ale po południu zebrał się pochód w Alejach Ujazdowskich i pomaszerował Nowym Światem, śpiewając pieśni robotnicze. Na rogu Jerozolimskich policja zatarasowała trasę i zwinęła killkunastu demonstrantów. W sumie jednak dzień minął niemal sielankowo.

W Łodzi natomiast doszło do eksplozji, która dalece wykroczyła poza przewidywania agitatorów. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi wylało się na ulice. Zabrakło organizatorów, potrafiących uporządkować tłum, przeto policyjne wtyki zrećcznie zachęciły demonstrantów do grabienia żydowskich sklepów. Wtedy rotys wojska otworzyły ogień. Padło 217 zabitych i rannych. Nie jest znana dokładna liczba śmiertelnych ofiar, bo wiele trupów wywożono za miasto i grzebano w sekrecie. Jeden z robociarzy napisał wtenczas wiersz, kończący się strofką:

*Najeźdźniki z carskiej psiarni
Dyndać będą na latarni
Gdy nadejdzie sądny Maj
W to mi graj!*

W 1893 roku swoje istnienie po raz pierwszy zasygnalizowała Polska Partia Socjalistyczna. Niestety, 1 Maja nie wyszedł; partia dopiero organizowała swe komórki, a policja skutecznie dokonała prewencyjnych aresztowań. Zaczęto realizować inny pomysł, nieco ekscentryczny, co gorzej — podsunięty przez prowokatora. Postanowiono w dniu Wianków wypuścić na Wisłę piramidę propagandową, z drewna obciążonego czerwoną materią, z lampkami wewnątrz, z czerwonym sztandarem na czubku i napisami: „Niech żyje Polska Partia Socjalistyczna”, „Precz z rządem samowładczym”, „Niech żyje Polska rewolucyjna”.

Na przystani przy Solcu wynajęto za 4 ruble łódź, zmontowano piramidę, wypłynięto i gdy łódź znalazła się koło mostu Kierbedzia — na oczach tłumy spuszczone na wodę kunsztowną konstrukcję. Po minucie czy dwóch piramida wywróciła się, a od

brzegu już ruszały dwa wypełnione żandarmami parostatki. Trzech pasażerów aresztowano, a ich dzieło wyłowiono jako *corpus delicti*.

Nie jest pewne, czy ktokolwiek z brzegu odczytał hasła agitpiramidy. Natomiast wieść o aresztowaniu „ludzi na rzece” rozniosła się natychmiast. „Takie to już były czasy — napisał Adam Próchnik — że właśnie represje miały największe znaczenie agitacyjne”.

Z tego punktu widzenia, który nie stracił znaczenia również w czasach późniejszych, akcja się udała. Tajniacy na brzegu aresztowali ośmiu innych PPS-owców. Wkrótce lista ich przedłużyła się do 28. Faktycznie zlikwidowano całą warszawską i żyrdowską siatkę PPS, zawiązywaną od paru miesięcy. Osiemnastu skazano na osiedlenie na Syberii. Niektórych manifest cesarski uwolnił nieco wcześniej, ale Izrael Faterson oświadczył, że z łaski cara nie skorzysta.

Ta demonstracja okazała się chyba zbyt kosztowna. Organizacja warszawska PPS musiała parę lat pracować nad odbudową struktury.

W 1894 roku znowu inicjatywę przejęli studenci z „Koła” uniwersyteckiego, głównie ZET-owcy, proponując uczczenie dwóch kolejnych jubileuszy stuletnich: Raclawic i powstania Kilińskiego. Socjaliści-międzynarodowcy nie poparli pomysłu. Argumentowali, że do ludu pracującego trzeba iść z organizacją klasową, z oświatą, z żywym słowem uświadomienia społecznego, a nie z obchodami historycznymi.

W pierwszym terminie nie zdarzyło się prawie nic. Patriotyczne nabożeństwo w stulecie Raclawic zakończyło się — w kościele Świętego Krzyża — normalnym „*Ite missa est*”. Nieco podniecenia wywołała jedynie ulotka, powieszona czyjąś ręką w uniwersyteckiej gablocie. Głosiła, że: „Młodzież warszawska dla sprawiedliwości, równości i wolności walczyć i nadal gotowa”. W mdłych czasach ugodowości, gdy rdzeniem filozofii życia było „nie drażnić Rosjan, bo może być jeszcze gorzej”, nawet taka postna strawa wystarczała do ekscytacji.

We wtorek 17 kwietnia, o 10-tej rano, w katedrze św. Jana zebrał się kilkutysięczny tłum młodzieżowo-inteligencki. Po mszy celebrowanej w intencji „powrotu do zdrowia ciężko chorego dziecka” — padły okrzyki o sformowanie pochodu. Część publiczności na wszelki wypadek pośpiesznie się oddaliła. Ale ponad tysiąc ruszyło na Szeroki Dunaj, pod dom Kilińskiego i wypełniło ten niewielki plac. Wszyscy odkryli głowy, stali chwilę w milczeniu, zaczęli się rozchodzić. Jedyne kilka setek, do których

dołączyło parę grup ciekawskich rzemieślników i straganiarzy, poszło dalej — na Miodową, pod dawny pałac Igelstroma. Ale już na Podwalu, pod cyrkułem policyjnym, pochód został okrążony przez policję i wepchnięty na zamknięte podwórze. Tych, co poszli w rozsypkę, wyłapano indywidualnie i dołączono do dwóch setek zatrzymanych.

Była wśród nich także spora część tych studentów-międzynarodowców, którzy poprzedniego dnia głosowali przeciw demonstracji! Nie wytrzymali, przyszli. Stanisław Koszutski relacjonował:

„Mówiliśmy sobie w oczy, że 'przecież nie pójdziemy, niech sobie narodowcy idą sami, nie można popierać głupstw, które oni urządzają' itp., ale się pewności nie miało, czy się nie pójdzie, choć tak, aby popatrzeć, co się będzie działo. Gdy jednak przyszła chwila manifestacji, czuło się — a uczucie podobne miało wielu kolegów naszego obozu, jak gdyby coś człowieka pchało, czy ciągnęło, by pójść na manifestację (...). Dość, że gdy w dzień manifestacji około 10-tej rano do pokoju, w którym mieszkałem z Tadeuszem Rotarskim, przyrodnikiem i z 'cywilem' Franciszkiem Kuśmierkiem, zapukał kol. Wacław Czaplicki, zastał już Rotarskiego i mnie gotowymi do wyjścia. Chwilę naradzaliśmy się, czy pójść, czy nie pójść, czy to jednak nie będzie zdrada przekonani, jeśli pójdziemy, zdecydowaliśmy wreszcie, że: było — nie było, pójdziemy zobaczyć, co się dzieje”.

A na podwórzu cyrkułu, wśród ujętych w policyjnej łapance, zobaczyli wielu następnych przyjaciół...

Policja tego dnia ograniczyła się do spisania personaliów 253 zatrzymanych *zaczynszczyków*, czyli podjudzaczy. Kim byli, kim się stali w przyszłości owi wichrzyciele, nie szanujący porządku i prawa?

Bolesław Hryniewiecki, rektor UW.

Witold Abramowicz, prezydent Wilna, senator, mistrz loży masonskiej „Wierny Litwin”.

Benedykt Hertz, działacz PPS; bajkopisarz i satyryk.

Zdzisław Dębicki, pisarz i publicysta, narodowiec.

Wacław Kłoczkowski, kontradmirał.

Ryszard Kunicki, poseł z PPS.

Józef Kwiatek, dziennikarz, wybitny działacz PPS.

Leon Supiński, prezes Sądu Najwyższego i Minister Sprawiedliwości, jeden z twórców kooperatywności i masonerii.

Hieronim Mączyński, dyrektor gimnazjum.

Józef K. Potocki, naczelny *Głosu*, lider młodzieży narodowej.

Lucjan Boettcher, profesor politechniki lwowskiej.

Adolf Rondtaler, dyrektor gimnazjum Reja.

Zofia Daszyńska-Golińska, profesor ekonomii, senatorka.

Stanisław Koszutski, komunizujący ekonomista i socjolog.

Władysław Jabłonowski, krytyk literacki, senator z endecji.

Edward Słoiński, znany poeta.

Bolesław Chotomski — jedyny senior! — powstaniec styczniowy.

Poza wymienionymi było wśród zatrzymanych: czterdziestu pięciu przyszłych lekarzy, dwunastu inżynierów, dziewiętnastu prawników, po kilku farmaceutów, literatów, publicystów, nauczycieli, artystów. Większość w trzy dni później aresztowano ponownie, skazano na parę miesięcy więzienia, a następnie na paroletnie osiedlenie w centralnych guberniach Rosji.

Pogrom „kilińszczyzny” był totalny. Jej skutki zdawały się druzgocące. Przeczuwali to studenci, którzy w trakcie trzech dni policyjnej pauzy pomiędzy spisaniem a uwiecznieniem na umór zalewali się piwem (kufel 10 groszy), wyśpiewując „Gaudeamus”, „O cześć wam panowie magnaci”, tudzież „Siedziała na lipie”. Ale najsmutniej wychodziło im „Czego tęsknisz za chatą”...

Nie tracili jednak wisielczego humoru. Koszutski wspominał:

„Raz obiliśmy oblicze spotkanego w nocy na ulicy studenta-zpica (Moskala), pomimo że broniła go policja, to znów w jakiejś restauracyjce na Krakowskim Przedmieściu agitowaliśmy na rzecz rewolucji paru młodych oficerów rosyjskich, porządnie wstawionych, którzy się bardzo do nas czulili, ale z rozpaczą w głosie zapewniali: Nie, panowie, to niemożliwe... Nic się nie może zmienić na lepsze. Świat musi być zawsze taki podły, jak teraz”.

Kolegów, których stójkowi odwozili dryndami do uła, pozdrawiano z markotną fantazją: „Niedługo się zobaczymy”. Faktycznie, zgarnięto wszystkich.

Bilans paru dni euforii był żałosny.

Studenckie „Koło”, od czterech lat centrum polityczne warszawskiej młodzieży, zostało całkowicie rozbite.

W redakcji popularnego *Głosu*, sympatyzującego ze studentami, wyaresztowano wszystkich redaktorów. Marian Bohusz z kilkoma „najgroźniejszymi” znalazł się w X Pawilonie. Pismo na długo zawieszono.

Przez parę lat puls działań ZET-u i Ligi Narodowej był ledwie wyczuwalny po przetrzebieniu najlepszej kadry.

I jeszcze charakterystyczny odprysk represji: arcybiskup Popiel na dwa lata klasztoru skazał ks. Popławskiego, który ośmielił się odprawić tamto nabożeństwo „za zdrowie ciężko chorego dziecka”.

Tyle po stronie „winien” bilansu. Ale po stronie „ma” należało odnotować znacznie więcej.

Fakt, że manifestacja taka się odbyła, wstrząsnął krajem. Nawet w maleńkich Siedlcach setki osób, w tym gimnazjalna młodzież, ściągały na dworzec, przez który jechały do Rosji pociągi z „kilińszczakami”, aby wręczyć im kwiaty i pomarańcze. Represje odbiły się echem w całej Europie, od dawna skłonnej już zapomnieć o istnieniu „sprawy polskiej”. Roman Dmowski wyznał, w broszurze oceniającej manifestację, że trasa jej celowo prowadziła obok cyrkułu, by aresztowano jak najwięcej, gdyż tylko w ten sposób można było poruszyć opinię kraju i zagranicy. Była to bez wątpienia słuszna decyzja. I słusznie też Dmowski podkreślał, iż „Manifestacje nie powiększą ucisku, bo ucisk spowodowany jest słabością polityczną uciskanego społeczeństwa”.

Ważne były też skutki pośrednie. Deportowani „kilińszczacy” zaktywizowali ośrodki studenckie, polskie i rosyjskie, do których dotarli po amnestii, ogłoszonej po wstąpieniu na tron Mikołaja II: w Kijowie, Dorpacie, Charkowie. Identyczną rolę odegrali we Lwowie i zwłaszcza w Krakowie ci, co zawczasu zbiegli za kordon. Osłabili oni wpływy stańczykowskiej konserwy i lojalistycznych organizacji przykościelnych, wsparli socjalistyczny nurt Ignacego Daszyńskiego.

Bogdan Cywiński w „Rodowodach niepokornych” przypomina korzyści „kilińszczyzny”, wyliczone przez Dmowskiego: że wzór czynnego oporu przeciwko upokarzającej sytuacji przeorał mentalność i zmusił społeczeństwo do refleksji ideologicznej; że nawiązanie do tradycji roku kościuszkowskiego było lekcją historii narodowej zwłaszcza dla młodzieży oraz ludu miast i wsi; że wychowawczy sens tej akcji można streścić w maksymie: „Naród, który chce być wolnym, musi tępić w sobie moralność niewolników”.

Święta prawda. Cywiński przeoczył tylko, że narodowy obóz Dmowskiego nie od razu wyciągnął te trafne wnioski. Kiedy w listopadzie 1894 roku umarł car Aleksander III i polskim społeczeństwem zawładnęły znowu prądy konformistyczne, kiedy liczone na łaskawość nowego Imperatora, kiedy energicznie konstituowało się stronnictwo realistów, rzucając hasła wiernopoddańczej lojalności — Liga Narodowa milczała. Czekwała na rozwój wydarzeń. Tę też spodziewała się łaski z Petersburga. Czekala

pięć miesięcy. Dopiero w marcu 1895 roku potępiła ze swych schronisk za kordonem „niedorzeczność i zgubność polityki proponowanej przez stronnictwo ugody”. Natomiast ani chwili nie czekała PPS. W kilka dni po zgonie cara ogłosiła odezwę: „Mikołaj II nie znajdzie w nas pokornych dzieci, wyciągających doń błagalnie dłonie, znajdzie w nas zaciętych wrogów, przygotowujących się do śmiertelnego pojedynku”.

Autorem tej odezwy był redaktor *Robotnika*, Józef Piłsudski.

Uporczywa agitacja tego pisma stale pomnażała zastępy demonstrantów. Oto jak w jego relacji przebiegł 1 Maja 1900 roku:

„W sławną armię rosyjską wstąpił duch wojenny. Dzielni potomkowie Mongołów, Czeremisów, Mordwy i opryczników szykowali się do odważnej walki. W sobotę z muzyką i wyciem defilowały po mieście hordy cesarskie. W koszarach Litewskiego pułku słychać było salwowe wystrzały i ogień rotowy (...) było to wprawianie się do strzelania na komendę do tłumu. Po południu w bocznych ulicach i w podwórzach domów rozstawiono konne oddziały kozaków i piesze pułku Litewskiego. Około 7-mej przy pomniku Mickiewicza i kościele św. Aleksandra stanęli konni żandarmi, kozacy orenburscy i policja. W Aleje wprowadzono rotę pułku Litewskiego i sotnie kozaków, poza tym żandarmi i policja w zdwojonej ilości (...). Około godziny 5-tej przy sprzyjającej pogodzie zaczęły zjawiać się w Alejach gromadki towarzyszy i towarzyszek. Wszyscy ubrani odświętnie, czerwone krawaty rzucają się w oczy, twarze wesole, rozbawione widokiem nasrożonych pogromców. Około godziny 6-tej w Alejach, według obliczeń policji, zgromadziło się 30 tysięcy osób. Liczba inteligencji i zwykłych spacerowiczów, w porównaniu z rokiem zeszłym, zwiększyła się bardzo wyraźnie (...). Gdy pochód, wstrzymany przez piechotę, cofał się ku Placowi Trzech Krzyży, przypuścili doń szturm kozacy z nahajkami. Najwięcej dostało się zwykłym spacerowiczom. Robotnicy bronili się dobrze — kijami i kamieniami (...). Teraz na ten tłum mieszany natarł pułk Litewski z nastawionymi bagnetami, na skrzydłach wyli kozacy. Z tarasu restauracji Sans-Souci (tzw. Patelnia), dokąd przez balustradę wdarła się część uciekających, posypał się na łby żołdackie grad filizanek, szklanek, spodków (...). O godzinie 9-tej wieczorem wypuszczono z parku niańki z drobną dźwiatwą, około 10-tej wyprowadzono matki z dziećmi do lat 10, pozostałą publiczność w liczbie 3.000 otoczono kordonem piechoty i popędzono do cytadeli”.

Im więcej zamykano, tym liczniejsi przełamywali strach.

Dziewięć lat wcześniej, w stulecie Konstytucji, w tychże Alejach ledwie się zebrała setka odważnych.

Nadciągała rewolucja.

Pancerz symbolów, ostrze bojkotu

Ucieczka w mistykę symboli — twierdzą moralni puryści — to wygodne alibi dla tych, których nie stać, którzy nie mają odwagi na czyny ryzykowne. Orzełek, kwiaty przy pomniku, „Boże coś Polskę”, manifestacyjny pogrzeb patriotyczny... Od tego żadna despotia nie runie. Na to nawet, jeśli jest sprytna, przemyka oko, bo ten, kto czuje się rozgrzeszony spełnieniem aktu symbolicznego, skłonny jest jak trusia znosić nakazy autorytarnej władzy, jeszcze innych będzie zachęcać do rozsądku.

Otóż jest to pogląd ułomny, jak każdy maksymalizm żądań.

Jest ułomny szczególnie wtedy, gdy odnosi się do czasów, w których ludowa świadomość historyczna niewiele wykraczała poza legendy o rycerzach, którzy po całej Polsce spali pod górami i ruinami zamków, gotowi wstać na hasło świętej Jadwigi i ruszyć do walki wyzwoleniczej. Toż nawet w tych baśniach tkwił zarodek narodowego odrodzenia. W owych czasach każde działanie, pobudzające wyobraźnię patriotyczną — nawet zupełnie apolityczne krajoznawstwo — miało polityczny sens. Co dopiero, gdy przewodniczką była — powiedzmy — Stefania Sempołowska, która prowadziła przasných wieśniaków po Warszawie taką trasą, by każdy przystanek kojarzył się z czymś wzniośle patriotycznym. A choćby z anegdotą, która struny wyobraźni porusza nie mniej skutecznie, niżli czynią to symboliczne wartości uroczyste.

„Na Starym Mieście — pisała Sempołowska — zatrzymywaliśmy się zazwyczaj koło nie istniejącej dziś fontanny i zaczynaliśmy od trywialnego i prostego wierszyka: 'Na Starym Mieście przy wodotrysku generał Trepow dostał po pysku'”. To bardzo cieszyło kmięci — tak jak studentów spoliczkowanie Apuchtina — i było całkiem nieważne, że owo rozweselające zdarzenie miało w istocie miejsce nie na plebejskim Rynku, lecz w eleganckim Ogrodzie Saskim.

Przy Katedrze opowiadała o Konstytucji 3 Maja, na Agrykoli, przy pomniku Sobieskiego, recytowała fragment „Nocy Listopadowej”, przed obrazem Lenca „Strajk” — nuciła „Naprzód Warszawo” (odpowiadając w ten sposób na pytania zafrasowanych chłopów: czy to pijani? oni chcą kogoś bić?), a koło grobu Pięciu Poległych — snuła opowieść o tym, jak zbierało się na

Powstanie Styczniowe. Niestety, obok był grób z armatą, który bardziej przyciągał wieśniacze zainteresowanie, a kobiety należały: gdzie są groby świętych?

Na Woli, przy szańcu Sowińskiego, Sempołowska towarzyszyła raz Jakubowi Bojce — pierwszemu chłopskiemu posłowi w Galicji. „Na widok wałów, zroszonych obficie krwią obrońców wolności, Bojko rzucił się na nie, leżał rozkrzyżowany, dotykając ich głową, całował ziemię”.

Około roku 1870 nie więcej niż 30-35 % mieszkańców etnicznych ziem polskich uważało się za Polaków. Dziś narodowe uświadomienie jest pełne; ale któż określi, jak powszechna jest determinacja, by polskości bronić za wszelką cenę? Dlatego naiwne, gorszące intelektualistów ewokowanie patriotycznych uczuć przez kult symboli narodowych nadal jest potrzebne, aby wśród zalewu postaw „byle przeżyć” jak najwięcej ludzi pragnęło żyć godnie — w narodzie godność ceniącym ponad pokusy małej stabilizacji w jasyrze.

Sens główny gestów symbolicznych w tym, że ci niezliczeni, którzy je okazują, dają tym nielicznym, którzy o wspólne cele walczą — poczucie, że narodowa solidarność trwa, że należy nadstawiać głowę, bo tego potrzebują w s z y s c y. Usensowniają ich postawę heroiczną. I więcej: wierność symbolom, zachowania, będące ekspresją tej wierności, dla bardzo wielu zwykłych, niebohaterskich ludzi, są pierwszą próbą woli oporu, bo nawet gesty symboliczne zawierają margines ryzyka, wymagają przełamania bojaźni. Carska żandarmeria celowała w tropieniu takich gestów. Bała się ich. Dlatego mogiły Pięciu Poległych, świętość zniewolonej Warszawy, zostały na rozkaz władz zrównane z ziemią i zaasfaltowane. Powązki, szczególnie w dzień Zaduszek, to akademia wychowania obywatelskiego. Tam matki prowadziły swe dzieci, aby składały kwiaty, modliły się i zapamiętały. I prowadzą nadal. A ojcowie każą im czytać: kto i przez kogo został zamordowany. Takie miejsca należy zaasfaltować, ogrodzić, otoczyć kordonem, aby nie rodziły myśli buntowniczych.

Można też zmniejszyć promieniowanie takich miejsc przez nadanie im charakteru galowego. To, co zrobiono z Miejscem Straceń na stokach Cytadeli było barbarzyństwem: odebrano mu intymność. Pompatyczna oschłość tego sanktuarium, te monumentalne schody i wyrównane szeregi jednakowych krzyży, stanowią może odpowiednią oprawę ceremonii oficjalnych, ale nie pobudzają — jak niegdyś — osobistych emocji; jak niegdyś, kiedy to miejsce męczeństwa było odludnym skrawkiem skarpy, wciśniętym pod ceglany mur. Pamiętam z dzieciństwa: stały

tam szubienica, kibitka i zeschnięty kikut grubego drzewa, zdobiony przez pielgrzymów kwiatami i dewocjonaliami. Teraz nie ma śladu tych rozdzierających akcesoriów, pozostała bezosobowa solenność. Ktoś, kto zdecydował, żeby zatrzeć autentyzm katowskiego zakątka, chciał zniszczyć narodową pamięć o zbrodniach caratu.

Można by sporządzić kalendarium warszawskich pogrzebów, które znaczyły ważne momenty ruchu narodowego.

Rok 1860, 11 czerwca. Pierwszy raz od lat trzydziestu na ulicach gromadzi się wielotysięczny tłum, a w nim zorganizowane grupy młodzieży, odprowadzając na cmentarz kalwiński zwłoki generałowej Katarzyny Sowińskiej, która od bohaterskiej śmierci męża poświęciła się pomocy dla więźniów i zesłańców. W warszawskiej, cenzurowanej prasie notatki prasowe były skąpe. Za to krakowski *Czas* opisał jak słowa księdza, żegnającego wdowę po pułkowniku wojsk polskich — tłum zgłuszył krzykiem: „Nie po pułkowniku — po jenerale!”. Poprawka miała charakter manifestacji patriotycznej, bo szlify generalskie Sowiński zdobył w Powstaniu Listopadowym.

Rok 1861, 27 lutego. Pochód z krzyżami i religijnymi obrazami, czcząc 30-tą rocznicę bitwy pod Grochowem, dociera na Plac Zamkowy. Namiestnik Gorczakow, który pod Grochowem dowodził rosyjską artylerią, obserwował demonstrację z okna. Gdy ludzie zbliżyli się, skinął na kozaków; zaczęli chłostać nahajkami, szczególną furię kierując na grupę, która niosła krzyż. Połamano go. Wtedy rozwścieczony tłum obrzucił kozaków kamieniami i bryłami lodu. Wojsko oddało salwę. Pięciu osunęło się na bruk. To właśnie było tych Pięciu Poległych. W ich pogrzebie uczestniczyło sto tysięcy warszawiaków, w tym ewangelicy i Żydzi. Przyjęło się modlić przy tej mogile w Wielkim Poście, w Zielone Świątki i w Noc Świętojańską.

Echo warszawskich wydarzeń dotarło do Petersburga, poruszyło rosyjskich radykałów. W tamtejszym kościele katolickim odprawiono mszę za Pięciu Poległych, a uczestniczyli w niej również prawosławni Rosjanie, studenci i profesorowie. Oczekiwano wielkich wydarzeń, rewolucji ogólnorosyjskiej! „Dla nas, Rosjan, zupełnie niespodziewanie rozległ się śpiew hymnu polskiego — pisał Pantielejew — i wszyscy Polacy w jednej chwili padli na kolana. I trzeba było widzieć podniecony wyraz ich twarzy!”. Niestety, sprzymierzeńcy polskiego ruchu nie potrafili poderwać ludu. A nawet nie pojmowali, jakie tego ludu są prawdziwe nastroje — upajając się statystycznym faktem, że od kwietnia do grudnia 1861 roku wybuchły w Rosji 784 bunty chłopskie,

z których 499 stłumiono siłą wojskową. Toż była to kulminacja rewolucyjna, skoro w poprzednim trzydziestoleciu średnio na rok przypadało ledwie po 20 chłopskich rebelii! Radykałowie rosyjscy poddawali się nastrojom euforii, spodziewali się na wiosnę ogólnokrajowej zakierii. Już pisano odezwy i programy. Ruch potoczy się jak lawina! Carat runie! Pisał Szełgunow: „Polacy znowu myślą o oddzieleniu się od nas, nie chcą naszych rządów. Dobra to sprawa. Każdy naród powinien być wolny. Niech się wyzwalają, niech Bóg im dopomoże. Pomóżcie i wy im, bracia!”.

Ale wzniosłe apele garstki entuzjastów nie zostały wydrukowane. Nigdzie nie dotarły, ostatecznie utonęły w policyjnych archiwach. Dobre chęci to za mało, trzeba jeszcze zakładać drukarnie.

Nawet gdyby dotarły, nie miały zresztą szans, przynajmniej wtedy. Chłop rosyjski buntował się wcale nie przeciw carowi, wbrew złudzeniom inteligentów, lecz z a c a r e m, przeciwko „panom”, na rzecz których (wedle Ukazu u Reformie Włościańskiej) miał jeszcze przez dwa lata odrabiać pańszczyznę.

Doskonale duszę chłopską rozumiał Bakunin: „Lud rosyjski, jakkolwiek jest główną ofiarą caryzmu, nie stracił wiary w cara. Nieszczęście swoje przypisuje wszystkim i wszystkiemu, ziemianom, urzędnikom, popom, tylko bynajmniej nie carowi... Car to Bóg ziemski, car to ideał ludu rosyjskiego, to rodzaj Chrystusa rosyjskiego, ojciec i karmiciel ludu, przeniknięty miłością do niego, i myślą o jego dobru. Dałby dawno ludowi wszystko, co mu potrzebne — i wolność i ziemię. Lecz on sam biedak jest w niewoli: złoczyńcy bojarowie i złe czynownictwo krępują go”.

Na sygnał z Warszawy odzew wśród rosyjskich rewolucjonistów był więc w istocie słabszy, niż szelest paru liści w lesie. Zresztą ich też zamykano i zsyłano. Michał Michajłow w tobołskim więzieniu zżymał się, że sąsiedzi z cel okropnie fałszują „Jeszcze Polska nie zginęła”, pieśń, którą ukochał. Ale on należał do wyjątków, inni rychło o Polakach zapomnieli — poza Czernyszewskim, który nawet w ćwierć wieku później powtarzał, iż naród rosyjski nic nie straci, jeśli odpadnie Królestwo Polskie.

On jeden bodaj — na sto milionów.

Na Zachodzie wsłuchiwano się w słowa Czernyszewskiego. Liberałowie prognozowali, że już-już Rosja ruszy się, przyskoczy do wolnego świata. Tylko trochę, a runie system opresji.

Solidarność obrońców praw człowieka była w XIX wieku nad podziw na Zachodzie rozwinięta. W literackich salonach ubolewano nad tymi, których zsyłano na Sybir albo trzymano w turmach. Pisały o nich demokratyczne gazety. Posłowie składali

interpelacje. Ale czytelnicy studiowali notowania giełdowe i rubryki aktualnej mody.

W sześć tygodni po pierwszym strzelaniu w Warszawie, 8 kwietnia, znowu na Placu Zamkowym gęstnieje cizba, choć wydano „Ustawę o zbiegowiskach”, zakazującą wszelkich zgromadzeń pod groźbą użycia broni. Po pierwszej salwie ludzie padli na kolana nad trupami i śpiewali pieśni patriotyczne. Druga salwa. Ponad stu zabitych, w tym wiele kobiet. Niektóre ciała żołdacy wrzucili do Wisły, rannych wydzierano im z rąk. I znów manifestacyjne pogrzeby — a cała Warszawa oblekła się w kir. Czarne suknie, co najwyżej popielate, obszywane czarnymi lampasami, czamary i rogatywki mężczyzn były odpowiedzią na terror — i terror wzmogły, gdyż policja zaczęła aresztować żałobników, zrywać damom brosze w kształcie cierniowej korony, bransolety stylizowane na kajdany, emaliowane czarne obrączki ze srebrnym orzełkiem, krzyże na czarnej aksamitce i inne „provokacyjne oznaki”. Rosyjski historyk Berg odnotował: „Nawet lalki w ręku dziewczątek ubrane żałobnie”.

Tylko ludzie majątni, wyższych stanów, reagowali inaczej. Pakowali sakwojaże, spieniężali majątki i dorabiając sobie wzniosłe motywacje tłumnie wybierali się na długi do Paryża lub Londynu. Było to zadziwiająco łatwe, w rozbiorowych czasach nie narzekano na restrykcje paszportowe. *Tygodnik Ilustrowany* piętnował małodusznych wierszem:

*Pędź, niewdzięczny, lotem strzały
Tam, gdzie wieczne są upały,
Tam, gdzie wieczny kwitnie maj —
Mnie niech zimno krew tu zetnie,
Nie uleczę w strony letnie,
Bo mi miłszy ojców kraj.*

Po kwietniowej masakrze powstanie wisiało w powietrzu. Rozprzestrzeniła się siatka konspiracji. Po dworach i wioskach rozjeżdżali się emisariusze. W Warszawie coraz gęściejsze tłumy wypełniały kościoły. Zbierano pieniądze na cele narodowe i śpiewano pieśni. Tak samo w Wilnie. Wystarczyło, że raz kilkunastu śmiazków zaintonowało „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!” — i od tego momentu dzień w dzień pod Ostrą Bramą gromadziły się patriotyczne tłumy.

Margrabia Wielopolski ostrzegł arcybiskupa Antoniego Fijałkowskiego, że namiestnik nie życzy sobie tych śpiewów, a szczególnie „Boże coś Polskę”. Ta pieśń była zrazu hymnem wierno-

poddańczym na cześć Aleksandra I, ale — pisał Wielopolski — „od pewnego czasu zgromadzony lud z poduszczeń źle myślących śpiewa w kościołach, dodając strofy, których treść wymierzona przeciw rządowi i umysły podburza”. Arcybiskup odpowiedział, że przed 1830 rokiem pieśń tę śpiewano w dni galowe i dworskie, orkiestry wojskowe grały ją podczas mszy, lecz istotnie, w obecnych czasach lud śpiewa ją z pewnymi zmianami, wyrażając „swą boleśń i rozdrażnienie”.

Śpiewano nadal. I dodano jeszcze chorał „Z dymem pożarów”.

Arcybiskup Fijałkowski wkrótce zmarł. Odprowadziło go sto tysięcy wiernych, niosąc symboliczne insygnia królewskie, należne Mu jako monarsze na czas rozbiorowego *interregnum*, oraz sztandary z Orłem i Pogonią, zdobione trójkolorowymi szarfami francuskiej rewolucji! Wzbudziło to gniew cara, wyrażony w telegramie do warszawskiego namiestnika.

Dni biegły teraz gwałtownym rytmem.

15 października 1861. Nazajutrz po ogłoszeniu stanu wojennego w Warszawie — w rocznicę śmierci Kościuszki — kolejna wielka manifestacja. Wojsko dostało rozkaz stanowczej rozprawy z „elementami buntowniczymi”, które w osaczonych kościołach pozostały na noc. Nad ranem żołnierze wtargnęli do Katedry i Bernardynów. Trzy tysiące aresztowanych. Na profanację świątyń duchowieństwo odpowiedziało zamknięciem wszystkich kościołów, a w imię solidarności to samo uczynili zwierzchnicy ewangelickich zborów i żydowskich synagog.

Wybuchło powstanie. A później kilkunastoletnia cisza nad grobami, obezwładniająca niewiara i normalizacja.

Odkąd w Kongresówce rozwinął się ruch robotniczy, pogrzeby (religijne, rzecz jasna) stały się wyrazem jego konsolidacji emocjonalnej. Takie pogrzeby-manifestacje były w obyczajowości robotniczej czymś zupełnie nowym; szewca Karasińskiego z Tomaszowa już w 1885 roku żegnano pieśnią z refrenem „Niech żyją socjaliści!”, co się jednak na pogrzebach nie przyjęło, oraz stypą — co się przyjęło.

Pogrzebowe obrzędy również dlatego stały się powszechnym środkiem patriotycznej ekspresji, że były dość bezpieczne. Żandarmi czuwali, szpicle szpiclowali, ale rzadkością były brutalne interwencje wobec żałobników. Majestat śmierci szanowano; pogrzeby stanowiły i stanowią rodzaj enklawy „niesłużnych”, lecz tolerowanych zachowań opozycyjnych. Wobec uczestników pogrzebów zdarzały się wprawdzie policyjne szykany, lecz miały one

raczej charakter ostrzegawczy, gdyż brakowało dowodów rzeczowych nieprawomyślnej postawy, a sądy za caratu skrupulatnie takowych wymagały. Zeznania szpiclów, by ich nie spalić, rezerwowano do spraw poważniejszych. Nawet gdy już wynaleziono aparaty fotograficzne, agentom trudno było nimi skrycie operować, miały bowiem format niedużej armaty — a żeby zdjęcie wyszło ostro, należało poprosić obiekt, aby na chwilę znie ruchomiął. Dopiero miniaturyzacja sprzętu i szybka migawka wielce ułatwiły policji identyfikację osób o skłonnościach antypaństwowych oraz zakładanie archiwów fotograficznych.

Z czasem jednak i względem żałobników zaostrożono kurs. W 1900 roku chowano na Bródnie socjalistycznego działacza Węgrzynowicza. Kozacy z cmentarnych alejek zgarnęli 250 osób; czekały ich deportacje i bicie w cyrkułach. Wielu wysadzono z aresztanckich wagonów na podwarszawskich stacjach, gdzie stójkowi znów pakowali ich za kraty.

Większej odwagi, niż towarzyszenie trumnie, wymagało demonstrowanie przywiązania do znaków narodowych, choćby zminiaturyzowanych. Tu się nie można było wykpić nabożnością, pragnieniem wyświadczenia ostatniej posługi. Orzeł Biały zawsze był jawną demonstracją; jako symbol znany bez mała od tysiąclecia znacznie wyraźniej i powszechniej kojarzył się z Polską, niż barwy biało-czerwone, które dopiero od 1831 roku stały się oficjalną flagą. A powstanie trwało krótko, większość Polaków ze wsi i małych miast nigdy nie ujrzała narodowych sztandarów. Czerwień i biel jeszcze nie zrosły się z polskością. Podczas demonstracji i walk powstańczych często posługiwano się trójkolorowymi kokardami Rewolucji Francuskiej; także kokardy białe uchodziły za narodowe, a kolor czerwony chętnie zamieniano na amarantowy. Orzeł Biały natomiast nawet w prostych sercach wywoływał jednoznaczną reakcję, choć jego rysunek w XIX wieku miał niezliczone warianty, niektóre do gęsi podobne. Walnie do jego popularyzacji przyczynili się zaborcy, gdyż zajmując polskie miasta przede wszystkim zastępowali go czarnym — pruskim lub rosyjskim dwugłowym. Ktokolwiek to widział, nawet najciemniejszy kmiotek, rozumiał co znaczą te zmiany, przeto natychmiast rósł autorytet Godła Narodowego, a obce znaki stawały się nienawistne. Lud z większą zaciekłością gnębił te znaki, niż zaborców, którzy je powiesili — o czym zachowały się niezliczone przekazy w pamiętnikach i raportach policyjnych. Po wsiach zrywano dwugłowce z chałup sołtysów, zamazywano je na słupkach drogowych. Rewanżując się, *Warszawskiej Dniewnik* apelował, budząc furję Polaków: „Opamiętajcie się bracia! Nie wskrzeszajcie krwawych

mar! Niechaj wasz orzeł pod orłem dwugłowym spokojnie spocznie z odartymi skrzydły!”.

Orzeł Biały był znakiem świętym. Nosił go, choćby na spinakach koszuli, każdy patriota. Bronisław Szwarce, członek centralnych władz obozu Czerwonych, opisywał, z jaką wściekłością wydarto mu takie spinki — z Orłem i Pogonią — zaraz po aresztowaniu. Czujność zaborców obejmowała też... orlice. Cenzor Trofimowicz w całości przekreślił pierwsze oddane do druku opowiadanie Zofii Nałkowskiej „Biała orlica” (to paskudny ptak — skonstatował — *eto skwiernaja ptica*), sugerując autorce, by zmieniła tytuł na „Biała kaczka”, na przykład. Dopiero po długich targach przystał na „orlicę”, dając do zrozumienia, że spełnia akt wyjątkowej tolerancji.

O ile Orzeł Biały był wśród Polaków bezdyskusyjny — o tyle jego korona już w czasach Wielkiej Emigracji poróżniła demokratów z obozem zachowawczym. Nie należy sądzić, by ten spór wyczerpał się kiedykolwiek, gdyż spełnia funkcję zastępczą. Skoro nie można otwarcie dyskutować o treści, polemiczne pasje koncentrują się na formie.

Jednoczącym symbolem polskości był oczywiście Kraków, zwłaszcza u szyłku XIX wieku, gdy Galicja korzystała już z szerokiej autonomii. „Kraków był dla nas pokrzepieniem” — pisali Królewiaczy. — „To był prawdziwy szok, wszędzie polska mowa, wszędzie ślady królewskiej naszej przeszłości”. Ktokolwiek z Kongresówki czy Kresów, z Poznańskiego i Śląska przybywał pod Wawel — a szczególnie w dniach uroczystych, na przykład na sprowadzenie prochów Mickiewicza w 1890 roku — przeżywał mistyczne uniesienie. Wawel był najmocniejszym sygnałem, kwintesencją symbolu. Dzwon Zygmunta opiewano w piosenkach. Tłumnie, żeby go obejrzyć, przyjeżdżał roboczy lud górnośląski. Rynek, kościół Mariacki (hejnał!), Sukiennice, Lajkonik, Kopiec Wandy, co nie chciała Niemca i Kościuszki, co kosami posiekał ruskie armaty... W pamiątkach, w piosenkach i klechdach ludowych, motywy te przewijają się ustawicznie. Cóż, że po tysiakkroć chrzczono Kraków banalnym „Serce Polski”, skoro tak właśnie odczuwały to masy.

Jeszcze bardziej znanym symbolem, w każdym razie dla wieśniaków, była Jasna Góra, sławiona przez częstochowskich dzia-dów. „Królowa Korony Polskiej” nie kojarzyła się (przynajmniej przed „Potopem”, superszlagierem XIX wieku) z żadnym konkretem historycznym; śluby Jana Kazimierza były zdarzeniem nieznanym. Ale to nie miało znaczenia, wystarczył sam mit czegoś nieobjęcie wielkiego i najświętszego ze świętych, aby do Częs-

tochowy ciągnęli pielgrzymi nawet z tych dzielnic, które miały własne ukochane Opiekunki — Matki Boskie Ostrobramską, Leżajską czy Piekarską. Pątnicy ci byli tak bezczelni, że łamali zakaz generał-gubernatora Podgorodnikowa i śpiewali „Serdeczna Matko!” na nutę „Boże coś Polskę” — czemu należało przeciwdziałać policyjnie. Katolikom-intelektualistom, którzy fenomen kultu maryjnego odbierają jako niesmaczną dewocję, a nie religijną formę patriotycznej ekspresji, należy odpowiedzieć herbową dewizą brytyjską *Honni soit qui mal y pense*. Niech się wstydzi, kto źle o tym myśli...

Spośród bohaterów narodowych, a ściślej — ludowych, prymat Kościuszki był niezachwiany. Jego wizerunki i gipsowe, jarmarczne popiersia krążyły po wszystkich zaborach, także wśród emigrantów w Ameryce i Westfalii. Nie skutkował kategoryczny zakaz handlu portretami Kościuszki, wydany w 1896 roku przez gubernatora hr. Szuwałowa. Wszędzie śpiewano o nim piosenki, snuto baśniowe opowieści. W wielu okolicach kult Kościuszki nabrał charakteru religijnego. Feliks Kon (późniejszy komunista sowiecki) wspominał, że w jego rodzinnym Płocku portret Kościuszki, przemycony z Galicji, był większą świętością, niż święte obrazy. Sztuka Anczyca „Kościuszko pod Raclawicami” stale obiegała scenki amatorskie, a w 1913 (!) roku we Lwowie dokonano jej ekranizacji — z kiepskim zresztą efektem. Jedynie esdecy obwiniali Kościuszkę (przypomniął Andrzej Strug), że dla pożytku szlachty przelewał krew proletariussy pańszczyźnianych.

Daleko za Naczelnikiem sytuował się Jan III Sobieski *al pari* z Janem Kilińskim, później szli gen. Sowiński, Bartosz Głowacki i ks. Józef Poniatowski. Po Powstaniu Styczniowym na poczesne miejsce wysunął się Traugutt, którego egzekucji 30 tysięcy zrozpaczonych warszawiaków towarzyszyło na kłęczkach. Jeśli Kościół zaliczy go do grona błogosławionych, kult patriotyczny wzmacni się aureolą religijną.

(Szubienica, *nota bene*, stała się w masach plebejskich symbolem o podwójnym wydźwięku: przypominała narodową martyrologię, lecz także kojarzyła się z postaciami zdradzieckimi, przeto nagminnie rysowano ją na domach ludzi, wysługujących się zaborcy).

Ani Jagiełło, ani Batory, ani żaden z Piastów — nawet Chrobry i „chłopski” Kazimierz Wielki — nie pobudzali ludowej fantazji, prawie nie było ich w plebejskiej ikonografii. Oddalenie w czasie, czy analfabetyzm mas osnuwały ich sylwetki zapomnieniem? Dopiero „Grottger i Matejko nauczyli nas przez dzieła swoje patrzeć na przeszłość ojczyzny i odczuwać tę przeszłość” —

pisał Zdzisław Dębicki. — „Czyliż bowiem możemy wyobrazić sobie Stańczyka, Skargę, Batorego, Rejtana inaczej, niż ich przedstawił genialny pędzel autora Bitwy pod Grunwaldem, lub inny mieć przed oczyma typ powstańca, niż ten, jaki przekazał nam w dantejskiej wizji Polonii i Lithuanii — Grottger?”.

Tak, to oni stworzyli legendę wokół tych postaci: Rejtana — prekursora *no pasaran*, dumnego Batorego, przyjmującego pokłony Rosjan, triumfującego Witolda, natchnionego Skargi. Grottger zaś szczególnie mocno ewokował niedawne wspomnienia narodowej determinacji i męczeństwa. Ale nawet oni nieprędko przedostali się „w lud”. Nadto na Grottgera reakcje nie były jednoznaczne. „Kucie kos” stało się wprawdzie mitem obiegowym, lecz spierano się przez dziesięciolecia, czy to lud zawiódł w powstaniu, zwabiony przez cara zniesieniem pańszczyzny, czy też zawiedli arystokratyczni szubrawcy, co właśnie o ten akt mieli pretensję do cara i szczuli psami szukających schronienia powstańców, jako winnych ogłoszenia aktu uwłaszczeniowego? W rodzinnych sprzeczkach dojrzywał zasadniczy dylemat: klasowość czy solidaryzm może wskrziesić Polskę?

Gdy wybuchła pierwsza światowa, w wielu dobrych domach Kongresówki przeżywano rozterki. Zdejmovano reprodukcje „Grunwaldu”, ażeby nie prowokować Niemców, którzy bombardowali Kalisz i szli na Warszawę. Eksponowano natomiast „Rejtana”. Ale po kilku tygodniach nastąpiła rosyjska kontrofensywa, więc „Grunwald” powracał do salonu.

W dusze ludu wsiąkały najprędzej obrazy-idee z popularnej szmiry podsuwanej chytrze przez „Siłaczki” albo sprzedawanej na odpustach. Kościuszko w białej sukmanie był ciągle najpospolitszym motywem. Ale i to zaczęło działać na świadomość wieśniaczą (i świeżych proletariuszy) dopiero na przełomie XIX i XX wieku. Poprzednio galicyjscy chłopcy — wedle wspomnień Witosa — mieli w głowach zupełny zamęt: „... dość dużo mówiono o królu Sobieskim, trochę o Kazimierzu Wielkim. Gdy Sobieskiego miano za króla szlachciców, tamtemu zarzucano, że sprowadził Żydów do Polski i sam się ożenił z jakąś Żydówką i to jeszcze niechrzczoną. Trochę wiedziano o czasach saskich i królu Poniatowskim, co Polskę sprzedał jakiejś carowej, Kościuszko był uważany za zbrodniarza, buntującego się przeciw władzy przez Boga ustanowionej, który za to poniósł ciężką karę”.

To jednak był chyba *casus* wyjątkowy. W innych wsiach słyszano przynajmniej, że Kościuszko pobił Ruskich pod Racławicami, a wszystko, co miał, rozdał biednym. Jak Janosik. Oj trudno było rozsądzić to sprawiedliwie chłopską głową: Kościusz-

ko dobry był, ale przecież i „cysorz”, z którym Kościuszko walczył, był dobry. To który był lepszy?

W 1898 roku wokół symbolu — pomnika Adama Mickiewicza — rozegrała się ostra batalia polityczna w kwadracie czterech sił: władz zaborczych — stronnictwa ugody — narodowców — socjalistów.

Dwie pierwsze działały w sojuszu. Ich celem było pokazanie, że możliwe jest pogodzenie polskiego patriotyzmu z lojalnością wobec rosyjskiej władzy. Pomnik, ufundowany przez społeczeństwo i odsłonięty z wielką pompą, miał się stać węzłem zgody.

Gubernator ks. Imertyński był bardzo rad, że tak niewielką ceną spłaci się „wierne i wdzięczne” społeczeństwo za wspiane przyjęcie, jakie zgotowało w Warszawie Mikołajowi II. Ale w trakcie publicznej zbiórki na pomnik Imertyński stracił humor, bo z całego kraju zaczęły wpływać składki od włościan i robotników, nawet groszowe. Niepokojąca była ta statystyka ofiarodawców, swoisty sondaż opinii publicznej: średnio na każdych 1.000 wpłat — 799 pochodziło od warstw najuboższych, 199 od średnio zamożnych, a 2 od ludzi majątnych. Mickiewicz trafił jednak pod strzechy. Trzeba było przyhamować popularność „niebezpiecznego patrioty”. Gazetom polecono pisać jak najmniej o jubileuszu. Z wystaw sklepowych usuwano portrety wieszczka. Fotki grup uczniowskich na tle rysunku pomnika i z cytatami z „Ody do młodości” — skonfiskowano, fotografów obłożono grzywnami, uczniom zmniejszono stopnie ze sprawowania. W rocznicę śmierci poety zakazano mszy żałobnej, albowiem „nie ma on w Warszawie bliższej rodziny”.

Ugodowcy kontynuowali jednak przygotowania. Program obchodów przewidywał dwie mowy: obojętną politycznie i sławiącą cara. Organizowano straż obywatelską i 30 tysięcy biletów, uprawniających do wejścia w obręb kordonu wojska.

Narodowcy przyłączyli się do ugodowców, lecz z inną intencją. Uważali, że niezależnie od rachub zaborców i lojalistów pomnik stanie się trwałym symbolem, ośmieli ludzi do bardziej energicznych starań o język polski w szkole i urzędach, potem o polską szkołę, o autonomię; że będzie to kamień milowy na drodze ku polonizacji Kongresówki, za który warto zapłacić chwilowym kompromisem. Zbudowanie pomnika temu, którego utwory są kreślone albo wstrzymywane przez cenzurę — argumentowano — będzie mimo wszystko sukcesem Polaków.

Organ endecji *Przegląd Wszechpolski* pisał: „Nam zależy na tem, żeby obchód wypadł jak najuroczyściej i żeby jak najbardziej odpowiadał znaczeniu Mickiewicza dla narodu, rząd zaś

chciałby, żeby dzień 24 grudnia przeszedł niepostrzeżenie, nade wszystko zaś nienawistnym mu jest udział chłopów w uroczystości...”.

Stanowisko PPS, wyrażane w *Robotniku* (przeważnie piórem Piłsudskiego) było odmienne — i zmieniało się. PPS apelowała zrazu, by robotnicy stawili się z rodzinami i nie dopuścili do pohańbienia pamięci wieszca, gdyby „rząd zechciał połączyć carostwie z obchodem”, gdyby uroczystość miała się zamienić „w urzędowy akt pohańbienia takiego Mickiewicza, jakiego ukochał cały lud polski”.

Dyrektywa brzmiała: pójść masowo i natychmiast protestować, jeśli odsłonięcie pomnika będzie miało charakter manifestacji lojalności.

Ale rząd podjął środki zapobiegawcze, by zminimalizować skalę uroczystości. Wójtom polecono nie wystawiać paszportów chłopom, pragnącym udać się na 24 grudnia do Warszawy. Cenzura zmasakrowała oczekiwaną mowę Sienkiewicza, ażeby nie podniósł temperatury emocji. Liczbę oficjalnych biletów zredukowano do 10.000. Rozwiązano „straż obywatelską”, powierzając policji utrzymanie porządku. Fabrykantom nakazano, aby w godzinie odsłonięcia pomnika odbywały się wypłaty dla robotników, szkołom — aby młodzież nie szwendała się przy uroczystości. Liczne formacje wojskowe już w przeddzień przeciągały z bębniami po ulicach, demonstrując siłę i stanowczość.

W takich warunkach PPS zmieniła dyrektywy, nakazała bojkot uroczystości urzędowych i wezwała warszawiaków, by gromadzili się „w innym miejscu, które w osobnym zawiadomieniu oznaczymy”.

Manifestacja miała się więc odbyć równocześnie, lecz osobno — co stało się prawzorem patriotycznych wystąpień także w późniejszych latach, aż po ostatnie. W ten sposób — apelował Piłsudski — „Nie naród stanie przed pomnikiem Mickiewicza w chwili, gdy odsłonią jego spiżowe oblicze, ale 'rodacy' z biletami carskiego pozwolenia, patriotyczni chleracy”. Natomiast lud robotniczy „... nie zniesie w milczeniu tej zniewagi, nie da sobie ukraść Mickiewicza. Uroczystość mickiewiczowska nie może być pokojowa, ale musi być przeciw rządowa, jak przeciw rządowym jest duch Mickiewicza”.

Identyczne stanowisko zajął Żeromski. W jego mieszkaniu odbyły się tajne zebrania radykalnej inteligencji, która postanowiła dołączyć do pochodu robotniczego.

24 grudnia o 10-tej rano na oczach lojalistów z biletami („... przy stosunkowo niewielkim napływie publiczności” — jak

napisała *Gazeta Warszawska*) opadły zasłony z pomnika. Z małej estrady patrzyli na to ksiądz arcybiskup z asystencją, dostojni goście, przedstawiciele literatury i sztuki. Wyloty Trębackiej i Koziej obsadzili kozacy, kordon wojska strzegł by nie ruszyły się tłumy, śledzące ceremonię z oddali. Kilku grupom młodzieży, zebranej ukradkiem w kościołach św. Anny i Karmelitów, udało się zniecka otoczyć ogrodzenie pomnika. Jednocześnie z Jeruzolimskich ruszył kontrpochód robotniczy. Kozacy rozproszyli go przy Brackiej, ale kilka grup parusetosobowych zdołało jednak przedrzeć się do pomnika i dwukrotnie odśpiewało „Czerwony Sztandar”. Zdecydowanie stronników PPS sprawiło, że komitet obywatelski zrezygnował z wiernopoddańczych mów. Odsłonięcie odbyło się w wymownym milczeniu. Orkiestra odegrała jedynie modlitwę z „Halki”, chór „Lutnia” zaśpiewał „Słowiczku mój”, publiczność odkryła głowy. Wszystko trwało 15 minut. A na obrzeżach robotnicy przepychali się z kozakami, którym tego dnia nakazano nie siekać nahajkami i składali kwiaty, gałązki jedliny i jemioly, darmo rozdawane „dla pana Mickiewicza” przez staromiejskie przekupki.

Tak się zakończyła epicka część narodowej dyskusji wokół pomnika: nie doszło do symbolicznego pojednania pod berłem cara.

Potem nastąpiła część humorystyczna. Czołową rolę odegrał w niej Bolesław Prus, który notorycznie nie rozumiał psychologii narodu ani prawideł walki politycznej. Szlachetny pisarz rozwodził się, że pomnik jest kiepski, bo „nasza sztuka rzeźbiarska znajduje się jeszcze w powijakach”, a zwłaszcza utyskiwał, iż zebrane pieniądze lepiej byłoby poświęcić na kolonie letnie dla warszawskich dzieci, Mickiewicza fetując w ostateczności skromnym wizerunkiem w filharmonii. „Narody stawiają pomniki sobie, nie zaś zasłużonym mężom, których pomnik ani ziębi ani grzeje — perswadował z naiwną prostotą. — A jeżeli naród robi coś dla siebie, to rzecz prosta, że powinien odnieść z tego największy pożytek”.

Wizja organiczników jest zawsze spłaszczona, ich myślowy horyzont sięga nie dalej, niż perspektywa żaby. Prus ani w ząb nie mógł pojąć tego, co doskonale rozumiał Żeromski, a Józef Grabiec-Dąbrowski ujął dosadnie: odsłonięcie tego pomnika było momentem zwrotnym w dziejach życia politycznego ostatnich lat niewoli.

Od tamtej pory narodowcy byli coraz bardziej ugodowi, zaś socjaliści coraz bardziej narodowi.

Symboliczna i mitotwórcza rola pomników — oraz ich nie-

zliczone przygody, z których każda może być kanwą barwnej opowieści — to tak rozległy obszar dziejów świadomości narodowej, że zasługuje na monografię. Albo na wielki reportaż. Jak do tej pory, nikt nie wyszedł poza przyczynki i smaczne anegdoty (także Władysław L. Karwacki, ze szkicu którego zaczerpnąłem kilka informacji). Twórcy wysokiej rangi nie lubią mozolnej kwerendy archiwalnej. Szkoda. Przecież ruch ludowy w Galicji wyszedł na narodową widownię w tym dniu, gdy w Tarnobrzegu odsłonięto pomnik Bartosza Głowackiego, ufundowany z wieśniaczych składek — i po raz pierwszy z tysięcy chłopskich piersi gruchnęło: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei!”. A Lwów wziął na siebie rolę galicyjskiej stolicy irredenty od 1904 roku, w którym Władysław Mickiewicz odsłonił pomnik Ojca. Śpiewano tam wspólnym chórem „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Szcze ne wmerła Ukrajina” — a później pod konsulatem rosyjskim razem wołano „Precz z caratem”. Ten załazek pojednania miał miejsce, rzecz ciekawa, zaledwie w rok po eksplozji chłopskich strajków ukraińskich, pod hasłami wrogimi „lachom i panom”.

Całe *story* można napisać o krakowskich manifestacjach mickiewiczowskich. Pierwszy skandal, przy sprowadzaniu zwłok, już na cmentarzu Montmorency: akademik Bocheński, łamiąc ceremoniał, któremu przydywował ks. Czartoryski, zawołał nad grobem: „Niech wraca do ziemi nędzy i niewoli, gdzie prochy jego będą o pomstę sponiewieranych praw narodu wołać!” — co wzbudziło niesmak arystokracji. W Krakowie namiestnik Michał Bobrzyński poczuł się zmuszony rozwiązać młodzieżowy komitet za „nielojalne postępowanie”. W 1898 roku inny młodzian, Emil Bobrowski, popsuł nobliwą uroczystość przy pomniku, bo wygłosił z podium niecenzurowaną mowę, po której w całej Galicji Zachodniej ogłoszono stan wyjątkowy. Nie dopuszczono też do pomnika deputacji chłopskich, które przywiozły 56 wieńców „tak wielkich, że byłyby w stanie ławy ministrów razem z ministrami i ich prezydentem całkiem przykryć” — jako rzekł w wiedeńskim parlamencie Daszyński, zakładając protest przeciw restrykcjom. Onże w 1906 roku osobiście spalił pod Mickiewiczem portret cara, czcząc w ten sposób pamięć straconych przed 20 laty proletariatchyków.

Gorzej w Krakowie wiodło się Słowackiemu. Kardynał Puzyrna odmówił komitetowi obywatelskiemu, choć był w nim marszałek sejmu Stanisław Badeni i prezydent Krakowa Juliusz Leo, zgody na złożenie zwłok Słowackiego na Wawelu. Nie pozwalam! — oznajmił krótko, co w 1909 roku wywołało protesty studentów i uliczne walki z policją.

Uwielbieniu jednych pomników towarzyszyła awersja wobec tych, które postawili zaborcy. Utożsamiano je z wrażą przemocą, zatem czynem patriotycznym było ich hańbienie. Pod Ostrołęką, gdzie na polach bitwy Rosjanie wzniesli triumfalny monument, chłopci konsekwentnie pluli w jego stronę. Mieczysław Niedziałkowski wspominał głęboki wstyd jaki przeżył, gdy jako trzynastolatek oglądał w Wilnie odsłonięcie pomnika carycy Katarzyny II. W Częstochowie, pod pomnikiem Aleksandra II, robotnicy robili antycarskie burdy i układali obelżywe przyśpiewki. To samo w Warszawie spotkało posąg generała Paskiewicza, jej gnębiela:

*Na Krakowskim Przedmieściu pod czterema lwami,
Leży zdrajca Paskiewicz obdarzony wszami.*

Werbalne znęcanie się nad obcymi pomnikami sprawiało ludziom wyraźną satysfakcję; trudno by znaleźć choć jeden, na który nie układano paszkwilanckich strofok. Ale pełną radość sprawiało dopiero ich rozbijanie bombami, a choćby schlapywanie farbą — antypomnikowy terrorizm, który dotknął chyba wszystkie dzieła rzeźbiarskie, symbolizujące triumfy caratu. Zamach na pomnik Murawiewa w Wilnie — nieudany zresztą — organizował osobiście Piłsudski. Cerkiew reprezentacyjną, pomnik rusyfikacji wzniesiony na Placu Saskim, ciągle bezczeszczono obscenicznymi napisami, które policja z równą gorliwością zamazywała. Podobne tradycje trwają w Warszawie.

Także zaborcy notorycznie stosowali hańbienie symboli, drogich Polakom. Austriacy przekształcili królewskie apartamenty na Wawelu w żołnierski szpital syfilityczny.

Rzecz jasna, oprócz znieważania pomników szeroko stosowano bojkot towarzyski, ostracyzm, akty obelżywe przeciw niewiernym Polakom oraz nadgorliwym zaborcom.

Najsłynniejszym wydarzeniem tego typu była w 1897 roku „murawiewszczyzna”. Sześciu rosyjskich profesorów, wśród nich serdecznie znienawidzeni historyk Filewicz i fizyk Ziłow, wysłało w imieniu warszawskiego uniwersytetu depezę do Wilna, z okazji rozpoczęcia budowy pomnika kata Litwy — Murawiewa „Wieszatiela”. Tego młodzież nie mogła przepuścić. Krewcy pepesiacy proponowali obić całą szóstkę, lecz studenckie „Koło” — ledwie odrodzone po „kilińszczyźnie” — wyhamowało ich. Poprzez stano na ostrej odezwie. Ale i ona podniosła temperaturę. Najpierw wygwizdano Filewicza, a nazajutrz w Ziłowa rzucono kaloszem. Gdy nie zszedł z katedry — ktoś oznał się: „A gdzie kalosz od pary?”. Ziłow nie wytrzymał, uciął. Tym, co rzucił

i zapytał, był Przemysław Rudzki, syn powstańca. Wyrzucono go i paru innych (w tym Stanisława Brzozowskiego) z uniwersytetu; skończył medycynę w Pradze, został wybitnym lekarzem zdrojowym, zasłużonym dla Ciechocinka, działaczem PPS i masonerii.

Ostracyzm bił w różne typy zachowań. Studenci bojkotowali prof. Tadeusza Wierzbowskiego, który historię literatury polskiej podjął się wykładać po rosyjsku. Pogarda otaczała „pierekieńczyków”, to jest Polaków, którzy dla kariery przeszli na prawosławie: opluwano ich i okładano kaloszami (kalosze były wtedy ogólnie dostępne). Tym, co w dniach powagi narodowej urządzali huczne bale („herbatki tańczące” były dopuszczalne), młodzież narodowa zanosila trumny. We Lwowie tajna organizacja studencka „Organizacja” zastosowała środki bardziej drastyczne: substancje wymiotne, którymi zatrutowano wiktuały dostarczane na bale i zabawy. Gospodarze raz zarzyganych mieszkań redukowali życie towarzyskie. Panie, którym uprzykrzyły się stroje popielato-czarne, ostrzegano ulotkami, że będą ogłaszane ich nazwiska, jako lekceważących obowiązki patriotyczne. Nieposłusznym opryskiwano zalazajerem barwne krynoliny, zrywano tafty i tiule. Król warszawskich reporterów Antoni Skrzynecki wylan-sował w *Kurierku* modę na „podwieczorki wełniane” (wspartą też przez Prusa), która — nawiązując do dwudziestolecia klęski Powstania Styczniowego — była w istocie... kampanią reklamową krajowych producentów i kupców wełnianych, zagrożonych lansowaną akurat przez Paryż modą „jedwabną”. Udało się w pełni. Postromantyczna symbolika towarzyskich zachowań dopomogła pozytywistycznym kupcom w upłynnieniu remanentów tekstylnych, bo wszystkie panie paradowały w wełenkach, okazując patriotyzm.

Wyższym progiem były manifestacje w kawiarniach. Jeśli jakiś chwata zamówił „Mazurka Dąbrowskiego”, patrzono nań z podziwem; ale kto się ulatniał — był skompromitowany z kretesem.

W dobrym towarzystwie znieważenie kolaborantów lub ugodowców często kończyło się na ubitej ziemi, o ile sekundanci nie potrafili znaleźć innego wyjścia honorowego. Anatemą obłożono antysemityczne pisma *Rola* i *Przegląd Katolicki*, które zadenuncjowały czytelnie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności jako „rozsadniki ateizmu”; władze na tej podstawie zamknęły czytelnie i dokonały aresztowań. Władysław Weryho, który przez zapomnienie dał do tych pism ogłoszenia, został ciężko obrażony

przez Wacława Sieroszewskiego, co omal nie doprowadziło do pojedynku i długo było sensacją Warszawy.

Osobliwy bojkot popularnego *Gońca Porannego i Wieczornego* zdarzył się w rewolucyjnym roku 1905. Ażeby przełamać strajk gazeciarzy, nastoletnich urwisów, którzy domagali się podwyżki (2 grosze na setce egzemplarzy!), administracja pisma zawiadomiła policję o „zbiegowisku”. Nadjechali kozacy. Majdaniarze rozstawili pikiety, nie dopuszczając do kolportażu, a po Warszawie poszła wieść: „Kozunie nahajkami biją dzieci!”. Nie pomogły tłumaczenia, perswazje i umizgi — ani do wyrostków, ani do publiki. Gazeta była spalona w opinii, wezwania kozaków nie wybaczone jej; zbankrutowała.

Mieli oczywiście swój honorowy kodeks robotnicy. Brutalnych dyrektorów i służalczych majstrów już wtedy lubiano wywozić na taczkach. W 1887 roku potraktowano tak Janczaka, dyrektora fabryki „Wulkan”, za co aresztowano 11 robotników. Ale zwyczaj nie upadł. W więzieniu do dobrego stylu należało awanturowanie się z klawiszami o sienniki, o złe jedzenie, o cokolwiek zresztą. Głodówki też praktykowano. Kto nie potrafił w więzieniu trzymać fasonu, stawał się pośmiewiskiem, chociaż stary wyga Jan Rosół przestrzegał młodszych towarzyszy: „Zaprześcić protestów i pogodzić się z regulaminem więziennym, głową muru nie przebijesz, a jeszcze będziesz potrzebny”. Oczywiście, wszelkie stosunki zrywano ze współwięźniami, którzy ślali uniżone prośby do cara o ułaskawienie: „Składam przed święte stopy Waszej Imperatorskiej Mości najpoddaną prośbę...”.

Im bardziej świat się zmienia, tym bardziej wszystko zostaje po staremu, co po francusku brzmi krócej: *Plus ça change, plus c'est la même chose*.

Dromaderki od bibuły

Dromaderkami zwano je już u schyłku XIX wieku, zaś o bibule też mówiono „bibuła”, choć również: „smoki”. I wiadomo było, że dromaderki wpadają rzadziej od dromaderów. Żandarmi i tajniacy nie zawsze wazyli się obmacywać rozchichotane panienki, nawet podejrzanie pękate i szeleszczące. Ówczesna dżentelmeneria — i błogosławiona moda: pod sztywnym gorse-tem mieściło się sporo; mniejsza o to, że bibuła wychodziła zzań pomięta i znieświeżona. Mniejsze partie przenosiło się w mufkach i szerokich rękawach, a także za podszewką torebek. Chłopaków przetrząsano dokładnie. Parę ulotek w wewnętrznym

skrytkach spodni można było transportować dość bezpiecznie, ale pakowne „ornaty” — podwójne worki płócienne z otworem na głowę — z trudem dawały się zamaskować kamizelką i surdudem. Janowi Dąbrowskiemu (słynnemu później mediewiście; historycy już wtedy byli bardzo aktywni) wypruto na stacji Granica, w 1910 roku, aż 120 egzemplarzy *Zarzewia*. Jego kolega Hełczyński miał o 10 mniej, ale ponadto 59 broszur „Zadania niepodległości”. Nie uwierzono im, że jadą na naukowe badania zamku w Będzinie, zamknięto. Zresztą szybko wyszli za kaucją, co — łącznie z łapówką — na ogół zadowalało aparat ucisku.

Przez Granicę koło Szczakowej przechodziły kwintale smoków oraz tajnej korespondencji. Za rubla wiozł przesyłkę konduktor rosyjski, a stamtąd — za guldena — austriacki dostarczał list do Lwowa. Koperty były nieadresowane. Każdy, kto miał do czynienia ze smokami, musiał wytrenować pamięć, była to niezłomna zasada: nie notować adresów! Tylko całkiem świeże nowicjuszki ukrywały bibułkowe karteczki w medalionach, ale i wtedy szyfrowały je jakimś zmyslnym kluczem swego pomysłu.

Któż nie woził bibuły! Nawet Piłsudski woził osobiście na wielu trasach, dopóki nie zbudował siatki kolporterskiej. Jego bliski towarzysz Aleksander Sulkiwicz przez wiele lat bezbłędnie organizował przerzuty zagraniczne w Kibartach, gdzie pracował w komorze celnj. Wędrowały tamteży nie tylko smoki, ale i kompletne drukarnie. Punkt przerzutowy bibuły w Szycach — na trasie z Genewy do Kongresówki — urządzali Edward Abramowski z Kazimierzem Pietkiewiczem, dwaj z twórców PPS. A trzeci, Jan Strożecki, z zesłania w Średnim Kołymsku instruuwał przyjaciół w Warszawie, aby w smoki zaopatrywali go pocztą takim sposobem: „Ostrożnie otworzywszy bez uszkodzenia etykiety pudełka klisz, wyjąć część, włożyć co potrzeba i znów zakleić. To taka prosta rzecz i nikomu jakoś do głowy nie przychodzi”.

Sulkiwicz, wychowany w Turcji Tatar litewski (prawdziwe nazwisko: Duzman Emir-za Beg, muzułmanin!) zbudował rozgałęziony system przerzutowy z Prus. Obejmował on punkty odbiorcze w Taurogach, Władysławowie i Wierzbołowie, bazę rezerwową w Szawłach, konne podwozy (zimną sanie), etapowe zajazdy w kilku zaprzyjaźnionych dworach szlacheckich, które skądinąd nie sympatyzowały z socjalistami, lokale w Suwałkach i Mariampolu — oraz składnicę główną w Wilnie, do której dowożono także publikacje z drukarni *Robotnika* w Lipniskach, obsługiwanej przez Piłsudskiego i zecera Głowackiego. Z Wilna bibułę wożono koleją do Warszawy (w walizkach: czarnej, zwa-

nej „brunetką” i w żółtej „blondynce”), a także do Petersburga, Moskwy i Kijowa. Drukarnia w Lipniszkach mieściła się w aptece Parniewskich, specjalnie założonej dla kamuflażu. Wyszło tam 6 numerów *Robotnika*, mniej więcej w miesięcznym cyklu. Niestety, w pracę wdarł się amor... Głowacki, mając sporo czasu (odbijał stronę dziennie, potem, gdy skończył numer, był dwa tygodnie wolny) romansował z kucharką, łudząc ją małżeństwem. Podstarzała panna zaczęła nalegać na spełnienie obietnicy, a gdy amant ociągał się — bąknęła, że dobrze wie, co tu się właściwie dzieje. Daremnie zawieziono ją na Jasną Górę, gdzie spowiednik-paulin nakazał jej dochowanie tajemnicy. Panna była coraz bardziej natarczywa, i trudno, ożenek musiał się odbyć; państwa młodych odprawiono. Erotyka nie sprzyja konspiracji.

Drukarnię przetransportowano na przedmieście Wilna, gdzie wiosną 1895 roku dojechał z zagranicy „nielegalnik” Stanisław Wojciechowski i stanął przy kasztach drukarskich. Nowy lokal był świetnie utajniony, adres znali tylko Sulkiewicz i Piłsudski. Przez parę lat ta trójca stanowiła zarazem tron polityczny PPS i cały partyjny aparat wykonawczy. Oni pisali, składali, drukowali, oni wozili „brunetkę” i „blondynkę”, rozdawali bibułę garstce członków i sympatyków. W Warszawie jedyne wsparcie mieli w Strożeckim i Pietkiewiczzu. Na pięciu ludziach opierała się partia, która w niewiele lat później skupiła dziesiątki tysięcy! Wreszcie Wojciechowski został zupełnie sam, u kresu sił drukował i ciągał się po kraju z bibułą. „Doprowadza mnie to do wściekłości, która przechodzi teraz w spleen” — żalił się, ale nawet na jeden dzień nie mógł sobie dać wypoczynku. Piłsudski spełniał wtedy inne zadania, Sulkiewicz odrabiał godziny na etacie, a Strożecki i Pietkiewicz już wpadli.

Wedle wspomnień Wojciechowskiego i Piłsudskiego można sporządzić szczegółowy opis konspiracyjnej technologii drukarskiej.

Nakład *Robotnika* — 1.300 egzemplarzy po 12 stron.

Zaopatrzenie w papier — w sklepach materiałów piśmiennych, nigdy w dużej ilości naraz. Na numer wychodziło 9 ryz formatu kancelaryjnego. Farba drukarska — z importu przez zieloną granicę.

Główne problemy techniczne — po pierwsze, brak gilotynki do przycinania papieru; od cięcia nożem robiły się bąble na dłoniach. Po drugie — skąpy zestaw czcionek; często jakiejś brakowało i pod koniec artykułu należało stosować wyrazy zastępcze.

Napęd maszyny drukarskiej ukrytej w szafie — ręczny. Jej waga około stu kilo, ale na czas pracy dawała się wysunąć.

Smarowanie wałków farbą po każdym 50 egzemplarzach.

Sposób na wyciszenie druku — dokładne oklejenie skórą i gumą ruchomych części maszyny.

Cykl pracy — najpierw arkusz środkowy z tekstami publicystycznymi, na końcu strony początkowe z „Kroniką krajową”, którą Piłsudski przywoził w ostatniej chwili; wtedy pomagał w odbijaniu.

Pakowano po 50 egzemplarzy i dwaj panowie z całym nakładem wyprawiali się na trasy kurierskie.

Na szczęście dla przyszłego Naczelnika Państwa i przyszłego Prezydenta RP trafiła się „Gintra” — Maria Gertruda Paszkowska — działaczka niestrudzona i obdarzona niezwykłą intuicją. Gdy kolportaż walił się — czyli ustawała główna, a wtedy omal jedyna dziedzina aktywności PPS — ona urządziła w Warszawie całą siatkę punktów i podpunktów, sytuując je przeważnie w mieszkaniach burżuazji, na przykład u sławnego szewca Hiszpańskiego i u intelektualistów, z Żeromskim na czele. „Gintra” udzielała domowych lekcji i przy okazji wciągała swe uczennice na dromaderki. Znane są nazwiska około trzydziestu panienek z dobrych domów, które prowadziły tę robotę. Wiele z nich (w tym „Piękna Pani”, Maria z Koplewskich Piłsudska) stało się potem żonami znanych działaczy i polityków.

Trzeba sobie uświadomić, że w tamtych czasach nie rysowała się jeszcze nawet znikoma szansa niepodległości. Ktokolwiek działał w ruchu, czynił to wyłącznie z wewnętrznego nakazu ideowego. Nikomu nie śniło się, że za kilkanaście lat sytuacja ułoży się dla Polaków pomyślnie i podziemny trud zaowocuje.

Damska robota przez parę lat szła bez wpadek i większych zgrzytów. Paszkowska święcie przestrzegała zasady: często zmieniać lokale, bo nawet najpewniejsze są nimi tylko do czasu. Z wynajmem mieszkań kłopotu wtedy nie było. Natomiast był kłopot, gdy „Gintra” cierpiała na migrenę. Wtedy ruch robotniczy stawał.

Dromaderów męskich w kolportażu warszawskim nie używano, natomiast jeździli (znów Wojciechowski!) na prowincję. Dobrze wychowane panienki nie mogły przecież same obijać się pociągami, dźwigać ciężkich waliz i pozwalać sobie na kontakty z typami, których nie znały. Tu ryzyko było duże. Odbiorców terenowych zawiadamiano o terminach dostawy telegramami treści obojętnej, miejsce było z góry ustalone. PPS nie wszędzie miała „czyste” lokale konspiracyjne, w Łodzi na przykład długo

nie miała choćby jednego aktywisty. Spotykano się częstokroć z nieznanymi, rozpoznawano na hasło. Tam, gdzie i takich kontaktów nie było — kurier rozrzucał lub rozlepiał bibułę w pobliżu fabryk. Podkładano ją też do szafek, szuflad, ubrań, do butów. W ostateczności angażowano za opłatą ludzi przypadkowych, choć to dawało kiepskie efekty. Jeden z takich kolporterów posłużył się... dziećmi, co doprowadziło w Lublinie do aresztowania sześciu osób.

Dobrze zorganizowany był Radom, dzięki kolejarzom, dobrze było w Pabianicach, kiepsko w Zagłębiu, źle w Częstochowie. Ale stopniowo *Rob* zaczął docierać prawie wszędzie, tak samo ulotki pierwszomajowe. Dopominano się o literaturę, zwłaszcza sławne już broszury Abramowskiego. Przemycany z Londynu *Przedświt* trafiał z reguły do inteligencji warszawskiej — paręset egzemplarzy. Regułą było rozdawnictwo darmowe, chociaż niektórzy działacze utrzymywali, że „co płatne — to pociągające”. Po paru latach bibuła zaczęła się pojawiać na wsi, głównie tam, gdzie były cukrownie. Chłopi preferowali broszury „Ojciec Szymon”, „Dobra Nowina” czy „List ks. Ściegiennego”, natomiast *Rob* zbytnio ich nie interesował.

Oprócz młodzieży inteligenckiej, coraz częściej do kolportażu zgłaszali się w Warszawie robotnicy. Oni też w miastach prowincjonalnych wzięli na siebie rolę „matek pszczelich” — kolporterów fabrycznych, którzy zdjęli z kurierów trud rozprowadzania bibuły po warsztatach. W Łodzi, wyjątkowo odpornej na agitację, zdarzało się jednak dość często, że paczki z bibułą po prostu wrzucano włókniarzom przez okno, tłukąc szyby.

Wśród wszystkich partii, kolportaż PPS był zdecydowanie najlepszy. Ale i inni — narodowcy, esdecy, potem ludowcy — mieli swe drukarnie, punkty przerzutowe, składy, siatki kolportażu.

Uczyli się Polacy tej sztuki przez wszystkie lata państwowego niebytu. Od stanisławowskich czasów można by spisać dzieje konspiracyjnych wydawnictw, a od kościuszkowskich — historię przerzutów przez rozbiorowe granice. Jedynie bodaj w pierwszych latach Królestwa Kongresowego tajne druki przestały cyrkulować, bo redaktorzy gazet oficjalnych posiadli umiejętność przemycania istotnych treści między wierszami oraz podjazdowych walk z cenzurą. Ciągłe łamano sobie głowę: Skąd papier? Dla oszczędności *Gazeta Warszawska* prawie nie stosowała tytułów ani odstępów między wierszami — artykuły leciały ciurkiem — a nawet wymagała od czytelników, by sami przynosili papier, na którym odbijano im gazetę! Pomysłowość wydawnicza Polaków

jest zadziwiająca; robotnicy do druku stosowali również maszyny włókiennicze do wytłaczania wzorów. Lata Wielkiej Emigracji — to masowy napływ literatury wywrotowej z zagranicy. Lata poprzedzające Powstanie Styczniowe — to rozrost tajnego drukarstwa. W niektórych okresach podziemie wydawało 30 tytułów. Szczególnie prężna była *Niepodległość*, bijąca od 1.500 do 10.000 egzemplarzy. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1862 roku na ulicy Widok wpadła drukarnia *Ruchu*, organu Centralnego Narodowego Komitetu. Jej redaktora, Bronisława Szwarce, złapano kilka dni wcześniej po iście kaskaderskim pościgu, ze strzelaniem, ulicami Warszawy. Policja triumfowała, dwa celne uderzenia! Ale zaraz po Nowym Roku ukazał się kolejny numer *Ruchu*, zredagowany przez ekipę rezerwową, z oświadczeniem, że policja palnęła gafę i na Widok zamknęła niewinnych ludzi...

W czasach popowstaniowej beznadziei podziemie zwiędło, drastycznie spadł także przemysł trefnych książek z Zachodu. Pierwsze tajne druki socjalistyczne zaczęły się pojawiać około 1876 roku. Ożywienie — ale krótkotrwałe — nadeszło w okresie Wielkiego Proletariatu. Pierwszą jego drukarnię — Waliców róg Krochmalnej — prowadził Andrzej Kowalski, zameldowany (choć nie był Żydem) jako Józef Ajbenszyc, syn krakowskiego bankiera i uczeń konserwatorium. Jego urządzenie drukarskie składało się z płyty kamiennej, na której w żelaznej ramce układano czcionki, smarowane za pomocą wałka z żelatyny. Na to kładło się papier i przeciągało ciężkim wałem obszytym filcem. Gdy odbitka wyschła, można było drukować drugą stronę. Takim sposobem wyszły cztery numery pisma *Proletariat*. Drukarenka uległa czasowej likwidacji na wieść, że w Krakowie policja ujęła niebezpiecznego anarchistę, nazwiskiem... Józef Ajbenszyc! A takim właśnie paszportem posługiwał się Kowalski. Czcionki wyniesiono w kieszeniach, kaszty ukryto i rzekomy „syn bankiera” przekradł się do Galicji. Po roku wrócił, jako dezerterski z austriackiego wojska i w legalnej drukarni *Prawdy* Świętochowskiego odbijał odezwy i ulotki. Metoda tajnego drukowania w jawnych drukarniach była później często stosowana przez SDKPiL. Przy okazji wykradano czcionki, farbę, ramki, wyposażając drukarenki skryte.

Technikę kamiennej płyty i dwóch wałków — farbiarskiego i preserskiego — stosowano najpowszechniej. Robota trwała długo, nakłady były niewielkie, ale jakość druku zupełnie dobra. Takie instalacje dla najpilniejszych potrzeb miały chyba wszystkie organizacje. Trudnej techniki litograficznej, dającej doskonałe efekty, łudząco podobne do druku, używano przede wszystkim do wydawania broszur, gdy pośpiech nie był konieczny. W osta-

teczności posługiwano się hektografem — przyrządem z zastygłą żelatyną, którym można było sporządzić 30 do 40 odbitek ręcznego tekstu pisanego specjalnym atramentem. Był to system młodzieżowy. Rozlane literki w praktyce uniemożliwiały lekturę ludziom starszym, o słabym wzroku.

Lepszy był mimeograf: dwie ramki drewniane z zawiaskami. W jednej było wyżłobienie na skład drukarski, w drugiej gruba dociskowa szyba lustrzana. Do smarowania — wałem z wyży-maczki. Dało się tłoczyć parę setek odezwo na godzinę. Po robo-cie za szybę wstawiano litografię i drukarnię wieszano jako obrazek na ścianie.

Jeszcze lepsza była „prasa Więckowskiego”: wąska, skośnie ustawiona deska-maglownica, opatrzona listwami, między które mocowano ramki ściskające czcionki. Po takiej równi pochyłej spuszczano wałek smarujący, a następnie — położywszy papier — łożony wałek preserski. Zaiste, Gutenberg miał najlepszych uczniów w Polakach!

Wydawali swoją gazetkę więźniowie Pawiaka (ręcznie pisaną, ale z ilustracjami i kącikami humoru), pod redakcją Leona Fal-skiego z PPS. Nosiła ona grzmiący tytuł *Śmierć nikczemnikom!* Organem socjalistów, trzymany w X Pawilonie, był *Głos więź-nia*; redagował go Józef Pławiński. O tym skandalu władze do-wiedziały się... od policji austriackiej, która nakryła egzemplarz w Krakowie. Istniał więc nawet międzywięzienny kolportaż przez granicę.

Znacznie doskonalsza, choć nadal ręczna, była łódzka drukar-nia Piłsudskiego, opisana przezeń w krakowskim dzienniku *Na-przód* już w 1903 roku. Tekst tego obszernego felietonu, pod tytułem „Bibuła”, jest klasyką piśmiennictwa, poświęconego konspiracji. Opis pracy drukarzy i kolporterów poprzedza wstęp historyczny:

„Bibułą w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą: *dozwoleno cenzuroju*. Ilość tej bibuły z rokiem każdym wzrasta, wsiąkając coraz głę-biej w warstwy ludowe (...). Nie trzeba jednak przypuszczać, że bibuła w zaborze rosyjskim ma zawsze treść rewolucyjną. Rząd rosyjski krępuje życie społeczne w tak różnorodnych kierunkach, że bodaj nie ma stronnictwa, które nie jest zmuszone obecnie wydawać swe publikacje nielegalnie, bez cenzury. Nawet ugo-dowcy, zasadniczy przeciwnicy roboty nielegalnej, wydali kilka książek za granicą, by potem, niegorzej od rewolucjonistów, prze-mycić je przez kordon i rozpowszechnić w społeczeństwie. Jest więc bibuła klerykalna, patriotyczna, socjalistyczna, nawet ugo-

dowa (...). Wszystko to przeciska się przez granicę różnymi drogami, rozchodzi się wszędzie, gdzie ludzie umieją czytać po polsku i staje się coraz bardziej potrzebą szerokiej, stale wzrastającej warstwy ludzi”.

Ale nie od razu do tego doszło. Wcześniej — opisuje Piłsudski — ludzie „drżeli na widok munduru czynowniczego” i truchleli na dźwięk dzwonka. Stare tomiki poezji chroniono, i to nie we wszystkich domach, jak najświętsze relikwie, lecz tylko wyjątkowo matki wyciągały je z tajnych schowków i czytały dzieciom. A kiedy wreszcie socjaliści zaczęli drukować bibułę, musieli pokonać nie tylko niezliczone przeszkody techniczne, ale przede wszystkim — strach czytelników.

„Ludzie wprost bali się roboty nielegalnej, której przejawem była bibuła. Posiadanie książki nielegalnej w oczach otoczenia dawało jakby patent na działacza rewolucyjnego, a strach przed represją rządową oraz dziecinna wiara we wszechpotęgę i wszechwiedzę policji carskiej były wówczas jeszcze tak powszechne, że w większości wypadków unikano książki nielegalnej. Trzeba było ją ludziom wpychać w ręce, namawiać, by ją przeczytano, przekonywać, że nie jest ona tak niebezpieczną rzeczą. Jedni więc patrzyli na posiadanie książki nieocenzurowanej jak na bohaterstwo, drudzy — jak na szaleństwo, trzeci — jak na zbrodnię, inni wreszcie — jak na środek agitacji i sposób rozpowszechniania swych przekonań, rzadko jednak książka nielegalna była dla kogo wprost potrzebą...”.

Bibuły wychodziło nie tak znów wiele. W 1899 roku PPS wypuściła łącznie z *Robotnikiem* 99.872 egzemplarze wszelkiego rodzaju druków, głównie odezwo i ulotek. W tamtych czasach uchodziło to jednak za ilość olbrzymią, za poważną część — może nawet większość — wszystkich lektur ówczesnych Polaków. Stopniowo ludzie oswoili się z niebezpieczeństwem, a żandarmeria zaczęła przymykać oczy.

„Zwykle co prawda każdego, u kogo znajdą takie wydawnictwo — pisał Piłsudski — aresztują lub co najmniej wołają na badania, lecz w wielu wypadkach to nie pociąga za sobą żadnej kary lub też (a znam kilka takich wypadków) wyrok jest minimalny — dwa tygodnie aresztu. Tylko świeże wydawnictwa lub większa ich ilość same przez się, bez żadnych innych dowodów winy zwracają uwagę żandarmów... Druk nielegalny jest nielegalnym w zasadzie, zaś w praktyce został do pewnego stopnia ulegalizowany”.

Dodał jednak Piłsudski, że taka niby-legalizacja bywa złudna, bo gdy policja chce kogoś uderzyć, to każdej ulotki może użyć

jako dowodu winy. Szczególnie dotyczy to wsi, gdzie żandarmeria ma mało do roboty, więc czepia się byle czego.

O ile esdecy-komuniści i endecy-narodowcy bardziej ufali w skuteczność agitacji bezpośredniej, żywym słowem — to PPS wyraźnie preferowała wydawnictwa. „Książka lub odezwa — pisał Piłsudski — zastąpić tu musi w większości wypadków agitatora i mówcę, poprzedzić organizatora, utworować mu drogę, przygotować dla niego teren i usposobić dlań przychylnie słuchacza... Wędrówka jej nie pozostawia po sobie takich śladów, jak wędrówka człowieka, działa ona cicho, bez hałasu, może być w każdej chwili zniszczona, może być tylko niemym świadkiem przy badaniach, wreszcie nie wzbudza tylu podejrzeń i nie ściąga takiej kary lub prześladowań, jak człowiek”.

Prócz PPS, jedynie żydowska organizacja Bund potrafiła zorganizować w kraju trwały system druku i kolportażu. Drukarnie SDKPiL miały prymitywne wyposażenie i na ogół prędko wpadały, bardzo szybko wysypała się też narodowo-demokratyczna *Pochodnia*. Natomiast *Robotnik* wychodził regularnie, kolportowany był — w łódzkim okresie — z niewiarygodną na owe bezsamochodowe czasy szybkością. Lokalni czytelnicy dostawali egzemplarze z niewyschną jeszcze farbą, odbiorcy w dużych miastach na drugi, najdalej na trzeci dzień, a po tygodniu egzemplarze, przeczytane już przez wiele par oczu, docierały do wsi w najdalszych zakątkach Kongresówki. Żandarmeria szukała po całym kraju, przerzucała się z miasta do miasta, miała się każdej plotki — na przykład, że *Roba* drukuje się w domu jakichś bogatych burżujów. Użyto zatem modnych kokot najwyższej klasy, by przy okazji swych posług seksualnych niuchały za farbą. A wobec zwierzchności policjanci meldowali, że *Robotnik* z pewnością drukuje się za granicą i dlatego go nie nakryli.

Wśród ludu zaś krążyły fantastyczne opowieści o tajnych lochach, kryjówkach, podziemiach. Wokół drukarni uformowała się legenda. A więc i triumf żandarmów był ogromny, gdy ją w końcu złapali. Nie jest jasne — przypadkiem, czy też śledząc zakupy papieru. Wiadomo natomiast, że władze warszawskie były rozwścieczone, iż *Roba* wykryła żandarmeria łódzka, a nie wytrawni agenci centrali.

Józef Piłsudski:

„Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłumaczył, jak wielki cios został zadany partii przez aresztowanie drukarni.

— Niełatwo — mówił mi pan rotmistrz — zdobyć się raz

jeszcze na taki wysiłek, niełatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ panie rotmistrzu! — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer *Robotnika*. Niech mi pan wierzy, że dla PPS nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się 36 numer *Robotnika* z nowej drukarni...”.

Nie jest to ściśle, Piłsudski stosował kamuflaż. 36 i 37 numer *Robotnika* wydrukowano w Londynie, ale tak zmyślnie, że policja nie mogła się tego domyślić. Dopiero 38 numer wydał w kraju Feliks Perl.

Tryb pracy drukarni łódzkiej był podobny jak w Lipniskach, z tym, że Piłsudski miał do pomocy zecera Rożnowskiego. Jeden numer wymagał 15 dni ciągłej roboty, średnio po 10 godzin. Bogatszy był zestaw czcionek, ale i tak czasem zabrakło jakiejś litery i trzeba było dobierać słowa, powiedzmy, bez „r”. Lepsza była angielska maszynka drukarska „Model-Press”, normalnie służąca do odbijania kart wizytowych i tym podobnej drobnicy. Jej rama mieściła jedną stronę *Robotnika*, przeto każdy egzemplarz musiał być 12 razy umieszczany pod wałkiem. Do tego dochodziło smarowanie talerza farbą, oliwienie osi, dokręcanie śrubek, zabijanie stronic w ramę — a potem korekta i staranne co wieczór zacieranie śladów po robocie. Mordęga. Ale kiedy zandarmi pieczętowali wielki kosz z maszynką, Piłsudski stał „... zgryziony, jak gdyby zapadało wieko trumny nad kimś bliskim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność”.

Robotnicy, gdy fatalna wieść się rozeszła, płakali.

Ale mozół drukarski był mniej uciążliwy, niż prozaiczna czynność kupowania papieru — szczególnie gdy się trafiło na gadatliwego, albo domyślnego, albo zbyt grzecznego sprzedawcę, który upierał się, że odeśle nabytek pod wskazany adres. Była to cała wiedza: gdzie są sklepy z papierem, w których kupowano już zbyt często, jakie usposobienie cechuje właściciela, jak pakunki wnieść do drukarnianego lokalu. A zwłaszcza — jak trefny towar rozprowadzić?

W miarę rozrostu PPS system kolportażu odbył ewolucję od amatorszczyzny do wyspecjalizowanej agendy partyjnej. W walizkach, na temat których wad i zalet istniała wespół mistyczna teoria,

dowożono paczki do „zajazdów” — mieszkań prywatnych, których właściciel witał transport z uśmiechem albo z kwaśną miną i trzęsącymi się łydkami. Mieszkania przyjemne uchodziły zresztą za mniej bezpieczne, gdyż zbierało się w nich grono przyjaciół, żądnych nowinek, co zwiększało ryzyko wyspiclowania. Dlatego „zajazdy” najchętniej lokowano na odległych przedmieściach, gdzie nikt nie był w nic wtajemniczony. Dostawca bibuły musiał mieć komputerowy umysł, aby zapamiętać litanię adresów, dróg dojścia, dat i godzin spotkania, znaków rozpoznawczych, hasel, cech wyglądu nieznanego często odbiorcy, sposobów pytania o ludzi potrzebnych do dalszych czynności. Każda pomyłka groziła dekonspiracją. Z „zajazdu” mniejsze partie odbierały dromaderki, przenosząc je do podziału między organizatorów kółek robotniczych. A potem już po egzemplarzu, z ręki do ręki *Robotnik* wędrował między ludźmi, mając średnio po dziesięciu czytelników. Tworzyły się stałe kręgi jego miłośników, z których wiele przeobraziło się w komórki PPS. Jeszcze bardziej złożony był kolportaż druków nieperiodycznych. Tworzono składy hurtowe i półhurtowe, lokalne punkty detaliczne, wypożyczalnie. Całość obiegu organizowali działacze, kierowani wyłącznie do tej pracy. O czasach, w których bibułę rozrzucano w ośrodkach robotniczych — co było nieskuteczne, kosztowne i nie tworzyło więzi z czytelnikami — mówiono jak o prehistorii.

Nie został natomiast ujednoczony system opłat za bibułę. W niektórych ośrodkach robotnicy przyzwyczaili się do rozdawnictwa, uważali je za należne w ramach składki partyjnej. Inni powoływali się na etykę, na zasadę ofiarności, jako kamień węgielny ruchu. Jeszcze inni wskazywali na niemożliwość kontroli wpłat i niebezpieczeństwo defraudacji. Ale w niektórych środowiskach płacono chętnie, traktując jako normalne właśnie to, że produkt pracy ma godziwą cenę.

SDKPiL ożywiła się wydawniczo dopiero w 1905 roku, ale preferowała drukarnie jawne, często stosując terror wobec właścicieli; byli tak zastraszeni rewolucją, że przestali się bać policji. Odbijano odezwy w „Estetycznej”, w „Renesansie”, a nawet w drukarni najbardziej reakcyjnego *Kuriera Warszawskiego*. Pewnego razu do introligatorni wojskowej (!) wieziono 200 tysięcy antypaństwowych broszur, wymagających zszycia; pękła oś platformy i ładunek rozsypał się po placu Grzybowskiem. Nadjechała trójka kozaków i oćwiczyła woźnicę za zakłócenie ruchu. Szczęściem, miał przy sobie umowę z firmą wojskową... Kozacy, zobaczywszy nagłówek, śpiesznie pomogli zebrać rozrzucone arkusze. Innym razem policja wpadła do drukarni Lewinsona na Lesznie,

gdy odbijano *Czerwony Sztandar*, lecz okazano jej dokument, że trwa właśnie druk... policyjnych zarządzeń.

Mniej szczęścia miały esdeckie drukarnie tajne, sypały się jedna po drugiej: na Tamce, na Solcu, na Pawiej, na Krakowskim Przedmieściu, w Lublinie na Misjonarskiej. Z legalnych — wpadła Nowowiejskiego na Grzybowskiej.

Spośród dromaderek esdeckich sławna była Władysława Guzowska. Razu pewnego, zamiast bibuły, przywiozła z Sosnowca 8 belgijskich browningów, ukrytych za stanikiem! Kolportaż gazet na Warszawę robili dwunastoletni majdaniarze, zarabiając aż po 2 kopiejki na egzemplarzu — za to odezwy bezpłatnie rozprawdali honorowo, żeby zrobić na złość żandarmom czyli „salcesonom”. Najczęściej wtykali je w burżujskie gazety, przez co do cyrkulów dostało się wielu realistów i endeków. Kiedy policja zaczęła łapać dowcipniśców — przrzucili ulotki na sześciolatnich smyków, wybierając bardziej upolitycznionych.

Wszystkie partie sporadycznie angażowały też do transportów przez granicę zawodowych szwarcowników, których główną bazą był dębowy las pod Glinnikami. Za przerzut puda (16 kilo) lewizny brali 10 do 14 rubli. Drogo, ale pewnie. Oni nie wpadali, albowiem dzielili się ze strażnikami.

Narodowi demokraci w tajnym drukarstwie byli mało przedsiębiorczy. Książeczka T. T. Jeża „Rzecz o obronie czynnej”, która przez wiele lat służyła im jako ideologiczny elementarz, była przepisywana ręcznie z docierających z zagranicy egzemplarzy. Endecja z zasady powstrzymywała się przed konspirowaniem, bo też jej półjawna działalność była tolerowana — odkąd idee powstańcze ustąpiły kapitulankim. Główna endeckska centrala wydawnicza ulokowała się bezpiecznie we Lwowie, skąd jednak *Polaka* i *Przegląd Wszechpolski* trzeba było przrzucać do Kongresówki. Wśród organizatorów tej trasy był sławny uczoney krakowski Franciszek Bujak, który za studenckich czasów, podczas wakacji, urządził punkt kolporterski przy ujściu Sanu do Wisły.

Na początku Wielkiej Wojny świetnie z bibułą radzili sobie peowiaci, którzy na ogół mieli za sobą szkołę działalności w PPS. Istnieje wiele szczegółowych relacji bojowniczek POW, wedle których dałoby się opracować precyzyjną mapę kolportażu w Warszawie.

Najlepsze na główne składy bibuły były lokale publiczne, na przykład Towarzystwo „Uranja” na Brackiej 18. Miało ono duże i zagracone magazyny pomocy szkolnych, między które wtykano co się dało, nawet broń i materiały wybuchowe. Stamtąd duże

paczki bibuły roznoszono do punktów pomocniczych, gdzie dzielono je na zgrabne pakieciki, owijane wstążeczkami, niby bombonierki.

Podręczny skład do dyspozycji dowództwa POW był na Wspólnej 58, u Marii Gieysztorowej, która salon tegoż mieszkania wynajęła rosyjskiej generałowej. Jej ordynans stale siedział w przedpokoju, szczerząc zęby do kurierek; nowicjuszeki były przerażone, stałe bywalczyńnie odpowiadały mu promiennym uśmiechem. Policja na to mieszkanie uwagi nie zwracała.

Konstancja Jaworska, czołowa aktywistka PPS w Warszawie, tak opisała zasady pracy konspiracyjnej: „Każdy wiedział to tylko, co musiał wiedzieć, i nic więcej. Nikt nie używał swego imienia ani nazwiska, wszyscy mieliśmy pseudonimy; nikt nie mówił kim jest i gdzie mieszka. Nawet członkowie kółek, o ile nie byli z tej samej fabryki, nie znali się między sobą, a organizowani byli przez męża zaufania. Ten system organizacji nie pozwalał na szybki jej rozwój, ale zapewniał choć jakie takie bezpieczeństwo i chronił od rozbicia większe ogniska roboty partyjnej”.

Na kolporterkach spoczywało też zadanie zapewnienia pustki w kasach organizacyjnych. W przeciwieństwie do Ligi Narodowej, która miała bogatych sponsorów i korzystała z funduszy emigracyjnego Skarbu Narodowego, ludzie Piłsudskiego stale żyli pod kreską. Podczas rewolucji 1905 roku i przez parę lat następnych dokonywano ekspropriacji wagonów pocztowych i kas monopolowych, lecz ten „bandytyzm” nie zjednywał socjalistom popularności. Pod hasłem „My przelewamy krew, a wy dawajcie pieniądze” rozsyłano też po bogatych domach kwestarzy o znanych nazwiskach: chodził Żeromski, chodzili Sieroszewski i Daniłowski, mając do pomocy barczystych robociarzy ze spluwą w kieszeni. Była to asysta symboliczna, bo raczej nikt nie odmawiał. Ale to też nie przysparzało sympatii rewolucjonistom. Lepiej do serc i kieszeni apelowały później ładne peowiaczki, zwłaszcza odkąd wyposażono je w pliki fotek Komendanta oraz pierwszej kadrowej na biwaku w Kielcach. Z tego był niezły dochód. Urządzano też aukcje i loterie, puszczając na nie obrazy ofiarowane przez patriotycznych artystów.

Organizowanie konspiracji, a szczególnie nielegalnego systemu wydawniczego, stało się polską specjalnością, chyba bez precedensu w światowej skali — wymuszoną przez wieki nienormalności polskiego życia. Jak proroctwo zabrzmiały słowa, zamieszczone w 36 numerze *Robotnika*, że będzie on nadal tak długo wychodził tajnie „aż zaświta na ziemi naszej słońce wolności, które pozwoli nam mówić i działać jawnie”.

Jak wpadali?

Najczęściej wpadali podczas demonstracji. Łapano ich setkami, parę tygodni trzymano w areszcie, relegowano z uczelni, wydalano z Warszawy, nakazywano paroletnie osiedlenie w wyznaczonych miastach rosyjskich. Wielu wymykało się „za kordon”, albo i dalej — na Zachód. Z ulicznych łapanek tylko wyjątkowo stawiano przed sądami, które skazywały na katorgę lub długotrwałe zesłanie.

Utrapienie było z młokosami, bo lubili kozakować. Tacy dwaj przed pierwszym w dziejach świętem 1 Maja poszli rozklejać odezwy w biały dzień, prosto z lekcji. Zwinięto nieodpowiedzialne elementy. Nazywali się Bolesław Miklaszewski i Romuald Mielczarski. Pierwszy w wolnej Polsce został ministrem oświaty, drugi był twórcą „Społem”.

Ci, co działali w podziemnych strukturach, wiedzieli, że dla nich wymiar sprawiedliwości nie będzie pobłażliwy. Zesłanie było łagodniejszą z kar, jakich mogli oczekiwać. Najsurowszą był stryżek.

Wątpliwe, by udało się zestawić pełną listę egzekucji, ale przybliżone dane zebrała Elżbieta Kaczyńska. Wyrażna jest wznosząca się linia represyjnej surowości.

Po Powstaniu Listopadowym orzeczono 290 wyroków śmierci, lecz tylko kilka wykonano.

W trakcie i po uśmierzeniu Powstania Styczniowego liczbę egzekucji ocenia się na 400 do 1.500, lecz ten wyższy szacunek obejmuje chyba mordy, popełnione przez wojsko bez sądu.

Gdy rozniecała się rewolucja 1905 roku, gubernator Georgij Skałon polecił stosowanie kar śmierci bez wyroku sądowego i kazał strzelać do manifestantów „do zupełnego wyniszczenia”.

Statystyka egzekucji:

1906 — 250

1907 — 624

1908 — 1.350

1909 — 630.

Tyle wyroków śmierci zapadło w sądach polowo-wojskowych w Królestwie (nie licząc kresowych „ziem zabranych”) i tyle wykonano.

Do ponurych rachunków trzeba doliczyć szubienice stawiane w okresie międzypowstaniowych oraz tysiące ofiar pochłoniętych przez Sybir, katorgę w Szlisselburgu, X Pawilon, wszystkie inne więzienia.

„Polska jest może jedynym krajem, gdzie jest możliwym jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy tak kompromitującej człowieka, jak kryminał” — powiedział w 1928 roku Józef Piłsudski w odczycie o psychologii więźnia. — „I gdy stoję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym, jak gdyby, towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniem, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą wchodzącą w myśli ludzkie”.

Niedługo po tym odczycie, z rozkazu Piłsudskiego, do więzienia powędrowali przywódcy opozycyjnego „Centrolewu”.

Ludzie podziemni, oprócz młodziutkich nowicjuszy, stale żyli ze świadomością, że ich życie na swobodzie jest jakby pobytym czasowym, że prędzej czy później wpadną, muszą wpaść. Więc dopingowali się nawzajem, by zrobić jak najwięcej dla Sprawy, póki chodzą bez kajdan. Dla jednych była to sprawa narodowa, dla innych robotnicza. Początkowo niewielu umiało scalić w sercu obie motywacje, przeważnie któraś z nich wyraźnie przeważała lub była jedyną. W tym tkwiło prąźródło dramatów i ciągłych rozłamów ruchu rewolucyjnego.

Skoro zaś chcieli zrobić jak najwięcej, póki nie zatrzasną się za nimi więzienne furty, to niestety działali nierozważnie, brawurowo — więc udawało im się mniej, niż mogłoby się udać. Nie potrafili też bronić się przed szpiclami i prowokatorami, choć niemal wyłącznie przeciw nim kierowali zamachy samoobronne, zresztą rzadkie i na ogół chybione.

Kazimierz Pietkiewicz napisał broszurę o technice walki podziemnej. „Konspiracja nie wyskakuje z czyjejs mądrej głowy, jak Minerwa, kształtuje się ona w szeregu lat i przekazuje się następcom”. Zalecał takie reguły:

1. Kto nie wie, ten nie zdradzi; należy powściągać ciekawość i nie pytać o nic, co nie dotyczy nas bezpośrednio.

2. Pracownicy techniki powinni być całkowicie izolowani od innych działów roboty.

3. Nie wolno pisać listów w sprawach partyjnych.

4. Bibułę ze składów można wynosić tylko ukrytą pod ubraniem.

Konspiratorzy czytali i działali po swojemu, wedle porzekadła: co komu pisane...

Policyjna inwigilacja była w tamtych czasach dość prymitywna. Ulicznych kapusiów łatwo było rozpoznać po zachowaniu, szczególnie, gdy opętała ich moda na niebieskie okulary, ale ich gęstość ogromnie utrudniała pracę konspiracyjną. Konfidentem był z reguły każdy stróż, choć wielu blagowało swym mocodawcom i kryło grzechy lokatorów, zwłaszcza hojnych. Od 1900 roku Ochrona miała posterunki we wszystkich znaczniejszych fabrykach. W każdym środowisku werbowano agentów. Bez nich żandarmeria i policja, nie znając biegle polskiego, byłaby omal ślepa i głucha.

Niekiedy byli to ludzie nieposzlakowanej za młodu opinii, jak Antoni Wiśniewski, jeden z pierwszych socjalistów, który mężnie przeszedł więzienny staż w Cytadeli. Później został dziennikarzem *Głosu* i rozpił się doszczętnie, co częste w tym fachu. Zaczął pracować dla żandarmerii, lecz z profesjonalnej pasji spisywał swe agenturalne wyczyny. Pewien student wykradł rękopis, a PPS w 1901 roku ogłosiła go w Londynie pt. „Dziennik szpiega”. Później autor został zlikwidowany przez Organizację Bojową.

Carska policja często zastawiała pułapki — tyleż chytre, co naiwne. Przywódcom II Proletariatu, Strożeckiemu i Kasprzakowi, doniesiono łańcuszkiem pośredników, że pewna staruszka za namową księdza, który zdjął sutannę i stał się wielbicielem partii, zamierza na jej cel złożyć przed śmiercią ofiarę — 10 tysięcy rubli. Było się o co połasić! Ale staruszka postawiła dwa warunki, które Strożeckiego zdziwiły: po pieniądze musi przyjść przynajmniej pięciu poważnie wyglądających panów, najlepiej z brodami, oraz dwie panie; i mają z sobą przynieść partyjną pieczętkę dla pokwitowania. Kasprzak, mimo przestróg, polecił: spróbować! Umówiono miejsce, dzień, godzinę, a także to, iż „starsza pani” nadjedzie kareta. Rzecz jasna, zamiast niej pojawiła się gromada tajniaków. Zdołali zatrzymać dwóch delegatów partii.

W tamtych czasach skąpe były natomiast środki techniczne. Tajniacy ścigali konspiratorów dorożkami, a ci dorożkami uciekali i często o wszystkim decydował refleks „sałaty” — oraz koń.

Pod koniec XIX wieku weszły w użytek telefony, ale jakoś brak informacji o policyjnych podsłuchach. Może ówczesna elektryka nie dawała takich możliwości? Kontrola korespondencji za to była stosowana często, a przetrząsanie torebek i kieszeni — nagminnie. Na ogół jednak respektowano ludzi o statecznym,

solidnym wyglądzie. Taki wiedział, komu się poskarżyć, a potrafił też wygrzmocić łaską, jeśli był cholerykiem.

Policja pruska bardziej ufała środkom technicznym. Już w 1848 roku na zlecenie tępicieła Polaków, gen. Steinaekera, niejaki Lippowitz (zapewne Lipowicz), aptekarz z Leszna i amator-fotograf, wymyślił do naznaczania jeńców miksturę, której głównym składnikiem był jakiś „kamień piekielny”. Czerniono nią uszy i ręce Polaków z powstania Wiosny Ludów. Czy polewano też na ulicy — nie wiadomo. Szczęściem znalazł się Polak, zawodowy chemik, który sporządził wywabiacz.

Wsypy wynikały najczęściej nie z przebiegłości agentów, ale z najprostszych, zenujących błędów konspiratorów. Organizacja Adama Szymańskiego, jedna z grup wczesnych spiskowców (mocno infantylna: specjalizowała się w oczernianiu... papieża) wpadła przez to, że przywódca trzymał w mieszkaniu listę członków spisku a nawet tych, których zamierzał skaperować. Równie głupio wpadł sam Ludwik Waryński, mający reputację nie tylko wybitnego przywódcy „Proletariatu”, ale i rutynowanego nielegalnika.

Pod jesień 1883 roku do drukarenki na Waliców wpadł rozpromieniony Waryński ze zdobytym tekstem „Naprzód Warszawa!”, rzucił zecerowi i wybiegł na miasto po proszek srebrny i złoty, ażeby odbitkom nadać wygląd uroczysty. Wrócił, spakował 200 wyzłoconych egzemplarzy i pośpieszył do cukierni na Rymskiej, gdzie miał się spotkać z delegatką Narodnej Woli. Po drodze wstąpił do trafikii Butlefa po znaczki pocztowe i w zaafekowaniu zapomniał wziąć swą paczkę z kontuaru. Zanim połapał się i wrócił, trafikarz odwinął paczkę i wezwał żandarmów. Waryński wyrwał się, próbował ucieczki, lecz go obezwładnili. Najczęściej wpada się na głupich błędach, zwłaszcza wtedy, gdy działa się na kilku odcinkach jednocześnie, co dekoncentruje.

Kierownictwo partii przejął Stanisław Kunicki. Zanim i on wsiąkł, w lipcu 1884 roku, był już rozpoznany i śledzony, jak i inni działacze. Zachowały się raporty policyjne kto gdzie był, o jakiej godzinie, z kim rozmawiał. Jeden Aleksander Dębski potrafił urywać się agentom, przywarować na wiele dni w zakonspirowanym lokalu. Kunicki natomiast był ruchliwy i mało przeznorny. Tak samo Piotr Bardowski, weteran Narodnej Woli. Gdy żandarmi wtargnęli do jego mieszkania, zgarnęli naraz obu przywódców i sekretariat partyjny.

Niewiele dni później spotkali się w mleczarni Henneberga na Nowym Świecie Dębski, Ludwik Janowicz i Bronisław Sławiński. W samym centrum Warszawy — trzech najbardziej poszukiwanych proletariaczyków! Policjanci zjawili się zaraz po spiskow-

cach. Janowicz strzelił z rewolweru do komisarza Oże, ranił go i skutecznie osłonił ucieczkę towarzyszy. Ale sam został złapany z bronią w ręku. 16 lat katorgi, potem zesłanie na Sybir — i depresja, zakończona samobójstwem.

W Łodzi agenci wyśledzili Hilarego Gostkiewicza. O jego aresztowaniu zachowała się plebejska ballada:

*Z ostrom broniom, z latarniami
Obkroczyli łoże me,
Z szomem wichru, z pochodniami
W ciemny loch uwiezli mnie.*

*Kajdanami skuli ciało,
Obie ręce, nogi me.
Serce moje mówi śmiało:
Duszy skuć niezdolni, nie.*

Resztkę proletariatycków, zieloną młodzież, skupiła — jak wiemy — Bohuszewiczówna. Poczynali sobie śmiało, skutecznie i bez elementarnych środków ostrożności. Przychodził kto chciał i kiedy, na zebrania skrzykiwano się posłańcem, któremu dobrze patrzyło z oczu. Student Kossobudzki, agent, z wynajętego na-przeciw mieszkania widział jak na dłoni, kto się zbiera u panny Marii, a kto z gości gdzie mieszka wiedział ów posłaniec, Kap-szukiewicz bodaj, także agent. Zagarnięto kompletną siatkę i drukarnię na Złotej. Zagaścił się X Pawilon.

Dębskiemu natomiast kilkakrotnie udało się wywinąć obławie. Wyczuwał, kiedy się przyczać i nie pokazywać na mieście, a kiedy na dłużej prysnąć z Warszawy, zatrzeć tropy. Szósty zmysł spiskowca nie opuścił go nawet w ćwierć wieku później, gdy był piłsudczykiem i prezesem Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce. Wioząc „na sobie” dużą kwotę składkowych dolarów na akcję legionową, spotkał w pociągu, na trasie Francja-Szwajcaria-Austria, kurierkę Piłsudskiego, Nelly Grzędzińską. Zanotowała, że w obawie przed wyspą: „Na wszystkich postojach trzymaliśmy się z daleka, schodziliśmy się tylko w pociągu jako przygodni razem jadący podróżni”. Stary wyga znał zasady.

Młodzież natomiast wpadała rozpaczliwie, zwłaszcza gdy łączyła imprezy towarzyskie z tajnymi.

Na Sylwestra 1891 roku sławny już Marcin Kasprzak, zwany „polskim Blanqui” lub „alfą i omegą Proletariatu”, urządził szumny bal na 200 osób w szkole kroju, Bracka 5. Osobiście sprawdzał przy wejściu, by się nie wśliznął ktoś nieproszony. Re-

wolucjoniści byli w komplecie. Feliks Perl recytował. Strożecki przemawiał, że rychło czerwony sztandar zawisnie na Ratuszu. Odśpiewano wszystkie pieśni robotnicze. Tańce też były, a rolę damy wieczoru spełniała Staszka Motz-Abramowska. Po kilku dniach niektórych balowiczów aresztowano, zaczęli sypać. Ale nauka poszła w las. W następnym karnawale Stanisław Koszutski, student-socjalista, wybrał się na wieczorek robotniczy, urządzany przez II Proletariat, gdzieś na końcu Złotej. Było kilkanaście osób z inteligencji, w tym kilka strojnych panien, i była zbita masa robotników, wśród nich paru świetnych mówców. Ogólnie było bardzo wesoło. Pod pretekstem tańców odbył się mini-wiecz polityczny (ostro akcentowano konieczność podjęcia terroru!), połączony ze śpiewami i deklamacjami. Jakiś robotnik z uczuciem wyrecytował „Wolnego najmitę”, Antoni Dobrowolski — słynny potem polarnik — „Marsylianę”, wreszcie chórem odśpiewano „Czerwony Sztandar”. W przerwach Koszutski dla zmylenia policji przygrywał walce i poleczki, aż się w okna posypały kamienie. To narodowcy bombardowali tych, co łamali zakaz tańców w roku stulecia Targowicy. Nawet się na nich nie oburzono.

„Niestety, policja nie tylko nie spała — pisał później Koszutski — ale czuwała bardzo blisko, była bowiem w osobie jednego czy paru szpicłów obecna na samym wieczorku... W parę tygodni później prawie cała organizacja partyjna oraz znaczna liczba uczestników wieczorku znalazła się w cytadeli, a wkrótce na zesłaniu”.

Zważywszy, że nieco wcześniej wyaresztowano studentów kontaktujących się ze Związkiem Robotników Polskich i narodowców z oświaty ludowej, był to czarny sezon dla studenckich działaczy.

Czy były sezony jaśniejsze? Toż dopiero co Władysław Sidorek — sławetny „Ślepy Włodek” — wysypał towarzyszy z Proletariatu, zaś Edward Benzeff sprzedał prawie wszystkich „związkowców” po 50 rubli od łebka; tyle w każdym razie obiecali żandarmi. Na Benzeffa urządzono zamach. Z ran się wylizał, ale przepadł bez wieści. „Ślepy Włodek” natomiast działał jako prowokator prawie przez trzydzieści lat, dopiero w 1907 roku dosięgła go sprawiedliwa kula. Jak mu się udało tak długo funkcjonować w roli wtyczki, jest niepojęte; przecież już na dziesięć lat przed wpadką II Proletariatu więźniowie X Pawilonu dokładnie wiedzieli, że Sidorek sypie, a nawet — na jego błagania — udzielili mu „chrystusowego przebaczenia”. Albo zatem zlekceważyli potrzebę ostrzeżenia towarzyszy, albo Sidorek był geniuszem kamuflażu.

Wcześniejsza wpadka grupy Bohuszewiczówny była spowodowana nie tylko zewnętrzną obserwacją, ale też zdradą Piotra Pińskiego, stolarza, który w Proletariacie był znany pod pseudonimem „Pierzyna”, natomiast w żandarmerii funkcjonował jako „Piotrowski”. Jego zeznania były decydujące podczas śledztwa i procesu.

Zdziesiątkowani proletariacyzcy wydali nań jednomyślnie wyrok śmierci. Akcję zorganizowała Bronisława Waligórska, zagorzała terrorystka (obywatelka szwedzka!). Planowała też zabicie zdradzieckiego posłańca, a później, po zgromadzeniu doświadczeń, samego generał-gubernatora Hurki. Ale pierwszy miał być Piński. Brakowało tylko rewolweru. Do wykonania zamachu wyznaczono sześciuosobową bojówkę uzbrojoną w pałki i sztylety. Kilkakrotne próby spaliły na panewce; raz już otoczyli zdrajcę na pustej ulicy, lecz zabrakło im determinacji — bo jak pchnąć nożem kogoś od dawna uważanego za towarzysza? Wreszcie zdobyto rewolwer z 19 nabojami i wręczono go Władysławowi Kowalewskiemu. W kolejnej zasadzce zdecydował się wreszcie na strzelanie, ale zadał Pińskiemu tylko trzy lekkie rany.

A sam wpadł. Zaraz po nim żandarmeria zgarnęła sześciu innych spiskowców, w tym znowu Sidorka dla niepoznaki. Kowalewski milczał, lecz sypał jego pomocnik Hübszer, który wydał kilkanaście osób, wśród nich Waligórską. Resztką Wielkiego Proletariatu została rozbita.

Sąd wojenny skazał Kowalewskiego i Hübszera na karę śmierci, ale uwzględniając „skruchę” tego drugiego — wyrok złagodzone mu na bezterminową katorgę. Kowalewski — jako piąty proletariacyzk — zawisł na szubienicy.

Ofiar jednak było więcej. Józef Ziemiański powiesił się w celi, Waligórska otruła się zapałkami, Julia Rozumiejczyk zmarła w więzieniu na suchoty. Na kary od dwóch miesięcy aresztu do 10 lat katorgi skazano 42 oskarżonych.

Taki był koszt postrzelenia jednego zdrajcy. Koncepcja indywidualnego terroru skompromitowała się, chociaż Proletariat podejmował jedynie zamachy defensywne. Mimo to jego kontynuatorzy parokrotnie jeszcze do tej koncepcji powracali. Piętno taktyki Narodnej Woli długo ciążyło na polskim ruchu robotniczym.

Raz zdecydowano się na terror ofensywny, ze światowym rozgłosem, lecz była to indywidualna akcja desperata Stanisława Padlewskiego, postaci niezwyklej i tragicznej.

Pochodził z rodziny, symbolizującej hasło „Za naszą wolność i Waszą”. Jego ojciec, stryj i bliski kuzyn zginęli w Powstaniu

Styczniowym. Z dwóch braci Antoni uczestniczył w rewolucyjnym ruchu rosyjskim i zmarł w więzieniu, Władysław zaginął we Włoszech walcząc u boku Garibaldiego. On sam, jako wyrostek, zaciągnął się do armii serbskiej, toczącej wojnę z Turkami; bił się świetnie, wysłużył stopień podoficerski. Ale gdy po stronie Serbii wystąpiła Rosja — opuścił szeregi, nie chcąc walczyć jako jej sojusznik. Piechotą wrócił z Bośni do Galicji i w Krakowie, gdzie wtedy działał Waryński, zapalił się do socjalizmu. Władze wydalili go z Austrii. Wylądował w Genewie, podjął studia politechniczne i zaprzyjaźnił się z Mendelsonem. Pod jego wpływem Padlewski, fanatyczny patriota, podpisał wkrótce telegram: „Precz ze starą Polską, niech żyją organizacje robotnicze”.

Nawiązał stosunki z tuzami międzynarodowymi, Bernsteinem i Kautskym, i zaczął pracować jako robotnik, by poznać i wyczuć życie proletariatu. Tak wyedukowany, pojechał do Paryża, chcąc zdobyć umiejętności w niezbędnej rewolucjonistycznej sztuce drukarskiej — wreszcie, z paczką *Przedświtu*, wylądował w Poznaniu, żeby rozniecić tam ruch robotniczy, wygasły parę lat wcześniej po aresztowaniu Mendelsona i Truszkowskiego. Jego poprzednicy zostali wysledzeni wedle zdjęć, zrobionych przez Austriaków w czasie procesu. Policyjna sztuka portretowania stawiała kroki pierwsze, lecz od razu skuteczne.

Padlewskiemu udało się nawiązać kontakty i odbudować kilka grup robotniczych. Ale zdrada i tam kwitła. Najbliższy towarzysz Padlewskiego, Grześkiewicz, został zadenuncjowany. Ktoś doniósł, że rozdawał zakazane druki i chciał obalić statuę cesarza, ktoś drugi z wetkniętym mu numerem *Przedświtu* od razu pobiegł do policjanta. Aresztowano Grześkiewicza, potem Padlewskiego. Zidentyfikowano go też na podstawie zdjęcia z archiwum policji szwajcarskiej, gdyż pewnego razu został ukarany w Zurychu grzywną za zakłócenie spokoju nocnego. Konspirator nie powinien łączyć po knajpach.

Po głośnym procesie, w 1883 roku, Padlewski za przynależność do organizacji „stojącej w sprzeczności z ustawodawstwem wyjątkowym” został skazany na dwa i pół roku więzienia. Bądź co bądź, niewątpliwie był wywrotowcem. W owych czasach uważano to za wyrok wysoki. Jeszcze nie nastąpiła inflacja sądowych sentencji.

W mowie obrończej powiedział:

„Siedząc na ławie oskarżonych, wyzyskuję tę sposobność dla obrony moich przekonań, gdyż gdzie indziej nie mogę tego czynić”.

Taka praktyka utrzymała się na stałe.

Po odsiedzeniu wyroku Padlewski został przez władze pruskie przekazany rosyjskim i w ten sposób poznał więzienia wszystkich zaborów. Teraz posiedział w X Pawilonie, ale nie długo, bo symulując obłąd (jak później Piłsudski) uzyskał zwolnienie. W owych czasach choroba psychiczna ułatwiała wyjście na wolność. Dopiero potem wymyślono, żeby ludzi normalnych kierować do zakładów psychiatrycznych. Jest postęp.

Dalsze etapy awanturniczego życia: praca w Noworosyjsku, przyjazd do Lwowa — i tam kolejnych kilka miesięcy więzienia, znowu Paryż, i znowu Warszawa — z misją zorganizowania obchodów 1 Maja.

I jeszcze raz Paryż. Żył tam w biedzie, pracował jako posłaniec.

Zbliżył się do doktorostwa Zielińskich, Izy i Józefa, którzy później odegrali wielką rolę w przeszczepieniu do Polski masonerii Wielkiego Wschodu, ale wtedy fascynowali się anarchizmem.

W ich domu powziął myśl o czynie, który ukoronował jego życie.

Bawił w Paryżu generał żandarmerii Seliwestrow — arcy-mistrz prowokacji, prowadzący wyrafinowaną robotę wśród emigrantów rosyjskich: nakłaniał ich do akcji terrorystycznych, dopomógł im nawet założyć laboratorium do produkcji bomb, po to, by rząd francuski umieścić ich w więzieniu albo przekazać do Rosji, co oznaczało więzienie cięższe.

Jako posłaniec agencji koncertowej Bernhoffa czekał na okazję, by zanieść generałowi jakiś list. I to nastąpiło. Tak opisał tę scenę:

„Wypytywał mnie o moje zajęcie u p. Bernhoffa, o ludzi chodzących na jego koncerty, o damy jakie tam bywają. Gdy mu dałem te informacje zauważył:

— Bogato ubrane, ale niemłode. To nie dla mnie. Jestem dość zamożny, aby mieć takie, jakie mi się podoba.

Po chwili milczenia dodał:

— Tak, mam dużo pieniędzy. Czy ty pomyślałeś kiedy, co to jest milion?

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Nagle zaczął do mnie po rosyjsku:

— Czy chciałbyś zarobić dużo pieniędzy?

Otworzył szufladę biurka i pokazał mi mnóstwo monet złotych.

— Jest tu — oświadczył — czterdzieści tysięcy.

Był widocznie zadowolony z wrażenia jaki ten widok wywarł na mnie, bo zaraz dodał:

— Jeżeli będziesz mi mówił o ludziach, którzy chodzą do Bernhoffa, to za każdym razem dostaniesz pieniądze.

Oczy moje zdradziły zapewne, co się we mnie dzieje, gdyż spojrział na mnie z niepokojem. Byłem tuż przy nim. Zbliżyłem się o krok i wystrzeliłem, mówiąc:

— Masz za bomby!”

Padlewskiemu udało się zbiec i ukryć, chociaż całą paryską policję postawiono na nogi. Kiedy zaś poselstwo rosyjskie zaczęło rozsiewać pogłoski o prywatnym i erotycznym podłożu zabójstwa, wysłał list do dziennika *Evénement*, w którym napisał:

„Skoro tyrania zabija dzielnych rycerzy postępu, czemuż by obrońcy wolności mieli się wyrzec, jako środka walki, usuwania tyranów lub ich służalców? Seliwestrow otrzymał, niestety za późno, to, co mu się należało od dawna. Nie zapominajmy, że ten szpieg salonowy powiesił wielu rewolucjonistów, a tysiące wysłał na Syberię”.

Padlewski zyskał przychylność francuskich rewolucjonistów. Ukrywali go, a dziennikarz de Labruyère zorganizował mu ucieczkę do Triestu, co opisał w sensacyjnym artykule, żeby zrewanżować się redakcji *L'Eclair* za poniesione przez nią koszty. Cały czas ścigany, przez Sycylię, Maltę, Gibraltar dotarł do Londynu. Stamtąd do Ameryki. Tropiła go policja całego świata. Popadł w stan depresji i odebrał sobie życie w mieście San Antonio.

Romantyczne bohaterstwo Padlewskiego, samotnego mściciela, podbiło serca rewolucjonistów, lecz przepełniło grozą serca milionów. I tak jest do dziś. Efekt zamachów terrorystycznych — przynajmniej w kręgu cywilizacji europejskiej — jest sprzeczny z intencjami terrorystów, nawet jeśli intencje są wznieśli, a ciosy — sprawiedliwe.

Powróćmy do przyziemnych, podziemnych działań socjalistów, którzy w kraju, mimo tylu strat, coraz szerzej przenikali w lud.

Jedną z nowych grup robotniczych, siedmiuosobową, stworzył latem 1892 roku Aleksander Wyszomirski, zecer. Był dobrym mówcą; namiętnie agitował za walką przeciwko wyzyskowi, wzywał do składek na więźniów politycznych, obficie rozdawał bibułę Proletariatu. Przygotowywał też poważniejsze akcje (lub prowokacje), gdyż poprosił Biniaszewskiego o przechowanie 16 funtów dynamitu, a Grodeckiego namawiał, by urządził napad na żandarmów eskortujących jakiegoś więźnia z X Pawilonu.

Zaczęły krążyć pogłoski, że Wyszomirski jest agentem; jak się później okazało, był nim od paru lat. Członkowie grupy zerwali z nim kontakty, niektórzy zdążyli jednak odebrać wpłacone

składki. Wyszomirski zniknął. Udał się do Wilna i dalej robił dla żandarmerii.

Ale w Warszawie nikogo nie zasypał! Jego grupa, teraz pod kierownictwem Grodeckiego, szybko odbudowała się i rozszerzyła, prowadząc głównie kółka samokształceniowe. Nie wiadomo, czy Wyszomirskiego ruszyło sumienie, czy też szykował większą prowokację. Przed 1 Maja 1893 kilku z grupy Grodeckiego, w tym i on, zostało wprawdzie przewencyjnie aresztowanych, lecz zaraz po święcie znaleźli się na wolności. Biniaszewski jednak jako kolejny agent.

Grupa działała nadal. Coraz liczniejsza i już organizacyjnie związana z PPS. Wpadła, w całości niemal, dopiero w związku z nieudaną akcją „Wianków”. Kto doniósł? Biniaszewski, którego też nad Wisłą aresztowano dla kamuflażu? „Ślepy Władek”, który był w tłumie? Może sprawę wcześniej nadał Wyszomirski? Może działali wszyscy trzej — albo jeszcze ktoś inny? Domysłów było wiele, nic pewnego nie wiadomo.

Bardzo prędko miał na młodziutką PPS spaść cios jeszcze cięższy. W lutym 1894 roku udało się zwołać w Warszawie, w mieszkaniu Jana Strożeckiego, Niecała 12, II Zjazd PPS, czyli... 9 konspiratorów. Szczęściu z nich zjazd wybrał do władz naczelnych. Członkami Centralnego Komitetu Robotniczego zostali „Janek”, „Wiktor”, „Żul” i „Pol” — to znaczy Strożecki, Piłsudski, Julian Grabowski i Paulin Klimowicz. Na zastępców wybrano „Fakira” Pietkiewicza i Wacława Naake-Nakęskiego. Potem dokoopowano Bolesława Bilskiego. Klimowicz i Bilski byli robotnikami — zecerem i murarzem — zaś Grabowski i Naake-Nakęski, ciekawostka polityczna, wchodzili zarazem w skład ZET-u, Ligi Narodowej oraz redakcji *Głosu*. Faktyczne kierownictwo PPS spoczywało w rękach Strożeckiego. Ale niedługo. Członkowie komitetu, prócz Piłsudskiego, wpadli już w nocy z 29 na 30 sierpnia. Wkrótce za kraty powędrował Pietkiewicz. Naake-Nakęski uciekł na Śląsk, a później w Galicji stał się entuzjastą Narodowej Demokracji. Bilski w więzieniu został zwerbowany na agenta, był jednym z czołowych szpicli i prowokatorów, koronnym świadkiem żandarmerii w procesach pepesowców.

Jak doszło do wpadki CKR PPS, która ponadto objęła 50 osób? Przez gadulstwo, fanfaronadę i gapiostwo.

Zaczęło się od przypadkowego spotkania dwóch panów... w Belgradzie. Jednym był młody lekarz wojskowy Leon Wasilkowski, który objął tam posadę i tęsknił za kompanem do wypitki. Drugim był niejaki Ungern von Sternberg-Jahołkowski, człek towarzyski, a ponadto jeden z najwybitniejszych agentów carskiej

tajnej służby. Panowie zaprzyjaźnili się i Rosjanin w wielkiej konfidencji wyznał, iż wybiera się do Warszawy zgładzić generał-gubernatora Hurkę! Rozpromieniony Wasilkowski nadał mu kontakt — do swego przyjaciela „Żula” Grabowskiego. Po pewnym czasie zorientował się, że palnął gafę, „Żula” uprzedził, lecz ten — zadufany w swą przebiegłość — łąził po Warszawie z trzema „ogonami”, w ogóle się nie przejmując. I kolejno naprowadzał ich na rozmaite adresy. Rzecz jasna, żandarmeria długo nie zdejmowała mimowolnego i darmowego współpracownika. Tak długo, aż swymi wizytami zasypał również lokal Niecała 12. Wkroczyła tam cała kawalkada pobrzękujących ostrogami żandarmów. Rewizja była partacka; wypchana sowa, pełniąca rolę kancelarii partyjnej, ocalała, razem z pieczętkami! Skrytek w szafie nie znaleziono. Paczka bibuły, niedbale położona w sieni, nie wzbudziła podejrzeń. Ale w kupie starych gazet była zapomniana broszura „Sprawa mularska”, agitka dla budowlańców. Strożeckiego zamknięto w Cytadeli, wśród murarzy rozpoczęto inwigilację. Tak trafiono na Bilskiego, a on — znając sekrety partyjne — sypał jednego po drugim. Na pewien czas praca PPS zamarła, jeśli nie liczyć Piłsudskiego na dalekiej Litwie, albowiem wszystkie kontakty z kołami trzymał w ręku Strożecki.

Pogwałcono trzy zasady: nie gadać bez potrzeby, nie łązić z ogonami i nie trzymać bibuły, gdy się prowadzi organizację.

Zasady zasadami, życie życiem. „Fakir”, autor broszury o tym, jak unikać obserwacji i wywijać się szpiclom, wpadł dlatego, że próbując zgubić „ogon” polenił się i wybrał krótszą, a nie okrężną drogę.

Skądinąd, wedle Strożeckiego, konspiratorzy niekiedy przesadzali.

„Zaczęła się sztuka dla sztuki: uprawiano konspiracyjność, często nie dla potrzeby, nie dlatego, że sama robota wymagała tajemnicy, lecz dla przyjemności. Traktowano wszystkich mniej więcej tak, jak się traktuje ludzi, którym się nie ufa, jak zdrajców *in potentia*. Zdarzało się nieraz, że ludzie stojący z dala od bezpośredniej roboty daleko więcej wiedzieli szczegółów z życia partyjnego niż ci, którzy prowadzili tę robotę. Ja często dowiadywałem się rzeczy potrzebnych od 'ogonów rewolucyjnych', tj. od ludzi, którzy stale uczęszczali na wszelkiego rodzaju wieczorki 'radykalne'. Tam komunikowano sobie wiadomości o osobach należących do tej lub innej organizacji, rozkonspirowywano pseudonimy, opowiadano ostatnie wydarzenia... Te 'ogonki rewolucyjne' nazywano inaczej seksual-socjalistami i mówiono, że

to najliczniejsza 'partia'. Na wieczorkach ich było zawsze pełno, a do roboty żaden nie szedł”.

Piłsudski, na postawie swych doświadczeń tajnego drukarza, doszedł do podobnych wniosków: „Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia”. Tak pracowała łódzka drukarnia, ulokowana w przeciętnym mieszkaniu na pierwszym piętrze przy ulicy Wschodniej 19. Ona też wpadła, ale chyba przez przypadek. Zdarzenia losowe są nieuchronne, dałoby się zapewne obliczyć ich statystyczne prawdopodobieństwo. Można jednak zmniejszać je przez racjonalne środki ostrożności. Piłsudski wykpiwał konspiratorów, którzy przekradają się nocą, opłotkami, z tajemniczą miną — i w efekcie zdradza ich... rozbudzony pies. W Pabianicach do legendy wszedł przypadek bojaźliwego człowieka, który na wieść, że po mieście kręcą się żandarmi, pośpiesznie — i za płytko — zakopał bibułę, przypuszczając, iż właśnie on jest obiektem nagonki. Żandarmi w ogóle by doń nie zajrzeli, gdyby nie świnia, która wyryła bibułę i rozrzuciła ryjem po ulicy.

Rosyjska policja miała sprytnych wywiadowców i asów manipulacji, którzy umieli nawet fałszować hasła opozycji, obracając je przeciwko niej. *Głos* wydał prospekt dzieła „Socjologia dynamiczna”; któryś z agentów rozplakatował go w małym miasteczku, puszczając jednocześnie pogłoskę, że słowa te znaczą: „socjalizm to dynamit”. Prosty lud uwierzył i zapalał do socjalistów-niszczycieli straszną wrogością.

Jan Kucharzewski szczegółowo opisał w kilkutomowej książce „Od białego caratu do czerwonego” metody carskiej policji. Miała ona specjalistów, którzy biegle potrafili przenikać do organizacji spiskowych. I wcale nie po to, by je od razu i doszczętnie likwidować! Kto tak postępował, wbrew zakazowi, kariery policyjnej nie zrobił. Zadanie agenta polegało przede wszystkim na rozszczępieniu spiskowców na rywalizujące odłamy, podniecaniu antagonizmów osobistych, sianiu wzajemnej podejrzliwości. Prostsze było zadanie tych, którym instrukcja polecała po prostu usadzić się w gremiach kierowniczych, doprowadzić organizację do maksymalnego rozwoju — a następnie zgarnąć ją i posadzić. Nie do końca zresztą; dbano, ażeby jakaś część organizacji przetrwała (wraz z prowokatorem oczywiście) i działała dalej, rozrastała się — ciągle stanowiąc obiekt obserwacji.

Gdy do władzy doszedł w 1917 roku rewolucyjny rząd Kieńskiego, powołał nadzwyczajną Komisję Śledczą, która biedziła się — przesłuchując byłych dygnitarzy policyjnych — co w meto-

dach ich pracy było rutyną, a co nadużyciem. Nie zdołano precyzyjnie oddzielić normy od bezprawia, ale przy okazji wyszło wiele osobliwości. We Włodzimierzu wykryto organizację wywrotową złożoną wyłącznie z agentów, wetkniętych przez różne komórki i szczeble policyjne. Ilość raportów stamtąd płynących była oczywiście rekordowa. Agent Roman Malinowski wspinał się tak skutecznie w hierarchii socjaldemokratów (początkowo jako mieńszewik, potem bolszewik), że doszedł aż do pozycji prezesa ich frakcji parlamentarnej w Dumie (i do policyjnej pensji w wysokości 500 rubli). Jeszcze lepszy był słynny Azef, członek kierownictwa partii eserów, który osobiście zorganizował 28 prowokacyjnych zamachów, w tym na ministra Plehwe i wielkiego księcia Sergiusza; za tak imponującą aktywność inkasował 1.000 rubli miesięcznie. Na prowincji, gdzie Ochrań miała niewiele roboty, a jej agenci kiepskie szanse wyróżnienia się, radzono sobie zakładaniem tajnych drukarni, które triumfalnie likwidowano — zasługując na awanse i ordery.

Kaperowanie agentów rozpoczynano już od dzieciaków z szóstej gimnazjalnej. Ale najchętniej werbowano ich spośród złapanych spiskowców. Policja dysponowała instrukcjami, kto stanowi najpodatniejszy materiał, objawiając słaby charakter, chciwość, przestrasch lub szczególną naiwność. Takich delikwentów na dalsze rozmowy kierowano do Ochrań, która prowadziła szkolenie. Potem, po krótkiej odsiadce, jedni zostawali „uniewinnieni” i powracali do swych organizacji jako wtyczki, inni zaś nawet po kilka lat siedzieli w więzieniach, ażeby donosić na aresztantów i skazańców; za tę niewygodę płacono wyższą pensję. Najinteligentniejszym dawano złożone zadania. Zenaida Żuczenko wszywała swej towarzysze z partii eserów, Frumkinówniej, tajną kieszeń na rewolwer, z którego miała zastrzelić Reinbota, naczelnika Moskwy, a równocześnie instruowała policyjnych kolegów, jak bez wzbudzania podejrzeń mają zapobiec zamachowi.

Nie została wyjaśniona sprawa serii tajemniczych pożarów, które w maju 1892 roku wybuchały w Petersburgu, potem w Moskwie i miastach gubernialnych. Krążyły straszne opowieści... Cytowano stare przepowiednie i teksty biblijne... Pisano: „Spiskowców jest ośmiuset. W ich liczbie są literaci. O Boże!... Petersburg płonie!”. Gniew ludu kierował się przeciwko bezbożnym rewolucjonistom. Domagano się, by im odrąbywać głowy, by ich głową na dół wieszać na pręgierzach. Szef żandarmów ks. Dołgorukow złożył zaś carowi sprawozdanie:

„Pożary obudziły wśród ogółu, a zwłaszcza w klasie kupieckiej i klasie niższej tutejszej ludności instynkt samozachowawczy,

a zarazem powszechne oburzenie przeciwko podejrzanym o podpalanie niespokojnym studentom, Polakom i w ogóle przeciwko buntowniczym głowom... Takim sposobem udało się na ten raz rozproszyć chmurę rewolucyjną, która zebrała się nad ziemią rosyjską”.

Sprawców, rzecz jasna, nie ujęto. Rzeczywiście: udało się.

Permanentnie stosowano szpiegowanie skupisk emigracji polskiej. Była to dobra metoda, bo pozwalała uchwycić nici spisków krajowych oraz łąpać emisariuszy. „Walka z emigracją polską na terenie zagranicznym było to prawdziwe seminarium dla policji politycznej rosyjskiej — pisał Jan Kucharzewski. — Dążeniem maksymalnym policji i idącej z nią ręką w rękę dyplomacji było spowodowanie emigrantów z powrotem do kraju, drogą ułudnych obietnic, szerzonych przez agentów, lub drogą pogarszania moralnych, materialnych i politycznych warunków istnienia emigracji, przez szerzenie i zaognianie wewnętrznych waśni, przez utrudnianie wszelkimi sposobami otrzymywania zasiłków od obcych państw i społeczeństw, przez domaganie się od państw obcych wydalania emigrantów z ich terytoriów i skazywanie tą drogą wychodźców na tułanie się z kraju do kraju”. Osobliwym przypadkiem był poeta francuski Lucjan de la Hodde, autor natchnionych strof na cześć Polski, które drukował w piśmie *La Réforme*. Otóż tym samym gęsim piórem pisał do władz carskich donosy na polskich emigrantów, a następnie wydał broszurę, w której motywował swój „przykry obowiązek” denuncjowania — poczuciem patriotyzmu oraz chęcią zapobieżenia „ryczącej anarchii”. Trudno o większą wszechstronność pisarską.

Prefekt paryskiej policji Gisquet pozostawił pamiętniki, w których rozwodził się o kłopotach, jakich przysparzali mu nieznośni polscy emigranci; było wśród nich wielu włóczęgów, awanturników, nawet ludzi o kryminalnej przeszłości, podszywających się pod miano emigrantów politycznych. Dodaje, że policja kontrolowała ich dość pobłaźliwie, lecz nie pisze — dlaczego? Otóż istniało ciche porozumienie między policją francuską a rosyjską, która właśnie wśród tych mętów zdobywała obserwatorów. Broniąc się, polscy emigranci zorganizowali pod paryską prefekturą własną obserwację, aby ujawniać, kto się podejmuje funkcji wywiadowczych. Niewykluczone, sugeruje to Gisquet, że nieszczęsna wyprawa Zaliwskiego do Polski w 1833 roku była „pilotowana” przez agentów trzech mocarstw zaborczych — chociaż Kucharzewski sądzi, że raczej obce czynniki tylko wykorzystają to szaleńcze przedsięwzięcie, a nie były inspiratorami.

Po Powstaniu Styczniowym do koszar w Bazylei, gdzie umieszczono polskich wychodźców, przybył, podając się za emigranta, niejaki Julian Samiński. Polacy, coś podejrzewając, zrewidowali go siłą — i znaleźli dowody, że jest rosyjskim szpiegiem, posłanym w trop za nimi. Okazało się przy tym, że Samiński dorabiał sobie... szmuglem łańcuszków do zegarków. Był tak przestraszony, że sygnął swych kolegów-szpiegów w wielu miastach Europy, a także we Lwowie i Krakowie, bo dodatkowo współpracował z policją austriacką. Wywiadowcą znacznie wyższej klasy był Juliusz Bałaszewicz, wierszokleta i antykwarysta, który — podając się za hrabiego Alberta Potockiego — kilkanaście lat obserwował emigrację paryską, potem londyńską; przechodziła przez jego ręce korespondencja między krajem a emigracją, szczególnie interesująca w okresie przygotowań do Powstania Styczniowego. O jej treści powiadał policję angielską i francuską, te zaś przekazywały informacje o knowaniach Polaków do użytku rządów rosyjskiego i pruskiego. Policja rosyjska lepiej знаła poczynania Polaków w zachodniej Europie, niż w Kongresówce, nieobce jej były nawet najtajniejsze listy Komitetu Centralnego Narodowego. Bałaszewicz stał się wreszcie tak bezczelny, że prowadził jako „prezes towarzystwa emigrantów polskich” korespondencję z... Karolem Marksem i chełpił się w listach do swych policyjnych mocodawców, że gdyby tylko miał środki, wysadziłby Marksa z Międzynarodówki i opanował także tę organizację!

W trakcie rewolucji 1905 roku coraz sprawniejsza Ochrona zagaściła szpiegowską siatkę, lecz konspiratorzy rozrzedzili ją kontrterrorem. Zabito nieznanego z nazwiska agenta z Wilna, który w Warszawie wśliznął się do SDKPiL i namierzył Juliana Marchlewskiego, gdy ten przypadkiem spotkał na ulicy i wbrew prawidłom konspiracji przywitał się z szefem tajnych drukarni partyjnych „Flora” Żakowskim, będącym pod obserwacją. Także wśród pepesowców działało kilku agentów, byłych członków Organizacji Bojowej. Niejaki Sukiennik zorganizował „Socjalistyczno-Społeczną Organizację Bojową” — i całą zadenuncjował. Sankowskiego i Dyrca, którzy wydali wielu kolegów, udało się zwabić do jakiejś restauracji i naszpikować kulami. Jaroszyńskiego, osadzonego w twierdzy brzeskiej, by donosił na współwięźniów, ci ostatni powiesili na kracie. Gutta, który kolejno był we wszystkich organizacjach robotniczych, nim zadamowił się w SDKPiL — zdemaskowano jako prowokatora dopiero w 1917 roku.

W Zagłębiu zdrajca Krawczyk wsypał ponad sto osób, w tym — własną narzeczoną. Brak informacji, czy zaręczyny zerwano.

— Proszę pani, czy to prawda, że nie można zrobić powstania, bo Moskale wykopali doły pod Warszawą i wysadzą całe miasto w powietrze?

— Nieprawda Helu, możesz spokojnie przygotowywać powstanie.

(Ze wspomnień Heleny Radlińskiej, z 1 klasy szkoły Czarnockiej w 1888 roku; nauczycielką była Maria Weryho).

Była to wtedy wyjątkowa nauczycielka. A prywatne pensje dziewczęce były ostatnimi szkołami, w których nauczycielstwo starało się nie zrywać emocjonalnego kontaktu z młodzieżą. W szkołach rządowych było znacznie gorzej. Złe też było w domach rodzicielskich.

Radlińska:

„Starsi traktują nieostrożność — jak zbrodnię. Czy ich uprzedzać o grożącym niebezpieczeństwie? Domyślając się zaledwie, potępiają. Cóż będzie potem? — Dlaczegoś nie odprasowała letniej sukienki? — pyta Matka. Czy odpowiedzieć, że zapewne w niedzielę będę w Cytadeli?”

„Konspirowanie stawało się w tym okresie koniecznością duchową młodych. Tylko w podziemnym nurcie życia społecznego wyładowywała się nasza energia”.

No i w psikusach. Nauczyciel Roźdżestwienski kazał dziewczynkom wykuć: „Chełm jest ośrodkiem prawosławia”. One gdzieś wyczytały że „W Chełmie jest cegielnia” — i powtarzały to jedna po drugiej przy tablicy. Wszystkie dostały pałę.

Podobne wspomnienia są charakterystyczne dla młodzieży kilkunastu gimnazjów Kongresówki. To znaczy dla drobnego promila ówczesnego społeczeństwa. Dalece nie cała młodzież miała zresztą podobne odczucia. Były to czasy, w których dopiero po maleńku odradzała się determinacja Polaków.

Pytanie, na które nigdzie w teorii nie ma satysfakcjonującej odpowiedzi: od jakiego momentu naród podbity, poddany wynaradawianiu, przestaje być zdolny do samoobrony, zaczyna się definitywnie wtapiać w organizm okupanta? Gdzie jest *point of no return*, który zapoczątkowuje zanik zdolności oporu, wytrwania przy własnym języku i tradycji? Każdy z wielkich narodów europejskich — Rosjanie, Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi — wciął i wchłaniał różne wspólnoty, niekiedy zbliżone etnicznie, niekiedy odrębne, po których nie zostało śladu bądź przetrwały zaledwie relikty folklorystyczne i dialektologiczne. Nawet Polacy w dalekiej przeszłości zasymilowali Pomorzan, których resztówką

są Kaszubi, Ruś Czerwoną, dopomogli wytepić krnąbrnych Jaćwięgów. Ich pobratymców Litwinów od spolonizowania uchroniły tylko rozbiory.

Fenomen wytrwania Polaków jest wszechstronnie opisany przez historię i literaturę. Mało kto natomiast podnosił ten fakt, że u schyłku czasów rozbiorowych oporność polska była już skrajnie nadwątlona — we wszystkich warstwach społecznych i każdym z zaborów. W austriackim istniały co prawda warunki ocalenia języka i kultury, gdyż monarchia Habsburgów dawno minęła fazę ekspansywności, ale wiara w odbudowę Polski i tam ustępowała serwilizmowi.

Rusyfikacja Kongresówki, szczególnie od pogromu Powstania Styczniowego, poczyniła w polskości ogromne wyłomy. Już nie tylko duch niepodległości zanikał, ale słabło nawet elementarne poczucie identyfikacji narodowej. Carat pracował systematycznie nad wymazywaniem polskiego języka i faworyzowaniem prawosławia. Szkolnictwo średnie obsadzono nauczycielstwem rosyjskim lub zruszczonym, zaś podstawowe polskim wprawdzie, lecz rekrutowanym spośród chłopstwa, które nie miało samowiedzy narodowej. Bez certyfikatu chłopskiego pochodzenia, podpisanego przez wójta, trudno było dostać się do seminarium nauczycielskiego, w którym adeptów poddawano tak intensywnej tresurze, że tylko nieliczni zachowywali związek z polskością i skłonni byli ją ewentualnie przesączać do umysłów młodzieży. Uczono ich z historii Hłowajskiego, że dzieje świata były jednym pasmem rosyjskich triumfów, a z geografii Lebiediewa, że Rosja zajmuje jedną szóstą świata, zaś mieszka w niej, oprócz panującego narodu rosyjskiego, 111 plemion, a to: Tatarzy, Samojedzi, Mordwińcy, Polacy, Kirgizi, Czuwasze i wiele innych. Zresztą te przedmioty nie były faworyzowane, cały wysiłek profesorów w granatowych mundurach z żółtymi guzami kierował się na wyuczenie do perfekcji języka rosyjskiego. Polskiego była jedna godzina na tydzień — i to nadobowiązkowa, która polegała na tłumaczeniu tekstów na rosyjski. Seminarium celowo umieszczono na głębokiej prowincji, z dala od polskich centrów kultury. Czytania polskich książek rygorystycznie zabroniono seminarzystom, natomiast ich chóry śpiewały w kościołach „Boże caria chrani!”, co nawet prostych i posłusznych kmieci wymiatało często ze świątyni. Uczniowie prawosławni, których proporcja rosła, dostawali lepsze stopnie, a potem posady.

U schyłku XIX wieku imperialna potęga Rosji sięgała zenitu, co ze słabszych serc do reszty wypłukiwało narodowe sentymenty. Fachowcy i finansisci z całej Europy ciągnęli jak ćmy do bogactw

syberyjskich, zakładali huty, fabryki, koleje, telefony, kopalnie cennych kruszców, wspomagając rosyjską *prosperity*. Przed kniaziami, którzy garściami rzucali złote imperiały, płaszczyli się zachodni ciułacze. Prezydent Francji Poincaré, król Włoch Emanuel III, cesarz Wilhelm II konkurowali w Petersburgu o polityczne alianse, władcy bałkańscy składali Mikołajowi II dziękczynne hołdy za ochronę przed Turkami, a czeski przywódca Kramarz perswadował Polakom, by wreszcie przestali się swarzyć z Imperatorem i realnie patrzyli na przyszłość swoją i całej Słowiańszczyzny. To się idealnie zgadzało z carską doktryną zjednoczenia Słowian, czemu tylko wredne Lachy stały na przekór, więc trzeba ich było ostro przymuszać do uległości.

Rusyfikacja polegała nie tylko na narzucaniu języka rosyjskiego. W skuteczność takiego zabiegu mógł wierzyć co najwyżej prymitywny kurator Apuchtin, którego Mikołaj II nagradzał za „gorliwe i nieugięte dążenie do zapewnienia w licznych szkołach kraju znajomości języka rosyjskiego i nieustanne starania o podtrzymanie łączności z Cesarstwem drogą przyswojenia zasad państwowości rosyjskiej”. Mimo wszystko społeczność polska ciągle broniła się. Jej unarodowione kręgi świadomie bądź instynktownie sakralizowały książki bez stempla cenzury, a wszyscy skupiali się w kościołach. Aliści i od tych gestów były coraz liczniejsze odstępstwa. Zdarzali się rodzice, co wyrwali dzieciom z rąk polskie książki, żeby nie traciły czasu i rozumu.

Kościół spełniał rolę dwojaką, niejednoznaczną. To, że arcybiskup warszawski Popiel w orędziu do duchowieństwa bezwzględnie potępił bunt młodzieży przeciw rusyfikowaniu jej — można złożyć na karb starczej demencji, która na ogół łączy się z tchórzostwem; miał wtedy 80 lat. Nie był to jednak odosobniony przypadek klerykalnego lojalizmu, który sięgał od wikarych po infułatów. Drugą stroną medalu jest powszechnie znany i uznawany fakt, że chociaż Kościół nie był ostoją niepodległościowych idei, to jednak był miejscem, w którym publicznie rozlegała się polska mowa. Słowa Karola Libelta, że „naród żyje, dopóki język jego żyje” — doceniano. Ale była to dewiza dalece niewystarczająca dla zniewolonego narodu.

Groźniejsze bowiem, niż rusyfikacja językowa, było spustoszenie moralne i intelektualne, produkt szczególnego doboru rosyjskiego nauczycielstwa do szkół *Priwislenja*. Stanowili oni galerię szumowin: pijaków, łapowników, niewyżytych szpiclów i sadystów, nieuków, karcarzy, którzy *gros* wysiłków kierowali na kształtowanie wśród młodzieży konformizmu, lizusostwa i donosicielstwa. Apuchtin wiedział, co robi, zalecając im poufnie,

by „ogłupić Polskę do poziomu Rosji”. Nawet rosyjski dziennikarz z pisma *Rus* (wyjątkowo przychylnego Polakom) dostrzegł, że „szkoła nasza w Królestwie Polskim wypuszcza w życie ludzi moralnie wykoszlawionych”. Nawet oficer żandarmerii Margrafski oburzał się, że władze szkolne „przez jakieś niezrozumiałe aberracje umysłowe” wystawiają na urągawisko wszystko, co polskie, wmawiają uczniom, że Polak — to istota niska, godna pogardy, a byle jaki Rosjanin jest protegowany i stawiany za wzór. Margrafski był uczciwym człowiekiem. Pisał, że „zgnieść naród, mający wielowiekową, niepozbanioną sławę historię, swój zupełnie wydoskonalony język, swoją wysoko rozwiniętą literaturę i sztukę — to przecież zamiar szalony”. Czyż Margrafski nie pojmował, że długotrwałe sęczenie obrzydzenia do polskości i gloryfikacja rosyjskości jest skuteczniejszą metodą niszczenia ducha oporu, niż policyjne represje?

Na szczęście, dzięki nieprzewidywalnym obrotom historii, która częściej nagradza walczących niż biernych — do wynarodowienia *en bloc* nie doszło. Nie doszło doń w wielkiej mierze dlatego, że gimnazjaliści i studenci nie zawierali starszym, którzy nakazywali w rezygnacji czekać, aż Opatrzność (*vel* szczęśliwy los, *vel* „niezłomne prawa historii”) odmieni ogólną sytuację geopolityczną — i śmiało wyszli na spotkanie dziejowego procesu rozpadania się zmurzałych tyranii. Mogło być bowiem i tak, że Wielka Wojna przyniosłaby upadek trzech cesarzy, lecz na nadwiślańskiej ziemi nie byłoby już ludzi zdolnych i chętnych do budowania Niepodległej. To, że takich stawilo się wielu — gdy Historia dała im szansę — było zasługą tej części młodzieży, która hołdowała zasadzie: walczyć choćby bez nadziei. Wśród młodych była to postawa znacznie powszechniejsza, aniżeli w starszym pokoleniu, przerażonym nie tyle widmem zruszczenia, co trudnościami egzaminu konkursowego i wysokością wpisu do gimnazjum, które częściowo chroniło przed poborem w sołdaty.

Trafnie napisała Radlińska: „Bohaterstwa oczekiwać nie można od wszystkich. Sumienie zbiorowe, zbyt znieczulone, tolerowało niejedno. Niewola sprowadziła zamęt w pojęciach moralnych”.

Najmniejszy wśród tych, co nie żyli zdrowym rozsądkiem, ale uczuciem — połączonym ze zbawienną przekorą. Dzieci nie kalkulowały, tylko knuły. Już ośmioletnie dziewczynki wiedziały, że kajety „z polskim” nosi się pod bluzeczką. To bardzo cenna wiedza — tak jak dobre stopnie ze sprawowania były i są ostrzeżeniem: rośnie malutki oportunistą.

Wiadomo, że w momentach decydujących apatyczna większość

przyląca się do ryzykantów, przynajmniej ich podpira. Żeby jednak te momenty umieć wykorzystać — a niekiedy stworzyć — nieodzowne jest działanie niepokornych. Jeśli ich nie ma lub jest za mało, historyczna szansa przepadnie, albo się nie zjawi w ogóle.

W 1930 roku podczas obchodów ćwierćwiecza uczniowskich strajków, prawica podniosła larum, że ich idealizowanie będzie „złym przykładem dla dzisiejszej młodzieży szkolnej; czas największy dla ostatecznej likwidacji kultu spisków, powstań, strajków szkolnych”.

Innego zdania był Piłsudski. Przy analogicznej okazji powiedział:

„Od młodości kładziono mi w uszy przysłowia, które miały wyrażać mądrość narodu: Nie dmuchaj przeciw wiatrowi! Głowę muru nie przebijesz! Nie porywaj się z motyką na słońce!

Otóż trzeba pamiętać, że jeżeli jakiegokolwiek marzenia mają się urzeczywistnić, to tylko drogą zaprzeczenia tych mądrych przysłów. A więc: Dmuchać przeciw wiatrowi! Głowę muru przebijesz! Porywaj się z motyką na słońce!”.

O tym, jak młodzież walczyła przeciw carskiej i pruskiej szkole, oraz o setkach wspaniałych wychowawców, którzy wyłamałi się z etosu pokory i ugody, pisano od pierwszych lat Niepodległości monografie, powieści, wspomnienia. Streścić je — to napisać nową książkę. Nie ma sposobu, by chociaż pobieżnie scharakteryzować tu najzasłużeńszych pedagogów i ich inicjatywy edukacyjne, obejmujące w systemie tajnym lub półtajnym wszystkie szczeble oświaty, od „bosych uniwersytetów” — elementarnych szkółek dla biedoty, które często mieściły się w robotniczych suterrenach, aż po „uniwersytety latające”, namiastkę wyższych uczelni. Podziemna oświata rzeczywiście była polską specjalnością, rozwinęła się na skalę niespotykaną w świecie — pomimo kar za organizowanie jakichkolwiek form tajnego nauczania. Skądinąd, surowość caratu nie była przesadna, zagrożenie sięgało grzywny 300 rubli lub 3 miesięcy aresztu.

Jednego nazwiska pominąć jednak nie można: Konrada Proszyńskiego (Promyka). Napisała o nim Sempołowska, że przez 30 lat pracy nauczycielskiej nauczył czytać po polsku pół miliona ludzi.

Gdy miał 5 lat, niezatarte wrażenie na nim sprawiła rewizja, jakiej w domu rodzicielskim dokonała policja, przetrząsając wszystkie książki i papiery. Potem zabrała ojca do więzienia. Dzieci długo pamiętają takie sceny. Wiedzą potem, przeciw czemu walczyć.

Następnie sekwencja zdarzeń typowych. Rodzinne opowieści,

jak to babcia z partią kosynierów nad Wilejką Moskali cięła. Kolejne powstanie, oglądane oczami dwunastolatka: łuny pożarów i płacz matek. Wywózka ojca na Sybir. Pobyt u niego, w Tomsku, na osiedleniu. Przyjaźń ze Stanisławem Witkiewiczem, później słynnym malarzem i Władysławem Kozłowskim, filozofem. Samotny powrót do kraju — samokształcenie i praca zarobkowa, by móc kupić książki. Upragniony uniwersytet. Zakładanie Towarzystwa Oświaty Narodowej. Organicznikowski wyjazd na głuchą wieś, oszołomienie ciemnotą, jaką tam zastał. I mocne postanowienie: napiszę elementarz, ale taki, by każdy mógł się sam nauczyć czytać. Napisał ich wiele, coraz doskonalszych, ostatni miał 49 wydań za życia Promyka. Angielskie towarzystwo pedagogiczne, po analizie kilkuset elementarzy z różnych krajów świata, jego uznało za najlepszy. Redagował ponadto *Zorzę* i *Gazetę świąteczną* — czasopisma oświatowe, związane z narodową demokracją, której był stronnikiem.

Postępowe Towarzystwo Oświaty Ludowej, konkurujące z rozgałęzioną siatką instytucji oświatowych Ligi Narodowej (sama Macierz Szkolna miała 781 kół, działały ponadto TON, Towarzystwo Tajnego Nauczania, Koło Kobiet, ZET, „Kilińszczacy” i inne) jako swój główny cel obrało „odtruwanie” nauczycielstwa wiejskiego.

Za czasów Apuchtina nauczyciel szkółki ludowej był zazwyczaj zruszczony do tego stopnia, że nawet w domu wstydził się mówić po polsku. Dwór i plebania, gdzie jeszcze polskość kołatała, uważały go za wroga i szubrawca, gorszego od Moskala. *Głos*, zanim stał się organem endecji, zabrał się do naprawiania ludowej oświaty, działając metodą wykorzystywania form dozwolonych: zakładał kursy ogrodnicze i pszczelarskie, koła piwowarów, gorzelników i organistów, w których udzielano instruktażu po polsku, o fachowość nie troszcząc się zanadto. Nauczycieli, jako straconych, zrazu omijano.

Nie przynosiły efektów starania wybitnego pedagoga, Jana Władysława Dawida, wskazującego na priorytet pracy wśród nauczycielstwa. Przełom nastąpił dopiero w tym dniu, w którym odbywała się żałobna pompa odsłonięcia pomnika Mickiewicza za kordonem wojska. Jak to w Polsce bywa, postępowi opozycjoniści zgromadzili się w tym czasie w knajpie Stępkowskiego na placu Teatralnym. Był sam Świętochowski, był Rafał Radziwiłłowicz, Stanisław Posner, Waclaw Męczkowski — i Sempołowska, rzecz jasna, której nigdzie nie mogło zabraknąć. Wbrew Świętochowskiemu, który wyrażał sceptycyzm co do możliwości pracy wśród wieśniaków, postanowiono skoncentrować wysiłek

na spolszczeniu wiejskich nauczycieli. Zaczęła się ostra rywalizacja między obozem narodowym, który wystawił do tej akcji „Ojca Prokopa” — Aleksandra Zawadzkiego, a postępowcami, których głównym eksponentem stał się Stefan Brzeziński, wspierany przez Panią Stefanię i Dawida, oraz pół tuzina innych radykałów. W 1899 roku Towarzystwo Oświaty Ludowej zgromadziło po raz pierwszy dużą grupę ludowych nauczycieli w mieszkaniu malarza Kosikiewicza; był to ich chrzest patriotyczny, sfinansowany przez warszawskich rzemieślników, będących jedną z ostoi polskości. Najzdolniejszych kierowano na letnie kursy do Zakopanego, na swoisty trójzaborowy uniwersytet, zorganizowany przez krakowskiego profesora Odo Bujwida. Tam słuchali wykładów najteższych uczonych: Limanowskiego, Kelles-Krauz, Brzozowskiego, Posnera, Gumpłowicza, Feldmana — i sala „Morskiego Oka” trzeszczała w szwach.

Były to już czasy narastania fali rewolucyjnej. Od 1900 roku rysował się wyraźny przełom w postawach młodszej generacji. Towarzystwo Pomocy Więźniom Politycznym, Oświata Robotnicza, koła etyków miały setki działaczy; szeroko czytano socjalistyczny *Przedświt* i feldmanowską *Krytykę*, nielegalna książka i bibuła przestały być zdrożną sensacją. Gubernator warszawski alarmował rząd, że wpływ tajnego nauczania objął 33 % ludności kraju.

Szczególność okoliczność skłania mnie, by przejść teraz z szerokiej panoramy na portret rodzinny. Do organizatorów strajku szkolnego w 1905 roku, a później do „oświatowców” związanych z lewicą obozu niepodległościowego — należał mój Ojciec, Witold. O jego działalności istnieją liczne pamiętnikarskie relacje.

Uczył się w gimnazjum lubelskim. W tej szkole powstało najpierwsze w Kongresówce — już w 1881 roku — tajne koło samokształceniowe, które wydawało uczniowskie piśmiennictwo, mimo że szkołą kierował jeden z najsławniejszych rusefikatorów Singalewicz, kreatura wyjątkowo obmierzła. W 1901 roku w mieszkaniu moich dziadków zaczęło się zbierać nowe koło uczniowskie; czytano Mickiewicza, historię Lewickiego, „Syzyfowe Prace”. W rok później dochodzi do pierwszej awantury, w czasie nakazanej przez szkolne władze uroczystości sadzenia drzewek. Gdy orkiestra zagrała hymn — uczniowie, na oczach struchlałego tłumu i dostojnych władz carskich, nie zdjęli czapek! Potem cała banda przeszła ulicami, śpiewając „Hej bracia wraz, nad nami Orzeł Biały!”. Na tym nie koniec. Mój ojciec, którego pamiętam jako uosobienie spokoju, powagi i pogody ducha, okazał się, nie-

stety, rozwydrzonym wyrostkiem: z piątką kolegów wytłukł wszystkie szyby w gimnazjum! Żandarmi złapali go, gdy osłaniał ucieczkę współwinowajców — sam był niewysportowany — i został wylany na zбитy łeb, czemu się trudno dziwić. Na szczęście, mimo trójki ze sprawowania i fatalnej opinii (*skwiernoje naprawlenie mysli*), przyjęto go do 5 klasy progimnazjum w Pułtusku. Tam kontynuował uczniowskie konspirowanie i po przysiędze, „od której włos się jeżył” wszedł do zarządu organizacji, w której tajnie, w lasach za Narwią, uczono się polskiego, historii i krajoznawstwa. Przez takie kółka przeszli niemal wszyscy działacze wszystkich obozów ideowych. W rok później był już prezesem, po odsunięciu od władzy kolegów związanych z endecją i czytających *Polaka*. Od tej pory lekturą samokształceniową stały się podziemny *Robotnik* i źle widziane radykalne *Ogniwo*. Dostawcą zdrożnej literatury był cichy opiekun Pułtuszczyan — sławny krajoznawca Aleksander Janowski, człowiek-instytucja, który sam jeden nie tylko zaszczepił w tysiącach młodzieniaszków pasję poznawania własnego kraju, nieobecnego w szkolnych podręcznikach, ale każdemu z nich przysyłał marszruty wypraw „odkrywczych” wraz z wiadomościami o miejscach historycznych i z adresami osób, u których wędrownik znajdzie chętną gościnę. Wrócali „nadyszczani polskością” — odmienieni; już wiedzieli, że to, co zobaczyli, jest w ł a s n e, a to, co im wpaja nauczyciel — obce.

Pod koniec stycznia 1905 roku do ojca przybył emisariusz spiskowy Centralnego Koła Uczniowskiego, Bohdan Winiarski (po drugiej wojnie sędzia Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze). Przywiózł polecenie: 3 lutego strajk w całym Królestwie, z żądaniem spolszczenia szkolnictwa. Ojciec zwołał wiec... na ślizgawce. Zapadły decyzje organizacyjne. Już nazajutrz po raz wtóry wyleciał z gimnazjum, wraz z nakazem natychmiastowego opuszczenia Pułtuska. To znakomicie podniosło temperaturę protestów młodzieży i przyczyniło się do powodzenia strajku. Gimnazjum opustoszało, lecz komitet strajkowy rozmieścił całą młodzież po okolicznych dworach, gdzie uczyli się — po polsku — na kompletach prowadzonych przez korepetytorów z najstarszych klas.

Ojciec znów był w Lublinie — i w jego mieszkaniu schronili się koledzy-zamachowcy, którzy w piwnicy gimnazjum eksplodowali bombę, by w ten prosty sposób unicestwić próby złamania akcji strajkowej. Bomba okazała się za słaba, gmachu nie zwała. Nikt też nie ucierpiał, a policmajster Ulrich nie złapał sprawców.

Ojciec wpadł dopiero później, już za wywrotową działalność

w Związku Młodzieży Socjalistycznej, która też się wiązała z bojkotem szkół rządowych.

Działacz oświatowy Teofil Wojeński (prezes ZNP w latach 1956-1960) pisał przed wojną, że znaczenie strajku szkolnego sięgało poza zdobycze na polu szkolnictwa: „Zdobyta została postawa czynna, która bezsprzecznie odegrała wybitną rolę w kształtowaniu się i rozpowszechnianiu ideologii niepodległościowej... Temu pokoleniu przyświecał ideał Polski Mochnackich i Lelewelów, ideał Polski, która w polityce europejskiej stanie się strażniczką wolności społecznej i obywatelskiej”.

Uwadze współczesnych historyków często umyka dwoistość zmagania, jakie musiała toczyć młodzież — przeciw rusyfikacji i zdeprawowaniu, ale zarazem przeciw własnym rodzicom, w większości zaczadzoną ugodową ideologią Dmowskiego. We wspomnieniach uczniów nuta żalu do starszego pokolenia jest wręcz dominująca. Szkoła carska wyrwała przepaść między nimi a ojcami. Tragedią były nie tyle carskie represje, które młodym dodawały aureoli, co zerwanie emocjonalnej więzi z rodzicami. Pokolenia, co zdarza się w Polsce dość często, straciły wspólny język.

W animowej broszurze z 1910 roku jakiś młody autor pisał:

*O najszczytniejszy tytule na ziemi,
Rodzice! Serca gdzież macie, gdzież duszę?*

.....

*Wy, bez sumienia, i serca i woli
Wy, nieświadomi rodzicielskich ustaw
Niewolniczego dostawcy towaru!*

Inny autor w szkolnym lubelskim pisemku *Ver Sacrum* uderzył, w chwili wybuchu strajku, w ton podobny:

„O rodzice! Jakże mi was żal, jeśliście mieli nadzieję, że zdobędziemy szkołę społeczną, szkołę polską bez ofiar, bez straty roku, bez wydalenia, bez zwicniętej kariery! Jeśliśmy chwilę jedną myśleli, że nie umarły w Was wszystkie altruistyczne podobki, to *nostra culpa, nostra maxima culpa*”.

Ale niechęć wobec ojców nie rozciągała się na matki! Bo kiedy ojcowie, w trosce o kariery synów, zmuszali ich do powrotu na gimnazjalne ławki (niekiedy w asyście policjanta!) — matki w bolesnym niepokoju dbały, żeby ratować dzieci od zmoskwienia. Matczyna czułość zwyciężała ojcowski pragmatyzm — ocalając sumienia i umysły młodzieży; ocalając polskość. Nie było przypadkiem, że wśród wspomniałych pedagogów tamtych lat po-

czesne miejsce zajmowały panie Iza Moszczeńska, Stefania Sem-
połowska, Cecylia Śniegocka, Helena Radlińska, Maria Dzierżan-
owska, Helena Ceysingerówna, Jadwiga Jahołkowska, Aniela
Szcówna, Władysława Szymanowska, Emilia Pankiewiczówna i
wiele innych nie mniej zasłużonych.

Strajk szkolny był pochodną tych samych nastrojów, które
w 1905 roku wywołały rewoltę robotniczą. Bezpośrednim im-
pulem obu buntów były zwycięstwa Japończyków, którzy bili
rosyjskie wojska i niszczyli mit o niezwyciężoności caratu. Ale
młodzież miała bodziec dodatkowy: przykład bohaterstwa dzieci
z zaboru pruskiego, które od czasu bestialskiej, masowej chłosty
we Wrześni w 1901 roku nie ustawały w bojkocie prowadzo-
nych po niemiecku lekcji religii. Trwał ten opór siedem lat;
strajki uczniowskie wygasły i znowu rozplomieniały się na całą
Wielkopolskę, przierzuciły na Pomorze, nawet na Śląsk, daleki
od entuzjazmu dla polskośći. W fazie szczytowej, w roku 1907,
strajkowało 131.600 dzieci, które nie dały się złamać batoże-
niem i zastraszaniem; a rodzice z potępińczym uporem płacili
coraz wyższe kary i odsiadali areszty. Na Pomorzu zdarzało
się, że dzieci z krnąbrnych rodzin zabierano do poprawczaków.

Identyczne praktyki rozpoczęły władze rosyjskie we wschod-
nich powiatach Kongresówki, wprowadzając rosyjski na religię
— wbrew nawet carskiemu ukazowi z 1865 roku. Przeciwdzia-
łanie podjął narodowy ZET, śląc emisariuszy do gimnazjów, w
których działały kółka samokształceniowe. Zimą 1902 roku pod-
niosła protesty młodzież w Zamościu i Siedlcach; władze odpo-
owiedziały represjami. Na nic zdało się powoływanie na rosyjskie
gazety, które wszak potępiły *Kulturkampf* i pogrom we Wrześni,
litując się nad biednymi dziećmi polskimi, że nie mogą pobierać
religii w ojczystym języku... Z gimnazjum siedleckiego wydalono
27 uczniów. Dzięki interwencji biskupa Jaczewskiego, który
udzielił młodym zdecydowanego poparcia (*Non possumus* — po-
wiedział — „Nie możemy ustąpić!”) resztę wypędków — ogółem
202 — potraktowano łagodniej; mogli wrócić do szkoły, i to bez
wymaganego początkowo pisemnego zobowiązania, że godzą się
na naukę religii po rosyjsku.

Niedaleko Siedlec, w tej samej diecezji, leży wioska Miętno...

Wydarzenia siedleckie — to były przedbiegi. Walka na ostro
zaczęła się 3 lutego 1905 roku, w kilka dni po masowym strajku
robotniczym, ogłoszonym przez CKR PPS. Po długich przegotowa-
niach uczniowskiej „Centralizacji” i namiętnej agitacji, jaką
prowadziła grupa „Kuźnicy” Andrzeja Niemojewskiego i Izy
Moszczeńskiej — młodzież kilkunastu gimnazjów po pierwszej

lekcji po prostu poszła do domu. W niektórych szkołach nie stawiano żadnych żądań i władze zachodziły w głowę — o co właściwie chodzi? — w innych powiedziano wyraźnie: nie wrócimy do nauki, dopóki będzie prowadzona po rosyjsku.

Spółceństwo osłupiało jeszcze bardziej, niż carscy czynownicy. Zaskoczenie było tym większe, że za młodzieżą stanęła duża część nauczycielstwa, o którym sądzono, iż ma mózgi całkiem wysuszone. Zdezorientowane i wystraszone władze (pamiętajmy: w całym Imperium trwały już strajki i zamieszki, pachniało rewolucją) zezwoliły, po raz pierwszy od 40 lat, odbyć w Warszawie masowy wiec — rodziców — ażeby skanalizować podniecenie. 19 lutego w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zgromadziło się półtora tysiąca ludzi. Zjawił się sam kurator Szwarz, bardzo butny. Stracił pewność siebie, gdy po jego słowach: „W przywiślańskim kraju” — wybuchła burza protestów. „Nie ma przywiślańskiego kraju, jest Polska! Polska!” — wrzeszczeli ojcowie-realiści, którym parę dni temu do głowy nie przychodziło, że nagle staną się odważni.

Temperatura udzieliła się wszystkim, oprócz mec. Nowodworskiego, który rzekł: „Lepsza szkoła zła, niż żadna”. Zakrzyczano go. Nawet przeciwnicy strajku, jak Ignacy Chrzanowski, historyk literatury — przemawiali, choć powściągliwie, za strajkiem. Jeden z następnych — Niemojewski, powiedział tylko jedno zdanie:

„Co tu dużo mówić — zebraliśmy się, by oświadczyć, że nie chcemy szkoły obcej, chcemy szkoły własnej, z polską mową, polską duszą!”.

To był grom! Wszystkich nagle porwała patriotyczna euforia. Szwarz wyszedł roztrzęsiony. Radzono dalej — już spokojniej.

I rozsądniej, ugodowiej... Więc poparł ostatecznie jedno, zasadnicze żądanie młodzieży: spolszczenia szkół, gdy „Centralizacja” gimnazjalistów domagała się ponadto społecznej kontroli nad oświatą, zniesienia policyjnego nadzoru oraz ograniczeń stanowych, religijnych i narodowościowych, a także przyznania młodzieży prawa swobodnego zrzeszania się. Te postulaty dyplomatycznie przemilczano.

Po kilku dniach starsza generacja ochłonęła tak dalece, że zaczęła się wycofywać rakiem i kombinować, jakby się ułożyć z władzami. Arcykapłan wszystkich odłamów socjalistycznych, Ludwik Krzywicki, opowiedział się przeciw strajkowi! Apostoł postępowców, Świętochowski: „Nierozwaga, brak wyczucia rzeczywistości”. Szymon Askenazy: to czyn obłądny. Sienkiewicz, zrazu przychylny strajkowi, szybko zmienił pogląd: „Nie zacinac

się w wielkim i nieszczęsnym narodowym błędzie". Największe autorytety moralne potępiły patriotyczny bunt młodzieży! Iden-tyczne stanowisko zajęła socjaldemokracja, a wkrótce też, po rozłamie, PPS-Lewica.

Nawet w Galicji, gdzie można było gadać prawie wszystko, strajk Królewaków przyjęto niechętnie. Stanisław Tarnowski: „Język polski, jeżeli może być otrzymany, to nie może być wymuszony masowym oporem uczniów”. Kazimierz Morawski: „Jest to krok fałszywy i dziwnie lekkomyślny”. Krakowski Czas wyraził obawę, że ta generacja nie przyniesie zbyt wielkiej po-ciechy społeczeństwu... Zdecydowanego poparcia młodzieży z ro-syjskiego zaboru udzieliła natomiast PPSD Daszyńskiego, organi-zując uliczne pochody. On sam wygłasza wielką mowę, w której atakuje Koło Polskie do parlamentu wiedeńskiego, gdyż głosiło ono, że w Warszawie... wcale nie walczą o prawa narodowe.

Zdecydowanie za młodzieżą opowiada się PPS. W Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie w jednej ze szkół młodzież zamknięto pod kluczem, przyszedł jej w sukurs pochód robotniczy, wołając: „Władzą teraz my jesteśmy”. W Łodzi strajkujący robotnicy krzykiem „Niech żyje wolność” powitali kilkudziesięciu gimna-zjalistów, którzy łamali oznaki na szkolnych czapkach; tu jednak strajk uczniowski miał nikły zasięg, gdyż w obu gimnazjach — męskim i żeńskim — młodzież polska (z dobrych domów, rzecz jasna) stanowiła ledwie 10 %, reszta przypadała na Żydów, Niem-ców i Rosjan, którzy — poza kilkoma wyjątkami — pozostali w ławkach. Synów proletariatusy w tych szkołach nie było.

Mimo tchórzostwa przytłaczającej większości rodziców (czy na przekór?) młodzież zawzięta się. „Centralizacja” szkół śred-nich ogłosiła deklarację: „Jeśli Was posłuchamy, jeżeli wbrew uczuciu będziemy te protesty odkładać, to w chwili, gdy Wy sami czynów od nas żądać będziecie — my zgnuśniali nie będziemy do nich zdolni... Nie osłabiajcie naszych sił; mamy przed sobą trud-ną i uporczywą walkę z władzami rządowymi, nie wywołujcie jeszcze jednej — dla nas najboleśniejszej i najmniej pożądanej — walki z Wami”.

Determinacja wywarła wrażenie. Koło Wychowawców, Zwią-zek Unarodowienia Szkół, Towarzystwo Pedagogiczne i inne orga-nizacje stanęły po stronie młodzieży. Tu i ówdzie, szczególnie w Łowickim, strajk się przeniósł nawet na elementarne szkółki wiejskie. Stanowczą postawę zajął Związek Młodzieży Socjalis-tycznej, który nie zależał ani od PPS, ani od SDKPiL i rozbijał ich młodzieżowe przybudówki, ażeby nie wychowywać „agitator-skich potworków”. Także ta część młodzieży, która była pod

wpływem Ligi Narodowej — za pośrednictwem ZET i jego szkolnej odnogi PET — opowiedziały się, wbrew swym przełożonym, za strajkiem. W takiej sytuacji Dmowski — taktyk zręczny — postanowił nie sprzeciwiać się młodzieży. Ogłosił broszurę „Szkoła i społeczeństwo”, w której wyraził taki pogląd: „Gdy ruch wybuchł, nie było już czasu na refleksje o jego szkodliwości... Jest faktem, że młodzież w tym wypadku pociągnęła za sobą starszych i nie mamy potrzeby tego ukrywać”. Potem jednak zmienił zdanie. Gdy strajk na jesieni zaczął się przeradzać w dziewięcioletni bojkot szkół rządowych — bojkot, który się stopniowo rozplątywał — endecja pozęglowała na stronę ugodowców, wreszcie Dmowski potępił zbuntowaną młodzież. Spoliczkował go za to student Janusz Ostrowski; pomścił się za szóstoklasistkę z lubelskiego gimnazjum (nazwisko władze szkolne utajniły), która otruła się esencją octową, gdyż ojciec przymuszał ją do łamania uczniowskiej solidarności.

Doraźnie wywalczonym sukcesem strajku było spolszczenie nauczania w szkołach prywatnych, także elementarnych; ich sieć rozwinęła się. Tylko historii i geografii (oraz rosyjskiego naturalnie) uczono w nich po rosyjsku, a z programu całkiem wyłączono... chemię, jako naukę, która może być pomocna rewolucjonistom.

Na pozór był to sukces krótkotrwały. Rychło powróciły rządy represyjne, nastąpiły czasy „reakcji stołypinowskiej”. Do prywatnych szkół wpychano rosyjskich nauczycieli, a zasięg nauczania po polsku ograniczano. Lecz duch polski pozostał, bo nauczycielstwo coraz energiczniej włączało się do akcji niepodległościowej, co najwyżej pozorując lojalizm.

Objęte bojkotem szkoły rządowe nie opustoszały jednak. Miejsce tej młodzieży, która przeniosła się do zakładów prywatnych albo wyjechała do Galicji, zajmowali synowie rodzin biedniejszych, znęcani niskimi opłatami w „rządówkach”. Traktowano ich wśród młodzieży jak zdrajców; podobnie studentów warszawskiego uniwersytetu — dawniej pieszczoszków społeczeństwa — którym często spuszczano manto na ulicy. Bojowy Oddział Bojkotowy, złożony głównie z Wawelberczyków, wyspecjalizował się w bombardowaniu zgniłymi jajami artystów, urządzających koncerty dla studentów. Byli wszak łamistrajkami, rozbijającymi główny szaniec antyrosyjskiego oporu, jakim po zduszeniu ruchu rewolucyjnego stał się szkolny bojkot.

Szaniec, choć nadkruszony, trwał. Żandarmeria wciąż miała zajęcie. Podczas zjazdu delegatów szkolnych ZMS zgarnięto wszystkich uczestników. Siedemnastolatkę Zawadzką badał agent

Ochrany Klimow. „Widzi pani — perswadował — o nas opowiadają straszne rzeczy, mówią, że my ludzi męczymy, włosy wyrrywamy. To wszystko nieprawda, my chcemy tylko waszego dobra; niech pani to podpisze”. Zawadzka z uśmiechem podarła przygotowany protokół. Klimow westchnął: „Widzę, że nic dla pani nie będę mógł zrobić” — i zaczął pisać nowy.

Ugodowcy, realiści, endecy, postępowcy od Świętochowskiego, esdecy i ich sojusznicy z PPS-Lewicy — molestowali młodzież, aby zaniechała bojkotu. Efekt był taki, że stratę poniosły właśnie te stronnictwa, gdyż młodzież opuszczała je masowo. Nawet ZET od Dmowskiego przeszedł na stronę niepodległościową i stworzył ruch „Zarzewiaków”, który jednak zachował pewien dystans od piśsudczyków. Jego Polskie Drużyny Strzeleckie dopiero po wybuchu wojny połączyły się ze „Strzelcem” w kompaniach kadrowych.

Niektórzy z młodych nie wytrzymywali psychicznie ciągłej szarpaniny pomiędzy wiarą w sens walki — a beznadzieją. Zygmunt Drozdowicz — „Zych” — przywódca strajku szkolnego w Łodzi, później lider postępowej młodzieży w Jagiellonce — popełnił samobójstwo. Zostawił kartkę:

„Wszystko wielkie jest już poza mną — nie ma po co męczyć się szarością”.

Nie osądza się takich decyzji. Ale można ich żałować. W parę lat później zabrakło go, gdy ruszyła kadrówka z Oleandrów.

Pozytywizm „budowy twierdz”

Stuletni z górą spór, jaki rozgrzewa się po każdym dramacie narodowym — o wyższości postaw i zachowań romantycznych nad pozytywistycznymi (bądź *vice versa*) — stanowi pozyteczną gimnastykę umysłową, lecz jest nierozstrzygalny, póki dotyczy wartości, tym postawom i zachowaniom przypisywanej. Wybór moralny (ideowy) podlega jedynie moralnej (ideowej) ocenie, która się nie da zracjonalizować. Ktokolwiek tedy utrzymuje, iż „obiektywnie” ma w tym sporze rację, z takiej czy odwrotnej pozycji, popełnia świadomą mistyfikację bądź zdradza głupotę.

Co innego jednak, jeśli spór dotyczy skuteczności metod, wynikających z obranych postaw. Na przykład: odmowa współpracy czy małe codzienne budowanie? O tym warto toczyć narodowy dyskurs, z góry wiedząc, że i tutaj nie istnieje miarka i waga, umożliwiająca precyzyjną odpowiedź, zdatna do wytyczenia opty-

malnej proporcji między „szaleństwem” a „rozsądkiem”. Prawda leży gdzieś pośrodku, ale którego końca bliżej?

Osobiście jestem przekonany, że to, iż mimo wszystkich przeciwności jesteście Polakami, zawdzięczamy wielkim poetom romantycznym i ich niepodległościowym sukcesorom — daninie krwi, która musiała być przelana, aby rany narodu nie obrosły tłuszczem ugody, aby dusza nie spodłżała od aprobaty stanu niechcianego. Jednak kopii kruszyć nie będę, jeśli ktoś uzna ten pogląd za nazbyt kategoriyczny i jednostronny. Siłaczki i Ślimakowie też mieli jakiś udział w budowaniu Niepodległej — poboczny, co nie znaczy: nieistotny. Nie uważam za paradoks, że Stefan Bratkowski, najbardziej romantyczny z polskich pisarzy politycznych, uporczywie odgrzebuje z przeszłości właśnie to wszystko, co podnosi rangę pracy organiczników. Romantynom niepotrzebne takie starania, nikt im nie strąci aureoli. Próbowali to czynić warszawcy pozytywiści, perswadowali, iż „kraj w chwili obecnej swe dawniejsze uniesienia opłaca” i odsyłali wieszczów do skarbnicy zabytków, odmawiając im rządu dusz. Ale któż dziś pamięta tych sztandarowych wierszokletów, na przykład pana L. K. Świdzińskiego, uprawiającego taką oto realpozytywistyczną literaturę (?) piękną:

*Hej do cyrkla, hej do kielni
I do wagi, i do pługa!
A choć praca ciężka, długa,
Ale wyjdziem my z niej dzielni!*

Mimo apatii, zawodu, mimo przegranej — naród jednak wołał „Dziady” i Trylogię, a choćby panią Konopnicką.

To, co czyni Bratkowski, jest mądre, albowiem na rzekę, która burzy się i zrywa tamy, składa się wiele dopływów, bezimiennych strumyków, co najpierw poruszają młyny i nawadniają pola. Ślepi są natomiast ci, co spoza drzew nie widzą lasu; ci, co w efektywnych tyradach dowodzą, że gdyby Polak zakasał rękawy i zabrał się chwacko do roboty — dawniej, teraz, w przyszłości — to całość złożyłaby się sama, a los narodu uległby pomyślnej zmianie. Nic nigdy się samo nie złoży, nie działa taka społeczna arytmetyka, prostactwem jest przenoszenie doświadczeń rodzinnych na makroskalę narodową. Byt narodu nie jest sumą jednostkowych osiągnięć — i bez dalekosiężnej wizji, właśnie romantycznej, ludzie zasklepieni w dojrztokowskich zabiegach staliby się mierzwą historii i łatwym łupem dynamicznych sąsiadów.

W istocie jednak ostra dychotomia albo-albo nie zachodziła

nigdy w przeszłości. Ani romantycy nie byli wyzwani z rozumienia konieczności i z umiejętności praktycznych poczynań (Mickiewicz też wykrzyknął: „Wiwat elektryczność!”), ani pozytywiści (prócz nielicznych ekstremistów) nie przekreślali raz na zawsze marzeń, w treści romantycznych. Choćby Wokulski... Płaszczyzną sporu była taktyka lub strategia, ale nie cel finalny. To dopiero historycy i publicyści konstruują z dawnych poglądów, postaw, działań abstrakcyjne modele, przypisując im cechy czystego romantyzmu bądź konsekwentnego pozytywizmu — po to, by bronić własnej koncepcji ideowej albo zwalczać cudzą.

Kapitałne znaczenie ma natomiast kwestia: jaki pozytywizm? Konsekwencje tej ideologii mogły być bowiem — i były — diametralnie różne. Ich skala wahała się między zaprzęciem, a budową „twierdz polskości” (jak Stanisław Thugutt nazywał spółdzielczość).

Chwalcy linii Lubeckiego i Wielopolskiego lubią szczycić się rozwojem przemysłu Królestwa, który stanowił jedną czwartą industrialnych potencji Imperium — lecz ten dorobek miał taki efekt, że lwia część warstw posiadających, zgarniając lwią część zysków, nie wyobrażała sobie innego bytu Polaków, niż w organicznej jedności z Rosją. Jakże kusily już wtedy bogactwa Syberii! Jakie krociowe fortuny obiecywały ludziom przedsiębiorczym! Róża Luksemburg, naczelny teoretyk SDKPiL, z tego samego założenia o nieuchronności integracji polskiego rynku z rosyjskim wywiodła dogmat, że niepodległe państwo polskie jest zbędne i niepożądane.

Również w innych zaborach ludzie poważni orientowali się na Wiedeń, chociaż ten dla podniesienia gospodarki galicyjskiej uczynił niewiele, nawet hamował rozwój górnictwa i przemysłu — oraz na Berlin, który owszem, dbał o wielkopolskie rolnictwo, ale usilnie wykupywał ziemię z rąk polskich, od 1908 roku pod przymusem praw wyjątkowych.

Nie ma żadnego uzasadnienia, by dzieje rozwoju ekonomiki któregośkolwiek z trzech zaborów wpisywać w karty historii ruchu niepodległościowego. Przeciwnie. Ten wybiórczy rozwój był tak sterowany przez mocarstwa zaborcze, by służył spojeniu z nimi resztówek po Polsce oraz poluzowaniu dawnych ich więzów. Dlatego na przykład nie zbudowano kolei Warszawa-Poznań ani Warszawa-Lwów, zbudowano natomiast kanał Augustowski, który był narzędziem wojny celnej Rosji z Prusami i miał rozzerwać (co się niezbyt powiodło) integralne powiązanie dorzecza Wisły z Pomorzem.

O wiele ważniejsze jednak, że run wielkoprzemysłowy w Królestwie Polskim (w latach 1870-1903 wartość produkcji fabrycznej wzrosła z 64 do 600 milionów rubli) wytwarzał kapitalistyczną oligarchię, w ogromnej mierze nie polską, która wysyłała w kosmopolityczny świat finansów także najbogatsze rodziny ziemiańskie. Tylko nieliczne jednostki z tych sfer, i to w hierarchii bogactwa lokujące się raczej na dalekich miejscach, zachowały poczucie narodowe. Przytłaczająca większość wrosła w *establishment*, stanowiła mocny filar carskiej władzy, rdzeń stronnictwa ugody.

Gospodarczą *prosperity* Królestwa można więc wiązać z ruchem niepodległościowym tylko poprzez jej uboczny produkt — pomnożenie klasy robotniczej. Pamiętając oczywiście, że PPS (podobnie jak antyniepodległościowa SDKPiL) obejmowała wpływami wąziutką warstwę świadomych robotników. Dopiero rewolucja 1905 roku umasowiła ruch robotniczy, aczkolwiek wtedy niemal wyłącznie w kierunku klasowym, a nie wyzwoleńczym.

Inaczej jednak było z samoorganizowaniem się społeczeństwa, zwłaszcza w spółdzielczości. Idee organicznikowskie dla świata wielkiego biznesu były jedynie świadectwem moralności: że dotrzymuje on kroku „wyznaniu współczesności”. Przemysł nie dlatego się przecież rozwinął, że wołał o to papież pozytywizmu Aleksander Świętochowski, ale dlatego, że miał do ekspansji ogromny rynek rosyjski i wykorzystał koniunkturę. Natomiast w pobudzeniu samoobronnej reakcji społeczeństwa — przeciwko drapieżności młodego kapitalizmu i przeciwko obcej dominacji, które spletały się i wzmacniały wzajemnie — hasła pracy „u podstaw” miały wielkie znaczenie, mimo że nie od razu trafiły do warstw plebejskich. Pozytywiści wołali o oświatę dla ludu, o postęp wytwórczości i dostatek, ale większość z nich kierowała się nie tylko i nie tyle troską o poprawę bytu włościanina czy proletariusza z pobudek altruistycznych, lecz prostym i trafnym rozumowaniem: człek w nędzy — to człek nieoświecony, więc obojętny na sprawę narodową, trzeba go dla niej zjednać przez edukację i polepszenie doli. Im jaśniej pojmowano, że szlachcic z karabelą Polski nie wskrzesi — a nawet coraz mniej się do tego kwapi, zabiegany wokół swych zrujnowanych interesów — tym konsekwentniejszy był zwrot patriotów ku warstwom ludowym.

Socjaliści stawiali głównie na robotników, narodowcy na włościan. A Marian Bohusz — na wpół socjalista, na wpół narodo-wiec — szydził z haseł pozytywistycznych:

*Gdy darmozjadów sytych garść nieliczna
Pracą milionów ludzi się wzbogaca
Oto jest, bracie, praca organiczna.
Oto jest, bracie, organiczna praca.*

Co innego jednak, gdy owe miliony zaczynały krzątać się same wokół własnego interesu.

Historycy spółdzielczości dzielą się na pedantów-buchalterów, którzy sumują przyrosty liczby sklepów, członków, obrotów i zysków, oraz na marksistów, medytujących z namaszczeniem, która z licznych teorii kooperatystycznych sprzyjała klasowemu interesowi proletariatu, a która, przeciwnie, miała charakter „ideologicznej dywersji” i była „wsteczna” z punktu widzenia doktryny rewolucyjnej. Pomińmy tych i tamtych, gdyż praca pierwszych jest syzyfowa — albowiem spółdzielczość miała udział znikomy w całości gospodarki i nie nadawała się do apoteozy, ci drudzy natomiast, dowodząc o przewagach „klasowego” nurtu spółdzielczości nad „neutralistycznym”, postępują tak, jak kynolog, usiłujący udowodnić wyższość ratlerka nad bernardynem.

Jakoś tym badaczom, ani jednym ani drugim, nie przychodzi do głowy to, co doskonale rozumiał i czemu starał się przeciwdziałać rząd carski: że rozwój ruchu spółdzielczego był jedną z form narodowej walki Polaków.

To była trudna walka, bo wymagała całkiem nowych i niesarmackich kwalifikacji. „Inteligenci, błyskający nieraz świetnym wykształceniem w innych dziedzinach — pisał Thugutt — słabo rozumieli co to jest handel, czym jest cena i zysk, jakie są warunki powstawania bogactw, a tym bardziej, jaki być powinien ich sprawiedliwy podział. O rzeczach takich, jak rachunkowość, jak znajomość obowiązków w handlu przepisów, jak znajomość towarów i zwłaszcza znajomość ich fałszowania wiedziały zaledwie jednostki. Ale te jednostki nie poświęcały się spółdzielczości”.

W Kongresówce przez parę dziesięcioleci nie udawało się przełamać owych barier niewiedzy, chociaż to właśnie inteligencja, pozytywistyczni entuzjaści, zakładali pierwsze spółdzielnie spóżywców — od „Merkurego” w Warszawie (1869) poczynając. Obsługiwały one początkowo klientelę względnie bogatą, głównie urzędniczą. „Wielu zapisywało się do stowarzyszeń, ponieważ pisma rozwoziły się nad kooperacją — zauważył Krzywicki — idea zaś była modna, inni dali składki, uważając to za obowiązek obywatelski”. Wskutek nieumiejętności gospodarowania, a zwłaszcza wypłacania nadmiernych dywidend, spółdzielnie plajtowały z

większą łatwością, niż się zawiązywały. Dawała o sobie znać awersja Polaków do zbiorowego działania. Z kilkudziesięciu spółdzielni spożywców zaledwie kilka osiągnęło jaką taką stabilność.

Romuald Mielczarski, jeden z liderów kooperatywności, skonstruował dobitnie: „Do 1905 roku nie było u nas ruchu spółdzielczego, było zaledwie kilka wegetujących kooperatyw”. Ale mimo niepowodzeń nie był to wysiłek zmarnowany. Świat pracy stopniowo uczył się rozumieć, że można własnymi siłami polepszyć sobie byt, działacze uczyli się na błędach, jak doskonalić metody zarządzania. Wszyscy zyskiwali świadomość, że w warunkach zniewolenia każdy przejaw oddolnej integracji jest maleńkim przyczynkiem do konsolidowania narodu i pomnażania jego sił. Te doświadczenia w pełni zaowocowały po 1906 roku, kiedy nastąpił splot trzech okoliczności: wzrostu uświadomienia klasy robotniczej, zachowania odrobiny swobód w spuściznie po rewolucji oraz wnieśienia do Polski dojrzałych koncepcji kooperatystycznych, co dokonało się z inspiracji masonerii — w intencji podbudowania zachwianego kłęką ruchu niepodległościowego.

O ile w Kongresówce spółdzielczość szła zrazu kulawo, o tyle w Wielkopolsce odniosła triumf szokujący. Nie powstawały tutaj stowarzyszenia spożywcze, ażeby nie psuć interesu słabemu kupiectwu polskiemu, borykającemu się z konkurencją Niemców i Żydów, lecz ofensywa poszła poprzez instytucje kredytowe: spółki zarobkowe i gospodarcze, potem banki ludowe. Dowodzili nią księża. Pierwszym patronem ruchu był ks. Augustyn Szamarzewski, wikary ze Środy, który zdobył ogromną popularność dzięki kilku atutom. Przede wszystkim brał udział w Powstaniu Styczniowym, za co sąd pruski na półtora roku osadził go w więzieniu. Trudno o lepszą legitymację patriotyczną! Po wtóre — umiał trafić do masowej wyobraźni znakomitym chwytem propagandowym, ogłaszając wojnę „miedziakami przeciw złotu”. Trzecim świetnym pomysłem księdza było użycie listonoszów i kominarzy w charakterze agitatorów i agentów bankowych wśród wieśniaków. Oficjalny cel ks. Szamarzewskiego stanowiło gromadzenie drobnych oszczędności w kapitał dla „nadania znaczenia i wartości pracy”, lecz rychło stało się jasne, że idzie tu o rzecz znacznie większej rangi. Spółdzielczość w zaborze pruskim zdecydowanie broniła polskiego stanu posiadania, paraliżując akcje germanizacyjne.

Mając u boku świetnego pomocnika, a po części rywala w osobie Mieczysława Łyskowskiego (i on korzystał z famy patriotycznej, uczestniczył w Wiośnie Ludów i w Powstaniu Styczniowym), ks. Szamarzewski powstrzymał inwazję kapitałów niemieck-

kich, służących rugowaniu Polaków na rzecz pruskich osadników. Jego następcą, też w sutannie, ks. Piotr Wawrzyniak, z jeszcze większą dynamiką dyrygował kontrofensywą. Zbierając oszczędności parafian, robotników, sezonowych „obieżyśasów”, inteligencji, służby domowej, drobnych posiadaczy a nawet groszaki dzieci — zgromadził w bankach ludowych fundusze idące w setki milionów marek. Daremnie minister skarbu nakazał niemieckim urzędnikom, którzy deponowali pieniądze „u Polaków”, wycofać swe wkłady; skutek był odwrotny niż zamierzał, bo ks. Wawrzyniak ripostował skutecznie — wezwał rodaków, aby odebrali oszczędności z banków niemieckich. Wpływy znacznie przewyższyły odpływ kapitału. Zresztą polskie banki były atrakcyjniejsze, płaciły o 1 % wyższe odsetki, wygrywały w konkurencji.

Niemcy, uważający siebie za niedościgłych mistrzów bankowości, ze zdumieniem przyznawali, że polski system jest lepszy, niż ich sławne kasy Schulza czy Raiffeisena. A działo się tak w czasie germanizacyjnej kampanii Bismarcka, i za Bülowa, gdy antypolska nagonka sięgnęła zenitu. Nie pomogła ani ustawa zabraniająca Polakom budowy nowych domów na nabytych parcelach — na którą wóz Drzymały był kapitalną odpowiedzią, ani ustawa uprawniająca przymusowe wywłaszczenia, ani asygnowanie na wykup ziemi sum sięgających miliarda marek. Sławetna „Hakata” — polakożerczy związek niemiecki — też nie zapobiegła wielkopolskiemu renesansowi gospodarczemu i narodowemu, autentycznemu budowaniu twierdz oporu. Bez rezultatów na wszelkie sposoby szykanowano Polaków — a to ograniczając prerogatywy związku spółdzielczego, a to zakazując prowadzenia publicznych zebrań po polsku, a to odmawiając rejestracji Banku Puck — bo takie miasto nie istnieje, jest „Putzig”. W wyrokach sądowych jawnie stwierdzano, że spółki tak operują kredytem, by popierać polskość. Za działalność antypaństwową uznawano nawet założenie warsztatu rzemieślniczego czy kancelarii adwokackiej, zamieszczenie ogłoszenia w polskiej gazecie, nie mówiąc już o uczeniu dziecka czytania w ojczystym języku. Ale najbardziej rozwścieczała Niemców kontrakcja przeciwko ich kolonizacji. Wbrew coraz nowym przepisom dyskryminacyjnym polscy chłopcy doskonale sobie radzili — dzięki pomocy kredytowej banków ludowych — z nabywaniem lub dzierżawieniem ziemi, parcelowanej przez wielką własność. Nie pozwalali, by przeszła w obce ręce. Od połowy lat 90-tych Polacy wykupywali nawet ziemię od Niemców, i to więcej, niżeli Komisja Kolonizacyjna zdołała wydrzeć Polakom. Zysk netto w 1904 roku sumował się już w powierzchni 60 tysięcy hektarów.

Wspaniałe osiągnięcia Wielkopolan naśladowali Pomorzanie; bardzo skutecznie, zwłaszcza jeśli zważyć, że tam inteligencji polskiej prawie nie było. Kaszubscy chłopi i rybacy od spółdzielni zaczęli powrót do polskości. Gorzej szło na Górnym Śląsku. Spółdzielnie spożywcze, założone jeszcze przez Karola Miarękę w 1870 roku (najstarsza, w Królewskiej Hucie, nosiła znamienne nazwę „Pocziwych Wiarusów”) zdegenerowały się i zlikwidowały. Dopiero po 10 latach Wielkopolanie przeszczepili do sąsiadów wypróbowany model banków ludowych. Najlepiej rozwinął się bank w Bytomiu — głównym centrum polskości, za nim poszły Opole, Katowice, Siemianowice. Miały jeszcze groźniejszych wrogów w potężnym kapitale niemieckim, podlegały jeszcze ostrzejszym restrykcjom, lecz — dzięki nieformalnemu protektoratowi spółdzielców wielkopolskich — zdołały się zakorzenić i przetrwały do niepodległych czasów.

Ks. Wawrzyniak został przez Stanisława Wojciechowskiego nazwany „wielkim hetmanem w walce ekonomicznej, jaką nasz naród w tej dzielnicy toczył”. Ale jeszcze wymowniej uhonorował go pośmiertnie antypolski *Posener Tageblatt*: „Niemcy stracili w zmarłym najniebezpieczniejszego przeciwnika; unikał manifestacji, lecz czynami zaszkodził o wiele więcej, aniżeli ktokolwiek, gdyż był organizatorem najniebezpieczniejszego dla Niemców stanu średniego”.

Patronat nad spółdzielczością objął trzeci ksiądz, Stanisław Adamski. Ogółem zaś, w 287 spółkach wielkopolskich pracowało w 1913 roku 296 księży, często na stanowiskach przesów. Popierał tę działalność arcybiskup Florian Stablewski; traktował ją jako zaporę przeciwko socjalizmowi — twierdzą historycy-marksiści. Być może. Ale była to zaporą budowaną w uczciwej rywalizacji o rząd dusz — dobry przykład dla marksistów.

To, czego dokonali księża-społecznicy w zaborze pruskim, było między klęską styczniową a triumfalnym listopadem największym sukcesem Kościoła w narodowej służbie. Przed bismarkowskim *Kulturkampfem* lud wielkopolski żył w kulcie niemieckości. Pułki poznańskie jak lwy walczyły pod Sedanem, idąc na bagnety przy dźwiękach „Jeszcze Polska...” — na tę okazję dozwolonego. Matki śpiewały dzieciom śliczne piosenki z refrenem:

*A gdy będę w polu stał
I do Paryża strzelał
Mam ja serce czyste...*

„Bartek Zwycięzca” nie był fikcją literacką. Uświadomienie

narodowe Wielkopolan było znikome. Mowa polska uchodziła za „gorszą”.

A w niewiele lat później ten sam lud, pod przewodem księży, stał się najtrwalszym filarem polskość! W innych zaborach Kościół niczym podobnym poszczycić się nie mógł; kielecki biskup Łosiński rzucił klątwy na spółdzielców, kółka staszicowskie i czytelników *Zarania*. Dla sprawy polskiej było zatem dobre, że masy Wielkopolan skupiały się przy swych duszpasterzach, którzy przeszli twardą szkołę prześladowań katolicyzmu; i było dobre, że w Kongresówce masy oponowały przeciw lojalistycznemu klerowi, skupiając się w organizacjach ludowych i socjalistycznych.

W Galicji samoorganizacja chłopstwa była dziełem jednego upartego galiczніка: Franciszka Stefczyka. Pochodził z oświeconej rodziny włościańskiej. Ojciec wychował go w cnotach pozytywistycznych — stateczności, powadze, poczuciu misji społecznej. Z rozrywek pozwalał mu na szachy i teatr, ale tylko tragedie i dramaty; komedie były zakazane. Nie ustrzegł mimo to rodzic syna przed niepraworządными marzeniami: w kapliczce św. Jana Kantego i on złożył uroczyste ślubowanie w uczniowskiej konspiracji, a nawet odlewał ołowiane kule na powstanie. Spiskowcy za zadanie pierwsze uznali jednak, bardzo dojrzałe, naukę historii — i nawzajem się przepytywali.

Po studiach i niedługiej pracy nauczycielskiej, Stefczyk założył w Czernichowie pod Krakowem „Spółkową kasę oszczędności i pożyczek”, której nie wrócono powodzenia. Po dziesięciu latach „kas Stefczyka” — jak je potocznie zwano — było już półtora tysiąca. Dzięki nim sławetna nędza galicyjska została nieco złagodzona, a ciemnota rozjaśniona. Wieśniacy przestali wierzyć w ulotki ks. Wincentego Piksy, że „ospa jest zdrowotnym procesem przyrody, która wyrzuca z ciała na wierzch soki nieczyste” — i przystali na szczepienia, które Piksa zwał „pogańskim starożytnym zabobonem”. Zaniechano też kąpania chorych dzieci w balii ze zdrowym kotem, co miało bardzo pomagać. Zaczęto nawet czytać *Wieniec* i *Pszczółkę* zbuntowanego przeciw hierarchii ks. Stojałowskiego, a potem gromadzić się w ludowych stronnictwach, w których przebąkiwano już, że powinna być Polska wolna i zjednoczona — najlepiej pod berłem miłościwego Franciszka Józefa. Kiedy Stefczyk otrzymał wiadomość o utworzeniu Naczelnego Komitetu Narodowego i formowaniu Legionów — zwrócił się z odezwą do swoich kas o ofiary na polski skarb wojenny. W ciągu dwóch tygodni z 489 spółdzielni wpłynęło

311.861 koron, co — obliczono — wystarczy na ekwipunek dla 2.000 legionistów.

„Ofiary — pisał Stefczyk — są groszem ludu polskiego złożonym w celu wywalczenia narodowi polskiemu wolności i godnego, niepodległego stanowiska między narodami Europy... Miały także moralne znaczenie dla poparcia Legionów Polskich, przysporzyły im niejednego ochotnika”.

Na tym się ofiarność kas Stefczyka nie wyczerpała. Gdy w toku wojny sprawa polska zaczęła wyłaniać się na forum międzynarodowe, z jego inicjatywy wiejska spółdzielczość kredytowa sfinansowała wydanie w obcych językach dzieł „Statystyka Polski” i „Polska w kulturze powszechnej” oraz 40 innych publikacji propagandowych, które uświadomiły Zachodowi, co to w ogóle jest za kraj i o co chodzi jego mieszkańcom. Z chłopskich składek opłacona została również podróż prof. Eugeniusza Romera, światowej sławy geografa, z informacyjną misją na Kongres Wersalski.

Podczas oblężenia Lwowa przez Ukraińców, Stefczyk organizował powstańczą skarbowość. 18 listopada odleciał z meldunkami dla Piłsudskiego — wojskową awionetką. Była to jego pierwsza podróż powietrzna. Samolot wylądował w Przemyślu podziurawiony kulami. Tak powstańcze sny dzieciństwa ziściły się człowiekowi, który dobiegał sześćdziesiątki.

Stanisław Thugutt, także pionier spółdzielczości i przywódca ludowy, zauważył, iż we wszystkich zaborach twórcami kooperatyw nie byli bynajmniej pozytywiści, ale właśnie ludzie, którzy przeszli staż powstańczy lub rewolucyjny, a przynajmniej takowy był ich romantycznym marzeniem. Pisał:

„Po każdej przegranej przychodziły okresy nie tylko zwierzęcych prześladowań, ale i głęboko sięgającej depresji duchowej. Tętno życia politycznego opadało niekiedy w Polsce ówczesnej do poziomu kreski, poniżej której zaczynał się niebyt”.

Z tej konstatacji wyprowadził taką dyrektywę:

„W ciężkim kryzysie, jakim jest niewola, niezbędni są ludzie, którzy całych siebie rzucają w ofierze, wyrzekając się działań osobistych, rezygnując z tak zwanej kariery, narażając swą wolność i życie. Nie są oni, być może, w stanie osiągnąć zwycięstwa. Bez nich jednak wielki organizm narodowy zatrutby się niewiarą”.

Sojusz myśli i pracy

„Aresztowania listopadowe 1891 roku zdziesiątkowały inteligentów pracujących w Związku Robotników Polskich — zapisał Adolf Kiełza. — Odczuwaliśmy osamotnienie tym bardziej, że dotąd zawsze mieliśmy jakiegoś inteligenta pod ręką, który w deszcz czy zawieruchę szedł do nas, prowadził nasze zebrania i omawiał dręczące sprawy... Przyzwyczajeni do opiekunów, 'nianiek społecznych', czuliśmy się wytrąceni z trybów konspiracyjnego życia. I ten właśnie okres osamotnienia był dla nas szkołą! Praca inteligentów nie poszła na marne! Wyrobieni przez nich robotnicy, z konieczności zastępując brakujących inteligentów, samorzutnie poczęli zwoływać zebrania”.

We wspomnieniach robotników częsty jest ton wdzięczności dla inteligencji. Ale w okresach opadania fali rewolucyjnej, wyczerpania, apatii — często też pojawiały się nastroje antyinteligencje. W czasach stabilnych, gdy zainteresowania robotników skupiały się na stawkach za dniówkę — inteligencja jawiła im się jako część klasy uprzywilejowanej: „Jedzą, piją, bankietują — z kochankami biesiadują” — śpiewano na nutę pieśni kościelnych. Inteligencji natomiast przyziemne cele ekonomiczne wydawały się „walką o pietruszkę”, w którą nie warto się angażować. Inaczej w okresie burzy i naporu; wtedy robotnicy instynktownie szukali tych, którzy mogliby im dopomóc w organizowaniu się, w formułowaniu celów i podpowiadaniu metod walki, w produkowaniu hasła — natomiast inteligencja ochoczo z taką pomocą przychodziła, rozumiejąc, iż jedynie klasa robotnicza dysponuje siłą przebicia i może zrealizować cele demokratyczne, postępowe, narodowe.

Socjologowie, których profesjonalnie interesuje raczej średni poziom inteligencji, niż jej elita, dość zgodnie piszą, że w dawnych czasach (jeszcze międzywojennych) istniał duży dystans społeczny i towarzyski od „warstw niskich”. Wiadomo było, że ktoś do tych warstw należący to człowiek lub kobieta, a nie pan i pani. Byłe kancelista odnosił się z pańska wobec „pospólstwa”, zaś posiadanie matury było nobilitacją. Socjologowie zapewne mają rację, gdy mowa o postawach inteligencji tuzinkowej, lecz inteligentka elita (powiedzmy: intelektualści) zachowywała się wobec ludzi pracy po partnersku, co najwyżej jak starsi bracia. Są tego niezliczone potwierdzenia w pamiętnikach robotników. Chodził „pod Karpaty” — to znaczy w chaszcze warszawskiej Agrykoli — Marian Bohusz przebrany po robociarsku — na schadzki stolarzy od Lilpopa. Częstym był gościem w kółkach

robotniczych Edward Abramowski. Doradzał jak zakładać Kasy Oporu, przynosił i rozdawał książki — w tym własne broszury — pomógł też odbić na hektografie propagandową kolendę robotniczą, którą napisali robotnicy od Fajansa: „Dziś dzień narodzin świata Zbawiciela — z otchłani ucisku ludu wskrzesiciela”. Ogromnie lubiana, zwłaszcza wśród szwaczek i krawczyń, była żona Abramowskiego, Stanisława Motz. Ich mieszkanie roiło się od niespokojnych duchów oraz „mędrców” — jak mawiano o intelektualistach. Na zakrzaczonych odludziach Saskiej Kępy i Siekierok, gdzie zbierano się w letnie niedziele, wygłaszała odczyty Adolf Warszawski. Przynosił zdjęte przez cenzurę teksty z *Tygodnika Powszechnego* (redagowanego przez Stanisława Narutowicza, brata Gabriela), a zecerzy znosili przepisane na skrawkach papieru fragmenty artykułów, które cenzura podkreśliła czerwonym atramentem. W domu rodziców Warszawskiego roiło się od robociarzy z fabryk Bormana i Gerlacha. Na robotniczych majówkach w Czarnej Strudze nie tylko śpiewano „Ludu roboczy poznaj swą siłę”, ale wysłuchiwano też poważnych prelekcji, na przykład o prawie wyborczym w Belgii — Stanisława Grabskiego, później wybitnego męża stanu, narodowca. Prawnik Józef Beck, czołowy działacz Związku Robotników Polskich, gromadził garbarzy i włóknianki od Szlenkiera. „Różni inteligenci — pisał Adolf Kieźca — byli nie tylko poszukiwaną ozdobą, ale i solą środowiska. Umieeli zachęcić do czytania i studiów. Inteligenci całkowicie pograżali się w wir codziennych potrzeb proletariatu i stopniowo, powoli, w miarę możliwości, wyrabiali chętnych robotników i robotnice na uświadomionych klasowo działaczy”.

Ludwik Krzywicki najczęściej bywał z wykładami na tajnych zbiórkach młodych kolejarzy z warsztatów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Zauważył, że większa ich część pochodzi ze zbiedniałej szlachty, nawet z rodów wysoko notowanych w herbarzu Niesieckiego. „Propaganda w kierunku społecznym nie bardzo się przyjmowała — pisał we „Wspomnieniach”. — Interesowali się tymi zagadnieniami, ale się nie roznamiętniali. Natomiast sprawa swobód politycznych, sprawa opozycji przeciwko rządowi w imię uzyskania konstytucji, znajdowała żywy oddźwięk”.

Spośród wybitniejszych przywódców robotniczych tego okresu bodaj jedynie Jan Rosoń, drapujący się na patriarchę z chrystusową brodą, stale przestrzegał przed inteligencją. Zamierza ona — twierdził — zmonopolizować ruch dla swoich celów, chodzi jej wyłącznie o ambicje partyjne. „Karki robotnicze to szczebel drabiny, po której piąć się będą dla zdobycia kariery politycznej. Co prawda, potrzebujemy ich wiedzy i rozumu, lecz baczmy pil-

nie, aby nauczali robotników tego, co im jest potrzebne, i nie zaciemniaли im świadomości klasowej patriotycznymi legendami". Wtórował mu kamrat Walenty Szymański, szczególnie zawzięty na religię. „Najpierw trzeba ludziom obalić bożków — powiedział — a później agitować na socjalistów". W ten sposób, rzecz jasna, wielu robotników skutecznie od socjalizmu odstraszał. Obaj, wraz z grupą „rosołowców", znaleźli się później w SDKPiL, która w 1905 roku nie raz traciła kapitał robotniczej sympatii, gdy jej pochody — np. na placu Bankowym — łamały krzyże wyrwane uczestnikom kościelnych procesji i rzucały je na śmietnik.

Zdarzało się, że nastroje antyinteligentkie szerzyli inteligenci. Na „rozłamowym" zjeździe PPS w 1906 roku Piłsudski zacytował taki głos z Zagłębia: „Bojówkę należy ukrócić, bo na czele jej stoją szlagoni, którzy po trupach robotników chcą odbudować Polskę, by wtedy z kawiarni zagranicznych wyjść dla panowania nad proletariatem". To brzmi jakoś znajomo...

Fenomenem szczególnym w ruchu robotniczym była organizacja „Zmowa Robotnicza", bardzo aktywna podczas rewolucji 1905 roku w Łodzi, która za jądro swej ideologii obrała właśnie antyinteligentkość, a za metodę — terror. Także na warszawskim Powiślu, wśród lumpów, miała zwolenników. Wszyscy wyszli z esdecji albo z pepesowskich „maksymalistów" — niemal wszyscy stoczyli się do zwykłego bandytyzmu.

Paradoksalnie, twórcą i ideologiem „Zmowy Robotniczej" był lekarz Jan Wacław Machajski, który w latach szkolnych (będąc w Kielcach przyjacielem Żeromskiego i Strożckiego) wyróżniał się inteligencją i fanatycznym nacjonalizmem! Po powrocie z zesłania syberyjskiego długo, jako człek szary i niepozorny, mieszkał w Zakopanem i absolutnie nikt tam nie podejrzewał, pomimo ostrzeżeń od pepesowców z Kongresówki, że kieruje zbójceją mafią. Nie wiadomo, czy był to genialny konspirator, czy chory umysłowo.

Ludwik Krzywicki poczynił interesujące uwagi o przenikaniu etosu szlacheckiego do klasy robotniczej, zarówno przez degradację synów zubożałej szlachty, jak i przez działalność niespokojnych „farysów", propagatorów wielkich czynów, którzy jeśli nawet później odbiegli od społecznych uniesień, to: „... wnosili w urastający ruch robotniczy nie tylko swój entuzjazm, ale i inne wartości, jak poczucie honoru... A więc honor trzymania języka za zębami. Dla niektórych zarówno inteligentów jak i robotników trudny do urzeczywistnienia w stosunku do przyjaciół: są ludzie gadatliwi — znałem takich — którzy kompletnie nie mogą się w pewnych okazjach oprzeć świerzbicze języka i nie pochwa-

lic się, iż są nie byle jacy tacy chłopcy z konspiracji. Za to, gdy chodziło o utrzymanie tajemnicy przy badaniach przez żandarmerię, honor ten działał w całej pełni”.

(Takich, co po aresztowaniu „śpiewali” było w polskim ruchu niewiele, inaczej niż wśród rewolucjonistów rosyjskich, którzy poczynając od dekabrystów załamywali się w śledztwie bardzo szybko. Jedynie Kozacy — zdaniem Lwa Tichomirowa — zachowywali się na ogół przyzwoicie).

Szczególnym przypadkiem sojuszu robotniczo-inteligenckiego (opisanym w pamiętnikach Stanisława Stempowskiego) był redaktor odpowiedzialny *Ogniwa* Leon Niemyski:

„Młodość miał twardą, szkół nie skończył i ojciec dał go na robotnika do swego kolegi garbarza. Leon zaciął się i przekształcił w prostego robociarza, sypiał ze starymi garbarzami, chodził w drewniakach, w zimie wyściełanych słomą, na Wisłę moczyć skóry, żarł prostą strawę i tylko w niedziele matka przynosiła mu cichaczem z domu, razem z bielizną, lepsze jadlo. Z czasem wyzwolił się na majstra, założył fabryczkę białoskórnicy i dzięki pewnym technicznym ulepszeniom i własnym wynalazkom wybił się na czoło tego przemysłu i zrobił fortunę. Zachował jednak swoje oblicze robotnika... maciejówka na głowie, fartuch skórzany na wyszarżałym ubraniu, zakasane rękawy i szorstkie, gruzłowate, ubabrane barwnikami ręce. W takim stanie, tylko bez fartucha, wpadał niekiedy do redakcji...”.

W 1905 roku, na rewolucyjny wiec w Filharmonii, Niemyski przyprowadził wszystkich białoskórników ze swej fabryki, z czerwonymi kokardami na piersiach, a na ich czele szedł sławny siłacz Kozłowski. Innym razem Niemyski stał przed bramą — gdy Feliks Kon z SDKPiL urządzał wiec w jego własnej fabryce (!), ażeby ewentualnie zapobiec wejściu żandarmów. Latem robotnicy jeździli z rodzinami na darmowe wczasy do jego wiejskiej majątności. Był więc Niemyski robociarzem, obszarnikiem, burżujem i inteligentem w jednej osobie...

Praca studentów wśród robotników, choć ofiarna i ryzykowna — zazwyczaj po kilku miesiącach wpadali w ręce szpiclów — mijała się często z zainteresowaniami czarnoroboczych. Obrazowo pracę „kółkową” opisał Józef Grabciec-Dąbrowski:

„Nic, psiakrew, tylko pyskują poczciwym robociarzom, którzy się nudzą jak cholera, i całe kułaki przez dyscyplinę pakują w rozdzierające się od ucha do ucha usta... Widzę, że niejeden — człek żywy, jakiś może Bebel czy Chałturin w przyszłości, rwie się do świata... a ja mu do nieskończoności: towar — pieniądz

— towar, ilość społecznie niezbędnej pracy... wartość... nadwartość. A wielka już galówka, jak przyniosę bibułę w portkach”.

Oprócz codziennych kontaktów inteligencji, nie tylko socjalistycznej, z kręgami robotniczymi — w których dopiero kiełkowała ideologia socjalistyczna zabarwiona niepodległościowo albo klasowo — toczyły się, już w czasach Wielkiego Proletariatu, teoretyczne dysputy o roli inteligencji w ruchu. Publicyści nurtu klasowego twierdzili: klasa robotnicza jest w Polsce niedojrzała, nie jest zdolna sama z siebie wyłonić awangardy, przeto rewolucyjna inteligencja musi tę awangardę wychować, musi wnieść socjalizm do ruchu robotniczego. *Nota bene* taka koncepcja nigdy później nie wygasła wśród komunistów, nawet wtedy, gdy klasa robotnicza w pełni zdobyła świadomość i poczucie własnej siły — przez robotniczą solidarność. Teoretycy Wielkiego Proletariatu okazali jednak sporą dojrzałość, odrzucając tezy Narodnej Woli — choć byli w nią zapatrzeni jak w słońce — że inteligencja musi się wysuwać na plan pierwszy, przed owych „niedojrzałych” robotników; uważali, że inteligencja powinna wtopić się w organizację robotniczą i solidaryzować z interesami uciemiężonych mas. Organ proletariackich *Walka klas* przestrzegał jednak, by inteligencja nie próbowała przemycić do tego ruchu postulatów, które mogłyby mu szkodzić, a przede wszystkim żądania niepodległości Polski. Ten pogląd, przyjęty następnie przez SDKPił i KPP powodował, że większość robotników skupiała się pod sztandarem PPS.

W sprawach szczegółowych publicyści Proletariatu okazywali sporo zdrowego rozsądku. Uznając zasługi młodzieży inteligencjonalnej w misjonarskim rozwijaniu pracy ideowej wśród robotników, zwracali zarazem uwagę, że młodzież ta nie zna codziennego życia robotników, ich trosk i bolączek. Odczyty są doskonałą rzeczą, lecz nie powinny przekształcać się w „odczytomanie” na tematy dla robotników mniej istotne, pomijające zaś węzłową kwestię stosunków w fabryce i zasad prowadzenia walki o robotnicze prawa. Ażeby zatem zbliżyć się do życia proletariatu, działacze angażowali się (zazwyczaj nie na długo) do pracy fizycznej. Bankierowicz Mendelson był gorliwym terminatorem u szewca, Dłuski i Waryński walili młotem w kuźni, Krzywicki strugał stołki.

Akcja odczytowa rozwinęła się w PPS. Ułożono kilkunastopunktowy statut kółek samokształceniowych, który jako cel główny podawał umysłowy rozwój robotników dla wyjaśnienia im ich znaczenia i praw w społeczeństwie. Kółka mogły liczyć najwyżej 6 członków, z reguły grupowanych wedle kryterium zawodowego,

aby łatwiej się było skrzyknąć i dostosować tematykę zebrań do zainteresowań. Każdy płacił po 5 kopiejek tygodniowo na zakup książek, przede wszystkim z obiegu nielegalnego, chociaż czytano też książki ze stemplem cenzury. Obowiązywał ścisły sekret — czego się uczy i w jakim składzie — którego nie wolno było wyjawiać nawet członkom podobnych kółek.

Początkowo największe zainteresowanie robotników budziły zagadnienia przyrodnicze: o ziemi, słońcu i gwiazdach, skąd się wzięli ludzie i zwierzęta. Słuchano tego z przejęciem; to było ciekawsze niż wartość dodatkowa, towar i kapitał. Drobner miał rekordową frekwencję w podkrakowskiej osadzie na prelekcji o pierwiastkach chemicznych, ale ludzie się rozeszli w trakcie odczytu, bo myśleli, że to będzie o „pierwiastkach” — jak gwarowo zwano... dziewice. Niezmordowany Stanisław Grabski potrafił zająć robotników również problematyką społeczną. Zaczynał od teorii Darwina, ale niepostrzeżenie przechodził do wyjaśnień, dlaczego trzeba świętować 1 Maja, jak skrycie tworzyć związki zawodowe i Kasy Oporu.

Ideowym kierownikiem tej działalności był lekarz Leon Falski, który wbrew przydomkowi „Fafuła” energicznie pracował nad scaleniem ruchu. Znany jest jego list do kółkowiczów, odczytany na masówce, 18 czerwca 1893 roku za rogatką Wolską na Górczewskiej. Było to bodaj pierwsze liczniejsze zebranie PPS-owców. Oto fragmenty tego listu, odczytanego przez Izydora Faterzona:

„Towarzysze Robotnicy! Już od kilku lat jesteśmy świadkami areztowań... Każdy człowiek, który dąży do wolności, równości i braterstwa, wcześniej czy później dostaje się do Cytadeli... Ale wszystkie te środki rządu nie osiągają celu. W miejsce dziesiątek straconych zjawiają się setki i tysiące nowych bojowników, których i pod groźbą śmierci nie uda się załamać. Przy tak masowym ruchu robotników rząd jest bezsilny, gdyż nie może więzić tysięcy robotników, a zatem strajki, demonstracje i święcenie pierwszego maja przechodzą prawie bez kar... Winniśmy sami dbać o swoją sprawę, winniśmy mieć własną kasę, winniśmy mieć swoje kółka samokształcenia, aby nabywać świadomość. Połączmy się i zaczniemy kształcić się, zaczniemy karać postępowanie naszych podłych towarzyszy, szpiegujących i łaszących się do fabrykantów... Klęska lub zwycięstwo! Nieświadomość, wyzysk, życie roboczych wół — lub święta walka z tyranami o wolność, równość i braterstwo! Niech sprawa nasza rozkwita!”.

Inteligencja, choć na ogół lekceważyła „ekonomizm” robotni-

czy, nie pozostawała nieczuła w sytuacjach kryzysowych, gdy na proletariąt spadały lokauty, bezrobocie i nędza. Obojętne, czy z pobudek czysto filantropijnych, czy wedle wskazań idei organicznikowskiej, zaraz skrzykiwano się, by coś zrobić dla biedoty. Na Towarzystwo Dobroczynności hojniej wpływały składki, a prasa chwaliła tych, co „wpadli na szczęśliwą myśl udzielenia robotnikom wsparcia w zbożu”. Oczywiście to był plaster na nadwężony kręgosłup, a nie niezbędna operacja chirurgiczna. Mrzonką jest wiara, że bez głębokich reform — jeśli to konieczne rewolucyjnych — można rozwiązać nabrzmiałe problemy społeczne, usunąć niesprawiedliwość. Ale za filantropią inteligentkich radykałów wcale nie kryła się intencja wygaszania klasowych konfliktów, co obmyślano w kręgach konserwatywnych i stolicach biskupich. Jeśli w tych doraźnych akcjach ulżenia robotnikom była jakaś inna intencja, prócz porywu serca, to tylko taka, by stopić lody nieufności i przyciągnąć proletariąt do ideologii niepodległościowej, której bliższa była z natury rzeczy doktryna solidaryzmu, niż walki klas.

Nie czułośćkowe współczucie, nie filantropijna naiwność, nie rachuby polityczne były jednak głównym podłożem działań inteligencji, lecz idea jej s ł u ż e b n o ś c i wobec narodu.

Mecenasz z Koła Obrońców Politycznych, prawie bez wyjątku socjaliści (i masoni) nie tylko nie brali honorariów od klientów zagrożonych wyrokami za działania rewolucyjne, ale sami łożyli wielkie sumy z własnych portfeli; także na łapówki dla policjantów i świadków. Odbijali to sobie na klienteli bogatej.

W rewolucyjnych latach Stefan Żeromski (by chociaż to jedno nazwisko przypomnieć z intelektualnej elity), sam chory na płuca i wbrew zakazowi lekarza, chodził błotnistymi uliczkami Mokotowa po suterrenach i poddaszach, roznosząc zapomogi strajkowe.

Lekarze-społecznicy docierali do ruder robotniczych, gdzie leżały się suchoty; oczywiście był to akt szlachetnego humanitaryzmu, ale zarazem sposób przierzucania pomostów do proletariatu, nieufnego wobec panów w tużurkach. Psychiatra Rafał Radziwiłłowicz — model „doktora Judyma” — był jednym z wielu. Neurolog dr Wacław Męczkowski (wiceprezes Towarzystwa Kultury Polskiej) należał do najczynniejszych i najserdeczniej wspomnianych członków Komitetu Obywatelskiego Pomocy dla robotników i ich rodzin, prekursora KSS KOR. Męczkowski miał bojową przeszłość, w 1888 roku zamieszany był w zamach na prowokatora Pińskiego. Współpracował z esdecją, co mu nie przeszkadzało należeć do wolnomularskiej loży Radziwiłłowicza.

W okresach bessy nastrojów rewolucyjnych, po klęskach,

uporczywie walczone z pijaństwem, które wyniszczało wolę oporu. Na tym polu radykalna inteligencja stykała się z Kościołem, choć nie w tych samych stowarzyszeniach abstynenckich, albowiem „Eleutaria” czy lubelska „Przyszłość” były z ambon oskarżane o komunizm (a zarazem przez esdecję o... solidaryzm). Księża z ambon co pewien czas odbierali przysięgi od chłopów, że przestaną pić; ale karczmarze jakoś na tym nie ucierpieli. Kółka socjalistyczne wszelkich orientacji także były czynne w ruchu trzeźwości. Działalność nielegalną wspierano czytaniem artykułów z prasy oficjalnej, jak *Przegląd Tygodniowy*, który pisał:

„Po kolei brano wady ludu i smagano je nielitościwie. Ileż nadręczono papieru tyradami przeciwko pijaństwu, a czyniono to pod ową porę, kiedy system naszego gospodarowania folwarcznego spoczywał na pędzeniu w każdej wsi okowity i stawianiu jak najgęściejszych karczem”.

I to brzmi znajomo.

Lud wiejski, choć zewsząd karcony, pił jednak na umór. Pili robotnicy. W Łodzi działacze SDKPiL utyskiwali, że ich zwolennicy rozumują: „Za co my walczymy, nawet paru kieliszków wódki nie można wypić”. Nad niepoprawnymi robiono zatem sądy robotnicze i oprowadzano ich po halach z monopolową butelką na plecach. W organizacjach łódzkiej PPS tępieno też złodziejstwo fabryczne, karząc je chłostą, gdyż ci co kradli, łatwo dawali się werbować na łamistraków; złodziejaszek sam musiał ściągnąć spodnie i dostawał 20 razów na gólkę. Fabryka Kutznera szczególnie była zawzięta na alfonsów, robotnicze bojówki rozbijały ich meliny. W Warszawie podczas rewolucji robotnicy rozpędzili kilka burdeli, w tym najlepszy „u cioci Ślimakowskiej”, Towarowa 60; bety popruli, lecz panienek nie tknęli. Żydowski robotnicy z „Bundu” byli ostrzejsi: jednego dnia zabili w Warszawie czterdziestu rozbójników — swych współwyznawców.

W najgorszych latach rozpijaczecia spożycie alkoholu na głowę w Kongresówce wynosiło średnio 4-5 litrów. Było to trzy razy więcej, niż w roku 1938, ale prawie dwa razy mniej, niż obecnie.

Ex Occidente Lux

Otoczeni legendą mężczyźni, którzy przybywali pod zabory z zachodnich enklaw emigracyjnych, których nazywano „emisariuszami”, a traktowano jak zwiastunów dobrej nowiny i powier-

ników wielkich tajemnic — tam, na Zachodzie, klepali biedę i żyli w wyobcowaniu. Wyjątkiem byli ci, którym ojcowie ślali z Kongresówki czy z Kresów ruble — mocną walutę! Szaraczkowie, którzy uciekli przed grozą Sybiru, spadali na obczyźnie jeszcze niżej w społecznej gradacji, imali się najcięższych fachów. Szans awansu nie mieli. Nie znali języka, zwyczajów, nie znajdowali nigdzie i w nikim oparcia. Pogląd, jakoby wychodźstwo żyło tylko krajem i dla kraju, jest mityczny; tak było najwyżej przez kilka lat po każdej fali emigracyjnej. Potem więż emocjonalna rozluźniała się nieuchronnie, bo musieli dbać o przeżycie. Po kilkunastu latach zamieszkania w podparyskich *faubourgs* albo proletariackich dzielnicach Londynu robotnicy-emigranci również i języka ojczystego na wpół zapomnieli. Ewentualnie dopiero ich dzieci, już wynarodowione, mogły dobić się nieco lepszego życia.

Ale i emigracyjna elita, czołowi działacze niepodległościowi — chociaż ich byt i status były znacznie lepsze — stanowili obce, gorsze ciało w miejscowej socjecie, nawet tej średniej rangi mieszczańskiej. Zresztą nie zabiegali o kontakty i awans. Jeśli czytali *Times*, to tylko po to, by z komentarzy i rubryk depeszowych snuć horoskopy co do możliwych obrotów brytyjskiej polityki międzynarodowej. Życie lokalne nie interesowało ich wcale, więc o czym by mogli mówić z Anglikami?

Michał Sokolnicki odnotował, że on sam, i wszyscy polscy emigranci (oprócz Limanowskiego) byli za Anglią, gdy walczyła z Burami. Sądzili, że decydującym kryterium postawy wobec spraw międzynarodowych z a w s z e musi być ich relacja do sprawy polskiej. Ponieważ po stronie Burów opowiadali się francuscy i niemieccy socjaldemokraci, pruscy konserwatyści, rosyjscy angłożercy i francuscy nacjonałiści — którzy zgodnie milczeli w sprawie polskiej — tedy Polacy powinni wspierać Anglię jako potencjalnego sprzymierzeńca.

Stara emigracja we Francji, postyczniowa czy resztki polistopadowej, nieufnie patrzyła na nowych, czerwonych przybyszów z Kongresówki. Tamci żyli tradycją czamary i rogatywki — ci wywrotowej bibuły. Czasem się spotykali na narodowych jubileuszach albo na pogrzebach, ale i tam było im ze sobą nieswojo. Polacy z dawna osadzeni wśród Francuzów i mniej lub bardziej sfrancuziali majaczyli o Niepodległej, biła od nich duma, „jak błysk karabeli”, lecz nie kwapili się, by ułatwić bytowanie i knucie spisków tym, co o nią rzeczywiście zabiegali.

Wiek XIX ani na jotę nie różnił się pod tym względem od XX.

Z późniejszych prezydentów RP Ignacy Mościcki trudnił się

fabrykowaniem kefiru, zanim zasłynął w nauce, a Stanisław Wojciechowski był najlepszym zecerem *Przedświtu*, składał omal bez błędów. Towarzyszami sztuki drukarskiej stali się także proletariaczek Aleksander Dębski i były sztygar z Dąbrowy Tytus Filipowicz — wybitni działacze PPS.

Żaden z nich, rzecz jasna, nie mieszkał w prestiżowej dzielnicy ani nie dysponował powozem. A to wtedy (jak dzisiaj) stanowiło nad Tamizą i Sekwaną przepustkę do świata ludzi wpływowych. Na zabieganych brodaczy, ubierających się bez staranności dzentelmenów, patrzono z rezerwą. Należeli do tej samej kategorii ludzi, co włoscy anarchiści, młodoturcy i terroryści rosyjscy, a niższej niewątpliwie, aniżeli niemieccy emigranci-socjaliści, którzy i pieniądze mieli więcej, i maniery lepsze.

Anglicy tolerowali ich — dzięki i za to — dopóki nie naruszali wyspiarskich praw i zwyczajów, ale dogładano czujnie, by jakąś hecą nie zakłócili stosunków ze stolicami nad Newą, Sprewą i Dunajem. Dyplomacja ma swe żelazne reguły, którym zawadzają niepokorne duchy, nawet jeśli buntują się przeciwko wrogom danego państwa. Nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół niekoniecznie są naszymi przyjaciółmi.

Kapryśna Francja oscylowała między entuzjazmem a wrogością wobec polskich uchodźców, którzy byli znacznie liczniejsi niż w Anglii i bardziej rzucali się w oczy. Szczególnie złą reputację mieli po Komunie Paryskiej; prezydent Thiers ostrym nadzorem i cenzurą obłożył emigracyjne pisma. W 1873 roku policja nie pozwoliła hrabiemu Władysławowi Zamoyskiemu na bankiet z okazji 400-lecia urodzin Kopernika, a pogrzeby polskie — w tym Mierosławskiego i tegoż Zamoyskiego — były bacznie obserwowane przez policję, aby nie padły słowa mogące narazić na szwank interesy i spokój państwa, stawiającego na alians z Rosją. Najgorzej zapisał się w pamięci Polaków minister spraw wewnętrznych Loubet, który w 1893 roku, na prośbę Raczkowskiego, paryskiego prezydenta carskiej policji, zrewidował mieszkania i wyaresztował Centralizację Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich (pięć dni zabrano przeglądanie i spisywanie zagarniętych dokumentów) — wbrew opinii swych kolegów z Rady Ministrów. „Całą sprawę biorę na swoją odpowiedzialność — oświadczył — nawet gdybym miał stracić tekę”. Raczkowski z triumfem depešował do Petersburga: „Dzięki tym represjom cała grupa Mendelsona poniosła doszczętną klęskę... Wśród emigracji paryskiej w ogóle zapanowała panika i bezgraniczna wściekłość i rozpacz”.

Trochę przesadzał. Centralizacja dalej pracowała w Londynie

i właśnie zaczynała tworzyć PPS w Wilnie (Piłsudski) i w Warszawie (Strozecki).

Wstydlawy przypadek Loubeta nie osłabił jednak żywiołowej sympatii Polaków do Paryża. Zresztą, w tej metropolii — choć powściągliwej — każdy mógł znaleźć w skromniejszych dzielnicach na lewym brzegu Sekwany krąg Francuzów, odwzajemniających tę sympatię. A w ostateczności znajdował oparcie w jednym ze sławnych polskich domów, zawsze otwartych dla rodaków, na przykład u doktorostwa Izy i Józefa Zielińskich albo u doktorostwa Zofii i Bolesława Motzów — entuzjastów anarchizmu i socjalizmu. Dlatego zrozumiała jest tonacja, w jakiej o Paryżu pisał bliski esdecji Stanisław Koszutski:

„Paryż! Przez całe niemal stulecie Paryż stanowił punkt zborny dla rewolucyjnej emigracji polskiej. Działał na nią z potężną siłą przyciągającą i jako port bezpieczny, dający schron przed pościgiem i pomstą nieprzyjaciół, i jako *pied-à-terre*, jako teren przygotowawczy do organizowania nowych ofensyw w walce o wielkie cele polityczne i społeczne”.

Zachód już dawno zapomniał jednak o sprawie polskiej. I rządy, i poważną opinię interesowała mniej niż Zanzibar. Ostatni raz w 1863 roku ministrowie Drouin de Lhys i hr. Russell, w imieniu Paryża i Londynu, uczynili werbalny gest w obronie Polaków, lecz minister Gorczakow odburknął mroźnie, że stanowi to ingerencję, której dopuścić się nie może żadne mocarstwo. Więc Zachód zamilkł. Normalne. Potem już przez pół wieku nie było oficjalnej wymiany zdań o Polsce. Tylko w świątłych, liberalnych kręgach społeczeństwa trwał jakiś cień zawstydzenia z powodu Kongresu Wiedeńskiego, tej Jałty XIX wieku. George Sorel, sławny syndykalista, przypominał w swych wykładach, że „pióro, jakim podpisywali trzej monarchowie święte swoje przymierze, umaczone było we krwi, utoczonej z Polski”. Dlatego właśnie demokracje Zachodu godziły się dawać przytulisko niewygodnym tułaczom znad Wisły. Mimo, że s p r a w a wygasła, przetrwało jak gdyby n e g a t y w n e istnienie Polski, jako dziwnego faktu — niematerialnego, lecz dolegliwego dla spokoju Europy, choćby spokoju sumienia.

Stopniowo jednak i to poczucie topniało, szczególnie we Francji właśnie, albowiem ocieplały się jej stosunki z Petersburgiem. Polacy rozdrażniali obie strony. Rychło stanął sojusz tak wierny, że gdy na początku 1917 roku Rosja goniła już resztkami sił i tylko dni dzieliły ją od rewolucji Kiereńskiego — rząd Republiki Francji zapewniał cara, iż: „Francja przyznaje Rosji pełną

swobodę w ustanowieniu jej granic zachodnich” — czyli mogła połączyć Polskę na nowo i w całości. Ale już nie miała zębów. Rychło bolszewicy zawarli separatystyczny pokój z Niemcami i dopiero wtedy na serio pomyślano na Zachodzie, że może by tak wskrzesić Polskę?

Najswobodniej jeszcze czuli się Polacy w dobrodusznej Szwajcarii, która nie miała aspiracji międzynarodowych, toteż stała się przytuliskiem międzynarodowych rewolucjonistów. Pozwalała im spiskować do woli, w obojętnym kierunku, zgodnie ze swą doktryną nieugiętego neutralizmu; mogli drukować co chcieli, Szwajcarzy nie mieszały się w konspiracyjny światek — zadowolając się dyskretnym, ale wnikliwym nadzorem policyjnym, żeby im samym nie zburzono porządku społecznego. Zurych i Genewa były siedzibami lub emigracyjnym etapem niemal dla wszystkich polskich wychodźców politycznych. Tam rezydował patriarcha narodowców Jez i patriarcha socjalistów Limanowski, i pomnikowy generał Komuny Paryskiej Walery Wróblewski, którego mir był tak silny, że jeszcze w 1905 roku, gdy stał nad grobem, krakowska młodzież posłała doń adres, aby zechciał przyjechać do kraju i objąć powstańcze dowództwo! Stamtąd i Liga Polska, i esdecja słały do trzech zaborów emisariuszy. W szwajcarskich uczelniach wykształciła się ogromna część polskiej profesury — dość wspomnieć Narutowicza, Czekanowskiego, Mościckiego, Abramowskiego — a zakupiony przez hr. Platera zamek w Rapperswilu przez wiele dziesięcioleci spełniał funkcję zastępczej stolicy polskiej kultury, był muzealnym reliktem Rzeczypospolitej i przytuliskiem dla twórców.

Pomimo, że możliwości wychodźców były skromne, wbrew obojętności cudzoziemskich gospodarzy, mimo opętańczych swarów ideowych i ambjonalnych, które dzieliły emigrację na dziesiątki grup, sekt i kapliczek — rola jej dla sprawy niepodległości była wielka. I to nie tylko tej dawnej Wielkiej Emigracji, miczkiewiczowsko-czartoryskiej, która w swoim czasie miała rząd dusz Polaków, tworzyła wielkie idee narodowe, a także wywierała autentyczne wpływy polityczne na dworach. Również diaspora z końca XIX wieku, złożona z zawodowych rewolucjonistów, studentów i wszelkich wypędków, zaskarbiła sobie nieocenione zasługi w przygotowaniach niepodległościowych. Ona zapewniała ciągłość polskiej kultury i myśli politycznej, nawet wtedy, gdy sama chorowała na polityczną schizofrenię i rozmieniała energię na sto celów naraz, niekoniecznie najważniejszych i sensownych. Ona chroniła łączność między Polakami z trzech zaborów (ściślej: czterech, gdyż „ziemie zabrane” i Kongresówka

stanowiły mentalnie odrębne światy). Na emigracji Polacy stawali się obywatelami jednej, jeszcze nieistniejącej ojczyzny, a nie poddanymi któregoś z cesarzy.

Miała też pewne znaczenie, mimo wąskiego zasięgu, propolska agitacja emigrantów wśród obcokrajowców, zwłaszcza na lewicy. W dziesięciolecie egzekucji czterech proletariaczyków Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich wydał ku ich czci specjalny biuletyn, który został przedrukowany przez całą zachodnią prasę socjalistyczną. Z tejże okazji odbyło się wiele mityngów, największy w Londynie. Uchwalono, iż „niepodległość Polski jest żądaniem politycznym, również koniecznym dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego, jak i dla samego proletariatu polskiego”. Była to dobrze pomyślana akcja polityczna, gdyż podjęta w czasie Kongresu Londyńskiego II Międzynarodówki — jedynej z dziewięciu kongresów, na którym postawiono problematykę narodową, właśnie z inicjatywy PPS. Postawiono, ale bez skutku. W rezolucjach znalazło się ogólne zdanie o „samo-określeniu”, ale nie padło słowo „Polska”.

Wyraźne sympatie dla sprawy polskiej mieli jedynie socjaldemokraci niemieccy, zwłaszcza Kautsky. Francuscy w tym czasie byli zaśluchani w hasła krystalicznie internacjonalne i adorowali Różę Luksemburg. Mimo to pepesowiec Kazimierz Kelles-Krauz, jej najpoważniejszy antagonist, zyskał w Paryżu sporą popularność — i publicystyką, i błyskotliwymi wykładami w Szkole Nauk Politycznych. Aleksander Dębski zaś nie bez sukcesów tłumaczył elicie amerykańskiej, że „Polak” to nie jest synonim robola z chicagoskich rzeźni, ale syn narodu o tysiącletniej tradycji; to imponowało Jankesom, permanentnie sfrustrowanym krótkością własnej historii.

Znacznie większą wagę, niż zjednywanie cząsteczki społeczeństw zachodnich, miało jednak to, co emigracja czyniła dla własnego narodu.

W jej skupiskach pracowały sztaby wszystkich tendencji politycznych, nie godzących się na państwowy niebyt Polaków, żyły autorytety ideowe i moralne, które spełniały istotną rolę symboliczną i były katalizatorem myśli niepodległościowej.

Tam, na Zachodzie, był stały albo przejściowy azyl dla spalonych, którzy musieli odczekać kilka miesięcy lub lat, zanim mogli tak czy inaczej wrócić do roboty nad Wisłą.

Skarb Narodowy i pomniejsze fundacje prywatne finansowały w miarę możliwości wydawnictwa, podróże emisariuszy, tajne prace w kraju. Szczególnie Liga Narodowa miała niezłe oparcie

finansowe, ale pepesowcy i esdecy też jakoś potrafili poruszać serca i kieszenie lepiej urządzonych rodaków.

Czasopisma, książki, broszury i wszelka inna nielegalszczyzna wędrowały do kraju masowo; a także drukarnie i farba. Czasem „bronki”, belgijskie Browningi.

Najważniejsza jednak była ta okoliczność, że w uniwersytetach na Zachodzie wykształcały się tysiące młodzieży z Kongresówki — poważny procent tej inteligencji, która później miała szczęście odbudowywać Polskę. Nie ma pełnych zestawień, ale szacuje się, że co dziesiąty lub nawet co ósmy absolwent gimnazjum pod rosyjskim zaborem studiował gdzieś na Zachodzie. Z samego Kalisza, w latach 1850-1900, wywędrowało do Rosji, Galicji lub „do Europy” 440 maturzystów. Organizacje studenckie na obczyźnie, w liczbie kilkunastu skupione w Zjednoczeniu Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą (1887-1914) były wychowalnią działaczy politycznych różnych partii. I Limanowski, i Jeż, i Wróblewski odwiedzali je systematycznie. Zjednoczenie sfinansowało druk wielu książek (np. „Historii demokracji polskiej” Limanowskiego), pomagało świeżo przybyłym w ulokowaniu się na studiach, gromadziło wszelkie dane o Polonii, oświecało robotnicze grupy emigrantów, prowadziło kasy zapomogowe, typowało kandydatów do stypendiów, uroczyście obchodziło narodowe rocznice. Niektóre organizacje studenckie ustalały też kryteria „postawy patriotycznej” (bądź rewolucyjnej) i wywierały wpływ na zachowania młodzieży w kraju. W okresie bojkotu szkoły rosyjskiej po rewolucji 1905 roku, Związek Młodzieży Postępowej oceniał przybyszów — czy mogą być przyjęci w jego szeregi — na tej podstawie, czy kończyli rosyjskie szkoły. Ich absolwenci byli dyskwalifikowani, jako że złamali nakaz bojkotu. Zasady te zmieniły się w 1911 roku pod wpływem esdeków. Julian Leszczyński-Leński przekonał kolegów, że bojkot jest szkodliwy, gdyż powoduje masowe wyjazdy młodzieży za granicę i kraj pozostaje ogołocony z ludzi, którzy by mogli pracować z pożytkiem dla proletariatu. Zgodne były z tą koncepcją niektóre tajne pisma młodzieżowe w kraju, jak warszawska *Ruń*, która ostro atakowała emigrację, albowiem „już się jej rola wyczerpała” i ważniejsza od studiowania nad Sekwaną jest szkoła życia nad Wisłą.

Emigracja polityczna, skomponowana przez wszelkie nurty od szowinizmu do anarchizmu, zyskała bogatą oprawę literacką, pamiętnikarską, historiograficzną — może nawet niewspółmiernie wyolbrzymioną w stosunku do realnych zasług. Niepamięć pokrywa natomiast skromne i szare wychodźstwo z zaboru pruskie-

go „na saksy” — do Westfalii głównie — które pośrednio i ubocznie, ale na skalę masową przywracało Polaków do polskości.

Do końca lat siedemdziesiątych XIX wieku Prusy systematycznie i spokojnie, jeszcze bez brutalnej presji, skutecznie zniemczały swoje wschodnie prowincje. Mazurzy wstydzieli się i obrażali, gdy ktoś ich nazwał „Polakami”. Na Śląsku myśl narodowa nie istniała, jeden Karol Miarka nie czynił wiosny. Dobrobyt nie sprzyjał tam porywom buntu klasowego, a długotrwała podległość Niemcom, wielowiekowe oderwanie od Polski oraz niezachwiany autorytet lokalnego duchowieństwa wytwarzały poczucie „śląskiej” wspólnoty; ślązacyli się nawet Niemcy. Ale bardzo długo nie miało to nic wspólnego z polskimi sentymentami narodowymi. Na Pomorzu ledwie się zaczynała kształtować warstewka polskiej inteligencji, miasta były prawie bez reszty niemieckie. Nawet najodporniejsza Wielkopolska — dopóki *Kulturkampf* nie zmobilizował zagrożonego kleru i nie wywołał obronnej reakcji chłopów — była już omal pogodzona z losem i wszystko, co niemieckie, jawiło jej się jako doskonałe.

Zarazem trwał *exodus* za chlebem. W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku zgromadził on w Westfalii 200 tysięcy Polaków; w Herne, Botrop, Wanne dominowała polska mowa. W obcym cywilizacyjnie, zurbanizowanym środowisku „obieźsasi” zaczęli się instynktownie skupiać, gromadzić na wspólne wigilie, choinki, nabożeństwa. Dobrze zarabiali, a to sprzyjało uspołecznieniu, stwarzało podstawy materialne akcji katolicko-narodowej, której ogniskiem była gazeta *Wiarus Polski* w Bochum, redagowana przez ks. Lisa z Pomorza. Zaczęto masowo wydawać elementarze, śpiewniki, kalendarze, umoralniające powiastki. Powstały chóry, kółka kościelne, teatrzyki, kluby gimnastyczne, stowarzyszenia abstynenckie. Przyjęło się hasło: „Swoj do swego po swoje”, które umożliwiło rozwój polskiego sklepikarstwa i rzemiosła, a następnie — banków. Westfalacy zaczynają też abonować pisma emigracyjne i krajowe, i to ze świadomym zamysłem poprawiania swej polszczyzny. W zaborze pruskim do dobrego tonu należało szpikowanie jej wyrazami niemieckimi, jako „kulturalnymi”. Teraz ci sami ludzie wstydzą się zniemczeń i wyszydzą tych, co mówią *volapük*’iem.

Najważniejsze: dopiero tam, nad Renem, Ślązak i Pomorzanie, Poznaniak i Mazur dostrzegają, że mają wspólny język, podobne zwyczaje, że są dziećmi jednego narodu. Rodzi się solidarność. To najmocniejszy cios w pruską strategię *divide et impera*, w bariery, odgradzające poszczególne prowincje zaboru. Stąd już

tylko krok do planowego kształcenia własnej inteligencji, na co westfalski górnik i kupiec nie żałują fenigów.

Prusacy połapali się, co się święci i rozpoczęli kontrakcję. Zakazano używać polskiego na publicznych zebraniach — więc Polacy ustawiali wielkie tablice i w milczeniu wypisywali na nich to, co mieli sobie do zakomunikowania. Użyto także gramofonów z nagranyimi tekstami. Gdy i tego zakazano — pojechała delegacja do królowej Holandii i wyjednała pozwolenie na odbywanie polskich zjazdów na jej terytorium. A tam już bez przeszkód i lęku kupowali niecenzurowane gazety i książki emigracyjne...

Powstała rychło odbita fala. Robotnicze wychodźstwo nie szczędziło pieniędzy na kontakty z krajem, na kurierów, na opłacanie propagandy. Z jego pieniędzy wydano geograficzne dzieła Wacława Nałkowskiego, lewicowca i gorącego patrioty. Do Bremy, na wielki wiec, zaproszono Tomasza Arciszewskiego, sławnego dowódcę wielu akcji bojowych PPS (po drugiej wojnie premiera polskiego rządu emigracyjnego). Po jego odczycie „Socjalizm a niepodległość Polski” niemiecki policjant, Ślązak, któremu władze poleciły czuwać nad prawomyślnością zgromadzenia, powiedział z połażaniem:

„Możecie sobie gadać co wam się podoba o waszej Polsce, Rzesza Niemiecka jest tak silna, że jej wasze dziecinne bawienie się i gadanie nic nie zaszkodzi”.

Nie ma nic lepszego dla konspiratorów, niż lekceważenie ze strony tych, przeciwko którym konspirują.

Wobec „braci Moskali”

Stosunki między zaborcą-Rosjaninem a zniewolonym Polakiem nie zawsze układały się wedle trywialnego schematu kata i ofiary. Publicystyka nielegalników i rodzinne legendy modelowały wprawdzie ich obraz zgodnie z wizją grottgerowską, lecz była to dydaktyczna mistyfikacja służąca apelowi: walcz z Moskałem, jak ojciec i dziady! Oczywiście dominantą wzajemnych stosunków była wrogość „ideologiczna”, zespolona z wątków narodowego, religijnego i kulturowego; wrogość celowo podsycana obustronną propagandą. Nie mogło być inaczej, skoro dla Polaków opór był szansą narodowego przetrwania, a dla Rosjan „hardość” Polaków stanowiła anomalie i zadrę, która raniła ich misjonarsko-słowiańskomocarstwowy etos.

J. K. Potocki w liście otwartym do księcia Uchtomskiego ogłosił:

„Nienawidzimy mowy waszej, gdyż nie ma takiej podłości, którejby ona w płynne, dźwięczne słowa ująć nie umiała. Nienawidzimy jej za to, że zagładę naszej kultury wy nazywacie w niej *obiedinienie*... że anarchię i bezprawie nazywa się właśnie u was *porządkiem administracyjnym*”.

Jednak reguła miała sporo wyjątków. Wrogość i nienawiść były przeplecione nitkami ze szlachetnej materii. Wielu Polaków fascynowało się wielkością rosyjskiej kultury, a nawet mocą państwa carów; często też — i naiwnie — pokładano nadzieję w rosyjskich rewolucjonistach-narodowolcach, w dekabrystach, w liberałach, demokratach, w Herzenie i Czernyszewskim. Niejeden marzył, szczególnie na skrajnej lewicy i skrajnej prawicy, że kiedy runie carska despotia, to pomiędzy zwaśnionymi narodami rozgości się sielanka. Również niemało Rosjan, nawet wysokich czynowników, a nie tylko jawnych czy skrytych opozycjonistów, żywiło wobec Polaków uczucia oscylujące pomiędzy życzliwością, podziwem, współczuciem i kompleksem winy. Inna sprawa, że ci szczerzy, Polaków miłujący Rosjanie ciągle sami siebie zapytywali, po co właściwie tym Polakom osobne państwo i odrębne narzeczce, skoro gotowi byłiby ich obdarzyć takimi samymi prawami, jakie są udziałem Rosjan?

Kiedy wieziono na Sybir Piłsudskiego, jechał z nim młody rewolucjonista rosyjski; mimo wspólnoty losu, Rosjanin narzekał na nacjonalizm Polaków, którzy odrzucają (twierdził) wyciągniętą do nich dłoń.

Piłsudski odparł:

„Widzi pan, to nie tak trudno zrozumieć. Dotychczas braterstwo między nami odbywało się w ten sposób, że pański dziadek powiesił mojego dziadka, a pański ojciec wygnał na Sybir mojego”.

Każde pozytywne zachowanie Rosjanina było jednak przez Polaków rejestrowane z nieokreśloną nadzieją, że z tego coś dobrego może wyniknąć na płaszczyźnie stosunków politycznych — choć przecież takich zachowań było znacznie mniej, aniżeli przejawów brutalności i zezwierżenia, usymbolizowanych przez Murawiewa-Wieszatiela, paranoicznego Apuchtina, bądź oficera dragonów Mośnię, który w 1905 roku zabawiał się w ten sposób, że skazańców wiesział trzykrotnie, konających odcinając ze stryczka.

Ale jakże nie zapamiętać demonstracji ks. Teodora Paskiewi-

cza — syna feldmarszałka, który zgniótł Powstanie Listopadowe. Na uroczyste odsłonięcie pomnika jego ojca w Warszawie, w roku 1870, ks. Teodor — adjutant cara Aleksandra II — stawił się, wbrew obowiązkom protokolarnym, w połowym mundurze, a nie w pełnej gali orderowej i natychmiast po ceremonii poprosił o dymisję, by resztę życia spędzić nie w służbie dworskiej, ale w rodzinnych dobrach w Homlu.

Dzieci, co częste i psychologicznie wytłumaczalne, starały się naprawiać winy rodziców. Syn pułkownika żandarmów, siedemnastoletni Jerzy Melcer, postrzelony został na placu Bankowym, gdy w listopadzie 1905 z drabiny przemawiał do zrewoltowanego tłumu. W agonii odwiedził go ojciec. Jurek powiedział: odejdz, daj spokojnie umrzeć.

Bardzo życzliwy wobec Polaków był carski generał — adiutant Otton von Richter, gdyż zapamiętał, że jego ojca (też generała) Borysa Polacy potraktowali z dżentelmenerią — gdy dostał się do niewoli w Noc Listopadową. Otton, zaprzyjaźniony z historykiem Szymonem Askenazym, przedłożył Mikołajowi II jego notatkę, domagającą się polonizacji szkół, opatrzywszy ją adnotacją:

„Naród ten jest, jak był, jednym z kilku wielkich narodów rodziny europejskiej. Jest kluczem do Zachodu”.

Notatka nie straciła aktualności.

Reputacją uczciwego człowieka cieszył się gubernator Albedyński. Delegacja młodzieży warszawskiego uniwersytetu z taką właśnie szarfą — „Uczciwemu Człowiekowi” — złożyła wieniec na jego trumnie; to tak rozczuliło wdowę, że wyprosiła u cara ulaskawienie dla wszystkich studentów, relegowanych po *schodce apuchtinowskiej*. Gubernator Moskwy płk Dżunkowski pod wpływem starań Aleksandra Lednickiego wypuścił z więzienia (na własne ryzyko, nie miał ku temu uprawnień) trzech działaczy PPS, którzy rozpoczęli głódówkę. A gdy nie chcieli wyjść z celi bez kilkunastu współtowarzyszy — zgodził się uwolnić co do jednego aresztowanych z Warszawy. Teraz wszyscy razem postawili warunek: nie wyjdziemy, dopóki siedzi 30 rewolucjonistów z Kaukazu! I oni zatem znaleźli się na wolności — i od razu przyłączyli się do manifestacji. Niewykluczone zresztą, że właśnie wzrost nastrojów rewolucyjnych, a nie dobra wola Dżunkowskiego, był podłożem tych decyzji.

Godnie zachowywał się gen. Unkowski, komendant Cytadeli, który nie cierpiał żandarmów i robił co mógł, by chronić przed nimi więźniów X Pawilonu, zwłaszcza młodych. Unkowski,

wbrew poleceniu generałgubernatora Hurki, nie zgodził się asystować przy egzekucji czterech proletariatchyków i podał się do dymisji. Nieocenione zasługi Polakom więzionym w X Pawilonie oddawał jego intendent Aleksiej Siedielnikow.

Wiele pamiętników, również członków SDKPiL, podkreśla respektowanie przez Rosjan praw więźniów politycznych. X Pawilon ponurą sławę zawdzięcza temu, że stamtąd prowadzono na miejsce straceń albo ekspediowano na Sybir; natomiast warunki pobytu więźniowie uważali za komfortowe. Na śniadanie: herbata i kajzerki, na obiad: rosół ze sztuką mięsa i kotlet, do spania: dwie poduszki, kołdra, bielizna pościelowa. Na Pawiaku polityczni też byli traktowani lepiej od kryminalnych, mogli przez kławiszy zamawiać restauracyjne posiłki, mieli staranniejszą opiekę lekarską, a na wszystkie uchybienia składali skargi prokuratorowi, który co miesiąc inspekcjonował cele i skrupulatnie załatwiał dezyderaty więźniów. Świetną reputację miało wojskowe więzienie w Modlinie. Władze były „nadzwyczaj uprzejme”, więźniowie otrzymywali porcje żołnierskie, mieli opiekę lekarską i dentyścyczną, korzystali z długich spacerów, a latem wydawano im posiłki na świeżym powietrzu.

Żandarmeria respektowała regulaminy swej służby, które były przyzwoite, jak na pozbawioną konstytucji monarchię absolutną. Żandarmi nie mieli prawa rewidować mieszkań pod nieobecność właściciela ani od zachodu słońca do świtu — „żeby nie niepokoić ludzi”. Jedynie w miastach lub guberniach objętych wzmocnioną ochroną ograniczenia te znoszono na czas stanu wyjątkowego. Anna Krysińska, która z ramienia Polskiej Organizacji Wojskowej kierowała w Warszawie kolportażem tajnych wydawnictw, opisała, jak na początku Wielkiej Wojny dokonano u niej nocnej rewizji. Ci brutale wpadli do sypialni, ale na żądanie, żeby wyszli, póki się nie odzieje — posłusznie czekali za drzwiami. To pozwoliło jej ukryć raporty do Piłsudskiego w sąsiednim pokoju, w którym była także broń. Żandarmi próbowali tam wejść, lecz zaprotestowała matka, gdyż nakaz rewizji obejmował tylko córki. Poskutkowało; komisarz ustąpił, nielegalszczyzna ocalała, żandarmi znaleźli tylko mniejszej wagi dowody winy. Podczas przesłuchania Krysińska odmówiła podpisania protokołu. Wtedy:

„Rotmistrz żandarmski zaczął mi grozić siłą. Łamać by was kołem, wilcze szczenięta! — wykrzykiwał. Powiedziałam mu, że po żandarmie wszystkiego się spodziewać można. To przepełniło miarę; okazało się, że rotmistrz piętnaście lat służył w kawalerii,

toteż formalnie wpaść w furję, a porywając moje kompromitujące papiery i drąc je w strzępy zapytał, czy i tego po nim się spodziewałam? Tego nie spodziewałam się w istocie”.

Z uznaniem wspominali aresztanci żandarma Fokina, który nie uciekał się do gróźb i pisał tylko to w protokole, co mu się dobrowolnie powiedziało.

Najpodlej zachowywali się zruszczeni Polacy, jak pułkownik Sierzputowski — „Łotr wielki, jak się zwykle dzieje, / Z Polakiem, co w moskiewskiej służbie zmoskwiciele” — zacytował Mickiewicza Bronisław Szwarce. Sierzputowski w trakcie przesłuchania dał „szlacheckie słowo”, że jeśli tylko Szwarce podpisze protokół — on natychmiast zwolni jego aresztowaną rodzinę. Podpisał, rodzinę sekowano nadal. Więc w kilka lat później odmówił wyjścia na wolność pod warunkiem, że podpisze zobowiązanie, iż nigdy nie weźmie udziału w walce przeciw Rosji. Miała to być prosta formalność, związana z amnestią, ale Szwarce nie podpisał i przesiedział następnych 7 lat w więzieniu tomskim, nie licząc późniejszego osiedlenia w Tunce.

Zdarzały się wśród Rosjan charaktery pokrętne, jakby z kart Dostojewskiego. Na przykład Siengalewicz, Rusin z Galicji, przez ćwierć wieku dyrektor gimnazjum lubelskiego, potem cenzor, tu i tam kanalia nad kanaliami. Pod koniec życia zaczął przechodzić metamorfozę, która do łez wzruszała skłonnych do wybaczeń Polaków. Stanisław Stempowski odnotował, że Siengalewicz, podczas procesu *Ogniwa* powołany na jedyne go świadka oskarżenia, ku osłupieniu wszystkich złożył pozytywne dla podsądnych zeznania, ratując ich przed zesłaniem. Stanisław Kempner opublikował przedśmiertną ekspiację Siengalewicza: „Kupili moją duszę za 2.000 guldenów... okacapili mnie”; płakał też nad losem rodzinnego Lwowa, w 1914 roku zajętego przez Rosjan. Z rodziny Krylenków, zamieszkałej w Lublinie, ojciec wstawił się w 1905 roku za strajkującą młodzieżą, pisał do gubernatora: „Nasza szkoła jest nic nie warta”. Jego syn Włodzimierz należał do organizatorów tego strajku. Drugi — Mikołaj — był powszechnie przez Polaków lubianym nauczycielem, współpracował z podziemiem PPS. Ale po rewolucji październikowej, jako wysoki komandir bolszewicki znęcał się nad Polakami ze szczególną zawziętością.

W okresach napięć Rosjanie z ręcznie obracali bunty Polaków — mówiąc ściślej: ulicznego motłochu — przeciwko Żydom. Działo się tak szczególnie odkąd powstał „Bund”, którego członkowie puszczali śmierdzące na rosyjskich koncertach, a potem wzięli się za bomby i rewolwery. Nie wydaje się, by antyżydow-

skie hece były jedynie manipulacją polityczną, bez związku z rosyjskim antysemityzmem. W 1888 roku Hurko wyjaśniał carowi, że pogromom zapobiegać jest trudno, bo wojsko cieszy się, gdy biją Żydów.

— A wie pan — zauważył Aleksander III — ja też jestem rad, gdy ich biją.

Tenże imperator na zapisce, motywującej potrzebę wstrzymania antyżydowskich represji, własnym piórem skreślił: „Lecz nigdy nie powinniśmy zapominać o tym, że Żydzi ukrzyżowali Pana naszego”.

We wspomnieniach z XIX wieku zaraz po motywie żandarmerii, policji, Ochrazy — przewija się wątek cenzury. Brzmi on współcześnie. Wykreślano informacje o nieurodzaju rzezy, aby „nie alarmować opinii publicznej smutnymi wiadomościami”. Pilnie przestrzegano, ażeby słowo „rząd” pisać z dużej litery, z czego wynikało pewnego razu, iż „na przedstawieniu galowym jeden Rząd świecił pustkami”. Straszna gaffa zdarzyła się kiedyś w *Gońcu* — bo Kazimierz Pollack w notatce z okazji urodzin carycy zamiast „nabożeństwo dziękczynne” napisał „żałobne”. Udało się to skorygować w części nakładu, resztę policja wyłapywała po mieście, autor musiał się ratować ucieczką do Krakowa. Obecnie Kraków jest równouprawniony z Warszawą.

Oprócz tarapatów dziennikarskich, szeroko znane były kłopoty obrońców politycznych, zwłaszcza w okresie „reakcji stołypinowskiej” po rewolucji 1905 roku. Niejednego pozbawiono praw adwokackich, bo zbyt energicznie zabiegał przed sądami o interesy swych klientów. Szczególnie represjonowany był najślawniejszy mecenas Stanisław Patek, któremu wielokrotnie udawało się wyciągnąć skazanych spod szubienicy. Na przykład Zofię Owczarkównę i Kazimierę Ostrowską. Pierwsza pomagała Wandzie Krahelskiej w nieudanym zamachu bombowym na generał-gubernatora Skałona, który słynął z surowości; za jego władania w Królestwie, przez osiem i pół roku, tylko przez 3 tygodnie nie było stanu wyjątkowego ani wojennego. Ostrowska w tej akcji, na ulicy Natolińskiej w Warszawie, w ogóle nie uczestniczyła, lecz ciążyło na niej inne oskarżenie, zagrożone karą śmierci, więc wzięła na siebie i tę winę, by uchronić rzeczywistą sprawczynię — Helbertównę (Krahelska zaś zbiegła do Galicji).

Sprawa terrorystek przedstawiała się beznadziejnie, gdyż naiwna Owczarkówna dała się podejść agentowi Ochrazy, który przedstawił się jej... jako asystent Patka. Wypaplała mu wszystko.

Wyrok brzmiał: śmierć przez powieszenie.

Patek poszedł *va banque*. Wtargnął do gabinetu Skałona, gdzie był także generał żandarmerii Uthoff.

— Wasza dostojność — powiedział — czy pan zdaje sobie sprawę, że to będzie pierwszy przypadek powieszenia w Cytadeli kobiet? A za co? Za zamach na Skałona. A kto odmówił złagodzenia wyroku? Skałona. Tak to będzie zapisane w historii.

— Jeśli zostaną ułaskawione — wtrącił Uthoff — to się nauczy Polaków, żeby bomby rzucali rękami kobiet.

— Pan obraża moich współrodaków — odparował Patek. — Ilu już pańscy ludzie powiesili właśnie za bomby?

Skałona wahał się dłuższą chwilę. Wreszcie rzekł:

— Może pan odejść spokojnie. Ja tych bab nie powieszę. Zesłano je na bezterminową katorgę sybirską.

Krahelska stanęła przed austriackim sądem w Wadowicach. Sędzia:

— Wiedziała pani, że bomba uszkodziła kilka osób?

— Wiedziałam.

— Przecież religia chrześcijańska uczy: nie zabijaj!

— Ale Chrystus mówił, że trzeba będzie sprzedać płaszcz, by kupić miecz.

Wśród polskich symboli martyrologicznych „Sybir” ciągle jest na poczesnym miejscu, chociaż po XX-wiecznych doświadczeniach obozów zagłady oraz gułagów ta kaźń, klątwa całych pokoleń Polaków, rysuje się jakby mniej dantejsko. Relacje zesłańców raczej dziś zaciekawiają, aniżeli przejmują grozą. To fakt: wielu marło wskutek uciążliwości klimatu lub braku opieki lekarskiej, wielu popadało w melancholię, w depresję, kończyło samobójstwem — albo po latach nie miało już psychicznej mocy, by powrócić do kraju, do normalności, nawet gdy mogli to uczynić. Znacznie więcej jednak powracało. Zesłańcy do „oddalonych guberni” żyli w wyznaczonych miejscowościach, ale niemal wszyscy opisują, jak się wzajemnie odwiedzali, jak wyprawiali się w dalekie podróże. Ich wolność była ograniczona luźnym nadzorem policyjnym, lecz robili co chcieli. Nie doskwierała im zabójcza praca, gdyż taki obowiązek na nich nie ciążył; raczej brak pracy był dokuczliwy. Czas wypełniali jak kto chciał i potrafił: badaniami naukowymi, ciesiołką, polowaniami, fotografowaniem, samokształceniem (nie było samolotów, ale świeżo wydane książki dowozili konno kozacy albo Jakuci na renach, z paromiesięcznym zaledwie opóźnieniem). Kwitło życie towarzyskie, flirty... Mimowoli cieszone się zatem, gdy przybyła nowa partia zesłańców. Poszczególne grupki polityczne i narodowe toczyły zażarte

dysputy o ideowych pryncypiach. Istniały obyczajowe kodeksy, obowiązujące zesłańców i każde od nich odstępstwo powodowało ostracyzm towarzyski. Lekarze swobodnie praktykowali w całej okolicy, czasem dorabiali się; pisarze tworzyli dzieła, których nikt nie kontrolował; spory szmat wiedzy o Syberii wypełnili polscy uczeni i samoucy.

W relacjach zesłańców są karty przejmujące, są tragedie, lecz dokumenty te nawet w przybliżeniu nie dadzą się porównać ze świadectwami gehenny w literaturze epoki pieców krematoryjnych — czy w dziełach Solżenicyna.

Oto strzępy tych syberyjskich meldunków.

Żona Mariana Abramowicza (Żeromski: „Należał do nieśmiertelnego legionu buntowników, prekursorów wiecznego postępu ludzkości”) tak opisała swój zawarty w więzieniu Butyrki ślub i losy na Sybirze:

„Świadków po ceremonii natychmiast zabrano do celi, nam pozwolono na godzinne widzenie osobiste... W Butyrkach wówczas było bardzo wesoło. Najlepiej żyli ze sobą Strożeczki Marian, Pietkiewicz i Rosjanin Fiedosiejew, zesłany do Wiercholenska, gdzie wkrótce po przyjeździe odebrał sobie życie... Oficer, naczelnik konwoju, był wyjątkowo delikatny i taktowny. Ponieważ byłam jedyną kobietą pośród kilkunastu mężczyzn, proponował mi pożyczanie swego materaca, pozwolił mi na wychodzenie z wagonu na każdej większej stacji i ułatwiał, jak mógł, tę trudną dla mnie podróż. Czas spędzaliśmy dość wesoło na rozmowach, wspomnieniach wczesnej młodości, śpiewach chóralnych... W Krasnojarsku spotkaliśmy się z Krzyżanowskim i Starkowym, z którym nasi bardzo się zblżyli w Butyrkach. Tu również przejazdem na miejsce zesłania bawił przez parę dni Uljanow (Lenin). Był bardzo milczący, nietowarzyski. Raz jeden dał się namówić wśród ogólnej zabawy na przetańczenie ze mną mazura... Usmażyłam przy pomocy Janka jajecnicę z ogromnej ilości jaj. Fakir (Kazimierz Pietkiewicz) siedział na łódce z wędką w ręku i nawet jeździł na polowania. Gotowaliśmy sobie sami, a czasami fachowy kucharz spośród kryminalnych, który mnie bardzo lubił i cieszył się, kiedy mógł przyrządzić jakąś smaczną potrawę... Kolonia jakucka była podówczas bardzo liczna, zbieraliśmy się kolejno u któregoś z towarzyszy, czas schodził na gorących dysputach na tle 'pryncypialnych *woprosow*', na śpiewie (kolonia miała śliczny chór), na wspólnym czytaniu i długich wycieczkach poza miasto”.

Wacław Koral z esdecji opisał, że na zsyłkę do Czelabińska wieziono go wagonem nowego typu, w którym można się było

wygodnie rozsiąść. Oficer konwoju był „szlachetnym humanistą” i politycznych wyróżniał dobrym traktowaniem, jako cierpiętników za sprawę ludu. W więzieniu krasnojarskim robili co chcieli: referaty, wiece, dyskusje, wesołe pieśni i tańce. „Życie tu zdawało się wolnością po warszawskich więzieniach”. Jadąc dalej, pod Jakuck, Koral kupił sobie barani kozuch do samej ziemi za 16 rubli, to jest jedną trzecią miesięcznego zarobku drukarza. Po drodze, na stacjach, popijano sobie wódkę i piwo za „strawne” od rządu. Inni zesłańcy wspominali, że kozuchy dostawali darmo, niestety z wyleniałym włosom.

Jan Strożecki do Pietkiewicza napisał, że „Kołymsk to jest Sybir Sybiru”. Oto inne urywki z jego listów:

„Postawić chcemy jurte wyłącznie dla biblioteki i stołowania. Kupimy konia i sami będziemy przywozili drzewo z lasu... Utrzymanie tutaj wyniesie drożej, niż w Wierchojańsku: mąka pszena pomieszana z owsianą 6 rs. pud (i to nie zawsze można dostać), mięso 3 rs., masło 1 rs. i 70 kop. Za to ryba tania. Wyobraź sobie, że miejscowy *isprawnik* bez odnoszenia się do Jakucka wypłacił mi za czas spędzony w drodze i za dni w Wierchojańsku ogółem 15 rs z kopiejkami... Chciałem uraczyć zebraną publiczność wódką, ale, o horrendum, w podłym Kołymsku dostać jej nie można. Napojów więc na uczenie brakowało, za to różnorodnego jadła było pod dostatkiem, a kompot z jabłek sprawił sensację... Oczekuję z niecierpliwością smoków, więc nie zwlekajcie z nimi. (Następuje spis nielegalnych wydawnictw, które ostatnio czytał, m.in. *Robotnik*, „Niepodległość Polski” Kautskyego, „Wybory galicyjskie” Daszyńskiego). Janowicz przeczytał wszystkie smoki i powiada, że nie widzi wielkiej różnicy między stawianiem przez Proletariat kwestii Polski i obecnie... Ponieważ zobowiązałem się dostarczyć ilustracji dla książki o Czuczach, więc jak tylko Kołyma ruszy, z pierwszą wodą pojedę... Koniec końców, wyżyć tu z zapomogi można, czego zresztą dokazał już Janowicz, gdyż blisko rok nie otrzymywał z domu pieniędzy i długów nie narobił... W zesłaniu niezbędny warunek równowagi, samotność, bo życie w ciągłym towarzystwie wyczerpuje. Prawdę tę teraz wszyscy zrozumieli i rozlokowaliśmy się w pojedynkę... Zima kołymska nie jest najcięższa na Syberii. Najniższa temperatura, jaką obserwowałem przez cztery lata, równała się minus 57°C. Ziemia kurczy się wtedy tak silnie, że co chwilę słychać huk świadczący, że dalej kurczyć się już nie może, więc pęka... Surowcew postawił na swoim. Główki kapusty i buraki nie ustępują naszym. Groch dojrzał, rzepa po 3 funty sztuka, kartofle niewielkie ale są, cebula, marchew i rzodkiew obrodziły, tylko ogórki maleńkie...

Uroczystości są u nas nader rzadkie: obchodziliśmy dzień wypuszczenia Pankratowa ze Szlisselburga, pierwszy maj naturalnie, a wczoraj z okazji imiennin Palińskiego był wystawniejszy obiad. Na pierwszego maja mieliśmy na deser ananas”.

Zesłańcy polityczni nad Kołymą, za okrutnego cara, jedli na deser — ananas! *No comment.*

CZĘŚĆ DRUGA

MYŚLEĆ JAK WALCZYĆ SKUTECZNIE

Na początku był chaos

Ferment, jaki pod wpływem francuskich utopistów poruszył umysły garstki emigrantów „listopadowych”, miał znikomy odźwięk na ziemiach zaborów. Poglądy Worcella, Krępowieckiego, Lelewela, nawet publicystyka Mickiewicza, nawet odosobnione rewolucyjne poczynania ks. Piotra Ściegiennego w Kongresówce oraz Edwarda Dembowskiego w Poznańskim i w Krakowie — choć zasługują na pietyzm — tylko w bardzo nielicznych głowach zaszczepiły światoburcze tęsknoty. Demokracyzm? Oczywiście. Ale socjalizm? Czy to aby poważne? „Lud Polski”, gromady Grudziąż i Humań, odegrały w życiu emigracji rolę niewielką, a w Polsce ówczesnej — bodaj żadną. Trudno też doszukiwać się pierwocin ruchu socjalistycznego w niszczeniu maszyn, uważanych za winowajców robotniczej biedy. Zdarzały się takie przypadki spóźnionego luddyzmu w Łodzi, przed Powstaniem Styczniowym, lecz to oczywiście ślepy instykt nienawiści kierował odruchami robotników. Nawet w Powstaniu Styczniowym idea socjalistyczna była nieobecna. Robotnicy niezbyt licznie i nie podług nauki Marksa zasilili powstańcze szeregi.

Z nowej, postyczniowej emigracji kilkuset Polaków walczyło natomiast w Komunie Paryskiej. Z tych, co ocaleli, jedni się później identyfikują z poglądami Marksa, inni za patrona obierają Bakunina, zachwalającego kolektywizm gminny, ale i tym, i tamtym socjalizm nadal jawi się po prostu jako „coś dobrego”, coś, co ma świetlaną przyszłość — podobnie jak współczesnej inteligencji Trzeciego Świata. I tak, jak dzisiaj w Azji czy Afryce mglisty socjalizm splata się z nacjonalizmem, z fobią antyeuropejską, z szukaniem własnych korzeni kulturowych, z religią muzułmańską czy buddyjską — ówczesnym Polakom socjalizm kojarzył się z etycznymi treściami chrześcijaństwa, z mistycznym mes-

janizmem, z hasłami panslawizmu. W tamtym dziewiczym socjalizmie zdecydowanie dominował kanon miłości do bliźniego nad nakazem nienawiści klasowej. Socjalizm po prostu był humanistyczny, chociaż nikomu z jego wyznawców nie przychodziło wtedy do głowy, by mówić o „humanizmie socjalistycznym”. Był jakby nową religią; wierzono weń, nie weryfikując dogmatów, które zresztą znano pobieżnie, jak w każdej religii.

Zdarzali się też sceptycy, szczególnie wobec Bakunina. Bronisław Zaleski, skromny pisarz emigracyjny, zadeklarował, iż kocha lud jak i on, ale „... przyszła Rosja, z toporem w ręku zaprowadzająca własność wspólną, jest dla nas zupełnie niesympatycznym zjawiskiem. Myślimy, że gdyby do tego przyjść miało, mielibyśmy bardzo prędko dawniejszy, może w innej trochę formie, ale jeszcze gorszy despotyzm”. Napisał te słowa w 1862 roku. I tak wywód o potrzebie rewolucyjnych zmian spuentował: „Do takiej roboty z tym jednym wyrazem **l u d** zabierać się nie można; do takiej roboty, jeżeli zaraz nie ma runąć, bez prawa i sprawiedliwości brać się niepodobna”. Mniej więcej w tym samym czasie sławny myśliciel rosyjski Herzen drwił sobie z alarmów, rozlegających się w przededniu reform włościańskich: „Petersburg ogłosi republikę w koszarach Preobrażeńskich, zaś Moskwa — demokratyczny i socjalny Kreml”. Chciał w ten sposób *ad absurdum* sprowadzić strachy i czarne przeczucia, a co wykrakał?

Łatwiej trafiała do ludzi szlachetna retoryka „Manifestu komunistycznego”. Wizja Bakunina była groźna, posępna — wizja Marksa wręcz promienna dla wrażliwego człowieka, skoro dokoła widział wyzysk kapitalistyczny, który w tamtych czasach był surowym faktem i nie miał posmaku agitacyjnego sloganu. Ci zaś ludzie, którzy żyli w państwach despotycznych, widzieli w Marksie proroka podwójnego wyzwolenia: od wyzysku pracy i od ucisku politycznego. Polacy nadto snuli nadzieję, że zdołają zrzuć niewolę narodową. Wszak sam Marks przyznawał im takie prawo! Sam Marks głosił ideę niepodległości Polski — w przedrozbiorowych granicach! Urzeczywistnienie potrójnego cudu jawiło im się jednak niekoniecznie jako odrodzenie państwa polskiej. Konkurencyjny był miraż ogólnoludzkiej wolnej wspólnoty, w której problematyka narodowa najzwyczajiej się rozplynie.

W świadomości dzisiejszych Polaków wielkie spustoszenia poczyniło zawłaszczenie przez komunistów całej tradycji socjalistycznej, w tym dziejów Wielkiego Proletariatu. Na dźwięk tej nazwy większość Polaków dostaje gęsiej skórki. Postarała się o to kadra socjalistów „naukowych”, przygotowując dzieje narodowej świa-

domości wedle schematycznych formułek. Jednakże pomimo idiosynkrazji, jaka narosła wokół nazwy „Wielki Proletariat”, nie można pomijać jego historii. Ona również należy do dziejów myśli niepodległościowej, pomimo aberracji paru ideologów, którzy w wieku totalnego zbuntowania młodzieńczego naigrywali się z patriotyzmu. Nie zawsze ten, kto się naigrywał, miał się później okazać antypatriotą, tak jak nie każdy z tych, co mianują się „prawdziwymi Polakami”, kultywuje polskie uczucia.

Kazimierz Dłuski, w pewnym okresie najbardziej internacjonalny z proletariaczyków — po wielu latach tak pisał w piśmudczykowskiej *Niepodległości*:

„... dumny jestem z tego, że należałem do tych pierwszych, którzy rzucili ziarna socjalizmu na nietkniętą dotąd glebę w Królestwie... Zarzucano nam, pierwszym socjalistom w ósmym dziesiątku ubiegłego stulecia, że byliśmy międzynarodowcami. Zarzut po części słuszny! ... Czyż ci, co nam zarzut kosmopolityzmu czynili, byli patriotami, gotowymi do działania w imię Niepodległej Polski?”. A dalej, objaśniewszy proces stopniowego odchodzenia od kosmopolityzmu (to pojęcie było wtenczas równoznaczne z internacjonalizmem) podsumował: „Socjaliści polscy pierwsi postawili program Niepodległości Polski”.

W latach siedemdziesiątych słowo „socjalizm”, na wiele sposobów rozumiane, przenikało już do wszystkich trzech zaborów, tu i ówdzie trafiając na glebę przeoraną przez rozbudowę przemysłu i tworzenie się stosunków kapitalistycznych. Rozrasta się klasa robotnicza, w większości świeżo oderwana od pług, niepiśmienna, ale już odczuwająca swe upośledzenie. Dziesięć lat wcześniej rozbijali maszyny, teraz nasłuchują importowanych wieści o poprawie losu, jaką ma im ziścić socjalizm. I strajkują. U Cegielskiego, u Szajblera, u Lilpopa. Spontanicznie, bez programu, bez przywódców. Nawet ci, co jeszcze nic nie słyszeli o socjalizmie, wiedzą, że strajkiem można wywalczyć nieco lepsze życie.

Studenteria, młoda inteligencja — bardziej zaawansowane światopoglądowo — szukają jakiegoś ukierunkowania buntowniczych ambicji. Kongresówka ciągle trwa w popowstaniowym bezruchu, ojcowie chronią dziatki przed marzeniami rebelianckimi, ale w zaborze austriackim i pruskim istnieją już związki robotnicze. Docierają gazety i broszury, w których pan Lassalle zaleca legalne formy organizowania się robotników, przeciwstawiając się nieodpowiedzialnym hasłom pana Marksa. Blisko ideologii Lassalle’a oscylują teksty Bolesława Limanowskiego. Do Kongresów-

ki przyjeżdża coraz więcej młodzieńców, którzy w lekturach socjalistycznych czytali się na studiach w Petersburgu albo w Kijowie, w Genewie czy Paryżu. Jedni mówią, za Bakuninem, że trzeba podjąć terror. Inni, za Marksem, że proces historyczny nieuchronnie doprowadzi do rewolucji proletariackiej. Jeszcze inni, za Lassallem, perswadują, że robotnicy najwięcej mogą zyskać przez spokojne, pokojowe pertraktacje z właścicielami fabryk, bez żadnego awanturnictwa, broń Boże.

Była to osobliwa, egzotyczna formacja pokoleniowa. Kazimierz Hildt i Stanisław Mendelson, synowie bogatego fabrykanta i bardzo bogatego bankiera, od dziecka wysiadali z lubością na zydełkach u szewców i powroźników, popijali piwo w robociarskich szynkach, aby wżyć się w tętno pracy fizycznej i delektować „czystą duszą” wyrobników, którzy na dziwactwa paniczików patrzyli z jowialną tolerancją. „Idea porwała jednych swoim poczuciem sprawiedliwości — pisał Krzywicki — innych pociągnęła od strony artystycznej, jeszcze u innych sprzęła się z marzeniami o jakimś czynie bohaterskim”. W magmie, jaką były ich przekonania społeczne, roztopiały się najdziwniejsze pierwiastki. Rosyjski nihilizm, mistycyzm *naplewatielstwo*, sąsiadowały z okrucami modnych lektur zachodnich, w których Marks był reprezentowany szczyptą potocznych cytatów, choć nie mniej modny był Rodbertus, piewca kapitalizmu państwowego, nie mówiąc o ewolucjonście Spencerze. Dużo i wciąż mówiono o konieczności terroru, ale również o potrzebie zakładania kooperatyw spożywczych. Anarchizm był hasłem szczególnie popularnym, choć jedni wierzyli w Bakunina, a innym podobał się radykalny książę Kropotkin. Wreszcie i zwykłych dziwaków była przygarść, i degeneratów, i cwaniaczków — obok wzniosłych idealistów. Większość owych *socyalistów* w ustatkowała się zresztą, poszła na posady. A inni trafili do Cytadeli, jak nastolatek Wacław Sieroszewski, który napisał tam wiersz „Czegóż chcą?”, bojowy i czerwony, kończąc słowami:

*W przyszłość... A chociaż wielu z nas w drodze
Padnie złamanych przez los surowy
Na swoją dolę nikt nie zapłacze
I nie uchyli pokornie głowy!*

Nie było to arcydzieło kunsztu poetyckiego, lecz istotnie — większość protosocjalistów głów nie pochyliła, aczkolwiek różne w tych głowach następowały metamorfozy. Czasem najzupętniej dziwaczne, jak u Mendelсона, który był kolejno dogmatycznym

marksistą, twórcą niepodległościowej PPS, skrajnym konserwatystą, chłopomanem, realistą i krzewicielem syjonizmu.

Tymczasem w Rosji wreszcie zawrzało! Młoda inteligencja rosyjska masowo idzie w lud — czego nie była w stanie uczynić dziesięć lat wcześniej, gdy przeciwko caratowi zbuntowali się Polacy. Ruch narodnicki chce za jednym zamachem obalić cara i wstrętny kapitalizm, czyniąc z chłopskich gmin i wspólnot robotniczych — arteli — podwaliny ustroju sprawiedliwości i miłości. W czasie „szalonego lata” 1874 roku na wieś udało się wiele tysięcy narodników, wśród nich kilka setek Polaków, agitując za swą szlachetną inicjatywą. Ale chłop nieufny był, a żandarm sprawny. Wyłapano ich, postawiono przed sądami, posłano w najdalsze zakątki kraju, który jest bardzo rozległy. Klęskę pomścił Polak, Ignacy Hryniewiecki, zabijając w roku 1881 cara Aleksandra II. Sam też zginął na miejscu. Była to potężna bomba: skruszyła mistyczną aureolę, jaka w oczach ludu otaczała cara. Zabity przez prostego człowieka car nie tylko zginął, lecz uległ desakralizacji. Chłopi i robotnicy gęsto wędrowali teraz — zwłaszcza w Królestwie Polskim — na ławy oskarżonych, za niewybredne drwiny i kpiarskie przyspiewki pod adresem Imperatorskiego Majestatu. Pękła odwieczna bariera psychologiczna. Zaczęto odgrażać się, że i nowego cara wkrótce weźmie czart! No, niedługo to trwało, kolejna fala represji do reszty uśmierzyła narodowolców i zatkała chłopskie gęby, a bunt ludu wyładował się na Żydach. Ale *sacrum* znikło; została naga przemoc. To już było przedproże późniejszych rewolucji.

W Kongresówce sytuacja rozwijała się wtedy pod promienianiem ruchu rosyjskiego — *ex Oriente lux!* — chociaż to światło było odbiciem, często skrzywionym, ognisk zachodnich. Ważniejsze od blasku idei były wzorce osobowe herosów Narodnej Woli, ludzi zbuntowanych przeciw wszystkiemu, co zdawało się być niewzruszoną opoką: carowi, policji, fabrykantom, urzędnikom. A wreszcie właśnie w tych latach rozeszła się dobra nowina, że religia socjalistyczna ma już swoją Ewangelię pod tytułem „Kapitał”. Co dziesiąty, choć raczej co pięćdziesiąty z wyznawców socjalizmu nawet przeczytał parę rozdziałów.

Zaczęli przyjeżdżać z Rosji Polacy, zaprawieni w wywrotowych czynach. Najpierw z Kijowa i Odessy. Kazimierz Dłuski w 1876 roku na spotkaniu z warszawską młodzieżą uniwersytecką apeluje, by porzucić narodowe mrzonki i twardo stanąć na internacjonalnym stanowisku. Nie zdobywa jeszcze poparcia, a nawet jeden słuchacz (później wybitny uczony) zawnioskował, aby studenci „dla dobra kraju” przekazywali policji nazwiska niepra-

womysłnych. „My patrioci nigdy nie zostaniemy socjalistami — wykrzyknął Józef Pławiński. — Każdy socjalista to zdrajca!”. W rok później i on, i jego brat Kazimierz należą do najzagorzalszych stronników Waryńskiego, który przybył z kółka petersburskiego. Role się szybko odmiały. Wkrótce Dłuski będzie w Genewie redagować antypatriotyczną, czysto klasową *Równość*, razem z Mendelsonem i Diksztajnem. Ale później wraz z Mendelsonem nawrócą się na socjalizm PPS-owski, zaś Diksztajn popełni samobójstwo na tle wewnętrznych rozterek i niespełnionej miłości do Mendelsonowej.

Kółkiem petersburskim kierował Aleksander Więckowski, a byli w nim Bolesław Wysouch, Aleksander Dębski, Ludwik Waryński. Pierwszy był potem masonem, drugi ludowcem, trzeci piłsudczykiem. Czwarty wysunął się na czoło po przyjeździe do Warszawy; był młodzieńcem przystojnym, cieszącym się wzięciem u kobiet, ambitnym, odważnym i wielce inteligentnym. Oczywiście i Waryński pochodził z kresowej szlachty, jak wszyscy inni działacze socjalistyczni, o ile nie byli synami żydowskiej burżuazji. Wychował się w tradycji powstańczej, ale na petersburskim gruncie nabrał przekonania, iż zadaniem rewolucji jest wywołanie całego uciskanego ludu, a nie tylko polskiego. Robotnicy patrzyli weń jak urzeczeni, gdy mówił, ilustrując swe słowa wymownymi gestami: „Będziemy ze skóry burżujów darli pasy”. Podobał im się ten konkret, gdy inni zanudzali prawami dialektyki.

Skąd taka zjadłość paniczyków na własną sferę? Psychologicznie to proste. Skoro starsza generacja obrzydliwie trzęsła się ze strachu, skoro całą pomysłowość obracała na bogacenie się, choćby po trupach rodaków — to dzieci pały do rodzicieli sprawiedliwą nienawiścią, która rozciągała się na całość ich postaw. A więc także na relikty patriotyzmu, jakie przecież tkwiły w ojcach, chociaż starannie skrywane i zamazywane. Ta dwulicowość zdawała się synom szczególnie niemoralna: nie mogli darować rodzicielom zraty godności. Gardzili nimi *in toto*. Ale ci sami młodzi ekstremiści moralności, chociaż rewolucyjnie potępiali świat stary, nosili przecież w sobie zaszczerpione — choćby przez negację — geny patriotyzmu, które później niemal we wszystkich zakiełkowały, przebijając się przez wyrozumowaną skorupę wrogości do wszystkiego, co narodowe.

Był i drugi motyw psychologiczny: neoficka fascynacja hasłami uniwersalizmu, tym „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”. Odbierano to nie jako zręczny slogan agitacyjny, lecz jako przykazanie nowej wiary w ogólnoludzkie braterstwo ucie-

mięzonych. Wobec takiej oszałamiającej wizji wręcz nie wypadało przypominać innym narodom o jakiejś lokalnej sprawie polskiej, jeśli się nie chciało być posądzonym o egoizm i parafian szczyzną. A wreszcie, trzymając się ściśle marksowskiej wizji procesu historycznego, młodociani adepci socjalizmu lekceważyli problematykę polityczną, z ironią przyglądali się krzątaninie jakichś królów, mężów stanu, dyplomatów — bo przecież przyszłość świata jest jednoznacznie zdeterminowana tym, że wartość dodatkowa tworzy kapitał a ten kapitał szykuje sobie własnych grabarzy w postaci wydziedziczonych proletariuszy, zmuszonych do sprzedawania siły roboczej. Stary ustrój runie automatycznie i nastąpi era powszechnej szczęśliwości, w której swary między narodami kompletnie zanikną. Ci zatem, co sławią jakieś przebrzmiałe idee i tradycje narodowe, to mamuty, skamieliny umysłowe.

Trzeci motyw, chętnie cytowany przez robotników, był utilitarny: łatwiej przecież, z pomocą wszystkich proletariuszy w Rosji, obalić carat, a choćby wywalczyć jakieś swobody, niż wyrwać niepodległość z pazurów trzech tyranów.

Działalność Waryńskiego w Warszawie, później w Krakowie, zakończona procesem 35 socjalistów (stali pod zarzutem „zdrady głównej” — a sąd przysięgłych uniewinnił wszystkich!), następnie okres jego redaktorskiej pracy w *Równości* — dały młodemu rewolucjonście wszechstronny szlif polityczny. Pod wpływem dysput w środowisku genewskim (które dziś nazwalibyśmy sekcjarskim) Waryński wyrzekł się anarchizmu; a przecież, gdy zjawił się pierwszy raz w Warszawie, chciał po prostu tworzyć filię Narodnej Woli, hołdował idei wolnych gmin, które zastąpią państwo. Co ważniejsze, genewczycy definitywnie skreślili program niepodległościowy. Zaprotestował przeciw temu Bolesław Limanowski; odseparował się od krótkotrwałych towarzyszy i założył organizację Lud Polski. Nie zważali na jego protest, ba! zlekceważyli przestrogi nawet samego Marksa!

Marks z Engelsem, a także Paweł Lafargue i Fryderyk Lessner — śmietanka (już rozwiązanej) I Międzynarodówki — przysłali do Genewy list, zakończony hasłem: „Niech żyje Polska!”, co zmroziło hurrarewolucjonistów, lecz nie zmieniło ich stanowiska. Na mityngu z okazji 50-lecia Powstania Listopadowego Dłuski wołał: „Precz z patriotyzmem i reakcją!”, Mendelson wzywał do upadku „pogańskiej świątyni — Polski”, a Waryński śmiało replikował Marksowi i Engelsovi, że nie orientują się w sytuacji i żyją starymi wyobrażeniami. Grupa genewska dowodziła, że ludziom potrzeba nie Polski niepodległej, ale narzędzi pracy. Nieźle, jak na dwóch szlachciców i bankierowicza.

Engels jeszcze raz próbował mitygować radykałów. „Każdy polski chłop i robotnik — napisał — który budzi się z otępienia i zaczyna brać udział w sprawach ogólnych, napotyka przede wszystkim fakt ujarznienia narodowego jako pierwszą przeszkodę na swej drodze. Usunięcie tej przeszkody jest podstawowym warunkiem wszelkiego zdrowego i swobodnego rozwoju”. Nazwał nawet Engels „czą gadaniną” frazeologię antypatriotycznych genewczyków. Ale i to ich nie otrzeźwiło. W zakończeniu agitacyjnej broszury „Kto z czego żyje” Szymon Diksztajn tak optymistycznie przedstawił stan europejskiego ruchu robotniczego, że czytelnikom doprawdy zdawało się, iż lada chwila nastąpi powszechna rewolucja, więc po cóż się zajmować polskim partykularzem.

W Warszawie tymczasem jedna po drugiej tworzyły się — i wpadały — kółka i gminy socjalistyczne. Linia *Równości* nie była przyjmowana bezkrytycznie, toczono namiętne spory: czy da się połączyć perspektywę rewolucji społecznej z narodową walką wyzwoleniczą? Areszty, wyroki, zesłania stałe trzebiły ten krąg najpierwszych socjalistów; w sumie władze schwytały i uwięziły lub zesłały w trybie administracyjnym 230 osób, mniej więcej po połowie studentów i młodych inteligentów — oraz robotników i rzemieślników. Oberpolicmajster Buturlin wielce się niepokoił zakresem tej wywrotowej agitacji, a w szczególności „niebywałą zuchwałością” robotników, którzy ośmielali się głośno wyrażać swe niezadowolenie. Składał to zresztą, z normalną policyjną logiką, na karb knozań i podszeptów obcych, cudzoziemskich elementów.

Na przełomie 1881-1882 Waryński, człowiek czynu, znów zjawił się w Warszawie, znużony teoretycznymi sporami i z wielką sprawnością konstruował partię Proletariat, spośród resztek „kółkowej” inteligencji i zwalnianych z aresztów robotników. Pomogło mu kilku następnych petersburszczyków, związanych z Narodną Wolą.

W obszernym programie Proletariatu wybito następujące tezy:

- Proletariat polski musi się wyzwolić moralnie spod wpływu klas uprzywilejowanych, rządów i tradycji narodowych.
- Środki produkcji musi przejąć socjalistyczne państwo, zlikwidować trzeba pracę najemną, niezbędna jest też walka o swobody polityczne, o usunięcie przesądów i ciemnoty, o świecką szkołę.
- Partia będzie walczyła przede wszystkim przeciwko ucis-

kowi ekonomicznemu, ale także podejmie walkę w dziedzinie politycznej i moralnej.

● Środki walki będą różne: strajki, tworzenie tajnych organizacji robotniczych, podburzanie robotników do oporu przeciw wyzyskowi, niepłacenie podatków, zwalczanie na wszelki sposób despotyzmu carskiego oraz wpływów duchowieństwa, a wreszcie terroryzowanie kapitalistów i ich sług oraz karanie szpiegów i zdrajców sprawy.

Część „terrorystyczna” tych wskazań znalazła się w programie dla zmanifestowania braterstwa ideowego z Narodną Wolą i wbrew stanowisku jednego z głównych twórców programu — Kazimierza Puchewicza. Wystąpił on zatem z Proletariatu i założył odrębną partię pod nazwą „Solidarność”, która przybrała miano robotniczej, podczas gdy Proletariat nazwał się partią socjalno-rewolucyjną.

„Solidarność” miała program umiarkowany. Uważała, iż wzwanie do rewolucyjnej walki jest przedwczesne, należy się przeto skupić na walce ekonomicznej, rezygnując z gwałtownych jej form — oraz na organizowaniu klasy robotniczej i działaniach propagandowych. Akcje strajkowe — tak, nawet strajk powszechny. Terror — nie. Walka o prawa polityczne — tak, lecz prowadzona z wielką ostrożnością. „Uznawano więc możliwość akcji przeciw rozporządzeniom utrwalającym ucisk klasy robotniczej i poniżającym godność robotnika — pisał Adam Próchnik — a równocześnie polecano unikać starć z wojskiem”. Krzywicki zaś dodał, że „Solidarność” podkreślała konieczność wysunięcia sprawy narodowej, zamiast nieokreślonej konstytucji ogólnopństwowej. Solidarnościowcy na uniwersytecie byli przeciwni uczestniczeniu w demonstracjach studenckich, ażeby nie ściągać uwagi policji, która by mogła uniemożliwić ich tajną robotę. Gorące słowa poświęcił Puchewiczowi Zygmunt Heryng, wybitny publicysta socjalistyczny i jego współwięzień z X Pawilonu: „... nawet najbardziej zapaleni propagandyści po aresztowaniach na kilka tygodni zawieszają robotę. Puchewicz odwrotnie: najintensywniej pracował właśnie w tym okresie... Systematyczny do pedanterii, niemal oschły z usposobienia, do porywów niezdolny, był on wcieleniem niepodzielnego oddania się sprawie i ofiarnego spełniania obowiązków”.

Przywódca „Solidarności” zmarł na gruźlicę wkrótce po zwolnieniu go po raz wtóry z więzienia.

„Solidarność” zjawiła się ponownie w 1901 roku jako nazwa emigracyjnego towarzystwa robotniczego w Paryżu, przy ulicy St. Jacques; czołową rolę odgrywał w niej anarchista dr Józef

Zieliński. Dzieje trzeciej „Solidarności” nie są objęte ramami tej książki.

Proletariat nie był wprawdzie pierwszą partią rewolucyjną na ziemiach caratu, lecz był pierwszą partią o programie bliskim marksizmu — i to, jak na owe czasy, prężną i liczną. Miał okresowo do tysiąca, może i więcej członków, umiał organizować różne formy robotniczych protestów, prowadził żywą agitację. Jednakże, w ogólnospołecznej skali Kongresówki, jego istnienie ledwie się dało dostrzec; „Solidarność” miała zasięg jeszcze mniejszy. Absolutnie dominującą orientacją byli nadal pozytywiści, którzy zrazu zajmowali postawę antyszlachecką, bronili chłopów, szerzyli oświatę ludową, a w miastach apelowali do kapitalistów, ażeby byli po ojcowsku dobrzy dla braci robotniczej. Ale nawet ta mini-postępowość pozytywistów z biegiem lat stygła, coraz bardziej zbliżała się do wiernopoddanego lojalizmu, cechującego burżuazyjną i ziemiańską konserwę. Na takim tle działalność Proletariatu była iskierką na kupie popiołów patriotyzmu — tym bardziej, że wątki narodowe, chociaż z programu usunięte, z praktycznej działalności nie dały się całkowicie wypłukać. Temat niepodległościowy ciągle powracał, acz odsuwano go na czas późniejszy i nie figurował w „programie minimum”.

W zetknięciu z nastrojami robotników, którym doskwierał nie tylko kapitalista, lecz i carski żandarm, kruszyła się antypatriotyczna frazeologia liderów ruchu. Wyczuwali, że przy jakimś napięciu rewolucyjnym robotnicy łatwo zmienią hasła klasowe na solidarnościowe — zawołają: „Polacy, bić Moskala!” — i w łeb weźmie cała koncepcja walki z wrogiem socjalnym, skoro wróg narodowy jest jeszcze bardziej zniechęcony. Logicznie zatem, z punktu widzenia własnej taktyki, usiłowali kompromitować — jako „szlacheckie” — wszelkie tradycje narodowe, a zwłaszcza powstańcze. Ale napór nastrojów robotniczych był tak silny, że prawie od początku proletariatscy musieli decydować się na kompromisy. W umowie Proletariatu z Narodną Wolą, zawartej w Paryżu już po uwięzieniu Waryńskiego, Stanisław Kunicki — zdziwiony niemile patriotyzmem Rosjan — wymógł jako warunek ugody punkt o możliwości odłączenia się Proletariatu — „jako samodzielnej całości” — po zwycięstwie rewolucji politycznej w państwie rosyjskim.

W potężnym bloku pozytywistyczno-ugodowym nawet takich okruczeństw myśli narodowej wtedy nie było. Kiedy sądzono w Warszawie czołówkę Wielkiego Proletariatu, konserwatywny *Czas* krakowski stwierdzał z osobliwą logiką: „obałamucenie dwudziestu kilku indywiduów jest już zwycięstwem rusefikacji” i pięć-

nowa! walkę z caratem jako „zbrodnię i odstępstwo” — gdyż spiskowcy odrzucają pojęcie ojczyzny.

W kilkuletnim okresie istnienia, wciąż przerywanym masowymi aresztowaniami, Proletariat okazał zadziwiającą witalność. Wpadł Waryński — kierownictwo przejął Kunicki; wpadł Kunicki, a zaraz po nim Janowicz — partię prowadziła Bohuszczyżówna; kiedy i ją aresztowano — na czele stanął Marian Ulrych. Dopiero uwięzienie jego grupy (Ulrychowi nie udało się skryć u narzeczonej w koszu na bieliznę), rozbiło całą formację Wielkiego Proletariatu. W 1886 roku robota ustała. Ale po dwóch latach, ze zmodyfikowanym programem i pod innym kierownictwem, powstała Polska Socjalrewolucyjna Partia „Proletariat” (popularnie zwana Drugim Proletariatem), która nie wahała się już użyć w nazwie przymiotnika „polska”. Było to dalszym etapem zaznaczania się „sprawy narodowej” w ideologii proletariatszczyków.

Miała więc PPS pełne prawo nawiązywać do tradycji Proletariatu, obchodząc jego rocznice — i ostro polemizując z SDKPiL, która (jak potem KPP) uznawała się za wyłączną jego spadkobierczynię. Bezasadnie też Róża Luksemburg określiła Proletariat jako „partię antypatriotyczną”, powołując się na wcześniejsze sformułowania, które nie znalazły się w jej programie. Mimo wolny kłam uzurpacjom takim zadał Feliks Kon. Stwierdził on, że ze stu sześćdziesięciu skazanych proletariatszczyków do pracy powróciło tylko sześciu, „ale z nich żaden nie poszedł po linii nakreślonej przez Proletariat”. Otóż ci, co do pracy wrócili, jak również ci, co działali w emigracyjnej *Równości* i *Przedświcie*, a wreszcie i ci, co uniknęli aresztowań — niemal w komplecie znaleźli się w PPS. Poczucie patriotyzmu przeważało instynkt klasowy.

Kilku zaledwie proletariatszczyków wstąpiło do SDKPiL albo — jak Kon — do PPS-Lewicy. Później trafili oni w szeregi rewolucji październikowej i resztę życia spędzili w Związku Socjalistycznym.

Zanim jednak PPS powstała, w życiu politycznym Kongresówki i pozostałych zaborów zaszły duże zmiany, których bodźcem nie był ruch socjalistyczny. Panorama idei wzbogaca się, obraz polskich dążeń — komplikuje.

Endecja: od buntu do ugody

W tymże roku 1887, w którym Bolesław Prus jał w *Kurierce*

Codziennym drukować „Lalkę”, dworując z anachronicznych marzeń romantyka Rzepeckiego, ale też bolejąc nad życiowym bankructwem pozytywisty Wokulskiego — w Szwajcarii, w zamku Hilfikon pod Zurychem, zawiązała się Liga Polska (czteruosobowa w tym momencie), wysuwając szaleńczy program odzyskania niepodległości, o której Prus nie ważył się napomknąć nawet aluzyjnie. Na czele tajnego związku czterech panów, z których tylko dr Aleksander Hirsberg przybył z kraju z mandatem „myślącego o Polsce” tajnego kółka lwowskiej młodzieży, stanął Zygmunt Fortunat Miłkowski, bardziej znany pod literackim pseudonimem Teodor Tomasz Jeź. Miał wtedy lat 63 i chlubne karty z węgierskiej Wiosny Ludów oraz z działań na Bałkanach, gdzie szycował pomoc dla styczniowych powstańców. Ale był sterany biedą oraz zapomnieniem wśród krajowych Polaków, którego przyczyną było nie tylko oddalenie i upływ czasu, lecz również kampania zorganizowanego milczenia, rozsnuwana wokół żołnierza-pisarza przez krakowskich konserwatystów, z ich hetmanem hr. Stanisławem Tarnowskim na czele; wadził im radykalizm niepodległościowy i demokratyczny Jeża, który w replice odgryzł się, że ich zdaniem „istnienie Polski było pomyłką dziejową”. Dostojna krytyka literacka i czytająca publiczność o niebo wyżej od Jeża stawiała Kraszewskiego, który też miał liche o Jeżu mniemanie i go nie cierpiał. Osobliwym losu wyrokiem Parki przecięły nić żywota Kraszewskiego w domu Miłkowskich właśnie. „Spieszył się z San Remo do Genewy jakby umyślnie po to, ażeby na rękę moim umrzeć”.

Już od dwudziestu lat trwało emigracyjne ciułanie pieniędzy na Skarb Narodowy. Z Paryża i Londynu, z Jass, Sofii i Bukaresztu, z Milwaukee i innych miast amerykańskich płynęły skromniutkie zrazu szylingi, franki, centy, korony. W Szwajcarii ognisko polskie — stosunkowo liczne — uzbierało ledwie 918 franków i 60 centimów. Sowitsze datki ruszyły dopiero wtedy, gdy po 1887 roku rozeszła się pod pseudonimem sławna broszura Jeża „Rzecz o obronie czynnej i Skarbie Narodowym”. Jeź potępił zarówno tych Polaków, co godzą się z poddańczym losem, jak i tych, co swe programy sprowadzają do obrony biernej, która nie zapobiegnie wynarodowieniu. Trzeba znów gotować się do walki orężnej, a w tym celu niezbędny jest Skarb Narodowy. Broszura wywołała zamierzony efekt. Żeromski w „Dziennikach” napisał: „... istnieje jeden tylko jeszcze człowiek, co domaga się od nas życia dla kraju. Jest nim Jeź”. Lecz nie wszyscy byli entuzjastami. Polacy-kijowianie zebrali 3.000 rubli, ale nie dotarli one do skarbu; ktoś zwiedziało się, że to Jeź jest autorem

broszury i zaalarmował ofiarodawców, tęskniących do świętego spokoju, iż nie może on na nic innego zbierać pieniędzy „tylko na wyszykowanie powstańka”. Cały więc fundusz oddano wielkodusznie na szkoły, jakby bez świadomości, że w nich polską młodzież rusyfikowano.

Podwaliną Skarbu Narodowego stał się dopiero w 1888 roku zapis pośmiertny „ligowca” Ludwika Michalskiego, który wynosił 30 tysięcy franków szwajcarskich; ten wkład sięgał dwóch trzecich kwoty skarbu. Należy się wspomnienie spadkodawcy. Inż. Michalski zwał się naprawdę Matyasek. W Powstaniu Styczniowym wysłużył stopień majora, a majątku dorobił się na Sumatrze (wedle Limanowskiego na Cejlonie) organizując armię kótremuś z sułtanów — przypuszczalnie Atjehu, bo jedynie on opierał się wówczas Holendrom. A więc finansowanie wydawnictw niepodległościowych, podróży kurierskich, pomocy dla bojowców pokryli mężni Indonezyjczycy. Nie miejmy im za złe, że zapoczyli, odwracając barwy, naszą flagę narodową...

Liga Polska stała się istotnie centralą prac niepodległościowych. Przejęła patronat nad skarbem, nad Związkiem Wychodźstwa Polskiego, nad Muzeum w Rapperswilu, a przede wszystkim nad Związkiem Młodzieży Polskiej (który nazywano ZET-em, a nie ZMP). ZET powstał nieco wcześniej, także z inicjatywy Jeża, ale faktycznym jego twórcą był młody socjolog Zygmunt Balicki, który po krótkim epizodzie działań w kółkach socjalistycznych musiał w 1881 roku zbiec za granicę. W Paryżu przelotnie związał się z masonerią, ale nie wystarczały mu jej hasła ogólnohumanistyczne i kosmopolityczne. Zafascynował się ideologią narodową i rychło miał się stać czołowym przywódcą polskiego nacjonalizmu, obok Romana Dmowskiego.

Nota bene, inspiracje i wzory masońskie były w początkach Ligi bardzo wyraźne. Sam Jeż otarł się o łoże szwajcarskie i francuskie, co było podówczas normą dla ludzi kultury. Pod jego przewodnictwem w lokalu Wielkiego Wschodu Francji zebrali się w 1882 roku paryscy Polacy, by uczcić rocznicę Powstania Styczniowego, a *Wolne Słowo Polskie*, organ Ligi, było drukowane przemiennie z *Bulletin Maçonique*.

Cele Ligi wytyczała jej Ustawa, pióra Jeża, w której zawarto m.in. następujące stwierdzenia:

„§ 1. Zadaniem Ligi jest przysposobienie i skupienie wszystkich sił narodowych celem odzyskania niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych na podstawie federacyjnej i z uwzględnieniem różnic narodowościowych, nie spuszczając z oka i tych części dawnej Rzeczypospolitej, co wcześniej od niej odpadły.

§ 11. Zasadą, której się Centralizacja trzymać i w umyśle wpa-
jać będzie, jest, że naród polski na żadną obcą w sprawie swojej
pomoc liczyć nie może, tak długo, aż za pomocą wyrobienia w
sobie sił i wykazania takowych pozyska ufność polityczną...

§ 13. Centralizacja winna obmyśleć i przygotować wszystkie
środki do czynnego wystąpienia narodowego w chwili stosownej
i starać się nie tylko zdarzenia, umożliwiającego ruch narodowy,
przewidywać, ale w miarę możliwości i wywoływać te zdarzenia
i wypadki, które by obronę praw narodowych ułatwić nam mogły.

§ 16. W odniesieniu do kraju Centralizacji działalność będzie
miała na celu połączenie spoiste narodu całego dla dopięcia celu
głównego (...). Gdyby naraz niemożliwym było połączenie wszyst-
kich części Polski w jedną całość polityczną — starać się o to,
ażeby się części rozerwane stopniowo, według możliwości i okolicz-
ności, łączyły, nie spuszczając jednak z oka celu głównego.

§ 19. Jedną z trosk najważniejszych Centralizacji będzie: za-
pewnienie głosu i wytknięcie z góry stanowiska Polski na wypa-
dek wojny pomiędzy państwami zaborczymi. Na ten cel Centra-
lizacja przygotowuje projekt i plany organizacji administracyjnej i
wojskowej, której kadry istnieć i funkcjonować pod zwierzchnict-
wem komitetów prowincjonalnych powinny zawczasu.

§ 25. (...) mając przede wszystkim na widoku działalność re-
wolucyjną, Centralizacja nie omieszkła jednak używać swych wpły-
wów na popieranie oświaty ludu, dobrobytu klas wydziedzicz-
onych i w ogóle rozwoju sił narodowych pod względem społecz-
nym i ekonomicznym”.

Jest więc i akcent społeczny, choć skromny. Skądinąd jednak
znane są wypowiedzi Jeża, iż sprawa wolności Polski to sprawa
ludu, w nim spoczywa cała nasza przyszłość.

Terażniejszość jednak pełzała nisko. Kraj trwał w odrętwie-
niu. „To, co niedawno jeszcze uchodziło za rzecz wstrętą, przy-
ziemną, hańbiącą — wzniesiono do wyżyn ideału narodowego —
pisał Władysław Pobóg-Malinowski. — Opuszczono dawne stano-
wiska ideowe, dźwignięto nowe sztandary, wypisano na nich
nowe, nieznanne i nieuznawane dotąd hasła”.

Można się domyślać, że chodziło o sztandary czerwone. Ale
je także zwinęto już w czasie, gdy powstawała Liga Polska.
Założyciele Wielkiego Proletariatu zawiśli na szubienicy albo po-
wędrowali na katorgę, błakali się po sybirskich głuszach, gnili w
szlisselburskiej twierdzy. Nieliczni, którym się udało ująć łapan-
kom, kryli się starannie lub pielgrzymowali po centrach emigra-
cyjnych. Życie polityczne Kongresówki zamarło, tradycje ruchu

zbrojnego, przekazywane od rozbiorów, wyganiano z serc, w czym walcie dopomagali wybitni intelektualiści i pisarze.

A nawet — Kościół.

Mit, że literatura zawsze była patriotyczną pocieszycielką, a Kościół azylem marzeń i dążeń niepodległościowych jest wprawdzie piękny, nawet pożyteczny, lecz z rzeczywistością czasów powstaniowych miał mało wspólnego. Obraz był bardziej złożony — i smutny.

Kościół został nie tylko spętany, ale i wymóżdżony. Pierwszą ofiarą represji, pierwszym zesłańcem był nie kto inny, jak arcybiskup warszawski Zbigniew Feliński, duszpasterz nietuzinkowy. Będąc kategoriycznym przeciwnikiem zbrojnej walki stanął jednak, gdy powstanie wybuchło, w jego obronie, adresując uprzejme w formie, lecz w treści zuchwałe listy do cara. „Polska nie zadowolili się autonomią administracyjną, potrzebuje ona życia politycznego” — pisał, wzbudzając konsternację na carskim dworze, który uważał arcybiskupa za swojego człowieka. W odpowiedzi dano mu wybór: lojalność i milczenie, albo internowanie. Wybrał to drugie, w nowym liście przyrównując cara do faraona. Na Sybir wywieziono też innych co wybitniejszych biskupów, obsadzając ich diecezje posłusznymi administratorami oraz wielu księży, którym sprawa narodowa nie była obojętna.

Wśród następców Felińskiego zabrakło purpuratów z charakterem. Uległy kasacie klasztory, które najmężniej chroniły powstańców. Zakonników odseparowano w domach na odludziu, które stopniowo stawały się schroniskami dla staruszków. Biskupom odebrano prawo poruszania się poza własnymi diecezjami i surowo zakazano im kontaktów z Watykanem bez pośrednictwa Petersburga. W carskiej stolicy preparowano na Katolickiej Akademii Duchownej średnią kadre, w izolacji od polskiego społeczeństwa i pod presją kultury rosyjskiej. Niższy kler — „duchowni wyrobnicy”, jak ich określił sam Feliński — był rekrutowany z warstw upośledzonych, nie rozbudzonych narodowo, i to po dogłębnym sprawdzeniu prawomyślności kandydatów; jego seminaryjna edukacja niewiele wykraczała poza katechizm.

Prości proboszczowie i wikariusze, posługujący się elementarnym dogmatów i kościelnych symboli, uformowali jednak wśród ludu postawę „Polaka-katolika”, który nie rwał się wprawdzie do walki o Ojczyznę, lecz przynajmniej trwał przy wierze ojców i języku oraz był wrogi wobec „heretyków”. I to było w tych warunkach niemało! I to można uznać za zasługę parafialnego kleru. „Polak-katolik” biernie opierał się rusyfikacji i był glebą,

na którą można było później rzucić ziarno oświaty ludowej w socjalizującym lub nacjonalizującym zabarwieniu.

Pilnując swych owieczek przed ciężkimi grzechami — jak picie serwatki w poście lub spożywanie śniadania bez pacierza — szeregowy księżuło nie miał najmniejszej szansy na nawiązanie kontaktu z inteligencją. Warstwy żywsze umysłowo były bez reszty uformowane przez poglądy scjentyistyczne, przez laicką filozofię pozytywistyczną. Z pozytywizmu wyłaniały się rozmaite, rozbieżne szkoły myślenia i prądy społeczne, ale wszystkie one w niechęci i ironii wobec fideizmu były całkowicie zgodne. Wtedy nie mogło być inaczej. Zastrachany o swą prebendę, lojalny wobec władz proboszcz, klepiący o Adamie, wężu i ojcu Noe, nie mógł być partnerem dla ludzi, łaknących świeżej myśli i znajdujących ją w Darwinie, Spencerze, a zwłaszcza w kręgu Marksa. „Jeżeli dzisiaj Kościół jest zachwiany, a duch katolicyzmu przygaś — medytował ks. Antoni Wysłouch — to winien temu przede wszystkim konserwatyzm katolicki, obojętny dla postępu, nauki, kwestyj wolnościowych, narodowych i socjalnych”.

Na dobitkę, również w Kościele powszechnym, na Zachodzie, był to okres szczególnej ospałości umysłowej — dopóki w 1891 roku papież Leon XIII nie ogłosił encykliki *Rerum Novarum*; okres zakamieniałej wrogości wobec wszystkiego co nowe. Polacy mieli własne złe doświadczenia, w 1864 roku Pius IX encykliką *Ubi Urbano* ogłosił wobec powstańców: „Ruchy tego rodzaju karcimy i potępiamy”. Świadomi patrioci nie mieli czego szukać w Kościele — i ta sytuacja przeniosła się także na następną generację. W niej należy szukać wytłumaczenia paradoksu, że w arcykatolickiej Polsce chrześcijańska doktryna społeczna nawet w Dwudziestolecium była bocznym torem życia publicznego, a chadecja partią wątlą i efemeryczną. Dopiero w Polsce „realnego socjalizmu” sytuacja się odwróciła o 180 stopni.

Powróćmy jeszcze do Jeża, do jego namiętnej agitacji powstańczej. Wzywał: „Przywrócenie ojczyźnie naszej niepodległości nie jest szaleństwem... Ona już była niepodległą, więc może nią być jeszcze. To nie potok, nie mogący w górę płynąć... Śmierć patriotyzmu jest absurdem... Biada nam, jeżeli my w sobie ducha buntu zgasimy”.

Wierzył, że znów się zacznie i do zwycięskiego wreszcie boju staną legiony Polaków. Ale entuzjazm swój miarkował i ubezpieczał przecznością, wycelowaną w daleką przyszłość. „Kto wie, czy się nam powstanie powiedzie. A jeżeli się nie powiedzie, to trzeba wiedzieć dlaczego; trzeba o tym wiedzieć z góry i umieć przygotować się do następnego”. Ewentualnej klęski nie ma co

tragizować, na wojnie jak na wojnie. Klęska — jeśli nastąpi — powinna być bodźcem do kolejnych przygotowań powstańczych, najgorsze byłoby „zasmakowanie w kajdanach, ze spodu podwątowanych, z wierzchu pomalowanych”.

Gardził poglądem, iż należy czynić to, co jest po prostu obowiązkiem; postępowanie według obowiązków nałożonych przez społeczną opinię to za mało. Cnotą jest dopiero poświęcenie siebie dla narodu — tak jak występkiem jest podporządkowanie jego interesów korzyści czy wygodzie osobistej. Obca jednak była mu wizja Polski jako „Chrystusa — odkupiciela narodów”, nie ulegał mistycznym wzlotom cierpiętnictwa. Ani też z drugiej strony pokusom wallenrodzizmu, mimo że dopuszczał, jeśli trzeba, walkę podstępem. Wyczuwał jednak obosieczność tej broni. Cytował ze Słowackiego:

*Wallenrodyczność czyli wallenrodzizm
Ten dużo zrobił dobrego — najwięcej.
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy.*

Praca organiczna? Doceniał ją jako jeden ze środków do celu — i to wcześniej, niż przemówili pozytywiści. Jeszcze przed Powstaniem Styczniowym domagał się rozwijania przemysłu i rolnictwa. Dokonania literackie? Tak, i one są ważne dla moralnej kondycji narodu, ale pobocznie. Czysta forma artystyczna, natomiast, to ucieczka w nierealność, to eskapizm, wygodne omijanie narodowych ideałów. U schyłku życia nieco łagodzi swój pryncypializm, częściej odwołuje się do kategorii etycznych. „Bez zastosowania moralności w polityce pokój jest niemożliwy”; to brzmi, jakby było pisane dziś.

Ma plan strategiczny. Musi powstać organizacja tajna, jak polip oplatająca cały kraj. Musi ona wszystkim wpajać świadomość obywatelską. Liga Polska winna tę konspirację wspierać pieniędzmi, stosunkami w świecie, propagandą, azylem w razie koniecznej potrzeby, podniętą duchową. Gdy to zagra wszystko razem, znajdzie się i wódz, mąż opatrnościowy, ale raczej jako reżyser, niż samowładny dyktator. A kiedy przyjdzie ten moment, by zatrzeć w surmy do boju? Wtedy, gdy zaistnieją okoliczności zewnętrzne, nie mniej ważne niż doskonałe zorganizowanie narodu — gdy rozpocznie się powszechna wojna. Był pewien, że do niej dojdzie musi. Jak Mickiewicz.

Powstanie Ligi Polskiej zbiegło się w czasie z początkiem odmiany społecznych nastrojów — po trosze było jego skutkiem,

a na pewno je wzmocniło. Jady rezygnacji, wszczepianej książkami krakowskich historyków — ks. Kalinki, Bobrzyńskiego, Szujskiego — zostały nieco zneutralizowane dziełami koryfeuszy lwowskich i warszawskich — Korzona, Smoleńskiego, Limanowskiego, którzy bronili sensu dziejów dawnych Polaków. Dorastała młodzież, która nie znała skrzywienia szubienic, najwyżej świst nahałek. A kiedy od Ligi Polskiej zaczęli przyjeżdżać pełnomocni agenci, krajowa młodzież zwietrzyła, że kroi się nowa szansa i chwacko przystąpiła do knucia — na pohybel caratowi i krajowym dorobkiewiczom-ugodowcom.

Im mocniej bowiem młodoburżajska postszlachetczyzna Ignęła do imperialnego rynku i małpowiała szeroki gest ruskich kupców z Nowogrodu, wypraktykowany na paryskich subretkach — tym bardziej różne chudopachołki studenckie, rzemieślnicze, proletariackie kipiwały wstrętem do Moskwiczów, do polityki ugody i do czcigodnych luminarzy pozytywizmu. Trudno precyzyjnie wyliczyć, czy mocniej działał tu instynkt klasowy czy zew patriotyczny, bądź może zwykła ludzka zawiść. (Jedynie docenci z WSNS potrafili pomierzyć: stąd dotąd świadomość klasowa, stamtąd do owąd — narodowa, a ponadto 8 % reliktywów klerykalizmu; w realnym świecie ludzka psyche przypomina trzydniowy bigos, w którym kapusta, kielbasa i grzyby stopiły się w jedność). Nie da się wyodrębnić, co na osobowość prostych ludzi końca XIX wieku emanowało z głowy mędrca z Trewiru, co z obrazów Grottgera, a co ze zwykłej furii moknącego na plusze plebeja, gdy zażywny burżuj rozpierał się we fiakrze na gumach.

Na czoło agitatorów wysuwa się Balicki, który w kilka dni po inauguracji Ligi przybywa jako „Karczewski” do kraju i rozbudowuje ZET. Scala na zjeździe w Krakowie kółka młodzieżowe: z Kongresówki warszawskie i puławskie, z Galicji, obok krakowskiego — lwowskie. Posłużył się wzorami masońskimi, tworząc trzy stopnie wtajemniczenia — kolegów lub eksternów, towarzyszy i braci. Stopnie niższe nie mogły wiedzieć o istnieniu wyższych, ani też tego, że ZET jest formalną agendą Ligi Polskiej ale jej polecenia spełniały, słuchając zarządu obsadzonego przez „braci”. Program ZET-u nie miał natomiast z masonerią nic wspólnego. Była to typowo młodzieżowa organizacja niepodległościowa, której członkowie niespecjalnie orientowali się, co dzieli różne ideologie. Statut stwierdzał, że „ZET dąży do niepodległości Polski i stoi na gruncie sprawiedliwości politycznej, narodowej i społecznej”. Tym, że nawet w tak jasnej formule kryją się rozliczne możliwości interpretacyjne, jeszcze wtedy nie przejmowano się wcale.

W pół roku po podporządkowaniu się Lidze, ZET w Kongresówce liczył 85 członków, a więc na owe czasy był organizacją znaczną, skoro różne jego poprzedniczki rzadko przekraczały tuzin.

W rok później, gdy niektórzy ZET-owcy (był wśród nich Żeromski) pokończyli szkoły, założyli z kolei „Łączność” — bardziej masową, ale zorientowaną raczej na szerzenie kultury. Rozwój organizacji podziemnych przez pączkowanie jest najpospolitszą i dobrą strategią konspiratorów.

Ekspansja różnych agend Ligi Polskiej ułatwiona była tym, że w końcu lat osiemdziesiątych nastąpiło krótkotrwałe załamanie ruchu socjalistycznego. Wielki Proletariat przestał istnieć, Drugi Proletariat i Związek Robotników Polskich dopiero się organizowały. W to *vacuum* wciskały się grupy młodzieży „patriotycznej” o nieskrystalizowanej ideologii. Dopiero początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł pewne wyklarowanie nurtów politycznych. Poprzednio jedynie socjaliści mieli bardziej skonkretyzowany program ideowy (a raczej kilka programów), natomiast Liga z przybudówkami była — jak by rzekł Gombrowicz — kupą. Mieścili się w niej niepodległościowcy przeróżnej maści. Jedni żyli jeszcze tradycjami Towarzystwa Demokratycznego, inni przeczytali coś z Marksa, a nawet korespondowali z Engelsem, garstka myślała, by skupić się wokół Kościoła, najliczniejsi fascynowali się hasłami, które światały Romanowi Dmowskiemu — hasłami dojrzewającego nacjonalizmu, wciąż jeszcze przemieszanyymi z frazeologią socjalistyczną.

A najwięcej wśród młodych było takich, co naturalne wśród młodych, którym wszystko plątało się pod czaszką: tu Darwin, tu Spencer, Comte, tu Marks, Kropotkin, Durkheim, a jeszcze Nietzsche, a Sorel, a Karol Gide — jak to wszystko przeczytać i ułożyć!

Pierwsze uporządkowanie ideowego misz-maszu wśród warszawskich akademików, politykującej elity kraju, nastąpiło 29 listopada 1890 roku. Właśnie ten dzień — 60-ta rocznica Powstania Listopadowego — zapoczątkował proces dyferencjacji. Spiskowcy spod Belwederu drugi raz, pośmiertnie, ruszyli z posad kraj.

Znamy czas punktu zero, znamy i miejsce; sala gimnastyczna Olszewskiego przy ulicy Bielańskiej.

Skrzyknęło się w niej owego dnia paruset akademików. Fakt, że było to nielegalne, dodawał imprezie pieprzyku, a temat referatu „Filareci i Filomaci” miał smak zakazanego owocu. Wygłosił go student prawa Wacław Łypkiewicz (później wybitny mason

i poseł z „Wyzwolenia”) a następnie rozpętała się dyskusja: co zrobić? co robić w p i e r w ?

Sala dzieliła się na dwa obozy, które same nazwały się „narodowcami” i „międzynarodowcami”. Oba jeszcze przypisywały się do socjalizmu, jak tam kto go pojmował. Stanowiska narodowców *vel* „patriotników” bronili medycy Jan Stecki, Jan Waław Machajski i Jul Grabowski (rychło trafili do Cytadeli). Poglądy międzynarodowców, bliższe katechizmowi marksowskiemu, reprezentowali prawnicy Jan Strożecki — w dwa lata później pionier PPS i Jan Zaleski — esdek. Dyskusja była długa i pozwoliła wszystkim jaśniej się określić: kto na ołtarzu stawiał przede wszystkim niepodległość — przechodził na ławki narodowców, kto pragnął rewolucji socjalnej — przechodził w kąt międzynarodowców.

Od razu, jak to w Polsce, oba obozy rozczłonkowały się na kilka frakcji, schizm i sekt. Wśród narodowców było ich więcej. Jedni szli *stricte* po linii hasła Ligi Polskiej: niepodległość, niepodległość — i już, a jeśli wspomniano też o sprawiedliwości społecznej, to dlatego, by nie wyglądało, że kochają tłustych burzua, kłaniających się portretom batiuszki-cara. Drudzy po aptekarsku równowazyli niepodległość z rewolucją, Jeza z Marksem. Jedni czytali warszawski *Głos*, kipiący ludowością, inni emigracyjną narodowo-socjalistyczną *Pobudkę*. Niektórzy mianowali się socjalpatriotami, nie precyzując bliżej o co im chodzi. Niektórzy — ludowcami-demokratami. Byli też „oświatowcy”, którzy przede wszystkim pragnęli zanieść kaganek pod strzechy. Jeszcze i inne orientacje zaznaczały się, któż spamięta! A całym tym obozem dyskretnie dyrygowali „bracia” z ZET-u: wytrawny Popławski, energiczny Balicki i ambitny Dmowski, który w *Głosie* pisywał jako Diego Iguanez. Skąd te hiszpańskie ciągoty — nie wiadomo. To oni lub ich emisariusze podróżowali po instrukcje do Szwajcarii; zresztą niedługo, prędko zagraли własną partię.

Obóz międzynarodowców był pod silnym wpływem Ludwika Krzywickiego, który stworzył podwaliny polskiej socjologii. Nigdy nie miał możliwości pracy uniwersyteckiej, lecz stał się jakby prywatną instytucją naukową. W poglądach był bardzo bliski ortodoksyjnego marksizmu; mówiono o nim, iż jest jego „arcykapłanem”. W tym czasie jednak wśród socjalistów zaczął się ferment, wywołany problemem niepodległości, który doprowadził do przegrupowań ideowych.

Narodowcy natomiast j e s z c z e hołowali radykalizmowi społecznemu, wyrastającemu z gleby socjalistycznej. Sami siebie określali wtedy mianem „ludowców”; może jednak trafniej by-

łoby mówić o ich „chłopomaństwie”, które było echem ideologii rosyjskich narodników. Ostateczne rozejście się tych dwóch nurtów — socjalistycznego i narodowego — było procesem, a nie jednorazowym aktem rozłam. Organ „ludowcowy” — tygodnik *Głos* — drukował zarówno Krzywickiego i Nałkowskiego, zdeklarowanych socjalistów, jak i Popławskiego oraz Dmowskiego, wkrótce liderów endecji. Redaktor *Głosu* Marian Bohusz uporczywie starał się ożenić obie idee. Pisał, że największą reformą XIX wieku było uwolnienie z poddaństwa kilkudziesięciu milionów rosyjskich chłopów. Odwiedzał kółka Drugiego Proletariatu i Związku Robotników Polskich, wysłuchując robotniczych bolączek. Mówi im, że w najbliższej przyszłości trzeba z żalem rozstać się z myślą o niepodległości, czasowo ograniczyć aspiracje do ogólnorosyjskiej konstytucji i autonomii dla Polski podobnej do galicyjskiej.

Także inni „głosowcy” energicznie upominali się o prawa ludu (rozmaicie ów „lud” rozumiejąc) i ganili szlachtę za egoizm, a kapitalistów — imiennie! — za krzywdzenie robotników. Krzywicki napisał później, że w tym okresie „chwilowy pokost czerwieni” zabarwił publicystykę *Głosu*. Gdy pokost zbladł — on od pisma odszedł.

Głos wystartował w roku 1886 i przez kilka lat fascynował całą młodzież. Istotnie, było to śmiałe pismo. Fantazjowało nawet, jaki cudowny będzie świat w roku 2000, gdy już wszędzie zatriumfuje socjalizm! Gromiło klerykałów i antysemitów. Ujmowało się za uciskanymi w Galicji Rusinami. Było za równouprawnieniem narodów i przeciw hasłom solidaryzmu społecznego. Akcentowało, w artykule Popławskiego „Lud i naród”, że interes narodowy jest ważniejszy, niż społeczny — co kłóciło się z poglądami większości socjalistów, lecz współbrzmiało z poglądami tych, którzy wkrótce mieli się stać większością i założyć PPS. Ponadto redaktorzy w pomysłowy sposób wymijali rafy cenzuralne, przedrukowując z *Warszawskiego Dniownika* najbardziej polakożercze kawałki. Czytelnicy popadali w furję na te chamskie obelgi — i z obozu pojedynczego niejedyn pomykał ku zwolennikom obrony czynnej.

Aliści tak było tylko do roku 1892. Następne roczniki blakną, artykuły rozmydlają się, tracą zadziorność i ospale donoszą, że w kraju szerzy się ospałość. Nie pomagają pismu nawet drukowanie debiutanckich opowiadań Żeromskiego — „Siłaczki” i „Doktora Piotra”, oraz utworów całej ówczesnej plejady literackiej: Kasprowicza, Konopnickiej, Orzeszkowej, Dygasińskiego.

Cóż to się stało? Czy był to tylko wpływ ówówka cenzurskiego, wyostrzonego, odkąd w *Głosie* ujawniły się tendencje narodowe?

Nie, była i głębsza przyczyna. Nastąpiła wyraźna polaryzacja ideowa. Niepodległościowym socjalistom już nie wystarczała aluzyjna publicystyka na łamach legalnego pisma, tworzyli własne — nielegalne. Obóz narodowy natomiast — jakby wbrew logice — stępił hasła niepodległościowe, oraz — zgodnie z logiką — zarzucał społeczne.

Cztery lata wcześniej (o czym wiedziała jedynie garstka wtajemniczonych) podobny proces został zapoczątkowany w gremiach kierowniczych Ligi Polskiej. Już w rok po ukonstytuowaniu zmieniła ona brzmienie swej buńczucznej Ustawy. W nowej wersji nie było najdrobniejszej wzmianki o niepodległości ani obronie czynnej! Zostało tylko enigmatyczne zadanie skupiania sił w celu „skutecznej obrony praw całej narodowości polskiej”. Zwinięto sztandar walki, skreślono paragrafy o przygotowaniach wojskowych.

Jest to zagadka. Do dziś nie wiadomo, co się właściwie stało w Genewie, z czyjej inicjatywy i czy aby nie za plecami Jeża. Wyjaśnienie być może w fakcie, że nowa wersja Ustawy była pisana ręką Jana Popławskiego i miała stempel „Liga Polska, Komitet Centralny na zabór rosyjski”. Delegatura wymykała się Centralizacji i propagowała inną, już nacjonalistyczną koncepcję.

Istnieje też supozycja, że Liga Polska posługiwała się o b y d w i e m a Ustawami równocześnie. Wersja pierwsza, bojowa, miała zjednywać rogate dusze. Wersja druga, oportunistyczna, dusze stępione — takich, co za szczyt bohaterstwa uważali uczenie się historii Polski w domowym zaciszu, albo kupowanie w polskich sklepach — broń Boże rosyjskich ani żydowskich! Hipotezę podwójnej gry podbudowuje analiza dokumentów. W 1889 roku do Ligi Polskiej w całości przystąpiła Gmina Narodowo-Socjalistyczna „Pobudka”, powściągliwa w hasłach niepodległościowych; w umowie zacytowano zatem główne paragrafy Ustawy w brzmieniu „uspokojonym” z 1888 roku. Później Balicki organizuje Związek Wychodźstwa Polskiego wśród emigrantów o temperamencie powstańczym; jego statut niemal dokładnie powtarza Ustawę, ale wedle „niepodległościowego” pierwowzoru z 1887 r.

Widać wyraźnie: najpierw na emigracji, potem w kraju dojrzał nowy plan działania. Wydał on owoce w roku 1893. Komitet Krajowy na Królestwo Kongresowe, którego zależność od genewskiej Centralizacji była coraz luźniejsza, 1 kwietnia dokonał zamachu stanu: zamienił „niewłaściwą dla kraju” nazwę Ligi

Polskiej na „Liga Narodowa”. Wcieliła ona „Łączność”, wchłonęła ZET, złożyła kierownictwo w ręce Rady Tajnej.

Na jej czele stanął faktycznie Roman Dmowski, już od 1891 roku „starszy warszawskiej grupy Braci zetowych”. Balicki z Półwskim zostali jego przybocznymi.

Emigracyjna Liga Polska jeszcze wegetowała półtora roku, jako cień samej siebie. Krajowy spadek po niej przejęła w całości Liga Narodowa, w tym również ostatnie dzieło poprzedniczki: serię broszur pod nagłówkiem „Z dzisiejszej doby”. Galimatias hasel od sasa i lasa, jakie te broszury zawierały, jest doskonałym świadectwem niespójności ideowej Ligi Polskiej, która miała wszak ambicję zjednoczenia w s z y s t k i c h Polaków. Taki cel był anachronizmem, bo w tym właśnie czasie dopełniała się, pod presją rosnącego przemysłu, ich społeczna dyferencjacja. Dawny „naród szlachecki” od czasu uwłaszczeniowych reform carskich był już tylko mitem, wtapiał się we wszystkie warstwy — od proletariatu po burżuazję — choć przede wszystkim konstytuował inteligencję. Równocześnie włościanie coraz gęściej wędrowali do fabryk, które wchłaniały także rzemieślników, zrujnowanych konkurencją wyrobów przemysłowych. Mnożyło się polskie kupiectwo, z trudem przebijając się przez żydowskie i niemieckie. Społeczeństwo było w wielokierunkowym ruchu, któremu towarzyszył ferment myślowy. Broszury „Z dzisiejszej doby” (wyszło ich jedenaście, pięć ostatnich już pod patronatem Ligi Narodowej) — to istny ogród nieplewiony. Można w nich spotkać ostre tony antyklerykalne jak i nawoływania, by zewrzeć się wokół opoki Kościoła. Są i pochwały, i przygany pod adresem klasowego ruchu robotniczego. Są nawet stanowcze potępienia rojeń o powstaniu, to znaczy idei, która była fundamentem Ligi Polskiej.

Taki rozpad socjalny i ideowy nieodwracalnie dywersyfikował środowisko „ligowców”. Część z nich, wcale niemała, po prostu przyłączyła się do patriotycznego odłamu socjalistów — do PPS. Niektórzy zaczęli na własną rękę szukać „trzeciej drogi”, kojarzącej patriotyzm, już zabarwiony nacjonalistycznie — z coraz bardziej popularnym socjalizmem.

Ale zdecydowana większość ligowców pójdzie za Dmowskim, który w 1893 roku obdarzył swoich adherentów podstawowym katechizmem (nie ostatnim, jaki wyszedł spod jego pióra) pod tytułem „Nasz patriotyzm”.

Nowy wódz pisał sugestywnie.

Rosję oskarżył, że niszczy polską kulturę, religię i postęp cywilizacyjny. Polacy zginą, jeśli nadal będą tkwić w zwyrodnieniu

fizycznym i duchowym. „Coraz głębiej będziemy tonęli w tem bagnisku, w którym ugrzęźliśmy wskutek różnych przyczyn, dopóki ostatni Polak, któremu sęp nie wyżarł mózgu, rzuciwszy naokół wzrokiem rozpaczliwym, nie zawoła już naprawdę — *Finis Poloniae!*”.

Ugodowców napiętnował, w tym pazernych kapitalistów i posesjonatów — za egoizm klasowy.

Wykpił też „patriotów czujących”, którym łąza się kręci w oku, gdy mówią słowo: Polska, lecz swoim dzieciom nie powiedzą, kto to był Kościuszko, żeby się nie narazić władzy.

Zwolenników biernego oporu także nie oszczędzał, bo na tej bezpiecznej drodze niczego się nie osiągnie.

Socjalistów potraktował z rezerwą, ale po dżentelmeńsku, podnosząc ich zasługi dla klas upośledzonych.

Tych, co za ruchem zbrojnym byli, ostudził:

„Program powstaniowy nie ma realnych warunków urzeczywistnienia. Wyrządza on wielką szkodę, wskazując ludziom walkę w dalszej przyszłości i sprawiając, że oczekują oni, aż wybije godzina — kiedy tymczasem dziś trzeba walkę prowadzić”.

On proponuje co innego. Ma program konkretny, oparty na trzechwej kalkulacji, niepozbawiony sensu. Zaleca:

„Pojedyncze i zbiorowe manifestacje i obchody, różne formy biernego protestu, bezrobocia (tzn. strajki — przyp. W.G.) lub choćby odmowa płacenia podatków, tępienie wszelkich zewnętrznych form rusyfikacji, niszczenie materialnych zasobów rządu, wreszcie kary, wymierzone na gorliwych agentów władzy lub zdrajców sprawy narodowej”.

Nie wyklucza też Dmowski środków najostrzejszych (powstania?), jeśli zastosowanie ich wskażą okoliczności.

Najzagorzalszy niepodległościowiec musiał się zamyślić nad sugestiami Dmowskiego. To był program, z którego każdy, wedle barwy i temperatury swego zaangażowania, mógł wybrać stosowną dla siebie dyrektywę. Program — worek. Albo talia kart do rozegrania.

Do końca czasów rozbiorowych endecja poprzestała na wyciąganiu z tej talii błotek. Nie ona podjęła grę hazardową o Polskę i nie ona zgarnęła pulę. Program Dmowskiego był zachęcający, ale jego realizacja ograniczała się do poczynań drobnych i bezpiecznych. Jednakże endecka strategia kunktatorskich zabiegów o ograniczone cele była pożyteczniejsza dla narodu, niż jałowy pasjans układany przez obywateli-realistów w domowym zaciszu. Nawołując do czekania narodowcy kierowali się przekona-

niem, że niepodległość jest utopijnym mirażem, ale nie tracili nadziei, że kiedyś, być może, utopia stanie się celem osiągalnym i tym bardziej realnym, im większą tężyznę wyrobi w sobie naród, im większe wytworzy moce gospodarcze, moralne i kulturalne.

Krystalizacja ideologii narodowej trwała długo, przebiegała z meandrami. Ale już na parę lat przed końcem XIX wieku zasadniczy jej kształt był wyklarowany. Nie inaczej było z innymi orientacjami w polskim społeczeństwie. Ich schemat był następujący:

Realisci, zakotwiczeni w kołach ziemiańskich i plutokracji, stali wiernopoddańcze deputacje do Tronu z uniżonym błaganiem, by Mikołaj II nieco łaskawszym okiem spojrzął na Kraj Przywiślański.

„Patriotnicy” z obozu Ligi Narodowej, obecnie — endecy, proklamowali: nie może być mowy o ruchu zbrojnym, brońmy polskiego stanu posiadania w gospodarce, pielęgnujmy historię i symbole, rozszerzajmy oświatę wśród ludu.

Socjaliści, pomawiani niedawno przez narodowców o zatrącenie patriotyzmu, a przez esdeków stale o zdradę klasową, wzywali: trzeba się sposobić do walki zbrojnej.

Esdecy zaś wyglądali światowej rewolucji proletariackiej.

Stanowiska były wyklarowane. Ale w deklaracjach propagandowych sprawa była bardziej skomplikowana. Przecież Liga Narodowa nie mogła jawnie powiedzieć społeczeństwu, że śladem potępianych realistów przechodzi na tory polityki ugodowej. Powiedziała to *expressis verbis* dopiero w 10 lat później, w trakcie rewolucji 1905 i wyborów do Dumy. Tymczasem jesteśmy w roku 1895.

Dmowski tak oceniał ówczesną sytuację:

„Kto myślał o Polsce poważnej, naprawdę niepodległej, nie o jakimś wiechciu pod niemiecką stopą, ten miał jedną tylko przed sobą drogę: złączyć sprawę polską z przymierzem francusko-rosyjskim, szukać zbliżenia z Rosją, wpoić w nią świadomość, że w walce z Niemcami może liczyć na Polaków”.

Te słowa napisał jednak w 30 lat później, w książce „Polityka polska i odbudowanie państwa”, komentując „zwarte i logiczne” poczynania narodowej demokracji, którą kierował. Taka *ex post* racjonalizacja własnej strategii oddawała może intencje Dmowskiego. Wolno się doszukiwać w niej przenikliwości, mądrości politycznej. Dopóki brakowało wyraźniejszych znaków co do przyszłego obrotu spraw europejskich, założenie Dmowskiego było

równie logiczne i umotywowane, jak odwrotne poglądy PPS i Piłsudskiego: że najpierw, choćby w sojuszu z diabłem, trzeba rozbić główne mocarstwo zaborcze — Rosję. Spór o historyczną rację na korzyść Piłsudskiego rozstrzygnął dopiero przebieg Wielkiej Wojny, bo nawet w jej początkach nie była ona oczywista. Dmowski miał podstawy, by oceniać szanse po swojemu i grać na Rosję.

Ale w tym samym czasie, gdy Dmowski chciał wpajać Rosjanom zaufanie do Polaków, drugi przywódca endecji, Popławski, napisał odezwę do narodu (a Dmowski ją we Lwowie ogłosił), w której apelował, żeby w razie wojny Polacy:

- ukrywali się przed poborem do carskiej armii,
- obalali słupy sygnałowe i telegraficzne,
- zabierali kasy rządowe, miejskie i gminne,
- niszczyli drogi żelazne, nasypy, tory, mosty w Kongresówce i „wszędzie w głębi Rosji, gdzie ta odezwa do mieszkających tam Polaków dotrze”.

Jakże to? Przez dywersję antyrosyjską przekonywać Rosjan, że mogą liczyć na Polaków? Absurd. Po prostu endecja dbała o mnożenie swych szeregów. Bojaźliwych zapewniała o lojalizmie, śmiałków o nieugiętej woli walki.

Rozdwojenie endeckiej propagandy to jeden, mniej ważny aspekt jej strategii. Istota leżała głębiej. Dmowski ubezpieczał swoje stronnictwo na różne warianty rozwoju sytuacji międzynarodowej. Tak postępuje polityk wielkiego formatu, dopóki szanse tej czy innej opcji są mgliste. Nie było rozłamów między linią Dmowskiego a linią Popławskiego, była to taktyka podziału ról.

Ważny szczegół: wspomniana odezwa, zalecająca dywersję, nie była firmowana ani przez Ligę Narodową, ani przez Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe jej podporządkowane, lecz była podpisana nazwą nieistniejącej organizacji: „Komitet Obrony Narodowej”. To było sprytnie, bo nie obciążało endecji w oczach ugodowców, a tęskniącym do niepodległości sygnalizowało, że w obozie narodowym też są siły antyrosyjskie.

Liga Narodowa niejednokrotnie prezentowała wielopostaciową naturę. W 1896 roku z okazji koronacji Mikołaja II ogłosiła odezwę do ludności, w której stwierdzała:

- „Naród polski nie uznaje terazniejszego cara, jak nie uznawał poprzednich”.
- „Ci, co pojedą z ziem naszych (na koronację) nie są wybrani przez naród, ale przez władzę, przez gubernatorów”.

- „Naród polski pozostał wierny swej spuściznie po ojcach i walki o swe prawa nie zaniechał”.

Ale jak zamierza walczyć, odezwa nie ujawniała, żeby nikogo nie straszyć. Liga miała ambicje ponadstanowe, zwracała się do wszystkich warstw, prócz ziemiańsko-burżuazyjnej elity, gdyż ta była nie do zdobycia dla radykalizmu niepodległościowego. Dlatego zaniechała aluzji społecznych, apelowała do wspólnych wartości i sentymentów oraz nie precyzowała, co właściwie robić zamierza, ażeby cel niepodległościowy osiągnąć. Bez ogródek przyznał się do tego jej organ *Przegląd Wszechpolski*, wychodzący we Lwowie:

„Środków wszakże, którymi ten cel w bliższej lub dalszej przeszłości będzie urzeczywistniony, dziś nie można obliczyć, ani warunków, w których to się stanie, konkretnie przedstawić. O tem zadecyduje nie tylko szybszy lub słabszy wzrost naszych sił narodowych i postęp w dążeniach, ale także rozwój stosunków zewnętrznych i przebieg wypadków, niezależnych od naszej woli, których nikt, nawet w przededniu częstokroć przewidzieć nie może”.

Pobóg-Malinowski, dziejopis piłsudczyzny i zacięty przeciwnik endecji, określił to wyznanie jako czczą gadaninę i kręctwo. Niesłuszny, stronniczy osąd. Żadnej partii nie można obwiniać o to, że ostrożnie antycypuje swą przyszłą taktykę, uprzedzając, że będzie się dostosowywać do sytuacji. Również socjalistyczny *Przedświt*, piórem Jodko-Narkiewicza, zbyt pochopnie nazwał „eunuchami” narodowców, którzy „nie wiedzą z góry, co mają robić, gdy będą mieli siłę”. Fakt, że historia nie im przyznała rację, nie oznacza bynajmniej, iż kierowali się fałszywymi przesłankami.

Ideowe pryncypia narodowej demokracji wyłożył Dmowski pod sam koniec XIX wieku w *Przeglądzie Wszechpolskim*:

„My jesteśmy narodem jednym, niepodzielnym narodem, bo posiadamy poczucie swej jedności, posiadamy wspólną, zbiorową świadomość, wspólną duszę narodową. Ta dusza narodowa — to wyraźne całkiem pojęcie, to wytworzone przez wielowiekowy wspólny byt państwowy poczucie jedności w walce o wspólną egzystencję, w powodzeniach i klęskach ogólnych, w dążeniu do ogólnych celów, poczuciu odrębności swej od obcych tradycją sąsiadów”.

W 1901 roku wyostrzył tonację; eksponował nie tylko t o ż s a m o ś ć narodową Polaków, ale i imperatyw narodowego e g o i z m u. Z narodowca zmieniał się w szowinistę.

„Dla mnie miarą jest pożytek polskości: wszystko, co prowadzi do jej podniesienia, wzbogacenia jej treści, rozszerzenia jej wpływu, jest dobrym, a jedynym hamulcem są może instynkty moralne cywilizowanego człowieka, poszanowanie samego siebie i swego narodu, które mi nie pozwala, w jego nadto imieniu, niskich używać środków”.

A więc prawa innych narodów należy respektować tylko dlatego, by nie gwałcić mojej moralności, która wzbrania się przed ich umniejszaniem. To oznacza całkowite odrzucenie internacjonalizmu.

W 1905 roku z rozumowania Dmowskiego wyparowuje również owo jednostkowe poczucie moralne, hamujące egoizm. Pisze o patriotyzmie:

„Jego główną podstawą jest niezależny od woli jednostki związek moralny z narodem, związek sprawiający, że jednostka zróżnieta przez pokolenia ze swym narodem w pewnej, szerokiej sferze czynów nie ma wolnej woli, ale musi być posłuszną woli zbiorowej narodu, wszystkich jego pokoleń, wyrażającej się w odziedziczonych instynktach”.

Przekreślenie wolnej woli prowadzi go do konstatacji, które już w 1905 roku są jaskółkami doktryny faszystowskiej:

„Naród nie składa się z równowartościowych pod względem narodowo-etycznym jednostek (...). Dlatego etyka narodowa nie pozwala dawać wszystkim równego prawa głosu w narodowych sprawach, bo jej pierwszym celem nie jest zadowolenie tych, którzy dziś żyją, jeno przekazanie przyszłemu pokoleniom nienaruszonych i wzmocnionych podstaw narodowego bytu”.

Ewolucja poglądów Dmowskiego idzie więc od populizmu przez szowinizm ku elitaryzmowi, co w wielu krajach było normalnym tokiem narastania faszyzmu. I tak jak w innych krajach projektuje polityczne zaplecze swego obozu. Mają nim być masy ludowe (głównie chłopstwo, jako najmniej skażone „kosmopolityzmem”) przepojone solidaryzmem, wolne od idei walki klas. Warstwy posiadające doskonale wyczuły, że ta postać rewolucjonizmu niczym im nie grozi, przeto dały pełny kredyt zaufania Dmowskiemu, choć nie raz naigrywał się z ziemiaństwem i burżuazji. Podobnie kler, który początkowo ostro zwalczał endecję, a ona wcale mu nie schlebiała. Wzajemny chłód rychło zmienił się we wzajemne zrozumienie. Dobrze to określił Józef Lange w traktacie „Postęp a nacjonalizm”:

„Od nacjonalisty nie wymaga się wiary, on może być

nawet ateuszem, ale musi uznawać religię jako konieczną instytucję społeczną, jako cement, spajający rozbieżne pierwiastki życia zbiorowego, cement najpewniejszy, a przy tym tak tradycyjny, tak ściśle spojony z całą przeszłością narodu”.

Wielu krytyków endecji mówiło o mglistości bądź uniwersalizmie jej programu, czyniąc z tego zarzut. Jednak uniwersalizm równie dobrze jak klasowość może stanowić podwalinę partii politycznej, jeśli zdoła dla takiego programu zjednać klientelę. Ku temu ewoluowały, tak się ukształtowały partie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Endecji też się to udawało: zdobyła wielką część chłopstwa, nie mała proletariatu, omal całe drobnomieszczanstwo, większość burżuazji, a chyba i inteligencji. Tak było w początkach wieku, do rewolucji 1905, a nawet — mimo poniesionych strat — tak jeszcze było u progu niepodległej Polski. Jednak stopniowo inicjatywę przejmował obóz Piłsudskiego, mający za sobą tę legitymację moralną, że wywalczył niepodległość oraz ten atut społeczny wobec mas pracujących, że wyrósł z tradycji socjalistycznej.

Endecja zbyt ostrożnie określała swą taktykę, zbyt wielką wagę przywiązywała do „okoliczności obiektywnych” — nie wierząc, że takowe dadzą się w pewnej mierze kreować aktywną polityką.

Skądinąd należy narodowcom przypisać tę zasługę, że ich doktryna stanowiła pewne antidotum na ujemne skutki „psychologii zawodowych rewolucjonistów”, którzy często lekceważyli zwykłą, szarą pracę, kwalifikacje profesjonalne, jak również ważną dla polityków zasadę, że niekiedy trzeba u m i e ć c z e k a ć.

Psychologia Dmowskiego i jego stronników nie raz była i jeszcze będzie przedmiotem penetracji historiozoficznej, politycznej, moralnej. To interesujące — tropić myśli i obsesje polityków sprzed stu lat. Ale chyba nigdy nie odsłoni się wszystkich motywów, jakimi się kierowali. Można natomiast sformułować przynajmniej dwa pewniki, określające rolę faktycznie odegraną przez narodowych demokratów.

Po pierwsze: endecja już w kilka lat po swym powstaniu wyzbyła się pokus (bądź pozorów) radykalizmu społecznego, jaki w okresie Ligi Polskiej cechował niektórych jej czołowych działaczy, i wcieliła się w rolę reprezentantki warstw posiadających, przechodząc do bezpardonowej walki z nurtem socjalistycznym we wszelkich odmianach.

Po drugie: niezależnie od różnych wcześniejszych kalkulacji, w przełomowym momencie dziejów, podczas wojny światowej,

endecja obrała pasywizm prorosyjski. Dopiero klęska caratu dała endecji sposobność porzucenia oczekiwań na „powrót taty” i honorowe związanie się z demokracjami Zachodu, których zwycięstwo się urealniało.

Koniec końców Dmowski poniósł klęskę, bo nie on, lecz jego rywal potrafił tak operować polską kartą, że wygrał niepodległość i władzę. Klęskę moralną ponieśli też stronnicy Dmowskiego, albowiem niewielu z nich może pretendować do tytułu niepokornych. Większość w chwili próby była całkowicie uległa zaborcy.

Mimo wszystko liderom narodowej demokracji nie można odmówić poważnych zasług.

Zygmunt Balicki stworzył i prowadził ZET, organizację kadrową dla tuzina związków orientacji narodowo-niepodległościowej, które wyłamały się z endecji i pod duchowym przywództwem Feliksa Młynarskiego, przed Wielką Wojną, stworzyły dodatkowe zaplecze akcji legionowej, równoległe do piłsudczykowskiego.

Jan Ludwik Popławski — w młodości luźny sympatyk Proletariatu, później radykał, zwolennik reform w interesie klas pracujących (nawet wtedy, gdy stał się zwolennikiem nacjonalizmu) — był przede wszystkim prekursorem polskiej „myśli zachodniej”. Od 1887 roku domagał się Poznania, Śląska, dostępu do morza, nawet Królewca i Opola. Było to osią jego koncepcji politycznej. Zdobycie ziem zachodnich traktował jako warunek *sine qua non* polskiego bytu — co do głowy nie przychodziło socjalistom, a z programem SDKPiL było zdecydowanie sprzeczne.

Wreszcie Roman Dmowski — polityk wielkiego formatu, obojętne, czy się żywi sympatię czy niechęć do jego ideologii. Czarną plamą na jego pamięci jest to, że on właśnie ze szczególną namiętnością głosił antysemityzm. Ewolucja linii Dmowskiego od antyugodowości — do ugody, od rewolucyjności — do lojalizmu, od postulatu budowy społeczeństwa nielegalnego — do udziału w Dumie i potępienia zbrojnego ruchu niepodległościowego była sprzeczna z polskim etosem i po prostu błędna, ale wynikała z przesłanek niepozabawionych logiki. Myśl Dmowskiego szła takim torem: jedyną szansą dla Polaków jest konflikt w łonie „Świętego Przymierza”. Gdy do niego dojdzie, miejsce Polaków jest przy Rosji, gdyż ona nie stanowi wroga tak groźnego, jak Niemcy. Germanizacja przebiega skuteczniej niż rusyfikacja. Jeśli Rosja, z pomocą Polaków, wojnę wygra, to uda się zjednoczenie wszystkich naszych ziem pod berłem Romanowych. Wraz z oczekiwaną autonomią znakomicie powiększy to moc przetrwania Polaków i przy jakiejś następnej okazji otworzy widoki na niepodległość. Z takim rozumowaniem niesprzecz-

na była opcja kulturowa właśnie za wzorami niemieckimi — przeciw wszelkim cechom „azjatyckiej” rosyjskości. Niemcy były groźniejsze, bo były atrakcyjne, Rosja — reprezentująca niższą kulturę — mogła być czasowym sprzymierzeńcem, jako wróg mniej groźny.

Obrachunek był logiczny, ale logika wcale nie jest w polityce lepszym orężem niż intuicja. Historia potoczyła się wedle przeżycia Piłsudskiego, nie wedle chłodnej kalkulacji Dmowskiego.

Wreszcie, cokolwiek by sądzić o Dmowskim, jedno nie podlega dyskusji: na Konferencji Wersalskiej wywalczył dla Polski wszystko, co można było wtedy wywalczyć. Najzwyczajszą bzdurą jest pogląd niektórych historyków i politologów, że gdyby Polska nie zagalopowała się na Kresy Wschodnie, mogłaby wywalczyć dużo więcej na Zachodzie. Ci co tak mówią nie mają pojęcia o ówczesnych realiach. Nawet stosunkowo najzyczliwsza nam Francja nie była zainteresowana w polskiej ekspansji na Zachód. Anglia, wierna zasadzie równowagi kontynentalnej, przeciwstawiała się nadmiernemu osłabieniu Niemiec; dlatego Gdańsk stał się Wolnym Miastem. Plebiscytu na Opolszczyźnie ani Warmii i Mazurach Polska wygrać nie mogła. Nawet gdy się odliczy część głosów na niemieckie fałszerstwa i machinacje, plebiscyt wypadł dla nas drugoczo. A przede wszystkim: w 1918 roku armia niemiecka była pobita, lecz nie rozbita. Jej potencjał stukrotnie przewyższał polski. Byliśmy w stanie wygrać z Rosją, jeszcze zagrożoną w rewolucyjnych konwulsjach, lecz wobec Niemiec bylibyśmy bezradni, gdybyśmy zechcieli zbrojnie poszerzać granice zachodnie.

W Wersalu Dmowskiemu udało się wyszarpnąć Niemcom parę razy więcej terytorium, niż odebrały im wszystkie razem państwa zwycięskiej koalicji. To jedno wystarczy, by dla Dmowskiego — postaci raczej antypatycznej — zachować szacunek i wdzięczność.

Socjaliści: od Marksa do Piłsudskiego

Slogan Marksa, że proletariusze nie mają ojczyzny, był dla marksistów-internacjonalistów legitymacją ideową i moralną.

Zawsze był to jednak slogan bez związku z rzeczywistością.

W czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, w czasie Wiosny Ludów, klasy pracujące — czwarty stan — dobitnie manifestowały swój patriotyzm. Był on wręcz synonimem rewolucji i demokracji. Patriotyzmu nienawidziła reakcja. W 1849 roku synod 35 biskupów austriackich kanonicznie określił narodowość jako

„pozostałość pogańską”, gdyż genezą jej jest pomieszanie języków pod wieżą Babel.

Marks miał rację o tyle tylko, że odkąd mieszczaństwo, osiągnąwszy swe cele, przewędrowało do obozu zachowawczego — zabrało ze sobą i zawłaszczyło hasła patriotyczne, czyniąc z nich oręż kontrrewolucji.

Mimo to — jak podkreślił Kazimierz Kelles-Krauz, najwybitniejszy teoretyk PPS — „... potrzeby i dążenia dawnego patriotyzmu demokratycznego zachowały całą swą żywotność” wszędzie tam, gdzie nie były zaspokojone: w Polsce, Irlandii, Alzacji, niemal w całej monarchii Habsburgów, na zachodnich kresach Rosji. Więc wszędzie tam „rozwój społeczeństwa w kierunku proletariackim napotyka silne przeszkody, socjalizm ma jakby kule u nóg” — albowiem zaspokojenie dążeń narodowych stanowi etap niezbędny i nie dający się ominąć. „Patriotyzm naturalną rzeczą koleją, jak dawniej demokracji, tak dziś staje się synonimem socjalizmu, jedną z jego uczuciowych dźwigni”. Wszelako przy innej okazji dodał: „Ale — ale trzeba sproletaryzować niepodległość Polski, a nie patriotyzować walkę proletariatu”.

Wpierw jednak, nim socjaliści otrząsnęli się z programowego antypatriotyzmu swych prekursorów — proletariatycków — przez kilka lat trwał zamęt, toczyły się spory o cel główny i o taktykę, które maleńką grupkę socjalistów podzieliły na parę mikroskopijnych. Do scalenia ruchu doszło pod hasłem niepodległości. Ale nie wszyscy na nie przystali. Część poszła ścieżką wytyczoną przez SDKP, na której nie było drogowskazu: Państwo Polskie.

W 1970 roku Bohdan Cywiński wydał książkę „Rodowody niepokornych”. Stała się ona Biblią tej młodej generacji inteligentkiej, która w 10 lat później wsparła wielki ruch, zrodzony wśród robotników Gdańska. Książka ta, imponująca erudycją, opisuje główne nurty ideowo-polityczne, które w Polsce zniewolonej rozdziły się na styku wieków. I które funkcjonują do dziś, choć upływ czasu, polityczne kataklizmy, przemiany kulturowe oraz dojrzewanie narodowej świadomości znacznie je zmodyfikowały. Jest to książka ogromnej wagi; nie tylko przedstawia, lecz i formuje postawy Polaków.

Ale zarazem jest to książka ułomna. Omalże nie istnieje w niej ta formacja ideowa, którą trafnie nazywa się pokoleniem niepodległościowym. „Rodowody niepokornych” niewspółmiernie mało uwagi poświęcają rodowodom najbardziej niepokornych: tych, którzy pod znakiem PPS walczyli o niepodległość, gromadząc się później wokół Józefa Piłsudskiego, tworząc

trzon obozu aktywistów. Nie może to być przeoczeniem Cywińskiego. Jest to wyraz ideowego wyboru, skoro Dmowskiego i innych luminarzy Narodowej Demokracji cytuje on pełnymi garściami, zaś nurtowi inteligencji katolickiej (który wtedy był wąziutką strużką) poświęca kilkadziesiąt stron. Inną jest sprawą, wymagającą odrębnego namysłu, że formacja „niepodległościowców” podzieliła się już w trakcie pierwszej wojny, a w odbudowanej Polsce wielka jej część pożegłowała prawym halsem.

Skoro jednak mowa o genezie niepodległości, o jej głównych twórcach, niezbędne jest dopisanie suplementu do książki Cywińskiego.

Kiedy w roku 1886 Proletariat został rozgromiony, a jego przywódcy powieszani, w ruchu robotniczym Kongresówki nastąpiła krótkotrwała pauza. Tylko na emigracji pozostała garsteczka czynnych socjalistów. Niektórzy z nich związani byli zarazem z ZET-em. W kraju nie działała żadna partia socjalistyczna.

Nadal jednak zbierały się luźne grupki dyskusyjne i oświatowe, studiując różne nurty zachodniej myśli socjalistycznej oraz doświadczenia narodowolców. Szczególnie ruchliwe było kółko uczniów szkoły handlowej im. Kronenberga, któremu ton nadawali Ludwik Kulczycki i Władysław Studnicki, obaj poważni już, dwudziestoletni młodzieńcy.

Studnicki — to przypadek ciekawy raczej dla psychologa. Był lewicowym socjalistą, zesłanym na Sybir, potem był pepesowcem, ludowcem, nacjonalistą i antysemitą, znów socjalistą i zapiekłym wrogiem Dmowskiego, członkiem prawego skrzydła Ligi Państwowości Polskiej, a od pierwszej wojny — już przez całe życie — najgorętszym w Polsce germanofilem. Nawet podczas okupacji hitlerowskiej głosił „partnerstwo”, lecz okupantom Studnicki jawił się raczej jako sklerotyczny maniak, niż potencjalny Quisling. Dla jasności wsadzili go do więzienia.

Kulczycki także zyskał reputację człowieka niezupełnie zrównoważonego, gdyż był fanatykiem terroru. Ale sporo z jego poglądów politycznych odznaczało się rozsądkiem i dalekowzrocznością. Kultem terroru zaraził się od trójcy ideologów Wielkiego Proletariatu w Genewie — Aleksandra Dębskiego, Stanisława Mendelsoina i Marii Jankowskiej, których odwiedził w 1887 roku. On z kolei przekonał ich, że powinni do programu włączyć kwestię narodową, co też uczynili, choć zrazu traktowali to jako ustępstwo taktyczne. Otarł się także Kulczycki o ZET, z którym wkrótce zaczął ostro polemizować. Troszeńkę postudiował nauki społeczne, szczególnie Plechanowa, który głosił, że należy walczyć w Rosji o demokrację konstytucyjną, nie łudząc się szansą przeję-

cia całej władzy przez socjalistów. Tak przygotowany powrócił do kraju, jako 22-letni teoretyk. Nadal dogmatyczny i internacjonalny, skoro napisał (krytykując program Jeża), że proletariuszowi więcej dolega konkretny wyzysk codzienny, niż „abstrakcyjne pojęcie o braku własnej ojczyzny”. Wysunął zatem program-minimum: autonomii politycznej dla Królestwa Polskiego.

W 15 lat później analogiczny program ogłosiła endecja.

Tymczasem Kulczycki założył Drugi Proletariat, głównie spośród przyjaciół-kronenberczyków i z pomocą wytrawnego rewolucjonisty, bliskiego trzydziestki Marcina Kasprzaka, który poprzednio działał w zaborze pruskim i miał już za sobą więzienie. Łatwo znaleźli wspólny język, bo obaj wierzyli, że tylko terrorem da się wywalczyć konstytucję i poprawić byt proletariatu. Planowali w tym celu wysadzić w powietrze cerkiew na Placu Krasińskich i zabić generał-gubernatora Hurkę. Skończyło się na zamiarze.

Zasługą Kulczyckiego było sformułowanie, obok programu-minimum, również programu-maksimum: niepodległości. Żaden przed nim socjalista nie powiedział tego tak dosadnie, chociaż realizację owego celu Kulczycki uzależniał od powstania sprzyjających warunków wewnętrznych (ruch rewolucyjny w Rosji) albo zewnętrznych (konflikt europejski).

Drugi Proletariat pod kierunkiem Kulczyckiego istniał tylko przez kilka miesięcy. Pod koniec grudnia 1888 roku policja przeprowadziła masowe aresztowania, zatrzymując pół setki osób, w tym Kulczyckiego. Przesiedział pięć lat. Partia, mimo wysiłków Kasprzaka, poszła w rozsypkę, bo całkiem zabrakło w niej inteligencji.

W Genewie uradzono, że ktoś musi ją scalić i podeprzeć. Taki ktoś akurat był na miejscu i palił się do roboty: Edward Abramowski.

Była to pierwsza ważna misja tego niezwyklego człowieka, który przechodził rozmaite metamorfozy ideowe, ale wciąż był „sumieniem” pokolenia niepodległościowców. Chwilowo jednak został typowym agitatorom partyjnym.

Jak tylu innych bojowców i prominentów polskiej kultury, Abramowski pochodził z kresowego ziemiaństwa. Jego biograf, prof. Konstanty Krzczkowski napisał: „Był dzieckiem stepu ukraińskiego. Kresowego rodowodu są wszystkie wartości, które wniósł do skarbnicy naszej... Posiadał bezgraniczne umiłowanie wolności, ślepe przywiązanie do ziemi, żywiołowy wicher wielkiego czynu i bohaterstwa życia, bezkresną potęgę twórczą, nieustraszoną myśl”.

Urodził się w 1868 roku na Ziemi Kijowskiej. Od dziecka przejawiał żywy intelekt (dyskutował z dorosłymi *de publicis* już jako dziewięcioletni chłopiec), ale też — nadwrażliwość uczuciową. Wyrastał wśród styczniowych powstańców, sybirskich katorżników i fanatyków towiańszczyzny, w kulcie tradycji narodowych i romantycznej poezji, szczególnie Słowackiego, ale środowisko jego nie było też głuche na scjentystyczne nowinki i objawienia liberalizmu. Pisał dziecięce wiersze, z których zachowała się tylko jedna strofa w pamięci Kazimierza Pietkiewicza, towarzysza młodości i walk politycznych:

*Noc była głucha i ciemna,
Zawyły wichry od Wisły i Niemna
Wstrząsły się Kremlu mury...
Co to za upiór groby rozwała
A w ręku trzyma knut, którym pozwala
Chłostać narody od Niemna do Chiwy?!*

Do szkoły nie chodził. W Warszawie, dokąd po śmierci matki przeniósł się z rodziną, edukowany był domowo przez świetnych pedagogów z Marią Konopnicką na czele. Za jej namową i protekcją zaczął jako piętnastolatek drukować teksty, jeszcze dziecięco egzaltowane. W jednym zawarł wyznanie, będące dlań dewizą życiową: „Mam więc wszystko od ludzi: życie, dobrobyt, naukę. To wszystko jestem im dłużny”.

Studia, jako wolny słuchacz, podjął na wydziale przyrodniczym Akademii Krakowskiej, ale chętniej chadzał na wykłady z humanistyki. Już na dobre zaczął konspirować: organizował młodzieżowe kółka socjalistyczne i pośredniczył w przerzutach bibuły. Zagrożony wpadką, wyjeżdża do Szwajcarii, zgłębia w Genewie zarówno fizykę, jak filozofię i historię gospodarczą, a ubocznie... parapsychologię. Frapują go seanse spirytystyczne, bardzo wtedy modne. Ale przede wszystkim spiskuje. W jego mieszkaniu zbierają się młodociani buntownicy. Poznaje proletariatyków Dębskiego i Mendelсона, o czym zaraz znalazła się wzmianka w archiwach carskiej policji.

Ledwie ukończywszy dwudziestkę, powraca za radą swych mentorów do Warszawy, już jako wytrawny agitator. Dopomaga mu autorytet, jakim wśród młodzieży opromienieni byli emisariusze studenterii kształcącej się za granicą. Drugi Proletariat zbiera się na nowo w mieszkaniu Abramowskich (bo właśnie ożenił się z Motzówną, też zagorzałą działaczką). Przewija się przez nie wielu działaczy, którzy rychło mieli zasłynąć w ruchu: prawie

same dwudziestolatki, plus senior Kasprzak. Często bywa na spotkaniach robotniczych. Jego broszura „Ustawa ogólnorobotnicza Kasy Oporu” robi furorę. Była to — napisał Strożecki — jedna z najpopularniejszych broszur, jakie posiadała wczesna polska literatura socjalistyczna.

W tym samym czasie i w tych samych środowiskach zaczyna działać druga organizacja socjalistyczna: Związek Robotników Polskich. Przewodzą jej Julian Marchlewski, Adolf Warski, Janusz Tański, Józef Beck, Stanisław Grabski. Dyskretnie zaś dyryguje związkiem Ludwik Krzywicki, nie wysuwając się na front.

Główna różnica między obydwiema organizacjami polega na tym, że Drugi Proletariat lansuje taktykę terroru, zaś ZRP, pod wrażeniem klęski Wielkiego Proletariatu, wyznaje ekonomizm, to znaczy masowe organizowanie robotników ku celom ograniczonym, niemalże legalnym; od polityki stroni programowo. Wielu robotników należących do ZRP sądziło, że ich działalność nie jest zakazana, a przynajmniej — że rychło ulegnie legalizacji.

Istniała i druga różnica, która wyszła na jaw po paru latach. W Drugim Proletariacie grupowali się ludzie, którzy zaczęli myśleć o niepodległości, w ZRP ludzie, zbywający to wzruszeniem ramion.

Wreszcie trzecia rozbieżność: rywalizacja personalna. Widać to wyraźnie z monumentalnych lecz stroniczych „Wspomnień” Krzywickiego, który Abramowskiego nie cierpiał. Miał powody. Krzywicki był bardzo szanowany, lecz jawił się ludziom jako mól książkowy, zaś Abramowski — jako krzak gorejący. Jego „Sprawa robotnicza” była rozchwytywana także przez związkowców; robotnice, słuchając jej, tonęły we łzach. Inna broszura Drugiego Proletariatu, „Zając i myszy”, była pamfletem wymierzonym wprost przeciw kunktatorstwu ZRP. Krzywicki rewanżował się inwektywami pod adresem Abramowskiego: „pożerała go ambicja wiedzenia o wszystkim, co się dzieje w innych partiach”. Rzeczywiście, Abramowski przyjaźnił się też z Bohuszem z *Głosu* i ze Stanisławem Wojciechowskim z grupki „Pobudka”. Ale tuż obok Krzywicki zaprzeczył sam sobie, zauważając, iż jego rywal „chciał wszystko zogniskować w jednym ręku”. Czyli dążył do zjednoczenia ruchu, po to go przecież wydelegowali genewczycy, pilotujący ruch socjalistyczny w Kongresówce.

Ale zamiast do jedności doszło do kolejnego rozłam, spowodowanego w Drugim Proletariacie właśnie przez Abramowskiego. Pojawił się trzeci embrion partii socjalistycznej, Zjednoczenie Robotnicze.

Podział wywołany był sporem, roznieconym przez list Kul-

czyckiego przemycony z Cytadeli. Przywódca wzywał, by partia ukarała śmiercią dwóch żandarmów, odpowiedzialnych za bestialskie bicie robotników-konspiratorów. „Baja” Jędrzejewski i Feliks Perl głosowali „za”, Abramowscy i „Fakir” Pietkiewicz — „przeciw”, mimo, że wcześniej Abramowski był zwolennikiem terroru indywidualnego.

Czy był zatem niekonsekwentny, co mu z ironią wypominał Krzywicki?

Niekoniecznie. Taktyka, w odróżnieniu od pryncypiów ideowych, musi być zmienna, inaczej nie jest w ogóle taktyką. Schematyzm działań radykalnie umniejsza ich szansę. Trudno dziś, po stu latach, analizować fluktuacje postaw Abramowskiego, lecz warto zauważyć, iż niemal każda partia rewolucyjna — od Wielkiego Proletariatu aż po nikaraguańskich sandinistów i irańskich mudżaheddinów — nie tylko toczyła dyskurs o terrorze, ale stosowała go w praktyce. Historycznie nowym zjawiskiem jest dopiero terroryzm nieukierunkowany, mający na celu wywołanie atmosfery powszechnej grozy oraz przykucie uwagi świata — *vide* wczesne akcje Palestyńczyków; terroryzm zwrócony przeciw poczuciu stabilności i jej symbolom. Jeśli w sporach o terroryzmie nie uwzględnia się różnych znaczeń i funkcji tego tragicznego zjawiska politycznego (i ocenia się je tylko wedle kryteriów moralnych, nakazujących potępienie *en bloc*), to popada się w szlachetną wprawdzie, lecz beztreściwą gadaninę.

Odrzuciwszy plan zemsty na żandarmach, których odpowiedzialność nie była udowodniona, Abramowski z paru przyjaciółmi opuścił Drugi Proletariat. Był twórcą i ideologiem Zjednoczenia Robotniczego, co więcej — był „pierwszym teoretycznym i czynnym inicjatorem idei walki o niepodległość Polski” (jak to ujął Zygmunt Pietkiewicz), lecz głównym organizatorem został Jan Strożecki — jedna z najciekawszych, a zapomnianych postaci wśród socjalistów.

Uczył się w Kielcach, razem z Żeromskim i Machajskim. Ten ostatni był fanatycznym patriotą, póki nie doznał na Sybirze psychicznego załamania i nie znenawidził wszystkiego co polskie, a zwłaszcza PPS. Wydał w Wilujsku broszurę, dowodzącą, że Marks był ideologiem inteligencji, a prawdziwej rewolucji może dokonać tylko... lumpenproletariat; co też w 1905 roku urzeczywistniała „Zmowa Robotnicza”, gang w istocie bandycki. Ale to było później. Chwilowo wszyscy razem działali w kółku Towarzystwa Oświaty Ludowej, którego wydawnictwa nie były specjalnie wyrafinowane intelektualnie, skoro nosiły tytuły np. „O urwisie Beldonku” i „O pijaku Urbanie”. Razem biedowali.

„Machaj”, który mieszkał razem z Żeromskim, dzielił się z nim parą butów — jak jeden wychodził, drugi siedział w domu...

Strożecki w 1887 roku zapisał się na prawo, gdzie jeszcze nie było ani bibuły — z wyjątkiem tekstów Jeża — ani żadnych socjalistów. Dopiero w następnym roku zaczął działać „uniwersytet latający”, którego słuchacze odwiedzali tajne kółka robotnicze. Strożecki był tak zagorzały, że przysiągł do końca studiów nie balować, nie knajpować i nie tracić czasu na beletrystykę. Coraz bardziej czerwieniejąc, wypisał się z patriotycznego kółka Kielczan, wygłosiwszy wprawdzie krytyczny referat o Kościuszcze, „szlachcicu w chłopskiej sukmanie”.

Potem oscyluje Strożecki między ZRP, Drugim Proletariatem oraz socjalistycznym klubem literackim, do którego schodzili się działacze obu ugrupowań oraz „Głosowcy” związani z Ligą Polską. Najbliżej żyje z Abramowskimi i z Marcinem Kasprzakiem. Kasprzak, świetny organizator, był człowiekiem czynu, którego koncepcja teoretyczna była niezbyt skomplikowana: zrobić spiszek, ująć władzę i zadekretować socjalizm. W domu na Chmielnej 36 miał sznur z hakiem do ucieczki z piątego piętra, gdyby zaskoczyli go żandarmi. Związkowcy nie ufali temu terroryście, a on odpłacał im niechęcią i na spotkania ZRP posyłał swoich ludzi, żeby je dezorganizować. Strożecki i Abramowski, odwrotnie, zmierzali do scalenia ruchu, między innymi na gruncie Kas Oporu, tworzonych przez obie organizacje wedle projektu Abramowskiego. Również sławni bracia Grabscy skłaniali się ku jedności. Starszy, Stanisław, sympatyzował wtedy z ZRP, młodszy Władysław — kierownik organizacji uczniowskiej — z Drugim Proletariatem, a równocześnie z paryską „Pobudką”. Było to połączenie niezbyt logiczne, ale siedemnastolatkom takie rzeczy się zdarzają. Później obydwaj stali się filarami obozu narodowego i wybitnymi męcząkami stanu.

Gdy zamiast scalenia doszło do następnego podziału i w czerwcu 1891 roku wyłoniło się Zjednoczenie Robotnicze, Strożecki tak wyłożył głębsze racje tej secesji:

„Proletariat nie rozumiał znaczenia walki politycznej prowadzonej przez uświadomione masy w imię ich klasowych interesów i jako jedyną formę tej walki propagował terror, Związek zaś, zwalczając ten terror, występował w ogóle przeciwko wszelkiej walce politycznej. Klasa robotnicza, według teorii Związku, powinna walczyć tylko z burżuazją, rząd pozostawiając na stronie”.

Adolf Warski, późniejszy przywódca KPP, był wtenczas tak dalece apolityczny, że protestował przeciwko czczeniu pamięci

czterech powieszonych proletariaczyków — bo to „odstrasza” zwolenników ZRP.

Zjednoczenie wyróżniało się energią w produkcji nielegalnych, gdyż Abramowski pisał broszurę za broszurą. Jego „Społeczeństwo rodowe” udało się nawet wydać legalnie, gdyż do cenzora, znanego z czułości na niewieście wdzięki, pojechała ładna towarzyszka, jako siostra „Walczewskiego”. Niestety, żandarmeria wszystko popsuła, bo zrobiła nalot na księgarnię i zgarnęła gotowy nakład.

Fala łapanek, które w 1891 roku zdziesiątkowały wszystkie trzy organizacje, spowodowała, że Abramowski — przybity też śmiercią żony — wyjechał za granicę. Strożecki na rok został powołany do wojska. Potem i on wyjechał — do Paryża, na założycielski zjazd Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, załączka PPS.

W zjeździe paryskim 17-23 listopada 1892 roku uczestniczyło 18 przedstawicieli Proletariatu (z grupy *Przedświtu* w Szwajcarii), Zjednoczenia Robotniczego, emigracyjnej Gminy Narodowo-Socjalistycznej i Związku Robotników Polskich (ze ZRP tylko Stanisław Grabski bez formalnego mandatu). Przewodniczył Bolesław Limanowski, zwany „Plutarchem polskiego socjalizmu”, który wyznawał pogląd, że główną spójnią społeczeństwa jest patriotyzm, a socjalizmem jest dążność do prawdziwej równości. Już w trakcie przygotowań zjazdu dało się odczuć, że koncepcja niepodległościowa triumfuje. Grabski uzasadnił ją w odrębnej broszurze, co przełamało apolityczność ZRP, Mendelson — w *Przedświcie*. On zresztą był głównym organizatorem zjazdu i obok Abramowskiego, autora szkicu programowego, jego czołową postacią. Z obozu narodowo-socjalistycznego grupa „Pobudka” wzięła udział w obradach, grupa *Przeglądu Socjologicznego* powstrzymała się. Myślano też o współpracownikach *Głosu* — czyli uważano ich nadal za socjalistów — ale przyjechać nie mogli. W ogóle prosto z kraju przybyło tylko dwóch delegatów: proletariaczyk Sulkiewicz i „zjednoczenie” Strożecki.

Protokół obrad odszukano dopiero w 1933 roku. Występowano pod pseudonimami, ale wszystkie udało się rozszyfrować, więc przytaczam nazwiska dyskutantów. Oto parę fragmentów protokołu.

Abramowski: — Jako cel stawiamy sobie niepodległość, ale ewentualnie weźmiemy co się da.

Perl: — Niepodległą republikę polską musimy postawić sobie jako najbliższy cel.

Abramowski: — To cel ostateczny. Gdyby tymczasem można było zdobyć w Rosji swobody polityczne, to przecież ich nie odrzucimy, a przeciwnie — o ile to od nas będzie zależało, postaramy się do tego dopomóc.

Strożecki: — Partia, stawiająca w swym programie niepodległość, może jednak korzystać z nadarzających się okazji zdobycia ustępstw politycznych.

Limanowski: — żąda informacji jakie są obecnie warunki w Rosji wróżące zmiany polityczne.

Abramowski: — W Rosji są warunki, dające pewną na przyszłość gwarancję: jest proletariat, mogący być uświadomionym, jest inteligencja niezadowolona, są wreszcie warunki ekonomiczne, jest głód. Można więc mieć nadzieję, że zdarzy się nam sposobność do skorzystania.

Perl: — W Rosji równie trudno zdobyć minimum swobód, jak niepodległość. Wszystko w Rosji musi być zdobyte drogą rewolucyjną. A skoro tak, po co mówić o etapach rozwoju i ustępstwach.

Mendelson: — w dłuższym przemówieniu wypowiada się przeciwko przedstawieniu i rozwiązaniu kwestii przez Abramowskiego.

Grabski: — W razie istnienia silnego ruchu w Rosji, czy nam należy użyć wszelkich środków do zdobycia swobód politycznych, nawet bez nadziei uzyskania niepodległości?

Limanowski: — Konstytucja rosyjska nie może zadowolić Polaków.

Następnie dyskusja przeszła na metody działania, w tym sprawę stosunku do religii.

Strożecki: — Organizacja masowa przy naszych stosunkach politycznych jest niemożliwa. Trzeba jednak obejść ten szkopuł, by móc oddziaływać na masy robotnicze.

Abramowski: — zgadza się na zdanie Strożeckiego. Oddziaływać na masy można tylko za pomocą fachowych grup agitatorów.

Jodko: — Może by ktoś nam w tej sprawie powiedział zdanie Związku?

Grabski: — Jest ono, o ile wiem, identyczne ze zdaniem Abramowskiego.

Abramowski: — Trzeba zważać na stronę psychologiczną, uczucia, przesady religijne itd. i liczyć się z nimi.

Grabski: — Jest to droga śliska i niebezpieczna i można się posunąć za daleko. Jednakże nie należy napadać na religię.

Perl: — jest przeciw wykorzystywaniu uczuć religijnych, jako nie prowadzących do niczego. Idąc tą drogą z a w s z e posuniemy się za daleko. Powoływanie się na Biblię — diabła warte, bo obłudne.

Abramowski: — Tak mówią ci, co nie znają chłopów. Tam podejrzany o ateizm nic nie robi. Obłudy nie ma żadnej, bo i w Biblii można znaleźć rzeczy zgodne z komunizmem.

Mendelson: — przeciw.

Strożecki: — o tym, jak wielkie powodzenie miała kolenda robotnicza, że zgodnie z wolą Boga ludziom powinno być dobrze.

Tylicki: — zaznacza że jest robotnikiem. Napadanie na religię odstręcza wielu ludzi.

Podwiński: — *Gazeta Robotnicza* utraciła kilkunastu prenumeratorów, gdy napisała „Czy Bóg jest, czy nie — nie wiemy”.

Grabski: — Trudno bronić ateizmu, gdyż on jest nienaukowym. A zresztą i w religii są momenty niereakcyjne, np. miłość bliźniego.

Kolejny przedmiot dyskusji — to sprawy masowych demonstracji oraz różnych form i celów terroru.

Strożecki: — Nie możemy popychać robotników do wystąpień, gdyż prześladowania mogą osłabić ruch.

Limanowski: — Gromadne wystąpienia dodają ludziom śmiałości.

Mendelson: — Nie można robić zasady z usuwania lub nieusuwania jakiegoś szpiega.

Abramowski: — Ważna jest kwestia ogłaszania lub nieogłaszania aktów gwałtownych. System ogłaszania sprowadził na partię represje nieraz gorsze od zdrady samej. Ale z drugiej strony ogłoszenie może przerazić chwiejących i zapobiec odstępstwom.

Perl i Dębski: — Nie podobna stwarzać ogólnej zasady. Publiczne wystąpienie partii może być niekiedy potrzebne.

Strożecki: — Ogłaszanie może mieć tylko ujemny skutek. Nie spodziewaliśmy się terroryzowania szpicłów, gdyż wszystkich nie zgładzimy.

Mendelson: — Ale usunięcie jednostki może być czasem niezbędne. Co do mas, to obawy są płonne. Masy lubią zamachy, nawet gdy te ostatnie są głupie.

Strożecki: — Choćby masy sympatyzowały z zamachami, nie powinniśmy ich do tego przyzwyczajać.

Wojciechowski: — partia w żadnym wypadku nie powinna prowadzić działania za pomocą terroru. Wyjątek może stanowić tylko ta akcja rewolucyjna, która zostanie podjęta w celu bezpośredniego wywołania rewolucji.

Perl: — W walce z rządem partia niekiedy musi uciekać się do terroru.

Abramowski: — Wniosek Perla jest zbyt ogólnikowy, Wojciechowskiego zaś zbyt optymistyczny; niepodobna przypuścić, że w ciągu całego okresu przygotowań obejdziemy się bez terroru.

Strożecki: — W ogóle nie przedstawiam sobie okoliczności, kiedy terror może być konieczny.

Grabski: — Terror pociąga za sobą wielkie represalia. Sprowadza reakcję i odstrasza robotników. Przeto może nas tylko osłabić. Tymczasem przed rewolucją walka zaczyna się *en gros*. Wtenczas warto wywołać represalia by jeszcze bardziej rozdrażnić lud.

Mendelson: — Owo straszenie mas jest fikcją, gdyż nie one się boją, ale działacze. U nas nie ma wprawdzie nieudolności mas rosyjskich, ale może jednak być potrzeba terroru, np. w chwili ogólnej apatii.

Abramowski: — Jakież nam korzyści dał terror w ogóle, gdzie i kiedy dał on korzyści?

Limanowski: — Dla odpowiedzi Abramowskiemu trzeba by całej broszury.

Abramowski: — Korzyści terroru są chwilowe, a nam chodzi o korzyści stałe. Nie tylko terror systematyczny, ale nawet jeden fakt terroru wystarcza na to, żeby sprowadzić w ruchu stagnację na długi czas. Nie odrzucamy zupełnie środków gwałtownych, ale jesteśmy za wyeliminowaniem ich z programu.

Tylicki (o terrorze ekonomicznym): — Jestem absolutnie przeciwny, by partia zajmowała się objaniem fabrykantów za złe obchodzenie się z robotnikami. Jest to rzecz, która nie ma nic wspólnego z działalnością polityczną partii, która chce kierować społeczeństwem. Pozostawmy to samym robotnikom.

Strożecki: — Nie odrzucać żadnej drogi legalnej, tylko dlatego że jest legalna.

Nastąpiła seria polemik, replik i kontr-replik; sprawa stosowności terroru oraz dopuszczalności form legalnych w działalności rewolucyjnej wywołała taką burzę, że Limanowski przerwał dyskusję apelem o jedność. Potem w tonie już spokojnym omawiano kwestię sensowności adresowania do władz rozmaitych petycji.

Abramowski: — Petycje są środkiem wychowawczym.

Lorentowicz: — Petycje może są czasem potrzebne, ale nie trzeba stawiać ich jako zasady.

Abramowski: — Petycje są przyzwyczajaniem mas do samoobrony.

Mendelson: — Gdy cel jest rewolucyjny, to i środki stają się takimi.

Lorentowicz: — Tylko petycje, pisane w tonie pokornym, będą wysłuchane.

Abramowski: — Nam idzie nie o skutki petycji, ale o ich wyzyskanie jako środka agitacyjnego.

Zjazd proklamował zjednoczenie ruchu robotniczego w zaborze rosyjskim w Polskiej Partii Socjalistycznej. Na emigracji powołał samodzielny Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich (częścią składową PPS stał się w 1899 roku). Zasadnicze cele sformułowano następująco:

„Polska Partia Socjalistyczna, jako organizacja polityczna polskiej klasy robotniczej, walczącej o swe wyzwolenie z jarzma kapitalizmu, dąży przede wszystkim do obalenia dzisiejszej niewoli politycznej i zdobycia władzy dla proletariatu. W dążeniu tym celem jej jest niepodległa rzeczpospolita demokratyczna”.

W wyborach do Centralizacji ZZPS największą liczbę głosów otrzymali kolejno: Jędrzejowski, Lorentowicz, Abramowski, Perl i Wojciechowski. Centralizacja bardzo szybko jednak została przez policję wyeksmitowana z Paryża; od tej pory działała z Londynu, gdzie założyła drukarnię. Strożecki wrócił organizować PPS w Warszawie. Przybył też do kraju Mendelson, który pojechał do Wilna — i tam zjednał do partii Piłsudskiego.

Tworzenie PPS przebiegało niełatwo. Już w czerwcu 1893 roku nastąpiła podczas „Wianków” wpadka wielu działaczy. Odłączyła się też większość byłych członków Związku Robotników Polskich, którzy nie przyjęli programu PPS, zarzucając jej zdradę sprawy robotniczej, nacjonalizm i „socjalpatriotyzm”. Stworzyli Socjaldemokrację Królestwa Polskiego, która wszelkimi sposobami zaczęła zwalczać PPS.

W następnym roku przysły dalsze porażki. Po aresztowaniu Strożeckiego i prawie całego składu CKR PPS — partia była w rozsypce. Ocalała ją niezmordowana praca Piłsudskiego i Wojciechowskiego, którzy ze słowa drukowanego uczynili główny oręż walki przeciw caratowi i wyzyskowi społecznemu. Technicznie wspierali ich jeszcze Sulkiewicz oraz „Gintra” Paszkowska. Ta czwórka — to przez kilkanaście miesięcy był w praktyce cały

centralny aktyw PPS, zarazem sztab i korpus oficerski. A „żołnierzy” było wtedy najwyżej parę setek... Jednakże popularność *Robotnika* oraz atrakcyjność idei niepodległościowej spowodowały bardzo szybki przyrost liczby członków i sympatyków PPS, która przewyciężyła wahania w kwestii zasadniczej dla Polaków — odbudowy Polski — i pozostała tej idei wierna, choć nie omijały jej działania frakcyjne i secesje grup, które program niepodległościowy zarzucały.

Poszczególne epizody z okresu ząbkowania i rozrostu PPS są już Czytelnikom znane z pierwszej części tej książki. Szerszego określenia wymaga natomiast — tak do dziś sporna — rola Piłsudskiego, jako faktycznego przez wiele lat kierownika PPS i jako przywódcy szerokiego obozu niepodległościowego.

Pod adresem Józefa Piłsudskiego użyto wszystkich superlatywów, jakie zdolni są wymyślić panegiryci, ale też najplugawszych obelg i epitetów paszkwilanckich. Furia endecka przewyższała nawet komunistyczną. Legendzie jego nie zaszkodziła.

Ta legenda kiełkowała już w ostatnich latach XIX wieku; wtedy miała w sobie posmak mitu Robin Hooda. „Jazdy konspiracyjne po Rosji, wieczne pseudonimy i fałszywe dowody osobiste, sztuka nawlekania na siebie jakiejś innej, obcej postaci, czyniły go w morzu ludzkim straszliwie samotnym człowiekiem, zdanym na swój spryt, na swoją własną zdolność” — pisał Ignacy Daszyński, obok Piłsudskiego najwybitniejszy z przywódców socjalistycznych, w książce pod tytułem „Wielki człowiek w Polsce”. Świadectwo to tym cenniejsze, że Daszyński nie był bezkrytycznym wielbicielem Komendanta. Przed pierwszą wojną mawiał o nim, że jest maniakiem co bawi się szabelką i żołnierzami, po zamachu majowym bronił przed nim praw i majestatu Sejmu.

Odstąpimy tu od chronologii. Parę zdań o kontr-legendzie.

Po zwycięstwie nad bolszewikami marszałek Sejmu Wojciech Trąpczyński i hr. Adam Zamoyski — luminarze prawicy — zgromadzili na podwórzu Pałacu Krasińskich kilka tuzinów arystokratycznych pań, które klęcząc na bruku witały triumfatora... generała Weyganda. Jemu oddawano hołd zbawcy Polski, chociaż (co sam przyznawał) jego plan wojenny zasadniczo różnił się od planu Piłsudskiego. W tym samym czasie na zgromadzeniu chrześcijańskiej demokracji w Warszawie jakiś ksiądz-kanonik nazywał Piłsudskiego „podłym tchórzem i zdrajcą”.

Oficjalni historycy PRL, odkąd zorientowali się, że tępe epitety, jakich początkowo używali przeciwnicy Piłsudskiemu, dają skutek odwrotny od zamierzonego — jęli się subtelniejszych metod. Najświetniejszym ich przykładem jest twórczość Andrzeja

Garlickiego. Nie używając impertynencji, tworząc pozory obiektywizmu i wyważonych ocen politycznych, Garlicki z talentem próbuje zburzyć legendę; dyskretnie lecz konsekwentnie pomniejsza zasługi Piłsudskiego i eksponuje jego wady, od których nie był wolny. Pomijając drobniejsze zafałszowania i przemilczenia, łatwo zauważalne nawet dla nieprofesjonalisty, Garlicki tak przedstawia działalność Piłsudskiego, jakby była ona długim ciągiem niespełnień, porażek, załamań psychicznych, nieudanych kompromisów (co w pewnej mierze odpowiada prawdzie) pomijając jednak fakt fundamentalny: mimo tych meandrów, tych klęsk, tych pomyłek, Piłsudski wygrał to, do czego zmierzał z niezłomnym uporem — niepodległą Polskę. Był przywódcą obozu niepodległościowego i przeprowadził go — koniec końców pomyślnie — przez niezliczone rafy, jakie się jeżyły na tym kursie.

Legenda Piłsudskiego, wbrew pomniejszycielom, jest dziś jak rozrośnięty dąb. Nie zanosi się na to, by zagrażało jej spróchnienie. Jest to legenda nie tylko zasłużona, jest też stale pożyteczna. Ona nadal współtworzy etos Polaków, inspirując rogate dusze, bez których naród stałby się miazgą. „Rogatość” była najbardziej znamiennej cechą osobowości Piłsudskiego, pod tym względem żaden Polak — nawet Kościuszko w swej wystylizowanej postaci — mu nie dorównywał.

Inna sprawa, że tymiz rogami obalił w 1926 roku cherlawą i niespójną konstrukcję polskiej demokracji. Nie będziemy rozpatrywać (wykracza to poza zakres książki), czy istniała wtedy szansa lepszego wyjścia z politycznego impasu; byłby to zresztą dyskurs spekulatywny. Ale nawet potępiając przewrót majowy i jego fatalne (także dla obronności kraju) konsekwencje, warto zauważyć, że nie doszło w Polsce do przekształcenia autorytarnej dyktatury w dyktaturę faszystowską, co nastąpiło wówczas w wielu krajach Europy; a istniały siły społeczne, które do faszyzmu parły.

Wiele o Piłsudskim napisano książek. Rozpatrywano jego życie i dzieło ze wszystkich punktów widzenia. Przydałaby się jeszcze jedna: uczciwa. Takiej nie ma. Mógłby ją napisać tylko ktoś bardzo mądry, rozumiejący zarówno polityczne i społeczne uwarunkowania oraz psychikę epoki, w której działał Piłsudski, jak i tę okoliczność, że naród polski ocalił swój wolnościowy etos, swą tożsamość, wyłącznie dzięki dwudziestoletniemu okresowi istnienia niepodległego państwa — pomiędzy czasami rozbiorowej niewoli a czasami „ograniczonej suwerenności”.

Nie ma co liczyć na historyków-profesjonalistów, choć nie wolno rzecz jasna pomijać ich szczegółowych ustaleń. Ich rzekomy „naukowy obiektywizm” jest fikcją. Na to nie ma rady, historia

bowiem jest nauką ideologiczną nawet wtedy, gdy opiera się wyłącznie na niezbitych faktach. Z oceanu dziejowych zdarzeń można skrupulatnie i rzetelnie wybrać takie, które „obiektywnie” podbudowują założoną przez historyka fałszywą tezę lub wykoncypowane przez ideologów „prawa historii”. Te prawa zaś należą nie do sfery nauki, ale do sfery mitów.

Autor tej oczekiwanej, nienapisanej książki musiałby być zarazem wielkim historykiem, świetnym pisarzem, wnikliwym psychologiem i Polakiem wolnym od szowinistycznych bądź kosmopolitycznych skażeń. A książka musiałaby mówić nie tylko o tym, jaki był Piłsudski, ale i o tym, jak go widzieli ci, co za nim szli do wyzwoleńczej walki.

Póki książka taka nie została napisana, trzeba prostować przynajmniej niektóre fałsze, głoszone przez urzędową propagandę i historiografię, a także mity, powielane w „drugim obiegu”.

Piłsudskiego grzech pierworodny miał być taki: nigdy nie był socjalistą, PPS użytkował tylko dla osiągnięcia swego celu nadrzędnego — wolnej Polski (a potem „wysiadł na przystanku Niepodległość”).

W takim oskarżeniu od razu zawarte jest rozgrzeszenie; czyżby bowiem dążenie do niepodległości stanowiło prywatną obsesję Piłsudskiego, niezgodną z aspiracjami Polaków? Jeśli za wartość nadrzędną uważa się wolny byt narodu, który tylko w państwie niezawisłym i demokratycznym może swobodnie stanowić o swym ustroju społecznym, to należy odpowiedzieć po prostu: chwala Piłsudskiemu, że skutecznie użytkował partię, by osiągnąć cel najważniejszy dla narodu. Ale ponadto on tę partię użytkował zgodnie z jej wolą, wyrażoną w programie! PPS powstała przecież z założenia, że sprawa niepodległości ma priorytet przed wszystkimi innymi i pogląd ten podzielała przytłaczająca większość jej działaczy wszystkich szczebli.

PPS dążyła też do szerokiego programu reform społecznych, zgodnych z interesem robotników, i program ten w wolnej Polsce w dużym stopniu zrealizowała, zwłaszcza w okresie, gdy Naczelnikiem Państwa był Piłsudski. Pozostają zatem dwa pytania mniejszej wagi: czy Piłsudski osobiście podzielał socjalistyczne przekonania w jakimkolwiek z ich wariantów? Czy przewodząc partii, lojalnie realizował całość jej programu?

Kwestia pierwsza jest nie do rozstrzygnięcia. Teksty Piłsudskiego i opinie współczesnych mu polityków pozwalają domniemywać, że teoria marksistowska była mu obojętna, nawet jej nie poznał dokładnie, natomiast akceptował niektóre ideały socjalistyczne, zwłaszcza ze sfery imponderabiliów. Dlatego pogląd

krakowskich konserwatystów (przywołany przez Garlickiego), że jego socjalizm był „więcej teoretyczny” — nie miał sensu; teoretyczny nie był na pewno. Piłsudski nie kierował się trwale żadną teorią, doktryną, ideologią, oprócz niepodległościowej. Nie istnieje też probierz, który pozwala określić, jakie niezbędne kwantum nauk Marksa trzeba wyznawać, aby mianować się socjalistą, skoro można nim być nawet całkowicie marksizm odrzucając.

Odpowiedź na drugie pytanie wymaga przypomnienia kilku okoliczności historycznych.

Primo: Piłsudski nie brał udziału ani w zawiązywaniu PPS, ani w pracach nad jej programem. Można się spierać, czy był to program „dostatecznie socjalistyczny”, ale tak został określony i taki właśnie odpowiadał Polakom, skoro PPS zdobyła poparcie znacznie nawet szersze, niż jej baza członkowska.

Secundo: przystąpiwszy do PPS, Piłsudski — zrazu na bocznym torze wileńskim — ściśle wykonywał dyrektywy centrali paryskiej oraz faktycznego kierownika PPS w kraju — Jana Stroczeńskiego. O żadnej samodzielności Piłsudskiego w tym krótkim okresie początkowym nie było mowy.

Tertio: po aresztowaniu CKR PPS, kiedy Piłsudskiemu przypadło jednoosobowe kierowanie partią, wiernie przestrzegał ustalonej linii politycznej. Akcentował w *Robotniku* także społeczne cele klasy robotniczej, chociaż nie pasjonowały go osobiście i być może traktował je instrumentalnie. Tak czy inaczej, właśnie w okresie faktycznego jedynowładztwa Piłsudskiego, u schyłku XIX wieku, PPS rozrosła się organizacyjnie i liczebnie, stała się główną siłą ruchu robotniczego i niepodległościowego. Właściwie j e d y n ą siłą, bo SDKPiL w tym okresie nie istniała, zaś obóz narodowy odbywał właśnie ewolucję ku lojalizmowi.

Quarto: podział PPS w 1906 roku istotnie wywołany był poczynaniami Piłsudskiego, jego frakcyjną niesubordynacją. Z tym jednak, że właśnie jego mniejszościowa w danym momencie Frakcja Rewolucyjna („Starzy”) była kontynuatorką oryginalnej koncepcji PPS, co uznały partie socjalistyczne zaborów austriackiego i pruskiego. Więc nie tyle Piłsudski „zdradził socjalizm”, co przejściowa większość partii („Młodzi”), pod wrażeniem kryzysu ruchu rewolucyjnego, odstąpiła od doktryny niepodległościowej. Utraciwszy swą ideową tożsamość, PPS-Lewica podlegała dalszym secesjom — bo wielu jej działaczy powracało do nurtu niepodległościowego, wreszcie bez śladu roztopiła się w antyniepodległościowej KPRP.

Quinto: Piłsudski na początku Wielkiej Wojny nie dlatego wystąpił z PPS, że zraził się do jej programu, lecz dlatego, że

pozycja przywódcy ponadpartyjnego była dłań — i całego obozu niepodległościowego — znacznie dogodniejsza w przełomowym stadium walki o Polskę wolną i zjednoczoną. Mogły się z nim identyfikować inne stronnictwa postępowe, mógł też łatwiej zabiegać o ułożenie *modus vivendi* z potężnym blokiem narodowym, którego pominięcie w projektach niepodległej Polski było absolutnie niemożliwe. PPS była partią najaktywniejszą, lecz szerokością zaplecza nie mogła się równać z obozem Dmowskiego. Pozostając na czele PPS Piłsudski (i tak prezentowany jako „bol-szewik”!) nie miałby szansy odegrania kluczowej roli po odrodzeniu Rzeczypospolitej, więc PPS — w Sejmie Ustawodawczym wąta — nie miałaby możliwości przeprowadzenia społecznych reform, które były w jej program wpisane. Rozejście się Piłsudskiego z PPS było zatem bardzo korzystne dla obu stron: przede wszystkim było korzystne dla Polski i dla demokracji w Polsce.

Można się jedynie zastanawiać, czy postępowe reformy, dokonane w pierwszych latach Rzeczypospolitej, były j e s z c z e po myśli Piłsudskiego, czy już wbrew jego intencjom. Druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna. Bezdyskusyjne jest natomiast, że optyka Piłsudskiego — Naczelnika Państwa musiała być inna, niż optyka Piłsudskiego — rewolucjonisty. Po ćwierćwieczu burzenia zaborczej przemocy należało teraz konstruować fundamenty porządku państwowego, w warunkach określonych istnieniem potężnej opozycji bloku prawicowego i wcale niebagatelnej opozycji komunistów, którym na rękę była rozogniona atmosfera polityczna. Wydaje się, że zakres podjętych reform był w okresie pełnej władzy Piłsudskiego optymalny — i nie ma istotnego znaczenia, czy on osobiście był rad z tych reform. Więcej socjalizmu — oznaczałoby wtedy nieuchronny bunt prawicy; mniej socjalizmu — rewoltę skrajnej lewicy. Piłsudski przystał na wariant realistycznie postępowy.

Brak całościowej doktryny politycznej, lekceważenie pryncypiów ideologicznych — to następne zarzuty stawiane Piłsudskiemu. Miał on zasadnicze braki w edukacji (głoszą adwersarze), intelektem nie imponował, był lichym mówcą, stronił od ludzi o wybitnej umysłowości...

Są to opinie debilne. Konsekwencja Piłsudskiego polegała właśnie na tym, że nie trzymał się kurczowo żadnej „konsekwentnej” doktryny. Pod tym względem był podobny do Lenina, który równoległe budował państwo sowieckie i też dostosowywał hasła do wymogów chwili. Piłsudski był politykiem, który elastycznie i trafnie zmieniał środki prowadzące do obranego celu. Umiał wyczuwać fluktuacje nastrojów społecznych i koniunktur między-

narodowych. Bywało, że się mylił; wtedy potrafił szybko naprawić błędy, bo nie przywiązywał się do metod, które zawiodły. Bez skrupułów porzucił koncepcję legionową, której zawdzięczał wodzowską aureolę, gdy tylko zmiana sytuacji politycznej przekonała go, że Legiony po części nie wypełniły swej misji powstańczego zapłonu, po części już osiągnęły efekt demonstracyjny — i zaczynają być zawadą w dalszych planach. Po tej zmianie frontu najbliżsi ludzie, „piłsudczycy”, popadli w rozpacz i panikę, nie pojmując dalekowzroczonej gry Komendanta — dystansowania się od mocarstw centralnych, gdy już, dzięki współdziałaniu z nimi, przebył wstępny etap drogi do Niepodległości i stworzył załążek własnej siły zbrojnej.

Kolejny zarzut — że był wojskowym dyletantem — jest uzasadniony. Był samoukiem wojskowości; co prawda pilnym i pojętnym, ale bez sztabowej wiedzy i rutyny. Pewnie dlatego nie znosił sztabów, mózgu armii. Te wady w pełni ujawniły się w czasach późniejszych, po 1926 roku, kiedy Piłsudski dokonał masowych, fatalnych czystek w korpusie oficerskim oraz doprowadził do chaosu w organizacji armii i do jej technicznego zacofania. Nie ufał broniom nowoczesnym, lekceważył lotnictwo i mechanizację, saperów, nawet artylerię. Studiując bilans strat w wojnie rosyjsko-japońskiej doszedł do przekonania, że ogień armatni jest mało skuteczny i nie zmodyfikował tego poglądu po doświadczeniach Wielkiej Wojny. Kawalerię początkowo ignorował, przez co omal nie doznał klęski w kampanii 1920 roku, gdy konne korpusy Budionnego i Gaja bezkarnie buszowały za rozrzedzonym frontem. Nauka zaowocowała najfatalniej, albowiem przeniósł ją Piłsudski na plany przyszłej wojny i rozbudował kosztowną kawalerię — gdy już definitywnie odchodziła na karty historii. Poważna lecz spóźniona modernizacja wojska polskiego nastąpiła dopiero za Rydza-Śmigłego, który nie był mocarzem myśli ani charakteru, ale na wojsku znał się niezłe.

A przy tym okazał Piłsudski talent w dowodzeniu I Brygadą, która biła się świetnie. Mistrzowsko umiał budować morale żołnierzy. W czasie wojny z Rosją nie zawiódł jako głównodowodzący, potrafił osiągnąć znaczną przewagę masy i ognia w decydującej bitwie — czyli zrealizował podstawowy kanon sztuki wojennej.

Częstym było zjawiskiem w dziejach, że cywile mieli lepsze pomysły strategiczne, aniżeli generałowie. Dopóki technika wojenna była mało skomplikowana, wystarczyło znać kilkanaście schematów operacyjnych, praktykowanych od wieków, by skutecznie osiągać cele wojny, pod warunkiem, że rutynowani szta-

bowcy organizowali logistyczne zaplecze — co przekraczało możliwości dyletanta. W pierwszej wojnie Clemenceau, w drugiej Churchill, Stalin, także Hitler mieli nieraz lepsze wyczucie sytuacji strategicznej, niż ich wspaniali marszałkowie. Piłsudski, marszałek-amator, nie był od nich gorszy w swej zwycięskiej wojnie.

Wiele krytyk pod adresem Piłsudskiego było uzasadnionych. Także tych, które dotyczyły jego cech charakterologicznych. Był opryskliwy, nawet ordynarny (choć według przyjaciół nie cierpiał trywialności). Był autokratą; ludzi traktował podejrzliwie, rozluźniał się tylko wśród najbliższych. Miał okresy chimerycznych fantasmagorii i głębokich depresji, kiedy zamiast działać — stawał pasjans (co nie jest jednak gorsze, niż „zalewanie robaka”). Nie cierpiał obok siebie ludzi wybitnych, faworyzował miernoty, nie tolerował sprzeciwów, pomijał swymi przeciwnikami i zwolennikami (większość mężów stanu odznaczała się podobnymi przywarami). Na każdy z zarzutów można by dać sporo pikantnych przykładów. Ale wszystko to nie ma związku z oceną roli, jaką odegrał Piłsudski. Jego rodacy doskonale to wyczuwają, skoro do dziś we wszystkich ankietach i plebiscytach Piłsudski jest uznawany za najwybitniejszego Polaka XX wieku.

Można uważać (jak autor tych słów), że u schyłku życia Piłsudski zaprzepścił wielką część glorii, na jaką wcześniej zasłużył, lecz należy oddać cesarzowi co cesarskie. Również za jego pracę dla PPS.

Działalność Piłsudskiego jako przywódcy PPS trzeba podzielić na trzy etapy.

W pierwszym — do wpadki w 1900 roku w łódzkiej drukarni — Piłsudski (mityczny „towarzysz Wiktor”) skupiał cały w praktyce zarząd partii. Redagowany przezeń *Robotnik* był bezkonkurencyjnym narzędziem budowania partii ludzi podziemnych. PPS nie tylko rozwijała się organizacyjnie, ale zdobywała coraz szersze wpływy na bezpartyjnych, etos kapitulacji przeobrażała w etos walki.

W okresie drugim — do rewolucji — Piłsudski (teraz „Ziuk”) przebywa poza Kongresówką, chociaż często nielegalnie przekracza kordon. Jego rola przywódcza słabnie — krzepną natomiast związki z galicyjską PPSD Daszyńskiego. W tym czasie społeczeństwo w zaborze rosyjskim ocknęło się już z letargicznego snu, co spowodowało wzrost zarówno PPS, jak i partii z nią rywalizujących. Poprzednio — pisał Leon Wasilewski — PPS „... wysuwała się była pod każdym względem na czoło wszystkich istniejących podówczas w całym państwie rosyjskim grup antyrząd-

wych". Obecnie sytuacja się zmieniła. „Odrodził się ruch rosyjski, płynący dwoma wartkami strumieniami — partii socjalistów-rewolucjonistów i socjalnej demokracji. Żydowski Bund rozwijał gorączkową działalność, konkurując swą techniką z PPS. Odrodziła się znów po latach nieistnienia Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, zwalczająca z całym fanatyzmem ideę niepodległości Polski. Na poszczególnych kresach Rosji budziły się narodowo-socjalistyczne ruchy rewolucyjne. Narodowa Demokracja — wówczas jeszcze antyrosyjska — uzyskiwała coraz szerszy wpływ na społeczeństwo polskie we wszystkich trzech zaborach. Wobec tego wszystkiego Ziuk poszukiwał dla Partii nowych dróg rozwoju, które by jej zapewniły powodzenie w walce konkurencyjnej i pozwoliły zachować stanowisko przewodnie w ruchu antyrosyjskim w Polsce”.

Okres trzeci, od rewolucji do Wielkiej Wojny: Piłsudski-socjalista przeobraża się w Piłsudskiego-komendanta, skupia się na przygotowaniach wojskowych. Jego ówczesny stan ducha ilustruje list-testament, jaki napisał w przededniu akcji bojowej pod Bezdanami:

„Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to u b l i ż a — słyszysz! — ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą... Chcę zwyciężyć, a bez walki, i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, a wprost bydłem, okładanym kijem czy nahajką. Rozumiesz mnie chyba. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa”.

Świt wieku XX zbiega się z wyraźną już i wielokierunkową aktywizacją Polaków. Parę lat temu w społecznym klimacie dominowała wciąż lękliwość i martwota, a grupki socjalistów traktowano jako nieszkodliwych maniaków, nie przejmowano się nimi w poważnych kręgach mieszczańskich. To był ledwie folklor polityczny. Parę lat — i jaka zmiana! O skutkach działań PPS i innych spiskujących partii doskonale zaświadcza korespondencja, jaką w latach 1900-1905 wymieniali między sobą rosyjscy gubernatorzy i policmajstrzy:

Rozwieszano transparenty pierwszomajowe — W Łodzi rozpowszechniano nielegalne wydawnictwa PPS — Rewizja domowa u Lucjana Rudnickiego — Decyzja o budowie nowego więzienia dla politycznych w guberni piotrkowskiej — Chłop Józef Małejko złorzeczył carowi za wzięcie syna do wojska — List gończy za Feliksem Dzierżyńskim — Rozrzucanie ulotek treści rewolucyjnej w teatrze łódzkim — Na peronie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej demonstracja na cześć wydalonej do Austrii Stefanii

Sempołowskiej — U Szajblera robotnice wygoniły i spoliczkowały majstra — Wykrycie drukarni PPS-Proletariat — Wysłanie batalionu piechoty do Ostrowca w celu stłumienia zaburzeń w hucie — Odezwa ZMS przeciw pogromom Żydów — Zamazanie rosyjskich szyldów sklepowych w Grajewie — Głodówka więźniów politycznych w warszawskim więzieniu śledczym — W Siedlcach znaleziono ulotki ZMS wzywające do walki o obalenie caratu — W parafii Borkowo śpiewano pieśni religijne na nutę „Boże coś Polskę” — Niechęć chłopów do szkół rosyjskich i uchylanie się od szarwarków — Skazanie 3 osób za przemycanie wydawnictw rewolucyjnych z zagranicy — Nienawiść ludności Włocławka do władz carskich — Demonstracja studentów warszawskich przeciw prof. Nikolskiemu za to, że przemawiał nad grobem Apuchtina w imieniu całego uniwersytetu — Znaleziono odezwę, wzywającą rekrutów, by nie podnosili broni przeciwko własnemu ludowi — Zgoda generał-gubernatora na użycie wojska dla przeprowadzenia egzekucji opłat szkolnych — Odezwy kolportowane w rocznicę stracenia proletariaczyków — Spoliczkowanie ucznia Piotrowskiego przez nauczyciela Świecimskiego za antycarską wypowiedź — Opór chłopów lubartowskich przeciwko obowiązkowi utrzymania szkół sposobem społecznym — Wybicie szyb w mieszkaniach fundatorów pociągu sanitarnego dla frontu, kniazia Świętopełka-Czetwertyńskiego, barona Kronenberga, Ludwika Górskiego — O napadach bezrobotnych na sklepy spożywcze i furgony z chlebem — Wysłanie wojska do Łodzi, Pabianic i Zgierza w związku z 1 Maja — 3 Maja zatrzymano 47 studentów UW i 30 Politechniki — O ewentualnym wstrzymaniu rozpowszechniania portretów cara ze względu na nastroje robotnicze — Polskie napisy na słupach przydrożnych w powiecie janowskim — Walki strajkujących murarzy z łamistrstkami — Napady chłopów na straż leśną i policjantów w okolicach Spały — Represje wobec studentów za udział w demonstracji ulicznej — *Robotnik* o torturach więźniów politycznych.

W planie politycznym ważny jest fakt, że ruch robotniczy przestał być domeną wyłącznych wpływów PPS. SDKPiL wyrasta na znaczącą rywalkę, Kulczycki tworzy III Proletariat, zaś endecja rozwija swój Narodowy Związek Robotniczy.

O wzajemnym stosunku dwóch partii, pretendujących do przewodnictwa w ruchu socjalistycznym, tak pisał Kelles-Krauz w podsumowaniu pracy „Niepodległość Polski a materialistyczne pojmowanie dziejów”, polemizując z wywodami Róży Luksemburg:

„...absolutnie nie można mówić o Polskiej Partii Socjalis-

tycznej i o socjalnej demokracji jako o dwóch równoznacznych czy tam równoległych prądach ideowych w socjalizmie polskim, a już tym bardziej jako o rewizjonistach i marksistach. Polska Partia Socjalistyczna jest na wskroś marksistyczna, na wskroś socjalno-demokratyczna, a do tzw. 'socjalnej demokracji' znajduje się po prostu w takim stosunku, w jakim wyższa faza rozwoju świadomości znajduje się do niższej, która się niestety czasami uwiecznia”.

Oj, uwieczniła się...

Tak się zbierało na burzę. Takie były symptomy wzrostu napięcia, które w 1905 roku doprowadziło — do czego właściwie? Do pierwszej rewolucji czy czwartego powstania, jak to ujęli profesorowie Tych i Kalabiński w znanej książce?

Mniejsza o spory definicyjne. Wydarzenia lat 1905-1907 były spiętrzeniem spazmatycznych demonstracji i zaburzeń ulicznych, strajków robotniczych i uczniowskich, chłopskich ruchawek, zamachów terrorystycznych, egzekucji, walk partyjnych bojówek z policją i między sobą, napadów na banki i pociągi, zamachów bombowych, aktów heroicznych i dintojry bandyckiej. Obok frontu walki polsko-rosyjskiej były poboczne fronty wewnątrz polskiego społeczeństwa, a nawet w obrębie ruchu rewolucyjnego. Wątek walk klasowych zaćmił nurt buntu narodowego. Dekompozycji uległy dotychczasowe ugrupowania polityczne, pojawiły się nowe siły i prądy. Ukształtowane wtedy podziały przeniosły się na Dwudziestolecie i jeszcze dziś są zauważalne.

PPS weszła w rewolucję jako główna siła polskiego oporu. Jeszcze przed jej gorącą fazą, w lutym 1904, ogłosiła odezwę:

„Trzeba pokazać naszym ciemieżcom, że robotnik nie jest już niewolnikiem, bo nie chce być niewolnikiem! Jak najcenniejszego skarbu, jak najdroższego klejnotu, brońmy tego, co jest oznaką człowieczeństwa: wolności i godności osobistej!... Na straży naszych praw powinny stać: głębokie poczucie swej wartości i godności osobistej i gorące przejęcie się zasadą solidarności... Musimy tępić wszystkie te chwasty, co zanieczyszczają nam pole. Nie brak wśród robotników jednostek, które hańbę im przynoszą i postępowaniem swoim uwłaczają godności robotniczej. Zausznicy majsterscy, szpicle rządowi i donosiciele fabryczni to wrzód na ciele proletariatu, jak parszywe owce w stadzie. Od takich nędzników należy się odgradzić jak od zapowietrzonych”.

Uwerturą rewolucji była demonstracja antycarska na placu Grzybowskim, 13 listopada 1904 roku. Zgromadzony przed kościołem Wszystkich Świętych wielotysięczny tłum, zorganizowany przez Józefa Kwiatka, sekretarza Komitetu Warszawskiego PPS

— został zaatakowany w momencie, gdy chorąży Zdun podniósł sztandar z napisem: „Niech żyje wolny lud polski” — przyniesiony pod bluzką przez siostrę Stefana Okrzei. Na szarżujące oddziały dragonów i żandarmów sygnął się spod kościoła grad kul z sześćdziesięciu rewolwerów bojówki PPS — po raz pierwszy od Powstania Styczniowego. Padło 11 demonstrantów, wielu odniosło rany. Rosjanie stracili 3 zabitych i 4 rannych. Chroniąca pochód bojówka wraz ze sztandarem zdołała się wycofać. Zamkniętych w kościele ludzi policmajster Nolken wywabił słowem honoru, że nikt nie będzie bity — po czym dwustu ludzi skatowano kolbami i kopniakami.

Róża Luksemburg i Jogiches-Tyszka, w imieniu SDKPiL, bezwzględnie potępiła „awanturnictwo rewolucyjne” PPS, zaś Liga Narodowa wezwała ludność, aby na przyszłość, w podobnych przypadkach... uciekała się pod obronę policji.

Stanisław Witkiewicz do syna: „Najtragiczniejszy jest los robotników i ludu. Ich postrzelają, pomordują — a nawet po zwycięskiej rewolucji konstytucyjnej im się dostanie zaledwie los proletariatu w kapitalistycznych europejskich społeczeństwach”.

Nastąpiły masowe aresztowania. Ale siedzenie nie robiło już wrażenia, zwłaszcza, że „żywności, palenia, książek, gazet mieliśmy ile kto chciał” — jak wyznał Władysław Nowicki. Każdy więzień otrzymywał z fabryki 3 ruble na tydzień, bo fabrykanci bali się zemsty. Tylko czasem wpadali do cel kozacy z nabajkami, stłukli, wrzucili do ciemnicy za śpiewanie nieprawomyślnych pieśni.

Iza Moszczeńska: „Dziś ofiary nie pobudzają do żalu, lecz do wściekłości. Lud nie jest już 'biednym, uciśnionym ludem', ale jest strasznym, groźnym, potężnym. Pisze wyroki śmierci i wykonuje je. Nie lęka się, nie ukrywa z lękiem pod ziemią, lecz straszy i gniew swój na ulicę wynosi i sieje zemstę... Pierwszy raz lud występuje jako naród i dla narodu prawa wywalcza”.

2 lutego 1905 roku wojsko ukryte między budynkami huty „Katarzyna” w Sosnowcu oddaje salwy do tłumu, idącego wygaszczyć piece. Podobno użyto kul dum-dum, gdyż większość rannych zmarła. Kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych. W odwet zabito dyrektora huty, Skawińskiego.

Bolesław Prus: „Gdyby to zależało ode mnie, głosowałbym przeciwko jakimkolwiek nieporządkom u nas, z obawy, ażeby nasze niepokoje nie skłoniły rządu do ogłoszenia wojny świętej przeciw polskim buntownikom, wojny, która cały naród mogłaby zjednoczyć z biurokracją przeciw nam, zakończyć się reakcją dla Rosji, a dla nas... chyba wytepieniem”.

Dzierżyński próbuje poruszyć do buntu kozary w Puławach, ale bunt nie wybucha. Zaczyna się jedynie ruchawka we wsiach Kurów, Wąwolnica, Końska Wola — chłopskie bandy łązą po lasach, nie atakując ani żandarmów, ani folwarków. W esdecji bezhołowie. Róża Luksemburg w tej kwestii głosu nie zabiera.

W Łodzi szewc Józef Szurgot z OB PPS zabija komisarza Szatałowicza, znanego z bestialstw, i sam ginie od cięcia szablą.

1 Maja. Wielka demonstracja socjaldemokratów na rogu Jerolimskich i Żelaznej. Ktoś z tłumu (prowokator?) strzela do ukrytych za płotem żołnierzy pułku Litewskiego. Pada kilka salw, dużo trupów od kul i od stratowania w ucieczce. Pogrzebano je skrycie, liczba nieznaną. Odwet bojówki PPS natychmiastowy — potężna bomba rozrywa się w zwartym oddziale kozaków. Jan Jaworski z esdecji: „Dowiedzieliśmy się, że zgraja łobuzersko-endecka podniosła głowę, zaczęła otwierać pozamykane sklepy... Srodze się oszukali. Natychmiast kropnęliśmy czterech, a sklepy pozamykano”.

Także w Łodzi pierwsze bratobójstwo. Ignacy Orłowski, esdek, zastrzelił w szynku Jana Bezingera z Narodowego Związku Robotniczego. NZR-owcy zemścili się i otworzył się łańcuch vendetty. „Codziennie mieliśmy zabójstwa policjantów, bądź majstrów lub dyrektorów, zdarzały się też osobiste porachunki” — stwierdził „Książę” (Władysław Nowicki) z SDKPiL, potem członek WKP(b). Obecni historycy utrzymują, że endecja zza węgła strzelała do robotników, a głównie do esdeków. W istocie strzały oddawano z obu stron, zaczęli esdecy, a na liście ofiar najwięcej było PPS-owców. U Poznańskiego stoczono bitwę. Po jednej stronie stawu stali esdecy, pepesowcy i Żydzi z Bundu — po drugiej bojowcy NZR i chadecji, waląc do siebie z rewolwerów.

Majstrów i dyrektorów lubiano także wywozić na taczkach.

Chaos był wszędzie, lecz w Łodzi — rekordowy. Działy tam w ruchu rewolucyjnym albo kontrrewolucyjnym następujące partie: SDKPiL, PPS-Fracja, PPS-Lewica, PPS-Proletariat, Bund, NZR, Związek Patriotów Polskich, Chrześcijańska Demokracja, socjal-syjniści, PPR (?), Poalej-syjniści, Niemiecka Partia Chrześcijańska, socjaliści-maksymaliści (anarchiści), Hajntowcy (syjniści), anarchiści-komuniści, anarchiści-bakuninowcy oraz „Zmowa Robotnicza”. Strzelali się wszyscy ze wszystkimi, zależnie od sytuacji i nastroju, chociaż „na zewnątrz” istniał chwiejny alians SDKPiL, Bundu, PPS-Lewicy i Proletariatu.

Z artykułu redakcyjnego w *Kraju* z 8 grudnia 1905 roku:

„... zbliża się chwila panowania nierządu powszechnego, i nie

ma, niestety, wskazówek, które by pozwoliły tuszyć, że z tego bezładu i rozstroju wolność wyjdzie zwycięska”.

Gwałtownie radykalizowały się nastroje w Zagłębiu Dąbrowskim. Było tam przed rewolucją zaledwie 36 członków SDKPiL, a zwolenników PPS — tysiące. W trakcie walk proporcja się zmieniła, na przykład do esdecji przystąpili wszyscy członkowie PPS z fabryki „Milowice”. Zasypał ich przed policją tokarz-zdrajca Wiałt. Zabito go.

Zaraz po carskim manifeście konstytucyjnym, w październiku, na placu Teatralnym zebrała się demonstracja pod hasłem uwolnienia politycznych. Kozacy, dragoni i piechota otoczyli plac — użyto bagnatów i szabel, ludzie w ucieczce wskakiwali do sklepów przez witryny.

Władysław Reymont: „Tylko szaleńcom udają się rzeczy zgoła niewykonalne. Więc oszalejemy — i niech się stanie dzień wyśleskiony”.

Z okazji wyborów do I Dumy odbył się czterotysięczny wiec w Filharmonii, na którym Dmowski określił cel programowy Narodowej Demokracji: autonomia Królestwa w ramach Imperium. Były też wielkie wiece w Łodzi, lecz w Kaliszu — zabroniono ich. Władze rozpowszechniły pogłoskę, że grozi zbrojna interwencja sąsiadów.

Łódzcy fabrykanci szli na wszelkie kompromisy, regularnie płacili strajkującym. Była radość, tańce w halach fabrycznych. W jednej z nich tańczyły wychowawice fabrykanta, majstry i administracja.

Jan W. Dawid: „Prawo swoje zdobywać trzeba piędź po piędź: zdobytą bronić i obierać ją za podstawę do dalszego naporu. A kres dla proletariatu jeszcze daleki”.

Ludwik Śledziński z Organizacji Techniczno-Bojowej PPS zdobywa w Wysokiem Mazowieckim kasę powiatową, zgarnia 480 tysięcy rubli.

Podobnych „eksów” — ekspropriacji — było tylko w 1906 roku 561, zaś zamachów na przedstawicieli władzy — 678; mniej więcej trzy czwarte tych akcji przeprowadziła OB PPS.

Bojówka Józefa Zimnickiego, pod kontrolą ZG SDKPiL, wtargnęła do „biura pogromowego” na Tamce. „Kropimy jak świnie w szlachtuzie, po kolei” — odnotował uczestnik akcji. W Łodzi, jak ktoś nie chciał strajkować, przymuszano go rewolwerem. Na każdy strajk uruchamiano syreny, żeby dodawały ducha.

Do Zagłębia zjechała misja Franciszkanów, by głosić „kontrrewolucyjną i religijną demagogię”; niestety (relacjonują esdecy)

zbierały się tysięczne tłumy. Natomiast kler miejscowy był „zdyscyplinowany”, bo mu grożono.

Na Marszałkowskiej Boruch Szulman zabił bombą komisarza VIII cyrkułu, sławnego z sadyzmu Konstantinowa. Sam zginął też. Na Elektoralnej dzieci bawiły się czerwonym sztandarem z bibułki. Koło koszarów żandarmerii otworzono do nich ogień, kilkoro zabito.

Jan Jaworski, esdek, kropnął z tyłu w łeb rewirowego („Tak zdałem egzamin na bojowca”) i poszedł z bojówką na Stare Miasto, gdzie mieszkało trzech szpików. Dwóch zastrzelono od razu, jeden chciał się schować pod łóżko. „Tak kusząco sterczała mu pewna część ciała, że kropnąłem dwa razy w wystające pośladki, aż się skurczył i zawierzgał nogami”.

Adolfa Welka, dyrektora gazowni na Czystem, za znęcanie się nad robotnikami zastrzelili proletariatchycy. Karola Piotrowskiego, działacza NZR, na kolei — esdecy, bo był rzekomo łamistrajkiem.

Ks. Antoni Wysłouch: „Wielką ideę sprofanowano... Wyście ją zbrzydzili, panowie socjaliści, a przynajmniej bardzo wielu z was. Wyście ten brylant precudnego blasku unurzali w błocie nienawiści. Trzeba zreformować aktualny socjalizm, zamiast walki klas i nienawiści wzajemnej postawić hasło ogólnego szczęścia, sprawiedliwości i miłości”.

5 sierpnia 1906 roku we wsi Czemierniki podjudzony przez endeków tłum zamordował czterech agitatorów socjalistycznych.

Stanisław Brzozowski: „Zrozumcie cały wdzięk, cały urok słowa: pierwsi socjaliści ręką polską zabici... Odtąd istnieje już fakt niezaprzeczalny, pewny, jak znamię hańby, ręką kata na czole wypalone: Czemierniki”.

Kiedy na stokach Cytadeli tracono Marcina Kasprzaka, który w obronie drukarni SDKPiL na Czystem zabił czterech żandar mów, wszyscy robotnicy w Łodzi wyszli z fabryk i gwizdały syreny. Tak samo gdy rozstrzeliwano kolportera z esdecji, siedemnas tolatka Kaliszewskiego.

24 kwietnia 1906 roku bojówka PPS przebrana na żandar mów pod dowództwem Jura Gorzechowskiego (potem dowódca żandarmerii WP) wydobywa z Pawiaka 10 bojowców, zagrożonych szubienicą: siedmiu z PPS, dwóch z Proletariatu, jednego z NZR. Wykonawcami akcji byli członkowie OTB PPS, która potem przystąpiła do PPS-Lewicy (w przeciwieństwie do OB PPS, która uznała PPS-Frakcję Rewolucyjną). Główną trudnością nie było oszukanie władz, gdyż naczelnik więzienia Derengowski był przekupiony, lecz zapobieżenie ucieczce uwalnianych — w mo-

mencie gdy przejmowali ich rzekomi „żandarmi” i wpychali do karety-suki.

Lipiec 1906. Nastrój w Zagłębiu opada. Robotnicy mówią: „Kiedy strajkujemy, car nie traci, tylko trochę tracą fabrykanci. Na manifestację wyprowadzacie nas bezbronnych, dajcie broń — to pójdziemy”. Mnożą się akcje terrorystyczne i bandyckie. Ograbiono kasjera „Flory” i pieniędzmi podzielili się bojownicy.

Poza wszystkim jednak życie toczy się swym traktem. *Tygodnik Ilustrowany* z listopada 1906 roku poleca: boa i koźnierze z pawich piór, nowo-fonograf „Pathé” z szafirowymi igłami, Kakao Bendorpa, glicerofosfat, który wzmacnia system nerwowy oraz środek pana Brokmana na porost włosów. Ignacy Matuszewski zauważa: „Młodsza generacja poetów łączy ściśle ideę odrodzenia Polski z ideą wewnętrzną wolności ludu”. Wchodzi w życie zarządzenie oberpolicmajstra, że automobile nie mogą przekraczać szybkości 12 wiorst (około 13 kilometrów) na godzinę.

9 maja 1907 roku, wpół do drugiej w nocy, powieszono w Cytadeli Henryka Barona z PPS. Przed sądem, w ostatnim słowie powiedział: „Okrzeja i Kasprzak są moimi ideałami... Wiem, że mnie powiesicie, ale mojej idei powiesić się nie da, ona nie umrze. Nie dalej jak za 5 lat tego nie będzie (pokażał na portret cara), wy wszyscy zginięcie, lud was zadusi, zarżnie, zakopią was, a mogiły wasze będą okryte hańbą, każdy będzie na nie pluł. Skończyłem, sądzie!”.

„... i gdy już był pod szubienicą — raportował szef policji Uthoff do generała gubernatora Skałona — zdążył krzyknąć: Precz z samodzierrawiem! Niech żyje rewolucja!”.

Kat łódzki, Ryszard Fremel, poprzednio wraz z dwoma braćmi członek SDKPiL — którą zdradził i był zagrożony likwidacją — w roku 1909 wysłał do dyrektora policji Zujewa list, żaląc się: „Ja spełniałem obowiązki kata jeden rok, tak długo jak było potrzebne. Za całą służbę ja teraz zostałem bez kawałka chleba i bez mieszkania ze swą żoną”. Do listu załączył nazwiska 108 powieszonych własnoręcznie, w tym swego szwagra Kołtuńskiego. Jana Długoszewskiego, który w przeddzień egzekucji przeciął sobie żyły, zszywało kilku lekarzy, żeby można go było powiesić w bandażach.

Terror fizyczny, kolejny przypływ nastrojów katastroficznych, znużenie i defetyzm, antagonizmy między Polakami, wielkie osłabienie wszystkich, a szczególnie robotniczych partii politycznych, rozłam w PPS — oto bezpośrednie skutki rewolucji. Wygasa też partyzancka działalność Organizacji Bojowej PPS. Ostatnim jej akordem jest udana akcja na pociąg pocztowy pod Bezdanami we

wrzeźniu 1908 roku — jedyna, którą bezpośrednio dowodził Piłsudski. Łup paruset tysięcy rubli pozwolił partii przetrwać najcięższe chwile rozsyпки.

Ta część społeczeństwa, która uaktywniła się w trakcie rewolucji — szczególnie młodzież robotnicza i inteligencja — dość szybko jednak wyszła z szoku. Pomimo nawrotu reakcji przetrwały też szczątki reform z krótkiej doby konstytucyjnej. Utrzymała się — choć mocno przycięta — możliwość zrzeszania się w organizacjach legalnych.

W duchu PPS (teraz: Frakcji Rewolucyjnej), ale bez organizacyjnego z nią związku, doskonale tę szansę wykorzystwała inteligentka elita Kongresówki, grupując się w rozmaitych stowarzyszeniach, dyrygowanych przez skryte załączki masonerii Wielkiego Wschodu. Zarazem „Baja” Jędrzejowski ogłosił tezę, wynikającą z niekorzystnych dla PPS doświadczeń rewolucji: proletariat musi szukać sojuszników w drobnomieszczanństwie i chłopstwie, które są pod wpływami narodowej demokracji.

W nurcie starań o cel ograniczony — autonomię — te same metody penetracji stowarzyszeń jawnych zastosowała endecja, po roku 1905 coraz trudniej rozróżnialna od realistów. Ażeby zrekompensować prestiżowe straty, jakie Dmowski poniósł w oczach walczących o niepodległość i postęp społeczny (T. T. Jez: „Przewodnictwo ND zawiodło zaufanie ludowe”) na czoło propagandy wysuwa on obecnie hasła antysemityczne i manifestacyjnie kleryalizuje się. Endecja traci część wpływów wśród inteligencji, robotników i chłopów, lecz rekompensuje to z nawiązką wśród burżuazji, drobnomieszczanstwa i lumpów.

Piłsudski i piłsudczycy — krąg kilkudziesięciu „starych”, najściślej z nim związanych działaczy PPS — zakładają w Galicji „Polski Piemont”, tolerowany, później faworyzowany przez Wiedeń. Już wrze przecież kocioł bałkański, już zbiera się na wojnę europejską.

Marks staje się mało przydatny, trzeba studiować Clausewitza.

Słowo „socializm” jakby blaknie, wychodzi z mody.

Jego miejsce wypełnia słowo a k t y w i z m.

Miękkie podglebie ruchu niepodległościowego

Po roku 1905 partie i obozy polityczne podlegają kolejnym mutacjom, ale już są wyraźnie wykrystalizowane. Mają programy, władze naczelne i regionalne, organy prasowe, kompletne struktury organizacyjne — na lewicy tajne, na prawicy na wół jawne.

Mierzone liczbami, nie są te partie potęgami. Członków mają niewiele, bo inaczej być nie może w warunkach zastraszania narodu, inwigilacji i represji. W Warszawie na przełomie 1903/1904 do PPS należy 368 osób, do SDKPiL 125-150, a do Narodowej Demokracji około 300. W trakcie rewolucji szeregi partii ogromnie wzrosły, lecz później zmalały drastycznie.

Ale na kształt życia politycznego składają się nie tylko sformalizowane partie. Każda z nich ma grono sympatyków oraz wywiera wpływ na rozmaite legalne bądź zakamuflowane stowarzyszenia; często nimi dyryguje. Szczególnie zapobiegliwa jest Liga Narodowa.

Gorzej w PPS. Widać to z listu, jaki Piłsudski napisał (14 września 1903) do Tytusa Filipowicza:

„Tak! — spadliśmy — i nie dlatego, że jesteśmy słabsi absolutnie, niż dawniej, że mniej mamy ludzi, pieniędzy i tak dalej, lecz dlatego, że nas przerosło, albo jeśli chcecie — przerasta społeczeństwo... Rozbudzenie życia społecznego, ogrom sił różnych, które skądś wyrosły i zażądały udziału w życiu codziennym, zastał PPS zupełnie do tego nieprzygotowaną. Deptaliśmy dawne ścieżki, trzymaliśmy się, jak dawniej, utartej drogi, powtarzaliśmy z uporem fakirów: niepodległość, konspiracja, bibuła, bibuła, niepodległość, konspiracja i tak w kółko... Pomyślcie o tym, że wszędzie zastajemy już narodową demokrację (na prowincji), opierającą się właśnie na tej inteligencji, przypomnijcie, że wszystkie nasze postępowe pisma hołdują zasadom socjalizmu, wyobraźcie sobie, że jak w Warszawie, tak na prowincji spotkać można grupki lub pojedynczych inteligentów chcących coś robić, dłubiących taką lub inną robotę, chcących książek nie broszur, weźcie pod uwagę, że w robocie chłopskiej jesteśmy prawie wszędzie następcami albo oświatowców albo narodowych demokratów... Musimy koniecznie się tym zająć, musimy dać strawę tej masie inteligencji, musimy postarać się stworzyć jakieś łączniki między nami — partią a socjalistycznie usposobioną inteligencją...”

Eksplozja inteligenckich pasji była produktem dojrzewających przez lata procesów socjologicznych i psychospołecznych, wielką w niej rolę odegrali także pisarze — budziciele sumień (Żeromski, Wyspiański), ale szczególną zasługę w tej rekonwalescencji trzeba przypisać myślicielowi, z którym rozstaliśmy się wkrótce po założeniu PPS: Edwardowi Abramowskiemu. Wiemy, jak wiele wniósł do jej niepodległościowego programu. Potem zamknął się w pracowniach naukowych, tworzył nowy system filozoficzny. Pedantyczni badacze wskazują na motywy, jakie zaczerpnął od

wielkich XIX wieku: z teorii Marksa, z rewizjonizmu Bernsteina, z reformizmu Lassalle'a, syndykalizmu Sorela, kooperatywności Gide'a, z kropotkinowskiego anarchizmu i spencerowskiego ewolucjonizmu, z durkheimowskiej socjologii, z psychologizmu Tarde'go i Petrażyckiego. Jednakże, mimo tylu zapożyczeń, systemat Abramowski jest na wskroś oryginalny i doskonale dopasowany do sytuacji polskiej. W „Programie wykładów nowej etyki” umieszcza postulat: „Rozszerzenia się solidarności robotniczej nie tylko na wypadki strajków, lecz całość życia, jako zwyczaj obowiązujący jednostkę pod naciskiem opinii klasowej”. Dalej spostrzeżenie może nazbyt skrótowe i figlarne, lecz bystre: „Przez nadmiar pracy ludzie tępieją i ogłupiają się, a z tego wynika ucisk jaki dziś panuje. Dlaczego bogatym i rządzącym tak zależy na tym, aby ludzie pracowali jak najwięcej? Nad zapracowanymi ludźmi łatwo panować”.

Z przyczynkarskich prac, płodzonych przez lata, kompiluje Abramowski „Zagadnienia socjalizmu”, w których próbuje skoryżyc determinizm historyczny ze skrajnym indywidualizmem, z przekonaniem o nadrzędności jednostkowego „ja”. Zginął już Abramowski-konspirator, kształtuje się Abramowski-ideolog, który jednak nie ograniczy się do spisywania swych wskazań na papierze, lecz będzie próbował je wcielać w praktykę społeczną. Potrafił mówić różnymi językami, trafiać i do intelektualistów, i do robotników, i do włościan. W jego tezach i sposobach argumentacji jest uderzająco wiele podobieństw do nauk Jana Pawła II.

Ponoć jedynym, który oparł się sile sugestywnej Abramowskiego, był Feliks Dzierżyński. Zeszli się przypadkowo, w mieszkaniu Krzywickiego. Dzierżyński, także szlachcic kresowy, był wtedy murarzem, a z przekonania skrajnym dogmatykiem. (Interesujące, że taka postawa w tym odłamie klasy robotniczej zdarza się często, gdy np. metalowcy skłonniejsi są do demokratycznych wariantów socjalizmu). Otóż w polemice z Dzierżyńskim Abramowski argumentował za tezą o wolności ludzkich poczynań — a jego partner replikował, iż człowiek jest jak drobina wody, niesionej przez nurt rzeki, która w najmniejszej mierze biegu jej zmienić nie może; a on, Abramowski, zapomniał iż jest taką wodną drobiną, która ruchy prądu bezpodstawnie przypisuje własnej woli. Rozstali się nieprzekonani i wzajemnie niechętni. Ilekroć zjawiskami fizykalnymi próbuje się ilustrować procesy społeczne — zastępuje się treści pozorami.

Abramowski, który startował jako marksista ortodoksyjny, doszedł do przekonania, iż materializm historyczny nie objaśnia całości procesu dziejowego; uznał, że nie mniej ważne są

przemiany świadomości — niezależne (a przynajmniej zależne nie tylko) od „bytu”. W jego teorii pojawia się wątek historii mentalności, niezależnej od przemian ekonomicznych. Walka klas? To zależy. W feudalizmie rola jej była znikoma, większe piętno wywarła kulturotwórcza, postępową społecznie funkcja Kościoła. Natomiast w kapitalizmie istotnie walka klas ma znaczenie kluczowe. Proletariat jest główną siłą przekształceń społecznych, lecz musi wyjść p o n a d swój interes klasowy, oprzeć się na humanitaryzmie. Abramowski uznaje za Marksem, że kapitalizm powoduje alienację człowieka i dehumanizację społeczeństwa, ale — żeby te plagi przezwyciężyć — nie jest niezbędna gwałtowna rewolucja. Klęską systemu ucisku będzie rozwój solidarności i godności człowieka.

Na etykę kładzie nacisk największy. Rozwija starą myśl, że jedynym uzasadnieniem ograniczeń swobody ludzkiej jest dbałość o to, by nie dopuścić do krzywdy drugiego człowieka. Naturalna dla społeczeństwa jest etyka braterstwa a nie etos walki czy to wedle nauki Marksa, czy Darwina. Sednem jego filozofii jest indeterminizm. Ludzkie postawy i zachowania nie są bynajmniej określone przez rozwój sił wytwórczych czy stosunków produkcji — lecz zależą od wolnej woli. Oczywiście, można oddziaływać na świadomość człowieka. Żeby dokonać przewrotu ustrojowego, trzeba w p i e r w zreformować ludzką świadomość, a nie na odwrót; po przewrocie politycznym nie uda się już żaden przewrót moralny, bo świadomość nie rozwinie się twórczo pod presją polityczną.

Wśród metod walki proletariatu na plan pierwszy wysuwa strajk. Strajk to najlepsza szkoła solidarności. Strajk rozwija poczucie braterstwa. Strajk najskuteczniej przekształca robotniczą świadomość.

Odsuwając się od marksizmu, Abramowski nadal uważał się za socjalistę. Uznał, że najlepszym ustrojem będzie socjalizm b e z p a ń s t w o w y, który powstanie jako siatka demokratycznych stowarzyszeń, organizujących całe życie społeczne aż do zaniku własności prywatnej. Powołuje się na Karola Liebknechta: „Socjalizm państwowy jest bardziej jeszcze wrogiem istocie socjalizmu niż dzisiejszy ustrój ekonomiczny, łączy bowiem w sobie wyzysk ekonomiczny (państwowy) z polityczną niewolą”. A od siebie daje taką receptę na rewolucję:

„Zamiast układać spiskowe lub legalne 'zamachy stanu', zamiast rachować na jakiś rząd o s w i e c o n y, reformatorski lub rewolucyjny, na jakichś 'mesjaszów' mających wprowadzić ludzkość do obiecanej ziemi komunizmu, polityka socjalistyczna

— wierna zasadzie swojej, że to tylko stanie się faktem historycznym, co przejdzie jako idea przez świadomość mas ludowych — wciąga tę świadomość do akcji rewolucyjnej, ażeby każda zdobycz na tej drodze osiągnięta wycisnęła na niej (na świadomości ludu) nowe piętno moralne”.

W czasie, gdy socjaliści toczyli nieustający spór, czy walczyć także (bądź przede wszystkim) o niepodległość Polski — czy jedynie o klasowy interes światowego proletariatu, filozofia Abramowskiego nadała nowy wymiar socjalistycznej ideologii — humanistyczny. Ogłaszała: „Wypowiadamy walkę o wolność Polski i o wolność każdego człowieka w Polsce”, gdyż bez wolności człowieka i bez podmiotowości społeczeństwa socjalizm jest pusty.

Gdyby urodził się w kilkadziesiąt lat później, byłby ideologiem „Solidarności”.

Filozofia Abramowskiego stała się płodnym wydarzeniem ideologicznym.

Oskar Lange, choć krytyczny wobec wielu tez Abramowskiego, skonstatował: „Najoryginalniejszy myśliciel, jakim polska myśl społeczna może się poszczycić”.

Rola myśliciela jednak nie wystarczała Abramowskiemu; lubił działać, inspirować. Około 1900 roku powraca do aktywności politycznej, po dłuższej przerwie na teoretyzowanie. Ale odsuwa się od PPS, pozostaje tylko jej sympatykiem — i wzajemnie jest lubiany przez „starych” działaczy. Przyjaźni się z Wojciechowskim, adoruje go Pietkiewicz, nic sentymentu łączy go z Piłsudskim, który ongiś był na kawie w jego mieszkaniu na Kruczej i wymógł na nim napisanie broszury „Czego chcą socjaliści?”. Natomiast „młodzi” działacze PPS, lewicujący, uważają Pana Edwarda za dziwaka, utopistę, ekscentryka i ostro polemizują z jego poglądami (cóż, jest już „mamutem”, skończył trzydziestkę!). Nie to jednak zraża Abramowskiego do PPS; po prostu usposobienie ma rozwichrzone, zainteresowaniami obdziela wiele dziedzin życia i nauki, dyscyplina partyjna jest czymś obcym jego naturze. Działa na własną rękę, chociaż zgodnie z interesami PPS. Swoją filozofię wdraża w praktykę, tworząc „koła etyków”, rodzaj sekty świeckiej, rozkochanej w swym proroku.

Pierwszą taką „komunę” założył w Genewie. Jej „Ustawa” (szeroko kolportowana przez Bratniak Uniwersytetu Warszawskiego) była katechizmem tego ruchu. Głosiła ona wspólnotę majątkową, rezygnację z niesłusznym zysków w rodzaju lichwy czy spadków, ignorowanie wszelkich instytucji państwowych, bojkot firm, znanych ze szczególnego wyzysku robotników, a nade wszystko hasło, że jedynym grzechem jest krzywda, a jedyną cno-

tą braterstwo. Znany jest skład komuny genewskiej; oprócz Abramowskiego był w niej jeszcze jeden pan, nazwiskiem Jełowiecki, oraz dziesięć niewiast. Kobiety były wówczas bardziej uspołecznione, a może bardziej zakochane w Panu Edwardzie: przystojnym, fascynującym inteligencją — i demonicznym.

Niektóre „koła etyków” (powstało ich kilkadziesiąt), stanowiły coś w rodzaju wspólnot, jakie ongi projektowali utopiści francuscy, a w kilkadziesiąt lat później „wymyślił” ruch hippisów. Zdecydowana większość jednak były to ideowe koła o charakterze samokształceniowym, aczkolwiek (co wtedy było modne) lubiły one ezoteryczne obrzędy i mistyczną otoczkę, kult przyrody i słońca, jak również wirujące talerzyki. Bądź co bądź była to epoka dekadentyzmu, który zawsze wywołuje podobne nastroje. Sztabem „etyków” kierował sam Mistrz, mając przy boku Konstantego Krzczakowskiego, „czyściutką i krągłutką” Zofię Bassakównę, Stanisława Berenta oraz Władysława Michalskiego — jakby namiestnika na środowisko studenckie i Maksymiliana Zanda — bardzo popularnego wśród robotników.

„Koła etyków” nie prowadziły działalności politycznej, lecz wywierały na nią istotny wpływ. Ich zasługą było przeciwstawienie się secesji, którą pod nazwą III Proletariat wyrwał z PPS Ludwik Kulczycki, wciąż głoszący hasło terroru. Etycy, stojąc na pozycjach bezgwałtu, przeciwstawili się tej tendencji i dopomogli PPS w kryzysowym momencie po łódzkiej wpadce Piłsudskiego. Wyrwa, jaką uczynił Kulczycki, nie była znaczna; rzecz jasna ten chorobliwy ambicjonat znenawidził Abramowskiego i stał się jego najostrzejszym przeciwnikiem.

Pomimo dwuznacznego posmaczku, jaki otaczał „etyków”, ruch ten wpłynął na kształtowanie wśród inteligencji postaw niepodległościowych i prosocjalistycznych. Wielu jego działaczy zasłynęło później w „poważnych” już organizacjach politycznych i kulturalnych, w tym w masonerii. Oni wypełnili lukę pomiędzy PPS a szerokimi kręgami inteligencji, o której pisał Piłsudski do Filipowicza.

Reperując zdrowie w Zakopanem, które było ministolicą polskiej kultury, Abramowski pisze swe fundamentalne dzieło „Socjalizm a państwo”. Wyraziście rysuje się w nim plan ideowy (prawda, że nieco utopijny), który polegać by miał na budowie socjalizmu bezpaństwowego, opartego na zrzeczeniach robotników i kooperatywach. Stawia gorzkie pytanie:

„... dlaczego ruch społeczny tak silny i tak głęboko wchodzący w zagadnienia życia ludzkiego, jak socjalizm współczesny, wpływa stosunkowo tak mało na moralność i na życie prywatne

człowieka, że może skupić pod swoim sztandarem najrozmaitsze typy etyczne, począwszy od ludzi ideału, a skończywszy na zwykłych aferzystach?”.

Następnie przechodzi do charakterystyki zmian moralnych, jakie jednak w masach ludowych zachodzą, tyle, że wcale nie dzięki socjalistycznej doktrynie, lecz w efekcie samorodnej walki mas, ich otrząsania się z niewolniczych nałogów. I dochodzi do kluczowej konstatacji:

„Rewolucja ludowa wymaga tych właśnie cech moralnych i życiowych, które upaństwowianie zabija. Wymaga jak największej niezależności moralnej od państwa mas ludowych, jak najmniejszego solidaryzowania się z jego potęgą biurokratyczną i militarną, z jego interesami finansowymi i zagranicznymi. Wymaga łatwości organizowania się samorodnego, rzutkości w pomysłach i działaniach zbiorowych, energii indywidualnej, dobrowolnego wykonywania obowiązków w sprawach społecznych. Wymaga wreszcie tego fermentu stowarzyszeń, lig, związków, spółek wszelkiego rodzaju, w których mogłaby się wyrazić swobodnie cała różnorodność społecznych sił i potrzeb, cała potęga tłumionych dotychczas pierwiastków naszego życia... Z tych to powodów dzisiejszy socjalizm rewolucyjno-państwowy musi zginąć... Musi zginąć, jak ginie każde kłamstwo, każda rozterka pomiędzy frazesem i czynem, pomiędzy ideologią, którą się głosi, a którą się wykonywa i urzeczywistnia z dnia na dzień”.

Tak pisał Abramowski w roku 1903, zanim komukolwiek śniło się, że gdzieś powstanie naprawdę państwo realnego socjalizmu.

Osobliwe, że im bardziej Abramowski oddalał się od marksizmu, tym łatwiej nawiązywał kontakt z młodzieżą, również robotniczą, również chłopską. Podobała się jej moralna tonacja wskazań, a „wrogość do państwa” odczytywano bezbłędnie jako wrogość do caratu. Natomiast intelektualistów, w tym liderów PPS, ogarniała irytacja na pomysł „bezpaństwowy”, skoro walczyli o polskie państwo. Także humanitaryzm Abramowskiego jawił im się jako dziwactwo sprzeczne z pragmatyzmem, który pospołu z romantyzmem powinien znamionować postawę rewolucjonisty. Aliści, gdy po raz pierwszy wybiła godzina próby, gdy rozgorzała rewolucja 1905 roku, „metafizyk” Abramowski stał się jak najbardziej pragmatykiem.

Jeszcze na przedwiośniu 1905, pod Giewontem, tworzy Abramowski nową komunę duchową (Władysław Orkan w „Pieśniach czasu” słał jej moralne idee), ale równolegle, bo pora jest gorąca, pisze programową broszurę „Zmowa powszechna

przeciw rządowi". Tytuł mówi za siebie; jest to *credo* Abramowskiego i wykład ideologii bojkotu. Abramowski odkrył już dawniej, że strajk jest wielkim przeżyciem zbiorowego uwolnienia się, teraz dodaje nowy oręż konspiratorom: bojkot, który do minimum sprowadza ryzyko represji, maksymalizuje natomiast efekt zbiorowej manifestacji.

Koncepcja „bezpieczeństwa” wyparowuje ze „Zmowy”; odrzuca tę sztuczną konstrukcję ideologiczną, poprzestaje na sensownym postulacie zwężenia funkcji państwa — i mówi wprost o budowie nowej Rzeczypospolitej Polskiej, opartej na samorządach i solidarności ludzi pracy.

Wiosną, znęcony płomykiem rewolucji, zjeżdża do Warszawy i pisze broszurę „Nasza polityka” dla Polskiego Związku Ludowego (jej fragment wykorzystał Żeromski w „Przedwiośniu”). Wchodzi też do władz tej chłopskiej organizacji, jednego z najpierwszych kiełków ruchu ludowego w Kongresówce, wygłasza włościanom odczyty, szokujące radykalizmem, zapełnia szpalty chłopskich gazet. Zadziwiający! Ten ekscentryczny socjalista-utopista, ten moralista błędzący w obłokach — zostaje entuzjastycznie zaakceptowany przez ludowców, chodzących twardo po ziemi.

„Zmowa” wywiera efekt piorunujący; staje się lekturą wszystkich dusz zbuntowanych. Abramowski-teoretyk przedzierzga się w agitatora. Wróg słabnie! — woła. — Jego potęgę nadkruszyła Japonia. Nie wolno czekać. Nie myślny, że ktokolwiek da nam wolność bez nas samych. Trzeba przełamać bierność, lęki, zanik samodzielności. Wypowiadamy wojnę rosyjskim rządóm. Od tej chwili nowa epoka! Władza pozostaje władzą tak długo, jak długo społeczeństwo się jej lęka. Zanim powiemy rządowi rosyjskiemu: precz z ziemi naszej, stajemy teraz przed nim ze słowami: precz z życia naszego!

Oskar Lange tak streścił program Abramowskiego: budować Polskę jako organizm niewidzialny, wymykający się niepostrzeżeniu panowaniu zaborców.

Ba! Ale jak to zrobić? Co zrobić konkretnie?

Zacząć od siebie, od zwalczania pijaństwa, gdyż ono rozkłada wolę oporu, oraz od organizowania obywatelskiej samopomocy. I bojkot! Bojkot służby we wszelkich instytucjach państwowych, odmowa pełnienia w nich jakiejkolwiek funkcji. Bojkot dostaw dla wojska. Bojkot policji i sądownictwa, całkowita rezygnacja z ich pośrednictwa. Bojkot rządowego szkolnictwa i instytucji oświatowych. Nie godzić się na żadne interwencje w życie gmin. Bojkot banków, kas oszczędnościowych, monopoli, loterii. W ogó-

le wyeliminować rząd poza nasze życie, a przede wszystkim: bojkotować wybory do Dumy!

Jedynie chwilowo konieczności — wskazuje Abramowski — to płacenie podatków i pobór rekruta, albowiem odmowa oznaczałaby interwencję sił przymusu; jesteśmy jeszcze za słabi — perswaduje — by się i w tych punktach przeciwstawiać władzy.

Niejeden uczonej dostrzegł, że istniało wiele zbieżności pomiędzy programem Abramowskiego i Gandhiego. Był to przypadek, przecież nie znali swych myśli; idea aktywnego oporu niegwaltownymi środkami zrodziła się w ich umysłach odrębnie. Gandhi nieco później zresztą rozpoczął swą skuteczną kampanię „satyagrahy”. Chyba jednak istniał w tamtej epoce klimat moralnego zaangażowania, sprzyjający pączkowaniu takich koncepcji, jakie ogłosili charyzmatyczny Indus i charyzmatyczny Polak. Są i inne przesłanki takiej supozycji. Ogromna część intelektualistów była wierna przekonaniu o nadrzędności zasad moralnych we wszelkich działaniach politycznych; jeszcze wrócimy do tego wątku.

W „Zmowie”, obok ideologii bojkotu — rzec by można anarchistycznej — istnieje jednak i konstruktywna ideologia, organicznikowska; a obie są splecione, jakby w myśl dialektyki jedności przeciwieństw. Abramowski zaleca tworzenie własnych instytucji: kooperatyw spożywczych, rolnych i kredytowych, związków robotników i służby folwarcznej, towarzystw oświatowych, polubownych sądów obywatelskich. Stowarzyszenia — głosi — są najlepszą szkołą demokracji.

Głosi to — i działa z nadspodziewaną energią, przeżywa drugą młodość, dwoi się i troi, współuczestnicząc w wielu pracach organizacyjnych, chociaż zawsze nudziły go „drobiazgi”. Gdy już rozrusznik zadziałał i coś zaczynało funkcjonować, Abramowski innym przekazywał ster; tak Helena Radlińska przejęła faktyczne kierownictwo Koła Wychowawców, które wielce się przyczyniło do podtrzymania strajku szkolnego — a następnie Związku Towarzystw Samopomocy Społecznej. Była to półjawna, niezalegalizowana federacja czterestu stowarzyszeń — głównie oświatowych i wychowawczych — której celem była koordynacja działań, ale bez narzucania wspólnej ideologii; ważniejsze było, żeby działały, niż żeby działały wedle identycznej formuły politycznej.

Kierownictwo ZTSS i zrzeszonych organizacji to niemal w komplecie ludzie od dawna zapłodnieni „filozofią etyczną” Abramowskiego — jego przyjaciele z Polskiego Związku Ludowego, z kół etyków i komun duchowych, z ruchu oświatowego. Aprobują także jego taktyczną dyrektywę, że trzeba połączyć bojkot

instytucji rządowych ze wspólnym czynem konsolidacji społeczeństwa.

Jak liczne było to środowisko? Jakie miało polityczne afiliacje? Jaki dorobek?

Tego nie można ściśle wymierzyć. Dokumentacja owych organizacji, jeśli kiedykolwiek istniała, rozplynęła się. Również teoretyk doktryn politycznych byłby tu zakłopotany: jak określić środowisko amorficzne, niezorganizowane, skłaniające się ku rozmaitym ideologiom, a jednak spojone wspólnym etosem? Ci sami ludzie wchodzili do wielu stowarzyszeń, nie bacząc na ich polityczną genezę, a także przemieszczali się między partiami od prawego do lewego brzegu, jeśli w ogóle do partii należeli. Na ogół byli formalnie bezpartyjni, bo „jakoś nie mieścili się w żadnej partii” — jak napisała Maria Dąbrowska — acz sympatyzowali z PPS; niekiedy z „pedecją”. Wobec „partyjniactwa” istniała nieufność, właściwa duchom wolnym i niechętnym rygorom dyscypliny. Najłatwiej mógłby to środowisko zdefiniować psycholog społeczny: byli to ludzie ulegający charyzmie Abramowskiego, który „nasycił sobą pokolenie” — wedle idealnie trafnych słów Żeromskiego. A drugim ich idolem, stopniowo przesłaniającym Pana Edwarda, był właśnie Żeromski, na literacką formę przekładający etyczne hasła Wielkiego Maga. Cała ta grupa pokoleniowa, zakochana w Słowackim i jego uznająca za źródło natchnienia, żyła bardziej mitami, niż realiami; lecz były to mity, które okazały się niezwykle płodne — Niepodległej Polski, Ogólnoludzkiego Postępu i Służby Społecznej. One określały postawy tych ludzi, ich rzeczywiste zachowania — nie tylko marzenia i uczucia. Ten klimat rozprzestrzenił się zarazliwie, obejmował wszystkich prawie, którym „nie było wszystko jedno”.

Siły oddziaływania tej elity intelektualnej i moralnej absolutnie nie można mierzyć jej liczebnością. Przecież cała warstwa ludzi wykształconych, gdyby maturą określać jej zasięg, zamyka się wtedy w kilkudziesięciu tysiącach; a z tej liczby ledwie kilka procent ukończyło studia wyższe bądź uporczywym samouctwem przebiło się do elitarnego statusu. Tych ludzi nazywano poważnie „społecznikami” lub „kulturnikami” — chociaż problematyka *sensu stricto* polityczna wcale nie była im obca. Tyle, że podzielali przekonanie, iż twórczość zbiorowa, aktywność mas jest ważniejsza, niżeli partyjne programy. „Uważali, że najskuteczniejszą walkę można prowadzić poprzez budowanie nowych instytucji, rozsadzających więzi niewoli” — napisała Helena Rad-

lińska, która po cichu spełniała rolę ich łączniczki z „górami” PPS, a zwłaszcza z samym Piłsudskim.

We froncie rewolucyjnym „społecznicy” stanowili drugą linię PPS. Wierzyli, że dopiero od obalenia caratu „zacznie się nowe życie”, lecz nie wierzyli w skuteczność powstania zbrojnego. Inspirowali mniej świadome kręgi, tworzyli ośrodki szkoleniowe i koordynacyjne masowego ruchu — nie pretendując do roli przywódczej. Jedną z grup tego nurtu, „Kuznicę”, której liderem był zagorzały wolnomyśliciel Andrzej Niemojewski, tak określiła Iza Moszczeńska, jego prawa ręka: „Nie była ani partią, ani stowarzyszeniem, nie była też organizacją spiskową”. Na ówczesne partie spoglądała z boku, nie krytykowała ich, lecz szacowała w jakim stopniu mogą się przydać sprawie narodowej. A sama układała dla przyszłej Polski program polityczny i szukała dróg wprowadzenia go w życie w ten mianowicie sposób, że stanowiła „kancelarię wieców polskich”, które odbywały się z inicjatywy „Kuznicy”, często w mieszkaniu Niemojewskiego, Marszałkowska 48, będącym zarazem redakcją miesięcznika tejsze nazwy i punktem kontaktowym inteligentnych radykałów. Zespół „Kuznicy” był również wędrownym klubem oraz żywym dziennikiem, przemieszczającym się po różnych salonach i po dzielnicach robotniczych. Wśród gamy podobnych grup „Kuznica” pełniła rolę ekstremy; oprócz strajków szkolnych i robotniczych, oprócz bojkotu zalecała także (tylko w teorii) terror indywidualny — pewnie dlatego, że ruchliwym jej kompanem był Ludwik Kulczycki. Wyrazem takiego nastawienia było hasło „Kuznicy”:

*Ten tylko godzien życia i swobody
Kto co dzień umie gwałtem dobijać się o nie.*

Innym przykładem charakterystycznym dla inteligencji była postawa Stanisława Stempowskiego, który razem z Krzywickim i Stanisławem Posnerem redagował *Ogniwo*. Pismo to — wspominał — „... stało się filią pepesowskiej roboty. Na zielonej kanapie redakcyjnej wylegiwali się nielegalniki”. Stempowski stanowczo odrzucił polecenie CKR PPS, aby jak inni literaci chodził po mieszkaniach bogaczy z kwestą na cele partyjne, gdyż każdemu z nich towarzyszył bojowiec z browniegiem. Wymuszanie pieniędzy jest rzeczą niemoralną i niebezpieczną dla samej sprawy — stwierdził — gdyż z analogicznym argumentem mogą chodzić zwykli bandyci. Ale Stempowski nie odmówił partii znacznie ważniejszej i ryzykownej przystąpi: zawiózł do Kijowa dwie walizki nabite pieniędzmi, zagarniętymi przez OB PPS w

Wysokiem Mazowieckim. Było tego 180 tysięcy rubli w nowiutkich banknotach („czyli około dwudziestu tomów powieściowego formatu”), które należało natychmiast wpłacić gdzieś daleko do banku i rozdysonować na różne adresy.

W latach trzydziestych Stempowski był Wielkim Komandorem Rady Najwyższej — zwierzchnikiem polskiej masonerii obrządku szkockiego.

Role apostoła masonerii, która początkowo należała do rytu Wielkiego Wschodu, odegrał Abramowski. Ale nie był jej organizatorem. Poczyniwszy pierwsze kroki wyjechał za granicę, innym przekazując ster. Tak zamknął drugi, najważniejszy okres swej politycznej działalności. Powrócił do psychologii doświadczalnej, zwłaszcza do zagadnień uwagi i pamięci. Może to była psychiczna asekuracja? Może po klęsce rewolucji uznał, że skoro chwilowo nic się nie da zrobić dla wyzwolenia narodu, to niech przynajmniej zostanie coś trwałego w sferze wiedzy i kultury, co przysporzy narodowi siły przetrwania?

Nawrót ostrych represji, kres rewolucyjnego rozluźnienia w Rosji, rozbił pod koniec 1907 roku ZTSS i większość zrzeszonych w nim organizacji. Aresztowano dziesiątki działaczy, inni salwowali się emigracją albo przycupnęli. Taki sam los spotkał Polski Związek Ludowy, jego działacze niemal w komplecie poszli na odsiadkę — jak zawsze gdy zwyciężają siły ładu i porządku.

Niektóre stowarzyszenia ocalały jednak w utajnieniu, a jedno — i to najważniejsze — rozwijało się jawnie bez większych przeszkód, gdyż pozornie zajmowało się jedynie gospodarką: Towarzystwo Kooperatystów. Ono też zrodziło się z inicjatywy Abramowskiego i realizowało jego rozbudowaną doktrynę spółdzielczą. Ale ponadto spełniało znacznie ważniejszą rolę, wtedy p o d ó j n i e utajnioną: przed władzami i przed własnym społeczeństwem. Towarzystwo to było legalną przykrywką pierwszych działań masonerii, w tym czasie przeszczepianej z Paryża na polski grunt; było miejscem, gdzie zbierało się kilkunastu, wkrótce kilkudziesięciu wolnomularzy i ich przyjaciół ideowych. Jeszcze nie funkcjonowały regularne loże, a tylko nieformalne kółka adeptów masonerii. Dopiero w parę lat później nastąpiło obrzędowe zalegalizowanie pierwszej loży „Wyzwolenie” i wolnomularstwo zaczęło systematycznie, za pośrednictwem różnych organizacji przez siebie sterowanych, formować w Kongresówce zaplecze ruchu niepodległościowego, osieroconego przez wyjazd do Galicji czołowych działaczy PPS, zwłaszcza grupy piłsudczykowskiej.

Masoneria objęła wpływami dokładnie te same środowiska, które w czasie rewolucji sprzyjały PPS — jej dążeniom niepod-

ległościowym, a na ogół też jej programowi społecznemu — przede wszystkim zdecydowanie wrogię endecji. Bazę masonerii stanowiła także klientela Postępowej Demokracji („pedecji”), chociaż jej niekwestionowany lider Aleksander Świętochowski był „masonstwem” wrogi. Ale lata porewolucyjne to schyłek świętochowszczyzny. Krzywicki stwierdził: „...rewolucja ówczesna przeszła nad głowę Świętochowskiego, jak gdyby nigdy nie było go na świecie, i właściwie wymiotła go z widowni politycznej”.

Inaczej być nie mogło. Historyczne znaczenie rewolucji 1905 roku polegało na zjednaniu do walki milionowych rzesz — znacznie liczniejszych, aniżeli podczas poprzednich powstań narodowych. Asekurancka ideologia Świętochowskiego przestała być atrakcyjna; ci, co nadal byli za ugodą, pożeglowali ku endecji. Zajęli w niej miejsce secesjonistów, którzy — odwrotnie — zbliżyli się do idei walki.

Jednakże wszystkie te trendy nie od razu zarysowały się wyraźnie. Przegrupowania w obrębie partii były przesłonięte ogólniejszym zjawiskiem spadku ducha oporu, poczuciem zawodu, rezygnacją. Gorące nadzieje przemieniły się w apatię, w ból wszechnarodowy — jak to zwykle po klęsce, podczas reakcyjnej normalizacji. Szczególnie osłabiony był ruch robotniczy. Wszystkie jego partie: PPS-Frakcja, PPS-Lewica, SDKPiL-Proletariat i Bund stopniały jak wiosenne śniegi, jedynie w skrytych żłobach zostały resztki lodowej skorupy.

Wcale nie było powodów do tak głębokiej depresji. Koniec końców przegrana pozostawiła za sobą nie tylko szubienice, mogiły, zsyłki i odpływ do Galicji czołowych bojowców. Były także pozytywy. Osłabła cenzura. Powstały możliwości tworzenia różnych zrzeszeń — ograniczone, ale i tak szersze niż przed 1905 rokiem; zaczęły się organizować nawet związki zawodowe. W szkolnictwie prywatnym i urzędach gminnych pozostał język polski. Ożywiło się życie kulturalne i ruch oświatowy — podziemny. Poprawiły się nawet warunki pracy i płacy robotników. Zakiełkował, jeszcze na minimalną skalę, ruch chłopski. Oprócz PZL zawiązała się w podwarszawskim Tłuszczu radykalna grupa „Siewba”, jako jeden z odprysków Towarzystwa Oświaty Narodowej, dyrygowanego przedtem przez endecję. Stłumiony zryw narodowy przyniósł zatem niemało szans na przyszłość; ale skoro oczekiwano, że runie carat, nie poprawiło to powszechnego samopoczucia.

Zabawną ilustracją ówczesnego stanu ducha jest rysunek satyryczny, jaki się ukazał w piśmie *Czyżyk*. Przedstawia potarganego, pogrążonego w rozpacz redaktora, nad którym wołowymi

literami wypisano dyrektywy: „Dla pamięci pp. współpracowników! Nie wolno pisać: o głodzie, o pragnieniach, o ziemi, o wodzie, o powietrzu, o ciężkich czasach, o tem co jest, o tem co było, o tem co będzie, o tem co być może, o tem co być nie może, wogóle o niczem”. Cenzura była koszmarna — ale ten rysunek puściła. W dziejach polskich bywały, wcześniej i później, okresy dotkliwszego kneblowania ust.

Oba zjawiska tamtych lat — psychicznej rozsyпки oraz powstania szansy połowicznych działań — idealnie wykorzystwała masoneria. Impuls dany przez Abramowskiego inni przeobrazili w zakamufLOWaną siatkę, wokół której krystalizowały się „twierdze polskości”.

Wpierw, nim funkcjonowanie tej struktury przedstawimy, niezbędne jest, z dwóch powodów, oczyszczenie pola.

Po pierwsze, wokół masonerii nagromadziło się mnóstwo przesądów i uprzedzeń. Obwiniano ją o najbardziej absurdalne grzechy: o udział w ogólnoswiatowym spisku „żydomasonerii”, o „walkę z Panem Bogiem”, o tworzenie wszechmocnych klik, o sojusz z komunizmem, nawet o antydemokrację. Jeszcze niedawno niedouczony docent Jan Borkowski rozpiśał na dziesiątki stron takie androny. Insynuacje wynikały po części z niewiedzy (masoneria dbała o *incognito*), w jakiejś mierze z naturalnej ludzkiej nieufności wobec sprzysiężeń mafijnych, ale przede wszystkim z rozjuszenia jej przeciwników. Masoneria zawadzała endecji, gdyż zwalczała wszelkie formy nacjonalizmu. Zawadzała hierarchii kościelnej, gdyż zwalczała klerykalizm (ale nie religię; sprawą wiary jako osobistą loże w ogóle się nie zajmowały, zaś w ich obrzędach stałe były akcenty chrześcijańskie). Zawadzała komunistom, gdyż stała na gruncie hasel „wolność-równość-braterstwo” i odrzucała wszelką przemoc, w tym rewolucyjną.

Powód drugi, dla którego trzeba dokonać wstępnych eksplikacji: wiedza historyczna o polskiej masonerii, szczególnie o jej początkach, jest nader uboga. Dokumenty łó z tego czasu nie zachowały się. Nie wiadomo, czy takowe z przyczyn konspiracyjnych sporządzano. Agenturalne informacje policji wymagają traktowania z wielką ostrożnością, a już niemal bezużyteczne są paszkwile ogłaszane przez wrogów masonerii. Duże znaczenie mają pamiętniki, ale wymagają krytycznej weryfikacji, choćby dlatego, że niemal zawsze spisywane były po wielu dziesięcioleciach, gdyż „braci” obowiązywała tajemnica, nazwiska członków zakonu mogli ujawniać dopiero po ich śmierci. Sporo natomiast można wydedukować przez analizę czasopism, o których wiadomo, że były redagowane przez masonów — i to nie tylko z treści

publikacji, ale i z ich formy. Wolnomularze stosowali pewne figury stylistyczne, dla nich tylko zrozumiałe. Jeśli gdzieś pojawia się pierwsza osoba liczby mnogiej („Mieliśmy swoich przyjaciół w...”), można się spodziewać, że owi „my” — to masoni. To samo sugerują słowa: „światła”, „strażnik”, „dzieci wdowy” i parę innych. Warto też zwracać uwagę na drobne informacje, zamieszczone w niektórych gazetach, jak *Głos Stolicy*, który na przełomie 1916/1917 był redagowany pod egidą masonerii przez Witolda Giełżyńskiego. Są tam notatki, że *Times* skrytykował wydawnictwo Augusta Zaleskiego, że przybył do Warszawy mec. Stanisław Patek, co w Petersburgu robi Aleksander Babiński, a w Moskwie Aleksander Lednicki; to po prostu system informacji o działaniach zakonspirowanego Zakonu.

Nikomemu oczywiście nie chce się bawić w układanie takich kamyczków, przeto prace historyków o masonerii opierają się na wąskiej bazie źródłowej dokumentów formalnych.

Dwóch badaczy zajęło się tą problematyką; historyk-amator Leon Chajna i profesjonalista Ludwik Hass. „Wolnomularstwo w II Rzeczypospolitej” Chajna to książka popularyzatorska, obfitująca w pomyłki i sądy pochopne. „Ambicje, rachuby, rzeczywistość” i inne prace Hassa to dzieła erudycyjnie imponujące, fundamentalne, oparte na niezwykle pracowitej kwerendzie archiwalnej, głównie w zbiorach zagranicznych, bo polskie są pustawe.

Paradoksalnie to, co napisał amator Chajna, jest znacznie bliższe prawdy o masonerii, przynajmniej w okresie Wielkiego Wschodu, niż to, co napisał naukowiec Hass. Chajna wielu rzeczy nie wiedział, ale rozumiał całokształt, Hass wie prawie wszystko — ale mało rozumie.

Nie rozumie rzeczy zasadniczej: fenomen masonerii należy rozpatrywać nie tylko jako działanie grupki ludzi, którzy byli formalnymi członkami łóż, lecz przede wszystkim jako s y s t e m p o w i ą z a n i ę politycznych, w którym łoże były siłą napędową. Tak samo samochodu nie można opisać jako zestawu czterech tłoków, bo jest on konstrukcją kompleksową, chociaż tłoki spełniają zasadniczą rolę.

(Nawet w opisie „tłoków” popełnia Hass sporo nieścisłości. Rolę twórcy masonerii przypisuje postaci drugoplanowej — Jerzemu Kurnatowskiemu — gdyż wedle zachowanych dokumentów był on najwcześniej zaprzysiężony w Paryżu. Natomiast minimalizuje rolę Abramowskiego, którego formalny status w masonerii rzeczywiście był niejasny i pomija go wśród założycieli Towarzystwa Kooperatystów. Faktycznie zaś Abramowski był

inicjatorem towarzystwa i członkiem jego pierwszych władz, wybranych w listopadzie 1906 roku).

Masoneria, zanim powstała jako formalna organizacja, zatwierdzona przez Wielki Wschód, działała kilka lat jako grupa masońska z wieloma rozgałęzieniami. Skąd to wiadomo? Po pierwsze, ze składu członków kierownictwa Towarzystwa Kooperatystów. Wchodzili do niego ci sami ludzie, którzy nieco później odegrali czołową rolę w formowaniu łóż: Rafał Radziwiłłowicz, Antoni Natanson, Alojzy Wierzchlejski, Paweł Jankowski, Leon Supiński — no i Abramowski. (Skład władz uzupełniali jego akolici — Stanisław Wojciechowski, Romuald Mielczarski i Stanisław Berent oraz Antoni Mędrecki, jedyny, który z Abramowskim nie miał chyba nic wspólnego, za to znał się praktycznie na spółdzielczości). Kilkunastu innych wybitnych masonów, jak Stanisław Patek i Andrzej Strug, było członkami Towarzystwa.

Po wtóre, Towarzystwo Kooperatystów było ważnym i najtrwalszym członem Związku Towarzystw Samopomocy Społecznej, który uformował się spośród członków dawnych „kółek etyków” — a ten ruch był refleksem ideologii masońskiej, z którą Abramowski stykał się na Zachodzie już w końcu XIX wieku (choć, jak z innymi organizacjami, unikał związku formalnego).

Po trzecie, o Radziwiłłowiczu już przed rewolucją „cała Warszawa” mówiła, że jest masonem; miał z wolnomularstwem kontakty, chociaż zaprzysiężony został później. W 1904 roku był w kierownictwie „Kuźnicy”, też zapewne o masońskiej inspiracji, skoro przewodził jej Andrzej Niemojewski, wtedy jeszcze radykał, który odegrał dużą choć efemeryczną rolę w przeszczerpieniu do Polski idei Wielkiego Wschodu.

Powiedzmy, że to były przypadkowe zbieżności. Ale od 1908 roku działała już masońska Kapituła, o której pracach szeroko pisał jej członek Maksymilian Malinowski (pierwszy podał to do druku nie kto inny, jak Ludwik Hass). Centralna władza masonerii była emanacją jej pierwiastkowych grup, które zatem muszą mieć wcześniejszą metrykę — podczas gdy Hass za początek Wielkiego Wschodu w Polsce uważa rok 1910, kiedy powstała pierwsza loża regularna.

Jest wreszcie zapis Witolda Giełżyńskiego, od 1912 roku uczestnika prac Kapituły, będący dla mnie dowodem koronnym, gdyż znam wyjątkową ostrożność Ojca w relacjach o masonerii. Ten zapis brzmi:

„Nie ulega wątpliwości, że myśl powołania do życia wolno-

mularstwa powstała w roku 1905 lub 1906; można to łatwo sprawdzić, badając genezę powstałego wtedy Towarzystwa Kooperatystów, jako zaczątku ruchu masonskiego w Polsce XX wieku. Założycielami Towarzystwa Kooperatystów byli działacze Towarzystwa Kultury Polskiej, prócz Świętochowskiego, wrogię masonerii. Ideologiem głównym był filozof Edward Abramowski. Organizatorami: dr Radziwiłłowicz, inż. Wierzchlejski, dr Antoni Natanson, Józef Dąbrowski („Grabiec”) i inni. Abramowski przyjechał ze Szwajcarii i z Paryża, skąd przywiózł upoważnienie Wielkiego Wschodu do powołania do życia polskiej masonerii”.

W kontaktach z Wielkim Wschodem — jedynym bodaj środowiskiem francuskim, które pozostało wierne ideałom Wielkiej Rewolucji i nie zachwycało się sojuszem z reakcyjną Rosją — był paryski dom Izy i Józefa Zielińskich, Place de la Nation 30, przez który przewijali się wszyscy Polacy goszczący nad Sekwaną. Ostatnimi czasy szczególnie często entuzjaści masonerii: Abramowski, Żeromski, Niemojewski, Kurnatowski. Z ramienia Wielkiego Wschodu transplantowaniem nad Wisłę wolnomularstwa zajęła się loża „Les Rénovateurs”.

Nitki masonskich powiązań, biegnące z Paryża (ale też z Petersburga, Rygi, Genewy, Brukseli) zbiera dr Rafał Radziwiłłowicz, postać barwna, amalgamat starszylacheckiej tradycji monarchistycznej z wrażliwością na nowe prądy do anarchizmu włącznie, nieodzowny arbiter we wszystkich pojedynkach (później, pod wpływem „etyzmu” Abramowskiego... Prezes Ligi Antypojedynkowej), szwagier Żeromskiego i protektor pierwszych prac Marii Dąbrowskiej, angloman, który na złość modzie paryskiej chodził w kraciatych spodniach! Adorowali go pepesowcy, bo on nauczył uwiecznionego w X Pawilonie Piłsudskiego, jak symulować chorobę psychiczną i tym sposobem wyciągnął go do szpitala Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, skąd Władysław i Jan Mazurkiewiczowie pomogli mu uciec (obaj później byli wybitnymi masonami, profesorami UW, — Jan — rektorem). Żeromski, póki był żonaty z Oktawią, darzył szwagra takim sentymentem, że na jego cześć nazwał „Rafałem” Olbromskiego z „Popiołów” i na jego sylwetce zbudował postać Doktora Judyma. Sam Żeromski natomiast, wbrew pogłoskom, nie był zaprzysiężonym masonem, tak jak nie miał legitymacji PPS; lecz tu i tam spełniał rolę ofiarnego sympatyka i propagatora. On namówił w Paryżu Jana Hempla i mojego ojca, ażeby wrócili do Lublina i za pośrednictwem *Kuriera Lubelskiego* krzewili socjalizm, oświatę ludową, spółdzielczość i masonię. Wszystkie te płaszczyzny były ściśle

splecione, a Nałęczów, w którym Żeromski często przebywał, stanowił małą stolicę całego ruchu — enklawę niepodległościowców w Kongresówce, coraz bardziej endeckiej.

Żeromski nie tylko kierował stowarzyszeniem „Światło”, które niosło kaganek pod strzechy Lubelszczyzny, ale patronował całej tej społecznej kampanii inteligentnych radykałów, w tym pierwszym krokom masonów. Ale organizatorem ich był Radziwiłłowicz wraz ze sztabem Towarzystwa Kooperatystów. Inną agendą masonską było Koło Obrońców Politycznych, w którym pierwsze skrzydce grał Stanisław Patek. Członkowie tego koła w dziesiątkach procesów ratowali bojowców rewolucji. Wstrząsające są wspomnienia Patka i Leona Berensona o sytuacjach, w których nic już poradzić nie można, gdy po wyroku obrońca staje wobec śmierci „w zupełnej niemocy, z bezradnie opuszczonymi rękami”. Chociaż i wtedy nie rezygnowali. Szereg uciezek i porwań z więzień oraz nadzwyczajnych ułaskawień udało się mecenasom przeprowadzić nawet po wyroku śmierci. Patek, napisał Berenson, „był ich mózgiem, uosobieniem energii i szaleńczej odwagi”. W obronie Józefa Montwiłł-Mireckiego, kierownika wielu akcji OB PPS, nic już nie mógł zdziałać. Bronił go trzy razy. Pierwsza sprawa — o strzelanie do tajniaków i żołnierzy, którzy go gonili po dachach, póki ostatniego naboju nie skierował przeciw sobie, raniąc się ciężko. Wyrok śmierci. Ale Patek uzyskał kasację i złagodzenie na 15 lat katorgi. Druga sprawa — z donosów załamanych rewolucjonistów — następnych 15 lat. Zbiegł z więzienia i pod Łapami dokonał ataku na pociąg wiozący żołnierzy pułku Wołyńskiego. Znowu wyrok śmierci. Patek udał się do Skałona z żądaniem kasacji, lecz ten odparł: „Nie mogę. Tu chodzi o zbyt sławny pułk. Co by na to powiedział Petersburg”.

Mireckiego powieszono. Na murach X Pawilonu zostawił napis: „Niech żyje Niepodległa Polska! Idea Niepodległości była zawsze przewodnią myślą mego życia i myśli tej nie zatraciłem nigdy”.

Maria, jego żona, po ostatnim widzeniu z Józefem z ogromnym spokojem mówiła do Patka: „Dla nas śmierć nie powinna być straszna i chyba stwierdzamy to zachowaniem swoim. Zwyciężyliśmy oboje, obojętnie patrząc na wszystko, wobec śmierci za ideę”.

Tuż ówczesnej palestry, obok wymienionych także Eugeniusz Śmiarowski, Leon Supiński, Waław Makowski, Waław Łypaciewicz, Tadeusz Wróblewski — należały do pierwszych łóż masonskich. Podobnie wielu lekarzy społeczników. Podobnie orszak

„oświatowców” — jak Andrzej Strug, Stanisław Posner, Tytus Filipowicz, Józef Grabiec-Dąbrowski, Marcei Handelsman, Jan Dąbski, Stefan Ehrenkreutz, Adam Pragier, Zygmunt i Konrad Chmielewscy. Obsadzali oni zarządy wszystkich bodaj organizacji oświatowych o postępowym nastawieniu.

Kapituła masońska zbierała się przy Alei Szucha 5, w willi do dziś zachowanej, należącej do Patka — „Wielkiego Mówcy”. Przewodniczył „Czcigodny” Radziwiłłowicz. Znane są nazwiska jeszcze kilkunastu uczestników zebrań Kapituły, wśród nich Witolda Giełżyńskiego. Mój ojciec był łącznikiem z lożą lubelską „Wolni Oracze” — jedyną, o której zachowało się kilka obszernych przekazów pamiętnikarskich; jej specjalnością była walka z alkoholizmem, szerzenie oświaty i spółdzielczości. Loża lubelska wyróżniała się radykalizmem społecznym, była bliższa PPS-Lewicy niż piłsudczyków, głównie za sprawą Jana Hempła — postać intrygująca — przeszedł odwrotną niż Abramowski metamorfozę ideową: od mistycyzmu religijnego, przez „masoństwo” i anarchizm, do komunistycznego dogmatyzmu. Jego wychowankiem i bliskim przyjacielem był pracownik założonego przez masonerię Lubelskiego Stowarzyszenia Spożywczego i zecer w *Kurierze Lubelskim*, Bolesław Bierut.

Jan Hempel zginął w 1937 roku w transporcie na Kołymę.

W Warszawie istniały dwie regularne loże: „Wyzwolenie” i „Odrodzenie” oraz jedna lub dwie w stadium organizacji. Kaliska loża „Świt”, kierowana przez Grabca-Dąbrowskiego (szwagra Marii) także wielką wagę przywiązywała do spółdzielczości. O dwóch następnych lożach w Kongresówce zachowały się jedynie skrótowe notatki mego Ojca, brak jakichkolwiek innych danych: w Łodzi Wielkim Mistrzem był dr Seweryn Sterling, wybitny działacz niepodległościowy, w Zagłębiu Dąbrowskim inż. Józef Kozłowski, w 1917 roku z ramienia masonerii desygnowany do Tymczasowej Rady Stanu. Czy były to loże „regularyzowane”, nie wiadomo. Niewiele też poza szeregiem nazwisk — w tym Jana Piłsudskiego, brata Józefa — wiadomo o wileńskiej loży „Wierny Litwin”. Istniała także polska loża „Orzeł Biały” w Petersburgu. Twórcami jej byli Józef Ziabicki (w jego fińskiej posiadłości w 1907 roku ukrywał się Lenin) oraz Aleksander Więckowski, ongiś jeden z najwybitniejszych działaczy Wielkiego Proletariatu, towarzysz Waryńskiego. Do tej loży należał ekonomista Hipolit Gliwic, gen. Aleksander Babiański i świetny publicysta Stefan Grostern (jego żona, Aniela, była matką chrzestną autora tych słów). W Moskwie, jak się wydaje, nie było polskiej organizacji masońskiej, ale przy zaufku Kriwoni-

kolskim była jak gdyby jej ekspozytura — u sławnego na całą Rosję adwokata Aleksandra Lednickiego, przywódcy polskiego ośrodka politycznego związanego z Postępową Demokracją. W 1916 roku obie te grupy utworzyły w Petersburgu Koło Przyjaciół Niepodległości Polski, do którego należało wielu postępowych Rosjan, wśród nich Kiereński. Gdy w marcu 1917 roku władzę w Rosji objął Rząd Tymczasowy pod jego kierownictwem — zadeklarował konieczność utworzenia państwa polskiego, złożonego ze wszystkich ziem o polskiej większości.

Spora grupa masonów działała we Lwowie, lecz brak informacji, czy należeli do Wielkiego Wschodu i byli zorganizowani w lożę. Czołową postacią tego środowiska był architekt Hipolit Śliwiński, blisko związany z Piłsudskim, Kazimierzem Sosnowskim i Władysławem Sikorskim. Wspólnie od 1908 roku organizowali Związek Walki Czynnej, którego kwatera mieściła się w domu Śliwińskiego przy Kadeckiej 6. Onże założył Polskie Stronictwo Postępowe, polityczne zaplecze ZWC.

Nie istnieje dowód, by także Sikorski należał do masonerii, a on sam temu zaprzeczył, co zresztą o niczym nie rozstrzyga — masoneria bowiem zezwalała, a nawet nakazywała swym członkom, aby w razie konieczności, jeśli to służyło celom zakonu, negowali swe związki wolnomularskie. Jeżeli nawet Sikorski nigdy nie był zaprzysiężony, to jego związki z Wielkim Wschodem były oczywiste. Odkąd ostygł w sympatiach do endecji, po roku 1905, był zwolennikiem nurtu liberalno-demokratycznego, chociaż o bardziej prawicowym zabarwieniu, niż masoneria. Należało do łóż wielu jego najbliższych przyjaciół, jak Stanisław Downarowicz i Stanisław Kot. Podczas pierwszej wojny bazą wpływów Sikorskiego w Kongresówce była Liga Państwowości Polskiej, założona i kierowana przez masonów.

Szczególnie aktywna była masoneria bezpośrednio przed Wielką Wojną. Zjazd „irredentystów” w Zakopanem, latem 1912 roku, zorganizowany był przez Abramowskiego i Radziwiłłowicza, w porozumieniu z Żeromskim, Sieroszewskim, Posnerem i Sokolnickim — jednym z najbliższych współpracowników Piłsudskiego. 10 listopada 1912 roku w wiedeńskim mieszkaniu Hipolita Śliwińskiego partie aktywistyczne stworzyły Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronictw Niepodległościowych; inicjatorem był Piłsudski, ale w pracach przygotowawczych brało udział wielu masonów, którzy opowiadali się za akcją strzelecką. Kontakt między Kapitułą, a ośrodkiem lwowskim był stały. Maksymilian Miłgaj-Malinowski tak (niezbyt gramatycznie) odnotował ten fakt:

„Zebrania te, narady nasze we Lwowie miały wtedy za zadanie, za cel główny jednoczenie nas tu z nimi tam i w jednakim jednym pragnąc, do jednego dążyć, jednego chcieć”.

W Kongresówce podstawą zjednoczenia stronnictw niepodległościowych była PPS. Na jej gruncie „grupa piłsudczykowska” stykała się i współpracowała z tymi członkami i sympatykami PPS, którzy zarazem stanowili elitę masonerii. Na lożowych zebraniach starano się zacierać rozłam między PPS a „Lewicą”, potem „opozycją” Feliksa Perla. Przejście Struga, Posnera i Pragiera na stronę niepodległościową nastąpiło w tym czasie, gdy zaczęli wsiąkać w koła masonskie. Podobnie było w innych ugrupowaniach. Polski Związek Ludowy był sterowany przez Abramowicza, Radziwiłłowicza i Osieckiego — masonów. Ich wpływ sięgał do Związku Chłopskiego (Artur Śliwiński, Paweł Jankowski), który był przybudówką PPS, zaś ruch „zaraniarski”, kierowany przez Malinowskiego, był jedną z najważniejszych odnóg wolnomularstwa, podobnie jak „kółka staszycowskie”. Plejada masonów obsadziła Związek Patriotów, który miał znaczne wpływy wśród inteligencji. W drugiej linii działało kilkanaście stowarzyszeń społecznych, pośrednio lub wprost kierowanych przez masonerię. Niemalą rolę odegrała ona także przy rozrywaniu obozu Dmowskiego, wyłuskała zeń kilka secesji i frond, które stworzyły nurt narodowo-niepodległościowy. Kilku dawnych działaczy narodowych (Gustaw Simon, Stefan Dziewulski, Antoni Ponikowski) weszło do łóż i Ligi Państwowości Polskiej.

Kiedy wyteśkniona wojna narodów stała się faktem, spowodowała zrazu nie tyle patriotyczną konsolidację Polaków, co kompletną dezorientację i wielokierunkowe rozłamy. Nawet z dwóch braci Grabskich — dawnych socjalistów, teraz czołowych narodowców — Władysław w Warszawie podpisał list wyrażający carowi wiernopoddane uczucia, a w Krakowie Stanisław wezwał rodaków do wyzwolenia spod jarzma carskiego. Masoni nie przeżywali takich rozterek. Wszyscy opowiadali się za walką przeciw caratowi, uznając przywództwo Piłsudskiego. Nie we wszystkim byli z nim zgodni, zastrzeżeń nie ukrywali, ale w chwili próby zdjęli masonskie fartuszki — przypasali szpadę.

Żywili i knuli

Między dniem, w którym Bartoszowi udało się pchnąć kosy nierów na rosyjskie działobitnie, a dniem, w którym wieśniaczy

tłum pierwszy raz zaśpiewał: „Oj nie traćwa nadziei” — kilka pokoleń chłopów żyło w obojętności wobec Sprawy, i jeśli od kogoś oczekiwano lepszego bytu, to od Jaśnie Wielmożnego Cara. Hasło „Żywią i bronią” miało mizerne podstawy podczas zrywów narodowych. Owszem, zdarzały się patriotyczne jednostki, nawet wsie, ale jak rzadkie rodzynki w cieście rustykalnej ciemnoty i pokory. To nie była wiernopoddająca bierność, gorzej, to była aktywna niechęć wobec buntowników, którzy Boga w sercu nie mieli, skoro porywali się na Majestat. Ciarki przechodzą, gdy się czyta o chłopskiej nadgorliwości. Jak we wsi Pieróg chłopci w 1846 roku związali śpiących powstańców z partii Pantaleona Potockiego i radośni oddali żandarmom na powieszenie. Jak namiestnik Paskiewicz fetował i nagradzał (sumą 308 rubli) czterestu chłopów, którzy najdzielniej krępowali śpiących. Jak wierni włościanie z Augustowskiego, Birsztejn i Rymkiewicz, własną ręką Najjaśniejszego Pana zostali obdarzeni orderami i kwotą 30 rubli każdy za pojmanie dwóch wichrzycieli. Księża Ściegiennego w kieleckim także zadenuncjował chłop, Walenty Janic. Tron i szubienica miały na wsi mocne podpory.

Powstańcy 1863 roku jak barany dawali się wiązać chłopom, byleby nie strzelać do ludu. Wiedzieli, że jeśli ludu nie zjedną, to i oni, i Polska skazani są na przegraną.

Długo i mozolnie szło spulchnianie twardej grudy. W każdej dzielnicy inaczej.

Odrębność dziejów poszczególnych zaborów i ich specyfika wyciskały swoiste piętno na wszystkich politycznych orientacjach — lecz najmocniej na ruchu ludowym.

Socjaliści mieli przynajmniej w genezie wspólną doktrynę marksistowską, a w praktyce działań także wspólny ideał niepodległościowy. Między PPS w Kongresówce, galicyjską PPSD oraz niewielką PPS zaboru pruskiego istniały wprawdzie różnice w programach, tradycjach i taktyce, ale po wyzwoleniu Polski łatwo doszło do ich integracji.

Narodowi demokraci również — mimo sporów taktycznych w trakcie pierwszej wojny — znaleźli wspólną platformę i stworzyli wokół siebie potężny blok prawicy, pilotując chadecką siostrzycę.

Konserwatyści, w każdym zaborze lojalni wobec swego cesarza, stanowili zarazem ponadzaborową jedność klasową i mentalną. Ten nurt, w którym polskość ledwie kołatała jako tradycja i obyczaj, stał się niepodległościowym dopiero w niepodległym państwie.

Radykałowie i liberałowie inteligencycy byli konglomeratem

paru tuzinów efemerycznych stronnictw, lig, zjednoczeń; później wtopili się na ogół w partie o szerszym zapleczu, do czego przyczynił się rozpad Wielkiego Wschodu.

Wreszcie, *last but not least*, osobliwość polskiego pejzażu politycznego, jaką był obóz piłsudczykowski; ta partia — nie partia, pozbawiona postaci instytucjonalnej, a nawet skonkretyzowanego programu, zjednoczona jedynie kultem Komendanta i tradycją walk niepodległościowych — była mimo wszystko skonsolidowana aż do śmierci Piłsudskiego. Nieokreślony ten lecz potężny konglomerat polityczny powstał przez aglutynację — pod egidą byłych „fraków”, pepesowskiej prawicy — fragmentów dosłownie wszystkich partii. Nawet dawnych proletariaczyków była przygarść niemała, przylgnęło doń mrowie wychowanków Dmowskiego, mnóstwo radykałów i liberałów, a nie brakło też ani chłopów, ani „żubrów” konserwatywnych. Tylko Wielkopolanie trzymali się na stronie, a jeśli któryś przystąpił do piłsudczyków, to wzbudzał zgorzsenie swych ziomeków.

Inaczej rzecz się miała z ruchem ludowym, który jeszcze przez połowę Dwudziestolecia nie mógł się scalić wokół wspólnego programu i przywództwa. Potoczny pogląd niektórych historyków, jakoby sedno rozdźwięków tkwiło po prostu w tym, że „Piast” sympatyzował z endecją, a „Wyzwolenie” z Piłsudskim — jest humorystycznym uproszczeniem. Na dezintegrację ludowców wiele się złożyło przyczyn, z których przynajmniej cztery miały doniosłe znaczenie.

Pierwsza, choć nie najważniejsza, to klasowe rozwarstwienie wsi. Oczywiście, leninowskie szufladkowanie chłopów na kułaków, średniaków, małorolnych, bezrolnych oraz robotników rolnych miało z realiami wsi niewiele wspólnego, aczkolwiek te dwie ostatnie kategorie stały rzeczywiście w klasowej opozycji do „prawdziwych” gospodarzy i były podatne na agitację komunistyczną. Z nich KPP i jej wiejskie przybudówki miały pociechę, a i dziś wśród „zasłużonych weteranów” liczni są i opętani sekciarską demagogią ci, co wyrosli w folwarcznych czworakach. Ale wieś, chociaż różnice majątku i prestiżu były w jej obrębie ogromne, stanowiła osobliwą jedność obyczajową i psychometryczną, opartą na fenomenie patronatu. Znakomicie opisał to Stefan Czarnewski, socjolog marksizujący (choć w swoim czasie oficer legionowy). „Zamoźniejsi gospodarze stanowią w każdej prawie wsi oligarchię patronów — stwierdził. — Każdy z tych gospodarzy skupia wkoło siebie pewną liczbę zależnych odeń gospodarzo małorolnych i bezrolnych, stale tych samych, i poczuwa się do pewnych — minimalnych zresztą — obowiązków zwyczajowych

w stosunku do nich. Chłop-klient może zawsze liczyć na pewną pomoc, np. w razie katastrofy żywiołowej, śmierci kogoś z rodziny itp. w naturze, ale przede wszystkim w zabiegach ze strony swego patrona. Ten ostatni jest do pewnego stopnia opiekunem... Zawsze zaś uważa się za przyrodzonego przywódcę politycznego i wyłamanie się spod tego przywództwa uważa za coś, jakby zdradę... Wielka część wsi polskich przedstawia obraz drobnych rzezypospolitych lokalnych, złożonych z zestawionych grup klienteli, rządzonych — niczym przez jakiś senat — przez oligarchię małych patronów”. Taką strukturę Czarnowski opisał na podstawie badań wsi międzywojennej, przeto tym bardziej musiała być powszechna w dobie zaborów. Owszem, chłopstwo czuło więź klasową względem i n n y c h warstw, lecz wewnątrz było nader spójne, pomimo sprzeczności i ekonomicznego rozwarstwienia. Rozbieżności pomiędzy partiami chłopskimi nie polegały na tym (bądź polegały w stopniu niewielkim), że miały klientelę o różnym majątku, statusie i aspiracjach. Zarówno w „Piaście”, jak „Wyzwoleniu” (oraz w ich poprzedniczkach i odpryskach) dominowali chłopi bogatsi, owi patroni, ciągnąc za sobą popleczników-biedaków. Inną jest kwestią, że w różnych regionach kraju różna była skala chłopskiej zamożności. Dobrze sytuowany gospodarz galicyjski był co najwyżej średniakiem przy pomorskim „gburze”.

Druga, ważniejsza przyczyna niespójności ruchu ludowego tkwiła w sferze zróżnicowanych doświadczeń jego działaczy. Ludowy polityk z Małopolski, często autentyczny chłop, przechodził szkołę austriackiego parlamentaryzmu, znał się na taktyce partyjnej, zawierzał legitymizmowi państwa, był nieufny wobec hasel rewolucyjnych — a zarazem miał świadomość odrębności chłopskich interesów, szczególnie odkąd rangę „króla-Piasta” zdobył Wincenty Witos. Galicjanin-ludowiec myślał kategoriami potrzeb i celów całej wspólnoty wiejskiej, na inne środowiska — od panów i księży po robotników — patrzył podejrzliwie, lecz się nie rwał do przewracania świata; bliższy był konserwatyzmu niż radykalizmu. Inaczej zapalczywy, niedoświadczony działacz z Kongresówki. On właśnie zrzucał z siebie powłokę solidaryzmu, wpojonego mu powierzchownie przez narodowych oświatowców i wyzwalał się spod autorytetu księdza. Czy antyklerykalizm królewickich chłopów (który wcale nie oznaczał utraty religijności) był spontaniczną reakcją na łączenie się większości kleru z obozem prawicowym, czy wynikał z przesączania się ideologii socjalistycznej, czy wreszcie z inspiracji masońskich, tak żywych wśród „zaraniarzy”? Nie ma ani sposobu, ani sensu, by rozszczepiać włos

na czworo. Z pewnością każdy z tych składników jakoś konstituował etos ludowców z Kongresówki. Może zresztą wpływ największy wywarł nań nawyk pracy podziemnej, konspiracyjnej, której horyzontem było wyzwolenie społeczne i narodowe.

Bardzo trudno było stronnictwom ludowym przezwyciężyć tak wielkie odmienności tradycji. Zwłaszcza, że dopiero zaczynała kiełkować populistyczna ideologia ruchu ludowego — agraryzm — która nigdy zresztą nie stworzyła zwartej doktryny.

Ludowcy — i to jest trzecia przyczyna ich niespójności — połykali hasła od sasa i lasa. W Galicji krzyżowały się idee socjalistyczne (a ściślej socjalizmu agrarnego zapożyczonego od narodników), z mocnym nurtem katolicyzmu, który emanował z Wiednia, był jak gdyby ideologią monarchii habsburskiej. W Kongresówce wątki socjalistyczne — w pepesowskiej wersji — miały większą wyrazistość, prąd katolicki był wątyły, natomiast nacjonalizm, wnoszony przez różne agendy Ligi Narodowej, był bardzo mocny, aczkolwiek przygasał po rewolucji 1905 roku. Wszystko to razem tworzyło podglebie myśli niepodległościowej, wpajanej przez socjalistów i zaraniarzy, ale czas tych zabiegów trwał krótko, plony były dość mizerne. W zaborze pruskim absolutnie dominował solidaryzm pod egidą kleru, który wnosił ideologię nacjonalistyczną — aczkolwiek w złagodzonej jakby postaci; zapewne dlatego, że kwestia żydowska utraciła tam ostrość, odkąd rozrost polskiego mieszczaństwa i potęga spółdzielczości wielokrotnie rozrzedziły populację Żydów w poznańskich miastach i miasteczkach. Antysemityzm miał tam gorszą pożywkę.

Istniała wreszcie czwarta, kto wie, czy nie najważniejsza przyczyna inności postaw chłopów w każdym z zaborów, chociaż historycy jakoś ją negliżują. Polegała ona na tym, że reformy uwłaszczeniowe odbyły się w różnym czasie, w innych pokoleniach. W Prusach — już w roku 1823, w Galicji — w 1848, w Kongresówce — w 1864. To różnicowało postawy chłopów. W Wielkopolsce zdążyła wygasnąć ostra nienawiść do ziemianina; tam i tylko tam możliwe było zgodne współżycie antagonistycznych dawniej klas w rozmaitych instytucjach oraz zgodne przeprowadzanie parcelacji wielkiej własności drogą wykupu. Solidaryzm przekreślił rewolucyjność, która po raz ostatni przejawiała się tam w epoce Wiosny Ludów.

Także w Galicji wystygła już wśród chłopów (ale nie wśród szlachty) pamięć o Jakubie Szeli. Tutejszy chłop był na ogół skrajnie biedny. W 1898 roku przeciętne gospodarstwo miało 2,5 ha. Dla dwóch milionów wiejskiej nędzy marzeniem na przednówku był, najdosłowniej, kęs chleba. Ratunkiem była emigra-

cja do „Hameryki” (średnio 90 tysięcy rocznie) lub sezonowa „na saksy”, popierana przez władze jako kłapa bezpieczeństwa. Zarazem w Galicji Wschodniej włościanin czuł się zagrożony przez rewoltującego się chłopca-Rusina. Ich strajk na początku XX wieku przeraził ziemiaństwo, ale i chłop polski kosym okiem patrzył na zbuntowanych unitów. Zabiedzony, ciemny, zewsząd zagrożony — traktował austriacki urząd jako pewną asekurację. Podobną tarczą była dlań plebania, a nawet dwór! To nie oznaczało w żadnym razie klasowej idylli, było do niej daleko. Ale antagonizm rozszczepił się na dwa modele stosunków: feudalnej wzgardy i patriarchalnego pseudo-partnerstwa.

Pierwszy model opisał Witos: „Chłopom dawano na każdym kroku odczuć ich niższość, darzono lekceważeniem i pogardą i przypominano przy każdej sposobności, że te ślepe i śmierdzące chamy przecież zupełnie są z innej gliny”. Patriarchę galicyjskich ludowców, Jakuba Bojkę, jego kolega-poseł dr Jordan nazwał z trybuny sejmowej „bydlęciem”, co zresztą Bojko zniósł ze stoickim humorem. Wśród pokornych, zabobonnych Galicjaków tkwiła wiara w naturalny, boski podział ludzi na panów i chłopów, która amortyzowała wrogość do ziemian-wyzyskiwaczy. „Nie bójmy się włościan — pisał Józef Dietl — oni są z natury konserwatystami”.

Drugi model stosunków wynikał z tego, że młodopolska inteligencja przejęła się misją pojednania z chłopstwem i potraktowała ją aż nazbyt dosłownie — bo matrymonialnie!

Przed półwieczem, plotkując z Zygmuntem Krasieńskim o George Sand, Mickiewicz powiedział był: „Wszędzie głosi, że się z ouvrierami trzeba łączyć, a czemuż córki za robotnika nie wydała? Albo tak czyn, jak piszesz, albo nie pisz wcale: albo nie stawaj wodzem w bitwie, albo giń i gub się z wojskiem, które prowadzisz!”.

Galicjanie posłuchali wieszczka. Pierwszy Włodzimierz Tetmajer żeni się z Mikołajczykówną w Bronowicach, robi w polu i maluje świetne obrazy. Lucjan Rydel bierze drugą Mikołajczykównę — z czego wyniknie „Wesele” — i w chłopskim stadle dopisuje mu twórcza wena.

Dobrze te Bronowice wybrali. Wieś podkrakowska, zasobna, istna oaza pośród bezmiarów nędzy galicyjskiej.

Bodaj trzeci jest Wyspiański. Ale on długo pozostał w mieście i nie bardzo mu się ułożyło z Teosią Spytkówną, której wieśniacza dusza ani rusz nie chciała się dopasować do krakowskiej cyganerii.

Ich śladem jeszcze przygarść „malarii” na wsi osiada, na co mieszczaństwo krakowskie reaguje towarzyskim ostracyzmem. Filistrzy czynią zdeklasowanym różne despekty, aż Tetmajera musiał podeprzeć ks. Czartoryski, demonstracyjnie paradując z nim po rynku. Chłopomanstwo miało cechy groteskowe — co z impetem atakował Wacław Nałkowski. Ale to nie cała prawda. To nie były tylko literackie fanaberie znudzonych paniczyków. W czasach Młodej Polski Kraków pęczniał artystami wszelkiego autoramentu, którzy nie z fantazji jeno, lecz z biedy prowadzili żywot cygański. Popyt na ich płody dalece nie dościgał podaży, przeto Rydel nie tylko popadł w olśnienie wsią „bajecznie kolorową”, ale też prozaicznie chciał sobie poprawić byt. I to nie wyczerpuje wszakże jego i Tetmajera chłopomańskich ciągot. W elicie żywe były nadal wspomnienia chłopskiej rabacji z 1846 roku („Pan się we wsi boją ruchu!”), a nawet i kosy raclawickie pamiętano — więc „chłop potęgą jest i basta” traktowano całkiem serio. Nie tylko w Polsce zresztą epatowano się wtenczas chłopskim „witalizmem”, identycznie było w Rosji i w Skandynawii, we Francji też Gauguin zachwycił się ludowością.

Aliści chłop galicyjski nadal swej polskości nie był świadomy. Dał temu świadectwo historyk i etnograf Franciszek Bujak, opisując w 1903 roku społeczność okolic Limanowej:

„... na zapytanie kim są (jakiej są narodowości) odpowiadają po namyśle, że są katolikami w przeciwieństwie do luteranów i żydów, albo, że są chłopami, albo wreszcie c y s a r s k i m i, a na przekonywanie ich, że są Polakami, obruszają się i nie chcą dalej rozmawiać”.

Ani Tetmajera, ani Rydla nie zraziła ta ignorancja. Obaj pół dorosłych lat spędzili wśród chłopów, ich życiem żyli i dokonali niemało, by zwrócić ich ku narodowym celom. Lekce sobie wazylu docinki i anegdoty, od czego nawet Boy nie potrafił się powstrzymać. Tetmajer zaczął od założenia Straży Pożarnej w Bronowicach, potem musztrował chłopów, by przysposobić ich do wojaczki, potem odczytami rozwijał ich historyczną świadomość, a skończył na pracy w Stronnictwie Ludowym. Chłopi zaufali szczerości jego życiowej drogi, wybrali go swym posłem do wiedeńskiego parlamentu. Rydel miał ambicje raczej oświatowe. Rozkrzewił ludowy teatr — sam dlań pisał, sam reżyserował — słusznie twierdząc, że widowisko łatwiej niż książka trafi do chłopskiej wyobraźni. Wieś ich doceniła i zapamiętała jako tych, co położyli fundament jej zbiorowego współżycia. Zbliżyli

do ojczyzny tych, co nie tak dawno z Szelą różnili „polskich panów”.

Te incydentalne przypadki ilustrują szersze zjawisko. W Galicji antagonistyczne klasy miały pewien zakres wspólnych celów, chociaż znacznie węższy, niż w Wielkopolsce. Inteligencja kokietowała chłopów, natomiast ziemiaństwo obrało ostrożną taktykę prowadzenia ich pod własną — czyli „starszych braci” — opieką. Tylko w niektórych okolicach (na przykład w Tarnobrzescu) wiejska biedota chętnie dawała ucha skrajnym radykałom, którzy w końcu trafili do KPP. Przeciwwagę stanowiły okolice, gdzie chłopstwo było zasobniejsze i już doceniało względne swobody narodowe istniejące w Galicji — oraz tradycyjalne wsie Górali, którzy nie mieli kompleksów wobec „ślachty”; byli biedni ale wolni. W niektórych wsiach podkrakowskich odradzała się mitologia kosynierska, nad Sanem chłop stawał się tym bardziej polski, im bardziej ruski był Rusin. Nade wszystko zaś ruch ludowy miał tutaj duży zasięg i rozbudzał patriotyzm.

Jeszcze inaczej, najmniej solidarystycznie, było w Kongresówce. Konflikt dwór — wieś był żywy, dramatyczny. Uwłaszczenie wszak przyszło „od cara” i pamięć o tym była świeża. Projektodawca tej reformy Milutin w liście do żony napisał, że przez podniesienie uciskanego ludu osłabi się „Polskę szlachecką i łacińską” (dla Rosjan Polska i Rzym były omal synonimami), a uwłaszczone chłopstwo stanie się „rzeczywistą podporą” rosyjskiej władzy. Ukaz carski o nadaniu chłopom praw własnościowych miał charakter *par excellence* polityczny i cel swój na pewien czas osiągnął. Obdarowany ziemią chłop musiał się przekonać na własnej skórze, że łaska carska dała mu o wiele mniej, niż się spodziewał; ciągle biedował, jadł kluszcankę lub niekraszzone ziemniaki, gdyż jego drobne gospodarstwo o niewielkiej produktywności zostało śmiertelnie zagrożone przez spadek cen w wyniku konkurencji zboża ukraińskiego i zamorskiego. Wtedy nastroje zaczęły się zmieniać, kult cara wygasł. Ale od ziemi nina nadal chłopów oddzielała wrogość. Wieś miała w świeżej pamięci wszystkie krzywdy, szczególnie ucisk pańszczyźniany, który w innych zaborach był już mroczną legendą staruszków. A do tego nadal walczyła z dworem o serwituty, które jako kość niezgody pozostawili w ustroju agrarnym chytry rosyjscy reformatorzy.

Czy istniały jakieś odruchy narodowe? Istniał raczej baśniowy świat, kreowany przez wioskowych staruchów i wędrownych dziadów. Tomasz Nocznicki, biedniak spod Grójca, sierota i podrzutek — później czołowy przywódca Wyzwolenia i minister bez

teki w rządzie Daszyńskiego — zanotował ich klechdy. Wspominał dziada Gajdeczkę, który po 30 latach Sybiru opowiadał, jak to pod Olszynką 13 razy szedł z czwartakami na bagnety, jak Króla Stasia wujowie przestrzegali „Oj Stasiu, Stasiu, stracisz ty Polskę”, jak Kościuszko wojował, a lud uciekał do lasu. Starzec Filip roznosił gadki z posmakiem klasowym: ile który chłop dostał różgą, prętem albo batem, który dziedzic sam chłostać lubił, a który kazał karbowemu. Zapisał Nocznicki, jak wiejski nauczyciel, gdy wprowadzono rosyjski na religię, rozpląkał się, nie mogąc wykrztusić „Otcza nasza”. Zapisał, że Powstanie Listopadowe chłopci wspominali z życzliwością dla Polaków, a do Styczniewego mieli stosunek wrogi, gdyż w Woli Pogroszewskiej dziedzic kazał szubienicę stawiać — bo „polskie prawo teraz” — dla dwóch chłopków, co wzięli z pola parę snopów. Wszyscy gospodarze na klęczkach błagali go o zlitowanie, nim udobruchał się i tylko kazał biczować grzeszników pod trzema krzyżami, pod każdym 50 batów; jeszcze musieli pańskie buty wyciąlować za to miłosierdzie. Pamięć o „polskiej sprawiedliwości” przetrwała wiele lat.

Zanotował też Nocznicki, że gdy wybuchła Wielka Wojna, to wszyscy na wsi, co do jednego, nagle o Rosjanach zaczęli mówić: *n a s z e* wojsko i na pobór szli bez ociągania. A było to już w czasach bardzo przecież odmienionych przez „Zaranie”, którego tytuł właśnie Nocznicki wymyślił. „Ci ludzie, których miałem około siebie, nie myśleli o żadnej niepodległości”. Dopiero pod koniec wojny wołali: „Chcemy Polski, ale takiej, w której by szlachta nie rządziła”.

Nie był to z pewnością casus wyjątkowy. Grójeckie bądź co bądź należało do powiatów podwarszawskich, które były urabiane przez inteligencję o rozmaitych zapatrywaniach. W innych okolicach, jeśli było inaczej, to raczej gorzej. Jednak wszędzie już drgnęło, już przynajmniej mówiło się po wsiach, że jakaś Polska była. Zaczęły się rozchodzić książki, z „Potopem” na czele, zbierano datki na msze za śp. Andrzeja Kmicica. Docierały też szokujące wieści, iż w Krakowie poeci i malarze żenią się z chłopkami. Niespecjalnie wrzeszało to wieśniaków, natomiast niejednen z posesjonatów jął klepać po ramieniu co solidniejszych gospodarzy, a imiona Bartek i Maciek zawędrowały z czworaków na salony. Te inteligencyjne zabiegi, choć przyniosły później piękne owoce, w postaci radykalnego Wyzwolenia, miały jednak wpływ naskórkowy, ograniczony do niektórych regionów z Lubelszczyzną na czele. Nadal dominowały antyszlacheckie nastroje, gdzie indziej dyskutowane przez SDKPiL. Wieś domagała się dwor-

skiej ziemi bez wykupu, a chociaż stereotyp Polak-katolik odgraniczał ją od prawosławnych Rosjan (jak w Wielkopolsce od „lutrów”), to jednak Polska wciąż się kojarzyła chłopom ze szlachetczyzną. Natomiast mit rosyjskiej ludowości i demokratyzmu, planowo przez carat krzewiony, znajdował wielu naiwnych odbiorców. Rosjan nie kochano wśród włościan, ale za wroga numer jeden uważano Niemców. „Gdzie nie było zaraniarzy, tam nie było z kim mówić o Polsce” — stwierdził Wacław Sieroszewski. A ilu ich było? Najwyżej kilkanaście tysięcy. Ułamek procenta wiejskiej ludności.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że ruch ludowy w Galicji — już masowy — miał oblicze konserwatywne, a w Kongresówce — stawiający pierwsze kroki — bardzo radykalne, miejscami rewolucyjne. W trakcie pierwszej wojny i tuż po niej wiele się co prawda zmieniło, Wyzwolenie urosło i przerosło „Piaста” liczebnością, lecz oba te stronnictwa rozdzielała przepaść, mimo że nadrzędny autorytet zdobywał charyzmatyczny Witos. Intelektualista Thugutt nie mógł go zrównoważyć, mózgowcy nie nadają się na liderów ruchów masowych. Potem oba stronnictwa przeżywały przygody frakcyjne, dzieliły się i znów łączyły, trwały wędrówki działaczy od jednego do drugiego klubu poselskiego, ale nimb Witosą rósł i wreszcie jego „Piaść” stał się bazą zjednoczenia, choć uległ radykalizacji pod wpływem Wyzwolenia.

W zaborze pruskim w ogóle przed pierwszą wojną ruchu ludowego nie było, poza małą enklawą *Gazety Grudziądzkiej* Wiktora Kulerskiego. I jej nastawienie zresztą było solidarystyczne, bo w warunkach zaboru pruskiego inne nie miałyby szans. Ale był to odmienny solidaryzm, niż kierowanego przez możnowładców *Dziennika Poznańskiego*, który konsekwentnie apelował o jedność przeciwko naporowi germanizacji i piętnował wszystkich, co ją nadwerężali. Oba te organy prasowe jednak budziły poczucie narodowe: występowały w obronie ziemi przed niemiecką kolonizacją, dbały o zachowanie wiary, języka, kultury polskiej. Ale Kulerski ponadto akcentował społeczne interesy włościan, przygotowywał ich emancypację spod skrzydeł warstw wyższych, zakładał podwaliny ruchu chłopskiego — co ucieleśniło się dopiero w niepodległej Polsce, w wielkiej mierze dzięki energii Wielkopolanina — Stanisława Mikołajczyka.

Pomimo, że ruch ludowy w zaborze pruskim nie istniał, a więc była domeną endecji lub chadecji — to rola wielkopolskich i pomorskich chłopów w tworzeniu zrębów niepodległości była olbrzymia. Cóż, że nie pod własnymi sztandarami. Sprawdzał się wyrażany przez *Dziennik Poznański* realistyczny optymizm, że

jeśli sytuacja na ziemiach polskich nie zmieni się zasadniczo, to sił do oporu przeciw germanizacji starczy najwyżej na... 200 lat. Aż tak długo nie trzeba było czekać, przeto Wielkopolska wytrwała. Dostatek, znacznie wyższy poziom oświaty, nawyk samoorganizacji, a zwłaszcza zdecydowana wrogość do Niemców (do „bolszewii” też) były kapitałem, który wspaniale procentował w procesie konstruowania Rzeczypospolitej, mimo opozycji tej dzielnicy wobec postępowych reform. Wielkopolska nie tylko sama zorganizowała jedyne w dziejach Polski zwycięskie powstanie i prawie o własnych siłach wyzwoliła się spod Niemca, ale też najęściej wypełniła świetnym żołnierzem (wyszkolonym bądź co bądź w armii pruskiej) szeregi wojska polskiego. W kampanii 1920 roku dywizje wielkopolskie spisywały się wyśmienicie. Miał rację *Dziennik Poznański* dowodząc, iż złowieszcza Hakata *per saldo* wyszła Polakom na dobre, albowiem wzmogła ich wolę oporu i świadomość, ujawniła energię, przekreśliła skłonności ugodowe. Pogardliwe określenie, że patriotyzm Wielkopolan był „bogoojczyźniany” jest może trafne, ale bez znaczenia — gdy mowa o jego zasługach dla Polski.

Patriotyzm chłopów galicyjskich sprawdzał się w trakcie pierwszej wojny, przez poparcie dla Legionów i udział stronnictw ludowych — „Piasta” i PSL-Lewicy — w ich politycznym zapleczu: Naczelnym Komitecie Narodowym. Wyspiański przeszedł, że chłopci się rwą do bijaczki, lecz wyczuł, że coś w nich gra, ten złoty róg...

Przy kolebce ruchu ludowego w Galicji stały trzy barwne postacie, krańcowo odmienne: Bolesław Wysłouch, ziemianin-socjalista, wykształcony teoretyk, w młodości towarzysz Waryńskiego; suspendowany jezuita ks. Stojałowski, bigot i zapalczywy trybun chłopski, antyszlachecki rewolucjonista i zarazem antymarksista, w sumie niezrównany demagog; oraz Jakub Bojko, syn skrajnie biednej rodziny (już jako pięciolatek służył za pastucha u żydowskiego karczmarza), potem flisak, wreszcie filozofujący działacz i wiejski mędrzec. Nic dziwnego, że przy takich rodzicach dziecię — ruch ludowy — cierpiało na schizofrenię, zezowało na Rzym, na pozytywistów, na rosyjskich narodników, na Dmowskiego, dopóki na czoło nie wysunął się z gruba ciosany, twardy wójt z Wierzchosławic — Wincenty Witos — który obrał drogę konserwatywnego kunktatorstwa, nieefektywną lecz odpowiadającą chłopskiemu usposobieniu.

Wchodził już na spulchnione pole. Orka jego poprzedników pobudziła wieś, zapłodniła pewnością siebie, zapoczątkowała poczucie wspólnoty klasowej, skonkretyzowanej zrazu w interesach

gminnych, ośmieliła do potyczek z ziemiaństwem, chwilowo o serwituty leśne i pastwiskowe. Oni rzucili ziarna patriotyzmu w jałową, nieużyźnioną glebę.

Ks. Stojałowski ziarenka te rozsiewał ostrożnie. Stale podkreślał swe oddanie monarchii, a próbował hasło „przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy”, lecz wydał też dwie broszury o znamiennych tytułach: „Czy będzie Polska?” oraz „Kiedy będzie Polska?”. Uważał, że wtedy, gdy choć jedno zwycięstwo polskiego oręcza rozbudzi w chłopie szlachetne instynkty, a stanie się to podczas wojny Austrii z Rosją. Słowem ks. Stojałowski wyprorokował (w 1878 roku!) aktywizm, wojnę światową i jej skutki. Doraźnie było jego zasługą, że wyrwał chłopą z biernej rezygnacji, inspirował ruch oświatowy. W wieku sędziwym, zaprzeczwszy własnym buntowniczym ideałom, przystał do konserwatystów, potem do endecji.

Motorem postępu był najpierw *Przegląd społeczny* Wysłoucha i jego socjalizującej małżonki, Marii z Boufałów. Czasopismo skupiło lewicową elitę galicyjską, sięgnęło po wybitne pióra z Kongresówki, zjednało Limanowskiego, zresztą kuzyna Wysłoucha. Ton ideowy nadawał jednak on sam. W jego myśli społecznej, która daleko wykraczała poza galicyjski zaścianek, nitka narodowa była widoczna. *Przegląd* demaskował germanizacyjne praktyki w zaborze pruskim, chwalił (piórem T. T. Jeża) emigrację, co miało zakamuflowany sens niepodległościowy, lansował ideę porozumienia Polaków i Rusinów w Galicji, wbrew rodzącemu się z obu stron nacjonalizmowi. Za pomocnika w tym dziele miał wybitnego działacza ukraińskiego Iwana Franko. Główną ideą Wysłoucha, odkąd wyzwolił się spod uroku narodnictwa, było przesunięcie punktu ciężkości życia narodowego do niższych warstw społecznych — co mu się w dużej mierze powiodło, bo nie poprzestawał na pisaniu, ale sam działał wśród ludzi.

Już w pierwszych szkicach programowych projektowanego ruchu ludowego Wysłouch kładł akcent na polityczne odrodzenie narodu i wskrzeszenie własnej państwowości, opartej na ludowej bazie. Zalecał kojarzenie „aktów wiary” patriotyzmu z procesem ewolucji myśli społecznej i narodowej, zgodnym z „ideałem wszechludzkim”. Ten ideał był po trosze z Wielkiej Rewolucji Francuskiej, po trosze z utopijnego socjalizmu, przeto posądzano Wysłoucha o „masonstwo”.

Ważną i oryginalną koncepcją Wysłoucha (później porzuconą) było odbudowanie Polski w granicach etnograficznych, a nie przedrozbiorowych. Narodowe terytorium powinno by objąć re-

giony zwarcie zamieszkałe przez Polaków, do których zaliczał: całe Królestwo Polskie oprócz skrawków Suwalszczyzny, polską część guberni grodzieńskiej, Galicję Zachodnią po San oraz Spisz i księstwo cieszyńskie, wschodnią część Śląska Opolskiego, Wielkopolskę, a także Prusy Wschodnie i Zachodnie. Osobliwe, że w tym czasie socjaliści — od Limanowskiego po Waryńskiego — wypowiadali się przeciwko kryterium etnicznemu. *Walka klas* pisała, iż nie można wyrzekać się sił politycznych, które „tak obficie dawały dotychczas kraje zabrane” (to jest terytoria dawnej Polski na wschód od Kongresówki). A jednocześnie koncepcję etnograficzną poparł prekursor obozu narodowego Jeź, który z Wysłouchem utrzymywał bliski kontakt, pomimo różnic w poglądach. Wysłouch był zbyt radykalny jak na gusty ligowców, oni tylko w teorii uznawali zasadę „przez lud do Polski i przez Polskę do ludu”, którą on urzeczywistniał w praktyce.

Zaprowadziły go te starania na ławę oskarżonych pod zarzutem kierowania tajnym stowarzyszeniem oraz powiązań z wrogimi państwu organizacjami na emigracji. Ocalała Wysłoucha obrońca, niczym wówczas nie krępowana. Sąd austriacki nie rozpatrywał werbalnych zarzutów politycznych i żądał dowodów. Proces ten, co oczywiste, ogromnie wzmógł popularność Wysłoucha. Wokół jego nowego pisma *Przyjaciel ludu* skupiła się demokratyczna opozycja studencka. Podobało się jej hasło budowy Polski Ludowej — to znaczy demokratycznie rządzonej przez lud. Ideologię tę przyjęły tajne organizacje młodzieżowe „Orzeł Biały” i „Związek Polskich Żuawów” (nie mylić z Żuławami!). Policja znowu wpadła na trop; prokuratura przedstawiła Wysłouchowi zarzut, że jest „jednym z głównych kierowników tych tajnych państwu wrogich nurtowań”. Ale do procesu tym razem nie doszło — z przyczyn nieznanych — i Wysłouch nadal tkwił po uszy w wywrotowej robocie. Prezesując Towarzystwu Przyjaciół Oświaty zakładał na wpół tajne czytelnie, rozprzestrzeniał samokształcenie, wydawał broszury o niesłusznym nastawieniu wobec rządu, urządzał odczyty w stodołach, przełamywał lękliwość, cechującą włościąństwo.

Współpracował też z KOR-em w Kongresówce. Koło Oświaty Robotniczej, prowadzące podobną działalność, sytuowało się jednak bardziej na lewo od Wysłoucha.

Ukoronowaniem jego wysiłków było utworzenie Stronnictwa Ludowego. W 1894 roku na wiecu trzech tysięcy chłopów we Lwowie, zwołanym z inicjatywy Wysłoucha, zagajenie wygłosił Bojko. Powiedział:

„Zgromadziliśmy się sami dobrowolnie na ten wiec, aby na nim takie uchwały powzięto, które by całemu narodowi wyszły na pożytek”.

Austriacka policja czuwała, lecz nie interweniowała.

Entuzjazm zebranych był ogromny. Już tylko miesiące dzieliły od krystalizacji amorficznego ruchu w Stronnictwie Ludowym, które wprawdzie — z oczywistych przyczyn — nie ogłosiło hasła niepodległościowych, lecz rychło miało się stać ich realizatorem. A gdy wybiła godzina walki — Wysłouch całą mocą wsparł ruch legionowy i organizował krzątanie działaczy wiejskich wokół werbunku i wyposażenia strzelców. To, że później „Piast” wystudił ten entuzjazm, nie było winą Wysłoucha.

O ile umiarkowany rewolucjonista Wysłouch radykalizował ludowców i nadawał im tonację patriotyczną — to ks. Stojałowski, lekko rewolucjonizujący solidarysta, chciał utrzymać ruch ludowy w ryzach encykliki „Rerum Novarum”, afirmowanego przez Kościół porządku społecznego. Program późniejszego „Piasta” był poniekąd kompromisem między obydwoma tendencjami, plus chłopski mesjanizm, kreowany przez Witosą.

A trzeci z koryfeuszy, Bojko? On przydawał galicyjskim ludowcom osobliwego kolorytu pocziwej refleksji, zgody, skromności. Chociaż był pierwszym chłopskim posłem, nie eksponował swej osoby, nie zabiegał o przewodnictwo, uważał się wręcz za gorszego od szlachty. Kompleks niższości czy dobrotliwa ironia chłopą, który czapkuje, ale wie swoje? Unikał walki z ziemiaństwem, i z klerem. Przekonania miał dość radykalne, ale chciał osiągnąć cele chłopstwa przez rozmowy jak Polak z Polakiem. Nie był jednak życiowym minimalistą. W młodości on, chudopacholek, złamał wiejski konwenans, zuchwale oświadczając się z miłości o rękę córki bogatego gospodarza. Bezskutecznie; byłby to i mezalians, i naruszenie chłopskiej zasady aranżowania małżeństw przez rodziców. Od tej osobistej porażki zaczął Bojko swą mądrą, cierpliwą pracę pisarską i organizatorską, nasyconą sentymentalnym patriotyzmem, kultem pamiątek narodowych — ku podniesieniu chłopów do równości, godności i obywatelskiego statusu.

Symbolem i legendą ruchu ludowego stał się Wincenty Witos. Z socjotechnicznym mistrzostwem, całkowicie intuicyjnym (bo edukację miał nikłą) pracował nad wytworzeniem swego własnego *image*. Nosił wąs sumiasty, bo wójt musiał być wąsaty, inaczej nie uchodziło. Nigdy nie włożył krawata, co przysparzało mu podobnej *publicity* w brukowej prasie, jak Piłsudskiemu używanie

obscenicznych wyrazów. „Niech mówią źle, byle mówili” — to świetna dewiza na budowanie popularności w społeczeństwie o niskiej kulturze politycznej. Maniery wystudiowane na prostackie jednały mu prostych ludzi. Stale przypominał fakt, że na urząd premiera zabrano go prosto od pług, jak rzymskiego Cincinnata (czy jednak w połowie lipca odbywa się orka w Krakowskiem?). Jeszcze chwalebniejszy mit konstruował wokół wpływu, jaki jego premierostwo miało rzekomo dla mobilizacji chłopów w obronie zagrożonej przez bolszewików Ojczyzny.

Te zabiegi propagandowe, acz niezwykcyjne w polskim etosie politycznym, były świadectwem ogromnego instynktu Witosy. Ażeby stać się mężem stanu, trzeba chcieć nim być i umiejętnie się modelować. Wstydlivość nie jest atutem, przebojowość — ogromnym. Po prostu był na swoje czasy przywódcą nowoczesnym. Potrafił jednych jednać słowem, innych przyciągać sylwetką ludowca wystylizowanego na ludowo, na jeszcze innych grzmiał z trybuny jak mała kto. Taka postać budziła szacunek, nawet wtedy (a raczej: zwłaszcza wtedy), gdy szmatława prasa wieszała na nim psy, powtarzała litanie niewybrednych dowcipów, a nawet zbierała publiczne datki na krawat dla premiera.

Miał ponadto Witos cechę ważną dla polityka i pomagającą mu w dobrej kondycji psychicznej znosić opluskwanie: poczucie humoru, tak rzadkie u ludzi ambitnych, by nie powiedzieć — pysznych. Gdy drobnomieszczańska hołotka drwiła, że spluwa na podłogę, to splunął raz i drugi, doprowadzając ludzi do frenetycznego zachwytu.

Jego osobowość trafnie chyba scharakteryzował najzawziętszy i najgroźniejszy jego rywal spośród ludowców, Stanisław Thugutt:

„Miał w sobie Witos zawsze ogromny głód władzy... Przyszuję, że głód władzy jest w polityce uczuciem zupełnie naturalnym, a może nawet koniecznym, polityka nie jest bowiem teoretycznym rozważaniem pożytku państwa, tylko dążeniem do uchwycenia w ręce dźwigni regulujących maszyny państwowej”.

I nie mylił się także Thugutt, gdy przypisywał Witosowi wzdorczy i wulgarny stosunek do ludzi. Są analogiczne świadectwa innych, w tym samego Witosy, który w sędziwym wieku przyznał się do brutalności w postępowaniu z otoczeniem.

Tysiące stron zapisano panegirykami o chłopskim przywódcy. Legendy mają tę właściwość, że nie obawiają się chłodnej weryfikacji, żyją niezależnym życiem, nic im nie szkodzi gdy ktoś próbuje herosa strącić z piedestału. To go nawet wywyższa jeszcze bardziej.

Witos symbolizował duchową i biologiczną moc chłopstwa, a jego autoreklama funkcjonuje do dziś, szczególnie jako tarcza przed bolszewicką nawałą, która wspomogła miecz Piłsudskiego. On sam jak mógł umniejszał glorię „miecza”, zwycięstwo pod Warszawą przypisując Hallerowi, Rozwadowskiemu i Sikorskiemu. To znaczy doradcom i doskonałym wykonawcom planu Piłsudskiego, a nie autorowi. Nie cierpiał go, zresztą z wzajemnością. Wyznał w pamiętnikach, że był zadowolony, gdy nie musiał go spotykać. Piłsudskiemu to nie przeszkadzało.

Zasługi Witos? Niewątpliwie walnie się przyczynił do ostatecznego zjednoczenia ruchu ludowego. Podbudował chłopską godność. Nobilitował stan chłopski własną aureolą. Gdy Piłsudski zamknął go w twierdzy brzeskiej, zyskał dodatkowy mir w opozycji. Ale te okoliczności dotyczą Witosza dojrzałego, w Polsce niepodległej. Przed pierwszą wojną światową dopiero się przebijał — najpierw ku dostatniemu gospodarstwu (pochodził z biedoty, ożenił się dobrze), później szczebelek po szczebelku — do wójtostwa, do rady powiatowej, do Sejmu galicyjskiego, do przodownictwa w stronnictwie, wypychając rywali, przewyższających go walorami politycznymi, jak Jana Stapińskiego. Nie konkurował z nim żaden z trzech nestorów — zrobili swoje, wyżej się nie pięli.

W toku pierwszej wojny, należąc do kierownictwa „Piasta”, Witos wyróżnił się początkowo kultem cesarza i zapałem do aktywizmu, ale szybko, ulegając ideologii Dmowskiego, przestał się o 180°. Zaczął się o Austriakach wyrażać jak o dzikusach, zaś w Rosjanach dostrzegł istnych dżentelmenów. Wstąpił do mafijnej Ligi Narodowej, której nastawienie nic już nie miało wspólnego z demokratyzmem i postępowością; odtąd niemal zawsze współdziałał z endecją, tak operując w Sejmie swym centrowym „Piastem”, by lewica nie zdobyła większości i nie sformowała rządu w miejsce prawcowego „Chjenopiasta”. Przedtem jeszcze, na samym początku niepodległości, był zaproszony do Tymczasowego Rządu Ludowego pod prezesurą Daszyńskiego. Nie odmówił, ale i nie wziął w nim udziału. Cekał na rozwój wydarzeń, na kontrofensywę endencji, z którą bardziej mu było po drodze. Chłopscy radykałowie z coraz większym zdumieniem i niedowierzaniem słuchali, jak kadził endekom w górnołotnych słowach. Pasowała mu ich obsesja nacjonalistyczna, bo osobiście gardził Żydami i nienawidził Ukraińców. To wszystko jednak nie znaczy, że stał się reakcjonistą; prowadził grę, jak autentyczny polityk, a w tej grze najwięcej atutów miała wtedy prawica. Jednak to on był jej bardziej potrzebny niż ona jemu, przeto umiał

podbijać własną cenę. Jedna z jego mów sejmowych, zatytułowana „Walna rozprawa ze wstecznikami”, jest klasyką parlamentarnego oratorstwa — w tym przypadku z pozycji postępowej. Wkrótce z prawicowcami, których napiętnował bezlitośnie, był w politycznym aliansie.

Jego wkład w ideologię niepodległościową nie istniał. To nie jest zarzut: nie był teoretykiem, lecz charyzmatycznym przywódcą, który sam siebie uważał za ekstrakt chłopstwa, jego duszę i wyrocznię. Poniekąd tak nawet było, szczególnie w końcowych latach kariery. Czy jednak we wcześniejszych działaniach miał jakąś wizję odrodzonej Polski, jej ustroju, jej filozofii politycznej? Nie wydaje się. Co nie znaczy, że obce mu były uczucia patriotyczne; w Sejmie galicyjskim zadeklarował, iż do państwa Habsburgów „z musu należy”. Identyfikował się niezwykle mocno z Galicją, innych części Polski nie znał, nie rozumiał i nie był tam popularny wśród chłopów, dopóki nie stworzył własnej legendy „chłopskiego króla”. Światopogląd miał osobliwy: palił świece przed Papieżem, hołubił ludowców-klerykałów, potępianych przez hierarchię kościelną, chętnie widział byłych socjalistów — wszystko naraz — aczkolwiek najbardziej podziwiał konsekwencję endeków.

Dyktator chłopów — w kwestiach ogólnonarodowych gubił się.

„Witos nigdy nie wypracował własnej opinii politycznej, zawsze na kogoś liczył, kto go poprowadzi, a od momentu krachu swej wiary w monarchię Habsburgów chwycił się każdej złudy, którą by się mógł pokierować” — skostatowała Olga Narkiewicz we wnikliwej książce „The Green Flag”. Może to krzywdzące zdanie. Ciekawsze jest spostrzeżenie tej autorki, że w czasie pierwszej wojny, gdy cała prasa była przepełniona dramatycznymi sporami „orientacyjnymi” — organ Witosy *Piast* mało zajmował się problematyką polityczną, a jego stronnictwo nie opracowało programu — choćby reformy rolnej. Intelktualiści *Piasta*, jak Wystouch, Władysław Długosz (wielki rekin kapitalistyczny — *novum* w ruchu ludowym) i Włodzimierz Tetmajer zajęci byli wspieraniem wysiłku legionowego i grą polityczną na szerokiej scenie. Tetmajer 27 maja 1917 roku przedstawił na Kole Sejmowym sławną rezolucję, wypowiadającą się — w imieniu piastowców — za zjednoczoną i niepodległą Polską z dostępem do morza. Głos Witosy słychać nie było, a *Piast*, o nakładzie 81.000 egzemplarzy, zapełniał szpalty setkami informacji o doli i niedoli powołanych do wojska. Niepodległość była na dalszym planie; nie z braku patriotyzmu, oczywiście, ale z niedowładu wyobraźni

politycznej. Witos już wtedy czuł do Piłsudskiego anse, a nie mógł się zanadto afiszować z sympatią do Dmowskiego — i z przyczyn cenzuralnych, i dlatego, że chłopu byłoby niezręcznie chwalić lidera warstw posiadających. Był jednak tak dalece pod jego wpływem, że na początku czerwca 1920 roku odrzucił propozycję Piłsudskiego, by stanął na czele rządu. Dlaczego? Wedle Witosy dlatego, że zaproszenie było nieszczerze. Wedle wszelkich innych znaków dlatego, że póki jeszcze nad Polską nie wisało widmo zagłady — wojna była daleko — narodowi demokraci bardziej obawiali się umocnienia władzy Piłsudskiego, niż przegranej wojny. Optyka ta nie zmieniła się nawet wtedy, gdy Tuchaczewski złamał polski front. Na nagłej konferencji przywódców wszystkich partii Piłsudski i Haller w czarnych barwach zreferowali sytuację militarną, która stawała się krytyczna. Witos wysłuchał i spokojnie wrócił do Wierchosławic. Jeszcze się Polska nie waliła.

Jego rywal Thugutt poszedł zaś z karabinem na front, jako prosty piechur-ochotnik. Był o rok starszy od Witosy, a kierował *de facto* większym stronnictwem.

W wyborach do Sejmu Ustawodawczego na początku 1919 roku Wyzwolenie zdobyło 58 mandatów, zajmując drugą lokatę na ławach poselskich po bloku narodowych demokratów i ich podopiecznych. „Piast” uzyskał o 14 mandatów mniej, a PPS — mniej o 26 mandatów. Była to szalona niespodzianka nawet dla samych „wyzwoleńców”. Toż dopiero parę lat temu zorganizowali się w stronnictwo z trzech drobnych, omalże kanapowych grup; stronnictwo nie wypracowało jeszcze pełnego i znanego w kraju programu; musiało na wsi walczyć z silnymi wpływami endecji, a gdzieniegdzie też z agitacją komunistyczną; Kościół miotał na „Wyzwolenie” gromy z powodu wyraźnych związków z PPS oraz faktu, że jego kierownictwo, prócz paru wyjątków, składało się z inteligentów-masonów.

Co spowodowało ów triumf wyborczy? Historycy mówią o tym skąpo, niektórzy nie traktują poważnie Wyzwolenia, wszystkie reflektory kierują na tradycje „Piasta”. Chyba o decyzjach wyborczych zdecydował zdrowy instynkt postępowej części społeczeństwa. Wybrali stronnictwo, które konsekwentnie — co nie znaczy bezkrytycznie — popierało niepodległościową drogę Piłsudskiego (zerwał z nim, gdy on zerwał z demokracją) i które głosiło program głębokich reform społecznych, wybierając broń komunistom. A potem, w obliczu zagrożenia państwa, to stronnictwo bez żadnego wahania rzuciło apel do narodu: Wszyscy do broni! Na front!

Witos gospodarzył w Wierchosławicach.

Dopiero gdy Tuchaczewski zbliżył się do Warszawy i każdy drżał przed unicestwieniem Polski — adiutant Piłsudskiego odszukał Witosą i jeszcze raz wezwał go, by objął przewodnictwo rządu koalicyjnego dla ratowania kraju. Tym razem nie odmówił i w roboczym, chłopskim stroju przyjechał do Warszawy.

Czy odegrał wtedy rolę historyczną? Tak głosi witosowa legenda. Niech trwa, narodowi są potrzebne legendy o zwycięstwach, zawdzięczanych mężom opatrnościowym, najlepiej z ludu.

Parę tylko korektur, które nie grożą laurowemu wieńcowi.

Pierwsza: faktycznym rządem była wtedy Rada Obrony Państwa. W jej kompetencji było „decydowanie we wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny oraz z zawarciem pokoju, jak również wydawanie w tych sprawach rozporządzeń i zarządzeń” z rygiem natychmiastowego wykonania. Radzie przewodniczył Naczelnik Państwa.

Druga: faktycznie Witos nie kierował nawet Radą Ministrów, albowiem ciągle wizytował front, jeździł po prowincji, przemawiał na wiecach chłopskich — zjednywał lud, by walczył o Polskę.

Trzecia: apele te znalazły znikomy oddźwięk wśród chłopów (o tym szerzej w innym rozdziale). O zwycięstwie zdecydowały zupełnie inne okoliczności, z działaniami Witosy nie mające związku.

Jego nominacja miała charakter symboliczny, dla moralnego podtrzymania narodu, który wierzył, że jak chłop murem stanie, to Ojczyznę obroni. Również fakt, że pod przewodem Witosy zjednoczyły się wszystkie partie polityczne (oprócz komunistów) poprawił kłeszkowy nastrój na zapleczu armii.

Czy to wystarczy na spiżowy pomnik dla Wincentego Witosy? Tak, jeśliby pierwaj stanęło parę innych pomników.

Odcienie narodowej kapitulacji

Być ugodowcem — stanowiło pewien dyskomfort moralny, bo coraz trudniej było patrzeć w oczy własnym dzieciom. Ale jakże to było wygodne! Rubel stał mocno. Kto miał ruble, był paniskiem. Biarritz, Ostenda, Capri — żaden problem. Księstwo Monaco spało się na kresowcach, którym nie szło w ruletce. W Kongresówce istniał rynek konsumenta. *Tygodnik Ilustrowany* polecał: wodę kwiatową Gri-Gri o najidealniejszym zapachu, automobile światowej marki Mitchell o specjalnie wzmacnianej

konstrukcji, meble Jaszczółta we wszystkich stylach i najmodniejszych fasonach, pigułki Mme de C... które powodują poprawę w składzie krwi w okolicach piersi, wskutek czego nabierają one sprężystości, „Biomalz” (bez porównania pożywniejszy niż kakao), wodę Vichy Celestin z francuskich źródeł rządowych na trawienie, kaskarynę na zaparcie u dzieci, płyn „Simi”, który nadaje twarzy piękność i urok młodości, wodę „Pelanin” przeciw siwiźnie („jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem”), na koklusz, katar i influencję „Trisan” dr Hommele z Głową Tygrysa tudzież naftę KRYSZTAŁ Towarzystwa Braci Nobel — najwłaściwsze światliwo XX wieku.

Obywatel z lepszych sfer mógł od biedy pojąć, że mrzonki o obaleniu caratu snują ci hołysze-socjaliści, ale nie mieściło mu się w głowie, czemu spiskują doktorzy, mecenasi i redaktorzy, poważni przecież ludzie. Ten obywatel z uznaniem patrzył na realistów i coraz życzliwiej czytał teksty pana Dmowskiego, który ustatkował się wreszcie i ciskał gromy na rewolucjonistów, pragnących zmącić spokój i zagrabić majątkości ludzi statecznych.

Wylegarnią realizmu był magnacki pałac i bogaty dwór, zwłaszcza kresowy, oraz nowobogacka plutokracja. Z profesury, palety i Parnasu miał również adherentów. Liczebnie była to formacja wąska, ale jej znaczenie zakreślały wielkie pieniądze i liczna klientela wśród średniego mieszczaństwa i tuzinkowej szlachty. Kupić wpływową gazetę i szerzyć obskuranckie idee — było dla konserwatywnej oligarchii inwestycją tanią i opłacalną. Zasięg jej ideologii w każdym z zaborów był przeto znacznie większy, niż udział bogaczy w populacji.

Konserwatyści nie lubili własnej nazwy, podobnie jak dziś skrajna prawica podszywa się często pod lewicowość. Bobrzyński wolał pisać o stronnictwie pracy organicznej, Szujski szczerze o „doktrynie przeciwrewolucyjnej”. Kosiakiewicz po wydaniu swej „Idei konserwatywnej” odnotował z goryczą, że ludzie uważają tę nazwę za skompromitowaną, chociaż doktryna jest przecież tak słuszna! Mianowali się więc realistami, demokratami, autonomistami, krajowcami, centrum obywatelskim i tak dalej. Dopiero w 1896 roku powstał z odśloniętą przyłbicą krakowski Klub Konserwatywny.

Traktując o dążeniach niepodległościowych, można by konserwatystów po prostu pominąć, skoro sami takowych nie przejawiali. Poziom ich patriotyzmu oscylował około zera, a nawet spadał poniżej — jeśli za zero przyjąć brak zainteresowania dla sprawy narodowej. Nierzadko przecież konserwatyści byli aktywnie antynarodowi, perswadowali, że słowo „Polska” powinno być

wymazane z ludzkiej pamięci. Wielu jakby chciało udowodnić, że Targowica nie była hańbą jednej frakcji arystokratycznej, lecz nieuchronnym drogowskazem Polaków.

Ale i oni należeli mimo wszystko do polskiego pejzażu politycznego i swoim istnieniem rozmaicie oddziaływali na politykę. Tkwiła też w nich reliktowa polskość postsarmacka bądź sentymentalna. Oponując przeciw Polsce niepodległej, konserwatyści (choć nie wszyscy) czuli się jednak Polakami.

Również na skrzydle skrajnie przeciwległym, w SDKPiL, postawa narodowej obojętności uchodziła za znamię trzeźwego myślenia oraz ideowości, bo przecież „nieuchronne” jest organiczne wtopienie się ziem polskich w państwa zaborcze. „Obok ugody pańskiej stworzona została ugoda socjalistyczna” — lapidarnie skonstatował Michał Sokolnicki, wybitny działacz i pisarz niepodległościowy.

Jedną stronę kusił i otumaniał mit słowiański, drugą mit internacjonalistyczny. Oba jednak antypatriotyczne.

Pierwszy miał starą genezę, sięgał w początki XIX wieku. Adam Gurowski przekonywał, że ze stanowiska słowiańskiego samoistny byt Polski stanowiłby „potworność historyczną”, bo Polska „reprezentowała trupa, który przeszedł już wszystkie okresy rozkładu”. Książę Teofil Mirski wybrał prawosławie jako „naturalną religię Słowian”, apelując do ziomeków, aby szli za jego przykładem. Wacław Jabłonowski wzywał Mikołaja I, żeby wybrał się z krucjatą na Bałkany, połączył jako cesarz wszystkie ludy słowiańskie, a wtedy „zapał wojsk i narodu polskiego nie będzie miał granic”. Zgłosił projekt, jak to zrobić: kozacy powinni ruszyć na ziemie austriackie „z knutem w jednej ręce, a workiem rubli w drugiej”. Taktyka bata i marchewki jest tak stara, jak despotyczne ustroje.

(Osobliwe, jak propaganda moskiewska uzasadniała swą ekspansję. Posuwając się ku Konstantynopolowi, Rosja „realizowała prawa sukcesyjne po Bizancjum”. Zagarniając wschodnie terytoria Rzeczypospolitej — „odzyskiwała swe dawne ziemie ruskie”. Rusyfikacja reszty Polski nazywała się „nierozzerwalnym połączeniem dwóch narodów, przez Najwyższą Opatrzność troskliwości naszej powierzonych” — jak głosił Manifest Mikołaja I, poręczający też zachowanie „pewnych swobód narodowych”, o czym jednak później zapomniano).

Funkcjonowanie mitu internacjonalistycznego analizował Kazimierz Pietkiewicz, prezentując sylwetki czołowych socjaldemokratów. A znał ich wszystkich, jeszcze z czasów Związku Robotników Polskich. Intrygowało go „ciekawe zjawisko psycholo-

giczne” socjalizmu antyniepodległościowego. Najsurowiej potraktował Różę Luksemburg, która ideę niepodległości zwalczała historycznie, szkodziła jej świadomie i celowo zarówno na rosyjskim, jak niemieckim terenie swych działań. Oderwanie Polski od Rosji jawiło się jej jako nieszczęście w globalnej skali, albowiem zmniejszałoby rynek kapitalistyczny i przeciwstawiało się jego integracyjnym tendencjom, pożytecznym dla formowania międzynarodowego proletariatu — narzędzia socjalistycznej rewolucji. W 1893 roku na wiecu w Zurychu Edward Abramowski odparował jej tezy, odwracając rozumowanie: skoro rynek tym lepszy, im rozleglejsze państwo, to trzeba wskrzesić Polskę od Odry do Dniepru i od Bałtyku do Morza Czarnego. Rzecz jasna, towarzyski Róża nie przekonał. Daremnie też mitygowali ją dwaj liderzy Międzynarodówki: sam Fryderyk Engels, który wieloma wypowiedziami zasłużył na miano polonofila, oraz Wilhelm Liebknecht, sojusznik polskich dążeń, który nazwał Różę *rosafärbige Wanze* — „różowa pluskwa” — i podejrzewał, że jest rosyjską agentką. Śmieszne są próby rehabilitowania jej patriotyzmu przez obecnych apologetów, na podstawie urywków listów prywatnych, w których wzdychała do polskich borów i pól. Przywiązanie do stron rodzinnych, do „ojczyzny prywatnej” — wedle terminologii Ossowskiego — nie musi mieć związku z patriotyzmem wobec „ojczyzny ideologicznej”. Takowego w postawie Róży Luksemburg nie da się zauważyć, choć lubiła czytać „Pana Tadeusza”.

Skądinąd była ona najwybitniejszym umysłem w SDKP, potem SDKPiL. Wiele jej myśli do tego stopnia zachowało świeżość, że gdyby żyła dziś, byłaby oskarżona o rewizjonizm, kapitulancтво i największą wrogość do realnego socjalizmu. „Wolność — głosiła Róża Luksemburg — to zawsze wolność dla tych, którzy myślą inaczej”. Z takiego hasła wysnuła tezy, których nie powstydziałaby się Wolna Europa:

„Bez powszechnych wyborów, bez nieskrępowanej wolności prasy i zgromadzeń, bez swobodnego ścierania się opinii życie w instytucjach publicznych zamiera, staje się pozorne, jedynym czynnikiem aktywnym pozostaje biurokracja... Elitę klasy robotniczej będzie się zapraszać od czasu do czasu na zebranie, aby oklaskiwała przemówienia przywódców i jednomyślnie udzielała aprobaty proponowanym uchwałom”.

Mąż Róży, Leon Jogiches-Tyszka, także teoretyk SDKPiL, urodził się w bogatej żydowskiej rodzinie litewskiej, przybyłej z Rosji (tak zwani „litwacy”), która nie miała żadnych związków z polską kulturą. Ledwie rozumiał polską mowę, lecz w Szwaj-

carii spolonizował się i nabrał ponoć sentymentu do narodowej literatury. Pietkiewicz stwierdził, że „żywił miłość do Polski”, której prawie nie znał. Na czym to opierał, nie wiadomo. Poglądy Jogichesa były sekciarskie. Bolesław Drobner, bardzo lewy przecież, został przezeń nazwany szowinistą, gdy wspomniał o narodowym wyzwoleniu Polaków.

Adolf Warszawski-Warski chyba nigdy nie miał — zdaniem Pietkiewicza — uczuć polskich, całe życie zwalczał ideę niepodległości. Natomiast Julian Marchlewski wśród nich „zdawał się być na skutek nieporozumienia”, bo uległ wpływowi ludzi, w których ślepo wierzył. Pietkiewicz traktuje go jakby z wyrozumiałością, na karb wpływu matki-Niemki składając jego narodową oziębłość. Natomiast dla Feliksa Dzierżyńskiego, którego nazywa „typem ciekawym”, o niepohamowanym temperamencie, nie ma ani cienia pobłażania, gdyż nienawiścią do sprawy niepodległościowej omal przewyższył Różę. A przecie — zastanawia się Pietkiewicz — od niego można by się spodziewać patriotyzmu jako od kresowca.

Oto potęga mitu. Kresowców wielokrotnie w literaturze określano jako ostoję polskości. W jakiejś mierze było to prawdziwe, wiele rodów ziemiańskich z Ukrainy czy Białorusi odegrało dużą rolę w ruchu niepodległościowym — lecz zarazem tam, a także na austriackim Podolu, były fortece ugody, lojalizmu, konserwy.

Trudno o lepszy portret konserwatysty, o głębszą introspekcję jego umysłowości, aniżeli „Siedemdziesiąt lat wspomnień” Hipolita Korwin-Milewskiego. Nie był on typem „żubra”, całe życie tkwiącego hen na kresowych majątkach. Studiował w Paryżu, Dorpacie i Tuluzie, podróżował po Tunisie i Egipcie, reperował zdrowie na Maderze, miał za sobą karierę prawniczą we Francji. Od dziecka tak wsiąkł w Zachód, że rodzice musieli dlań wyszukać polskiego guwernera, iżby nie zapomniał ojczyźnego języka. Do końca życia po francusku pisał wykwintniej niż po polsku, acz dość prędko ze światowych wojaży powrócił do klucza majątków na Litwie. Francuszczyzna niegłęboko wsiąkla w jego umysłowość; demokracja, liberalizm — były dlań wstrętne. Zwyciężyła dusza szlachecka, co to i przed Radziwiłłami nie czapkował, a w rosyjskiej Radzie Państwa czuł się panem wśród czeladzi i pouczał ministrów, nawet premiera Stołypina, o prawno-państwowych instytucjach na Zachodzie, o których władarze Rosji nie mieli nie tylko zielonego, ale bladego pojęcia. Licho się wyrażał o politykach Zachodu. Thiers, Gambetta czy Lloyd George to byli z wyżyn jego mniemanej wyższości — niewychowani proscacy.

A co dopiero politycy polscy! W Paryżu ledwie dostrzegł seniora socjalistów dr. Motza, Dmowski i Popławski — to prymitywni demagogdzy. Partnerzy godni uwagi to Wielopolscy, Zamoyscy i baron Kronenberg.

Co określa wartość człowieka? Posiadanie ziemi, o ile tej ziemi jest dużo.

Co jest najwstrętniejsze? Walki wyzwolencze, bo narażają wielką własność, powodują szwank w interesach. Ryzykanci, co gardłem ryzykują w imię jakiejś „wolności” — to rodzaj szaleńców albo degeneratów. Tak go wychowano od dziecka. Kiedy w okresie żałoby narodowej przed Powstaniem Styczniowym w polskich domach noszono się na czarno i popielato — rodzice stroili go jak najjaskrawiej. O co bowiem tym powstańcom naprawdę chodziło? O wolną Polskę? Bzdura! Chodziło im o to, by zginęło ziemiaństwo, ta sól ziemi, a więc słusznie zostali pokarani. Albo taki Mickiewicz, powiedzmy. Owszem, poeta dobry — lecz jako polityk wróg rozsądku i truciciel polskiej duszy, który śmiał się źle wyrazić w „Panu Tadeuszu” o jego dziadku po kądzieli, Samuelu Wołku. Bezczelny Mickiewicz, który Wołkowi zarzucił, że służył Moskalom, sam przecież był dwa lata „rosyjskim płatnym czynownikiem”.

Pan Korwin-Milewski zaszczycił uroczystość odsłonięcia w Wilnie pomnika carycy Katarzyny, choć był zde gustowany. Kategoriecznie natomiast potępiał Piłsudskiego, jego „bandytyzm”. Wstrętni mu byli niepodległościowcy i legionści. Uważał się za dobrowolnego poddanego Wielkiego Księcia Litewskiego, którym przez wyrok historii, być może niesłuszny, został Car. Do Krakowa, pierwszy raz w życiu, udał się na uroczystości grunwaldzkie w 1910 roku. Kiedy ktoś wzniósł okrzyk na cześć niepodległej Polski, Korwin-Milewski oficjalnie zaprotestował. Uważał, że nie może godzić się na słowa, których nie mógłby jako członek Rady Państwa powtórzyć przed Rosjanami. Charakteryzując dla rządu polskie ugrupowania polityczne w ogóle pominął, jako niegodne uwagi, „podziemne ugrupowania socjalistów czy masonów”, to znaczy trzon ruchu wolnościowego. Nie miał oczywiście żadnej wątpliwości, po czyjej się opowiedzieć stronie w czasie pierwszej wojny. Dopiero po rewolucji Kiereńskiego uznał, że jego poddaństwo w sposób automatyczny wygasło, co zresztą nie zmieniło jego stosunku do Polski. Kiedy na Kresy wkroczyły polskie wojska — pisał „najazd”.

Aliści uważał się za Polaka, za dobrego Polaka — i miał odwagę bronić przed Rosjanami „przyrodzonych” polskich praw kulturalnych i językowych. Doczekał niepodległości, lecz

czuł się w niej źle. Państwo Piłsudskiego było, jak na jego przekonania, zbyt demokratyczne, nie wiadomo po co wciągało masy do rządzenia, tolerowało emancypacyjne porywy chłopów, a nawet Białorusinów!

Na takim tle nawet fanatyzm esdeków wydaje się mniej antypatyczny, gdyż myśleli oni jednak o wyzwoleniu ludu polskiego, naiwnie wierząc, iż w światowej rodzinie proletariackiej każdy naród, wielki czy mały, będzie idealnie równy i roztopiwszy się w braterskiej spójni będzie mógł kultywować własny język i własne tradycyjne wartości. Przed doświadczeniami stalinizmu taka wiara nie była jeszcze aberracją, mogła być uważana za wyraz humanizmu. Toż nawet wielu socjalistów i ludowców, i liberalnych inteligentów zafascynowanych było rewolucją październikową (choć nie pragnęli „wcielenia”) i dopiero najazd Tuchaczewskiego radykalnie odmienił ich poglądy. Nie zmienili natomiast poglądów komuniści. Od tej pory można mówić o ich apostazji — wcześniej mogli być tylko fanatykami.

Na przeciwstawnym skrzydle apostacja, narodowe odszczepieństwo, była oczywista od dawna. Z tym, że konserwa, będąc skrajną prawicą, miała w sobie frakcję jeszcze wyraźniej reakcyjną, ultrapravicową. Paradoksalnie byli wśród niej patrioci szczególnego pokroju, którzy myśleli o wskrzeszeniu Polski — byle dokładnie wedle wzorów starszylacheckich. Taką orientację wyznawał Antoni Walewski, profesor historii w Krakowie. Nie bez racji uważał on, że „Polska miała mniej potęgi, ale więcej społecznego zdrowia od innych narodów”. Co zrobić, ażeby tę dawną Polskę odrodzić? Zaniechać myśli o powstaniach, które tylu szkód narobiły, nie buntować się, broń Boże żadnej rewolucji! Trzeba czekać, z nadzieją, iż kiedyś mocarstwa rozbiorowe same dostrzegą korzyści z odbudowy Polski. Najlepszą dyplomacją dla Polski jest lojalność! Ona się już głośno objawia wobec Franciszka Józefa — cieszył się, i już się po cichu zaznacza wobec Aleksandra II. No niestety, wobec Prus „bluzniących urzędownie Panu Bogu” lojalność objawiać się nie może — a zatem tam najlepszą dyplomacją jest... rezygnacja.

Idee konserwatyzmu były oparte na kilku aksjomatach. Po pierwsze naturalna, przez Opatrzność ustanowiona, jest nierówność ludzi. Po drugie, wolność człowieka tylko o tyle ma sens, o ile chroni jego w ł a s n o ś ć. Po trzecie, byt ludzkości wspiera się na władzy i prawie — i nie zasługuje na dobry los naród, który ich szanować nie potrafi. Lojalizm, rezygnacja, pogarda dla tęsknot wolnościowych, wrogość wobec ideału równości, ład i porządek — to był kanon skrajnej reakcji, wyznanie wiary kon-

serwatystów. Popierać władzę, bez względu na jej pochodzenie, zaprzestać opozycji i tajnych knowań — to jedyny dopuszczalny model „oczekiwania na niepodległość”.

Ale i oni byli wszak Polakami, przeto nie zawsze bywali konsekwentni. Gdy wybuchło Powstanie Styczniowe Paweł Popiel — teoretyk ugody — krzyknął: „Na koń siadać!”. W poprzednim, listopadowym, sam się bił w Olszynie Grochowskiej, teraz posłał do lasu synów. I nie on jeden złamał własne zasady teoretyczne. Potem, gdy powstanie upadło, konserwatyści dziwili się sobie samym: „... jakim sposobem osobistości znane z umiarkowania i wytrwałego sądu znalazły się wmieszane naraz w najzgubniejszą w skutkach dla kraju akcję polityczną” — medytował Stanisław Tarnowski, a podobne zdanie wyrażali i Popiel, i Stanisław Koźmian. Powszechne wśród arystokracji przekonanie, iż każda irredenta jest błędem, łamało się, ilekroć głos większości wzywał do walki; wielu stawało, bo *vox populi vox Dei*.

Świetnie to skwitował Tadeusz Miciński: „Bywa w Polsce zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznaną nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać”. A Popiel wyznał w pamiętnikach: „Jest pieśń; jak się ją usłyszy, krew wrze w żyłach, serce bije gwałtownie, w głowie się kręci. To, co zamierzają, to głupstwo, to zguba. Ale nużby się też udało? I ja do tego należeć nie będę?”.

Niesamowita polska nacja. Na co dzień może pełzać przy samej ziemi, kłaniać się obcym posągom, zarzekać, że już nigdy więcej z motyką na słońce, drwić z romantycznych mrzonek i uniesień, teoretyzować o pożytkach z normalizacji — a niech tylko zagrają te surmy...

Krakowscy konserwatyści, wychowani na tradycji Powstania Listopadowego i trzech wieszczach, rozumem przeciwstawiali się korzeniom etosu narodowego, lecz nie opuszczała ich wiara w nagłe i „cudowne” wskreszenie Polski. Z tym, że ten cud — mieli nadzieję — przyjdzie z Zachodu, kiedy tęcza Franków znów rozplómi niebo.

W ten sposób ci, co mieli siebie z dumą za realistów, byli czystej wody fantastami. Polska dla Zachodu była tak ważna, jak dla Polski na przykład Gruzja.

Inny nurt konserwatyzmu, „ultramontanizm”, nawiązywał do idei przedmurza chrześcijaństwa, która miała w Polsce wielowiekowe tradycje. A ratunku szukał w Rzymie, ignorując Słowac-

kiego. Wobec problemów narodu ultramontanie zachowywali indyferentyzm, ich myśli krążyły bardziej wokół papieżstwa niż Polski, a nawet Galicji. R. R. Ludwikowski w szkicach o galicyjskiej myśli politycznej tak podsumował dwa warianty tego nurtu: „Mistycy przekonywali, że wiara i kontemplacja mogą odkryć przed narodem nowe drogi ocalenia, trzeźwiejsi przyznawali, że niezależnie od sukcesów w sferze irracjonalnej odpowiednia organizacja religijna może stać się ośrodkiem skupienia rozproszonych nurtów politycznych. Podkreślano również możliwość połączenia interesów polskich z polityką papieżstwa, zainteresowanego likwidacją schizmy wschodniej, likwidacją, w której rola Polaków wydawała się ważna”. Gdyby się tę schizmę udało zlikwidować, to ultramontanie gotowi byłiby zrezygnować z polskich aspiracji i wtopić się w Rosjan, nawróconych na katolicyzm.

Naturalny mariaż ultramontanizmu z konserwatyzmem (zauważa tenże autor) miał jednak granice: ultramontanie w Kościele widzieli sojusznika, pozostawiając Panu Bogu sprawę odzyskania niepodległości. Konserwatyści, godząc się na przyznanie pierwszeństwa sprawom duchowym przed narodowymi, nie zdradzali jednak entuzjazmu wobec dążeń Kościoła do wszechpotęgi we wszystkich sferach życia. Wielu skłaniało się do dialogu z liberałami, podchwytywało hasło tolerancji i patrzyło podejrzliwie na religijny fanatyzm ultramontanów. Na ich tle konserwatyści jawili się niemal jak rzecznicy postępu.

Przynajmniej konserwatyści krakowscy, z kręgu „stańczyków”. Zachwalając lojalizm i nie dostrzegając żadnych szans na niepodległość, radzili jednak kultywować język, tradycję, obyczaje, historię, własną literaturę, a nade wszystko wiarę katolicką; należy wierzyć w los i Pana Boga, mieć nadzieję, pracować i czekać. Ich prorok, Stanisław Tarnowski, zalecał: „Mówić jak najmniej i jak najciszej, robić jak najwięcej można”. W sytuacji, jaka była, nie było to zaprzęgnięciem — jedynie asekurancją. Dlatego i ich atakowali superlojaliści w rodzaju Jerzego hr. Moszyńskiego, który powiedział krótko: „Nie ma sprawy polskiej”. Konserwatyści z Kongresówki zaś w zaprzęgnięciu narodowym szli na całość. Zygmunt Wielopolski taką oracją witał w 1897 roku cara: „W Twojem wspaniałomyślnym samowładztwie, w potęgę i chwale monarchii, naród polski cały widzi przyszłość i chce, czy to w szczęściu czy pośród zmiennych losu kolei, wiernie, niezachwianie służyć Tobie, ukochanemu swemu Monarsze”. Kazimierz Krzywicki wyznał, iż Polacy w ogóle go nie interesują jako członkowie jednego narodu, lecz tylko jako ludzie, którzy się powinni jak najlepiej urządzić przez utożsamienie się z Rosjanami

i wierność carowi aż do zadokumentowania jej „krwią i żelazem” w potrzebie.

To właśnie były te przypadki, w których temperatura polskości spadała poniżej zera.

Gdy sprawa polska się jednak odrodziła, hr. Moszyński zrehabilitował się troszeczkę, całą swą bibliotekę rodzinną, 12 tysięcy tomów, ofiarowując Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu. Poszedł za wzorem rodów wielkopolskich — Mielżyńskich, Raczyńskich, Działyńskich, Łubieńskich, Sułkowskich — które okazywały pieczołowitość i hojność dla polskich instytucji kulturalnych, bibliotek i towarzystw naukowych, uważając je za skarbcze narodowych wartości. Aczkolwiek konserwatyzm, co naturalne, cechował także arystokrację spod berła Hohenzollernów, to jednak nie traciła ona ducha polskości. Wielkie rodziny z krain podległych Habsburgom i Romanowym znacznie rzadziej można by obdarzyć takim komplementem. Owszem, hr. Potocka i hr. Rostworowski też otwierali sakiewki — ale na bal na rzecz dymisjonowanych oficerów rosyjskich. Po sto rubli. Daliby więcej, lecz tyle wpłacił generał-gubernator, nie wypadało go przebijać.

Osobną i niepowtarzalną kartę w dziejach obozu ugody zapisał Włodzimierz Spasowicz — twórca miesięcznika *Ateneum* w Warszawie i *Kraj* w Petersburgu. Nawet przeciwnicy polityczni darzyli go, oprócz wrogości — estymą. Wybitny prawnik, gwiazda rosyjskiej palestry, wrażliwy literaturoznawca, wielbiciel Mickiewicza i Puszkina, ale przede wszystkim pisarz i myśliciel polityczny, większość życia spędził w Petersburgu, dążąc na wszystkich polach do „zbliżenia dwóch cywilizacji, przedzielonych chińskim murem przesądów”. Obie kochał i podziwiał, wierzył w ideał wolności, w postęp całego świata ku braterstwu, w szerokie ludzkie zrzeszenie, oparte na wzajemnym poszanowaniu. Stał na gruncie państwowości rosyjskiej, lecz żądał — stale i konsekwentnie — szerokiej autonomii dla Królestwa Polskiego i potępił rusyfikację. Korzystał z faktu, iż cenzura w Petersburgu była znacznie łagodniejsza (!) niż w Warszawie i nie szczędził Rosjanom słów cierpkich i ostrych. Polskości nie wyrzekł się nigdy. Z furją zareagował na broszurę Kazimierza Krzywickiego, który doradzał wyrzeczenie się odrębności narodowej z językiem włącznie. „Autor proponuje nam umrzeć i zgnieć jako naród polski” — zagrzmiał — „ażeby się odrodzić w innej, wyższej całości, Słowiańszczyźnie! Jest to podmawianie do samobójstwa!”.

Żyjąc nad Newą, nie nad Wisłą, wciągnął się całą duszą w epokę „wielkich reform” Aleksandra II, w krótkotrwałe rosyj-

skie odrodzenie, kiedy zdawało się, że „wiatr zachodni” stopi odwieczne lody, a wśród rosyjskiej elity eksplodowały wielkie talenty — jak on liberalne, wrogie despotii. Rosjanom zawsze się przedstawiał jako Polak i był za Polaka uważany; więc ceniono go z racji wielkiego intelektu, lecz podejrzewano o dwulicowość: prawosławny, z Białorusi — i Polak? Nie dbał o to, wierzył, że skruszy nieufność. Był przekonany, iż zbuduje „trwały most złoty między Polakami a Rosjanami” — jak napisała *Nowa reforma* we wspomnieniu pośmiertnym. *Głos narodu* żegnał go słowami: „Prawdziwa odwaga: iść przeciw prądom popularnym, nie złąknąć się okrzyku: hańba lub zdrada!”. Najtrafniej jednak oddała mu hołd *Gazeta polska*: „Zmarł ostatni poważny reprezentant poglądów politycznych, historycznie niesprawiedliwionych, psychologicznie błędnych, praktycznie bezsilnych, ale reprezentant myślący i uczciwy”.

Wierzył, że odrodzenie Rosji będzie początkiem lepszej przyszłości również dla nieszczęśliwej ojczyzny. „Nie odczuwał tego instynktem polskim — zauważył wódz endecji J. L. Popławski — że Rosja zreformowana i odrodzona, i tym przekształceniem życia swego potężna, groźniejszym jest dla Polski wrogiem, niż Rosja carska”.

Pisano po jego śmierci, w 1906 roku, że wykonywał pracę Syzyfa — starając się być heroldem zgody polsko-rosyjskiej, przeciw prądowi historycznych wydarzeń. Ale jak mógł taki cel osiągnąć ktoś, kto z werwą pasjonata bronił romantyków przed napaściami ze swego własnego obozu realistów, kto pisał: „Dziś potępiamy romantyzm, ale czembyśmy byli bez niego, to nawet określić się nie da. On nas odrodził. W ogniu tego uczucia nasz patriotyzm oczyścił się, spotęgował, nasza narodowość doszła do świadomości, zbyła się naśladownictwa, stała się umyślowie samoistną. Bez romantyzmu bylibyśmy może przepadli”.

Jego droga, mimo pozorów konsekwencji, była raczej błędną wędrówką Don Kichota, niż pracą Syzyfa. Naczelna idea współżycia Polaków z Rosjanami na podstawie bezwarunkowego równouprawnienia była wprawdzie piękna i byłaby także mądra, gdyby była realna. Tylko, że podzielali ją nieliczni. „Oficjalne sfery rosyjskie wzruszały nań ramionami, patrioci polscy nienawidzili go, widząc w nim zdrajcę sprawy narodowej” — stwierdził Feliks Koneczny. Bo też patriotów zraził raz na zawsze, gdy swoje poglądy na Powstanie Styczniowe — o których można by dyskutować — wsparł epitetem, który obraził większość narodu: nazwał „politycznym onanizmem” stan umysłów, jaki dominował w Warszawie przed rokiem 1863. Powstanie uważał za

skrajną głupotę, albowiem przekreśliło marzenie jego życia — pojednanie. Świetnie mu w tym punkcie odpowiedział Bolesław Lutomski:

„Obaj, i Wielopolski, i Spasowicz, wychodzili z założeń tzw. polityki realnej, ale mylili się, przypuszczając, że jednostka lub grupa polityczna może wbrew woli narodu przeprowadzić choćby jak najlepiej w gabinecie obmyślany program. Tymczasem polityka jest realną dopiero wtedy, kiedy utrzymuje równowagę między wczoraj a dziś, między odziedziczonymi marzeniami pokoleń a interesami dnia bieżącego”.

Krzepić serca, jątrzyć rany

*Nie damy miana Polski zgnieść,
Nie pójdziem żywo w trumnę,
W ojczyzny imię i w jej cześć
Podnosim czoło dumne.
Odzyska ziemię dziadów wnuk
— Tak nam dopomóż Bóg.*

To jest pierwotna wersja trzeciej strofki „Roty”; tej, którą przed drukiem Konopnicka zamieniła na znany tekst „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Nowy wariant lepiej pasował w utworze, który miał z muzyką Feliksa Nowowiejskiego uświetnić 500-lecie Grunwaldu. Wcześniej Konopnicka wysłała do Oksfordu protest przeciwko nadaniu doktoratu *honoris causa* prawa cywilnego cesarzowi Wilhelmowi II — „gwałcicielowi wszelkich praw ludzkich, katowi dzieci polskich, który wydziedziczył naród polski z ojczyznoego kraju”. Demokracje Zachodu nie miały w tamtej epoce najszcześniejszej ręki w szafowaniu nagrodami i tytułami, zaczęły to naprawiać w wiele dziesięcioleci później.

Poetka-publicystka, która współczesnym kojarzy się głównie z sierotką Marysią, dla pobudzenia uczuć patriotycznych uczyniła nie mniej, niżeli najwięksi naszego Parnasu. Trafiła pod strzechy w dwóch najciężej doświadczonych zaborach, między które zabroniła pasję pisarską. Ochrona słusznie w 1902 roku zarejestrowała ją jako „wroga państwa i ludności pruskiej”. A Żeromski słusznie uznał, że „... należy się Konopnickiej sława, jaką naród nagradza wielką miłość swoich najlepszych ludzi”.

Publicystką była najwyższej rangi — jeśli wymierzać ją nie kunsztem pióra, lecz trafnością i skutecznością głoszonych idei.

Podczas jednej z demonstracji wołała: „Czynność, jak nasza, jest już bitwą i zwycięstwem, nawet gdyby nie została uwieńczona nagłym sukcesem”. Rozumiała, że w polskiej sytuacji otwarty protest, choćby przegrany, jest cenniejszy, aniżeli kombinowanie, jakby tu cichaczem uszczknąć cokolwiek okupacyjnej władzy, bez naruszania russyfikacyjnego albo germanizacyjnego ładu i porządku.

Namiętna ongiś przeciwniczka klerykalizmu, o której wileński biskup Niedziałkowski mówił, że zasługuje na przebicie języka rozpalonym żelazem za herezję, jakie głosiła o świętej Inkwizycji — przekazała rodakom apostrofę, która wciąż rozbrzmiewa w sanktuariach oporu: „Tak nam dopomóż Bóg”.

„Rota” pozostała na stałe hymnem narodu, a każde kolejne pokolenie aktualizuje ową trzecią strofę w zależności od tego, z której strony największe dla Polski zagrożenie. I tylko człowiek skarlałego serca może sobie dworować z niewyrafinowanej poetyki wierszy Konopnickiej, z czułościowości, czy z jej wędrowki od laicyzmu do religii. Takie jest w narodzie miejsce literatury, jakie sobie literatura zdobędzie służbą dla narodowej sprawy. Inne kryteria oceny niech sobie wytyczają esteci bez rozumu i krytycy bez wyobraźni. Wolno im bawić się w pisarstwo ponadczasowe, jak każdemu wolno powiedzieć: moja chata z kraja, co jednak zaszczytu nie przynosi.

Służbą dla narodowej sprawy... Trzeba zatem odbraćowić literaturę XIX wieku, potocznie traktowaną jako depozytariuszka wartości narodowych. Trzeba pisarzy, *in corpore* uważanych za „inżynierów dusz”, poddać weryfikacji wedle ich zasług niepodległościowych.

Uczynił to w książce pod dwuznacznym tytułem „Rozbiory” znakomity krytyk młodej generacji, Andrzej Pawluczuk, mimo że popadł miejscami w zbyt kategorię jednostronność. Jego kult romantyków, który podzielam, nie powinien całkowicie zabawiać czci pozytywistów.

„Zacznijmy od romantyków — pisze Pawluczuk. — Ci widzieli jasno: państwa polskiego nie ma, ale Polska istnieje, ponieważ żyje naród. Porządek ustanowiony w roku 1815 w Wiedniu był dla nich czymś tymczasowym; nie akceptowali go, uważając postanowienia Kongresu za czwarty rozbiór... Polska dla Mickiewicza, jak i wszystkich zresztą pisarzy Wielkiej Emigracji, to było coś nieporównanie większego: przede wszystkim możliwość samodzielnego stanowienia o swoim losie... Zważmy, że romantycy Wielkiej Emigracji aktualni są także dzisiaj, a przecież nie ma już cara Wszechrosji i zmieniła się mapa Europy.

Romantyczna terażniejszość bezpowrotnie minęła, ale my — siedząc w teatrze na przedstawieniu 'Dziadów' — myślimy o sobie dzisiejszych, a nie o Polakach sprzed stu czterdziestu lat... Romantycy byli więc nie tylko geniuszami poezji, skoro dostrzegali rzeczywiste przyczyny naszej narodowej tragedii. Byli geniuszami myśli i — jak dotąd — jedyną generacją pisarzy, która przeniknęła do szpiku istoty polskiego problemu”.

Na czym ten polski problem polegał i polega?

Po pierwsze: na polityczności literatury. W innych krajach romantyzm zaczął się i skończył jako prąd literacki, zaś w Polsce już w kolebce splótł się ze spiskiem politycznym; tak właśnie, i trafnie, władze rosyjskie oceniły Filomatów i Promienistych.

Po drugie: romantyzm był programem moralnego odrodzenia, który mógł się ziścić tylko pod warunkiem, iż każdy Polak uzna go za obowiązek wobec narodu.

Po trzecie: poetom romantycznym obca była myśl o kompromisie z zaborcą. Nie przychodziło im do głowy, by wydać coś w Warszawie za cenę ustępstw wobec cenzury, chociaż ryzykowali, iż zostaną znani nielicznym czytelnikom. Mickiewicz mógł się przecież spodziewać, że „Dziady” nigdy nie zostaną wystawione, lecz najważniejszy był dlań obowiązek napisania prawdy.

A wreszcie, konstatuje Pawluczuk, romantycy pragnęli, by myśl o wolności przetrwała w nas jak najdłużej. Ich optymizm co do polskich szans wybicia się na niepodległość był „zasiewem złudzeń, których sami chyba nie mieli. Oni zapewne wiedzieli, że proces ten trwać będzie bardzo długo, przez wiele, wiele pokoleń, toteż myśl o niepodległości pragnęli umieścić w tym miejscu naszej duszy, skąd ją najtrudniej wyrwać”.

Powiodło się jednemu z następnych pokoleń. Powiodło się wbrew trzem zaborcom, ale też na przekór całej Europie, która pogodziła się z nieistnieniem Polski, rada ze stabilizacji i z tego, że pszenica jak dawniej obficie i tanio płynie z ziem ukraińskich. Romantycy stworzyli mitologię posłannictwa i wyzwolenia, która okresowo przygasiała, po klęskach irredenty, lecz nigdy z dusz polskich nie została wykorzeniona do cna. To, że nie zginęła, jest naszym długiem wobec romantyzmu.

Mniej przekonujący jest atoli ferwor, z jakim Pawluczuk rozprawia się z pozytywistami, a przede wszystkim z Orzeszkową. Wypomina jej takie wyznanie: „Co za przepyszne rzeczy miała-bym do pisania, gdyby o nich pisać można było!”. Orzeszkowa

pogodziła się z niemożnością pisania, skoro nie można było tego drukować, a przecież „Nie rosyjski urzędnik prowadził rękę pisarza i nie carski żołnierz pochyłał się nad jego biurkiem”.

Istotnie, głupio wyrwało się Orzeszkowej, lecz czy zasługuje na szyderstwa? Toż pani Eliza osobiście brała udział w konspiracji Traugutta... Może i Prusowi nie wypada zbyt ostro wspominać apolityczności, skoro w 1864 roku przesiedział się w celi na Zamku Lubelskim za przynależność do organizacji spiskowej. Młodzi są bezkompromisowi i chcą, by każdy kto stoi na świeczniku, świecił permanentnie. Mogą się jednak narazić, że ktoś odpowie: Mickiewicz i Słowacki szykowali się wprawdzie, by chwycić za broń, ale nie zdążyli dojechać. Na szczęście.

„Pomyślmy na przykład o Sienkiewiczu — pisze Pawluczuk. — Kiedy posypały się w świecie przekłady 'Quo Vadis', pisarz mógł do końca życia utrzymywać się z honorariów. Mógł wyjechać i ogłaszać drukiem to, na co nie pozwalały władze w Warszawie. Mógł? Otóż jednak nie mógł, ponieważ nic w gruncie rzeczy nie miał do powiedzenia... Czy życie w niewoli tak zniekształca umysł i osobowość, że pewne rzeczy stają się niemożliwe do pomyślenia?”

Tu koniec zgody. Sienkiewicza można do woli szarpać za konserwatyzm, za układność, jaką nie raz okazał wobec władzy, za „Wiry” — prostacki paszkwil na rewolucjonistów, za „Rodzinę Połanieckich” — apoteozę miłośności. Jednak nie te książki określają rolę Sienkiewicza. Negować znaczenie „Trylogii” i „Krzyżaków” dla animacji uczuć patriotycznych — to śmieszne. Lepiej fenomen Sienkiewicza pojął nawet Kanadyjczyk Roy Daniells, pisząc ostatnio w książce „Tradycje polskich ideałów”, że gwałtownie usiłował on wzbudzić w czytelnikach zrozumienie własnej historii, ciągłości walki o trwanie.

„Okres tzw. pozytywizmu ściągał już nas w dół — pisze Pawluczuk — ponieważ zadomowiły się w umysłach pisarzy inne, nowe oczywistości. Myślę, że najbardziej znamienne w skutki było przekonanie, iż w państwie rosyjskim można mimo wszystko ułożyć sobie życie i myśleć o przyszłości. Problem, który był dla kraju i jego mieszkańców najważniejszy, problem niepodległości znikł przeto z literatury, a jego miejsce zajęły zagadnienia zastępcze... Jeśli bowiem trwać mamy pod berłem carów, trwajmy jak najlepiej, a więc pracujmy, bogaćmy się, handlujmy ze Wschodem (bo nie dorosiliśmy do Zachodu), a czasami, gdy zmęczy nas nieczyste sumienie, złożymy datek na biednych”.

No nie, to nie tak. W każdym razie nie tylko tak. Elita intuicyjnie wyczuła albo świadomie doszła do wniosku, iż obrona wartości narodowych jedynie na odległość, z emigracji, może się stać bezprzedmiotowa, jeśli większość ludzi twórczych wyjedzie na Zachód — by stamtąd choćby najpiękniej apelować o wytrwanie w polskości i walkę do ostatniego tchu... Apelować do kogo? Do niepiśmiennych? Pańszczyźnianych chłopów? Do zdeklasowanej szlachty, ledwie wiążącej koniec z końcem? Z pewnością rozumiała to Orzeszkowa. Spod jej pióra wyszło i takie zdanie: „Tam, dokąd nie pozwalają wam trafić drogą jasną i jawną, idźcie ścieżyną wąską i krętą, lecz także do celu wiodącą — drogą konspiracji oświatowej”.

Instynkt podpowiedział optymalne rozwiązanie: nieliczni najlepší — na emigrację. Drugi rzut — wśród narodu. Jeśliby i oni kraj opuścili, pustka byłaby jeszcze puściejsza. Generacja postycziowa przecież prawie nie знаła Mickiewicza! Jego dzieła były rzadkością. „Dziady drezdeńskie” były w świadomości nieobecne, a „Pan Tadeusz” (w wydaniu z 1858 roku) został skrócony przez cenzora o 367 wierszy najbardziej groźnych dla caratu. W wydaniach z 1878 roku cenzura była jeszcze bardziej zapobiegliwa, bo nie tylko skracała ale i zmieniała tekst i sens utworów.

Ma za złe nasz zoil krajowym pozytywistom, że umykali w przeszłość, w powieść historyczną, chociaż z samego przywołania historii nie wynika nic twórczego. „Z faktu, że byliśmy kiedyś tacy a nie inni, nie da się wyprowadzić logicznego wniosku na temat, jacy mamy być dzisiaj i jutro”. Logicznego wniosku — nie, ale generalną dyrektywę — tak. Proces społecznej edukacji w wielkiej mierze polega właśnie na przejmowaniu trwałych wartości, w tym wzorów postaw, od przeszłych pokoleń. Rzecz jasna, nie każda książka historyczna, nie każdy pisarz wywiera wpływ wzorotwórczy, to zależy od talentu — i nie każdy czytelnik jest odpowiednim „rezonatorem”; lecz ten walor daje się szlifować, między innymi przez rozbudzanie świadomości historycznej. Oczywiście, Kraszewski, choć był przez całe dziesięciolecie pisarzem najpoczytniejszym i suwerenem warszawskiej prasy, nie tworzył podniet do myślenia i naśladowania. Po młodzieńczej apoteozie męczeńskiej bierności duszę jego zatręła kompletna niewiara. Wskazywał na nierówność sił w walce z Rosją oraz na nieuleczalną słabość polskiej psychiki i wprost przestrzegał przed spiskowcami, którzy mogą „spokój kraju i resztki życia narazić”. Gdyby żył dziś, byłby z pewnością prezesem ZBOWiD. Ale Żeromski? Prawda: nie był pozytywistą. Ale był „krajow-

cem” i uprawiał powieściopisarstwo historyczne (choć nie tylko). Właśnie nim, jak żadnym innym pisarzem — prócz Słowackiego, później Wyspiańskiego — ożywiona była wyobraźnia generacji niepodległościowej. On wyłamał się ze schematu, który (wedle Pawluczuka) wzięli pisarzy „krajowych” w tematyce zbożnej orki i kupieckiego łockia. On nie podzielał przekonania, że „teraźniejszość, w jakiej przyszło żyć, przedłuży się po nieskończoną przyszłość”. Przeciwnie, patrzył nawet za daleko w przyszłość, co denerwowało niektórych niepodległościowców. Michał Sokolnicki miał mu za złe co następuje: „Nim jeszcze zaczęła się walka, zanim jeszcze cieniem realności stała się Polska, już się zbudziły wątpliwości myślowe i etyczne: czy Polska ta aby nie będzie zbyt silna, czy przypadkiem nie spróbuje też sądzić i karać, pilnować i wymagać, nakładać obowiązki i trzymać ludzi w ryzach społecznego rygoru”.

Te wątpliwości, zasiane w umyśle Żeromskiego przez „etyzm” Abramowskiego, czyniły jego twórczość ważnym ostrzeżeniem, że niepodległość socjalistyczna (bo taką tylko antycypował) może się obrócić przeciwko prawom jednostki. To musiało być denerwujące dla piśsudczyków, ale czy było niemądre? Sokolnicki żalił się, iż nie był w stanie uznać tej Żeromskiego zasady moralnej, że „jeśli ktoś został oskarżony, to pewnie jest niewinny, jeżeli był o coś podejrzany, to właśnie dlatego jest prawdopodobnie czysty jak łąza”. Zdenerwowała go „Róża”, w której Żeromski pytał, czym stanie się Polska pełna „sołdatów z białymi orłami na kaszkietach”; uznał to dzieło za świadectwo załamania się talentu Żeromskiego pod wpływem przerastającej go rzeczywistości...

Okazało się, że intuicja pisarska lepiej rozświetla daleką przyszłość, niż projekcje polityków.

Kolejna pretensja Pawluczuka do pozytywistów — o aluzyjność ich tekstów — jest jeszcze mniej uzasadniona. Stwierdzenie, że ukazywały się w druku tylko takie aluzje, które cenzor uznał za bezpieczne, jest nieprawdziwe. Między pisarzem a cenzurą toczyła się uporczywa gra o margines swobody wypowiedzi, z której nie zawsze pisarz wychodził całkiem pobity (można było trafiać jeśli nie do sumienia, to do kieszeni cenzora). Mimo katalogu tematów i słów „tabu”, mimo restrykcji i sadzania do twierdzy redaktorów odpowiedzialnych, mimo konfiskat i mazania czarnym tuszem po wydrukowanych nawet tekstach — ukazywały się sporo myśli (nie tylko aluzyjnych), które podtrzymywały ducha. Czy można to wszystko zbyć lekceważeniem, zachwalać jedynie maksymalizm postaw moralnych i męstwo tych, co decydowali się

pisać „całą prawdę” — nad Sekwaną lub Lemanem? Równie prawomocnie można by udowodniać tezę odwrotną, iż właśnie emigracyjny wariant postaw był eskapizmem albo że miał skutki mniej pomyślne dla utrzymania Polaków w gotowości, niż uparte trwanie pomiędzy nimi, nad Wisłą, mimo ograniczeń i represji, które trud pisarza redukowały. To fakt, pozytywiści nie lecieli orlim lotem romantyków, ale tylko nieliczni, jak Aleksander Świętochowski, posuwali się zbyt daleko w akceptacji stanu, jaki był — z lekliwości albo złej kalkulacji.

A Sienkiewicz? Nazwał go Stanisław Brzozowski klasykiem polskiej ciemnoty — i Pawluczuk jego zdanie podziela. „Ciemnota” to słowo chwytliwe, ale zwodnicze. J a k a ciemnota? Czy taka, która wynika z niewiedzy, czy taka, którą rodzi fałsz? Nadużyciem jest znak równości pomiędzy konserwatyzmem a ciemnotą. Świadoma apoteoza szlacheckiej przeszłości to wybór ideowy. Trafny czy nie trafny, lecz operatywny w polskich warunkach XIX wieku. Sienkiewicz odwoływał się do tradycji szlacheckich, zarazem fascynujących i bezpiecznych — i cenzuralnie, i w odbiorze klienteli mieszczańskiej — pomijał natomiast te grottgerowskie dworki, w których niedawno kuto broń. Tak, to było asekuranckie. Lecz czy było nieskuteczne dla pobudzania patriotyzmu?

Kryterium, jakie trzeba zastosować wobec twórczości Sienkiewicza jest inne: czy jego powieści (obojętnie, jak oceniamy ich walory artystyczne i intelektualne) usypiały i niszczyły świadomość narodu, czy też ją pobudzały do czynu? Trzeba wielkiej dozy zadufania, by powątpiewać w inspirujący wpływ Sienkiewicza. Jego prosta, niechby i prostacka ideologia „krzepy”, której był świadom („Wprowadziłem do literatury cały szereg ludzi zdrowych, wyjątkowo silnych i uczyniłem to umyślnie” — napisał) była potrzebna w czasie, gdy naród czuł się słaby, skotłowany i spętany. Tadeusz Hołówko zauważył: „Każdy z nas, będąc nawarstwieniem minionych pokoleń, po trochu odnajduje samego siebie w każdym z bohaterów Sienkiewicza”.

Osobną kwestią była pozaksiążkowa funkcja Sienkiewicza. Można sobie dworować z papierowej postaci Skrzetuskiego, z nieskomplikowanej psyche pana Michała czy z burleskowego Zagłoby, można nawet nie zauważać Kmicica i jego ekspiacji (zasługuje ona na analizę polityczną, nie tylko psychologiczną), ale, na litość boską, nie wolno nie rozumieć, iż sam Sienkiewicz stał się jakby jednym z własnych bohaterów książkowych! Był synonimem polskości, a jego postawy w różnych momentach dziejowych obserwowano uważnie. Czy wywierał jedynie pozytywny wpływ?

Na pewno nie. Czy nie mylił się w swej strategii oddziaływania na rodaków? Mylił się wielokrotnie. Wtedy, gdy zgodził się na uczestnictwo w odsłonięciu pomnika Mickiewicza, któremu władze nadały charakter wiernopoddańczej farsy. Wtedy, gdy z balkonu w Alejach Ujazdowskich, w 1905 roku, mitygował demonstrantów, że polskie społeczeństwo ma własne sprawy, więc nie powinno się interesować rosyjską rewolucją. I niedługo potem, gdy z paszkwilancką furią napadał na rewolucjonistów. I wreszcie, gdy lodowato przyjął w Oblęgorku wizytę legionowych oficerów, którzy przyszli doń po błogosławieństwo jak do Boga Ojca. W miarę upływu lat z apologety męstwa przekształcał się w ostrożnego żubra. Oddał się w służbę endecji i ona budowała wokół niego mistyczną aureolę. Jego słowa miały jednak ogromną nośność, obojętne CO w danej chwili głosił. Michał Sokolnicki napisał, że opinia publiczna ciągle chciała w nim widzieć znamiona proroka i chociaż „Rodziną Połanieckich” położył definitywnie kres tym złudzeniom — wzywano go do przewodnictwa w narodzie.

Na przełomie lat 1903/1904 Sienkiewicz przedsięwziął, pod pretekstem akcji dla powodzian, pięć podróży z odczytami po kraju. Baron Kronenberg dał mu do dyspozycji wagon salonowy na kolej Warszawsko-Wiedeńską, co zaraz naśladowały dyrekcje linii rządowych. Bilety rozchwytywano, wszędzie tworzyły się komitety powitalne, pielgrzymowały doń deputacje włościan i robotników. W Czerwonym Borze podejmowała go specjalnie wyłoniona reprezentacja wsi kurpiowskich. W Łodzi — entuzjazm robotników i kapitalistów. W Częstochowie — królewskie przyjęcie u Paulinów, którym zbudował mir po wiek wieków. Po dworach — uwielbienie. Włocławek, Lublin, Kielce, Siedlce, Kalisz, Piotrków, Kutno, Płock, Łowicz — cała Kongresówka na trasie. W Suwałkach po raz pierwszy od 1863 roku wygłoszono publiczny odczyt po polsku. Efektu tej pielgrzymki, która budziła wiarę w lepszą przyszłość przez sam fakt, że ON po polsku mówił i polskie dzieje przypominał, nie umniejszył nawet fakt, że rosyjskie władze poleciły urzędnikom przyjmować Sienkiewicza z należytą atencją, że w Łomży gubernator Korf zaprosił go do domu i rewizytował. Kto wie, czy i ta okoliczność — rosyjskiego pokłonu — nie ośmielała ludzi; odbierano to nie jako akt pojednania, lecz jako sygnał, że nawet zaborca musi się liczyć z Mocarzem. Mickiewicz był wtedy kimś na kształt Mesjasza, należał do mitycznej przeszłości. Sienkiewicz zaś był żywym „hetmanem polskich dusz” i symbolika jego przywództwa znaczyła co najmniej tyle, co karty jego ksiąg.

Także i Prus nie zasługuje na lekceważenie z punktu widzenia jego wpływu na etos Polaków. On ich starał się unormalnić przez dobrotliwy krytycyzm, skierowany na wszystkie azymuty. Nie jest sensowne wypominanie ani tego, że nie apelował o walkę wyzwoleńczą, ani tego, że pochwalał kapitał jako „nawóz, na którym wyrasta sztuka, moralność, nauka i inne szlachetne kwiaty natury ludzkiej”. Owszem, krytykował anachronizm marzeń powstańczych romantyków i burzycielskie porywy socjalistów, lecz dworował też z pozytywistów, moralnych bankrutów, obnażał obłudę arystokracji i drapieżność nowobogackiej burżuazji („Lalka”), z dezaprobatą pokazywał konserwatyzm struktur politycznych, paraliżujących dążenia do reform („Faraon”), a nawet pobłażliwie drwił z mieszczańskich ideałów i scjentyzmu („Emancypantki”), to znaczy z wartości, które mu były bliskie. Tego wszystkiego, co go raziło, nigdy nie zwalczał z namietnością, ale z wszechciernością, która krytycyzm łagodziła tak dalece, że paradoksalnie stawał się aprobatą każdej niemal postawy, z każdej usiłował wydobyć co najlepsze. Program miał ubożutki — poetyczna obrona ziemi, osobista przyzwoitość, filantropia dyktowana czułym sercem dla każdego, ład moralny, solidność, czystość, postęp wiedzy; ale czyż takie budowanie fundamentów etycznych i cywilizacyjnych nie miało sensu w kraju straszliwie zapóźnionym i połamanym psychicznie? Czy go nie ma i dziś? Fakt: odznaczał się niezdolnością do wyznawania określonego i trwałego programu ideowego, wobec wszystkich był na „nie”. Ale to dobrze, gdy narodowa edukacja zawiera — obok „Niech żywi nie tracą nadziei” — także „myjcie ręce przed jedzeniem”.

Paweł Lewinson-Łapiński z PPS-Lewicy napisał we wspomnieniu pośmiertnym o Prusie:

„Będąc pieśniarzem mieszczańskiego społeczeństwa, Prus nie przestał być poetą, idealistą i romantykiem. Ten swojego rodzaju optymizm i romantyzm był tą niewidzialną arką przymierza pomiędzy Prusem, trzeźwym bojownikiem nowych haseł, a ginącą patriarchalno-szlachecką przeszłością narodu”. I chociaż Lewinson dystansował się od ideowej postawy Prusa, to nazwał go jednym z najuczciwszych ludzi, szerokiego serca demokratą — i zaliczył do najświetlejszych umysłów doby pozytywizmu. Jego pocziwa mądrość nie mogła się zgodzić z żywiołem zrewoltowanej ulicy w rozkołysanym roku 1905, ale nawet w potępieniu tego ruchu („Dzieci”) zachował pobłażliwość człowieka, który stara się, lecz nie potrafi zrozumieć. Nie było w tej książce następnym i totalnej negacji buntu, jak w „Wirach”.

Tacy ludzie też są potrzebni narodowi, podzielonemu przez ostre sprzeczności, miotanemu nienawiścią. Jeśli nawet gwałtowne wiry wyrzucają ich na pobocze, to mogą niektórych skłonić do refleksji.

Całkiem inna niż w Kongresówce była optyka galicyjska, bo inne było położenie Polaków. Przybyszewski, jakby znudzony swą działalnością socjalistyczną w Berlinie, mógł tutaj z powodzeniem głosić, że „Społeczeństwo nie ma prawa narzucać twórcy swoich celów... Sztuka nie ma żadnego celu”. Tutaj był klimat i dla liryki, i dla groteski, i dla eksperymentów formalnych, i dla uniwersalistycznej, filozofującej poezji, którą — zdaniem Przybyszewskiego — na światowe wyżyny wyniósł Jan Kasprówicz. Porównywał go do Kochanowskiego i Mickiewicza. W Galicji, *nota bene*, Mickiewicz był *démodé*, nudził nawet gimnazystów, którzy odkrywali swego wieszca w Słowackim.

A ze współczesnych? O latach, w których redagował wysublimowane *Życie* (1898-1900) Przybyszewski napisał:

„Wypiański uchodził za nieszkodliwego grafomana. Do pierwszych powieści Reymonta — po on czas trzy się ukazały: Komediantka, Fermenty, Ziemia Obiecana — odnoszono się dość pobłażliwie, a — aż do ukazania się *Ludzi Bezdomych*, uchodził Żeromski za wielkość rozdmuchaną przez Warszawę”.

Kraków żył między patosem a kwietyzmem. Ale nie cały i nie zawsze. Nawet wielki mag Przybyszewski miał tam ostrych antagonistów, choć nie tak kategorycznych, jak w Warszawie — skąd grzmieli nań Piotr Chmielowski, Władysław Rabski, Ludwik Krzywicki i Andrzej Niemojewski, tuzy intelektualnej elity. Głównie chodziło im o to, że jego artystowska frenezja („Sztuka dla sztuki”) wychowa młodzież bezideową. Tak się nie stało i Przybyszewski mógł po latach zauważyć:

„To na *Życiu* wychowane i — jak to się powszechnie mówiło — zdegenerowane pokolenie obroniło w bohaterskich zapasach Lwów, nie mówiąc już o wielkim poświęceniu, z jakim zaszeregowało się w Piłsudskiego legionach”.

Kraków zawsze widać miał w psyche coś takiego, co drażniło Warszawę. Krakusiki na Warszawistach robią wrażenie sobków, spłodzonych przez Falstaffa i Melpomenę. Życie im upływa między kruchą a „Zielonym Balonikiem”, zaś do Czynu zbierają się opieszale, z drwiną autoironii. Ale kiedy z wieży Mariackiej hejnał otrąbią — to stają jak trzeba, można na nich liczyć, nie

zapomnieli tradycji włóczków zwierzyńceckich. Nawet mistyczny Wypiański bardzo rzeczowo rozmawiał z Piłsudskim o jego zamiarach politycznych i wsparł zbiórkę środków pieniężnych na Polski Skarb Wojskowy.

Wracając do Przybyszewskiego, to parnasizm, zaszczepiony przez *Życie*, był ściągany na ziemię przez feldmanowską *Krytykę*. Wspaniała, zapomniana postać: Wilhelm Feldman. Ze Zbaraża, wychowanek chederu i ludowej szkółki bernardynów. Jako piętnastolatek, w 200 rocznicę Wiednia, oznajmił na żydowskim święcie, że Polska jest ojczyzną Żydów, która im dała przytułek — że muszą o nią walczyć. Ledwie umknął, chcieli go skatować.

W 17 roku życia, już jako wzięty publicysta kilku pism (czyli wyrostek intelektualny) poznał we Lwowie Wysłoucha, Dmowskiego i Daszyńskiego. Ten ostatni najbardziej przypadł mu do gustu, więc zaraz poszedł Feldman do uła za śpiewanie „Czerwonego sztandaru”. Nie ostatni raz. Formalnych studiów w Krakowie nie dane mu było skończyć, lecz w studenckim „Ognisku” działał energicznie przeciw ideałom pozytywizmu, za romantyzmem i szacunkiem dla powstań, za *liberum conspiro* — przeciw tym, którym hasła te płoszyły „sen wygodny pod skrzydłami legalizmu i synekury”. Przetarł się potem po świecie, objawił umysłowość wybitną. Jego *Krytyka* (1900-1914) odegrała wielką rolę w rozwijaniu świadomości społecznej i niepodległościowej. W 1905 roku rozesłał do kilkunastu europejskich luminary ankiety z pytaniami o sprawę Polski. Odpowiedzieli mu m.in. G. B. Shaw, L. Tołstoj, J. Connolly. Wniosek był smutny: sprawa polska jest zapomniana. Niemieccy socjaldemokraci nie odpowiedzieli. „Bezpowrotnie zeszedli ze świata Marks i Engels” — pisał. Inni kontynuują ich formuły, ale nie ducha, „z oschłym scholastycyzmem łączą oschły dyplomatyzm”. Rozumiał, że nie ma co liczyć też na żadne mocarstwa, bo to prowadzi jedynie do legitymizmu i bierności politycznej, które zatruwają polską myśl polityczną. Owszem, Europa ma się czego wstydzić, ale bardziej ci, co ani jednemu z zaborów nie przeszkodzili z bronią w ręku.

Między imperializmem pruskim a carskim („wampirem narodu polskiego”) stawał znak równości. Kiedy wybuchła wojna japońska, pisał:

„Gdy stosunki tak się ułożą, że zachłannym kolosem zaczną trząść własni jego synowie lub pożar europejski na słomianą jego rzuci się głowę — może i dla nas wybić godzina czynów. Na razie ucmy się milczeć — ale zbrojnie”.

Zgłosił się do Legionów jako szeregowiec. Uważał, że dla

pisarza i publicysty polskiego, który całe życie nawoływał do romantycznego wysiłku, teraz tylko w wojsku polskim miejsce. Ale, że zdrowia był słabego i wieku niepoborowego, Sikorski odkomenderował go na szefa biura prasowego NKN w Berlinie. Wmawiał Niemcom, że w ich interesie jest polskie państwo buforowe. Dobry i bufor na początek.

Przez całe życie lansował takie *credo*: każdy naród ma prawo do niepodległości — skoro zaś ten cel jest na razie nieosiągalny, to nie znaczy, że jest w ogóle nieosiągalny. Unicestwiony zostanie dopiero, gdy go „w duszach naszych, w świadomości naszej unicestwimy”. Kto doradza kapitulację — doradza samobójstwo. „Ugody robią rządy tylko z silnymi... Gdzie rząd w kraju nie widzi nieprzejednanych, takiej ugody nie robi — gdyż ona faktycznie już istnieje”.

Ugodowców nie cierpiał. Winę za łatwe rozbiory i upadek powstań składał na mało czynne duchowieństwo, na arystokrację — która ze swej kosmopolitycznej natury była narodowo obojętna — na masy żydowskie, do których nie sięgnęła idea niepodległości. Ale na progu XX wieku stan społeczeństwa oceniał jako lepszy niż 100, a nawet 25 lat temu, bo ruszył się chłop i robotnik.

Akcentował potrzebę wyrabiania woli, jako praźródła potężnych uczuć, wbrew „ludziom trzeźwym, którzy swą trzeźwością nieraz już Polskę zgubili”. Był oczywiście stronnikiem aktywizmu. Dowodził, że trzeba wprawdzie dbać i o codzienne sprawy, bo bez tego nie będzie nie tylko niepodległości, ale nawet życia, lecz nie mniejszym złem jest zajmowanie się wyłącznie chlebem i oświatą — bez zrozumienia wypadków światowych i przygotowania się do czynnej w nich roli. Ciągłe nas w przeszłości gnębiła wiara, że „Polska będzie wyproszona, wymodlona, darowana, nie zaś własnymi rękami zdobyta”.

Nie był fantastą. Głosił dewizę:

„Trzeba robić, co w danej chwili można najlepszego, a z resztą umieć czekać”.

CZĘŚĆ TRZECIA

IŚĆ KIEDY PORA

Aktywizm? Pasywizm?

„Tuż za kładką — słupek z dwugłowym orłem. To granica! Każdy z nas po kolei, pomimo zmęczenia, ostatnim wysiłkiem czuje się w obowiązku słupek ów kopnąć, wałnąć kolbą, podważyć, aż nie zdołał się oprzeć sile uderzeń tysięcy strzelców i runął, by już nigdy więcej nie powstać”.

„Polska jest teraz wszędzie tam, gdzie stanął nogą żołnierz polski, żołnierz niewolnego narodu”.

Taki był moment uroczysty początku Wielkiej Wojny Narodów. Tak go zapisał sekcyjny 11 kompanii strzelców, Roman Starzyński (brat Stefana, w ćwierć wieku później bohaterskiego Prezydenta Warszawy), w książce „Cztery lata wojny w służbie Komendanta”.

Ale następny dzień, w uwolnionym miasteczku Skała, wystudił euforie.

„... na rynku tłum ciekawych obserwuje przemarsz o b c e g o wojska. N a s i — odeszli. Tych o b c y c h nikt nie wita, nikt nie pozdrowia. Ciekawy tłum — patrzy i milczy. Nikt nie wyniesie szklanki wody, nie poda kromki chleba. To już nie Krakowskie, nie polska Galicja, to Rosja, zaludniona szczerem mówiącym po polsku, ale czującym po rosyjsku!”.

Podobnie lub identycznie było w całej, z nielicznymi wyjątkami, Kongresówce. W Kielcach legionistów potraktowano jak okupantów, schowano portrety cara, żeby ich nie zniszczyli, w urzędach ostentacyjnie mówiono po rosyjsku. Łódź przyjęła wysłanników legionowych głuchym milczeniem. Serwiliści z Głównego Komitetu Obywatelskiego nie tylko odmówili im pomocy w zakwaterowaniu i werbunku, ale komunikowali się wyłącznie z komendą pruską. Stosunki z elitą legionową — a był w Łodzi

Gustaw Daniłowski, Andrzej Strug, Karol Adwentowicz — uważano za hańbiące. Czekano na powrót Rosjan. Organ legionowy *Do Broni!* tak pisał o wiernych endecji łodzianach: „Jesteście grzybem, który wyrósł na zgniłej glebie niewoli, pod opieką policmajstrów i Ochrazy... Bierność — to wasze hasło, wasza natura, spuścizna i treść wasza — przebrzydłe, paskudne narośle na ciele narodu”.

Również w Warszawie, „mieście nieujarzmionym”, wyparowały do cna nastroje ożywienia, bojowości, które poprzedzały rewolucję 1905 roku. Bierność Warszawy szokowała nawet władze rosyjskie. Rozkazów słuchano tak niewolniczo, że kiedy na Żąbkowskiej rozbito beki monopolowe i rynsztokami płynęła wódka (bo Rosja, kazał car, miała iść na wojnę trzeźwo) to owszem, dzieci w niej brodziły, ale — co w głowie się nie mieści — nikt jej nie łapał w bańki.

Cóż to się właściwie stało z Polakami? Strzelcy doznali szoku, którego przejmującym dokumentem jest „Marsz Pierwszej Brygady” z tą ocenzurowaną później zwrotką, która się kończyła: jebał was pies. Przyzwyczajenie do niewoli — zły, ale jakoś już zasymilowanej, przedstawianej jako mniejsze zło przez obóz ugody, było zjawiskiem masowym. Prostim ludziom podległość carowi jawiła się stanem naturalnym — natomiast nienawiść do Niemców, do nieznanego wroga, przenosiła się również na tych Polaków, co u ich boku obalali orła dwugłowego.

Aktywiści, nim osiągnęli niebo wolności, musieli przejść przez piekło nienawiści ze strony rodaków, których wyzwalali.

Pomimo wysiłków „zaraniarzy” i „oświatowców” mentalność ludu chłopskiego nadal była taka, jaką w 1897 roku opisał jeden z agitatorów w pogranicznej wsi:

„Nieraz zbierzemy się, wszyscy parobcy ze wsi, weźmiemy drąg i widły i idziemy prac szwabów.

— A gdzie oni?

— W drugiej wsi, przez granicę.

— Po jakimu mówią?

— Dyc po naszemu. Ino że my ruskie, a tamto niemieckie”.

Niewiele przesadził znany publicysta piłsudczykowski Wojciech Stpicyński, pisząc, że w 1914 roku w efekcie endeckiej agitacji antypowstańczej zaledwie parę tysięcy serc poderwało się do walki.

Labirynt polskich starań w czasie Wielkiej Wojny jest dobrze znany. Nawet w książkach historyków oficjalnych ten moment dziejowy jest zafałszowany mniej, niż wszystkie późniejsze okre-

sy. Zakładam, że Czytelnik zna główne fakty. Ograniczę się do kilku refleksji i wątków mniej opisanych i całkiem pomijanych.

W przededniu niepodległości, podczas wojny, a także w latach tworzenia państwa, istniało w Polsce kilkadziesiąt partii, stronnictw i ugrupowań politycznych. Były wśród nich potęgi, jak endecja, „Piast” czy PPS, były partyjki zasługujące na miano kanapowych, co nie znaczy, że pozbawione wpływu, gdyż autorytet wybitnych osobowości rekompensował niekiedy szczupłość szeregów. Niektórzy historycy i politolodzy orientacji marksistowsko-leninowskiej lubią dworować z tej mnogości efemeryd politycznych, które często zmieniały szyldy, dzieliły się i łączyły na nowo.

Łatwy to sarkazm, ale niemądry. Zwolennikom przewodniej i kierowniczej monopartii służy jeno do poprawiania swego samopoczucia. Nie miejsce tu jednak na polemiki z chwalcami fikcyjnej jedności kreowanej autentyczną przemocą. Rozdrobnienie polskich struktur politycznych było niepomysłną, lecz naturalną i nieuchronną konsekwencją warunków, w jakich toczyło się życie narodu — a nie skutkiem jakichś domniemyanych wad Polaków, w rodzaju postszlacheckiej kłótności, prywaty bądź „niedojrzałości”. Rozdrobnienie to zanikało zresztą w Dwudziestolecium. Partie i całe ich bloki jednoczyły się na wspólnej podstawie klasowej albo ideowej, ewoluowały ku takiemu układowi stosunków politycznych, jaki charakteryzuje państwa o starej tradycji demokratycznej. Inna rzecz, że w drugiej połowie tego okresu narastała groźba totalitaryzmu — co w ówczesnej sfrustrowanej Europie było raczej regułą niż wyjątkiem. Niektóre z aspektów totalitaryzmu były już faktem — jak fałszowanie wyborów, represje wobec opozycji i torturowanie więźniów — aczkolwiek był to na szczęście totalitaryzm niekonsekwentny, niekompletny, wybiórczy — bardziej zawadiacki po szwależersku, aniżeli ponuro, policyjnie wszechobecny. Aliści ten temat pomińmy. Nie punkt dojścia Drugiej Rzeczypospolitej jest przedmiotem tej książki, lecz punkt wyjścia w czasach trójzaborowych.

Mozaika stronnictw, partii, lig i zjednoczeń stanowiła produkt procesów społecznych i prądów myślowych o wyjątkowym bogactwie wektorów. Czynniki klasowy, który w warunkach normalnych decyduje o kształtowaniu się partii politycznych, w Polsce odegrał rolę istotną, lecz nie zasadniczą. Przyjmując za „normę” ustrój XIX-wiecznych państw Zachodu, Polska żyła przeciwieństwem w poczwórnej nienormalności. Po pierwsze — była ujarzmiona, po drugie — była rozczłonkowana, po trzecie — wegetował w niej anachroniczny porządek feudalny, po czwarte —

kapitalizm rozrastał się i mnożył proletariąt, ale nie wytwarzał prawie wcale polskiej burżuazji. Każda z tych osobliwości komplikowała siatkę ogniw życia politycznego, które niemal w całej rozciągłości było utajnione, co powodowało dodatkowe deformacje.

Rozpatrując strukturę klasową, należy odróżnić dwa przenikające się układy. Pierwszy, tradycyjny, miał na wierzchołku wielką arystokrację, w podstawie chłopstwo i czeladź folwarczną, a pośrodku resztkę „narodu szlacheckiego”, który uległ destrukcji po klęsce styczniowej. Drugi — formujący się — miał na szczycie kosmopolityczną burżuazję (głównie pochodzenia niemieckiego i żydowskiego, ale też polską i rosyjską, a nawet francuską i belgijską!), zaś na samym dole proletariąt fabryczny, stop „luźnego” chłopstwa, zdeklasowanej szlachty i spauperyzowanego mieszczaństwa. Warstwami pośrednimi były inteligencja, w lwiej części postszlachecka oraz drobnomieszczaństwo, powstałe z odrzutów wszystkich klas. Każda z komponent społeczeństwa jedną nogą tkwiła w tradycji wiejskiej, a drugą wspinała się na próg życia zurbanizowanego. Na tak chaotycznym podłożu łatwo kiełkowały wszelkie fantazje — od anarchizmu, przez mesjanizm po dewocję — natomiast trudno było wyhodować ideologie towarzyszące epoce triumfującego kapitalizmu.

Na magmę niedojrzałych klas i rozkojarzonych myśli nakładała się urozmaicona skala postaw patriotycznych. Na jednym biegunie była arystokratyczna Targowica, pogodzona z tronami. Na biegunie przeciwnym byli socjaldemokraci-międzynarodowcy, którzy wyrzekli się patriotyzmu, bo na co Polska niepodległa, skoro rychło wybuchnie rewolucja proletariacka, znosząca wszelki ucisk i granice?

Pomiędzy ekstremami — między Wielopolskim a Różą Luksemburg — była dwudziestomilionowa masa mieszkańców trzech zaborów, z których większość w ogóle nie identyfikowała się z polskością. Z włościan nieliczne jednostki wykraczały świadomością poza przywiązanie do katolicyzmu, tę najbardziej pierwotną formę poczucia polskości. Małe miasteczka były zdominowane przez izolujące się grupy ludności żydowskiej, której znikoma tylko część podlegała asymilacji. W nowym proletariacie kiełkująca świadomość narodowa była stale atakowana przez klasowe hasła międzynarodowców. Szala ważyła się to na jedną, to na drugą stronę, zależnie od tego, czy większą prężność wykazywała PPS czy SDKPiL — i jak falowała dynamika rewolucyjna w Rosji. Nawet wśród unarodowionej mniejszości tylko nieliczni traktowali Niepodległość jako program, o który

trzeba walczyć; reszta widziała ją w postaci mglistej utopii, która się kiedyś ziści, daj Boże — ale teraz należy myśleć o doczesnych interesach, ewentualnie o ulgach z łaskawości cara, na przykład o autonomii podobnej tej, jaką dał Galicji dobry cesarz.

Skala patriotyzmu miała więc cztery zasadnicze stopnie: negacji, obojętności, utopijnej nadziei, walki niepodległościowej. A każdy z tych stopni miał zmienne w czasie warianty i półtony, gdyż obok pytania CZY zabiegać o niepodległość, istniały dylematy taktyczne: JAK?

I to była trzecia, szalenie urozmaicona warstwa komplikacji. Czy znowu szykować się na powstanie? Tak, lecz pierwszej stworzyć „polski Piemont” w którymś z zaborów... Nie, cierpliwą pracą organiczną umacniać materialną substancję bytu! Terror, tylko terror przeciw stróżom i sługusom reżimu! Przegnać te mrzonki, jedyną drogą — ugoda, trzeba lojalnie wesprzeć Tron, wyprosić co się da, czekać na pomyślniejszą konstelację... Budować zwarty front walczącego proletariatu! Raz na zawsze zapomnieć o romantyzmie... Szkolić cały naród w rzemiośle wojennym, ażeby w momencie spięcia był aktywną siłą, o którą będą zabiegać mocarstwa!

A więc mamy już trzy zasadnicze kryteria różnicowania Polaków pod zaborami: 1) interes klasowy, 2) stosunek do ideału niepodległościowego, 3) zalecaną taktykę. Siatka podziałów zagęszcza się i komplikuje — oto bowiem czynnikiem czwarty, w rozmaity sposób nakładający się na poprzednie: trójzaborowość.

Główny wróg to Rosja, oczywiście. Ona przecież pochłonęła z górą dwie trzecie Polski, ona rządzi knutem, kajdanami i Sybirem. Takie jest powszechne przeświadczenie... w zaborze austriackim, najmniej ze swego losu niezadowolonym. W rosyjskim poglądy są bardziej rozstrzelone. Jedni manifestują swą nienawiść, inni fascynują się siłą caratu, robią interesy, snują sny „pansłowińskie”, niektórym imponuje rosyjski gest i *naplewatielstwo*. Wielu robotników zapatrzonych jest w czyny narodowolców, inteligencja zaczytuje się rosyjską literaturą, a chłop kłania się batiuszce za wyzwolenie od szlacheckiego jarzma. To nie znaczy, wszystko razem, że większość Polaków kocha carat — nie, istnieje zrozumienie, iż Rosja jest tyranią — ale wcale niełatwo uwolnić się od poczucia bezsily wobec giganta, nawet pocieszając się wyższością swej zachodniej kultury.

W zaborze pruskim spojrzenie na Rosję jest jeszcze inne. Jawi się ona, nawet tym samym ludziom, jako azjatycka barbaria i jako potencjalny Zbawca od pruskiego uciemnienia. Brak kon-

sekwencji? Nie, dylemat wyboru mniejszego zła, zawsze tragiczny.

Dopiero w ostatnich latach przed pierwszą wojną wykryształizowały się dwie orientacje: aktywistyczna, lokująca nadzieje w klęsce Rosji (a co potem — to się zobaczy) oraz pasywistyczna, zorientowana na sukces Rosji w wojnie z państwami centralnymi (to niepodległości nie przyniesie, ale może zjednoczenie pod berłem Romanowych?).

Czy ktoś ma nadzieję, u progu wojny, że runą trzy imperia? Co najwyżej garść marzycieli, którzy studiowali i żyli w Paryżu, a potem utrzymywali „francuską łączność” przez łożo Wielkiego Wschodu. Nie istniała jednak polityczna orientacja prozachodnia, albowiem tam i wtedy, nad Wisłą w roku 1914, realny był tylko wybór: przeciw Rosji lub z Rosją. Wybór między Piłsudskim a Dmowskim.

Lecz właśnie oni dwaj, wielcy liderzy sprzecznych orientacji, nienawidzący się i rywalizujący zajadle — przeczuwali, jeden i drugi, że zmagania europejskie mogą się skończyć tak, jak się skończyły: pogromem wszystkich zaborców. Traktowali to jako jedną z szans możliwych, choć mało prawdopodobną. Obaj już na początku wojny zabiegali o kontakty z Paryżem i Londynem. I w miarę rozwoju wojennych wydarzeń obaj do tej szansy stopniowo dopasowywali swą strategię — Dmowski wedle zwartej doktryny, jaką stworzył, Piłsudski wedle daru intuicji, która pozwalała mu modyfikować taktykę polityczną i korygować błędy.

Splot polskich komplikacji politycznych miał więc jeszcze piąty wymiar: rachub międzynarodowych, prognoz co do kształtu przyszłego świata i miejsca, jakie w nim mogłaby zająć wskrzeszona Polska.

Trzeba o tej złożoności pamiętać, jeśli się chce zrozumieć meandry głównych nurtów ideowych, jakie się ostatecznie złożyły na Niepodległość — ich wewnętrzne spory i rozterki, ich rozłamy, ich ewolucję i zaskakujące wolty polityczne. Każdy nurt był przecież pod presją nie tylko swej klienteli, ale też zdany był na fluktuacje nastrojów, które w warunkach niewoli zawsze mają skalę wahań od powstańczej euforii do katastroficznego nihilizmu; a także był modulowany przez koncepcje taktyczne przywódców, którzy musieli oceniać zmienny układ sił we własnych zaborach — oraz relacje międzyzaborowe, a wszystko na ogólnoeuropejskim tle.

Mieliśmy mądrych, mężnych, przenikliwych polityków, którzy niemalże do maksimum potrafili wykorzystać dziejową szansę,

jaką przed Polakami otworzył niespodziewany finał Wielkiej Wojny.

Tej oceny nie zmienia fakt, że wielu z architektów Niepodległości nie sprostało zadaniu konsolidacji i modernizacji młodego państwa. Dokonania Dwudziestolecia, chociaż wielkie, były niewystarczające wobec wyzwania, jakie przed Polską postawiły wydarzenia.

Wszelako, gdyby nawet Polską rządili geniusze, tragedia Września była chyba nieuchronna. Nie było ocalenia przed naporem dwóch imperializmów, których łączny potencjał dziesięciokrotnie przewyższał nasz własny, skoro wszystkie demokracje Zachodu spętane były wówczas paniką i przeżarte defetyzmem, a u ich steru stali ludzie o zajętych sercach i kurzych umysłach. To jednak temat na inną książkę; ta mówi, jak się Polakom udało, a nie o tym, dlaczego się później nie udało.

Co przynosi takie rozpamiętywanie, skoro historia nigdy się nie powtarza? To prawda. Historia się nie powtarza. Ale istnieje ciągłość „sprawy polskiej”. Zmieniają się okoliczności, cele szczegółowe i etapowe, metody, lecz kontynuowanie postawy niepodległościowej — choćby zdawało się, że żadne racjonalne przesłanki nie wskazują na perspektywę ucieśnienia tej wizji — jest jedyną gwarancją, że przetrwa naród i kiedyś, nie wiadomo w jakim splocie dziejowych zdarzeń, Polska będzie Polską.

Strzelcy, którzy formowali się w Oleandrach we frontowe kompanie (tylko pierwsza kadrowa dostała nowoczesne manlichery, kupione przez Polski Skarb Wojskowy, następne zbrojono w jednostrzałowe werndle) nie mieli pojęcia, jakimi torami potoczy się sprawa polska. Stanowili gromadkę nieprzejednanych, którzy „na stos rzucili życia los”. Taki był entuzjazm pośród marzycieli, że w szeregi zaciągnęli się nawet wybitni członkowie PPS-Lewicy, jak Jan Hempel i Feliks Kon, który oświadczył: „Polskim rewolucjonistom nie wolno nie walczyć przeciw caratowi”. Co prawda, szybko mundury zrzucili, a skończyli jako komuniści w Związku Sowieckim.

Straceńcy-legioniści, którzy w niewiele lat później stali się samowładną elitą, kim byli, gdy wychodzili z Oleandrów?

Najlepszą bodaj ich charakterystykę przedstawił prof. Henryk Jabłoński (było to prawie 40 lat temu) na łamach kwartalnika *Dzieje Najnowsze*. Oto co ustalił:

A. „Legiony nie były wojskiem w rozumieniu normalnym i nikły był w ich szeregach procent oficerów zawodowych. Gros stanowili 'zmilitaryzowani cywile', tą drogą pragnący realizować

swe cele polityczne. Większość z nich wchodząc na drogę wojskową nie zdawała sobie wcale sprawy z tego, że w przyszłości, w wolnej Polsce, będzie również działać w ramach wojska”.

B. „... w późniejszym życiu Polski nie Legiony jako całość odegrały rolę, lecz tylko ich część, tj. I Brygada, związana z nią ideowo POW oraz ci legioniści z innych brygad, którzy uznali swój związek z 'ideologią Piłsudskiego', podporządkowując się w ten sposób duchowemu prymatowi I Brygady”.

C. „Wyraźne piętno na I Brygadzie wywarli królewiaczy, choć nie brakło ich i w pozostałych formacjach”.

D. Na 11.480 legionistów, będących w ewidencji, robotników było 2.128, rzemieślników 2.642, rolników 825, inteligentów różnego typu — 5.885. Jeszcze wyższa była „inteligencckość” I Brygady.

E. Cechą charakterystyczną I Brygady był jej związek z tradycją PPS, a ściślej z „radikalizmem inteligenccko mieszczańskim, przepojonym zresztą do szpiku szlachecką fantazją, w najlepszym tego słowa znaczeniu”. Ten właśnie radykalizm I Brygady „nadawał jej szczególne piętno, szczególną barwę polityczną i wielki, romantyczny rozmach”, którego jej inne formacje zazdrościły.

F. Z trzech brygad legionowych — Pierwsza biła się najlepiej, miała najniższy procent „zaginionych” oraz wziętych do niewoli.

G. „Świadomie czy podświadomie ten dziwny twór naszej historii XIX i XX wieku — tzw. inteligencja polska, przeżywała w I Brygadzie swój wiek heroiczny. Tam znajdowały ujście jej sny o własnym państwie i o swej w tym państwie roli, tam przeżywała na jawie marzenia o wielkości i sławie, o Polsce jakiejś nierealnej, nie mającej ni granic, ni gruntu, bo wyrosłej z marzeń patriotycznych, ale artystycznych, książkowych, niczym niemal z życiem szerokich rzesz narodu nie związanych”.

Te uwagi Jabłońskiego są zgodne z prawdą. Inna sprawa, że wyprowadza z nich nietrafne wnioski o późniejszych metamorfozach politycznych piłsudczyków, imputując im wyłącznie prawicowe, a nawet faszystujące skłonności oraz tendencje do zrastania się z endecją. Nic bardziej fałszywego. Z legionistów wyrósł autorytarny „obóz belwederski”; istotnie pewna jego frakcja zarażała się faszystującymi hasłami endeckiej ekstremy. A jednak, jako całość, sanacja była bliższa centrum niż prawicy — i tylko dlatego mogły do niej szlusować spore odłamy ludowców, socjalistów, radykałów. Etos socjalizmu i radykalizmu bynajmniej nie wyparował z zaplecza sanacyjnych rządów. Wady ich były ewidentne; ale czy był możliwy wówczas inny system władzy —

gdy od zachodu groził totalitaryzm faszystowski, a od wschodu totalitaryzm komunistyczny? Zdanie się na całkowicie wolną grę sił oznaczałoby wtedy jedną z trzech ewentualności: albo zwycięstwo potężnego bloku prawicy i ewolucję ku faszyzmowi, albo rebelię mniejszościowych elementów komunizujących, której nie omieszkałby wesprzeć sąsiad wschodni, albo rząd demokratyczny, lecz skrajnie słaby i niestabilny (skoro nie było ani wykrystalizowanej większości, ani tradycji parlamentarnych kompromisów, zaś rolę jęczyczka u wagi spełniały mniejszości narodowe, obojętne na los państwa polskiego). Być może niesympatyczne rozwiązanie piłsudczykowskie było w tych warunkach optymalne; dało przynajmniej dwudziestoletnią suwerenność, demokrację ułomną, ale lepszą od totalitaryzmu, oraz czas na unarodowienie mas pracujących.

Inteligencja z I Brygady wyniosła takie doświadczenia, że „lud”, na który początkowo gorąco liczyła, zawiódł w chwili decydującej próby (zarówno chłopstwo, jak robotnicy), natomiast ze strony endecji spotykały ją jedynie epitety, iż jest „żydowsko-socjalistyczną szumowiną”. Piłsudczycy mieli poczucie totalnego osamotnienia, ale nie zrezygnowali z niepodległościowej wizji i misję swą kontynuowali w interesie wszystkich — wbrew letargicznej większości. Musiał im w rezultacie zostać głęboki uraz do narodu, tylekroć wypowiediany przez Piłsudskiego. Uraz powodował zamykanie się we własnym kręgu zrozumienia i lojalności. To, że sytuacja ta wyradzała się w klikowość — jest oczywiste; to, że klikowość prowadziła do praktyk antydemokratycznych, a także do samouwielbienia i groteskowej fanfaronady — też jest oczywiste. Ale wcale nie jest oczywiste, czy istniała wówczas opcja mniej szkodliwa, niż rządy piłsudczyków, którzy w trakcie Wielkiej Wojny udowodnili przynajmniej jeden swój walor: niezłomny patriotyzm, a walor drugi — zrozumienie potrzeb mas ludowych — starali się potem z cząstkowym powodzeniem wcielić w praktykę, na miarę możliwości politycznych i ekonomicznych.

I znowu, chyba to nieuchronne, wykroczyłem poza zakresłony temat. Trzeba wrócić do punktu wyjścia.

Gdy Pierwsza Kadrowa wkraczała na nieprzyjazną Kielecczyznę, a w Krakowie tworzył się Naczelny Komitet Narodowy — polityczny organ aktywistów i patron Legionów — w Kongresówce, odciętej frontem, nic o tym nie wiedziano. Ale i tutaj, na jałowej pustyni ugody, istniały oazy patriotyzmu. W Warszawie konstituuje się potajemnie Zjednoczenie Organizacji Niepodległościowych, złożone z 11 stronnictw i kilku organizacji spo-

łącznych, pod egidą PPS. Rolę spoiwa spełnia też masoneria. Należy do niej Artur Śliwiński, ówczesny lider PPS w Kongresówce. Masoni Gustaw Simon i Marian Grotowski prowadzą Związek Narodowy (secesję z Narodowej Demokracji), Witold Abramowicz — inteligencki Związek Patriotów, Maksymilian Malinowski i Stanisław Osiecki — ludową grupę „Zarania”, zaś Rafał Radziwiłłowicz i Stanisław Patek — Stronnictwo Narodowo-Radykalne, będące po prostu polityczną ekspozyturą masońskiej kapituły.

Zadaniem najpilniejszym jest nawiązanie łączności z NKN i z Piłsudskim. Znane są trzy misje kurierskie w pierwszym miesiącu wojny: Stanisława Bojakowskiego, który dotarł do Krakowa i powrócił z poleceniem organizowania w Warszawie Straży Obywatelskiej, która ujawni się w momencie wkroczenia wojsk niemieckich; Janiny Błochówny, wysłanej przez Michała Sokolnickiego z otoczenia Piłsudskiego do Warszawy, z pakietem informacji o sytuacji w Galicji oraz Stanisława Patka — do Kielc, gdzie kwaterował Piłsudski. Historycy jakoś przeoczyli, że wszystkie te misje zorganizowały kręgi masońskie, zaś Patek jechał — jako upoważniony przedstawiciel Kapituły — nie tylko do Piłsudskiego i do NKN, ale też do stolic Francji i Anglii. Towarzyszący mu w ryzykanckiej podróży przez front Artur Śliwiński powrócił z instrukcjami Piłsudskiego do Warszawy, zaś Patek dotarł do Szwajcarii, gdzie spotkał się z Antonim Natansonem, mistrzem loży „Wyzwolenie”. Razem pojechali na Zachód, by szefom mocarstw wytłumaczyć, czemu Polacy tworzą Legiony u boku... ich wrogów. Było to trudne, jak rozwiązanie kwadratury koła, ale dzięki pośrednictwu Wielkiego Wschodu — powiodło się.

W Bordeaux, dokąd ewakuował się rząd francuski, deputację Kapituły przyjął Georges Clemenceau, który wkrótce miał stanąć na czele rządu francuskiego. Wysłuchawszy argumentów emisariuszy, rzekł krótko: „A więc trzeba wam niepodległości”, wbrew stanowisku rządu istniejącego który — co oczywiste — dbał o dobre stosunki z sojuzniczą Rosją. Jeszcze lepiej poszło w Londynie. Szef Foreign Office, lord Grey, przyjął delegację natychmiast (z Dmowskim rozmawiał przez swego sekretarza), pilnie wysłuchał przedstawionych racji — i zezwolił na otwarcie polskiego ośrodka informacyjnego, który prowadzili masoni August Zaleski i Tytus Filipowicz.

W rok później, po wkroczeniu Niemców do Warszawy, a Austriaków do Lublina — Piłsudski, 16 sierpnia 1915 roku, oświadczył na spotkaniu z gronem działaczy niepodległościowych,

że przerywa werbunek do Legionów — co wywołało osłupienie zebranych — a także, iż nie wyklucza dogadywania się z „moskalofilami” (to znaczy głównie z endecją, swą najzawziętszą przeciwniczką) — co już wywołało gwar i burzę protestów.

Historycy twierdzą, że zwrot taktyki Piłsudskiego był skutkiem niepowodzenia akcji werbunkowej. Wydaje się, że sprawa miała głębsze podłoże. Na dziesięć dni przed deklaracją Piłsudskiego, podobny program ogłosił Patek, który pełnił rolę dyskretnego łącznika Piłsudskiego z mocarstwami Zachodu i — był wtedy liderem polskiej masonerii. Patek starał się łagodzić antyrosyjskie ostrze odezwy do społeczeństwa, przestrzegał przed angażowaniem się po stronie niemieckiej i formowaniem dalszych oddziałów legionowych, zalecał „stanowisko ogólnoniepodległościowe bez ujawniania frontu”. Było to naturalnie wyrazem linii politycznej masonerii, która stawiała na sojusz z Francją i Anglią. Ale było to także zgodne z alternatywną koncepcją Piłsudskiego. On tworzył swe Legiony przy mocarstwach centralnych — gdyż głównym wrogiem była Rosja; ale już przed wybuchem wojny (21 lutego 1914), wygłaszając odczyt w Paryżu, sformułował tezę następującą: zwycięstwo pójdzie „z Zachodu na Wschód”, to znaczy Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy a te z kolei — przez siły angielsko-francuskie, ewentualnie z udziałem Ameryki. To pokazuje Polakom kierunek ich działania.

W sierpniu 1915 zwrot Piłsudskiego był bardzo logiczny. Rosjan już nie było w Kongresówce, ich pobite pod Tannenbergiem i Gorlicami armie nie miały szans na skuteczną kontrofensywę, natomiast pochód niemiecki we Francji został zahamowany nad Marną, ugrzązł w okopach, co dawało Zachodowi czas na mobilizację potencjału wojskowego. Ktoś, kto grał o stawkę najwyższą — o Polskę niepodległą i zjednoczoną — nie mógł takiego momentu przegapić; nie mógł pozostawać dalej w roli wiernego sojusznika państw centralnych. A Piłsudski grał o tę stawkę bez wątpienia. Dla masonerii zaś nie było nic miłszego, niż zwrot od proaustriackiego aktywizmu — ku orientacji prozachodniej.

Ale nie dla całej masonerii. Ta jej część, która od dawna miała zażyłe stosunki z Władysławem Sikorskim, wsparła jego program. Sikorski, szef departamentu wojskowego NKN, był mniej elastyczny od Piłsudskiego, który potrafił korygować swe polityczne koncepcje; Sikorski dwoił się i troił, aby Legiony rozbudowywać nadal, bo wierzył, że ich liczebność będzie najlepszą gwarancją pomyślności „rozwiązania austriackiego”, któremu był wierny aż do wiosny 1918 roku. Gdy Sikorski rozszedł

się z Piłsudskim, nastąpiło też rozbitcie Kapituły. Zanika jej spójna dotychczas linia polityczna. Masoni oczywiście działają nadal, we wszystkich grupach obozu niepodległościowego, ale to już nie jest realizacja ich planu infiltracji tych struktur, lecz przeciwnie — wynik rozpadu jednolitego planu działań.

Dyskretne otwarcie ku Francji było dla masonerii miodem, ale manifestacyjny odwrót Piłsudskiego z pozycji antyendeckich, jego skłonność do ugody z Dmowskim — piołunem.

Rozchodzi się nierozłączna dotąd para: Radziwiłłowicz — Patek. Pierwszy należy do czołowych przywódców Ligi Państwowości Polskiej, która staje się główną ośrodkową „linią austriackiej”, zagorzałą sojuszniczką NKN i Sikorskiego. Patek i reszta narodowych radykałów (Śmiarowski, Łypacewicz, Paschalski, Życki, Chrzanowski) wtapiają się w Zjednoczenie Stronictw Demokratycznych, bliskie Piłsudskiemu. Jeszcze inni masoni powracają do PPS, tworzą PSL „Wyzwolenie” lub Partię Niezawisłości Narodowej. Masoneria jako organizacja wyczerpała swoją kilkuletnią funkcję zastępczego centrum ruchu niepodległościowego w Kongresówce. Poszczególni jej przywódcy obrali różne drogi, chociaż wciąż ku wspólnemu celowi. Od tej pory osiłą krystalizacyjną piłsudczyków staje się Centralny Komitet Narodowy, zaś sikorszczaków — Liga Państwowości Polskiej. Trzeci wielki obóz gromadzi się wokół Narodowej Demokracji, która z wolna przesuwając się od wiary w „powrót taty” ku wierze w wielkie demokracje zachodnie i wizję niepodległości zaczyna traktować na serio.

Ewolucję nastrojów w Królestwie Polskim doskonale można odtworzyć, śledząc informacje i publicystykę prasy niepodległościowej — czasopisma *Myśl Polska* i organu LPP, dziennika *Głos Stolicy*. Obydwa były związane z masonerią, obydwaj redagował mój Ojciec. Niech mi wolno będzie w tym fragmencie powołać się na jego gazety i przedstawić, czym się wówczas pasjonowano w Warszawie.

Myśl Polska, zeszyt II, 1915:

We Francji organizują się polscy wolontariusze — „Bajonczycy”. Tworzą oni II kompanię batalionu C 1 pułku cudzoziemskiego. Jest wśród nich rzeźbiarz Xawery Dunikowski. Pojawienie się Białego Orła na sztandarze rozdrażniło Niemców. „34 kule przeszły poświęconą tkaninę, zszytą delikatnymi dłońmi pobożnych pań w Bayonne”. Padł Władysław Szujski, chorąży, syn

sławnego historyka-konserwatysty i lojalisty — który zgłosił się do szeregów, mając 51 lat.

Myśl Polska, zeszyt IV, 1915:

Witold Giełżyński: „Polityka polska bezwiednie i naturalnie dążyć będzie ku zharmonizowaniu w granicach jednej dzielnicy, a w okresie likwidacyjnym wojny doprowadzi do syntezy ogólnonarodowych aspiracji, które we wszystkich żyją, jeno gdzieś niegdzie zatarły się i zagubiły w pośpiesznym poszukiwaniu orientacji”.

Benedykt Hertz przypomina, że kiedy chłop Jakub Bojko został posłem, narodowo-demokratyczny *Głos* pisał:

„... co innego budowanie przyszłości na siłach ludowych, a co innego wtykanie buławy do rąk ciemnemu chłopu”.

Myśl Polska, zeszyt V, 1915:

Deklaracja ideowa stwierdza, że czasopismo musi być — jak od początku było — „Placówką wobec wszelkich zamachów na nieposkromnione dążenie Polski do własnej państwowości i niepodległego bytu”.

Cytat z legionowych *Wiadomości Polskich*, wydawanych w Kielcach, że nareszcie „przyszło do nas słowo z Warszawy”.

Stanisław Thugutt zamieszcza obszerny tekst: „Co by nas mogło połączyć?” — o szansach porozumienia narodowego.

Witold Giełżyński: „Rosjanie wysadzili za sobą wszystkie mosty. Nikt tu ich nie żałuje i powrotu nie pragnie... Bodażmy was nigdy już u siebie nie oglądali. I jeśli pragniecie istotnie całą słowiańszczyznę objąć uczuciem miłości wzajemnej, to wiedźcie, czym dalej będziecie, tem więcej będziemy Was kochać. Ale zniechędzimy was na nowo, i stokroć bardziej, jeśli powróćcie zechcecie. Jeden tylko urzędnik rosyjski może liczyć na przyjazne w Warszawie przyjęcie — ambasador Jego Cesarskiej Mości Cesarza Wszzechrosji przy Rządzie Polskim”.

Włodzimierz Dzwonkowski, opowiadając się za etnograficznymi granicami Polski, przeciwstawia się mrzonkom o granicach historycznych: „Przodujący i kierowniczy charakter polskości na Litwie i Rusi nie może być trwały i wcześniej czy później zmieni się na naszą niekorzyść”.

Charakterystyczne: w żadnym zeszytzie *Myśli Polskiej* z 1915 roku nie padło nazwisko Józefa Piłsudskiego. Roman Dmowski był przywoływany kilkakrotnie, ale zawsze krytycznie.

Myśl Polska, zeszyt V, 1916:

Józef Grabiec-Dąbrowski snuje szerokie rozważania o genezie ruchu niepodległościowego, oddając sprawiedliwość *Głosowi* z okresu wczesnego, który — dzięki oryginalnym myślom Bohusza — „wykształcił pod wielu względami całe pokolenie”. Do radykalnych przedstawicieli obozu wczesnej Ligi Narodowej zalicza też Popławskiego. Ale podkreśla: „Renesans wojskowości polskiej, ruch współdzielczy, ruch ludowy itd. tworzyli pepesowcy”. Zaczyna się próba zbliżenia obu orientacji?

Myśl Polska, zeszyt VI, 1916:

Artykuł wstępny stwierdza: „Wśród obozu niepodległościowego, któremu od początku służyliśmy, zarysowały się różnice taktyczne i programowe, nastąpiło rozdwojenie i coraz ostrzejsze zwalczanie wzajemne. Jest to zjawisko smutne i zgubne w skutkach”.

Autor zapowiada, że *Myśl Polska* będzie się starała przeciwdziałać, łagodzić, syntetyzować rozbieżne stanowiska.

Myśl Polska, zeszyt VII, 1916:

Witold Giełżyński: „Jeszcze nie minęło pół roku, jak nasza prawica słyszeć nie chciała o żadnym wystąpieniu politycznym, kwestionującym postulat autonomii. Pod bładą, jedynie o prawie do niepodległego bytu państwowego mówiącą tzw. deklaracją stu, nie można było pozyskać ich podpisów. Dzisiaj z własnej woli wydają odezwę niepodległościową i przyłączają się do uroczystej deklaracji, wyraźnie zrywającej z Rosją, bo składającej hołd walczącym z nią wiernym synom naszej Ojczyzny. Przed rokiem ledwie można się było doliczyć setki uczestników skromnego uczczenia bohaterów Woli. W lecie następnego roku setki tysięcy zalegają pola Grochowskie i stoki Cytadeli przy poświęceniu krzyży na miejscu śmierci walecznych żołnierzy i męczenników sprawy narodowej”.

Ponadto bardzo przychylny tekst o proletariatach: „Ludzie ci mogli mieć swoje przywary, ale wszyscy byli wolni od jednego grzechu — od grzechu mierności i słabości”.

Myśl Polska, zeszyt VIII, 1916:

Ostra krytyka SDKPiL, która w ogóle nie ustosunkowała się do Aktu 5 Listopada, uznającego niepodległość Polski, gdyż była

zajęta sporami między „rozłamowcami” z *Naszej Sprawy* i „zarządowcami” z *Naszej Trybuny*.

Edward Lipiński (*sic*) napisał w kronice:

„Rewolucja socjalna jest dla socjaldemokratów zwyczajnym wybiegiem agitatorskim, jest oportunistycznym hasłem, pozwalającym SD nie zajmować żadnego politycznego, praktycznego stanowiska wobec wypadków historycznych”.

Ponadto w numerze obszerne (pierwszy raz) relacje o Legionach oraz charakterystyka przegrupowań partyjnych w obrębie obozu niepodległościowego. Główny akcent na genezę i program Ligi Państwowości Polskiej, która popiera galicyjski NKN.

Głos Warszawy (wyszły 4 numery, w listopadzie 1916):

Sprawozdanie z uroczystego posiedzenia LPP, po proklamowaniu Państwa Polskiego, Aktem 5 Listopada. Prezes stronnictwa Michał Łempicki mówił:

„Przeżywamy chwilę, za którą tęskniły długo pokolenia Polaków, której długie pokolenia zazdrościć nam będą. Zawdzięczamy ją tym, co po upadku ojczyzny naszej życie oddawali na ofiarę tej idei, która dziś zwycięstwo odniosła”.

Reportaż z Ratusza — tłumy ludzi wznoszących okrzyki: „Niech żyją legiony, niech żyje POW!”. Zjawił się płk Sikorski.

Adres dziękczynny do Legionów, podpisany m.in. przez Józefa Grabca-Dąbrowskiego, Józefa Wasercuga-Wasowskiego, Marcelego Handelsmana, Izę Moszczeńską, Witolda Giełżyńskiego. Wielkie zgromadzenie w Łodzi, pod przewodnictwem dr. Tomaszewskiego i dr. Sterlinga. Udział wziął prezes Rady LPP Rafał Radziwiłłowicz.

Informacja o zmianie nazw wielu warszawskich ulic: Hr. Berga — teraz Romualda Traugutta, Włodzimierska — Czackiego, hr. Kotzebue — Fredry, Erywańska — Kredytowa, Kaliksta — Śniadeckich, Teodora — Chałubińskiego, Aleksandryjska — Floryńska, Nowo-Aleksandryjska — Puławska, Plac Aleksandra — Trzech Krzyży, Junkierska — Kozia.

Na przyjęciu dla prasy polskiej i zagranicznej przedstawiciel Turcji powiedział: „Już się iśći przepowiednia Wernyhory — Turek konia napoił w Dniestrze i Polska zmartwychwstaje”.

Głos Stolicy, nr 1 z 19 listopada 1916:

W Radzie Miasta Warszawy dyskutowano sprawę pomnika

7 generałów polskich, którzy w czasie Powstania Listopadowego zostali wierni carowi i zginęli z rąk powstańców. Grupa radnych orientacji niepodległościowej (Berenson, Daniłowski, Pawłowicz, Łypacewicz, Makowski) postawiła wniosek o rozbiórkę pomnika i położenie na jego miejsce tablicy z napisem: „Bohaterom rewolucji 31 roku — Naród”. Radny dr Rząd z narodowej demokracji replikował, że w oczach świata taki akt destrukcji pomnika będzie przypominał „dawne pogromy”. W głosowaniu wniosek odrzucono, większością 3 głosów. Dziennik skomentował:

„Lecz padnie. Niedługo paść musi!”.

Głos Stolicy, nr 3:

Reportaż z wkroczenia do Warszawy jednostek II Brygady Legionów i ich historia, m.in. piórem Władysława Orkana.

Głos Stolicy, nr 5:

Wielki raut u Dziewulskich na cześć oficerów-legionistów (długi spis obecnych osobistości). Szczególnie ciepłe słowa pod adresem płk. Szeptyckiego. Atak „O obserwatora” na Dmowskiego, jako cynika i komedianta, za „protest lożański” przeciw Aktowi 5 Listopada.

Głos Stolicy, nr 9:

Atak na SDKPiL za to, że występuje przeciw Aktowi 5 Listopada powołując się... na prawo międzynarodowe!

Głos Stolicy, nr 10:

Sylwetka Arcyksięcia Stefana Habsburga z Żywca — pretendenta do tronu polskiego; jest spokrewniony z Piastami i Jagiellonami...

Głos Stolicy, nr 12:

Dalsza polemika z SDKPiL, wsparta licznymi cytatami z Marksa i Engelsa, popierającymi sprawę polską. Szerokie informacje o tym, co robi Sikorski, mało o Piłsudskim, prócz informacji, że przybył do Warszawy i zatrzymał się w „Bristolu”.

Głos Stolicy, nr 17:

List Stanisława Downarowicza do Wacława Sieroszewskiego,

polemizujący z jego atakiem na Sikorskiego i departament wojskowy NKN; gazeta wypowiada się za dalszym werbunkiem do Legionów, zgodnie ze stanowiskiem Sikorskiego, przeciw Piłsudskiemu.

Głos Stolicy, nr 25:

Korespondencja z Anglii o napaści *Times* na wydawnictwo Augusta Zaleskiego o historii Polski. *Times* zarzuca mu idealizm i powołuje się na W. A. Day, który w 1867 roku oczyścił Murawiewa (!) z posądzenia, jakoby był „Wieszatkiem”. Polacy przesadzali jak zawsze, Murawiew wcale nie był zły...

Głos Stolicy, nr 26 (święteczny, na dobrym papierze):

Trzy duże zdjęcia jednakowego formatu. Józef Piłsudski „twórca polskiego ruchu zbrojnego”, Stanisław Szeptycki „Komendant Legionów” i Władysław Sikorski „Szef Departamentu Wojskowego”. Obszerna historia Legionów z mniejszymi zdjęciami dowódców poszczególnych jednostek.

Głos Stolicy, nr 31:

List otwarty „Do przyjaciół Polski w zachodnich państwach koalicji” — odrzucający projekt autonomii, opowiadający się za pełną niepodległością.

Głos Stolicy, nr 1, 1917:

Obszerny tekst o Henryku Sienkiewiczu. To prawda, że był on przeciw udziałowi Polski w wojnie, w tym akcji legionowej. Ale na łożu śmierci odmówił posłom Dmowskiego swego podpisu na proteście w sprawie Aktu 5 Listopada. (Byli nimi hr. Płater i hr. Zamoyski). Sienkiewicz błagał ich, aby tego protestu nie publikować.

Głos Stolicy, nr 6:

Atak redakcyjny na „realistów”, na słowianofilstwo Spasowicza, na konserwę i pozytywistów — wrogów ideologii niepodległościowej.

Głos Stolicy, nr 14:

Artykuł Ludwika Stasiaka o kształcie Herbu Polski. „Ten

herb powinien mieć formę z czasów najwyższej potęgi Polski, formę orła Krzywoustego, Kazimierza Wielkiego, Kazimierza Jagiellończyka”. Co prawda, pierwotnym znakiem państwowym, czyli książęcym, był żubr (?!?), ale szybko zjawił się Orzeł Biały, być może jako znak przynależności Polski do państwa rzymskiego. Rada Artystyczna postanowiła, żeby herb był dwuczęściowy: z lewej strony Orzeł w złotej koronie na pąsowej (nie karmazynowej!) barwie, z prawej — Pogoń.

Głos Stolicy, nr 33:

W Warszawie powstało Towarzystwo Żeglugi Napowietrznej.

Głos Stolicy, nr 36:

Ponieważ czterej członkowie kierownictwa LPP — Łempicki, Kozłowski, Dziewulski i Sokołowski — złożyli swe mandaty, gdyż zostali członkami Tymczasowej Rady Stanu, prezesem Centralizacji LPP obrano Rafała Radziwiłłowicza.

Głos Stolicy, nr 39:

Obszerny artykuł o tym, jak rozpadła się i nadal rozpada Narodowa Demokracja, a jej kolejne frakcje i secesje przechodzą na stronę niepodległościową, w tym także do LPP.

Głos Stolicy, nr 44:

Wreszcie zapadła oczekiwana decyzja o rozbiórce pomnika 7 generałów na Placu Zielonym! Trwa dyskusja na tematy techniczne: jak go rozebrać, skoro składa się z lanych płyt żelaznych i ozdób brązowych wielkiej trwałości.

Głos Stolicy, nr 46:

„Obserwator” domaga się założenia Szkoły Dziennikarskiej, ażeby podnieść kwalifikacje zawodowe pracowników prasy, a także polemizuje z gazetami obozu narodowego, które pod groźbą infamii zakazywały... tańców. Przeciwnie, inne już są czasy, radosne, i tańczyć można, skończyła się doba żałoby narodowej!

Głos Stolicy, nr 48:

Przed kilku miesiącami rosyjska Rada Ministrów zezwoliła na śpiewanie w kościołach „Boże coś Polskę”. Ale zarząd pol-

skiego kościoła w Moskwie otrzymał zarządzenia naczelnika miasta: „Rada Ministrów uznała za możliwe pozwolić w drodze wyjątku na wykonanie w kościołach, na nabożeństwach za Sienkiewicza modlitwy 'Boże coś Polskę', za specjalnym na każdy raz pozwoleniem i z warunkiem niepozwalania na manifestacje i śpiewy przed kościołami i na ulicy”.

Głos Stolicy, nr 71 oraz *Dodatek Nadzwyczajny*:

Wielki nagłówek: WYBUCH REWOLUCJI W PETERSBURGU. Długi tekst o gen. Aleksandrze Babińskim, od 1905 roku przywódcy polskiego obozu niepodległościowego w Rosji. Nagłówki: UWIĘZIENIE MINISTRÓW! BUNT W WOJSKU! Dalsze szczegóły o rozwoju sytuacji. Abdykacja cara Mikołaja!

Rewolucja marcowa w Rosji, a nie bolszewicka — październikowa, spowodowała formalny powrót sprawy polskiej na forum międzynarodowe. Manifest Rządu Tymczasowego ks. Lwowa zapowiadał utworzenie Państwa Polskiego (w unii z Rosją) ze wszystkich terytoriów o większości polskiej. Ten akt prawny umożliwił państwu Wielkiej Koalicji tworzenie armii polskiej we Francji oraz uznanie Komitetu Narodowego Polskiego — więc powrót do rodziny narodów niepodległych. Mieczysław Niedziałkowski stwierdzał, że Polska odzyskała byt dzięki trzem faktom międzynarodowym: zwycięstwu koalicji, rewolucji marcowej w Rosji oraz rewolucjom niemieckiej i austriackiej w listopadzie 1918 roku, które nadważyły pozostałe mocarstwa rozbiorowe. Jest to opinia trafna — jeśli mowa tylko o zewnętrznych czynnikach niepodległości, bez uwzględnienia nie mniej ważnych wewnętrznych, stworzonych przez długie lata walki Polaków.

Z dniem 31 marca 1917 *Głos Stolicy* przestał się ukazywać. Jego miejsce, prawdopodobnie z inicjatywy Tymczasowej Rady Stanu, zajął *Głos* — o szerszej platformie politycznej i pod naczelną redakcją Jana Kucharzewskiego. Wiązało się to z próbą pojednania trzech głównych obozów politycznych: Piłsudskiego (który formalnie wszedł do TRS z ramienia PPS, choć nie był już jej członkiem!), Dmowskiego (on sam ostro zwalczał TRS, lecz paru endeków chyba nie bez jego *placet* weszło w jej skład) oraz Sikorskiego (którego linię realizowali członkowie LPP). Byli też w Tymczasowej Radzie Stanu konserwatyści paru odcieni, co zapewniało poparcie kół ziemiańsko-finansowych, byli ludowcy, był formalny reprezentant PPS Władysław Kunowski oraz bezpar-

tyjni. Był też Władysław Studnicki — prezes gorliwie proniemieckiego Klubu Państwowości Polskiej.

Tymczasowa Rada Stanu nie cieszy się dobrą opinią historyków. Zarzut główny brzmi, że była ciałem dekoracyjnym, z którym niemiecki okupant w ogóle się nie liczył; o niczym ważnym nie decydowała, zakres jej kompetencji był znikomym i mglistym.

To prawda. Jednakże uzyskanie już w trakcie wojny i okupacji formalnego statusu tymczasowej władzy suwerennego państwa (choć nie istniało ono faktycznie) miało nie tylko symboliczne znaczenie. TRS skupiała przedstawicieli większości orientacji politycznych, oprócz antyniepodległościowej SDKPiL z jej coraz mizerniejszą akolitką — PPS-Lewicą, oprócz chrześcijańskiej demokracji, która w Kongresówce miała znikome wpływy, no i oprócz tej części endecji, która konsekwentnie słuchała Dmowskiego. Ta namiastka parlamentu działała też praktycznie, przygotowując kadry i szczegółowe projekty dla rozmaitych dziedzin przyszłego życia państwowego. A wreszcie — swym zalegalizowanym istnieniem ośmieliła tych licznych Polaków, którzy marzyli o niepodległości, lecz ciągle bali się z tym uczuciem ujawniać. To wcale nie było tak mało. To był kolejny etap poszerzania frontu niepodległościowego, który zaczął się od garszki straceńców z I Brygady, paru niezbyt silnych stronnictw galicyjskich oraz rozproszonych enklaw radykałów inteligenckich.

Ale właśnie dlatego, że to był tylko etap, Piłsudski, aby nie być skrępowany, ledwie wszedł do TRS — zanegował ją i wezwał do dymisji. Piłsudski wybrał wariant „dialektyczny”: aprobował TRS jako etap pożyteczny i kwestionował ją jako etap niewystarczający. Zdecydował się zatem na „kryzys przysięgowy” wśród wiernych mu legionistów i na uwięzienie w Magdeburgu. Dopiero to oczyszczało go w oczach społeczeństwa (i częściowo w oczach Zachodu) z niewygodnych podejrzeń, że jest tylko narzędziem w rękach Austrii lub Niemiec; bądź co bądź, uwalniał Kongresówkę u ich boku.

Miał jednak Piłsudski jeszcze jedno oczyszczenie przed sobą: w oczach socjalistów, swych druhów przez ćwierć wieku. Oni przecież widzieli, że się coraz bardziej odrywa od koncepcji socjalistycznej i stara się o *consensus* z prawicą. Wielu pojmowało, że inaczej grać nie może, jeśli chce objąć władzę w państwie, w którym prawica ciągle ma za sobą połowę społeczeństwa. Ale coraz liczniejsi sądzili, że ich „towarzysz Wiktor”, ich Ziuk — po prostu zdradza sprawę socjalizmu.

Prawica już rozumiała, że Piłsudski nie ma najmniejszej ochoty na rewolucję; trzeba było zrobić gest dla lewicy, żeby poczuła, iż Piłsudski choćby trochę jest nadal jej bliski. Więc, gdy 10 listopada przybył do Warszawy z internowania i obejmował dyktatorską *de facto* władzę — wymyślił albo aprobował sposób, by usatysfakcjonować starych przyjaciół i nie zrażać warszawskich robotników.

13 listopada 1918 roku na Zamku Warszawskim zawisł czerwony sztandar.

Co bardziej naiwni historycy uważają ten fakt za niezbity dowód radykalizacji ówczesnych nastrojów; co bardziej zapaleni propagandyści przypisują ten akt — komunistom...

W rzeczywistości do Piłsudskiego przyszli Witold Jodko-Narkiewicz z Wacławem Sieroszewskim, starzy pepesowcy, i powiedzieli: Komendancie, chcemy zawiesić czerwony sztandar na Zamku, bo szykuje się ogromny pochód PPS. Piłsudski myślał krótko: „Zawieście — rzekł. — Abyście tylko mogli go tam utrzymać”.

Sztandar wisiał do początku grudnia i warty wojskowe zmieniały się pod rewolucyjną czerwienią.

Lewica była uszczęśliwiona, ale coraz głośniejszą sarkawa prawica.

Zatem, któregoś dnia, Sosnkowski (bez wątpienia nie z własnej inicjatywy) kazał sztandar zdjąć. Lewica miała na pociechę, że jednak wisiał, prawica — że jednak został zdjęty.

I nic się nie stało. Oprócz tego, że Piłsudski zyskał trzy tygodnie względnego spokoju na umocnienie władzy, którą konstruował wokół środka, ideologicznie zabarwionego na różowo, lecz podpartego cichą aprobatą tych, co mieli wpływ w sferze materii.

Orlęta

Państwo jeszcze nie istniało. Piłsudski był więźniem Magdeburga. Dopiero za 10 dni miał nadejść 11 listopada 1918 roku. W takim punkcie historii we Lwowie rozgorzała walka, która zrodziła legendę Orląt.

Lwowskie Orlęta pełniły w międzywojennej Polsce tę samą rolę kamieni na szaniec, jaka w ćwierć wieku później przypadła chłopcom z „Zośki” i „Parasola”.

Naród, który by nie otaczał czią swych bohaterów, ich heroizmu nie czynił wzorem wychowawczym — byłby mówiącą tym samym językiem populacją „tutejszych”, nie duchową wspól-

notą. Jest naturalne, że Powązki stanowią patriotyczną wszechnicę. Dawno minęło półwiecze, zbliża się stulecie Obrony Lwowa, a polscy turyści w tym mieście, coraz rzadsi zresztą, uparcie poszukują cmentarza Orląt. Co prawda, w masowej świadomości zatarła się wiedza o faktach ówczesnych — przeto czyn Orląt kojarzy się powszechnie... z rokiem 1920, z najazdem bolszewickim (!), chociaż nie miał z nim nic wspólnego.

Legenda Orląt, tak jak i ta o chłopcach spod Parasola, nie jest sztucznie wyolbrzymiona, czego się nie da powiedzieć o wielu innych legendach — zwłaszcza tych, co mają urzędowy stempel.

Lwów rzeczywiście obroniły wyrostki. Nawet dzieci miały udział w zwycięstwie. Akurat to nie jest mitem — gdy mowa o obronie Lwowa.

Legenda Orląt przeszczepiła się jednak na cały ten wojenny przypadek. Czyn dzieci nobilitował ojców. W świadomości narodowej obrona Lwowa funkcjonuje podobnie, jak Westerplatte, jak Monte Cassino, jak Powstanie Warszawskie.

Podobnie ale bezpodstawnie. Gloryfikacja nie opiera się na faktach. Trzytygodniowa obrona Lwowa przed paroma tysiącami niezorganizowanych Ukraińców-nacjonalistów wymaga odbrażowania, jeśli chcemy historię oceniać rzetelną miarą i pomniki stawiać jedynie tym, co zasłużyli.

Wysiłek odmitologizowania obrony Lwowa podjęty został w latach międzywojennych — i to przez ludzi, którzy tam walczyli. W tym przez czołowych dowódców. Relacje uczestników walk i fragmentaryczne dokumenty, zawarte w zbiorze „Obrona Lwowa, 1-22 listopada 1918” (Lwów 1933) to lektura wstrząsająca; to jakby zbiorowa samokrytyka, choć wielu autorów — co ludzkie — starało się uwypuklić własne zasługi bojowe. Niektórzy chwalą też tego lub innego spośród towarzyszy broni, lecz zdecydowaną większość dyskwalifikują i kompromitują. Ta *katharsis* zdumiewa tym bardziej, że przecież — koniec końców — bitwa była wygrana.

Sądząc z tych wspomnień, rodzynki męstwa tkwiły w zakalcu tchórzostwa, prywaty, fanfaronady, nieodpowiedzialności, nawet zdrady.

Czemuż wracać do tak odległych spraw? Czemu właściwie przypominać walki, które w kategoriach wojskowych były zaledwie potyczkami? Czy po to tylko, by przywracać właściwy wymiar przeszłym zdarzeniom, oczyszczać je ze zbędnej pozłoty? Nie, jest powód ważniejszy: to, co działo się we Lwowie, jest próbką materii, z jakiej tworzyła się Polska po pięciu pokoleniach niebytu. Strach pomyśleć, co byłoby z Polakami d z i ś, gdyby

w tamtym zakalcu, jaki stanowiło społeczeństwo zdeprawowane niewolą, nie fermentowały drożdże idei niepodległościowej, gdyby zabrakło tych kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy śmiałków — rogatych dusz. Wyrostków i intelektualistów.

Opisy obrony Lwowa służyły przed wojną dydaktycznym opowiastkom dla dzieci; wątek Orląt to usprawiedliwia. Ale faktura politycznych, wojskowych oraz — powiedzmy — obywatelskich realiów absolutnie się do szkolnych czytanek nie nadaje. Stanowi za to ważne *pendant* do znajomości poglądów, psychiki i moralności (a także niemoralności) Polaków w tym dziejowym momencie, gdy mieli się stać obywatelami Polski.

Najpierw kilka epizodów.

8 listopada oddział ppor. Massara zdobył Poczta i zagarnął kasy z zawartością około 6 milionów koron. Żołnierze objuczyl się paczkami banknotów, których dzielnie bronili przed kontratakującymi Ukraińcami, lecz kategorycznie odmówili ich zwrotu. „Nasze karabiny mogą też strzelać w drugą stronę” — zagroził Massar. Dopiero po długotrwałych pertraktacjach z naczelnym dowódcą, kpt. Czesławem Męczyńskim, rokoszanie oddali część pieniędzy.

Dworzec Czerniowiecki został opanowany przez ukraińskich strzelców siczowych w chwili, gdy jego szczupła załoga leżała pijana w sztok. Na szczęście cystern z alkoholem medycznym wystarczyło również dla Ukraińców — dzięki czemu dworzec odbito.

Sierżant-legionista, mianowany przez kpt. Borutę-Spiechowicza dowódcą patrolu żandarmerii, także upił się natychmiast i aresztował swego kapitana w imieniu „Rady Żołnierskiej”, której we Lwowie nie było.

Dzielnica Bogdanówka i sąsiednie ulice stanowiły wielką kolonię kolejarzy, wśród których dominowały wpływy PPS i endecji. Szacowano, że da się stamtąd wyciągnąć nawet 3.000 ochotników. W rzeczywistości, po kampanii agitacyjnej, stawilo się stu kilkudziesięciu, ale i tych należało trzymać pod wartą, gdyż szabrowali i rozłazili się do domów. Wytrzymało do końca... trzech. Honor kolejarski ocalili mechanicy warsztatowi, którzy pod wodzą prof. Kazimierza Bartla (później kilkakrotnego premiera) konstruowali improwizowane panczerki na szynach i kołach.

Łączęgostwo było zresztą zjawiskiem nagminnym. Oficerowie rozpaczali, że podkomendni „przeciekają między palcami”. Wielu żołnierzy schodziło z wysuniętych placówek i szło spać albo wedle swego widzimisię zmieniało oddziały, poszukując odpowiadających im dowódców.

Inteligencja, podług relacji prof. Antoniego Jakubowskiego (II szef sztabu obrony Lwowa), zawiódła całkowicie; nagle wszyscy „rozchorowali się na grypę”. Wyjątkiem była profesura Politechniki, która stawiała się niemal w komplecie, oraz nauczyciele paru szkół, którzy przyprowadzili ze sobą wszystkich uczniów. Dopisały także kobiety. Gremialnie zgłaszały się do służb pomocniczych, a niektóre szły z karabinami do oddziałów frontowych.

Odezwy dały skutek niewielki. Prof. Stefan Bryła: „Obok ludzi, którzy szli z bohaterstwem i poświęceniem, byli inni obojętni, byli inni leniwi, jeszcze inni czekali na rozkaz, jeszcze inni liczyli na bliską odsiecz, byli wreszcie tacy, którzy potępiali akcję jako skazaną na nieudanie”. Dopiero pobór mobilizacyjny dał 1.502 rekrutów, w tym 474 zaliczonych do kategorii L. Liczna we Lwowie ludność żydowska poborem nie była objęta, tworzyła własną milicję obywatelską, która przechylała się na stronę ukraińską, czasem z nią współdziałała. Jedyne siedmiu Żydów stawiało się pod broń ochotniczo.

13 listopada, na radzie wojennej, oficer polityczny sztabu inż. Widomski postawił nagle wniosek, ażeby złożyć broń i poddać miasto Ukraińcom, o ile pozwolą obrońcom odejść za San. Sytuacja w tym momencie bynajmniej nie była krytyczna — raczej ulegała poprawie. Kpt. Mączyński nie zareagował, wygłosił nawet hamletyzujące przemówienie o odpowiedzialności za przelaną krew. Wtedy zerwał się cywil, oficer prasowy dr Mejbaum z dramatycznym okrzykiem: „Judasze! Polskę sprzedajecie! Hańba wam i dzieciom waszym!”. Ta interwencja zażegnała kryzys woli oporu, o którym na szczęście nie wiadomo w oddziałach.

Defetyzm i panikarstwo były tym mniej uzasadnione, że po stronie ukraińskiej działało się nie lepiej, albo i gorzej. Jedyne kadłubowy batalion strzelców siczowych (odpowiednik zorganizowanych przez Austriaków Legionów Polskich) miał normalną wartość bojową, reszta stanowiła zbieraninę maruderów, którzy dopiero co zrzucili cesarsko-królewskie mundury i rwali się do swoich siół — oraz świeżych poborowych z okolicznych wsi. Na wojenkę z Polakami wcale nie mieli ochoty i też rozłazili się, pod hasłem „Z pany nie wyhrajesz!”.

Jaka rzeczywistość była relacją sił, nie dowiemy się nigdy. Sztabowe archiwa przepadły. Polskie — w okolicznościach dziwnych i podejrzanych, ukraińskie — po rozsypce ich wojsk. Kpt. Mączyński oceniał siły nieprzyjaciela na 10-12 tysięcy, to znaczy sześciokrotnie wyżej od własnych. Można to między bajki wło-

żyć. Inni dowódcy podawali, że szeregi ukraińskie były liczniejsze o połowę lub „nieznacznie”. Kronikarz ukraiński Ołeksy Kuźma w obszernym dziele „Listopadowe dni” stwierdził, iż początkowa przewaga ukraińska szybko stopniała i w końcowej fazie walk liczebnie przeważali Polacy, a po nadejściu odsieczy — w sposób druzgocący. Kuźma zwraca też uwagę na parę okoliczności, o których głucho w relacjach polskich. Po pierwsze: Polacy mogli liczyć na pomoc z głębi kraju, Ukraińcy tylko na samych siebie, gdyż ich rodacy znad Dniepru, organizujący drugie państwo ukraińskie, mieli wtedy na głowie białych generałów i czerwonych komisarzy. Po wtóre: w ukraińskich masach motywacje narodowe były słabe, żołnierze nie wierzyli we własne siły, zwłaszcza, że przyszło im — wieśniakom — walczyć w mieście, którego w ogóle nie znali; starły się dwie psychiki i dwie kultury — Polacy mieli za sobą miasto o wielkich tradycjach, Ukraińcy prymitywne zaplecze rustykalne. Po trzecie: wprawdzie Polacy też nie mieli wytrawnego dowódcy, ale po stronie ukraińskiej dowodzenie było zupełnie dyletanckie, a przez pierwsze dni przechodziło z rąk do rąk.

Na korzyść Ukraińców działały jednak dwa elementy: najpierw zaskoczenie, potem osaczenie Polaków. To ostatnie było mniej groźne, gdyż Lwów stanowił główne zaplecze austriackiej armii wschodniej i w mieście były zapasy broni, sprzętu wojennego, amunicji i żywności wystarczające dla kilkuset tysięcy armii — z czego większa część znalazła się w strefie polskiej.

Zaskoczenie natomiast było kompletne, a tym dziwniejsze, że we Lwowie istniały trzy tajne organizacje wojskowe, każda z własnym wywiadem: Polska Organizacja Wojskowa (uznająca za dowódcę gen. Roję, który deklarował w Krakowie swą lojalność wobec Piłsudskiego), Polski Korpus Posiłkowy (złożony z byłych legionistów i podporządkowany Sikorskiemu, który za władzę uznawał Radę Regencyjną w Warszawie) oraz Polskie Kadry Wojskowe (sterowane przez Narodową Demokrację, która całkowicie kontrolowała Polski Komitet Narodowy, działający półjawnie we Lwowie — w jego części opanowanej przez Ukraińców!). Wprawdzie od dłuższego czasu mówiono o intrygach, które jakoby zawiązały się w Wiedniu, ażeby oderwać Małopolskę Wschodnią pod berłem ks. Wilhelma Habsburga — oraz o możliwościach ukraińskiego przewrotu — ale nie traktowano tych pogłosek serio. Kpt. Mączyński jeszcze w przeddzień zamachu kategorycznie stwierdził, iż są to plotki bezzasadne i prowokacyjne. O świcie zaś nad całym miastem powiewały flagi ukraińskie. Nie było więc, *sensu stricto*, obrony Lwowa —

lecz natychmiastowe powstanie polskie przeciwko władzy ustanowionej zamachem stanu.

Ppłk Karol Baczyński, wtedy kapitan, dowodzący głównym polskim bastionem, Szkołą Sienkiewicza:

„W czasie ogólnej dezorientacji, gdy nie można było około siebie 10 ludzi skupić, chłopcy 12-15-letni, i to przeważnie z pospólstwa, pod kierownictwem dwóch lub trzech studentów 16- lub 17-letnich, a nawet i młodszych lub jednego z młodych legionistów, organizowali się samodzielnie w małe oddziały, uzbrajali się w rewolwery i stare karabiny lub strzelby, przyczajali się w ulicach i napadali nawet na większe patrole ukraińskie, rozbierali je i zabierali do niewoli. Za ich przykładem dopiero poszli starsi i oficerowie i żołnierze byłej armii austriackiej, skupiając się w Szkole Sienkiewicza. Jak ci chłopcy pełnili służbę, nie jedząc i nie śpiąc, jak szli odważnie do boju na najwięcej zagrożone odcinki, jak ginęli z pieśnią na ustach i jak się chlubil odniesionymi ranami, to tylko może ten powiedzieć, co ich widział. Oni to tylko, ci chłopcy nieletni, te kochane dzieci lwowskie spowodowały, że starsi chwycili za broń i oni też, tylko Oni przyczynili się w przeważnej części do odbicia Lwowa”.

W pierwszych dniach, gdy samorzutnie formujące się oddziały polskie obsadzały co solidniejsze gmachy w zachodniej części Lwowa, większość oficerów nie wiedziała, że istnieje jakiś sztab, jakieś centralne dowództwo, że na jego czele stoi kpt. Mączyński (gimnazjalny nauczyciel filozofii z Jarosławia, rezerwista artylerii). Każdy działał po partyzancku, na własną rękę, nie kontaktując się z sąsiadami, pomimo, że działały... telefony. „Front” był po prostu łańcuszkiem placówek i obsadzonych domów, które dopiero później podzielono na sześć mniej więcej zorganizowanych odcinków. Poszczególne punkty ostrzeliwały się z osadzonymi naprzeciw grupkami ukraińskimi; nocą podchodzono bliżej i rzucono granaty. Niekiedy ruszano do szturmów, najczęściej nieprzygotowanego ostrzałem artyleryjskim i daremnie. Jedynie na skrzydłach, wśród podmiejskich ogródków, toczyły się „działania manewrowe” na skalę plutonów lub zdekompletowanych kompanii. Tam szaleli ci uliczni chłopcy, lwowskie „baciary”, prowadząc z Ukraińcami własną małą wojnę na Kleparowie i Zamarstynowie. Z nich złożyła się dzika kompania Starka, nie zrównana w boju i w grabieży. Między innymi spłądowali mieszkanie hr. Pinińskiego, który zresztą upraszał dowództwo, by ich nie karać — „Byle tylko Lwów nam odbili”. Skądinąd wcale się do

tego nie kwapili, nie chcieli iść na odsiecz śródmieścia, bo przecież nie mogli zostawić wrogom Zamarstynowa...

Czy jest to rzetelny opis lwowskiej sytuacji? Czy rzeczywiście bałagan i niesubordynacja były zjawiskiem powszechnym? Licho wie. Każda relacja oficerska jest sprzeczna z paroma innymi, a spisano ich kilkadziesiąt. Jeden drugiego oskarża o nieudolność, ospałość, brak orientacji i inicjatywy, o brak kompetencji, o nonsensowne rozkazy — istne polskie piekiełko. Bodaj tylko do trzech-czterech dowódców niskiego szczebla nikt nie zgłaszał pretensji, robili co powinni. A z drugiej strony — jak stwierdził ppłk Tadeusz Felsztyn — „Nigdy nie spotkałem się z taką liczbą samochwalstw i bezczelnych błag, co w tej walce we Lwowie”.

Wydaje się, że kwalifikacje oficerskie były znikome. Parokrotnie podejmowano frontalne ataki na mocno obsadzoną Cytadelę, przy których żołnierze kładli się pokotem. Armata, która miała dać im wsparcie, zagwoździła się przy pierwszym wystrzale, gdyż załadowano ją pociskiem mniejszego kalibru owiniętym w onucę. Natarcie na Sejm galicyjski przeprowadzono gęstą tyralierą w biały dzień, przez otwartą przestrzeń ogrodu Jezuckiego, prosto na gniazda karabinów maszynowych. Sklecony przez majsterkowiczów samochód pancerny, który miał osłaniać szaleńczy wyczyn — od razu uległ awarii. Zabitych padło w parę chwil więcej, niż przez całe dni walk — bez skutku bojowego.

Kronikarze są natomiast zgodni, gdy mówią o lwowskich dzieciakach. One zapoczątkowały opór, one wzmacniały wykruśzające się szeregi. Gdy nieletnich nie chciano dopuszczać do walk — płakali, zaklinali się, że są o dwa lata starsi, w ostateczności zbierali się w watahy, które wojowały na własną rękę, siejąc popłoch na tyłach Ukraińców. Także w relacji Kuźmy są świadectwa niesłychanego męstwa młodzików. Na niektórych pozycjach ginęli do ostatniego. Szczególnie wyróżniła się 5 drużyna harcerska z Gródka, nosząca miano „Orląt” jeszcze przed obroną Lwowa. Od niej nazwa ta przeszła na wszystkich młodocianych żołnierzy, wśród których roiło się od trzynastolatków, czyli „byszkoptów” w harcerskiej gwarze. Jeszcze młodszy służyli jako niezawodni gońcy, łącznicy i zwiadowcy oraz zbierali i znosili broń; to samo czyniły harcerki. Dowódcy z rejonów kolejowych podkreślali, że jedynie harcerze nie brali udziału w pijackich orgiach wokół cystern i na nich opierała się cała obrona.

Z warstw proletariackich najliczniej zgłosili się pod broń tramwajarze. W niektórych oddziałach („Czerwona Gwardia Bema”, Kleparów, „Góra Stracenia”) było sporo robotników. Kolejarze

do końca zostali obojętni. 20 listopada kpt. Bartel meldował: „Bierny opór wśród kolejarzy musi być złamany, choćby środkami przymusowymi. Ogromna większość tych ludzi nie robi nic i nie chce podjąć żadnej pracy”. Grabili za to masowo; nie tylko oni zresztą. Dworce stanowiły Eldorado, ściągające tysiącami maruderów oraz podmiejskie męty; była ich taka masa, że parokrotnie sparaliżowali działania zarówno polskich, jak i ukraińskich oddziałów. Broń przecież miał każdy. Nawet Żydzi w bóżnicy zgromadzili nieduży arsenał, spodziewając się pogromów. Istotnie, doszło do nich po ustaniu walk. Z motłochem, z szumowiną, która mściła się na Żydach za ich sympatię do Ukraińców, przez parę dni nie mogły sobie poradzić regularne wojska odsieczki. Zupełnie bierne były rozliczne „milicje”, jakie się na polskich tyłach uformowały z dekowników. Były milicje dzielnicowe, oddziały wartownicze wojskowe i kolejowe (też płądowały dworce), była straż obywatelska pod nieujednoliconym dowództwem, odznaczająca się tym, że chowała się na odgłos każdego wystrzału, była żandarmeria polowa i etapowa. Te tyłowe formacje raczej przeszkadzały, niż pomagały w obronie.

Szczególną i zapomnianą cechą lwowskich walk było to, że obok zaciętości, a niekiedy — bestialstwa, częste były przypadki rycerskiego zachowania z obydwu stron, nawet „fraternizacji”, zwłaszcza podczas krótkich rozejmów, kiedy Polacy i Ukraińcy z wielką kurtuazją odwiedzali się nawzajem. Do koszar Ferdynanda, obsadzonych przez walecznych siczowców kpt. Franka, przybyła grupa polskich oficerów — z butelkami i harmonią. Podczas rewizyty w reducie Bema dowódca nieprzyjacielski do tego stopnia upił się wśród polskich żołnierzy, że musieli go donieść na własną pozycję, gdy rozejm się kończył. Tam otrzeźwiał i rozpoczął strzelaninę na znak, że nadszedł czas walki.

Nie jest jasne, czy owe szlachetniejsze odruchy były czysto spontaniczne, wyrażały nastroje setek lat sąsiedzkiego współżycia, które nie było idylliczne, ale też nie było nienawistne — czy też wiązały się jakoś z politycznymi rachubami ukraińskich i polskich przywódców. Wiadomo natomiast z pewnością, że przez cały czas walk toczyły się między stronami — pertraktacje. Nic dziwnego, że politycy endeccy mogli rezydować i zbierać się po ukraińskiej stronie, a także bez przeszkód przechodzić linię frontu, skoro uporczywie zabiegali o kompromisową ugodę. Wiceprezydent Lwowa dr Chlamtycz parokrotnie awanturował się w komendzie, krzycząc: „Dość już walk! Dość krwi! Dość niszczenia miasta! Złóżcie broń! My wam zapewnimy, że Ukraińcy pozwolą wam odejść żywym i całym!”. My — to znaczy

Polski Komitet Narodowy, w którym był dr Dubanowicz, ideolog endecji, bardzo aktywny w szukaniu dróg porozumienia z Ukraińcami.

Szukał ich szczerze, czy prowadził grę taktyczną? Jaki miał cel?

Tak czy inaczej, komeraże polityków wzbudzały odrazę i oburzenie żołnierzy. Odcinali się od nich zarówno peowiaci, najwierniejsi Piłsudskiemu, jak i „sikorszczacy” z PKP, uznający Radę Regencyjną i Komisję Likwidacyjną w Krakowie, jako substytuty legalnego rządu RP. Ale polityczne kierownictwo obrony Lwowa było całkowicie zdominowane przez orientację endecką. Człowiekiem jej był kpt. Mączyński, oni też rozporządzali tajną siatką Polskich Kadr Wojskowych, złożoną przede wszystkim z oficerów byłej armii austriackiej, którzy — co stwierdzają prawie wszystkie relacje — nie kwapili się do szeregów. Chyba nie z bojaźni. Chyba wedle planu politycznego lwowskiego Polskiego Komitetu Narodowego, który wiedział doskonale — przez czuwającego nad Lwowem ministra Stanisława Głąbińskiego — że paryska centrala endecji, Komitet Narodowy Polski, sprzeciwia się projektom samowładnego opanowania Galicji Wschodniej, żeby nie rozdrażniać Ententy; czekano na decyzje konferencji pokojowej.

Identycznie czekali na nie politycy ukraińscy. Uważali jednak, że faktami dokonanymi wzmocnią swą pozycję. Powstanie w całej Galicji Wschodniej poszło im gładko, albowiem — poza Lwowem — jedynie w Borysławiu natrafiło na znikomy opór Polaków. Ale, jak się wydaje, nadrzędny cel Ukraińców był inny: zabiegali o uznanie przez Polaków p a ń s t w o w o ś c i zachodnioukraińskiej — i w zamian byli skłonni do ustępstw terytorialnych. Nawet do rezygnacji ze Lwowa...

Ppłk Antoni Kamiński, który należał do stronników Sikorskiego i na jego rozkaz organizował we Lwowie Związek Legionistów oraz szykował się do objęcia komendy placu — stwierdza, iż kilka godzin przed puczem ukraińskim dr Dubanowicz kategorycznie przestrzegwał go przed „rozpoczęciem bratobójczej walki z Rusinami”. Dowódca POW por. Ludwik de Laveaux wyraża przypuszczenie, że między endecją a Ukraińcami dogadywano się w sprawie „kondominium” we Lwowie — ze wspólnym zarządem miasta, wojskiem i policją. Obie relacje pokrywają się z tym, co wiadomo o ówczesnej taktyce Dmowskiego i o intencjach ukraińskich.

Czemu więc nazajutrz Ukraińcy wystąpili zbrojnie? Poniosły ich nerwy? Czyjaś nieodpowiedzialna fanfaronada? Obawa, że

jeśli nie opanują Lwowa, to uczynią to Polacy, co istotnie było przez Sikorskiego przygotowywane? Czy wiedzieli, że lada dzień z Krakowa do Lwowa ma się przenieść Polska Komisja Likwidacyjna, tymczasowy „rząd” całej Galicji?

Nie wiadomo. Nie ta seria pytań jest zresztą najważniejsza. O wiele istotniejsze są inne pytania:

Czy rzeczywiście rysowała się wtedy szansa porozumienia (i jak szczerego?) Polaków z Ukraińcami, które ewentualnie mogłoby się później rozszerzyć i na drugi rząd ukraiński, ten nadnieprzański, Symona Petlury?

Jeśli tak, czy tylko przypadkowe zdarzenie zniweczyło ową szansę?

I komu właściwie mogło zależeć na tej wojence?

Zachodnioukraińskiemu rządowi Petruszewycza raczej nie. Konflikt z Polakami był militarnie trudny, a politycznie bezsensowny, bo musiał źle wobec Ukraińców nastroić Ententę, rządzącą świat.

Piłsudskiemu? Nie miał wpływu na tok zdarzeń, był uwięziony w Magdeburgu, a przede wszystkim — konflikt z Ukraińcami był całkowicie sprzeczny z jego federalistyczną koncepcją, opartą właśnie na idei przymierza z Ukraińcami.

Może pod nieobecność Komendanta pomylił się piłsudczykowski „Konwent A”, który miał wtedy gestię nad POW i decydujący wpływ na stronnictwa niepodległościowe? To nie jest wykluczone. Być może Piłsudski rugał potem Rydza-Śmigłego nie tylko za przystąpienie do lewicowego rządu lubelskiego, lecz i za to, że dopuścił do awantury lwowskiej?

Może fatalny błąd w kalkulacjach popełnił Sikorski? Bardzo prawdopodobne, zwłaszcza jeśli się zważy, że do Lwowa — jak Piłsudski do Wilna — miał stosunek sentymentalny i nie mógł dopuścić myśli, by „jego miasto” było obiektem przetargów z Ukraińcami.

A Dmowski? Jaką grę prowadził naprawdę? Czy jego ustępliwość wobec Ukraińców — tak sprzeczna z ideologią endecji — nie była aby doraźnym wybiegiem, żeby zyskać na czasie, dokonać „legalistycznej” inkorporacji Galicji Wschodniej z werdyktu mocarstw i przystąpić do jej bezwzględnej polonizacji? A może, paktując z Ukraińcami, chciał „odebrać ruch” Piłsudskiemu? Może zaś zagrywał tak, by szybko sprowokować konflikt we Lwowie i przewidywany, federalistyczny ruch Piłsudskiego unicestwić, zanim mógł być wykonany — a zarazem obnażyć przed Zachodem agresywność Ukraińców?

Historia chyba nigdy nie rozplącze tych zagadek.

Pewne są tylko dwa punkty.

Pierwszy — że polskie powstanie we Lwowie wykopało przepaść między obu narodami i zminimalizowało już w zarodku szansę budowania federacji, która mogła stworzyć fundament bytu Rzeczypospolitej.

Drugi — że Lwów dla Polski uratowała polska młodzież. Na 20 lat. Natomiast dojrzały politycy, tocząc bez dalekosiężnej wizji politycznej spory „orientacyjne” i rozgrywkę o kształt terytorialny Polski, tenże Lwów dla Polski (albo wolnej Ukrainy) zaprzepaścili na zawsze.

Może nie tylko Lwów zaprzepaścili wtedy, ale i niepodległość. Może jej utrata została zdeterminowana właśnie przez wydarzenia lwowskie, które już przed dniem niepodległości unicestwiły szansę federacji polsko-litewsko-ukraińskiej, marzenia Piłsudskiego?

I wcześniej, i później nie raz tak było w Polsce, że patrioci, ludzie nieskazitelni, ożywieni najlepszymi intencjami, doznawali klęski, gdyż — zgodni co do celu nadrzędnego — absolutnie nie byli w stanie zgodzić się co do środków taktycznych oraz wyżej stawiali własny prestiż lub moralne pryncypia niż interes ogólnonarodowy.

Triumf bez legendy

Pierwsze dwulecie odrodzonej Polski było najbardziej zdumiewającym epizodem naszej historii. Przez te dwa lata Polakom udało się więcej, niż mógłby zamaryć optymista — w warunkach gorszych, niżby się mógł spodziewać skrajny pesymista. Właściwie słowo „odrodzenie” nie oddaje istoty polskiej sytuacji wyjściowej. Było to raczej budowanie całkiem nowego państwa, bo przekazy ideowe, odziedziczone po Rzeczypospolitej szlacheckiej, były w XX wieku kompletnym anachronizmem. Konstytucja 3 Maja stanowiła już tylko zbiór haseł naczelnych, a nie dokument zdalny do adaptacji w nowoczesnym państwie, zaś poszczególne dziedziny przez półtora wieku zrosły się *nolens volens* z instytucjami państw zaborczych.

Budowę trzeba było zaczynać od fundamentów.

Osobliwe, że nie istnieje legenda tamtych lat. Zabrakło wielkiego pióra. Może dlatego zabrakło, że wyzwolona literatura zrzuciła właśnie gorset obowiązków wobec narodu i z rozkoszą zajęła się sama sobą, eksplodując liryką, psychologizmem, formalnymi poszukiwaniami awangardy. Traktująca o tych latach

powieść Juliusza Kadena-Bandrowskiego właśnie przez nowatorstwo ekspresjonistyczne i groteskowy sarkazm stała się gorzkim pamfletem. Chociaż nie tylko przez to. „Generał Barcz” w intencji autora, piewcy piłsudczyzny, miał być hagiografią; ale wyidealizowana w sercach baśń o Niepodległej — krainie szczęścia dla Polaków — w zderzeniu z Himalajami trudnych problemów, jakie stanęły przed narodem, stała się jedynie „radością z odzyskanego śmietnika”. To zdanie jest leitmotywem powieści Kadena.

Bo też na starcie był to śmietnik po wielomilionowych armiach, które parokrotnie przetoczyły się przez ośrodkowe ziemie Polski. Te armie żywiły się rabunkiem, a ogrzewały przy pogorzeliśkach. Grubo ponad milion Polaków, miast dbać o dobytek, który nigdy nie był zasobny, walczyło w szeregach wszystkich wojsk zaborczych. Polska była splądrowana i wygłodzona. Straty materialne w proporcji do majątku narodowego były większe, niż po drugiej wojnie. Zbiory czterech zbóż, przed rokiem 1914 wynoszące (bez ziem kresowych) ponad osiem i pół miliona ton — spadły do sześciu i pół. Spożycie cukru w młodej Rzeczypospolitej spadło do 5 kilo na głowę rocznie, gdy przed wojną w Kongresówce i Galicji było dwakroć, a w Wielkopolsce czterokrotnie większe. Węgla, bez Górnego Śląska, który jeszcze pozostawał w rękach niemieckich, w 1920 roku wydobyto niewiele ponad 6 milionów ton, a wytop stali martenowskiej w 1919 roku spadł w porównaniu do przedwojnia trzydziestokrotnie (znowu bez Górnego Śląska). Podobnie było we wszystkich gałęziach wytwórczości.

Wyniszczeniu gospodarczemu towarzyszył chaos społeczny. Polaków rozdzierały diametralnie sprzeczne orientacje polityczne, a społeczeństwo każdego z zaborów miało inne doświadczenia, prawa, zwyczaje, fobie i aspiracje. Działało kilkadziesiąt partii. Złą tego stroną była niemożność skonstruowania solidnego rządu. Ale była i pozytywna strona, na co zwrócił uwagę Bogusław Leśnodorski: „Walki stronnictw spełniły swoją rolę, wciągając w znacznej dotąd mierze bierne masy do czynnego życia politycznego”.

Wśród partii była i taka, która nadal negowała potrzebę niepodległości oraz kwestionowała prawo Polski nie tylko do obcych etnicznie ziem na Kresach Wschodnich — co można byłoby pojąć — ale także do Górnego Śląska i Pomorza, bo nie chciała drażnić i dzielić komunistów niemieckich. W kilku zaś ośrodkach przemysłowych i na niektórych obszarach wiejskich Komunistyczna Partia Robotnicza Polski miała znaczne wpływy;

nie tak wielkie, jak sugerują współcześnie partyjni historycy, lecz i nie tak małe, jak utrzymują ich przeciwnicy ideowi.

Władysław Kuszyk w opasłym tomie „Walki klasowe na wsi polskiej 1918-1919” zestawił 245 dokumentów archiwalnych (administracji, policji, wojska) oraz publikacji prasowych (głównie KPRP) i fragmentów pamiętnikarskich. Wyziera z tego obraz Polski już objętej proletariacką rewolucją. Oczywiście należy zeń wymazać podwójną deformację, która szła w identycznym kierunku: władze lokalne demonizowały groźbę strajków, ruchałek, buntów, zajęć ziemi pańskiej i innych form chłopskiej rebelii — ażeby zaalarmować „górze” i zyskać posiłki. Komuniści groteskowo wyolbrzymiali swe sukcesy i temperaturę napięć. Mechanizm propagandowych deformacji w tego typu sytuacjach zawsze jest podobny, znany i z najdawniejszych, i z najnowszych dziejów. Ale nawet po korekturach widać, że Polska nie była rajem bez klasowych walk, lecz jak gdyby czyścem, w którym prażono bogatych grzeszników. Jej mapa była dziwnie łaciata, okolice „patriotyczne” przeplatały się ze skomunizowanymi nawet na względnie homogenicznej wsi. Na Lubelszczyźnie trwało zbrojne powstanie w Zamojskim i Hrubieszowskim, w Puławskim rosła gorączka, całe to województwo nazywano w dokumentach KPRP „żelazną ostoją” ruchu rewolucyjnego — lecz taż sama Lubelszczyzna była szczególnie aktywna w ruchu niepodległościowym, „Wyzwolenie” i PPS miały tu duże wpływy. Żywiłowy ruch antyobszarniczy rozprzestrzeniał się w „Republice Tarnobrzskiej”, pod wodzą ks. Okonia i towarzysza Dąbala. Kieleckie też było mocno zainfekowane komunizmem, zwłaszcza powiaty kozienicki, pińczowski, radomski, ostrowiecki, iżdecki. Gniewne ruchy wiejskiego plebsu na Podlasiu. Rozproszone ogniska komunizmu w pasie podwarszawskim, szczególnie zaś wśród folwarcznej służby pod Płockiem. Do tego „Czerwona Łódź”, gdzie wprawdzie wpływy komunistów nie były rozległe, za to PPS nastroiła się nader lewicowo i organizowała strajki. Zagłębie Dąbrowskie — katastrofalne bezrobocie i groźba eksplozji, sygnalizowana zamieszkami w wielu miejscowościach. Nawet milicje ludowe, tworzone przez prawicę PPS, byłych „fraków”, w niektórych okolicach występowały z bronią w rękę przeciwko wojsku i policji, po stronie zrewoltowanego tłumu. Były miasta, które co noc przechodziły z rąk do rąk: oddziały rządowe, grupy bojowe PPS, bojówki endeckie i komunistyczne zmieniały się ku utrapieniu ludzi jak w kalejdoskopie.

Przesadą byłoby twierdzić, że Polska już-już stała w przededniu rewolucyjnego pożaru. Prawica miała bardzo mocne oparcie

we wszystkich warstwach społeczeństwa, nie tylko posiadających, a demokratyczna lewica potężniała i swym umiarkowanym radykalizmem redukowała zasięg radykalizmu skrajnego, nasłuchującego z nadzieją odgłosów z Rosji. Słowo „bolszewizm” było skutecznym straszakiem, lecz niemało ludzi oczekiwało, iż czerwoni ustatkują się i zrobią u siebie w domu i w Polsce porządek jak trzeba — demokratyczny, ludowy, bez jaśnie panów burżujów. Iskierki pożaru, niekiedy spore żagwie, tliły się prawie wszędzie w Kongresówce, a nie brakło ich i na innych ziemiach. To, że się nie rozżarzyły, że Polska nie spłonęła, było zasługą tyleż pepesowców i radykalnych ludowców, którzy usuwali materiał palny, co rosnącego mitu Komendanta oraz stabilizującego oddziaływanie chłopskiego centrum — „Piasta” i wielkopolskiej chadecji. A także wielkiego odłamu inteligencji, bliższego pracy niż kapitału. Czy wolno wreszcie pominąć szczególną zasługę samych komunistów, ich przywódców i teoretyków, w zapobieżeniu komunistycznej rewolucji? Toż popełnili oni, na szczęście, dwa surrealistyczne błędy, za które Róży Luksemburg należna jest wdzięczna pamięć.

Po pierwsze — zanegowali ideał polskiej państwowości w chwili, gdy się zachłystywała nią przytłaczająca większość Polaków, nawet ludzie dotychczas bierni, zgaszeni, bez świadomości narodowej.

Po drugie — gdy chłop rwał się do obszarniczej ziemi, KPRP potępiła program reformy rolnej i lansowała kolektywizację (czyli to, czego chłopci bali się najbardziej) albowiem, wierna wskazaniom Róży Luksemburg, traktowała chłopów jako „jedną reakcyjną masę”.

Po antykomunistycznej, niepodległościowej stronie społeczeństwa także było w tamtych namiętnych latach bardzo daleko do harmonii; toczyła się wojna wszystkich przeciw wszystkim.

Demokratycznie choć na raty wybrany Sejm Ustawodawczy (bo ziemie polskie wyzwalały się stopniowo) był konglomeratem posłów, z których przytłaczającą większość cechował entuzjazm i kompletny brak doświadczenia politycznego. Rząd odznaczał się rekordową niestabilnością, albowiem ani lewica, ani prawica nie były w stanie stworzyć solidnej większości — zależał więc od ciągłych fluktuacji bloków i obozów parlamentarnych. Wielki autorytet Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, na lewicy — był kontrowany przez żywiołową doń nienawiść, jaka panowała na prawicy.

W Paryżu nadal rezydował, uznany przez mocarstwa Wielkiej Koalicji, Komitet Narodowy Polski — spełniający *de facto* rolę

drugiego rządu RP. Dysponował on silną armią Hallera i zaufaniem Zachodu, któremu Piłsudski jawił się w najlepszym razie jako „polski Kiereński”, który rychło zostanie przepędzony przez bolszewików.

Armii polskiej właściwie nie było. Istniało kilka szczupłych formacji o rozmaitej proweniencji, uzbrojonych w kilkanaście rodzajów karabinów i wyćwiczonych pod różnymi komendami.

System prawny, administracyjny, walutowy był w każdym zaborze inny. Kursowały marki polskie, marki niemieckie i marki okupacyjne, korony austriackie oraz ruble carskie i „kierenki”. Skarb świecił pustką. W kraju był głód, szczególnie w Galicji, gdzie tysiące ludzi zmarło na „tyfus głodowy”.

Nie było w ogóle połączeń kolejowych między Warszawą a Poznaniem, Kielcami a Krakowem, Wielkopolską a Śląskiem, natomiast były trzy odrębne systemy techniki kolejowej i 160 typów parowozów.

Ponad połowa Polaków była analfabetami, a do szkół uczęszczało od 8 % dzieci w Kongresówce, do 20 % w Poznańskim.

Brak kadr administracyjnych, oświatowych, technicznych, sądowych był zastraszający. Ratowano się urzędnikami z Galicji, którzy nie mieli pojęcia o systemach prawnych, administracji i samorządach innych dzielnic.

Ale przede wszystkim Polska była państwem bez granic: ani na zachodzie, ani na wschodzie, ani na północy. Łańcuch Karpat stanowił jej jedyny fundament, acz i zza niego Czesi zaatakowali i wcielili Śląsk Cieszyński.

Cały zabór pruski, do końca Konferencji Wersalskiej, formalnie do Polski nie należał i był okupowany przez niemieckie wojska. Stacjonowały one również na Litwie i Białorusi. Małopolska Wschodnia aż po San, została przejściowo opanowana przez Ukraińców — prócz osaczonego Lwowa. Od wschodu zbliżała się i koncentrowała Armia Czerwona, choć nie od razu uderzyła całą siłą; jeszcze borykała się z białymi generałami, z walczącą o wolność Ukrainą Naddnieprzańską, z interwencjami mocarstw zachodnich.

Niepodległa Polska — to były jedynie dawne ziemie Kongresówki i Galicji Zachodniej. Mniej niż połowa obszaru, który objęła granicami w parę lat później.

Polacy radowali się i z tego, co już mieli w posiadaniu, z „odzyskanego śmietnika”. Pięknie wyraził to Julian Tuwim:

*Wspaniałe dni! Wczorajszy mrok
W zorzę przelata się jutrzejszą:*

*To pospolita ciemna rzecz
Zmienia się nam przez czyn i miecz
W Rzeczpospolitą Najjaśniejszą.
Rodzi się trudne, biedne państwo...*

Czynnik moralny był pierwszym z dwóch atutów, jakimi Polacy dysponowali, biorąc się naraz do wewnętrznych porządków i do kilku wojen, na ogół narzuconych. Jedna z nich groziła zagładą.

Atutem drugim był urodzaj na polityków wielkiej klasy. Każda z głównych orientacji miała na czele ludzi, reprezentujących nie tylko talent, intelekt i doświadczenie, ale i najwyższe walory patriotyczne. W momentach przełomowych potrafili się wzniesić ponad ostre konflikty partyjne i własne ambicje. Dotyczy to nawet nieubłaganego rywala Piłsudskiego — Romana Dmowskiego. Inna rzecz, że gdy tylko miały najtrudniejsze godziny, spory i antagonizmy odnawiały się z jeszcze większą gwałtownością. Inna też sprawa, że niektórzy z przywódców sami później zniszczyli nimb, jaki ich sprawiedliwie otaczał.

Zanim ostygły popioły pierwszej światowej, Polskę znowu obrzeżył wieniec ognia. Nasze dywizje jak straż pożarna przemierzały kraj z krańca na kraniec (kolejnictwo, dodajmy, straciło w wojnie cztery piąte taboru i niewiele mniej instalacji). To fakty dość znane; do nich wrócimy. W cieniu natomiast pozostały sukcesy Polaków w porządkowaniu „odzyskanego śmietnika”; przypomnijmy je choćby w streszczeniu.

Już w 1921 roku Polska uzyskała samowystarczalność aprowizacyjną, aczkolwiek poziom wyżywienia znacznie odbiegał od dzisiejszych standardów. Zbędne stały się dary amerykańskie. Były to osiągnięcia tym bardziej imponujące, że przed wojną zabory austriacki i rosyjski cierpiały na niedobór zboża. Kongresówka importowała z Rosji ponad 300 tysięcy ton ziarna i mąki, Galicja z krain habsburskich 250 tysięcy ton. Nadwyżki zbożowe Wielkopolski i Pomorza były co prawda większe, ale musiały pokryć przede wszystkim deficyt żywnościowy Górnego Śląska.

Odbudowa przemysłu z ogromnych zniszczeń wojennych przebiegała szybko; w 1922 roku jego produkcja osiągnęła 74 % poziomu przedwojennego.

W połowie roku 1919, pomimo oporu prawicy i przeciwnego parcelacji stanowiska komunistów, Sejm przyjął „Ustawę w przedmiocie zasad reformy rolnej”. Zapoczątkowała ona rozwiązywanie głównego w Polsce problemu socjalnego drogą parcelacji ziem państwowych i przymusowego wykupu nadwyżek gruntów pry-

watnych. Maksimum posiadania ziemi ustalono na 60 do 400 hektarów, zależnie od specyfiki rolnictwa i potrzeb przemysłu przetwórczego w poszczególnych okolicach. Przewodnią intencją było stopniowe tworzenie zdrowych, żywotnych gospodarstw chłopskich, a nie jednorazowe posiekanie ziemi między gospodarstwa ułomne i karłowate, jak to z przyczyn politycznych uczyniła PPR po drugiej wojnie, stwarzając absurdalną strukturę agrarną, czego skutki odczuwamy do dziś.

Lasy zostały upaństwowione.

Powszechny obowiązek szkolny został wprowadzony dekretem Naczelnika Państwa już w trzy miesiące po odzyskaniu niepodległości. Rzecz jasna, wobec katastrofalnego braku szkół, a zwłaszcza nauczycieli, realizacja nie mogła być natychmiastowa. Ale już w 1921 roku szkoły powszechne na terenie byłej Kongresówki objęły nauczaniem dwie trzecie dzieci. W rekordowym tempie odtworzono uniwersytety w Warszawie i Wilnie, ufundowano w Poznaniu, nadając im autonomię i koncentrując kadrę naukową, głównie ze Lwowa i Krakowa oraz z emigracji.

Młody i niezbyt przecież koherentny Sejm inicjował ważne dla robotników reformy społeczne, jakimi ówczasie mogły się poszczycić nieliczne tylko kraje. Wydał dekret, dający szerokie swobody i prawa związkom zawodowym. Postępowe ustawodawstwo pracy, prawo do strajku, ubezpieczenia chorobowe, 46-godzinny tydzień roboczy, zasiłki dla bezrobotnych — to na zdrowy rozsądek aż za wiele jak na państwo, którego właściwie jeszcze nie było; jakież to bowiem państwo, które nie ma granic? Ale zdrowy rozsądek jest na ogół fatalnym doradcą w sprawach wagi fundamentalnej. Młode państwo okazało wielką mądrość i intuicję polityczną, czyniąc zadość pragnieniu Polaków — choćby w teorii chwilowo, skoro brakowało środków materialnych — ażeby niepodległość oznaczała zarazem spełnienie ich marzeń o życiu lepszym, wolnym i godnym.

Współcześni historycy i propagandyści dowodzą, iż reformatorstwo tamtych lat miało na celu osłabienie ruchu rewolucyjnego. Nie jest to bezpodstawny punkt widzenia. Mieczysław Niedziałkowski, czołowy przywódca PPS, także stwierdził kategorycznie, choć zbyt optymistycznie: „W Lublinie, w dniu 7 listopada roku 1918, zadano cios śmiertelny komunizmowi w Polsce” — gdyż ogłoszone przez rząd Daszyńskiego reformy odpowiadały oczekiwaniom mas ludowych. Ale o co właściwie pretensja komunistów? Oby każdy rząd potrafił reformami w porę rozładowywać zbierającą się burzę społeczną.

Wreszcie nie można przeoczyć i tego, że państwo polskie —

zanim jeszcze w sensie prawnym zaistniało — zdobyło uznanie i poparcie międzynarodowe, a nawet status sprzymierzeńca Wielkiej Koalicji. Ongiś szermierz ugody — Roman Dmowski, ongiś fanatyczny lojalista — Erazm Piltz mieli zatem duży udział w nowym „chrzcie” Polski przez demokratyczną społeczność narodów. A także w jej narodzinach, albowiem Komitet Narodowy Polski wypertraktował z Koalicją decyzję postawienia na konferencji pokojowej sprawy przynależności zaboru pruskiego (co nie było z góry postanowione). Piłsudski nie był jednak na tyle nieprzezorny, by Dmowskiemu i Piltzowi pozostawić pełną gestię w działaniach dyplomatycznych; komitet został zasilony dziesięcioma przysłanymi z kraju wytrawnymi politykami lewicowej orientacji, pod przewodnictwem Stanisława Patka, Kazimierza Dłuskiego i Michała Sokolnickiego.

Rolnictwo — reformy społeczne — oświata — stosunki zagraniczne — odbudowa; na wszystkich tych polach sukcesy, prawie same pozytywne. Aliści los Polski decydował się wtedy na polach bitewnych.

28 stycznia 1919 roku prof. Stanisław Grabski pisał w liście z Warszawy do Paryża, do swych partyjnych kolegów z Komitetu Narodowego Polskiego, że sytuacja wewnętrzna stale się poprawia, strajki rolne ustają, a ewolucja stosunków społeczno-politycznych poszła w kraju w kierunku coraz większego ładu, odwrotnie niż w Rosji. A dalej:

„Natomiast rozpaczliwa jest sytuacja zewnętrzna. Po zajęciu przez Czechów Śląska Cieszyńskiego Polska jest odcięta od jakiegokolwiek komunikacji z Zachodem i z Rumunią. I ma Polska wojnę z bolszewikami, którzy zbliżają się wielką siłą do granic Królestwa, wojnę z Ukraińcami, z Czechami i z Niemcami, którzy gromadzą znaczne siły dla uderzenia na Poznań. Czesi posłali na Śląsk około 20 tysięcy. Taką co najmniej siłą dysponują bolszewicy. Są to obie armie karne i doskonale zaopatrzone. Liczbę Ukraińców trudno ustalić. Obliczają ich na 40 do 70 tysięcy. Wszczyna się u nich rozkład. Większość ich wojska to bandy. Ale mają oficerów niemieckich, dostają broń i amunicję od Niemców na Ukrainie i od Czechów i liczebna ich siła wynosi również co najmniej 50 tysięcy. Nie ulega również wątpliwości przewaga i liczebna, i techniczna Niemców. Tymczasem my nie możemy wystawić większej nad 100 tysięcy armii dla obrony wszystkich frontów i utrzymania porządku wewnątrz kraju, bo brak dla tej nawet liczby broni, mundurów, obuwia, armat, a przede wszystkim amunicji. I jeśli Polska nie otrzyma w tym

względnie natychmiastowej pomocy od aliantów, to cała dyplomacja w Paryżu uprawiana będzie czczą gadaniną...”

Ostatnie zdanie można by było powtórzyć jeszcze kilka razy w późniejszych dziesięcioleciach XX wieku.

O byt i miejsce w Europie

Prawda o tamtych latach odsłania się nadal metodą „kolejnych przybliżeń”. Z historii usuwa się najbezczelniejsze kłamstwa i przemilczenia — niestety, wprowadzając na miejsce ich nowe, wyrafinowane.

Po długotrwałych bojach cenzuralnych „ISKRY” wydały w 1984 roku (pośmiertnie) książkę Zbigniewa Załuskiego „Drogi do pewności”, napisaną w latach 1971-1973. „Praca Autora nic nie straciła na aktualności” — reklamuje wydawnictwo.

Jak inne książki tego eseisty w mundurze, „Drogi do pewności” są mieszkanką *duszoszczepielnej* poetyki, hurrapatriotycznego sosu, sporej ilości trafnych i nie mniejszej mylnych spostrzeżeń i wniosków, oraz mnóstwa przemilczeń tam, gdzie autorowi wygodniej było nie pamiętać faktów. Trzeba mu jednak przyznać zasługę. W ważkich dla narodu kwestiach, o których inni dyspozycyjni historycy rozprawiają z taką prawdomównością, jak $2+2=17$, Załuski pracowicie dowodził, że $2+2=15$. Zawszeć to postęp.

Książka Załuskiego sięga aż po czasy obecne, ale w uwagach polemicznych ogranicza się do pierwszych lat II Rzeczypospolitej. Innym pozostawiam dalsze przeinaczenia. Na wstępie dwa akapity, objaśniające horyzont polityczny autora i jego ideowe *credo*. Otóż:

„Przez pierwsze tysiąc lat od legendarnego Lecha poprzez odnotowanego w historii Mieszka, wielkiego Bolesława, mądrego Kazimierza, innych Władysławów i Stanisławów, aż po Piłsudskiego i Mościckiego, wszyscy władcy polscy — i dobrzy, i źli, dalekowzroczni i krótkowzroczni, i ci, którzy myśleli o narodzie, i ci, którzy myśleli tylko o sobie — byli zawsze reprezentantami interesów części społeczeństwa, interesów posiadaczy. W Lipcu odeszli wszyscy, odeszli bezpowrotnie. W Lipcu rozpoczęła się epoka, w której władza przeszła w ręce większości, w ręce człowieka pracy”.

Z takim poglądem nie warto się spierać. Można najwyżej westchnąć, że człowiek inteligentny potrafił sam sobie założyć na

oczy kłapki tak szczelne. Pisał dalej, iż „najazdy czarnych rycerzy z Zachodu”, to jest Krzyżaków, uderzały „w klasy pracujące społeczeństwa”. Oto sztuka: być bardziej marksistowskim od Marksa, który w historycznych ocenach takich banialuk nie wypisywał.

I drugi fragment:

„Przez tysiąc lat wiązaliśmy się jednak politycznie ze światem od nas odległym i rządzącym się innymi prawami. W tym świecie — w uniwersalistycznym systemie katolickim, łacińskim czy zachodnim — zawsze byliśmy ostatni. W Lipcu w sposób generalny zmieniliśmy swe miejsce w Europie, powróciliśmy do rodziny narodów bliskich nam nie tylko miejscem geograficznym, lecz także historią i ogólną sytuacją. Wśród nich staliśmy się jednymi z pierwszych, jednymi z najbardziej rozwiniętych, najbardziej wysuniętych na czoło”.

To już nie tylko kulawa poetyka i nie tylko zaślepienie. Ile tu zdań, tyle intencjonalnych kłamstw. *Primo*: politycznie wiązaliśmy się przez tysiąc lat różnie — i z zachodem (chrzest), i ze wschodem (Litwa), i z południem (dynastyczna ekspansja Jagiellonów), i z północą (Wazowie). Jak każde państwo, prowadziliśmy czasem skuteczną, czasem błędną politykę na wszystkich azymutach. *Secundo*: w uniwersalistycznym systemie katolickim, łacińskim czy zachodnim nigdy nie byliśmy ostatni (więcej znaczyła Polska, niż Chorwacja albo Czechy, więcej niż peryferyjne księstwa włoskie, więcej na ogół, niż Portugalia); w niektórych wiekach byliśmy w czołówce. *Tertio*: w lipcu nam zmieniono (a nie: „zmieniliśmy”) miejsce w Europie. *Quarto*: narody bliskie geograficznie niekoniecznie były nam bliskie w historii (zwłaszcza wielkoruski i pruski czyli ernerdowski); „bliskość ogólnej sytuacji” to po prostu skutek dyktatu jałtańskiego. *Quinto*: czy w tej nowej rodzinie staliśmy się rzeczywiście prymusem? W pewnym sensie tak — kulturą, aspiracjami demokratycznymi, dążeniem do podmiotowości. Czyli w sferze wartości, zawdzięczanych jednak zachodowi, nie wschodowi.

Zostawmy całą tę infantylną historiozofię Załuskiego; to jego namaszczone zdanie, że „Polskę zbudowali ludzie, którzy wokół Lechowego dębu wytrwale trzebili puszcze, orali ziemię...” — i tak dalej — oraz odkrycie, iż legendarny „twórca dynastii Piastów był kołodziejem, rzemieślnikiem, człowiekiem pracy”. Licho wie, może Autor doprawdy mniemał, iż narody zachodnie od

kolebki składały się wyłącznie z ksiąząt, biskupów i bankierów — i stąd nasza wyższość klasowa? Przejdźmy do tych wywodów Załuskiego, które zasługują na potraktowanie serio, do jego charakterystyki wojny 1920 roku.

„Cała ta wojna była wojną, której mogło nie być, i której nie powinno było być” — stwierdza Załuski. W Rosji „wiosną 1920 roku naprawdę bardzo chciano pokoju”.

Tak w ogóle, to nie powinno być żadnych wojen. Ale są — i wojna roku 1920 nie była bardziej od innych irracjonalna, raczej odwrotnie. Niewątpliwie też wymęczony naród rosyjski chciał pokoju. Tyle, że nie naród, lecz jego „siła przewodnia” decyduje o wojnie i pokoju. Doktryna leninowska traktowała pokój jako okres przygotowania wojny rewolucyjnej. Piłsudski to rozumiał, więc podjął ryzyko przeciwdziałania. I część zamysłu urzeczywistnił: nie dopuścił do unicestwienia Polski, które groziło, gdyby tej wojny w t e d y nie było i gdyby jej nie wygrał.

Jako koronny dowód przyjaznych intencji sowieckich Załuski podaje, że 14 sierpnia, w przeddzień bitwy pod Warszawą, Lenin dyktował wskazówki dla przedstawicieli na rokowania pokojowe: „Daniszewskiego należy zawiadomić, aby rozpoczął od uroczystego oświadczenia o (a) niezależności i suwerenności, (b) granicach szerszych niż linia Curzona, (c) żadnych kontrybucji”. Lenin bowiem „uparcie parł do pokoju” — powtarza Załuski. I tylko mimochodem nadmienia, co rzeczywiście Daniszewski zaproponował Polakom: natychmiastowe zmniejszenie Wojska Polskiego do stanu 50.000 ludzi, wydanie broni i materiałów wojennych, sformowanie w całej Polsce milicji robotniczej, którą Rosja Sowiecka uzbroi w tę właśnie broń, przeprowadzenie reformy rolnej, przede wszystkim na korzyść ofiar wojny polsko-sowieckiej itd.

Za to przypomnienie warunków kapitulacji — chwala Załuskiemu. Nie warto prostować szeregu jego przekłamań w datach i kolejności faktów. Sedno sprawy jest oczywiste: gdy Armia Czerwona była pewna zwycięstwa — „warunki pokojowe” sprowadzały się do tego, że Polska musi dokonać samo-unicestwienia. Owa milicja robotnicza podlegałaby przecież komunistycznemu komitetowi Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, Próchniaka, Kona i Unslichta, który od 1 sierpnia instalował się w Białymstoku. Gdyby Polska przyjęła warunki kapitulacyjne albo gdyby przegrała decydującą bitwę — rok 1944 nastąpiłby

już w roku 1920, i to w nieporównanie gorszych warunkach. Od tamtej pory mielibyśmy status jednej z sowieckich republik, pomniejszonej zresztą o ziemie zaboru pruskiego, które Marchlewski uparcie chciał zostawić Niemcom. Koncepcja „demokracji ludowych” jeszcze nie istniała.

A gdzież leninowska idea samostanowienia narodów? W pracy „Zadania rewolucji” (tuż przed strzałami z „Aurory”) Lenin istotnie pisał: „Obowiązani jesteśmy natychmiast zadośćuczynić żądaniom Ukraińców i Finów, zapewnić im, podobnie jak wszystkim obcoplemieńcom w Rosji, zupełną wolność aż do wolności oderwania się, zastosować to samo do całej Armenii, zobowiązać się do opuszczenia jej i zajętych przez nas terenów tureckich”.

Ładna deklaracja, choć (przez przeoczenie?) nie ma w niej mowy o Polakach, bądź co bądź najbardziej niepodległościowych „obcoplemieńcach” w Rosji. Tylko, że fakty ułożyły się jakoś inaczej, szczególnie z Ukraińcami.

Lenin, myśliciel niezbyt odkrywcy, politykiem był wybitnym. Nie wahał się w drodze do celu nadrzędnego dokonywać rozlicznych wolt politycznych i głosić to, czego doraźnie wymagała sytuacja — byle osiągnąć zamierzone skutki. Przejawiał żelazną konsekwencję w dążeniach pokojowych — ilekroć Rosji groziło niebezpieczeństwo i chciał zyskać czas na przygotowanie się do wojny. To nie jest zarzut — to pochwała; tak postępuje każdy trzeźwy polityk. Już na miesiąc przed wybuchem rewolucji, w trakcie przygotowań do obalenia rządów Kiereńskiego, Lenin pisał do KC SDPRR, ażeby nalegać na pokój z Niemcami, porzucić Ententę, a choćby doprowadzić do rozejmu, na który jest „99 szans na 100”. Tak uzasadniał swe żądanie: „Uzyskać zawieszenie broni teraz — to już znaczy zwyciężyć cały świat” (podkreślenie W. I. Lenin).

Podobnie, dopóki Syberię zajmowały wyparte z Uralu wojska Kołczaka, na południu groźny był Denikin, a od północy part Judenicz, dopóki nie rozprawiono się z opozycją eserowców i mienszewików, dodatkowo zaś tu i tam Rosję szczykali Japończycy, Francuzi, Grecy i Anglicy — Lenin był wobec Polski jak baranek. Zaproponował jej granice niemal takie, jakie postulował Dmowski, nad Dźwiną i Berezyną, z Mińskiem, znacznie dalej w głąb Białorusi, niż sięgnęła później granica „ryska”. Ten fakt Żałuski traktuje jako następny dowód przyjacielskich intencji Lenina; tym faktem zachłystują się i inni partyjni historycy, którzy zarazem podkreślają (słusznie), że do głównych przyczyn dramatu międzywojennego Polski należał nadmiar mniejszości naro-

dowych. Jakaż to cudowna logika; Piłsudski był zły, bo zawładnął Kresami i Piłsudski był zły, bo nie przyjął tych Kresów jeszcze więcej od towarzysza Lenina.

Tak przekarmić kota, żeby zdechł. Oto istota pomysłu Lenina.

Pokojowe i humanistyczne intencje sowieckie Załuski przytacza co stronę. „W styczniu 1920 roku wyszedł dekret o zniesieniu kary śmierci” (...) Armia Czerwona „na rozkaz Lenina nie przekroczyła granicy obszaru zwarcie zamieszkanego przez Estończyków. Zaofiarowano Estonii pokój. I zawarto go” (...) „Tylko brak oficjalnego uznania ze strony głównych państw świata, blokada polityczna i gospodarcza powstrzymały jeszcze sowiecką Rosję od całkowitego przedstawienia się na tory pokojowego budownictwa”.

Dla uwiarygodnienia tych zdań Załuski powinien był jeszcze dowieść, że w ZSSR nikogo nie uśmiercono, że Estonia jest nadal niepodległa i że po drugiej wojnie dziesięć państw dobrowolnie przekazało pod władzę sowiecką swe terytoria (Litwa, Łotwa, Estonia i Tuwa — w całości), a kilka następnych państw mocą nieskrępowanej decyzji przyjęło status „ograniczonej suwerenności”, który ongiś zwał się wasalnym. Zresztą groteskowość swej argumentacji Załuski obnażył sam, cytując Lenina.

„Gdyby Polska stała się sowiecka, gdyby robotnicy warszawscy otrzymali od Rosji Sowieckiej pomoc, na którą czekali i którą z radością witali, pokój wersalski zostałby rozbity i cały system międzynarodowy ustanowiony dzięki zwycięstwu nad Niemcami runąłby”.

Co prawda, na pomoc sowiecką warszawscy robotnicy czekali na ogół w szeregach Armii Ochotniczej, ale reszta wypowiedzi Lenina jest bez zarzutu. Runąłby porządek wersalski. Nie byłoby Polski.

Pomińmy dalsze przekłamania Załuskiego, dotyczące ówczesnej sytuacji politycznej oraz sowieckich i polskich celów, a także jego zadziwiająco — jak na historyka wojskowego — błędy faktyczne przy prezentacji toku kampanii 1920 roku. Ich prostowanie wymagałoby odrębnego studium. Znacznie ciekawsze i bardziej instruktywne są wypowiedzi samego Lenina, które — w zależności od adresata i momentu — czasem kamuflowały, a czasem precyzowały rzeczywiste jego dążenia. Egzegeza tych tekstów, wedle której współcześni historycy i ideolodzy partyjni objaśniają ówczesną sowiecką rzeczywistość i eksponują „pokojo-we” zamierzenia bolszewików nie ma, co prawda, istotnego zna-

czenia dla wiedzy o okresie, w którym równolegle kształtowało się czerwone imperium i odradzało się państwo polskie. Publicznie wypowiedane słowa polityków, nie tylko Lenina, służą na ogół temu, by zasłonić polityczne treści. U Lenina jednakże, mimo pokrętności jego tekstów, jasne są pryncypia, które stanowią i stanowią rdzeń sowieckiej strategii i taktyki.

W broszurze „Groząca katastrofa i jak z nią walczyć” (wrzesień 1917 roku) Lenin nauczał:

„O społecznym charakterze wojny, o jej istotnym znaczeniu decyduje nie to, gdzie znajdują się wojska nieprzyjacielskie... O charakterze tym decyduje to, **j a k ą p o l i t y k ę** kontynuuje wojna (‘Wojna jest dalszym ciągiem polityki’), **j a k a k l a s a** dla jakich celów wojnę prowadzi... Nie można wzbudzić bohaterstwa w masach, nie zrywając z imperializmem, nie proponując wszystkim narodom demokratycznego pokoju, nie przekształcając w ten sposób wojny zaborczej, rabunkowej, zbrodniczej w wojnę sprawiedliwą, obronną, rewolucyjną”.

Mówiąc krócej — niezależnie od tego, kto jest agresorem, wojna toczona przez imperialistów jest zbrodnicza, a wojna toczona w imię klasowego interesu mas — sprawiedliwa. Jest to doktryna jasna i dialektycznie poprawna. Najdziwniejsze, że na Zachodzie nadal mało kto w nią wierzy. Powtórzył ją Lenin jeszcze dosadniej, żeby nie było wątpliwości, w traktacie „Rewolucja proletariacka a renegat Kautsky”, w końcu 1918 roku: „Socjalista, rewolucyjny proletariusz, internacjonalista rozumuje inaczej: charakter wojny (czy jest ona reakcyjna, czy rewolucyjna) zależy nie od tego, kto napadł i w którym kraju stoi wróg, lecz od tego, **j a k a k l a s a** prowadzi wojnę, kontynuacją jakiej polityki jest dana wojna”.

Sowieckie cele polityczne Lenin sprecyzował nieco wcześniej, w „Referacie w sprawie wojny i pokoju”, na początku 1918 roku: „W tym tkwi największa trudność rewolucji rosyjskiej, jej największy problem historyczny: konieczność rozstrzygnięcia zadań międzynarodowych, konieczność wywołania rewolucji międzynarodowej, dokonania owego przejścia od naszej rewolucji, jako wąsko-narodowej, do rewolucji światowej”.

Słowa te były adresowane do VII Zjazdu kompartii. Ale wtedy myślano raczej o przetrwaniu, niż o panowaniu nad światem, przeto Lenin, w tekście „Przyczynek do historii zagadnienia nieszczęsnego pokoju”, wysunął też **t a k t y c z n y** program wycofania się z wojny. Oto uzasadnienie, dlaczego należy

porzucić sojuszników: „Kto wojnę z imperializmem niemieckim nazywa wojną obronną i sprawiedliwą, a faktycznie otrzymuje poparcie imperialistów angielsko-francuskich i ukrywa przed narodem tajne traktaty z nimi, ten zdradza socjalizm”.

Warto by zbadać, czy to ostatnie zdanie Lenina było przypominane w latach drugiej wojny, w Teheranie i Jałcie? Jak również, czy cytowano wtedy dalszy ciąg jego rozumowania: „Zwycięstwo nad obcym imperializmem, zwycięstwo, które się osiąga w formalnym lub faktycznym sojuszu ze 'sprzymierzonym' imperializmem, zawsze odrzucaliśmy jako metodę niedopuszczalną z zasady i w ogóle niegodziwą”.

Zjawia się tutaj ton etyczny. W sprawie zaś etyki („Zadania związków młodzieży”) pogląd Lenina był następujący: „Powiadamy: etyką jest to, co służy zburzeniu dawnego społeczeństwa, opartego na wyzysku, oraz zjednoczeniu wszystkich ludzi pracy wokół proletariatu budującego nowe społeczeństwo komunistów”.

Czy więc, na przykład, etyczny jest podbój innych narodów w celu poszerzenia rewolucji? A czemużby nie, skoro w cytowanych już pracach o renegacie Kautskim i o nieszczęsnym pokoku znajdujemy takie zdania: „Socjalizm jest przeciwny stosowaniu przemocy względem narodów. To nie ulega kwestii. Ale socjalizm jest w ogóle przeciw stosowaniu przemocy względem ludzi. Jednakże, z wyjątkiem chrześcijańskich anarchistów i tołstojowców, nikt jeszcze nie wyciągał stąd wniosku, że socjalizm jest przeciw przemocy rewolucyjnej. A więc mówić o 'przemocy' w ogóle, bez analizy warunków odróżniających przemoc reakcyjną od rewolucyjnej, to znaczy być mieszczałem wyrzekającym się rewolucji lub po prostu oszukiwać siebie i innych za pomocą sofistyki”.

(Sofiści: filozofowie, umiejący udowodnić dowolne twierdzenie. Sofizmat: świadomy błąd logiczny. Idealny przykład sofistyki: myśli Lenina).

I zdanie drugie: „Żaden marksista, nie zrywając z zasadami marksizmu i socjalizmu w ogóle, nie zdoła zaprzeczyć, że interesy socjalizmu stoją wyżej niż interesy prawa narodów do samookreślenia”.

Tak zwana „doktryna Breżniewa” była więc *explicite* sformułowana już przez Lenina. Stalin natomiast dobrze przeciwczył zdanie z traktatu o renegacie Kautskim: „Rewolucyjna dyktatura proletariatu — to władza zdobyta przemocą i oparta na przemocy proletariatu względem burżuazji, władza nie związana żadnymi ustawami”.

Po zawarciu traktatu brzeskiego z Niemcami, do którego

Lenin parł za wszelką cenę, Moskiewska Egzekutywa Obwodowa jednogłośnie uchwaliła votum nieufności dla KC SDPRR, odmawiając podporządkowania się klauzulom traktatu i zapowiedziała, że zażąda nowych wyborów do KC. Lenin w *Prawdzie* odpowiedział pod tytułem „Zdumiewające i potworne”. Oto istotna konkluzja: „Zdarzało się w dziejach, że podpisywano traktat pokojowy bez porównania cięższy i haniebniejszy niż brzeski i nie prowadziło to do utraty prestiżu władzy”. A w innej pracy z tegoż okresu dał wyraźną wskazówkę, do czego służą wszelkie rozejmy i traktaty pokojowe: „Korzystajcie z wytchnienia choćby godzinnego, skoro wam je dano, by utrzymać kontakt z głębokim zapleczem, by tam formować nowe armie”. Formować je dla obrony? Nie tylko. W tym samym „Referacie w sprawie wojny i pokoju” jest i taki passus: „Trzeba być przygotowanym na niesłychane trudności, na niesłychanie ciężkie porażki, które są nieuniknione, dlatego, że w Europie rewolucja się jeszcze nie zaczęła, choć może się zacząć jutro, a kiedy się zacznie, oczywiście, nie będą nas dręczyły nasze wątpliwości, nie będzie zagadnień wojny rewolucyjnej, będzie tylko nieprzerwany marsz tryumfalny”.

W pół roku później, tuż przed klęską mocarstw centralnych, Lenin był dobrej myśli, skoro swój artykuł zatytułował: „Towarzysze Robotnicy! Ruszamy w ostatni decydujący bój!”. Skonstatował w nim co następuje: „Widać już, jak coraz częściej zapalają się iskry i mnożą wybuchy pożaru rewolucyjnego w Europie Zachodniej, dające nam pewność bliskiego zwycięstwa międzynarodowej rewolucji robotniczej”. W tekście o renegacie Kautskym dodał, że nie tylko rewolucja ogólnoeuropejska, lecz światowa dojrzeje w oczach wszystkich.

Następny rok przyniósł jednak klęski europejskich rewolucji i groźne ofensywy białych generałów. Lenin zmienia ton. W referacie na VIII Zjazd kompartii (marzec 1919) sporo uwagi poświęca Polsce. Stwierdza: „U Polaków dokonywa się samookreślenie proletariatu” i prognozuje, że w Polsce „niedaleki już jest Październik”, ale to tylko ozdobniki też bardziej powściągliwych, na przykład zdania zaskakującego w świetle poprzednich opinii: „Komunizm zaszczepia się nie w drodze przemocy”. Doradza zjazdowi ostrożność, nieinterwencję, respektowanie prawa Polaków do samookreślenia, gdyż „Polski ruch proletariacki kroczy tą samą drogą co i nasz, ku dyktaturze proletariatu, ale nie tak jak w Rosji”. Skądże nagle takie odstępstwo od poprzedniej pryncypialności rewolucyjnej? Skąd ten zarodek tezy o wielości dróg do socjalizmu? Wyjaśnia to list Lenina do robotników

piotrogrodzkich, który zaczyna się od słów: „Towarzysze! Sytuacja na Froncie Wschodnim ogromnie pogorszyła się”. Na południu była lepsza, ale Denikin też nie był rozbity. Nie należało zatem drażnić Piłsudskiego, którego wojska ograniczały się wtedy do dozorowania bliżej nieokreślonej linii martwego frontu.

Na IX Zjeździe, na początku kwietnia 1920 roku, tonacja już jest zupełnie inna. Judenicz pokonany, Kołczak pokonany, Denikin pokonany, tylko Wrangel siedzi jeszcze na Krymie. Zachodni interwenci — tych kilka rozproszonych pułków — przegnani. Teraz można z Polaczkami porozmawiać innym głosem. Polacy, powiada Lenin, „pobrzękiwali szabelką i dalej nią pobrzękują”, otrzymują mnóstwo pociągów z artylerią oraz wiele „obietnic wszelkiego rodzaju pomocy, byleby tylko kontynuowali walkę przeciw Rosji” (tutaj Lenin całkowicie mijał się z prawdą), a zarazem szerzą się w Polsce strajki, ukrywane przez cenzurę (też nieprawda) i wzrasta tam ruch rewolucyjny. „Ze strony Polski mamy formalną propozycję pokoju” — stwierdza Lenin *p r z e d* rozpoczęciem polskiej ofensywy na Ukrainie. — „Panie, wie ci znajdują się w rozpaczliwej sytuacji... Wiedząc, że nasz przeciwnik znajduje się w rozpaczliwie trudnej sytuacji — przeciwnik, który nie wie, co chce robić, co będzie robił jutro — powinniśmy powiedzieć z całą stanowczością, że mimo propozycji pokoju wojna jest możliwa”.

Ładny eufemizm: wojna jest możliwa. W rzeczywistości za Berezyną już się zbierały ogromne siły Tuchaczewskiego, gotowe do marszu wprost na Warszawę.

W tym samym czasie ukazuje się też sławna praca Lenina: „Dziecięca choroba lewicowości w komunizmie”. Powraca on do stwierdzeń sprzed dwóch lat — zaniechanych przed rokiem, gdy z władzą sowiecką było krucho: „Komuniści powinni dołożyć wszelkich starań, aby ruch robotniczy i rozwój społeczny w ogóle skierować po najprostszej i najkrótszej drodze wiodącej do światowego zwycięstwa Władzy Rad i do dyktatury proletariatu”.

Wiadomo, którądy ta najkrótsza droga prowadzi. Ale nie spodziewał się Lenin, że marsz się nie powiedzie, pomimo, że tak doskonale stosował zasadę, którą sam sformułował, ażeby „wszyscy komuniści wszystkich krajów wszędzie i w sposób do końca przemyślany uświadomili sobie konieczność maksymalnej giętkości w swej taktyce”.

Tego waloru — giętkości — istotnie Leninowi odmówić nie można.

Wywód, prostujący nieprawdy Załuskiego oraz objaśniający

godne podziwu meandry polityki Lenina, był potrzebny dla zarysowania tła, na jakim doszło — musiało dojść — do wojny 1920 roku.

Piłsudski co do intencji Lenina nie miał złudzeń. Mało kto lepiej niż on rozumiał groźbę „tryumfalnego marszu rewolucji”. To znaczy zniszczenia Państwa Polskiego, zanim się jeszcze ukształtowało. Próbował przeto Piłsudski realizować plan, który zawierał szansę nie tylko doraźnego ocalenia niepodległości: program federacyjny. Ten program, *nota bene*, już pół wieku wcześniej formułowali wszyscy socjaliści z emigracji postyczeniowej — Józef Tokarzewicz, Jarosław Dąbrowski, Walery Wróblewski i inni — antycypując federację polsko-litewsko-ruską jako podstawę odrodzonej Rzeczypospolitej. Piłsudski doskonale rozumiał, że samotna Polska, wciśnięta między rewanzystów niemieckich a Rosję, zmierzającą do rewolucji światowej, wcześniej czy później ulegnie zagładzie. W pomoc Zachodu nie wierzył. Ameryka wracała do *splendid isolation* i trawiła wojenne zyski. Anglia kombinowała, jak nie dopuścić do nadmiernego osłabienia Niemiec, potrzebnych jej dla równoważenia wpływów Francji na kontynencie. Francja traktowała Polskę jako sojusznika zastępczego, ciągle wierząc naiwnie, że Czerwony przegra i władza w Rosji dostanie się jakimś demokratom, którzy będą tym właściwym jej sprzymierzeńcem na wschodniej flance Niemiec. I którzy sumiennie spłacą rosyjskie długi (50 miliardów rubli w złocie!) anulowane przez bolszewików, co było jednym z głównych bodźców zachodniej interwencji. Wszyscy zaś razem na Zachodzie oddychali z ulgą po czteroletniej rzezi i ani myśleli angażować się zbrojnie po stronie enigmatycznej Polski, która istniała — zdawało się — na zasadzie sezonowej nowalijki. Pacyfizm był hasłem dnia, co naturalne po gehennie okopów, gazów i Grubej Berty, po pogrzebaniu milionów ofiar. Lewica zachodnia, nie tylko komuniści, fascynowała się Czerwoną Rosją. Ziszczał się przecież piękny sen o rewolucyjnym wyzwoleniu ludu — a poboczne skutki tej przemiany nie były znane. Z oburzeniem odrzucano nikczemne insynuacje, jakoby rewolucji towarzyszyły masy terror, nędza i likwidacja wszelkich instytucji demokratycznych, w tym rad robotniczych! Zdaniem kręgów lewicujących i liberalnych było to reakcyjne wymysły plugawych pismaków. A już to, że rewolucyjna Rosja może się stać supermocarstwem i zachwiać posadami świata nikomu nawet nie świtało w głowie. Prędzej oczekiwano jej katastrofy: burzuje z nadzieją, reszta z rozpaczą.

Polska, w trakcie konstruowania swego bytu, pozostawała

w kompletnym osamotnieniu; przypominam alarmujący list Stanisława Grabskiego. Granice musiała wytyczać zbrojnie, znikomy mi siłami. W dodatku była na Zachodzie niepopularna — jako „agresor” wobec Galicji Wschodniej, jako kraj, w którym rzekomo uciskano Żydów, jako czynnik destabilizacji ładu geopolitycznego, który wrósł od wieku w europejską mentalność, wreszcie jako naród kłótniwy, nad którym pełnię władzy przejął samozwaniec Piłsudski, podejrzewany przez burżuazję, że jest krypto-komunistą, a przez lewicę, że jest kontrrewolucjonistą. Sympatii nie przysparzał mu także fakt, że Legiony bądź co bądź walczyły po stronie mocarstw centralnych — co stale przypominał Zachodowi znacznie lepiej znany tam Dmowski.

Pole manewru Piłsudskiego było więc ograniczone nieufnością Zachodu i wrogością Wschodu, a wewnątrz kraju opozycją potężnego bloku endecji i rewoltami skrajnej lewicy. Pomińmy już takie okoliczności, jak bieda, wyniszczenie kraju, pustki w skarbie, szczupłość armii, jak trwająca ciągle obecność Niemców w byłym zaborze pruskim, atak czeski na Zaolzie i lokalne walki z armiami dwóch rządów ukraińskich — galicyjskiego Eugeniusza Petruszewicza i naddnieprzańskiego Symona Petlury.

Jednym z nielicznych atutów, jakimi Piłsudski rozporządzał, była znajomość realnej sytuacji w Rosji. Piłsudski raczej nie studiował publicystyki Lenina (w znacznej części zresztą utajnionej), tak jak nie znał też całego marksistowskiego dorobku teoretycznego. Ale istotę planów sowieckich pojmował bezbłędnie. Wszak od dziesięcioleci miał rozległe własne doświadczenia wschodnie, świetnie wyczuwał psychikę Rosjan (intuicja polityczna była mocną stroną Piłsudskiego) opierał się na sztabie wytrawnych doradców, na wskroś znających sprawy rosyjskie, z Leonem Wasilewskim i Stanisławem Patkiem na czele. W ogóle Polacy byli wtenczas jedynym na świecie narodem, dobrze orientującym się w zawiłościach rosyjskiej i sowieckiej polityki. Mieli zasób doświadczeń ze stuletniej niewoli. Partie robotnicze od dawien dawna kontaktowały się z rosyjskim ruchem rewolucyjnym, ze wszystkimi jego odłamami, a wśród przywódców bolszewickich było wielu Polaków, którzy poprzednio działali w SDKPiL, w Proletariacie, w Bundzie, nawet w PPS, oraz wielu Rosjan, którzy żyli w Kongresówce. Znano ich poglądy i ambicje. Tysiące studentów polskich kończyło uczelnie w całej Rosji, od Dorpatu po Tomsk, tysiące sybiraków, tysiące inżynierów i kupców znało każdy zakątek imperium. Wielu wybitnych polskich intelektualistów wrosło w rosyjski pejzaż. Aleksander Lednicki w Moskwie, Aleksander Więckowski i Józef Ziabicki w Petersburgu byli za

pan brat z rosyjską elitą polityczną i intelektualną, najściślej prawdopodobnie z kręgami masońskimi. Również narodowa demokracja miała wśród swoich grono ludzi doskonale zorientowanych — byłych członków Dumy. Co najmniej w połowie polska była inteligencja Kijowa. Przede wszystkim zaś ponad milion Polaków znalazło się na rosyjskiej ziemi w trakcie Wielkiej Wojny — w wyniku mobilizacji, ewakuacji bądź panicznej ucieczki przed Niemcami. Zostali wciągnięci w tryby rewolucji — jako jej czynni aktorzy, jako żołnierze polskich korpusów, które różnymi drogami — nawet przez Władywostok — wracały do kraju, najczęściej jako bezradny przedmiot terroru. Zdobytą edukację zapamiętali na całe życie. Młodzi przechodzili zawiłe transformacje ideowe — między rewolucyjnym patosem, a tragedią pomylek — jak Igor Neverly, który w mistrzowskiej książce autobiograficznej „Zostało z uczy bogów” dał wyrazisty obraz tamtych wieloznacznych dni.

Cofnijmy się teraz do samych początków polskiej państwowości.

22 listopada Lwów doczekał się odsieczy, która w półtora-tysięcznej sile, pod wodzą płk. Tokarzewskiego, po prostu przyjechała pociągiem z Przemyśla. Ukraińcy zapomnieli zdemontować tory.

Siły ukraińskie zostały łatwo wyparte, ale nie rozbite. Podole i Pokucie były nadal w ich rękach. Parokrotnie powracały pod Lwów na odległość strzału armatniego. Słabiutkie wojska polskie zaangażowane były zarazem na Śląsku Cieszyńskim przeciw Czechom, na linii Bugu przeciw atakowi atamana Osółko z Ukrainy Naddnieprzańskiej, tworzyły też na Białorusi osłonę przeciw bolszewikom i wspomagały Powstanie Wielkopolskie. W kilka miesięcy po porodzie Polska toczyła pięć odrębnych wojen obronnych, co prawda o niewielkiej intensywności. Dopiero wiosną roku 1919 armia polska została na tyle rozbudowana, że mogła podjąć skuteczną ofensywę przeciw Ukraińcom galicyjskim i odzyskać znaczną część Małopolski Wschodniej.

Znacznie ważniejsze wydarzenia działy się w tym czasie nad Dnieprem. Trwała tam, bez udziału Polski, zażarta wojna trójstronna.

Armia Czerwona, wspierając fikcyjną Ukraińską Socjalistyczną Republikę Rad (na jej czele stał Rakowski, Bułgar), naciskała na obszary tworzonej przez Petlurę Naddnieprzańskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej, a równocześnie walczyła przeciw „białym” wojskom Denikina, wielkoruskiego szowinisty. Te ostatnie, wspierane przez francusko-grecki korpus ekspedycyjny w Odes-

się, opierały się „czerwonym”, lecz główny wysiłek orężny obrały przeciw Petlurze. Zachód niewiele rozumiał z tej wojennej szarady, problem ukraiński jawił się tam jako coś nowego i niespodziewanego. Liczono, że koniec końców Petlura połączy się z Denikinem i wspólnie uderzą na bolszewików. Ale był to rachunek bez gospodarzy. Ukraińcy chcieli niezawisłości, a nie powrotu pod dominację Rosjan — czy to białych, czy czerwonych. Jeszcze bardziej masy ukraińskie obawiały się dominacji polskich panów.

Dojrzewało jednak wśród części Ukraińców zrozumienie, że Polacy mogą się stać ich sojusznikiem i podporą. Interesy obu narodów stawały się zbieżne i Petlura pojmował to doskonale. Główną przeszkodą w porozumieniu była jednak ta druga Ukraina, post-austriacka, z jej rządem Petruszewycza. Ukraińcy zachodni nie tylko widzieli głównego wroga w Polakach, ale nie odczuwali ani „białego”, ani „czerwonego” niebezpieczeństwa. Co nie znaczy, by żywili sympatie do Rosjan. Orientacja filorosyjska była tam wątpliwa. Przywódcy znali wielkoruskie intencje. Wszak już w 1883 roku Aleksander III na liście Naumowicza, swego agenta-unity, apelującego o rosyjską interwencję własnoręcznie napisał był: „Bardzo boleśnie i smutno czytać jego list. Może da Bóg i nam i im jasny dzień kiedyś”.

Aż trudno zliczyć wszystkie siły, włączone w rozgrywki kresowe: dwie odrębne Ukrainy, bolszewicy, Denikin, Polacy, interwenci z Zachodu, Niemcy, których wojska nadal stacjonowały na Kresach, Litwini, Łotysze i Estończycy — w tym samym czasie dobijający się niepodległości, a jeszcze Czesi, z Zakarpacia wspierający Ukraińców, a jeszcze Rumuni, którzy mieli własne apetyty terytorialne, zawładnęli Besarabią, Bukowiną i doszli na Pokucie pod Kołomyję.

Kluczowe pytanie było jednak takie: czy powiedzie się alians polsko-ukraiński, do którego parli i Piłsudski, i Petlura?

Wiosną 1919 ważniejsze niż to, co działo się na frontach, były w tej kwestii rokowania, które trwały w Paryżu. Niestety, tam nie Naczelnik Państwa wytyczał polską politykę, lecz nadal Dmowski. Jemu obce były federacyjne idee i zmierzał do tego, by Polska po prostu zagarnęła wielkie połacie Ukrainy, Białorusi i Litwy — nie na tyle jednak rozległe, by nie dały się spolonizować.

Nad Sekwaną toczyły się podwójne pertraktacje: Polski z Ukrainą Zachodnią i Polski z Ukrainą Naddnieprzańską.

Pierwszym przewodniczył południowoafrykański generał Botha. Był on dobrym rozjemcą, bo co prawda słabo się orientował

we wschodnioeuropejskich powikłaniach etnicznych i politycznych, ale przynajmniej nie tkwił — jak Francuzi — w niezłomnym przeświadczeniu, że Czerwoni lada dzień zostaną starci w proch i znowu powstanie wielka, kapitalistyczna, zaprzyjaźniona z Francją Rosja. Na nic jednak zdały się jego pojednawcze wysiłki. Petruszewycz był nieprzejednany, Dmowski był nieustępliwy. Dziwny flirt dwóch nacjonalizmów, jaki poprzednio trwał we Lwowie, skończył się definitywnie. Dmowski argumentował (a Zachód słuchał go uważniej, niż dziwnego Piłsudskiego w odległej Warszawie), że wojska ukraińskie są bezwartościowe jako sojusznik przeciw bolszewikom, nie ma co sobie nimi zawracać głowy, lepiej postawić na Polaków. Rokowania zostają zerwane — i Francja czeka niecierpliwie, kiedy wreszcie ci Polacy całą mocą uderzą na Czerwonych, by utorować Białym drogę do władzy. Przyjeżdża nawet do Polski ogromna misja wojskowa (ponad 2.000 oficerów!), by pod wodzą gen. Paula Henrysa — przewidywanego na głównodowodzącego wojsk polskich! — szykować Polaków do tego ataku. Ale Piłsudski wzruszył ramionami i Henrys został tylko doradcą sztabu.

Pertraktacje z Kurdybowskim, reprezentującym rząd Petlury, prowadził Ignacy Paderewski, który wprawdzie ideowo bliski był Dmowskiego, lecz lojalnie respektował polecenia Piłsudskiego, bo sam był za federalizmem. Dochodzi do umowy. Polska zobowiązuje się zbrojnie wesprzeć Petlurę w walce z bolszewikami, zaś Ukraina Naddnieprzańska akceptuje granice Polski na Zbruczu i Styrze, z zastrzeżeniem, że Galicja Wschodnia otrzyma status autonomiczny, gwarantujący tamtejszym Ukraińcom narodowe prawa. Zrezygnował więc Petlura ze współpracy z zapartym Petruszewyczem, którego antypolska fobia zagrażała interesom całej Ukrainy. Którego przegrał i schronił się w Wiedniu. Latem 1919 roku wojska polskie osiągnęły Zbrucz, a Rada Najwyższa mocarstw koalicyjnych dała Polsce upoważnienie do zajęcia całej Małopolski Wschodniej. Po to, w zamyśle Zachodu, ażeby Polacy zagrodzili Armii Czerwonej drogę na Węgry, gdzie powstała Węgierska Republika Rad i czekała na bratnią pomoc. Wtedy nie nadeszła.

Wygrana Polski? Tak, ale tragiczna. Między Polakami a Ukraińcami galicyjskimi rozwarła się przepaść. Będą ją odtąd wypełniały bunty, karne ekspedycje, wzajemne rzezie.

Ale druga szansa jeszcze istniała — aliansu z Ukraińcami naddnieprzańskimi, ponad głowami galicyjskich. Armia Petlury, choć pobita przez Denikina i bolszewików, zepchnięta na wschodni brzeg Zbrucza, ciągle stanowiła realną siłę. On sam nie tracił

bojowości i w Chmielniku powołał rząd narodowy; rozumiał, jak Piłsudski, że losy dwóch narodów zależą od tego, czy zdołają się zjednoczyć w obronnej koalicji i zapomnieć o starym antagonizmie. Czerwone widmo groziło im jednak.

Groziło także Litwie. Ona też, a raczej: przede wszystkim była objęta federacyjną wizją Piłsudskiego. Ale sprawy litewskie toczyły się zupełnie inaczej — i zupełnie dla Polski beznadziejnie. W konsekwencji zaś jeszcze gorzej dla Litwinów.

Na Litwie nie było żadnego „Petlury”, który by w przymierzu albo unii z Polską szukał szans dla własnego narodu. W Polsce zaś nie było ludzi, rozumiejących, że proces lituanizacji ziem dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego nie jest ani chwilową fanaberią jakichś folklorystów, ani efektem carskich intryg antypolskich; że Litwini już nie są rodakami zza Niemna, a mickiewiczowska inwokacja, otwierająca „Pana Tadeusza”, straciła sens; że ukształtowała się nie tylko litewska świadomość narodowa — ale powstał szowinizm, obrócony przeciwko Polakom, jako tym, którzy przez wieki implantowali własną kulturę i niemalże do końca starli litewską tożsamość. Z punktu widzenia litewskich nacjonalistów należało teraz bezwzględnie zatrzeć osad polonizacji — zarówno na Litwie etnicznej, zwanej Żmudzią, jak i na Litwie wileńskiej, chociaż tam prawie nikt nie posługiwał się językiem litewskim, a polski, białoruski oraz jidisz miały niemal stuprocentową wyłącność.

Owe świeżej daty aspiracje litewskie były dla Polaków kompletnym szokiem; wręcz w głowie się nikomu nie mieściło, czemu brat-Litwin stał się nagle zawziętym wrogiem. Tworzący się pod niemiecką protekcją litewski rząd, Taryba, kategorycznie odrzucił oba warianty współżycia z Polakami, jakie wysunął Piłsudski: albo całkowita odrębność i niepodległość Litwy w granicach etnicznych (tj. bez Wilna i Grodna), albo państwo litewskie w granicach szerokich historycznych, lecz w jakiejś formie związane z Polską. Litwini powiedzieli: NIE i NIE, a do reszty rozpieklił ich pomysł Dmowskiego, lansowany na Zachodzie, by Litwę po prostu wcielić w granice Polski, dając „temu krajowi” co najwyżej autonomię i prawo „wolnego rozwoju narodowości”.

Taryba już w końcu 1917 roku uroczyście unieważniła wszelkie przeszłe związki Litwy (to znaczy unię z Polską, albowiem z Rosją nie miała Litwa żadnych „związków”, została przez nią podbita) oraz z a k a z a ł a jakichkolwiek podobnych związków w przyszłości. A także określiła, że stolicą państwa litewskiego jest Wilno.

Dominująca na Litwie ideologia narodowa szła jeszcze dalej w swych hasłach. Uznawała, że każdy mieszkaniec przyszłego państwa litewskiego — czy to w Kownie, Wilnie, Grodnie czy Nowogródku — będzie Litwinem, bez względu na to, jakim się językiem posługuje i za kogo sam siebie uważa. Ta doktryna obowiązywała również wstecz, *ergo* — Mickiewicz był Litwinem.

Pomiędzy intencjami polskimi — federacyjnymi Piłsudskiego bądź inkorporacyjnymi Dmowskiego — a litewskim programem narodowym nie było zatem żadnego pola manewru. Litwini zdecydowali się na bezwarunkowy rozwój, więc Polacy mogli tylko opłakiwać „niewdzięczność” wielowiekowych współmałżonków.

Tymczasem jednak, niezależnie od jednych i drugich intencji, powstała polityczna realność, paraliżująca i Litwinów, i Polaków. Otóż w chwili, gdy odradzały się ich państwa, całe ziemie kresowe — od Estonii po Ukrainę — stanowią okupowane przez Niemców *Ober-Ost*. Było to zgodne z klauzulami pokoju brzeskiego, zawartego między rewolucyjnym rządem Lenina a cesarskim rządem Niemiec. Po kapitulacji Niemiec wojska ich stopniowo ewakuowały się, a na ich miejsce, mocą tajnych układów zawieranych z lokalnymi dowódcami i „radami żołnierskimi”, wkraczała Armia Czerwona. Nie troszczyła się ona, rzecz jasna, jaki będzie ostateczny werdykt Rady Najwyższej mocarstw zachodnich co do losu tych ziem. Mocarstwa zaś same nie wiedziały, co z tym fantem począć, do jakiego państwa przyłączyć.

Na sowieckim zapleczu zmontowano grupki komunistów, które obwieściły się „Rządem Robotniczo-Włościańskiej Rewolucyjnej Litwy” oraz — osobno — „Sowieckiej Białorusi”. Wkrótce te rządy połączyły się, potem znów rozpadły, co zresztą nie miało znaczenia. Rychło również w Wilnie garstka głównie żydowskich komunistów utworzyła Radę Delegatów Robotniczych, która podporządkowała się rezydującemu w Mińsku „rządowi” sowieckiej Litwy. Skąpe siły polskiej samoobrony po krótkiej walce i z bolszewikami i z Niemcami wycofały się w rejon Grodna. Także Litwini nie mieli szans oporu. Do Wilna wkroczyła Armia Czerwona. I poszła dalej — do Kowna. Rząd Valdemarasa, który śnił o „Wielkiej Litwie”, schronił się pod protekcję oddziałów niemieckich, które strzegły linii komunikacyjnych na Łotwę — nadal okupowaną.

W kwietniu 1919 roku do akcji włączył się Piłsudski. Wojska polskie w błyskawicznej operacji zdobyły Wilno, zmuszając do odwrotu także tych czerwonoarmiejców, którzy siedzieli w Kownie. Valdemaras mógł wrócić do swej stolicy, którą traktował jako tymczasową, albowiem to Wilno przecież było ogłoszone

za stolicę Litwy. Tymczasem jednak Wilno było w rękach polskich, a Piłsudski proklamował odezwę „Do mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego”, aby pod osłoną wojsk polskich swobodnie wypowiedzieli się o swej przyszłości.

Niczego to nie wyjaśniło. Polacy z Wilna i Wileńszczyzny chcieli po prostu należeć do Polski, skoro Litwa dawała im jedynie obietnicę przymusowego wynarodowienia. Rząd kowieński już się wypowiedział: żadnych związków z Polską, żadnych nawet rozmów, dopóki Polska nie odda Wilna. Masa białoruska — inaczej niż Ukraińcy — nie miała sprecyzowanych ambicji narodowych, a w garstce działaczy było kilka orientacji: niepodległościowa, propolska, komunistyczna i najślabza bodaj — litwo-mańska. Impas był kompletny. Istniał jeszcze cień nadziei, że wojskowa i polityczna pomoc, jakiej Polska udzieliła Łotwie i Estonii (przeciwno Niemcom oraz czerwonym i białym Rosjanom jednocześnie) zmiekczy stanowisko Litwinów i skłoni ich do głębszego namysłu nad wspólnymi interesami wszystkich narodów nadbałtyckich oraz Polski. Nic takiego jednak nie nastąpiło, Litwin jest uparty. W styczniu 1920 roku Litwa storpedowała na konferencji w Helsinkach projekt stworzenia wspólnego frontu Finlandii, Polski, Litwy, Łotwy i Estonii, w celu zabezpieczenia się przed imperializmem bolszewickim; stwierdziła, że groźniejszy dla niej jest imperializm polski.

Idea federalizmu na południu rozpadła się przez zaślepienie Ukraińców galicyjskich, na północy przez krótkowzroczność Litwinów. Patrząc już z długiej perspektywy historycznej, jedni i drudzy przegrali w ten sposób wszystko. A z nimi i ci doznali klęski, którzy i ich, i siebie próbowali ratować.

Czy taki efekt końcowy mógł być jednak brany na serio, czy mógł być przewidziany w roku 1919, gdy niemal wszystkim politykom na świecie (Piłsudski i Petlura byli wyjątkami) zdawało się, że ta śmieszna żakinaada bolszewicka skończy się lada dzień — tak jak runęły komunistyczne rewolty w Niemczech i na Węgrzech? Francja, mocarstwo doświadczone i decydujące wtedy, była o rychłym pogromie „bolszewii” przekonana najgłębiej, przeto całą pomysłowość wyteżęła, aby nie dopuścić do pokawalkowania Rosji na jakieś nowe twory państwowe. Ukraina czy Litwa nie mogły być przecież substytutem tego mocarstwa pod rządami jakichś „rozsądnych” polityków, a Polskę widziała Francja w roli dodatkowego narzędzia, którym będzie można dobić pana Lenina, ażeby doprowadzić do normalizacji kapitalistycznej.

Ale właśnie na to Piłsudski zgodzić się nie chciał.

Co innego bić się z Czerwonymi w obronie własnej i w obro-

nie prawa do samostanowienia — powszechnie już wtedy uznano — swych potencjalnych sojuszników ukraińskich, białoruskich, łotewskich (a nawet litewskich, wbrew nim samym) — co innego zaś walczyć o obalenie Lenina po to, by władzę objął polakożerca Denikin, który nawet wtedy, gdy go gromili Czerwoni i tęsknie wyglądał polskiej pomocy — zapowiadał, że ani Chełmszczyzny, ani Podlasia od Wielkiej Rosji oderwać nie pozwoli...

W planie czysto wojskowym rok 1919 przyniósł względną stabilizację na wschodnim pograniczu. Po kilku lokalnych operacjach wojska polskie zajęły wysunięte rubieże nad Dźwiną, Berezyną, Słuczą, Horyniem i Zbruczem. Armia Czerwona kontratakowała miejscami — bez powodzenia. Obie strony chwilowo miały pilniejsze sprawy do załatwienia i nie rwały się do generalnej rozprawy. Władze sowieckie organizowały się dopiero, odpierając nieskoordynowane ofensywy białych generałów i wspomagających ich interwentów z Zachodu. Polska do końca nie dała się wciągnąć w te afery, czym nie zaskarbiła sobie sympatii na Zachodzie. Tam zaczęto kombinować, że najlepszym jednak partnerem przeciw bolszewikom, najmocniejszą barierą antykomunistyczną mogłyby być Niemcy, dopiero co pokonane. Między innymi dlatego z takim trudem i wysiłkiem przychodziło Polakom wywalczenie korzystnej granicy na Zachodzie. W rozmowach międzynarodowych głos Niemiec był słyszalny coraz lepiej, przeto po Wielkopolanach również Górnoślązacy musieli stanąć do walki. Dopiero trzy powstania śląskie wymusiły decyzję o przyznaniu Polsce jednej trzeciej tego kraju i o plebiscycie w pozostałej części.

Walne starcie z sowiecką Rosją dopiero Polskę czekało. W trakcie jego odżyła koncepcja federacyjna, choć prawdopodobieństwo jej realizacji stało się już zupełnie znikome. Koncepcja ta była teraz tylko cieniem złudzenia. Uparte przy niej trwanie (którego efektem była zakończona porażką ofensywa na Kijów) można uważać albo za ciężki błąd Piłsudskiego, albo za świadectwo jego politycznej dalekowzroczności: zdecydował się na grę o wielką stawkę, być może zbawienną dla Polski, ale z minimalną szansą wygranej.

Stawkę tę przegrał. Bluff z samymi blotkami rzadko przynosi sukces w pokerze. Ale przynajmniej wygrał wojnę, która na dwa dziesięciolecia dała Polsce byt suwerenny, a Polakom wykorzystaną możliwość utrwalenia narodowej tożsamości w plebejskich masach.

2 lipca 1920 roku komendant rosyjskiego Frontu Wschodniego Michaił Tuchaczewski wydał do swych wojsk, zmasowanych za rzekami Autą i Berezyną, sławny rozkaz dzienny:

„Wojska czerwonego sztandaru gotowe są walczyć aż do śmierci przeciw wojskom białego orła. Trzeba pomścić zbezczeszczonej Kijów i utopić zbrodniczy rząd Piłsudskiego we krwi zgniecionego wojska polskiego. Droga światowego pożaru prowadzi przez trupa Polski. Naprzód, na Wilno, Mińsk, Warszawę! Marsz!”.

Tuchaczewski był śmiałym dowódcą. Wierzył, że jego 23 dywizje łatwo rozgromią 13 rozciągniętych obronnie dywizji polskich, sforsują Wisłę, sprzymierzą się z robotnikami Białegostoku i Łodzi, z małorolnymi chłopami całej burżuazyjno-pańskiej Polski, wreszcie podadzą bratnią dłoń komunistom Niemiec, Austrii, Węgier, Francji, Włoch...

Nazajutrz sowieckie armie 3, 4, 15 i 16 oraz korpus konny Gaj-chana zaczęły rolować polski front, zmuszając nasze siły do „odrotu wyjątkowego w historii wojskowości” — wedle słów Władysława Sikorskiego. Łamiąc rachityczny opór Polaków, cofających się z rubieży na rubież, armie Tuchaczewskiego w napoleońskim stylu pokonały w pięć tygodni ponad 600 kilometrów. Nigdzie właściwie nie było walk na dużą skalę, pobite i zdemoralizowane dywizje polskie spływały na linię Wisły. Na jej prawym brzegu Tuchaczewski spodziewał się walnej bitwy, po której Polska miała zginąć i droga na Zachód stałaby otworem.

3 lipca Józef Piłsudski wydał odezwę, wzywającą cały naród do walki:

„Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej. Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!”.

Do tej pory mało kto w głębi kraju interesował się sytuacją frontową. „Wojna z Rosją sowiecką prowadzona była przez armię polską bez udziału społeczeństwa — napisał Artur Śliwiński, wybitny działacz niepodległościowy, a w 1920 roku wiceprezydent Warszawy. — Kraj cały tak przyzwyczaił się do powodzeń oręża polskiego, a jednocześnie do tego stopnia nauczył się lekceważyć siły wroga, że wojna nie wydobywała ze społeczeństwa energii, jaka się później okazała niezbędna”.

Kronikarze 205 pułku piechoty ochotniczej dodają: „Dopóki wojna toczyła się z dala od głównych ośrodków kraju, całe społeczeństwo beztrudnie niemal śledziło czyny wojska i jego wodza. Kiedy jednak odgłosy walk jęły przenikać poza mury Warszawy, szerokie warstwy społeczeństwa otrząsały się dość szybko z dotychczasowej bierności”.

Nie tak szybko jednak, jak by należało. Stanisław Thugutt, przywódca PSL „Wyzwolenie”, do niedawna minister spraw wewnętrznych:

„Groza stawała się z dnia na dzień coraz większa, tym bardziej, że zwały się to wszystko dość nieoczekiwanie. Groza ta ogarniała zresztą bynajmniej nie wszystkich, bo kawiarnie warszawskie rozbrzmiewały ciągle muzyką, a po ulicach snuło się mnóstwo młodych ludzi, którzy napis IDŹ NA FRONT czytali zupełnie obojętnym okiem”.

Nie udało się zorganizować obrony na linii Niemna i Szczary. Ani na linii Narwii i Bugu. Padła twierdza brzeska, która miała być podstawą kontrofensywy.

Ale w Polsce jak to w Polsce: najlepiej wychodzi improwizacja. Kiedy już nie miesiące, lecz tygodnie i dni dzieliły od katastrofy, naród się ocknął. Rada Obrony Państwa powołała 7 lipca Generalny Inspektorat Armii Ochotniczej z gen. Józefem Hallerem na czele. 8 lipca zawiązał się Obywatelski Komitet Obrony Państwa, czyli OKOP (dawniej umiano zręczniejsze nazwy, ich skróty nie wywoływały śmiechu). W warszawskim OKOP-ie zjednoczyło się mnóstwo stowarzyszeń społecznych, wśród nich Cech Kapeluszników, Instytut Mesjaniczny, Kasa Subiektów Zegarmistrzowskich, Katolicki Związek Polek, Koło Fryzjerów, Liga Antybolszewicka, Zgromadzenie Panien Kanoniczek, Ochotnicza Straż Pożarna w Grodzisku, Stowarzyszenie „Nasz Sklep”, Syndykat Dziennikarzy Warszawskich, Towarzystwo Cyklistów (reprezentował je pan Blikle), ZASP, Kółko Rolnicze Nieporęt, Blok Narodowy, Cech Kotlarzy Miedzi, Związek Demokratów, Towarzystwo Ochrony Kobiet, Pierwsza Szkoła Niedzielną, Liga Żegluga Polskiej i 209 innych.

Podczas obrad w OKOP-ie zgodzono się, że trzeba powiedzieć: Kontra! oraz veto! atmosferze apatii i zdenerwowania, rozjątrzenia, miotania się między skrajnościami, szukania winnych, braku linii przewodniej i ogólnego beżładu. Powołano zatem biura zaciągowe Armii Ochotniczej, a równocześnie — by nadrobić stracony czas — kilkadziesiąt stowarzyszeń i organiza-

cji, nawet osób prywatnych, zaczęło organizować werbunek na własną rękę, co rzecz jasna bezład przemieniło w chaos. Na szczęście trwał on tylko kilka dni. Potem rekrutacja nabrała cech instytucjonalnych, acz inicjatywa osobista kwitła nadal. Por. Polniaszek własnoręcznie rozlepił na Placu Zbawiciela i w Alejach Ujazdowskich ulotki, agitujące za wstępowaniem do jego batalionu 205 pułku i skrzyknął w ten sposób ponad tysiąc ludzi. 12 lipca batalion był skompletowany, ale rozkazem dowództwa został przekazany do rywalizującego 201 pułku, tworzono go na bazie ośrodka zapasowego sławnego 1 pułku Legionów. To był modniejszy pułk, przeto tam głównie podążyła inteligencja. Wcielono doń także 101 ochotników z odrębnego werbunku, prowadzonego przez PPS, który w sumie dał 1643 żołnierzy. 205 pułk im. Jana Kilińskiego został pod protekcją Cechu Szewców, który okazał szczególny zapał bojowy oraz wielką ofiarność w zbiorce darów dla swoich żołnierzyków.

Artur Śliwiński zgłosił się do płk. Adama Koca, organizatora pułku 201, lecz ten odesłał go prosto do Piłsudskiego. Naczelnik Państwa pochwalił jego determinację i kazał dalej kierować magistratem, bo żołnierz musi czuć, że za nim jest dobrze zorganizowane zaplecze. Jako ostatnią rezerwę Śliwiński zaczął tworzyć bataliony ochotnicze Rady Obrony Stolicy, zwoływane w trybie pospolitego ruszenia. Zgłosiło się ponad trzy tysiące cywilów, których ćwiczone na Polu Mokotowskim — rzemieślników, kramikarzy, kelnerów, literatów, woźnych, urzędników — ale na front nie zdążyli.

Zdążył natomiast poseł Thugutt.

„Stało się, co się stać musiało przy moim usposobieniu: skoro namawiam innych, trzeba dać przykład samemu. Poszedłem do biura werbunkowego 201 pułku ochotniczego i zgłosiłem się do płk. Koca jako ochotnik. Propozycję szarzy oficerskiej uchyliłem, zredukowałoby mnie to bowiem znowu do pobytu w sztabie. Klub [poselski „Wyzwolenia”], któremu tegoż dnia zakomunikowałem swoją decyzję, przyjął ją bardzo różnorodnymi poglądami: inteligenci usiłowali mnie przekonać, że i w Warszawie znajdzie się dla mnie dużo ważnej roboty, chłopci przeważnie milczeli, będąc zdania, że powinni iść wszyscy, ale z poboru. Zaczynałem się już gniewać, póki dyskusji nie przecięło oświadczenie Błażeja Stolarskiego, iż skoro ob. Thugutt chce iść do szeregu, nikt nie ma prawa mu tego odradzać. Razem ze mną bez chwili wahania poszedł Gieniek Śmiarowski (wybitny obrońca polityczny), a ogółem w różnych formacjach zgłosiło się z lewicy do szeregów

sześciu b. ministrów i wiceministrów. Po kilku dniach byliśmy już w kadrze w Jabłonie, gdzie zastaliśmy sporo znajomych (Hołówkę, Giełżyńskiego, Siwika)”.

Władysław Sikorski, w książce „Nad Wisłą i Wkrą”, wśród swych żołnierzy wymieni posłów Thugutta, ks. Starkiewicza, Chacińskiego i Śmiarowskiego oraz redaktorów Straszewicza, Hołówkę i Giełżyńskiego. Nie jest to informacja ścisła. 201 pułk, po trzech dniach (!) szkolenia bojowego rzucony na linię Narwi, został tam zdziesiątkowany, zanim trafił pod rozkazy Sikorskiego; regenerował się w Modlinie, wchłaniając nowych ochotników. Ciężkie straty poniósł też pod Nowogrodem i Ostrołęką pułk 205, drugi główny trzon dywizji ochotniczej, który potem szczególnie wyróżnił się w walkach ofensywnych nad Wkrą. W jego składzie walczył, jako specjalista od broni maszynowej, por. Adam Ciołkosz — czołowy przywódca PPS, a także popularny piosenkarz Marian Rentgen.

Eugeniusz Śmiarowski (w dwa lata później kandydat „Wyzwolenia” na marszałka Sejmu) pomaszzerował na front ciężko chory na wątrobę. Ból uśmierzał łykaniem opium i nie dał się wypędzić na wóz sanitarny. Thugutt był w lepszej formie, choć zbliżał się do pięćdziesiątki; ale już w pierwszym boju pod Sużaniem kula zgruchotała mu prawą rękę. Identyczną ranę odniósł Tadeusz Hołówko. A były to cenne ręce! Oni dwaj, Hołówko i Thugutt, byli autorami sławnego Manifestu Tymczasowego Rządu Ludowego, ogłoszonego 7 listopada 1918 roku w Lublinie — najbardziej demokratycznego dokumentu ustrojowego, jaki kiedykolwiek w Polsce powstał i obowiązywał, chociaż tylko przez parę dni.

Prawie wszyscy wspomniani ochotnicy 9 kompanii 201 pułku byli członkami masonerii. Również ta pokojowa organizacja wezwała „braci” do obrony Ojczyzny. Jej luminarz, Stanisław Pattek (dopiero co minister spraw zagranicznych) walczył przeciw Budionnemu w 1 pułku szwoleżerów.

Mój ojciec, Witold, musiał się w mundurze prezentować komicznie. Był łysy i nosił binokle, jak przystało redaktorowi. Był człowiekiem niesłychanie spokojnego usposobienia oraz czuł wstręt do wojskowego drylu; nawet w dwadzieścia lat później, gdy redagował organ Armii Krajowej *Wiadomości Polskie*, miał osobowość stuprocentowego cywila. Przedtem popierał Legiony, lecz do nich nie wstąpił; kiedy Irena Kosmowska, wybitna działaczka ludowa, czyniła mu z tego powodu wymówki, odpowiedział:

— Może bym to zrobił, gdybym nie spędził pięciu lat we Francji, nie miał Francuzki za żonę i nie ukochał Francji jak drugiej ojczyzny. Nie chcę narażać się na ewentualność znalezienia się pewnego dnia po drugiej stronie okopów.

W roku 1920 tej rozterki nie przeżywał. Zostawił redaktorskie biurko i poszedł do 201 pułku. Z jego rzadkich na ten temat opowieści:

— Na strzelnicy byłem raz, z trzema nabojami ćwiczebnymi. I od razu w pociąg. Podwieszono nas gdzieś w okolicy Łap. Tam bolszewicy dali nam łupnia i rozpoczął się straszny, niekończący się marsz odwrotowy. Kurz i piekące buty. I rozpacz, że Polska, o którą się tyle lat dobijaliśmy, może tylko na kilka chwil stała się niepodległą. Nad jakąś małą rzeczką dowódca kompanii rozkazał mi zostać z sekcją i bronić mostu. Miałem dziesięciu ludzi, samych młodzików. Zapadliśmy w stary okop. Skwar i pustka. Jedenastu całkiem samotnych. Nawet echa armat nie było słychać. Naprzeciw wróg, którego jeszcze nie widzieliśmy z bliska, trochę pod Surazem strzelaliśmy na oślep. Co innego taki ostrzał na odległość, Panu Bogu w okno, a co innego zobaczyć żywych ludzi, których trzeba zabijać. Ci moi żołnierze mieli takie jak i ja pojęcie o wojaczce. Mija godzina, druga godzina. Przerazająca cisza. I nagle całkiem bliski tętent koni. Wychyliłem się z okopu i poznałem od razu: kozacy. Tych się dobrze znało. Było ich czterech czy pięciu, patrol. Dech mi zapało: już strzelać, czy poczekać aż wjadą na most? Oglądałem się — i struchlałem. Moi leżeli jak tknięci paralizem, a jeden rzucił karabin i chyłkiem, zgięty w pół — uciekał. Za nim wybiegł drugi. Paru innych zerkało, szepotali między sobą. Wyskoczył z okopu jeszcze jeden. I wtedy...

Zawahał się. Mocował się z sobą.

— I wtedy strzeliłem. I trafiłem.

— Jeden wrócił, ale ten pierwszy już był daleko. Zostało nas dziewięciu. Krzyknąłem: strzelać, kurwa mać! — i zrobiło mi się głupio, jakbym przekroczył barierę, której nie wolno przekraczać. Ale to pomogło, otworzyli ogień. Kozacy spięli konie, jeden spadł. I znowu straszna cisza, nic, nic nie wiadomo. Dopiero po dwóch, może trzech godzinach przygalopował łącznik i kazał się wycofywać. Dogoniliśmy pułk na nocnym biwaku. Myśl, że zabiłem swojego, nie dolegała mi, rzecz dziwna, póki byłem na froncie. To jedno czułem jako pewnik: gdybym nie strzelił, uciekliby wszyscy, ja też. Panika to najstraszniejszy wróg żołnierza. Najwięcej naszych ginęło, gdy uciekali w popłochu,

kozacy ich bezkarnie ścinali szablami. Ten jeden strzał zdecydował nie tylko o tym, że ów most został przez kilka godzin w naszych rękach, co pewnie nie miało znaczenia, ale i o tym, że dziewięciu wróciło do pułku.

— W parę dni później przyszedł rozkaz, żeby nocą odbić jakąś wieś. Nasza kompania miała najwyżej pół setki ludzi, druga jeszcze mniej. Kazano nam nasadzić bagnety i biegiem, bez wystrzału. Wypadli z chałup jacyś oszaleli ludzie, a my, też oszaleli, kłuliśmy ich bagnetami. Zabić człowieka kulą to też zupełnie co innego, niż nadziać na bagnet, ale to się odczuwa później, podczas walki jest tylko obłęd i przeraźliwy krzyk. Jak to się stało, że ja, słabeusz, zdążyłem pchnąć jednego, zanim on to zrobił — nie wiem. Tego momentu nie pamiętam. Całe szczęście, że to była noc, nie widziałem twarzy. Nie wiem, czy w świetle dnia bym się nie zawahał o ten ułamek sekundy, który w takich chwilach decyduje. Dopiero rano, gdy na bagnecie, otartym o trawę, zobaczyłem resztki krwi — rzygałem.

— Jeszcze tego samego dnia, może następnego, podczas pospiesznego marszu odwrotowego dostałem w nogę przypadkową kulą. Położyłem się w rowie i wiedziałem, że to koniec. Bolszewicy dobijali. W kurzu odchodzili ostatni żołnierze mej kompanii i znów było cicho i skwarnie, jak na tym posterunku przy moście. Nie pamiętam, żeby mnie rana bolała, byłem w szoku. Patrzyłem, jakoś tak bez zainteresowania, na sączącą się i krzepnącą krew. Ostatnie minuty życia. Nagle od rosyjskiej strony zobaczyłem dwukonkę, pędzącą bryczkę... Myślałem, że to już oni. Ale nie — to uciekało paru zapóźnionych oficerów. Zatrzymali się. Zobaczyli chyba, że rana lekka, ale wahali się. I wtedy jeden powiedział: on binokle ma, to inteligent, trzeba zabrać. Wyskoczyli, wrzucili mnie na kozioł, zemdlałem. Ocknąłem się na noszach, w punkcie opatrunkowym. Nie wiem, kim byli ci wybawcy. I to już był koniec mojej wojny. Sikorski, z którym się potem blisko przyjaźniłem, bezpodstawnie zaliczył mnie do swoich podkomendnych, bo kiedy dywizja ochotnicza przeszła pod jego rozkazy — ja kulałem po szpitalu Ujazdowskim i politykowałem z Thuguttem.

W tym szpitalu parokrotnie ogłaszano alarm ewakuacyjny.

Słychać było kanonadę artyleryjską, z balkonów wyższych domów Warszawiacy obserwowali dymy nad Wisłą.

19 lipca w Piotrogradzie Grigori Zinowiew otworzył obrady II Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej. Nastrój był wyśmienity, bo zwycięstwo nad Polską nie ulegało już wątpliwości.

Zinowiew zapowiedział, że w ciągu dwóch-trzech lat cała Europa stanie się państwem sowieckim, co przyjęto burzliwą owacją.

24 lipca urząd premiera objął Wincenty Witos, mając za wicepremiera Ignacego Daszyńskiego. W ręce przywódców chłopów i robotników Rada Obrony Państwa oddawała ster rządu, ażeby do czynu zbrojnego poderwali masy narodu.

Czy poderwali je istotnie?

Sugerują to niemal wszyscy historycy, o różnych politycznych afiliacjach. Andrzej Garlicki („U źródeł obozu belwederckiego”) pisze o konsolidacji społeczeństwa, odkąd wojska sowieckie weszły na etniczne ziemie Polski, a władzę objął Witos. Autorzy bliscy ruchowi ludowemu główną zasługę w zwycięstwie nad sowiecką inwazją przypisują Witosowi. Autorzy zbliżeni do PPS uwypuklają rolę Daszyńskiego. „Partia we wszystkich formach popierała wysiłki wojenne” — stwierdza Jerzy Holzer. Także Jan Tomicki podkreśla zasługi obronne PPS: „Wielu jej członków ochotniczo znalazło się na linii frontu”. Paweł Zaremba konstatuje: „Widmo bolszewizmu wzmagą determinację całego społeczeństwa”.

Wygląda więc na to, że naród na zew zagrożonej Ojczyzny jak jeden mąż chwycił za broń i pospolite ruszenie pogromiło Tuchaczewskiego — nastąpił Cud nad Wisłą.

Jest to piękny mit. Piękny, ludowy mit, cierpliwie budowany od dziesięcioleci. Aż żal się z nim rozstawać. Niestety, dokumenty, których jest obfitość, mówią, iż napływ chłopów i robotników w szeregi Armii Ochotniczej był znikomy, nawet w momencie szczytowego zagrożenia niepodległości. Wcale chłop polski na apel Witosy nie wyszedł do boju, wcale nie pospieszył tłumnie robotnik-pepesowiec, wbrew niepodległościowej tradycji swej partii.

Wojnę wygrała armia regularna, w której — rzecz jasna — poborowi pochodzili głównie z warstw ludowych. W decydującej fazie, podczas Bitwy Warszawskiej, przeredzone dywizje frontowe zostały poważnie zasilone przez kompanie i bataliony zapasowe, zgromadzone w ramach Armii Ochotniczej. Sformowała ona również jedną dywizję ochotniczą, która dobrze się biła. Ale na ochotnika zgłaszała się przede wszystkim młodzież szkolna oraz inteligencja i rzemieślnicy. Istnieją drobiazgowo spisy, tabele, sprawozdania, które pokazują obraz o wiele mniej różowy, niż zwykło się malować. Patriotyzm Polaków nie sięgał jeszcze głęboko w lud. Masowo stawiły się warstwy uświadomione narodowo. Historyk Marceli Handelsman, także rekrut-ochotnik, napisał: „Jako inteligencja, która przez długie lata

jedyna w Polsce głosiła hasło niepodległości własnego państwa, mieliśmy obowiązek przypiecztowania krwią tej prawdy, mieliśmy obowiązek bezpośredniej walki za ojczyznę”.

Zaciąg do Armii Ochotniczej dał ogółem 105.714 zgłoszeń. Z tego nieco ponad połowę rzeczywiście użyto na froncie, zasilać krańcowo wyniszczone jednostki piechoty (po wielotygodniowym odwróceniu niektóre kompanie liczyły dziesięciu, a dywizje po kilkuset zdolnych do walki żołnierzy). Zastrzyk świeżych, choć słabo wyszkolonych sił pozwolił pod Warszawą osiągnąć liczebną przewagę nad armią Tuchaczewskiego, która nie dostawała posiłków i była równie wymęczona, jak jednostki polskie.

Armia Ochotnicza wydatnie dopomogła w zwycięstwie.

Nie było to jednak zasługą ani Witosa, ani Daszyńskiego.

Ze 105.714 ochotników — dokładnie 49 % stawiło się do biur werbunkowych w pierwszych dwóch tygodniach rekrutacji, to jest między 10 a 24 lipca, kiedy istniał prawicowy rząd Władysława Grabskiego. Następnie — mimo bezpośredniego już zagrożenia Warszawy — liczba zgłoszeń wyraźnie spada. W dwóch pierwszych tygodniach rządów Witosa do Armii Ochotniczej wstępuje tylko 22,7 % ogólnej liczby ochotników, a reszta przypada na następne dwa miesiące.

Wymowny był też przebieg werbunku w przekroju terytorialnym. W skali kraju, na każdych 1.000 mężczyzn, podlegających obowiązkowi służby wojskowej, zgłosiło się na ochotnika 65. W poszczególnych okręgach wojskowych były wielkie odchylenia od tego wskaźnika. Zdecydowanie wyróżnił się „zawsze wierny” Lwów, dając 240 ochotników na tysiąc mężczyzn poborowych narodowości polskiej. Na drugim miejscu, co zaskakujące, biorąc pod uwagę okoliczności historyczne, uplasował się okręg pomorski: 176 ochotników na tysiąc. Wieloletnia działalność wychowawcza Towarzystwa Pomocy Naukowej, w duchu ofiarności dla ojczyzny, przyniosła wśród niemczonych Pomorzan zadziwiające efekty. Trzecia była Warszawa, bezpośrednio zagrożona: 99 ochotników na tysiąc, a tuż za nią Poznań: 95. Najgorzej wypadły okręgi typowo rolnicze. W kieleckim stawiło się 30 ochotników na tysiąc zobowiązanych do służby wojskowej, w lubelskim tylko 19 (ale Lubelszczyzna została w większej części zajęta przez Armię Czerwoną zanim ogłoszono rekrutację). Żle wypadł robotniczo-chłopski okręg łódzki — 45 ochotników na tysiąc, nieco lepiej krakowski — 55.

Nie ma sumarycznych danych o składzie socjalnym Armii Ochotniczej, istnieją natomiast niesłychanie szczegółowe sprawo-

zdania ze wszystkich niemal powiatów i wielu miast. Szczegółowe aż do absurdu. Wiadomo dzięki nim, że ludność Nieszawy, wśród innych darów, przekazała armii... 1 kawałek mydła; że w Żyrardowie złożono na fundusz obrony 103 obrączki złote, a w Łowiczu tylko jedną; że w Brzezinach zebrano dla wojska 148 jaj, 7 kur i 4 ścierki.

Więcej do wiedzy o społeczeństwie polskim roku 1920 wnoszą dane o liczbie ochotników, oraz — choć niekompletne — o ich pochodzeniu.

Sochaczew: 34 ochotników, w tym 6 ze służby folwarcznej i 6 chłopów.

Włocławek: 1.900 ochotników, ponad połowa — z inteligencji, do której zaliczono młodzież szkół średnich.

Żyrardów: 92 ochotników, głównie z Narodowej Partii Robotniczej.

Łódź: PPS uchyliła się od uczestnictwa w ogólnokrajowej akcji na rzecz obrony państwa, na mocy decyzji CKW PPS z 18 lipca, gdyż partia postanowiła samodzielnie prowadzić werbunek (co przyniosło niewielkie efekty). Rada Miejska, w której przewagę miały stronnictwa lewicy, nie uchwaliła podatku na obronę państwa, a tylko na związane z wojną potrzeby miasta.

Koło: 400 ochotników, w większości ziemianie, którzy wstąpili do 203 pułku ułanów oraz inteligencja miejska, trochę robotników, w bardzo małej liczbie włościanie.

Ciechanów wystawił szwadron jazdy.

Kutno: 1.000 osób, głównie młodzież gimnazjalna, ziemianie, inteligencja, najmniej włościan.

Płock: szwadron szwoleżerów z ziemiaństwa — każdy z końmi i dwoma ludźmi pocztu, jak w średniowieczu, ponadto 2 baony dla 206 pułku piechoty, głównie spośród młodzieży i inteligencji. Werbunek został przerwany nagle, gdyż do miasta wtargnęła konnica Gaj-chana, zaś ewakuację dobytku z majątków przeprowadzono częściowo „wskutek biernego lub opozycyjnego stanowiska służby folwarcznej”. Zastanawiająco brzmi taki fragment sprawozdania: „Wśród ochrypłych krzyków hurra! galopowała bolszewicka kawaleria; pędzą kozacy porządnie ubrani, a obok różnego rodzaju obdartusy w siermięgach lub marynarkach, w kapeluszach cywilnych, maciejówkach, naszych czapkach wojskowych”. Dezerterzy? Zdradcy? Miasto, *nota bene*, po kilkunastu godzinach zostało odbite przez Podhalańczyków — ale splądrowane. „W szpitalu wojskowym ranni wymordowani, siostry w bestialski sposób pokaleczone”.

Rawa Mazowiecka: 300 ochotników, w trzech czwartych z inteligencji i młodzieży.

Sierpc: ponad 1.000 ochotników, 70 % z inteligencji.

Skierniewice: ochotników kierowano wprost do Warszawy, brak danych. Włóścianie prócz kilku wypadków nie zgłosili się wcale.

Kozienice: 225 ochotników, w tym 99 młodzieży, 28 włościan, 30 robotników, 68 ziemian, urzędników i nauczycieli. „Ludność powiatu w olbrzymiej większości wskutek małego uświadczenia była obojętna na sprawy narodowe” — stwierdzono w raporcie. (Mieczysław Niedziałkowski wspominał, że w 1918 roku zamożny chłop spod Kozienic pokazywał mu przechowywaną starannie fotografię Lenina, nazywając go „człowiekiem, co ma ostatecznie wyzwolić chłopą polskiego”).

Miechów: ludność zawiodła oczekiwania, gdyż „była szkodliwa agitacja wpływowych osób”.

Opoczno: początkowo społeczeństwo było bierne, ale w chwili stanowej dało około 200 ochotników.

Radom: wstępowano do armii ze wszystkich warstw, nie wyłączając włościan.

Sandomierz: werbunek niski, zaledwie 400 ochotników, prawie wyłącznie z inteligencji i robotników. Ludność włościańska zachowywała się opornie. Na wsi często padało zdanie: „Zaprasza się na wesele, a do wojska trzeba nakazywać”. Zrezygnowano zatem z nacisku na zaciąg ochotniczy.

Włoszczowa: 200 ochotników, w 70 % z inteligencji, ludność wiejska obojętna.

Piotrków: w 17 gminach zorganizowano rezerwową „Straż Obywatelską”, która ćwiczyła w grupach po 50-200 ludzi.

Sieradz: włościaństwo nie brało prawie udziału w akcji ochotniczej, stawiło się 600 osób z inteligencji i młodzieży szkolnej.

Turek: wstąpiło 550 ludzi, ale do lokalnej „Straży Obywatelskiej”.

Wieluń: 476 ochotników, w tym 60 % inteligencji.

Będzin: akcję werbunkową prowadziły NPR, PPS, „Sokół”. Dała ona 2.502 ochotników, w połowie z inteligencji, w jednej czwartej z robotników, tyle samo z warstw mieszczańskich.

Olkusz: robotnicy okolicznych kopalń byli obojętni.

Częstochowa: werbunek przez NPR, PPS, „Wyzwolenie”, stawiło się 2.580 osób, w tym 10 % ochotników, w tym 176 z inteligencji.

Jędrzejów: 256 ochotników, w tym 176 z inteligencji.

Kielce: społeczeństwo nie zgłosiło akcesu do OKOP-u i działało odrębnie, lecz akcji werbunkowej nie prowadzono.

Nowy Targ: 409 ochotników, wśród nich 200 młodzieży i 59 górali. Górale mówili, że pójdą do wojska, ale z poboru, byle szli wszyscy i bez reklamacji.

Tarnobrzeg: „Specyficzne warunki, a mianowicie agitacja posła Dąbala i Okonia sprawiły, że wyniki pracy nie wydały tak obfitych plonów, jak gdzie indziej”. Zgłosiło się kilkudziesięciu ludzi, przeważnie z Rozwadowa i Radomyśla.

Wadowice: 226 ochotników, nie licząc młodzieży, która zaciągała się w Krakowie.

Zakopane: 100 ochotników i 35 ochotniczek!

Jaśło: 250 ludzi, głównie młodzież szkolna i rzemieślnicza.

Krosno: 426 ochotników: „Podniosłego patriotycznego nastroju ludności nie mięszał nigdzie żaden zgrzyt”.

Wieliczka: 200 ochotników, wśród nich 48 górników i 15 rolników.

Żywiec: wraz z Górnoślązakami przeszło 1.000 ochotników.

Działdowo: tylko 12 ochotników.

Gniew: 150 ochotników, przeważnie ze sfer włościańskich (!) i robotniczych.

Puck: 159 ochotników, szczególnie dużo z parafii Żarnowiec.

Tczew: 535 ochotników z miasta i powiatu, pochodzenie nie wiadome.

Siedlce: 600 ochotników do piechoty, 150 do kawalerii, w tym 90 % uczniów i inteligencji.

Łomża: tuż przed wkroczeniem bolszewików ewakuowano 360 ochotników, głównie z inteligencji i półinteligencji.

Radzyń: 400 ochotników, w tym połowa włościan.

Hrubieszów: zgłosiło się 120 ochotników, głównie z inteligencji. Reszta jej ewakuowała się przed wkroczeniem Rosjan, którzy sześciokrotnie zajmowali miasto. Rusini i Żydzi przyjęli bolszewików z radością, w ich rządach masowo wzięła udział żydowska młodzież, która później — w liczbie kilkuset — wyjechała z Armią Czerwoną. „Miejscowy komunizm, ściślej bandytyzm, podniósł głowę” — stwierdza raport powiatowego OKOP-u.

Za plecami Armii Czerwonej, w Białymstoku, zainstalował się Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, gotując się do wcielenia okrojonej Polski (bez kresów wschodnich i zachodnich) w skład Związku Sowieckiego; komunistyczny fanatyzm doprowadził tych ludzi do narodowego odszczepieństwa. Nie byli oni jednak całkowicie odosobnieni, pozbawieni stronników. Groza

bolszewizmu, nawet wieści o walce z religią i o powszechnej nędzy pod rządami „komisarzy” oburzały nie wszystkich bynajmniej chłopów i robotników — wbrew pogładowi Pawła Zaremby, wyłożonemu w „Historii Dwudziestolecia”. Wpół ruski, wpół żydowski Hrubieszów był przypadkiem jaskrawym, lecz nie wyjątkowym, skoro nawet pod rdzeniem polskim Płockiem czterwonarმიეყყყ znajdownali sojqsznyk6w, skoro ch6pi spod Kozienic i g6rniczy z Olkusza okazywali ca6kowi6 obojqtno66, w Tarnobrzegu 6arzy6o si6 palenisko komunistycznej „republiki”, a nawet 66dz nie popisa6a si6 w obronie kraju, ani Kielce. W Lublinie Jan Hempel, jeszcze niedawno mistyczny patriota i humanista, og6asza6 w *Sp66dzielcy* artyku6y jawnie prosowieckie, pi6tnuj6ce obronny wysi6tek tych, co ulegaj6 nastrojom „wrzaskliwie podniecanyq przez radykalizuj6cy militarystyk polski”. Nie rozs6dzajmy, czy by6o to po prostu zaprza6stwo, czy naiwne uleganie mirazowi 6wiatowej rewolucji proletariackiej. Nale6y pami6ta6, 6e w6wczas, w 1920 roku, nikt jeszcze nie m6g6 przeczuci6, czym b6dzie stalinizm i jak zwyrodnia6e formy przybierze idea66 socjalistyczny. W niekt6rych przypadkach, na przyk6ad Feliksa Kona, a mo6e te6 Juliana Marchlewskiego, mo6na domniemywa6 raczej tragicznej pomy6ki, ni6 ha6bi6cej zdrady narodowej. Nie zmienia to moralnej kwalifikacji faktu, 6e stali po stronie wroga, gdy Polacy walczyli o byt niepodleg6y i 6ycie w godno6ci. Zrozumie6 — to nie znaczy wybaczyc6.

Co innego jednak, gdy mowa o ludziach, kt6rych 6wiadomo66 by6a jeszcze w u6pieniu. Ch6pskie masy wci66 by6y dalekie od unarodowienia. Praca kilku setek o6wiatowc6w i spo6ecznyk6w, zapocz6tkowana przed 6wier6wieczem, da6a dopiero nask6rkowe efekty. Wy6aczaj6c kilka wiejskich region6w, jak okolice Krakowa, Radomia, Na66czowa oraz Wielkopolsk6 i Kujawy — w wie6niaczej mentalno6ci nadal polsko66 kojarzy6a si6 ze szlachecko6ci6. R66nica mi6dzy carskim 6andarmem a granatowym policjantem te6 nie by6a oczywista; zachowywali si6 podobnie. Dzia66a6 stereotyp Polaka-katolika, ale ju6 autorytet wiejskiego plebana by6 za6u6enie niski. To6 on najgorliwiej k6ania6 si6 zaborczej w6adzy! A ci6gn66 z ch6pa, chocia6 z ambony tak pi6knie gada6 o mi66o6ci bli6niego! Wyj6awszy zab6r pruski, wie6 by6a na og66 antyklerykalna, co dzi6 z trudem mo6na sobie wyobra6ic. Wiek niewoli i g66boka ciemnota zatar6y „kosynierskiego ducha”, kt6ry zreszt6 przejawil si6 ongi6 w nielicznych tylko wsiach. „Z takich jak my by6 G6owacki” — pi6knie brzmi6o na scenie „Wesela”, wizjonerskiego marzenia poety, lecz s6abo korespondowa6o z rzeczywisto6ci6 wsi. Co za6 do s6u6by folwarcznej, licznej wte-

dy, to w przytłaczającej większości dyszała nienawiścią do panów, narodowo była obojętna, stanowiła głębę dla sowietyzmu.

Paromilionowa, przeważnie małomiasteczkowa ludność żydowska wyglądała bolszewików z irracjonalnym utęsknieniem, z jakąś nieokreśloną nadzieją, paradoksalnie żywioną nawet przez kręgi syjonistyczne. Znikomy był procent zasymilowanej inteligencji żydowskiej; wśród niej, obok żarliwych patriotów, byli najzdolniejsi agitatorzy KPRP.

Pośród robotników sytuacja polityczna była bardziej złożona; skądinąd nie stanowili oni jeszcze liczebnej potęgi. Większość była pod wpływami PPS, lecz niekoniecznie jej nurtu konsekwentnie patriotycznego. Odłamywanie się frakcji lewicujących, zafascynowanych doktrynerską żarliwością komunistów, było w dziejach PPS częste. Nie mało lewicowców z sympatią, aczkolwiek topniejącą, zerkało na zrewoltowaną Rosję. Niektórzy na terenach okupowanych współpracowali z Armią Czerwoną, nawet wstępowali w jej szeregi; po wojnie partyjny sąd PPS musiał rozpatrzyć sporo takich spraw. Charakterystyczne, że w werbunku do Armii Ochotniczej stosunkowo dużą rolę odegrała Narodowa Partia Robotnicza, ideowo spokrewniona z endecją, chociaż skupiała znikomą mniejszość swej klasy. Na przeciwległym skrzydle KPRP była marginesem, lecz w niektórych ośrodkach robotniczych miała pozycję dominującą. Najgorliwszą jej klientelę stanowił półproletariat z drobnych zakładów, szewcy i piekarze, żydowska czeladź rzemieślnicza i podmiejscy lumpowie, a także okresowi bezrobotni — jak murarze. W wielkich fabrykach komuniści byli nieliczni, decydowała PPS.

Byli nieliczni, ale występowali z tupetem. 6 sierpnia 1920 roku warszawska Rada Niepodległościowo-Socjalistyczna Delegatów Robotniczych (w większości pepesowska) omawiała sprawy obrony stolicy. Zabrał też głos komunista: przeczytał odezwę, grożącą wszystkim partiom odwetem, jeśli nie podporządkują się komunistom. To radykalnie zmieniło i ubojowiło nastroje:

„Jeszcze władzy nie mają, a już grożą terrorem — oburzyli się robotnicy — to co będzie, gdy przyjdą?”

Trudno określić syntetycznie, jak się przedstawiało morale podstawowej masy żołnierskiej w regularnej armii. Obok przykładów heroizmu — były przypadki haniebnej ucieczki na sam widok kozackich pik. Na ogół żołnierz polski spisywał się świetnie w ataku, fatalnie — w obronie. Kluczowy punkt w systemie obronnym Warszawy, Radzymin, zdobyły szturmem słabsze od polskich siły sowieckie — i to pomimo zdecydowanej przewagi polskiej artylerii oraz rozbudowanych umocnień polowych.

Generał Rozwadowski nakazał rozbroić i przeformować w karne kompanie robocze oddziały 11 dywizji, które sromotnie opuściły pole walki. Z drugiej strony, 5 armia generała Sikorskiego, licząca 27 tysięcy ludzi, 14 sierpnia skutecznie zaatakowała i zepchnęła do defensywy trzy armie sowieckie (3, 15 i 4), których skład przekraczał 70 tysięcy, z czego przynajmniej 50 tysięcy było skoncentrowanych przeciw atakującym Polakom. Postawa wojsk polskich była typowa dla sił improwizowanych, słabo wyszkolonych, bez bojowej rutyny. Dlatego dowództwo bardzo dbało o aparat polityczny. Do każdego batalionu kierowano oficera oświatowego, zaś ochotników z inteligencji i studentów pchano bardzo często wprost z biur werbunkowych do jednostek frontowych, ażeby zasilić je żołnierzami o niezawodnym patriotyzmie — choćby bez wyszkolenia bojowego. Do rozbudowanego systemu wychowania armii włączono najprzedniejsze nazwiska kulturalnej elity. Szefem propagandy sztabu Armii Ochotniczej był sam Stefan Żeromski, przy nim działali — w sekcji literatury — Kornel Makuszyński i Włodzimierz Perzyński, w sekcji publicystyki — Grzymała-Siedlecki, a w sztabie krakowskim — Włodzimierz Tetmajer i prof. Stanisław Kutrzeba. Żołnierski teatr organizowali Arnold Szyfman i Ludwik Solski. Stworzono też patronat społeczny nad każdą bez wyjątku jednostką. Opiekunowie pułków i batalionów przywozili na front nie tylko patriotyczną literaturę, ale też onuce, czekoladę, herbatę, agrafki (do spinania podartych mundurów) i w ogóle wszystko, co w porywie ofiarności darowali obywatele. Ta opieka była bardzo przemyślnym chwytem psychotechnicznym, wzmacniała poczucie więzi z krajem. Wojska Tuchaczewskiego, operujące o setki kilometrów od zaplecza, mogły liczyć tylko na pobudzający efekt rewolucyjnej propagandy, na wiarę w światową rewolucję i w żądzę pomsty nad polskimi buntownikami-jaśniepanami.

W formowaniu Armii Ochotniczej bardzo duży udział miało drobne i średnie mieszczaństwo, ziemianie, a zwłaszcza inteligencja; udział o wiele większy, aniżeli wynosiła proporcja tych środowisk w składzie społeczeństwa. Bezspornie jednak największą chwałą w całej kampanii 1920 roku, a szczególnie w Bitwie o Warszawę, okryła się polska młodzież: wyrostki ze starszych klas gimnazjalnych, harcerze, studenci, terminatorzy z rzemiosła. Podkreślają to wszystkie relacje pamiętnikarskie, raporty wojskowe, sprawozdania terenowych OKOP-ów. W przełomowym momencie kampanii uzupełnienia z Armii Ochotniczej przekraczały jedną trzecią wojsk zaangażowanych na froncie.

205 pułk przed wymarszem na front był w większości złożony

z uczniów, w tym z ponad sześciuset harcerzy z Warszawy i Polesia. Ks. Święcicki, także harcerz, sam przyprowadził stu pięćdziesięciu. Już w pierwszym dniu walk pod Nowogrodem prawie wszyscy harcerze z III batalionu polegli. Młodzicy, z których wielu dopiero we frontowym eszelonie kolejowym uczyło się ładowania broni, nie wytrzymali psychicznie szarż kozackich, poszli w rozsypkę — stąd taka hekatomba. Resztki uratował podciągnięty z Ostrołęki II batalion, złożony głównie z młodzieży rzemieślniczej, który uderzywszy w marszu sparaliżował i opóźnił ruch całego korpusu kawalerii Gaj-chana.

Ogromne straty wśród siedemnastolatków spowodowały, że dowódcy otrzymali rozkaz maksymalnie oszczędnego operowania jednostkami, w których było ich najwięcej. Z 201 pułku przed wyjazdem na front odesłano do Warszawy, mimo strasznego lamentu, chmarę ochotników „mniejszych od swego karabinu”. Przed uderzeniem nad Wkrą 205 pułk dostał jako wzmocnienie dwie kompanie wileńskich harcerzy, ale użycie ich — wedle rozkazu dywizyjnego — mogło nastąpić tylko w ostateczności. Kompanię harcerzy z Siedlec wcielono do pułków 201 i 205, a z pozostałych uczniów czterech starszych klas gimnazjum im. Żółkiewskiego (zgłosili się wszyscy) uformowano — zaledwie dwukompanijny — pułk 222, który od razu odesłano na Śląsk Cieszyński do służby wartowniczej.

Józef Mieszkowski, ochotnik tego pułku, a potem dziennikarz *Robotnika* opisał, jak na biwaku pod Dęblinem odszukała go matka, by udzielić mu tradycyjnego błogosławieństwa. Wołała:

„Pokażcie mi drugi tak naród, gdzie całe pułki, ba, cała armia składa się wyłącznie z ochotników — uczniów czterech wyższych klas gimnazjalnych! Wszystko to dzieci prawie. Czyż kraj, czy naród z taką młodzieżą można pokonać? Można zwyciężyć? A tak było przecież zawsze, w każdym pokoleniu! Tak będzie i w przyszłości! O Polskę, o jej naród i kulturę walczyły zawsze tylko dzieci i walczyć nadal będą wciąż dzieci! Oby te dzieci także zawsze zwyciężały!”

Tania matczyzna egzaltacja? Łatwy patos grottgerowski? Jeśli nawet — to patos szczery, a egzaltacja usprawiedliwiona. Oby zawsze jak najwięcej było takich Polek, istotnie godnych pomnika — a jak najmniej matek, apelujących do synów o zdrowy rozsądek.

Tak Polska zbierała swe materialne i moralne siły do bitwy, która miała rozstrzygnąć o być albo nie być Polaków — a może

i innych narodów Europy. Do bitwy nazwanej „Cudem nad Wisłą” przez propagandę endecką, ażeby na rzecz Pana Boga (i poległego w boju ks. Skorupki) umniejszyć zasługi Piłsudskiego.

Prof. Józef Buszko, autor zakłamanej „Historii Polski”, skwitował zaś polskie zwycięstwo dosłownie jednym zdaniem: „15 sierpnia doszło do bitwy na przedpolach Warszawy, w wyniku której armia radziecka wyczerpana szybką ofensywą i forsownymi marszami poniosła porażkę i zaczęła się cofać”. Kropka, ani słowa więcej! (Parę linijek wyżej tenże autor — rzecz pikantna — szeroko i z aprobatą rozpisał się o białostockim Tymczasowym Komitecie Rewolucyjnym Polski, zaś PPS i „Wyzwolenie” zaliczył do „partii burżuazyjnych i ugodowych”!).

Endecy przypisują więc zwycięstwo w bitwie warszawskiej interwencji sił nadprzyrodzonych, a komuniści — znużeniu sowieckich wyzwolicieli...

Opis kampanii 1920 roku zasługuje na odrębną, obszerną książkę, lecz bitwie warszawskiej należy się tutaj przynajmniej krótka synteza. Była to doskonale pomyślana kontrofensywa przy użyciu wojsk, które w decydującym momencie i na głównym odcinku frontu osiągnęły przewagę masy i ognia, co w historii wojen zawsze było zasadniczym kanonem sztuki dowodzenia. Całą operacją kierował Piłsudski. To, że korzystał z rad szefa sztabu, gen. Rozwadowskiego, ani trochę nie umniejsza jego triumfu. O „cudzie” można mówić chyba tylko w tym sensie, że Pan Bóg pomieszał rozum paru dowódcom sowieckim. W chwili walnej bitwy większość 4 armii wraz z konnym korpusem Gaj-chana buszowała pod Płockiem, Włocławkiem i Brodnicą, mordując ziemian i grabiąc ich majątki — zamiast związać lewe skrzydło polskiego frontu, zaś sławna i groźna armia konna Budionnego — wbrew rozkazowi, żeby iść na Warszawę — atakowała na kierunku lwowskim, gdyż komisarz polityczny, Józef Stalin, pragnął za jednym zamachem opanować jeszcze Węgry i Rumunię. Tych sił zabrakło pod Warszawą, gdy armia polska konsekwentnie realizowała plan operacyjny. Składał się on z trzech elementów. Po pierwsze — z aktywnej obrony przedmościa Warszawy, atakowanego przez 16 armię sowiecką; tą środkową grupą dowodził gen. Józef Haller. Po drugie — z wyprzedzającego główne uderzenie ataku frontu północnego przeciwko trzem znacznie silniejszym armiom sowieckim, ażeby je związać walką i ułatwić ogólną kontrofensywę; tą operacją nad Wkrą dowodził gen. Władysław Sikorski. Po trzecie — znad Wieprza poszło rozstrzygające uderzenie doborowych sił polskich — pięciu dywizji — pod kierownictwem Piłsudskiego i bezpośrednim do-

wództwem generałów Rydza-Śmigłego i Skierskiego. Atak natrafił tylko na słabe osłonowe siły sowieckie, złamał je bez trudu i wyszedł na tyły 16 armii, która uległa zniszczeniu, wraz z większą częścią 3 armii. 4 armia z konnicą Gaj-chana, zagrożona odcięciem, przeszła granicę Prus Wschodnich, skąd Niemcy pozwolili jej ewakuować się ku Litwie, po częściowym rozbrojeniu. Z czterech armii sowieckich jedynie 15 zdołała się wycofać — pobita, ale nie rozbita — za Niemen, tworząc trzon zgrupowania sowieckich odwodów. W miesiąc po bitwie warszawskiej wojska polskie musiały zatem stoczyć następną walną bitwę nad Niemnem, na większą jeszcze skalę, niż nad Wisłą. Również ta bitwa, omal nieobecna w narodowej pamięci, zakończyła się pełnym zwycięstwem — i doprowadziła stronę sowiecką do poważnych rozmów pokojowych, odwołując od agitacyjnych propozycji, jakie wysuwała poprzednio. Trocki pisał: „Spędzono nasze wojska 400 kilometrów i więcej w tył... mamy tylko pobite dywizje, w które wlewamy coraz to większą masę surowego materiału ludzkiego. I choć Lenin upierał się jeszcze przy dalszym prowadzeniu wojny, czynił to już bez przekonania i bez wiary”.

Pod ciągłym naporem polskich wojsk zawarty został pokój ryski.

Było to pierwsze od wiktorii wiedeńskiej decydujące zwycięstwo polskiego oręża.

Dało ono to, że Polska nie stała się już w 1920 roku związkową republiką sowiecką i do dziś zachowała państwowość, chociaż nie całkiem suwerenną.

NA TERAZ I NA POJUTRZE

„Wokół nas świat przeżywa wstrząsy, zmierza w jakimś kierunku, może jest bliski kresu, ale my — od nas nie zależy nic, my nie możemy zaważyć na niczym”.

Takie zdanie napisał Kazimierz Brandys w „Nierzeczywistości”.

To słowa głęboko nieprawdziwe. Wyrażają gorycz, nic więcej. Nie zgasły przecież tęsknoty poprzednich generacji, które w męce niepewności odtwarzały Polskę. One nadal konstytuują myśli i pragnienia milionów.

Nadal zależy od nas wiele, choć nie wszystko.

Któż nie nucił: „Żeby Polska była Polską”.

Z prześmiewcami, którzy ironizują, że to masło maślane, którzy udają, iż nie rozumieją o co chodzi, dyskutować nie warto. Niech sobie słuszni pozytywiści słusznie zachwalają słuszną pracę organiczną. Bez wizji celu, który zawiera się w idei *w y z w o l e n i a c z ł o w i e k a* — zresztą socjalistycznej — praca organiczna jest krzątaniem mrowiska, a nie tworzeniem ludzkiej budowl. Słusznie w „Rodowodach niepokornych” uwypuklił to Cywiński: „Wartością nadrzędną — w porządku nie tyle logicznym, ile w uświadamianej sobie przez niepokornych hierarchii wartości — była wolność”. Leszek Kołakowski dopowiedział, że wolność jest nie tylko wartością najwyższą, ale i samocelową, nie wymagającą uzasadnienia w żadnych innych. Tak też myśleli ludzie pokolenia niepodległościowego. I to przekonanie jest nadal tak samo ważne. Rzecz jasna, wiele myśli owych ludzi — których spotkaliśmy na kartach tej książki — przywiędło, tym bardziej, że zapisywali je często w nieznośnej dziś stylistyce mło-

dopolskiej. Nadspodziewanie wiele jednak — zwłaszcza tych największych, jak Bolesław Limanowski, Józef Piłsudski, Edward Abramowski, Stefan Żeromski, Kazimierz Kelles-Krauz — zachowało świeżość, a niektóre brzmią jak spełnione proroctwa. W tamtych czasach autorytet wybitnych polityków, mędrców i pisarzy odciskał się mocniej, niż obecnie, na obywatelskich i moralnych postawach. Jeszcze nie istniało społeczeństwo masowe, którego świadomość formowana jest głównie potokiem informacji z pustego eteru. Nieporównanie większą rolę odgrywały wzory osobowe. Zresztą elita umysłowa była wtenczas wąziutka, wiadomo było na kogo się zapatrywać, większość ludzi coś znaczących znała się osobiście. Prywatna między nimi korespondencja (któż dzisiaj pisuje do przyjaciół listy, zawierające programy publiczne?) stanowi niewyczerpane źródło wiedzy o kształtowaniu się opinii i orientacji politycznych. Gdy ukazywała się nowa książka — czy to powieść, czy traktat filozoficzny, czy pamfletowa broszura — miesiącami roztrząsano jej idee. Być może czas toczył się wtedy wolniej i mniej nerwowo. Być może ludzie byli bardziej optymistyczni. Wierzyli, że mądrość zwycięża głupotę, dobro pokona zło, prawda — kłamstwo, że wiek XX stanie się triumfem rozumu za pomocą pary i elektryczności. Tyranie będą rozbite w puch, gdy tylko ruszą się wszyscy proletariusze! Cudowne, naiwne czasy. Chciałoby się, żeby powróciły, choć z pewnością nie we wszystkich swych aspektach; a prawdę mówiąc — dobrze, że minęły. Wszak, jeśli spojrzeć na nie chłodnym okiem, były to czasy trójzaborowej niewoli, narodowego rozdarcia, przeogromnej biedy i upośledzenia pracujących. To z protestu przeciw tym plagom wyrastali przecież imponujący ludzie i krzewiły się piękne idee, lecz rzeczywistość nieprędko zaczęła się zmieniać pod ich naporem. I nie do końca się zmieniła. Jeszcze i naszym wnukom wiele do roboty zostanie.

Polski dramat trwa od ćwierć tysiąclecia, przerywany czasem latami, czasem tylko miesiącami albo dniami radości. Miejsce i czas, w których nasz byt przebiega, zmuszają do ciągłego rozwiązywania narodowej łamigłówki. Skoro tak jest — trzeba się borykać z tym, co jest, nie popadajmy w rezygnację. Niemało narodów położonych na szlaku mocarstwowych aspiracji od dawna bezpowrotnie zniknęło z map świata. Polska jeszcze nie zginęła.

Czym można wzmacniać własne siły? Między innymi znajomością historii, choć przesadą jest i złudzeniem, że jest ona „nauczycielką życia”. To powiedzenie częściowo nieświeże, gdyż „przeszłość starzeje się z nieprawdopodobnym przyspieszeniem”.

Ostatnie zdanie powiedział Tadeusz Kotarbiński. Ale dodał: „Z pragmatycznego punktu widzenia wysuwa się bodaj na czoło rola historii jako dyscypliny realizującej hasło cofania się przed przegrodą, by ją móc przeskoczyć. Chodzi o znajomość tych wektorów dnia wczorajszego, które działają nadal w dniu dzisiejszym i współwyznaczają kierunki dążeń. Słowem — raczej historia najnowsza przede wszystkim. Więc uprawiajmy ją jako palącą konieczność”.

Nawet bym nie śmiał kusić się o obraz całkiem obiektywny czasu niedawno przeszłego, a nadal żywego w emocjach. Każdy biegły czytelnik odnalazł w tej książce niejedno subiektywne skrzywienie w ocenach i proporcjach, lecz o to nie dbam. Ktokolwiek twierdzi, pisząc o dawnych sprawach, że zachowuje obiektywizm — kłamie świadomie lub bezwiednie. Nie ma historii obiektywnej, gdyż sam dobór faktów, wyłowionych z oceanu przeszłych zdarzeń, powoduje jej celowe bądź mimowolne zafałszowanie.

Moje polega na tym, że wątek niepodległościowy wyekstrahowałem z całego splotu problemów społecznych i z gąszczu myśli o ich rozwikływaniu.

Ćwierć tysiąclecia... Dziesięć pokoleń Polaków walczyło i walczy o suwerenny byt narodu. Udało się właściwie jednemu. Z tych 250 lat — kilkadziesiąt przypadło na daremne próby ratowania ginącego państwa, dwadzieścia — na epizod trudnej niepodległości, reszta na czasy uzależnienia od carycy Katarzyny, niewoli pod rozbiorami, paru okupacji oraz suwerenności okrojonej, przerywane zrywami powstań i buntów.

Mesjasz narodów — czy Hiob?

Nic takiego. W dziejach świata dola Polaków nie była wyjątkiem. Ani nie jest. Południowi Słowianie i Grecy, Węgrzy, Czesi i Słowacy, Rumuni, Belgowie i Holendrzy, Ukraińcy, Gruzini i Ormianie, Irlandczycy i Norwegowie, Litwini, Łotysze, Finowie i Estończycy, Albańczycy oraz Kurdowie — i tyle innych narodów — równie długo albo i dłużej walczyli bądź nadal biją się o niepodległość. Z różnym skutkiem, z różnymi szansami.

Tylko ci szanse stracili, którzy niegdyś zaniechali oporu lub byli zbyt wzięci, żeby sprostać innym. Śladu prawie, prócz kronik i nazewnictwa, nie ma po Słowianach połabskich, Burgundach, Sasach, Jaćwiągach, Tatarach, choć miały te nacje godziny siły i ekspansji, po setkach innych ludów i plemion, które nie zdążyły się unarodowić. Co najwyżej odżywają jakieś atawistyczne separatyzmy — szkocki, bretoński, baskijski, korsykański, kataloński — które będą oscylować między terroryzmem a folklorem.

Wiele zbiorowości etnicznych zaginęło, wtopiło się w ciała zdobywców, zanim w Europie zaczęły się — przecież paręset lat temu zaledwie — procesy narodotwórcze, które na innych kontynentach dochodzą dopiero do apogeum. Przedtem państwa były tworzone na innych, dynastycznych zasadach i nie wyrażały woli narodów, jeszcze nie skryształizowanej. Idea samostanowienia zaś rodziła się dopiero u schyłku XIX wieku, i to w walce na dwa fronty — przeciw „misjonarstwu” imperialistycznemu i przeciw doktrynie międzynarodowej rewolucji.

Nie, nie jest Polska przypadkiem wyjątkowym. Ale rozglądając się wstecz i dookoła rzeczywiście trudno by znaleźć drugi naród, którego szamotanina jest tak ciągła i spektakularna, a położenie geopolityczne tak fatalne — między znacznie silniejszymi i ekspansywnymi sąsiadami o mocarstwowymi aspiracjach.

Nadrzędnym celem Polaków było, i jest, i być musi zagwarantowanie narodowego bytu w niepodległym państwie. Dziś, u progu trzeciego tysiąclecia, ten cel nie wydaje się osiągalnym, w perspektywie życia jednego pokolenia. Może — paru pokoleń. Jego urzeczywistnienie zależy nie tylko od Polaków, lecz od konfiguracji przyszłych stosunków globalnych.

Ażebym jednak ta nieprzewidywalna możliwość wybicia się na niepodległość, jaka kiedyś zjawi się zapewne, stała się realnością — naród polski musi przetrwać, zachować swoją tożsamość. To jest cel na teraz — cel teraz ważniejszy, niż oddalona wizja całkowitej niepodległości. Od niego zależy, by ta wizja nie była fatamorganą.

Musi naród trwać w opozycji przeciwko narzuconemu modelowi istnienia i jednocześnie dbać o samo istnienie. Cóż z tego, że egzystować będzie amorficzny zbiór jednostek, jeśli straci cechy narodu? Cóż z tego, że zachowa się w czyichś wspomnieniach legenda o polskości, jeśli naród miał przepaść biologicznie?

Autor tych słów, co niechybnie każdy czytelnik zauważył, bez wahania aprobuje postawę romantyczną, obroną przez Polaków w określonej epoce dziejów — pod zaborami — choć nie umniejsza zasług tych, co obrali strategię umacniania materialnej potencji narodu za cenę bolesnych kompromisów.

Czy zatem identyczna, bezwarunkowa akceptacja postawy romantycznej jest sensowna w każdym dziejów okresie?

Tak i Nie.

Tak — gdyż trwanie narodu jako świadomej zbiorowości jest niezbędnym (choć nie wystarczającym) warunkiem zdobycia niepodległości. Żeby naród trwał — musi wierzyć, że ten cel

osiągnie i dążyć do niego bez żadnych wahań i pauz. Romantyzm — to wiara, która żąda poświęceń.

Nie — albowiem s a m a wiara i s a m e poświęcenia mogą okazać się dalece niewystarczające w momencie, w którym pojawi się jakaś nowa szansa odrodzenia Polski.

Dlatego ustawiczny spór romantyków z pozytywistami — mimo wszelkich jego manowców, mimo szkodliwych i śmiesznych skrajności — jest ważny i płodny.

Respektowane być muszą obie te postawy, do których w istocie sprowadzić można całą wielobarwną grę poglądów politycznych tych Polaków, co myślą po polsku.

Być może, w niektórych okresach myślenie pozytywistyczne, organicznikowskie, powinno górować nad romantycznym — choć to ostatnie nigdy nie może zejść w cień. Być może taki okres przeżywamy właśnie teraz, aczkolwiek osobiście nie podzielam takiego poglądu. To jest płaszczyzna do poważnej dyskusji, ale takowej nie ma. Blokują ją doktryna wyłącznej racji po jednej stronie, zaś opozycyjni Katoni po drugiej. Są jedynie cyniczne manifesty kapitulacji, pozorujące głębię realistycznego myślenia, a z przeciwka zakłęcia, wykrzykniki, fanfaronada.

W 1918 roku Polska odbudowała się dzięki romantykoniępodległościowcom, gdyż trafili na sprzyjający splot okoliczności zewnętrznych, który zdołali wykorzystać. Gdyby nie oni, gdyby od dawna zaniechano marzeń o Niepodległej, owa koniunktura mogłaby pozostać zmarnowaną okazją. Nie zapominajmy wszelako i tego, że ci sami niepodległościowcy, którym należna jest wdzięczna pamięć potomnych, doprowadzili też do osamotnienia Polski w drugiej wojnie światowej (możliwe, że było ono nieuchronne) oraz do apokalipsy Powstania Warszawskiego (która nieuchronną chyba nie była).

Nie ma żadnej gwarancji, iż znowu Polakom pewnego dnia aż tak pomyślnie ułoży się sytuacja, jak w tamtym Listopadzie. Historia ma tylko tę jedną cechę stałą, że rodzi niespodzianki. Na dłuższą metę absolutnie niczego nie można przewidzieć, prócz tego, że ona się toczy i żaden stan osiągnięty nie jest ostatecznym. Ale kiedy coś się dla nas zmieni na lepsze — wszyscy razem mędracy świata mogą odpowiedzieć z taką pewnością, jak Pytia.

Dlatego, żeby dążenia romantyczne nie spopieliły się przed czasem i daremnie — trzeba je stale podsycać. Trzeba dbać, aby nigdy nie wyczerpały się zasoby paliwa. Emocjonalnego i materialnego.

W tym momencie naszych dziejów, na lat 15 przed rokiem

2000, czujemy się całkowicie przegrani. Już nie tylko wizja niepodległości, ale i szansa ograniczonej demokracji, która zdawała się być w zasięgu ręki, odpłynęła za mglisty horyzont. Przegrali wszyscy. Także komuniści, choć trzymają władzę samodzierżawną.

To kto wygrał?

Otóż, jeśli spojrzymy z nieco głębszej perspektywy historycznej, wygraliśmy my wszyscy — Polacy.

Nie wszystko wygraliśmy, i długo nie wygramy wszystkiego.

Ale ISTNIEJEMY jako naród, chociaż nie jako naród wolny i niepodległy.

A mogłoby nas już dawno nie być. Moglibyśmy pisać gotykiem i grażdanką, gdyby nie Konstytucja 3 Maja, gdyby nie poezja romantyczna, gdyby nie krew przelana w powstaniach, gdyby nie niepodległościowa walka PPS, gdyby nie „aktywizm” Piłsudskiego, gdyby nie zwycięska bitwa o Warszawę, gdyby nie Wrzesień, który zmusił świat do walki, gdyby nie „Solidarność”.

W każdym pokoleniu następuje coś, co nas odradza jako naród. Straszonym kosztem. Koszty ostatniego odrodzenia są w skali dziejowej niewielkie. Tylko, że ich saldo nie jest jeszcze zamknięte.

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA:

WALCZYĆ NAWET BEZ NADZIEI

<i>Wyrůstki</i>	9
<i>Czy wychodzić na ulicę?</i>	17
<i>Pancerz symbolów, ostrze naboju</i>	33
<i>Dromaderki od bibuły</i>	49
<i>Jak wpadali?</i>	62
<i>Bohaterowie kaganka</i>	78
<i>Pozytywizm „budowy twierdz”</i>	91
<i>Sojusz myśli i pracy</i>	101
<i>Ex Occidente lux</i>	108
<i>Wobec „braci Moskali”</i>	116

CZĘŚĆ DRUGA:

MYŚLEĆ JAK WALCZYĆ SKUTECZNIE

<i>Na początku był chaos</i>	129
<i>Endecja: od buntu do ugody</i>	139
<i>Socjaliści: od Marksa do Piłsudskiego</i>	159
<i>Miękkie podglebie ruchu niepodległościowego</i>	187

<i>Zywili i knuli</i>	207
<i>Odcienie narodowej kapitulacji</i>	225
<i>Krzepić serca, jątrzyć rany</i>	236

CZĘŚĆ TRZECIA:

KIEDY IŚĆ PORA

<i>Aktywizm? Pasywizm?</i>	251
<i>Orlęta</i>	271
<i>Triumf bez legendy</i>	255
<i>O byt i miejsce w Europie</i>	289
<i>Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty</i>	307
NA TERAZ I NA POJUTRZE	325

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 24 SEPTEMBRE 1985
SUR LES PRESSES DE
L'IMPREMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 3^e trim. 1985.

N° d'imprimeur 7064.





dear Mr. Wiggins,

